

Zofia Turowska

# GNIAZDO

Rodzina Onyszkiewiczów

*„Pamięć jest warunkiem poczucia tożsamości zarówno jednostkowej, jak i zbiorowej, że jesteśmy sobą dzięki temu, że unosimy własną przeszłość jako własną, że pamiętana osobowa historia, jakkolwiek pełna luk i zniekształceń, jest samą właśnie osobą”*

*Leszek Kołakowski<sup>1</sup>*

*„Unikalność, jedyność, niepowtarzalność każdego człowieka, jego losu, jego historii, to może najważniejszy fenomen świata”*

*Ryszard Kapuściński<sup>2</sup>*

Wisia<sup>3</sup>: Często rozmawiamy z rówieśnikami o patriotyzmie, wielu uważa, że gdyby wybuchła wojna, to raczej by nie podjęli walki. A ja jestem świadoma, że na pewno walczyłabym o ten kraj, nasz kraj. Tak już jestem wychowywana w mojej rodzinie. Może zbyt górnolotnie powiedziane, ale czuję dumę, że jestem Polką.

Staś: Ojczyzna... Sens tego słowa chyba oddaje określenie: „małe, ale własne”. Może to małe państwo, może niezbyt bogate, ale przecież moje, własne! Rozmawiam tu w swoim języku, znam tradycje, czuję się pewnie i dobrze. Mama mówi, że jestem patriotycznie nastawiony. Bo jeśli na przykład mam tylko do wyboru kupno jakiejś rzeczy zagranicznej czy polskiej, zdecydowanie wybieram polską. Staram się śledzić na bieżąco, co w Polsce dzieje się w polityce, żebym mógł sam ocenić, co tu jest dobre, a co złe.

Dusia: Nie dziwię się ciekawości świata moich koleżanek i kolegów, ale żeby od razu podejmować decyzję: zostają tam na całe życie?! Mówią, że w Polsce jest beznadziejnie, że to jest nora. Wszędzie im wydaje się pięknie, tylko nie tu. Kompletna bzdura...

Dana: Jeśli ktoś mi mówi: - jesteś Polką, to tak naprawdę nie wiem jeszcze, co to znaczy. Ale jestem pewna, że nie zechcę zamieszkać w domu jednorodzinnym. Bo wtedy wokoło daleko do przyjaciół, a na naszym podwórku znamy się od piaskownicy. I dobrze mi jest w tej naszej wspólnej kamienicy.

Andrzejek: Bardzo lubię Polskę. Polska w świecie najmniej się chwali, a nie lubię, jak się ktoś przechwala. I to mi się jeszcze podoba, że Polska leży w takiej strefie, gdzie nie ma wulkanów, trzęsień ziemi, huraganów... I lubię Bałtyk, i lubię słuchać tego hymnu, który śpiewali marynarze mojego dziadka:

Strażnico naszych polskich granic,  
już z dala brzmi zwycięski śpiew  
i nie oddamy cię, Bałtyku,  
zamienisz ty się pierwszej w krew.  
I póki kropla jest w Bałtyku  
polskim morzem będziesz ty,  
bo o twe wody szmaragdowe  
płynęła krew i nasze łzy....<sup>4</sup>

Wisia urodziła się w 1983 roku; Staś – 1985; Dusia – 1987; Dana – 1988; Andrzejek – 1992. Rodzicami Witosławy, Stanisława, Wandy, Danuty i Andrzeja są Joanna i Janusz Onyszkiewiczowie. I to o nich, ich rodzinie, przyjaciółach i znajomych, i o sporym kawałku naszej historii jest ta książka.

## JANUSZ

- Januszek!.. Januszek Onyszkiewicz!... - wywołuje Święty Mikołaj. I spośród wielu mniejszych prezentów wyciąga olbrzymią pakę. Dzieci z zazdrością patrzą na spieszącego po nią dość śmiało wybrańca. Jest starannie, choć skromnie ubrany, ma lekko układające się, niezbyt ciemne włosy.

- Mam siostrzyczkę, nareszcie mam siostrzyczkę! - głośno raduje się, bo jest pewien, że właśnie spełnia się jego wytęskniona prośba. Przecież napisał do Mikołaja list, aby przyniósł mu pod choinkę upragnioną siostrzyczkę!

Ale w wielkiej paczce jest... ogromny drewniany czołg, po prostu wspaniały: błyszczą stalowym kolorem pancerny, wieża się obraca, nawet, jak w najprawdziwszym, jest otwór, przez który wprowadza się ołowiane żołnierzyki. Oczywiście, ma też gąsienice, może jeździć, słowem – na pewno przedmiot pożądanym i zazdrości wszystkich chłopców!

Jednak Januszek jest wyraźnie rozczarowany, Mikołaj to dostrzega, stara się go pocieszyć:

- Siostrzyczkę też dostaniesz, tylko kiedy indziej...

Trochę przykro jest rodzicom, przecież w pierwszym powojennym 1946 roku nie było łatwo wystarać się o taką zabawkę, na uroczystą gwiazdkę szkolną czołg musieli specjalnie zamówić u miejscowego stolarza, który czasem toczył dla dzieci klocki.

A chłopiec na zawsze zapamiętał gwiazdkowe zdarzenie i ten moment, gdy wypełniła go przedziwna mieszanina uczuć: wdzięczność do rodziców za tak piękny prezent, i jednocześnie wstyd, że nie potrafi się cieszyć, bo nie ma wymarzonej siostrzyczki... Było to chyba jedno z jego największych rozczarowań w życiu...

Rodzice Janusza Onyszkiewicza poznali się na zabawie w Cieszanowie, rodzinnej miejscowości przyszłej panny młodej, Franciszki Cencory. Nie lubiła swojego imienia, bo ojciec, Piotr, ożeniony z Ukrainką, albo, jak mówili w tych stronach, Rusinką, Anną Hapunowicz, był zagorzałym monarchistą, mającym wielkie poważanie dla Franciszka Józefa, dlatego w dowód atencji dla cesarza zaprzysiągł swemu pierworodnemu nadać imię Józef, a skoro na świat przyszła w grudniu 1912 roku dziewczynka, przeto otrzymała imię Franciszka. Jej młodszy o rok brat dostał na imię Józef.

Stanisław Onyszkiewicz był starszy od Franciszki o sześć lat, panna spodobała mu się od pierwszego wejrzenia. Był czas wakacji we wczesnych latach trzydziestych. On przyjechał ze Lwowa, gdzie studiował prawo, ona, nauczycielka w pobliskiej wiosce, też miała wakacje. Skończyła seminarium w Lubaczowie, miejscowości szczytującej się historycznymi tradycjami podobnie jak Cieszanów i rodzinne Oleszyce Stanisława. Miasteczka te położone na Płaskowyżu Tarnogrodzkim po pierwszym rozbiórce Polski znalazły się w zaborze austriackim, a po 1918 roku powróciły do Polski i przynależały do województwa lwowskiego. Miały przeszłość o wiele bogatszą od innych w tym województwie miejscowości<sup>5</sup>. Ta dawna świetność wciąż promieniowała, a co światlejsi gospodarze posyłali swoje dzieci na nauki właśnie do Lubaczowa.

Franciszka, tak jak jej przyszły mąż Stanisław, pochodziła z chłopskiej rodziny, gdzie nie było żadnych luksusów, ale jednak znacznie lepiej sytuowanej od rodziny przyszłych teściów. Jej ojciec był w Ameryce, zaprosiły go siostry, które tam wyjechały na stałe, pracował u nich na roli i ubierał tyle grosza, że po powrocie mógł dokupić ziemi, zbudować dom i stać się gospodarzem w Cieszanowie już nie na półtora, ale aż na dziesięciu hektarach. Jak na owe czasy był światłym chłopem, dbał, żeby dzieci zdobywały wykształcenie. Córkę nawet posłał do liceum, edukacja miała być jej wianem, bo ziemię postanowił zapisać synowi. Wyznawał maksymę, którą często powtarzał: mężczyzna powinien mieć czyste buty i czystą chusteczkę do nosa... Jak na ówczesnego chłopca to całkiem inteligenckie podejście do życia.

Rodzice Stanisława Onyszkiewicza mieli ledwie półtora hektara ziemi w Oleszycach, i to wszystko, w domu panowała bieda. Ojciec, Tomasz, zmarł bardzo wcześnie, zostawiając do wychowania żonie Katarzynie siedmioro kilkuletnich dzieci. Stanisław po ukończeniu szkoły elementarnej musiał pomagać mamie w gospodarstwie. Był jednak zdeterminowany, żeby się dalej uczyć. Dużo czytał, poważnie traktował słowa Henryka z sienkiewiczowskiej „Hani”: ... „ja trzymam się nauki i basta (...) Nauka, moje smyki, to grunt! A przy tym ma to wszystko jeszcze tę dobrą stronę, że zajmując się podobnymi rzeczami możesz śmiało chodzić w dziurawych butach i sypiać na sienniku. Nie robi ci to żadnej różnicy”.

Drogowskazem był mu popularny werset z „Rad dla moich synów” Ignacego Balińskiego:

Chcesz być czymś w życiu, to się ucz,

Abyś nie zginął w tłumie;

Nauka - to potęgi klucz

W tym moc, co więcej umie.

Matka nalegała, aby został księdzem. Pewnego dnia jednak pojechał koleją przez Lubaczów i Rawę Ruską, do gimnazjum w Żółkwi, małym, ale wielkim duchem i nietuzinkową przeszłością zacisznym miasteczku, położonym na północ od Lwowa. Żółkwia wciąż jeszcze oddychała dziedzictwem Żółkiewskich, Daniłowiczów, Sobieskich, Radziwiłłów, jednak głównie pamiętano tu jedno imię – hetmana Stanisława Żółkiewskiego, inicjatora i fundatora większości miejscowych budowli i opiekuna rzemiosła i handlu. Stanisław Onyszkiewicz dobrze się czuje w tym sprzyjającym rozwojowi polskiego patriotyzmu grodzie. Na naukę zarabia korepetycjami, nawet stać go, aby wspomagać matkę drobnymi sumami posyłanymi do domu.

Z Żółkwi, po ukończeniu gimnazjum, blisko już było do Lwowa. Rozpoczyna studia na wydziale prawa Uniwersytetu im. Jana Kazimierza. To dla ubożego półsieroty chłopskiego piekielnie trudne wyzwanie. Nie wystarczy tylko chęć do nauki, musi mieć w sobie niebывały upór i wytrzymałość psychiczną. Zdany jest przecież wyłącznie na własne siły, sam musi pokonywać piętzące się niewygody, nieustannie zabiegać o pieniądze na opłacenie studiów i utrzymanie. Daje sobie radę, jest twardy i nieustępliwy, choć ma charakter łagodny i spokojny. Wraca do domu nie tylko z dyplomem ukończenia uczelni, ale też z zapewnioną stałą pracą w Izbie Skarbowej we Lwowie. W 1936 roku poślubia Franciszkę Cencorę. Ceremonia odbywa się w Żółkwi. Po uroczystości państwo młodzi robią sobie pamiątkowe, portretowe zdjęcie w zakładzie fotograficznym Stanisława Domańskiego przy ulicy Legionów 62.

Zaraz wyjechali mieszkać do Lwowa, gdzie na Stanisława czekała w Izbie Skarbowej posada urzędnicza. Od razu powiedział żonie, że w Polsce jest mało miejsc pracy, a on zarabia wystarczająco dobrze, wobec czego Franciszka nie musi już pracować. Znaleźli sobie mieszkanie na Łyczakowie, przy ulicy Kadeckiej. W mieście słynnych zawadiaków, Szczepcia i Tońcia, którym cała Polska wtórowała: „I gdybym się kiedyś urodzić chciał znów - tylko we Lwowie”, 18 grudnia 1937 roku, przyszło na świat ich pierwsze dziecko, syn, Janusz Adam.

Zachowała się fotografia niemowlaka: upozowany na baranym kożuszku malec dzielnie dźwiga głowę i ciekawie przygląda się światu. Najbliżsi podziwiali i prorokowali, że pewnie wyrośnie na muzyka, a może pianistę? Inni przepowiadali, że będzie geodetą albo nauczycielem lub nawet uczonek. Byli też tacy, którzy wróżyli: „ma tak zdecydowane spojrzenie, że na pewno zostanie ministrem”.

Młodzi Onyszkiewiczowie krótko mieszkali we Lwowie. Janusz ukończył pół roku, gdy przenieśli się do Przemyśla, mniejszego miasta, ale bardzo podobnego, tak bardzo, że nawet nazywano je małym Lwowem. I ludzie żyli tu podobni, takie same łączyły ich losy, identyczny akcent polskiej mowy, te same gesty, panowała podobna atmosfera, otaczała pokrewna zabudowa, a chyba najważniejsze, że i we Lwowie, i w Przemyśle silnie dominował patriotyzm oparty na głębokim poczuciu przynależności do polskości. „Po nocach z przemyskich

okien widać ciężkie cienie wzgórz, ogienek wieży zegarowej, za nią księżyc w cytrynowej kosmatej mgle – pisała rodowita przemysłanka, autorka wielu reportaży, córka przedwojennego starosty przemyskiego, Anna Strońska - Znam taki śmieszny staroświecki balkon na Kazanowie i drugi nad uliczką składającą się ze schodów, z mnóstwa schodów, jak nad Adriatykiem. Miasto stąd jest tak bajeczne, że człowiekowi żal nocy na sen”<sup>6</sup>. To wszystko w najwyższym stopniu wpływało na wzrastającego chłopca i jego późniejsze postępowanie, bo przecież - jak to trafnie ujął Rainer Maria Rilke - „każdy z nas zostaje w dzieciństwie nastrojony na odpowiednie, właściwe każdej osobie tony”.

W 1938 roku, gdy Stanisław Onyszkiewicz obejmował posadę w miejscowej Izbie Skarbowej, pięknie położony na wzgórzu nad Sanem Przemysł był dość sporym, inteligenckim miastem w województwie lwowskim, ze zdecydowaną przewagą żywiołu polskiego, z pewną liczbą Żydów i Ukraińców, z klimatem tego polsko-rusko-żydowskiego świata dawnej Polski, gdzie często słychać było charakterystyczne: „proszu pani” i: „ta, czemu pani taka markotna?”.

Miasto z bogatym historycznym tysiącletnim życiorysem: w okresie wczesnego średniowiecza ważny gród na pograniczu polsko-ruskim i przedmiot walk obu formujących się państw, po pierwszym rozbiórce w zaborze austriackim. W 1867 roku, kiedy Galicja otrzymała autonomię, do tutejszych szkół, urzędów, do życia publicznego został wprowadzony język polski. W polskie ręce przeszedł zarząd miasta. W 1876 roku rozpoczęto budowę potężnej twierdzy, trzeciej pod względem wielkości w Europie po Antwerpii w Belgii i Verdun we Francji, złożonej z wewnętrznej linii 6 fortów połączonych wałem ziemnym, zewnętrznej linii 15 fortów głównych, 27 innych fortyfikacji i 25 obronnych baterii. Z jej budową łączy się popularna anegdota dotycząca - jak byśmy to dziś powiedzieli - rozliczenia inwestycji realizowanej przez Austriaków. Baron von Hess po prostu napisał: „Na budowę twierdzy - 10 milionów guldenów dostałem, 10 milionów wydałem” Potwierdził to jeszcze tylko własnoręcznym podpisem. Cesarscy urzędnicy uznali, że nie mogą przyjąć aż tak lakonicznego dokumentu, poprosili o rozwinięcie sprawozdania. W odpowiedzi dostali nowe rozliczenie: „10 milionów guldenów na budowę twierdzy dostałem, 10 milionów wydałem, twierdza stoi, kto w to wszystko nie wierzy, jest osioł”. Wobec uporu barona udali się więc ze skargą do najjaśniejszego pana. Cesarz nałożył na nos binokle, w skupieniu przeczytał sprawozdanie i z całą powagą swego majestatu dopisał: „Ja wierzę”.

W historię Przemysła wpisana jest także rodzina politologa amerykańskiego polskiego pochodzenia Zbigniewa Brzezińskiego, którego dziadek Kazimierz, urodzony zresztą w Żółkwi w 1866 roku, podobnie jak Stanisław Onyszkiewicz również absolwent wydziału prawa Uniwersytetu Lwowskiego, objął z początkiem maja 1906 roku urząd sekretarza c. k. Sądu Obwodowego. Z żoną Zofią zamieszkał w dzielnicy Podzamcze, w willi będącej własnością Wilhelma i Laury Przybylskich przy ul. Ochronki 5<sup>7</sup>, w pobliżu Sanu. Ich syn Tadeusz, który miał zostać ojcem Zbigniewa, był uczniem Czworoklasowej Szkoły Ludowej im. Jana Kantego przy ul. Grunwaldzkiej<sup>8</sup>. W 1935 roku po raz pierwszy do dziadków mieszkających w Przemysłu przyjechał 7-letni wówczas Zbigniew Brzeziński<sup>9</sup>. Nie można wykluczyć, choć brak bliżej sprecyzowanych śladów w rodzinnych przekazach, że obie rodziny - Brzezińskich i Onyszkiewiczów utrzymywały wzajemne kontakty już choćby z racji przynależenia do tego samego kręgu prawniczej elity.

Onyszkiewiczowie mieszkali na północ od zespołu staromiejskiego, na Zasaniu, dzielnicy położonej na lewym brzegu kapryśnego, górskiego Sanu. Aż do czasu powojennego byli lokatorami wielorodzinnej kamienicy przy końcu ulicy Grunwaldzkiej, fragmentu głównej arterii komunikacyjnej biegnącej ze wschodu na zachód, znanej od XIII wieku jako „trakt węgierski” łączący Węgry przez Przełęcz Dukielską i Przemysł ze Lwowem i Kijowem. Niedaleko stąd do najstarszych budowli - kościoła Świętej Trójcy i klasztoru sióstr Benedyktynek z XVIII wieku.

Zasanie miało z lwowska przydomek dzielnicy batiarskiej. „Tak się u nas mówiło: batiarnia. W mieście mojego dzieciństwa batiarnia zamieszkiwała Władycze, Wilcze, a za Sanem, czyli na Zasaniu (...) z małym wyjątkiem dla oficerskiej Winnej Góry - Kazanów, Kmiecie. Osobną pozycję zajmował żydowski Kazimierz ze swoim Rybim Placem i dwiema synagogami zaliczanymi do najstarszych w kraju”<sup>10</sup>.

Z koszar rozciągających się na Zasaniu przy ulicy 29 Listopada, żołnierze 38. Pułku Piechoty Strzelców Lwowskich szli 1 września 1939 roku na wojnę, która 27 września podzieliła Przemysł nurtem Sanu - prawobrzeżną część okupowanego już przez nich miasta Niemcy oddali Armii Czerwonej i znalazła się w granicach Ukraińskiej Republiki Radzieckiej.

Janusz Onyszkiewicz zapamiętał:

- Za murowanym domem, gdzie mieszkaliśmy, niemal na skraju miasta, zaczynały się już pola i piaski, a dalej była wieś. Najbliżej nas, na stoku, stała chałupa rodziców mojego rówieśnika, chodziłem tam, żeby się z nim bawić, często pod okiem jego ojca. Pewnego letniego dnia siedzieliśmy na przyzbie tej chałupy, ojciec kolegi, chłopisko rosłe na schwał trzymał nas na kolanach – mnie na prawym, a swego syna na lewym kolanie, i o czyś nam opowiadał. W dali górował nad nami jeden z przemyskich fortów. Wiedzieliśmy, że Niemcy mają tam swoją artylerię, raptem zaczęli strzelać. Zaraz odpowiedziały im zza rzeki armaty sowieckie. Ojciec kolegi natychmiast poderwał się i z nami pod pachą wpadł do izby, ledwie zdążył zatrzaskać ciężkie drzwi chałupy, gdy uderzył w nie jakiś zabłąkany odłamek, gdy go oglądaliśmy był jeszcze ciepły...

Po powtórny zajęciu 28 czerwca 1941 roku całego Przemysła przez wojska niemieckie miasto przezwano Deutsch-Przemysł. - Ojciec - wspomina Janusz Onyszkiewicz - w czasie okupacji ukrywał swoje wykształcenie, wiedział, że Niemcy ze szczególną zawziętością przesładują polską inteligencję, przeciw zaraz po pierwszym zajęciu Przemysła we wrześniu 1939 roku wzięli zakładników spośród radnych i pracowników zarządu miasta. Na utrzymanie rodziny zarabiał trudniąc się drobnym handlem: na wsi kupował tańszą żywność i z niewielkim zyskiem sprzedawał w mieście. I tak to trwało, aż pewnego dnia jego i mamę żandarmi nagle zabrali do Arbeitsamtu. Rodzice byli pewni, że ich wywiozą na roboty przymusowe w głąb Rzeszy. Na szczęście tylko zarejestrowali i puścili wolno. Przy tej okazji jednak ojciec musiał ujawnić swoje wykształcenie prawnicze, po kilku dniach wezwali go i dali skierowanie do pracy w charakterze referendarza w Banku Emisyjnym<sup>11</sup>, zajmującym teraz ten sam budynek, w którym ojciec pracował przed wojną.

Groźnie zapowiadający się epizod z Arbeitsamtem w gruncie rzeczy zakończył się szczęśliwie przede wszystkim dla mnie, bo gdy zabrali rodziców, zostałem sam, na ulicy. Nie zdałem sobie sprawy z dramatycznej sytuacji, całą uwagę zaprzętała mi zabawa z kolegami. Byłem w takim wieku, że choć szalała prawdziwa, okrutna wojna, to najchętniej bawiliśmy się właśnie w wojnę. Mieliśmy prawdziwy proch wydłubywany z pocisków, których wokół było pełno. Z pudełek od zapalek budowaliśmy okręty i puszczaliśmy na wodę, najczęściej w balii. Dzioby, rufy i nadbudówki dorabialiśmy z papieru, a z cienkich lasek sprasowanego prochu dostawialiśmy lufy. Gdy w taki okręt trafiała wystrzelona zapalka, to się natychmiast cały zapalał i płonął wielkim ogniem ku naszej uciechu...

Całym domem, jak to zwykle bywało w tradycyjnych rodzinach, zarządza matka. Nie przelewa się, często do chleba musi wystarczyć najwyżej cebula pokrojona w duże plastry i posolona. Niedziela była jedynym dniem, gdy ojciec cały dzień spędzał z żoną i synem. Januszek lubił niedzielne poranki: słońce przesiane przez firanki, widok ojca ostrzającego brzytwę do golenia na skórzanym pasku, który zresztą czasem czuł na swojej skórze<sup>12</sup>. Później razem idą do kościoła. Obiad zawsze był bardzo ważny, bo zwykle na stole pojawiał się prawdziwy, dymiący gorącym rosół. Po południu często schodzą się sąsiedzi i znajomi, do późnego wieczora czas mijał na rozmaitych opowieściach i wspólnym śpiewaniu lwowskich piosenek przy akompaniamencie ojca, który grał na pianinie albo przygrywał na harmonii lub gitarze. Pew-

nej niedzieli po obiedzie Januszek przysnął na kanapie. - Gdy się obudziłem, zobaczyłem w pokoju najbliższego sąsiada zza ściany, Złata, z najstarszym synem, którzy najspokojniej w świecie pokazywali mojemu ojcu, jak się rozbiera najprawdziwszy pistolet. Obaj byli po uszy zaangażowani w konspiracji. U nas czuli się nawet bezpieczniej niż we własnym mieszkaniu, które ryzykownie przylegało do mieszkania zajmowanego przez usłużnego Niemcom volksdeutcha...

W 1944 roku do Przemyśla zbliża się linia frontu, Onyszkiewiczowie szukają u krewnych lepszego schronienia w piwnicy solidniejszej kamienicy niż dawała czynszówka na Zasaniu. Gdy miastem wstrząsnęła potężna detonacja, szybko rozniosła się wieść, że to Niemcy uciekając wysadzili za sobą most na Sanie. Przemyśl był wolny od hitlerowskiej okupacji, wrócili do domu, zastając mieszkanie dosłownie zasłane pociskami..

Pierwsze lata powojenne są bardzo niespokojne na polsko-ukraińskim pograniczu. Tu okrutna wojna jakby jeszcze wciąż trwa. Aktywna jest Ukraińska Powstańcza Armia, którą oficjalna propaganda nazywa „bandami UPA”. Z miasta często w nocy widać budzące grozę i przerażenie łuny nad podpalanymi wioskami i miasteczkami, bywało, że Sanem płyną czasem trupy. Kilkakrotnie płonie podpalany Cieszanów, rodzinne miasto babki Janusza, Ukrainki. W pamięci wnuczka pozostały jej przerażające opowieści o paraliżującym strachu, gdy zjawiali się ludzie z bronią, bo nigdy nie było pewności, kim są: Niemcami, Ukraińcami, Polakami..? Regularnym wojskiem, zwykłymi bandytami czy partyzantami...? Pewnej nocy szukała schronienia w wysokich trzcinach obrastających pobliskie stawy, znaleźli ją, kazali wychodzić, ale nie mogła o własnych siłach wydostać się z topieli, więc podali jej karabin. Chwytając za lufę nie wiedziała, czy naprawdę chcą ją uratować, czy też pociągną zaraz za cyngiel...?

We wrześniu 1945 roku, w rodzinnych Oleszycach Stanisława Onyszkiewicza, UPA okrutnie wymordowała kilkadziesiąt osób, nie oszczędzając kobiet i dzieci, a po tej zbrodni puściła z dymem znaczną część miasteczka. - Nie raz w środku nocy w lęku przed UPA musiałem z matką pospiesznie uciekać z domu przy ulicy Grunwaldziej i do rana ukrywaliśmy się w pobliskich łąkach kukurydzy.

Mimo upływu kilku dziesiątek lat wciąż trwa pamięć tych straszliwych wydarzeń powojennych, będących udziałem narodów, o których mówił ukraiński pisarz, Iwan Franko: „W całej Słowiańszczyźnie nie ma dwóch takich narodów, które by pod względem życia politycznego i duchowego tak ściśle zrosły się ze sobą, tak licznymi były powiązane węzłami, a mimo to tak ciągle stroniły jeden od drugiego, jak Polacy i Ukraińcy”<sup>13</sup>. Doświadczył tego Janusz Onyszkiewicz, gdy w drodze na spotkanie z Ojcem Świętym przybywającym do Lubaczowa wstąpił w Cieszanowie do wujka, który ożenił się z siostrą jego matki i objął tu gospodarstwo po dziadku Cencorze. Akurat trwała telewizyjna transmisja z uroczystości z udziałem Ojca Świętego w Przemyślu. W pewnym momencie Jan Paweł II zwrócił się do obecnych grekokatolików w ich języku, języku ukraińskim. Wujek natychmiast wstał i wyszedł z pokoju, bo nie mógł słuchać tego języka nawet z ust Papieża...

W 1946 roku Janusz Onyszkiewicz kończy drugą klasę w „Kantówce”, tak nazywanej Publicznej Szkole Powszechnej stopnia trzeciego nr 4 im. Jana Kantego. Na świadectwie same piątki, a najbardziej cieszy go ocena bardzo dobra z „ćwiczeń cielesnych”. W następnym roku szkolnym jest już uczniem Szkoły Powszechnej im. Stanisława Kostki. Rodzice go przepisują, ponieważ przeprowadzają się z ulicy Grunwaldziej na Raclawicką, w pobliże stadionu „Czuwaj” Harcerskiego Klubu Sportowego<sup>14</sup>. Nie zmienia tylko szkoły muzycznej, w której uczy się gry na fortepianie.

W nowym mieszkaniu przy ulicy Raclawickiej w marcu 1948 roku wreszcie spełnia się marzenie Janusza, przychodzi na świat tak przez niego upragniona siostrzyczka. Dziewczynka dostaje na imię Anna. Jest wcześniakiem, malusieńkim i - o czym w domu się mówi bez ogródek - dość brzydkim. Janusz nie może się doczekać, żeby zobaczyć siostrę. Dzięki znajomościom w przemyskim szpitalu udaje się ominąć obowiązujący zakaz odwiedzin w prze-

myskiej klinice położniczej, idzie z ojcem na spotkanie z Anią. - Januszkule, przypatrz się i zgadnij, która to twoja siostra? - stawia go przed dylematem zaprzyjaźniona pielęgniarka w progu sali pełnej noworodków kompletnie do siebie podobnych, przynajmniej na pierwszy rzut oka. - To jest Ania! - chłopiec bezbłędnie wskazuje swoją siostrę. - Skąd wiedziałeś?! - pyta osłupiała kobieta, bo nigdy wcześniej aż tak trafnej odpowiedzi jeszcze od nikogo nie uzyskała. - Bo jest najbrzydsza - szczerze wyjaśnia Janusz.

- Ta anegdota jest jak najbardziej autentyczna - podkreśla Anna Bogobowicz. - Znam ją oczywiście z opowieści rodziców, opowiadana jest do dziś w całej naszej rodzinie. Wspominając ją, zawsze zaraz się dodaje, że ten niezamierzony despekt, jaki mi wtedy sprawił Janusz, już niebawem wynagradzał z nawiązką. Chętnie we wszystkim pomagał mamie: kołysał mnie do snu, zabierał w wózku na spacer do parku, bardzo się troszczył, gdy często chorowałam, nie tracił cierpliwości, gdy godzinami trzeba było mnie karmić, bo byłam zdecydowanym niejadkiem...

- Musiałem pomagać mamie, bo przecież byliśmy sami, ojciec już wtedy całymi tygodniami przebywał w Warszawie, dokąd go oddelegowano z Przemyśla do pracy w bankowej centrali, nawet nie było go w domu, gdy urodziła się siostra, przyjechał dopiero po kilku dniach - wtrąca Janusz Onyszkiewicz..

Taka rozłąka nie trwa długo. Stanisław Onyszkiewicz dostaje propozycję przeniesienia się do Warszawy wraz z całą rodziną. Szybko się decyduje, w przeprowadzce do stolicy widzi bowiem szanse również dla dzieci, które będą miały większe możliwości kształcenia się niż w Przemyślu.

W pięćdziesiąt dwa lata później córka Joanny i Janusza Onyszkiewiczów - dwunastoletnia Danusia - odrabia pracę domową z języka polskiego polegającą na przeprowadzeniu prawdziwego, nagrywanego na taśmie magnetofonowej, wywiadu z ojcem:

- Jak wyglądała Warszawa, kiedy tu zacząłeś mieszkać? Jak wyglądał twój dom?

- Warszawa wyglądała kiedyś całkiem inaczej. Na przykład myśmy wtedy mieszkali: ja, moja siostra i moi dziadkowie, w domach, które stoją do dziś za Supersamem, tuż przy placu Unii. Wtedy te domy stały przy ulicy Polnej, a ulica Boya jeszcze nie istniała. Stał tylko ten gmach, w którym jest straż pożarna. Supersamu też nie było, tylko jezioro, takie jak Morskie Oko, tyle że całkiem dzikie. Na jego miejscu, potem zasypanym gruzem, stoi Supersam. A za jeziorkiem, za naszymi domami, rozciągały się wielkie chaszcze. Tam, gdzie dziś przechodzi ulica, która biegnie od placu Konstytucji do ulicy Puławskiej, były wielkie wertepy, górki, wąwozy, w jednym odkryliśmy bunkier, a w nim granaty, co było dla chłopców fascynującym przeżyciem. Dalej, na polach, na pozostałości po lotnisku wojskowym z lat dwudziestych, na ogrodzonym terenie, stały jeszcze resztki obozu dla niemieckich jeńców wojennych. Kiedy obóz całkiem zlikwidowano, to pozostałe po nim puste budki strażnicze były dla nas świetnymi fortecami obronnymi przed napaściami chłopaków z dalszych okolic.

Warszawa była wielkim morzem ruin. Ulica Marszałkowska, dziś pięknie odbudowana, składała się z parterowych prawie że baraków. Było bardzo mało samochodów, bardzo mało paliło się światła na ulicach. Jeździło się przeważnie tramwajami oraz trolejbusami, których już dziś nie ma. A ponieważ tych tramwajów i trolejbusów też było bardzo mało, tłok był straszny, drzwi nie można było zamknąć, ludzie wisieli na stopniach, a niektórzy nawet - ja też tak robiłem - jechali na zderzakach, trzymając się rozmaitych występow, było to bardzo niebezpieczne, ale dla nas, chłopaków bardzo podniecające. Uważaliśmy to za taki fason: jechać z tyłu na zderzaku albo między wagonami tramwaju, na tak zwanym łączniku.

Tak więc Warszawa była całkiem, całkiem inna niż dzisiaj: znacznie mniejsza, znacznie biedniejsza. Była zniszczona przez wojnę, ludzie stali w kolejkach po rozmaite produkty. Wszystkiego brakowało.

Sklepiki były bardzo malutkie, biedne. Na samym początku, zaraz po wojnie, było jeszcze trochę sklepów prywatnych, ale później je zlikwidowano, wszędzie zaczęły się pojawiać skle-

py państwowe i tak zwane sklepy spółdzielcze. Ale za to na bazarach było dużo rozmaitych rzeczy. Te bazyry może trochę wyglądały tak jak dziś, z tym tylko że inne wtedy były towary i nie było żadnych cudzoziemców, sprzedawali i kupowali wyłącznie Polacy. To był taki handel zwany pokątnym.

Jeszcze jedna rzecz charakteryzowała tamte, dawne czasy: ponieważ w sklepach niczego nie było, więc kobiety ze wsi przyjeżdżały do miasta i bezpośrednio ludziom sprzedawały a to jajka, a to sery czy nawet mięso. Prawie każdy miał taką swoją umówioną kobietę, która raz w tygodniu, a czasem dwa razy, przywoziła te produkty.

Moi rodzice dostali dość ładne mieszkanie, służbowe, w domach wybudowanych dla pracowników banku. Było nawet spore, bo trzy pokoje z kuchnią. Z tym jednak, że jeden pokój był przechodni, a więc nie mogli w nim np. nocować nasi goście, wszyscy spaliśmy w jednym pokoju, sypialni. Meble mieliśmy stare, przedwojenne, które nasi rodzice kupili, kiedy mieszkali w Przemyślu. Nie było jeszcze w ogóle telewizji, mieliśmy tylko radio...

We wrześniu 1948 roku Janusz Onyszkiewicz rozpoczyna naukę w piątej klasie Szkoły Podstawowej nr 85 w Warszawie przy ulicy Narbutta, której niebawem będzie patronował Benito Juarez. - Wielkie miasto specjalnie mnie nie obeszło, ale pójście do nowej szkoły było wielkim przeżyciem. Klasa już była dobrze zżyta, a ja kompletnie obcy. Do tego nie dość, że mówiłem śpiewnym, lwowskim akcentem, to okazałem się wcale nie tak świetnym uczniem, jakim byłem w przemyskiej szkole. Sporo czasu mi zajęło dołączenie do standardów nowej szkoły.

Stolica i szkoła były dla mnie skokiem w pewnym sensie politycznym. W Przemyślu bowiem procesy komunizacji kraju nie były tak widoczne, ujawniły się znacznie później. Tam wciąż jeszcze działało na przykład normalne harcerstwo: z lilijkami, z mszami w kościele i z przysięgami staroharcerskimi. Tu już obowiązywały czerwone chusty, drętwe, państwowo-twórcze zbiórki i apele. W mojej nowej klasie było sporo dzieci ówczesnych prominentów, wśród nich córki marszałków Spychalskiego, Żymierskiego... Czasami nie wiedziałem, jak się zachować. Bardziej swojsko poczułem się dopiero, gdy klasowy siłacz chciał wszystkim pokazać, że on tu przewodzi i szukał ze mną zaczepki. Jakoś mu to nie wychodziło, aż pewnego dnia, zaraz po dzwonku wyszedłem z klasy pierwszy, a on wybiegł za mną na korytarz, gdzie nikogo jeszcze nie było. Dopadł mnie i chciał ugodzić takim strasznym sierpowym. Uchyliłem się, a on z całym impetem uderzył pięścią w ścianę, do dziś słyszę trzask jego kości. Zawył z bólu i aż się zwinął... Na ten moment wyszła już na korytarz cała klasa, wszyscy widzieli, jak on pochlipuje i ucieka przede mną. Moje akcje wtedy ogromnie wzrosły.

Przydały mi się też nauki w szkole muzycznej: nauczycielka śpiewu wybrała mnie do szkolnego chóru, wystąpiliśmy nawet w radio, co ogromnie wszystkim zaimponowało.

Dużo czytałem. Trylogię poznałem od drugiego, wyszperanego na strychu u mojej babci w Cieszanowie, tomu „Ogniem i mieczem”. Ten tom, akurat w tym właśnie wydaniu Trylogii, zaczynał się od sceny uprowadzenia przez Bohuna kniaziówny Heleny Kurcewiczówny do Czarciego Jaru. Dla mnie Bohun stał się tym pierwszym, najważniejszym bohaterem. Skrzetuski, choć najbardziej szlachetny, był dla mnie ogromnie nijaki i rozchwiany, za to Wołodyjowski na początku sympatyczny, miły, ale niepoważny, potem zbyt posągowy.

Bardzo fascynowałem się też charakterami książkowych bohaterów z Dzikiego Zachodu, szczególnie Indian, którzy nie okazywali na zewnątrz emocji, ale twardo i nieustępliwie bronili swoich racji.

Pewnym wyznacznikiem poglądów politycznych rodziców Janusza, ich stosunku do współczesnych wydarzeń w Polsce stała się ... butelka markowego, francuskiego szampana, którą dostali w prezencie ślubnym. Przechowywana w kredensie, czekała na jakąś szczególnie wyjątkową i radosną okazję. Do wybuchu wojny taka okazja się nie nadarzyła, więc postanowili, że tym szampanem wzniosą toast z pierwszym napotkanym polskim żołnierzem, który przyniesie wolność. Ale przyszli nie ci wymarzeni żołnierze... Nietknięty szampan stał więc dalej,

wystrzelił aż w 1951 roku - dokładnie w piętnastą rocznicę ślubu Franciszki i Stanisława Onyszkiewiczów...

Rodzice Janusza byli od zawsze rodziną katolicką i ani na jotę nie zmieniły tego czasy stalinowskie. W każdą niedzielę chodzili z dziećmi do kościoła na poranną mszę, w sypialni dominował święty obraz nad łóżkiem, przyjmowali odwiedzającego parafian księdza po kołędzie. I nie było w tym katolicyzmie żadnej przesady ani jakiejś demonstracji, po prostu postępowali jak prawdziwie wierząca i praktykująca rodzina. W domu się nie mówiło, że trzeba być uczciwym, honorowym, prawym. Nie wygłaszał nikt pogadanek, jak iść przez życie, aby sobie nie mieć nic do zarzucenia. Najlepszy przykład i wszystkie nauki płynęły w sposób dość oczywisty z życia i postępowania na co dzień rodziców, którzy przede wszystkim wymagali od dzieci bezwzględного posłuszeństwa i prawdomówności w każdej sprawie i w każdej sytuacji. Janusz był już dość sporym chłopcem, gdy przy okazji jakiejś drobnej sprawy odkrył, że jednak można skłamać i z tego powodu wcale świat się od razu nie zawali. Ale to było tylko bardzo drobne kłamstewko, poważne sprawy traktowało się w rodzinie zawsze poważnie. Było to wyrazem poszanowania rodziców i uznawania ich autorytetu, a zwłaszcza pierwszoplanowej i wiodącej pozycji ojca.

Jak przystało na najważniejszą osobę w rodzinie, ojciec był wysokim, postawnym mężczyzną. Pierwszy zasiadał do stołu, przy którym każdy miał swoje stałe miejsce. Całą osobowością był autorytetem i jakby wychodził naprzeciw respektowi okazywanemu w sposób naturalny przez pozostałych domowników. Raczej nie odznaczał się poczuciem humoru, na ogół też daleki był od okazywania emocji. Dość skryty, w nastrojach stonowany, w kontaktach oficjalny, bardzo poważny i zawsze najzwyczajniej uczciwy. Imponował rozległą wiedzą, niemal encyklopedyczną, ale szczególnie w dziedzinie historii oraz w sprawach rachunkowości i finansów. Był człowiekiem bezpartyjnym, choć doskonale zdawał sobie sprawę, że to mu zamyka drogę awansu zawodowego. Wolał świadomie płacić taką cenę niż sprzeniewierzyć się swoim zasadom i przekonaniom.

Synowi imponowała postawa ojca: - Chociaż wcale nie był człowiekiem o postawie przebojowej, o dynamicznym charakterze. Nawet powiedziałbym, że był nieśmiały. Jednak miał w sobie bardzo silny wewnętrzny napęd, nad którym potrafił umiejętnie panować zawsze zachowując duchową równowagę..

Siostra Janusza tak zapamiętała ojca: - Nigdy nie zdradzał jakichkolwiek emocji. Był dość surowy, może nawet powiem, że budził w nas coś więcej niż respekt, czasem nawet strach. Gdy zmęczony wracał z pracy, lubił odpoczywać czytając gazetę, a mama obowiązkowo stawała przed nim szklankę gorącej herbaty. Z tatą poruszaliśmy tylko bardzo ważne tematy. Nasza mama była zupełnie inna, z nią rozmawiało się dosłownie o wszystkim. Można powiedzieć, że była jak „brat-lata”. Nie tylko dla swoich dzieci, ale właściwie dla wszystkich.

Mama: energiczna, wesoła, dobrze zorganizowana, o dominującej osobowości, gotowa każdego przytulić do serca. Dla dzieci zawsze miała czas, mogli z nią pogadać o wszystkim, o sprawach banalnych i najbardziej intymnych. To przede wszystkim też dzięki niej w domu gościło mnóstwo osób. Była świetną organizatorką kontaktów towarzyskich, gotowała rewelacyjnie, naprawdę potrafiła przyrządzić przysłowiową zupę na ... gwoździu. Mimo pewnej surowości ojca, panowała w domu pogodna atmosfera. Wieczorami mama często śpiewała, a ojciec akompaniował jej na pianinie albo na trąbce lub harmonijce, czasami Janusz przygrywał na okarynie. Stałym gościem był kuzyn, Adam Horoszczak, który rodzinne muzykowanie wzbogacał grą na gitarze. Ta domowa muzyka na zawsze została w Annie i Januszu.

Tradycyjny model rodziny nakazywał zwracać się do rodziców zawsze w trzeciej osobie, nigdy per „ty”. Zwłaszcza ojciec bardzo dbał, aby dzieci przestrzegały tej formy. Wszyscy funkcjonowali w pewnym układzie, który wzajemnie akceptowali. Każdy wiedział, gdzie jest jego miejsce i wszyscy wiedzieli, jak wspólne życie w rodzinie ma się układać. Nie było żadnych awantur, nigdy.

Anna Bogobowicz podziela pogląd psychiatry doktora Rossa Campbella, że „rodzice są dla nas najważniejszymi osobami w życiu, mają największy wpływ na nasze życie - większy niż ktokolwiek i cokolwiek innego”. Dodaje: - Janusz zdecydowanie poszedł w ślady ojca, ja mamy.

Jeden z najbliższych przyjaciół Janusza, jego imiennik, inżynier Janusz Rzepecki, w latach szkolnych mieszkał po sąsiedzku, ale wtedy jeszcze nie byli nawet kolegami: - Tak naprawdę to w ogóle nie wiedzieliśmy o swoim istnieniu, choć dzieliło nas ledwie kilka małych uliczek. On bowiem był uczniem „Reytana”, szkoły z przedwojennymi tradycjami, a ja dostałem się zrządzeniem losu do tak zwanej TPD-owskiej szkoły przy ulicy Wiktorskiej. Moi rodzice byli zapracowanymi robotnikami i nie mieli nawet czasu dokonać jakiegokolwiek wyboru. W TPD-ówce wpajano nam tak zwany naukowy pogląd na świat przede wszystkim poprzez intensywne zwalczanie religii, a w gruncie rzeczy też eliminowanie związków rodzinnych. Wmawiano nam: „Reytan” to jest szkoła niedobra, siedlisko burżuazji i wszelakiego wstecznictwa.

Wybór dla Janusza właśnie „Reytana” nie był przypadkowy. Rodzice uważali, że jeśli tylko istnieje możliwość, syn powinien uczyć się w porządnej szkole, z tradycjami i lekcjami religii, z kadrą przedwojennych pedagogów, którzy zachowali w sobie wartość bezcenną z czasów Najjaśniejszej Rzeczypospolitej - wewnętrzne poczucie wolności człowieka. W żadnym razie licea TPD-owskie, zawsze koedukacyjne, bez patrona, a jedynie oznakowane numerem porządkowym, w przekonaniu rodziców Janusza i Anny odpowiednie nie były i być nie mogły. Nie miało żadnego znaczenia, że do tych TPD-owskich szkół swoje dzieci zapisywali ludzie ówczesnej władzy najwyższych szczebli.

Z domu przy Polnej Janusz miał bardzo blisko na Rakowiecką, do Liceum Ogólnokształcącego im. Tadeusza Reytana, szkoły chlubiącej się historią sięgającą 1905 roku, kiedy to panowie Rudliński i Siengustowski założyli trzyklasową szkołę dla chłopców. Choć oficjalnie nie wolno było o tym mówić, to i tak wszyscy przecież wiedzieli, że w 1926 roku sam marszałek Józef Piłsudski osobiście tu wręczał harcerzom z 1 Warszawskiej Drużyny Harcerskiej im. Romualda Traugutta czarne chusty - symbolizujące żałobę narodową po Powstaniu Styczniowym. Historia zatoczyła koło, kiedy w roku 1949 odebrano uczniom prawo do opieki nad grobami poległych w obu powstaniach: styczniowym i warszawskim. „Reytan” zajmował pofabryczny budynek, mając w najbliższym sąsiedztwie: osławione w latach stalinowskich więzienie, zakład poprawczy, dom dziecka oraz szkołę kadetów.

W liceum Janusz wchodzi w zupełnie nowe otoczenie, jest jedynym absolwentem szkoły podstawowej przy ulicy Narbutta, który dostaje się do „Reytana”. Od razu musi stoczyć, przy wsparciu rodziców, pierwszy bój - chce bowiem zapisać się do klasy z językiem angielskim, a do tej klasy chętnych jest najwięcej. Dużo łatwiej było dostać się do klasy „niemieckiej” albo z łaciną, w szkolnym żargonie przezywanej „dorożkarską”. Oczywiście, we wszystkich klasach obowiązuje język rosyjski, niezbyt przyjaźnie nazywany „ruskim”, traktowany niechętnie, bo przecież narzucony.

Chłopcy od „Reytana” niesłychanie sobie cenią, że są uczniami męskiego liceum. Równieśnicy ze szkół koedukacyjnych towarzysko dla nich zupełnie się nie liczą, bo uważają z wyraźnym poczuciem wyższości, że tamci „grają w innej lidze”. W żadnym razie nie oznacza to, że szkoła jest jakąś formą zgromadzenia porównywalnego z męskim zakonem. Mają częste kontakty z uczennicami pobliskiego żeńskiego liceum im. Narcyzy Żmichowskiej oraz innymi „babińcami”, również odległym liceum im. Stefanii Sempołowskiej na Żoliborzu. Na wspólnie urządzanych wieczorkach tanecznych rodzą się pierwsze młodzieńcze sympatie, dzięki nim można też mówić o kiełkującym ... pluralizmie politycznym. Kiedy bowiem przychodzi u „Reytana” czas wyborów do samorządu, o mandaty ostro zabiegają przedstawiciele różnych, rzecz jasna nieformalnych grup. W szkolnej społeczności wiadomo, że każda grupa zdecydowanie sprzyja innej szkole żeńskiej, a samorząd przecież ma w ręku bardzo ważny

dla męskiej gromady instrument władzy - może swobodnie wybierać, z którym liceum odbędzie się kolejna potańcówka. W trakcie kampanii wyborczej u „Reytana” są więc zawzięcie rywalizujący „rojaliści”, którzy optują za pannami z liceum im. Królowej Jadwigi, „chadecy” nie ukrywający awansów wobec koleżanek od św. Augustyna, „demokraci” lokujący swoje sympatie wśród uczennic z Zmichowskiej oraz „lewicowcy”, opowiadający się za najczęstszymi kontaktami z żoliborzankami od Sempołowskiej.

W klasie Janusza jest sześćdziesięciu trzech uczniów. Szybko tworzy się zgrana paczka przyjaciół spośród osiągających najlepsze wyniki w nauce. Fascynują się brydżem, grają często w trakcie lekcji, małymi, pasjansowymi kartami, które łatwiej i szybciej dają się ukryć w razie jakiejś „wpadki”. Najczęściej grają na lekcjach języka angielskiego. Pani profesor od angielskiego zwykle pisze sobie coś na tablicy, a co się dzieje za jej plecami, jest dla niej kompletnie obojętne, do tego stopnia, że raz nawet w trakcie lekcji przeprowadzają z powodzeniem konkurs tańca...

Większość nauczycieli to jednak pedagodzy z prawdziwego zdarzenia, bez reszty oddani swojej pracy i młodzieży. Ogromny autorytet ma matematyk profesor Stefan Kozicki. Gdy Janusz wchodzi do księgarni po podręcznik w opracowaniu pana profesora, nie śmie ze względu na wielki szacunek, jaki żywi wobec autora, powiedzieć po prostu: - Proszę zbiór zadań Kozickiego, ale z uroczystym namaszczeniem wręcz recytuje: - Proszę o zbiór zadań matematycznych Pana Profesora Kozickiego...

Do ulubionych przedmiotów należy też bez wątpienia historia. Opowieści pani profesor Gebertowej od historii, zwłaszcza na lekcjach historii starożytnej, klasa słucha jak zahipnotyzowana, nawet nikomu do głowy nie przyjdzie, aby grać w brydża.

Andrzej Zajączkowski, reżyser, jest kolegą Janusza z tej samej klasy: - Janusz był prymusem, uczył się znakomicie. Na ogół prymusów się nie lubi, ale on miał szczególne cechy: był prymusem w każdej dziedzinie, od gimnastyki po matematykę, a przy tym całkiem zwyczajnym kolegą, takim jak każdy z nas. Na pewno należał do najbardziej lubianych w całej szkole. Czasem, gdy całą klasą urywaliśmy się na węgry, on był wśród nas.

Miał opinię humanisty, nieprzeciętne uzdolnienia matematyczne objawił dość nieoczekiwanie, właściwie z nudów. Po ukończeniu nauki w ósmej klasie był już zbyt dorosły, aby jechać na kolonie, a zdaniem rodziców jeszcze za młody, aby mogli mu pozwolić na samodzielne spędzanie wakacji. Z rodzicami i młodszą siostrą pojechał więc do wsi Strzakły na Podlasiu koło Radzyna, skąd co tydzień jedna z wieśniaczek przywoziła dla nich i ich sąsiadów świeże jaja, mleko prosto od krowy, wiejskie sery, a czasem nawet takie rarytasy, jak czosnkowa kiełbasa własnej roboty czy mięso niekoniecznie pochodzące z tak zwanego legalnego uboju.

- Na tej wsi było nudno, bo ile razy można chodzić na grzyby albo budować szałas czy strzelać z łuku zrobionego sobie z wygiętej gałęzi...? - wspomina Janusz Onyszkiewicz. - Ale pewnego dnia, szperając na strychu domu, w którym mieszkaliśmy, znalazłem stare podręczniki matematyki dla klas X i XI. Nie mając nic lepszego do roboty przeczytałem te książki z takim skutkiem, że gdy w klasie dziewiątej, nasz nauczyciel, profesor Łaganowski (imię?), podyktował nam zadania na olimpiadę matematyczną: jedno dla klas 8-9, drugie 10-11, to wybrałem te dla klas starszych. Zdarzyło to się akurat wtedy, gdy miałem z matematyki dwie dwójki wpisane do dziennika: jedną za to, że zapomniałem zeszytu, a drugą za rozmawianie na lekcji. W oczach profesora Łaganowskiego na pewno nie mogłem uchodzić za ucznia zdolnego do samodzielnego rozwiązania trudnych zadań olimpijskich. Był więc szczerze zdziwiony, gdy je oddałem z poprawnymi wynikami. Nazajutrz wywołał mnie do tablicy: - Czegoś tu nie rozumiem - oznajmił spodziewając się zapewne, że przygwoździ mnie na ściąganiu - musisz mi wytłumaczyć, jak ty to mogłeś rozwiązać... Oczywiście, wszystko dokładnie przedstawiłem, wprowadzając profesora w jeszcze większe osłupienie.

Tak właśnie się zaczęła moja przyjaźń z matematyką. Z czasem zdałem sobie sprawę, że w matematyce jest bardzo głęboko zakorzeniony pierwiastek estetyczny. Mówi się: piękna praca. Wcale nie dlatego, że jest napisana wspaniałym językiem. Zachwyt wzbudza konstrukcja rozumowania. W matematyce ukryte jest abstrakcyjne piękno. Podobnie jak w grze w szachy, gdy zachwycamy się piękną rozgrywką.

„Matematyka może być piękna i zacząłem rozumieć, co to właściwie znaczy, iż prawa przyrody są napisane w języku matematyki” - wyjawia Simon Singh, tropiciel tajemnicy siedemnastowiecznego francuskiego matematyka Fermata<sup>15</sup>, a współczesny mu brytyjski kolega - G. H. Hardy dodaje: „... wzorce będące dziełem matematyka, podobnie jak wzorce malarza lub poety, muszą być piękne; idee, tak jak barwy czy słowa, muszą pasować do siebie w harmonijny sposób. Piękno jest pierwszym sprawdzianem: na świecie nie ma miejsca dla brzydkiej matematyki”.

Tego piękna próżno by szukać w świecie początku lat pięćdziesiątych. Świętem jednolitej ogólnopolskiej radości jest pierwszomajowy pochód, z głośników płyną słowa „krzepiącej” pieśni masowej: „Zbudujemy miasta, zbudujemy wieś /Zbudujemy Polskę piękną jak we śnie”, ale codzienność jest udręczona procesami politycznymi, donosami, przeraźliwie mizerna i siermiężna... W centrum stolicy rośnie „kosztowne mauzoleum wyobraźni” - dar narodu radzieckiego dla Polski, potęga taka, żeby budziła respekt, wielkość kamienna wyobcowana z otoczenia. W domu Onyszkiewiczów jest inny świat, ten zewnętrzny, jak ubłocone buty, wyciera się i zostawia za drzwiami, bo rodzina, ostoja na każde złe czasy, jest ponad wszystkim.

Raz jeden licealista Janusz Onyszkiewicz ociera się o władzę. Wybiera się mianowicie do jedyne kina bez straszliwie tasiemcowych kolejek, które wtedy są do wszystkich kin w Polsce. Wpuszczają jednak tylko wybranych, wyłącznie za okazaniem legitymacji służbowej Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Prosi więc przypadkową kobietę, aby go wprowadziła i dzięki niej korzysta z przywileju zastrzeżonego dla ówczesnej elity komunistycznego reżimu, nie musi czekać godzinami i przepychać się w tłoku, doświadcza „słodkiego komfortu”, jaki daje przynależność do warstwy rządzącej

Janusz Rzepecki uważa, że w czasach komunistycznych nie można było żyć bez polityki, która przecież była wszędzie, wdzierająca się nieproszona do wszystkiego i na każdym kroku: – W szkole wpajano mi tzw. naukowy pogląd na świat i indoktrynowano tak skutecznie, że z naiwnością dziesięcioletka naprawdę uwierzyłem w potęgę radzieckiej nauki, najwspanialszej na świecie. Ale pewnego dnia jednak to przekonanie we mnie zachwiało spostrzeżenie, że radzieckie ciężarówki wyraźnie ustępują, i to pod każdym względem, ciężarówkom amerykańskim, które przysłała nam „ciocia UNRRA”<sup>16</sup>. Jedne i drugie mogłem oglądać z bliska. Mieszkałem z rodzicami w pobliżu dawnej fabryki radiowej Marconiego, w sąsiedztwie wybudowano blok mieszkalny dla rodzin wojskowych i często tu garażowały różne samochody. Wtedy jeszcze sobie wytłumaczyłem, że widocznie tylko ciężarówki radzieckie są gorsze od amerykańskich, ale w innych dziedzinach na pewno jest odwrotnie. Z biegiem lat, mimo że byłem w szkole ZMP-owskim aktywistą, jednak wątpliwości przybywało, zastanawiałem się na przykład, czy towarzysz Stalin ma kochankę?... Wreszcie zderzenie papki propagandowej podawanej w szkole z realną rzeczywistością musiało wywołać zasadnicze pytanie: - Co ja tu robię w tym ZMP-owskim towarzystwie? W co się daję wciągać...?

Stalinowska indoktrynacja w mniejszym stopniu dotyka „Reytana”. I tutaj jednak muszą być zachowane narzucane formy, przynajmniej formalnie. Z pieśnią na ustach: „Maszeruje rozśpiewana brać /w przyszłości świat tęczy” wszyscy chłopcy po ukończeniu dziesiątej klasy tworzą hufiec Służby Polsce i w ramach powszechnego obowiązku „przysposobienia zawodowego, wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego młodzieży” jadą na Mazury, w okolice Orzysza, aby na PGR-owskich polach walczyć z amerykańską stonką i pomagać przy żniwach.. Junaków SP obowiązują mundury i prawie wszystkie wojskowe ry-

gory. Ale nie jest aż tak źle, aby na przykład nie można było się urwać z wieczornego apelu i po kryjomu iść na randkę. Tym bardziej korzystają z pewnej taryfy ulgowej, że chłopcy z „Reytana” trafiają na wspólny obóz SP z rówieśnikami z liceum przy ulicy Parkowej, do którego chodzą synowie i córki prominentów, licznie mieszkających w okolicach Łazienek. W plutonie Janusza są synowie Romana Zambrowskiego, członka KC PZPR i Rady Państwa, oraz generała broni Stanisława Popławskiego, vice ministra obrony narodowej.

Na obozie po raz pierwszy uczniowie z „Reytana” stykają się z inną młodzieżą i innymi nauczycielami, jakich dotąd nie znali, znacznie mniej tolerancyjnymi, hałaśliwie manifestującymi polityczne zaangażowanie. Taka postawa kontrastuje z atmosferą ich szkoły. Wprawdzie też gromadnie wstępują do ZMP, ale na tym akcie kończy się właściwie całe ich polityczne zaangażowanie, w warstwie ideologicznej ani światopoglądowej nic kompletnie nie znaczy.

Zbliża się przecież matura, a w perspektywie studia. Obawiają się, że tak zwane pochodzenie inteligenckie może już na progu egzaminu dojrzałości stać się przeszkodą nie do pokonania. Legitymacja ZMP ma więc świadczyć o zerwaniu z burżuazyjnym, obcym klasowo rodowodem. Oczywiście, w rzeczywistości jest tylko kamuflażem.

W klasie maturalnej, w 1955 roku, Janusz wygrywa olimpiadę matematyczną dla uczniów szkół licealnych. W nagrodę zdobywa prawo wstępu bez egzaminów na dowolny kierunek studiów. Mama i ojciec nakłaniają go, aby szedł na politechnikę, wybrał wydział, na który jest najwięcej kandydatów. Przekonują, że tytuł olimpijczyka daje mu wyjątkową szansę, gwarantuje upragniony indeks mimo największej nawet konkurencji. Postanawia jednak studiować matematykę na Uniwersytecie Warszawskim. Nie ma dla niego żadnego znaczenia, że jest to jeden z tych wydziałów, na których rokrocznie jest więcej wolnych miejsc niż kandydatów, i prawie każdego chętnego na egzaminie wstępnym ciągną za uszy, aby tylko się nie rozmyślił. Składa papiery, choć do ostatniej chwili ojciec odradza: - I co ty będziesz w życiu robił z takim dyplomem? Chcesz być nauczycielem?... Zawahał się tylko nad jednym - czy zamiast matematyki nie wybrać fizyki teoretycznej? Ale tylko przez chwilę, szybko doszedł do wniosku, że wśród nauk ścisłych jednak matematyka jest ciekawsza

Zdecydowanym krokiem wkracza do królestwa liczb, tam gdzie - jak pisze Wisława Szymborska - trwa „kilkuwiekowa wspinaczka umysłów matematycznych, żeby wykrzyknąć Eureka! Po co? Matematykom i górolazom takich pytań się nie zadaje”. Indeks UW nobilituje go i pod tym względem, że już w stolicy nie czuje się jak emigrant przybyły z odległego, prowincjonalnego miasteczka, jest pełnoprawnym warszawiakiem. Dość łatwo wsiąka w społeczność studencką, nie ma żadnych kłopotów z nauką. Zachwycają go, zwłaszcza wiosną, egzotyczne drzewa, krzewy i kwiaty ogrodu botanicznego będącego otoczeniem obserwatorium astronomicznego, w którym niższą kondygnację zajmował wydział matematyki. Bodajże na drugim roku studiów matematycy przenoszą się do pomieszczeń w Pałacu Kultury i Nauki im. Józefa Stalina. To jest świetne miejsce, aby ćwiczyć wspinaczkę! Janusz często ściga się z windą i prawie zawsze... wygrywa. To bieganie po schodach wpisuje sobie jako obowiązkowy trening, jest już bowiem w środowisku warszawskich grotolazów i taterników, wie, że będzie chodził po jaskiniach i zdobywał szczyty gór, i potrzebuje do tego odpowiedniej tężyzny fizycznej.

\*

„Dusza jest rozległą jaskinią - uważał francuski filozof Maine de Biran - a głos brzmi gdzieś w głębi i przelamuje się przez rozmaite echa”. W realnej, rozległej jaskini, ale nie w takiej przeznaczonej dla turystów: z pomostami i kolorowymi reflektorami, lecz w prawdziwie dzikim zakątku wnętrza Ziemi niedostępnym dla przypadkowych przybyszów, jeszcze przez nikogo nie zgłębnionym, poznaje się jeszcze jeden stopień wtajemniczenia swej duszy.

Kiedy w jaskini gaśnie lampa, wszystko znika, tak jakbyś i ty przestał istnieć. „Taka jaskinia to nie będzie mieszkanie, w którym nieoczekiwane wyłączenie światła czyni ludzi bezradnymi. To nie będą labirynty piwnic chronione żelbetową konstrukcją... To będzie zawieszony w ciemności system korytarzy, sal, przesmyków, syfonów, czyli wypełnionych wodą kolanowych zagięć korytarza, płatanina strumieni, jeziorok i wodospadów, miejsc, w których trzeba nurkować, przejść tak wąskich, iż trzeba wypuścić z klatki piersiowej powietrze, żeby się precyzyjnie, miejsc błotnistych i suchych, galeryjek, ślepych komór, śliskich przełazów i pochylni. Teren podziemnej wspinaczki. Będzie tak ciemno, że nie dostrzeżesz własnej dłoni przed oczami, gdy zgaśnie ci latarka. Tak cicho, że szept wyda ci się krzykiem. Tak pusto i daleko od krajobrazu, który masz w wyobraźni, że dopiero tutaj odczujesz, co to jest samotność”<sup>17</sup>.

Szczerze mówiąc to Janusz zaczyna chodzić po jaskiniach, aby pokonać w sobie lęk przestrzeni. Tkwił w nim bowiem strach sięgający zdarzenia, które przeżył, gdy miał siedem lat. Ojciec zabiera go w Tatry, bo wtedy z Przemyśla „jeździ się w Tatry, Beskidy, w Karkonosze, nie w Bieszczady. Pejzaż podbieszczadzki nie był znajomy, tak jak niczyje były soczyście zielone Góry Słonne. Przemyślanie nawet przed wojną bardziej znali Gorgany i głęboką Huculszczyznę niż bliżej położone Bieszczady”<sup>18</sup>. Ojciec poprowadzi go najpierw na Giewont, później na Świnicę. Na szycie Giewontu straszliwie się wyląkł, kurczowo przywiera do kamienia, na którym przysiedli, z przerażeniem patrzy w przepastną otchłań, która jawi się od strony Zakopanego i jakby na niego czyha.

Podczas tej pierwszej wyprawy, a właściwie spaceru z ojcem w góry odkrywa potęgę przyrody. Wrażenie jest tak silne, że od tej pory nie przestaje myśleć o górach, imponują mu ludzie, którzy wspinają się na najwyższe szczyty, sięga po książki o ich niesłychanych wyczynach. Tak bardzo ciągnie go w góry, że za własne pieniądze zarobione korepetycjami jeszcze przed maturą wyjeżdża w Tatry, żeby zobaczyć tych „nadludzi”, którzy się wspinają. Samotnie wybiera się w góry i utwierdza, że lęk przed wysokością jakoś daje się pokonać. Serio traktuje szkolne zajęcia z wychowania fizycznego, które poprawiają potrzebną w górach kondycję, gra w piłkę nożną, uprawia gimnastykę, a za namową zwariowanego na punkcie lekkoatletyki profesora od wuefu pilnie trenuje biegi na średnich dystansach i narciarstwo. Nie jest szybki, ale za to ogromnie wytrzymały, im dłuższa trasa wyścigu, tym osiąga lepszy wynik na mecie.

Interesując się wszystkim, co dotyczy gór, spotyka się w literaturze z określeniami - „speleologia” oraz „tatarnictwo jaskiniowe”. Do tego stopnia te nowe terminy są intrygujące, że odnajduje w Warszawie grotolazów i zapisuje się na kurs dla początkujących, organizowany pod Częstochową. Pomyślnie kończy go pod okiem instruktora Jerzego Iwanickiego.

Jest już połowa lat pięćdziesiątych. Magiczny czas. Dla jednych to „ryczące 50-tki”, „lepsze i najlepsze lata, kiedy do nas się uśmiechnął Bóg”, czas otuchy i przyrzeczeń, które uderzały do głowy, dla innych - jedynie pustych obietnic i zmiany dyżurnego tematu, jak „zmiana różowych kałesonów na niebieskie, ale dalej się chodzi w gaciach”. Dla wszystkich jednak czas osobliwy, gdy „po jednej stronie mówiło się „dusza”, po drugiej „jednostka”<sup>19</sup>. W październiku 1956 roku, miesiącu okruczeństwa prawdziwego życia, student drugiego roku wydziału matematyki UW wraca do domu z Zawiercia, a ściślej z eksploracji skałek i jaskiń Jury Krakowsko-Częstochowskiej. W przedziale pociągu znajduje pozostawioną przez kogoś „Trybunę Ludu”. Na pierwszej stronie przemówienie Wiesława Gomułki wygłoszone na VIII Plenum KC PZPR:

„Wszystko, co dzisiaj oceniamy jako wypaczenia i zniekształcenia w naszym życiu w okresie ubiegłym, nie mogło nie wstrząsnąć do głębi całą partią, całą klasą robotniczą, całym narodem. Po kraju rozlały się różne prądy, lecz najpotężniejszą rzeką popłynęło hasło demokracji naszego życia, żądania zlikwidowania systemu, który nazywamy kultem jednostki. Należy stwierdzić, że kierownictwo partii nie zawsze nadążało na czas, aby wraz z całą partią stanąć na czele tego zdrowego ruchu i pokierować nim (...)

Droga demokratyzacji jest jedyną drogą prowadzącą do zbudowania najlepszego w naszych warunkach modelu socjalizmu. Z tej drogi nie zejdziemy i będziemy się bronić wszystkimi siłami, aby nie dać się z niej zepchnąć. (...) Nie pozwolimy wyrządzić szkody żywotnym interesom państwa polskiego i sprawie budowy socjalizmu w Polsce (...)

System kultu jednostki i wszystko złe, co z niego wynikało, należą do bezpowrotnej przeszłości<sup>20</sup>”.

- Rany boskie! - ciśnie mu się na usta - przecież o jakiejś całkiem nowej Polsce tu czytamy!... Oczywiście śledził podmuchy politycznej, postalinowskiej odwilży, zaczytywał się w „Po prostu”, ale był jakby z dala najważniejszych spraw. Wszystko, co dotyczyło burzliwych wydarzeń polskiego Października, rozgrywało się na Politechnice Warszawskiej. Ledwie echo docierało na Uniwersytet Warszawski na wydziały humanistyczne na Krakowskim Przedmieściu, ale już nie do oddalonych matematyków w Pałacu Kultury. Przy tym październikowy ferment toczy się przede wszystkim w partii. Janusz na studiach już się nie zapisuje do żadnej organizacji, raczej też nie uczestniczy w życiu akademickim, w ogóle nie bywa w klubach studenckich i STS-ie, stroni od młodzieżowej „warszawki”, nie szlifuje utartego szlaku „Fukier”- „Kameralna”, nie uczestniczy w innych zebraniach niż w Speleoklubie, którego członkowie chodzą własnymi ścieżkami i tworzą własny, bardzo hermetyczny krąg towarzyski. Nowy dla niego świat jaskiń oraz związane z nim środowisko tak silnie go wciąga, że niemal bez reszty wypełnia czas wolny od nauki.

Janusz Rzepecki, którego „jaskiniowcy” tytułują z estymą „panem baronem” albo też całkiem zwyczajnie mówią o nim per „Rzepa”, poznaje Janusza właśnie w Speleoklubie: - To organizacja trochę kontestująca tamten czas, w jakimś stopniu stanowi alternatywę dla niezmiernie wówczas upolitycznionych organizacji młodzieżowych. Nasza opozycja wyrażała się pewną negacją otaczającej rzeczywistości, nic ponadto. Wielu z nas miało złe wspomnienia z nudnych i wrednych zebrań w ZMP, uczestnictwa w przymusowych brygadach Służby Polsce albo z czerwonego harcerstwa, w którym przede wszystkim nakazywano zwalczanie wrogów klasowych. Czuliśmy się tam zwyczajnie obco.

Ludzie lgną do „jaskiniowców” na ogół z ciekawości, w poszukiwaniu innego świata niż ten oficjalny, do szpiku zakłamanym i pełnym tandetnego blichtru. Są młodzi, pełni energii i pomysłów, chcą się realizować poza rygorami narzucanymi w epoce budowy zrębów socjalizmu. Odsiew jednak jest duży, zostaje nie więcej niż co dziesiąty kandydat na grotolaza i pełnoprawnego członka grupy. Ci, którzy są w Speleoklubie to, można powiedzieć, wyłoniona w rezultacie naturalnej selekcji wyjątkowo dobrana gromada ludzi scementowanych przyjaźnią na poziomie super solidarności, oddanych sobie bezgranicznie w najtrudniejszych okolicznościach. Organizują wyprawy do jaskiń, ale też potańcówki i wieczorki towarzyskie we własnym gronie. Dla nich istnieje wyraźny podział: Speleoklub i reszta świata, który tylko na tyle ich ciekawi, na ile to jest konieczne.

„Pan baron” interesuje się nie tylko wnętrzem Ziemi, ale może nawet w większym stopniu techniką samochodową. Marzy mu się – wtedy, gdy o otrzymaniu paszportu można było tylko sobie śnić – praca w ... ośrodku doświadczalnym armii Stanów Zjednoczonych. Bo dowiedział się, chyba z Radia „Wolna Europa”, że tam testuje się najnowsze modele pojazdów. Jest głównym mechanikiem samochodowym w Speleoklubie, naprawia przydzielone z demobilu dwa auta klubowe, pomaga kolegom, którzy raczej nie mają większego pojęcia o budowie silników, stale dłubie przy swoim, mocno sfatygowanym motocyklu.

- „Rzepa” - dodaje Janusz Onyszkiewicz - jest entuzjastą techniki i technologii, nieocenionym uczestnikiem największych wypraw jako fachowiec, który potrafi zapanować nad całym oprzyrządowaniem, nie tylko środkami transportu, ale też radiostacjami, masztami, dosłownie całym sprzętem technicznym. Nasza znajomość szybko przerodziła się w silną i trwałą przyjaźń.

Rzepecki nie miał kondycji, nie należał do żadnej czołówki jaskiniowców. Ale chodzenie na wyprawy speleologiczne i bycie w klubie jest dla niego niezwykle ważnym czasem. - Rzućmy na całe przyszełe moje życie, na życie Janusza i naszych kolegów.

Również Piotr Wojciechowski, pisarz, będąc studentem wydziału geologii Uniwersytetu Wrocławskiego, poznaje Onyszkiewicza dzięki jaskiniowej pasji. Należy do sekcji wrocławskiej grotolazów przy Akademickim Klubie Turystycznym, zorganizowanej, gdy Speleoklub warszawski działał już od roku i miał się czym pochwalić. - Warszawiacy byli naszymi pierwszymi instruktorami. Wspólne chodzenie po jaskiniach dawało radość odkrywania i dostarczało wzruszenia, w jakimś sensie bowiem tworzyliśmy sobie kawałek własnej, tylko naszej Polski. Zgodnie z tradycją odkrywanych jaskiniom nadawaliśmy nazwy, tak na przykład komin w Jaskini Czarnej nazwaliśmy Kominem Węgierskim, i nikt nie mógł do tego się wtrącać. Te nazwy zostały na zawsze. Nie miała do nas dostępu polityka ani pleniąca się wszędzie propagandowa nowomowa. Otaczała nas jakby nietykalna przestrzeń. Bo ludzie gór, jak matematycy, tworzą swoiste mafie międzynarodowe, a grotolazi to ludzie posiadający jeszcze jeden, bardzo ważny stopień wtajemniczenia. Wśród grotolazów działających zespołowo szybko rodzą się przyjaźnie jeszcze silniejsze niż wśród taterników. A przy tym każda grupa jaskiniowych badaczy ma inny, wynikający z własnych i na ogół niepowtarzalnych doświadczeń styl tej przyjaźni. Czasem te różnice najbardziej dostrzega się w sferze intelektualnej, czasem na poziomie kabaretowym, a bywa też, że w kategoriach alkoholowych. Każda grupa toleruje i wchłania jedynie tych ludzi, którzy do tego stylu pasują, innych nie potrafi zaakceptować i są zwyczajnie odrzucani. Od samego początku wrocławskich i warszawskich grotolazów łączyła wspólnota stylu. Na pierwszym spotkaniu, w atmosferze pełnej swobody przy ognisku, warszawiacy zaśpiewali „Marsz Mokotowa”: „Ten pierwszy marsz, jak dzień po dniu /w poszumie drzew i w sercach drzy /bez zbędnych skarg i próżnych słów /to nasza krew i czyjeś łzy”... Był rok ‘57, dwanaście lat minęło od Powstania Warszawskiego, Warszawę i Wrocław jeszcze wypełniały rumowiska gruzu. To nie było takie zwykle sobie podśpiewywanie, niosło w sobie wzruszenie nawiązujące do powstańczej tradycji, manifestowało niezależność i wolność.

Środowiska grotolazów wymykały się spod kontroli wszechobecnej bezpieki. Kapusia dawało się „wkręcić” właściwie wszędzie, ale na pewno nie w grupę jaskiniowców. W ciasnym, błotnistym, czarnym jak kir korytarzu jaskini kończą się wszelkie pozory i udawania. Obowiązują sprawdzone standardy moralne. Takich cech ludzkiej natury jak odwaga i uczciwość, draństwo i strach, obojętność i egoizm przecież w sytuacjach wyjątkowych lub ostatecznych nie daje się ukryć, wychodzą na jaw bezwzględnie i w całej okazałości. Obowiązują po prostu pewne standardy moralne. Kto chciałby „służbowo” chodzić po jaskiniach, od razu by uwierał jak jakieś złośliwe, dokuczliwe ciało, jak obcy gen, który dostał się w sprawny układ immunologiczny zdrowego organizmu grupy.

W najgorszych latach te środowiska czuły się całkowicie bezpieczne, w grupie wszyscy wiedzieli o sobie więcej i lepiej się znali niż nawet w najlepszej rodzinie wie o sobie rodzeństwo.

Piotr Wojciechowski uczestniczy w jednej z pierwszych wspólnych wypraw wrocławskich i warszawskich grotolazów do jaskini Miętusiej, największej w Polsce nim odkryto Śnieżną. Jak zawsze najtrudniejszy etap to ostatnia faza wyprawy, gdy już wszyscy padają ze zmęczenia, brakuje czasu i nawet jedzenia, a jeszcze część sprzętu jest w grocie. Wojciechowski i Onyszkiewicz są odpowiedzialni za sprzęt, który według sumiennie przestrzeganej prawa

jaskiniowego można porzucić jedynie w razie wypadku, gdy trzeba ratować ludzi. Jest mroźny poranek, biorą wielkie sanie podobne do toboganu i z Kir, u wylotu Doliny Kościeliskiej, idą do Doliny Miętusiej, potem przez las Wantule do wylotu jaskini. Wchodzą pod ziemię, wyciągają i ładują na sanie ciężkie, oblepione gliną wory ze sprzętem, a następnie ciągną z wielkim trudem po puszystym, głębokim śniegu. Są już w połowie drogi, mają za sobą Polanę Zahradziska, gdy spostrzegają brak jednego worka, musieli go zgubić. Obaj są fizycznie wykończeni, głodni. Janusz ma oczy czerwone jak królik, bo na dodatek dolega mu zapalenie spojówek. Chwila wahania trwa jednak tylko ułamek sekundy, Janusz postanawia sam wrócić po zgubę.

- Byłem mu za to niezmiernie wdzięczny. Zdałem sobie wtedy sprawę, że on jest twardziellem nad twardzielami - komentuje to zdarzenie sprzed lat Piotr Wojciechowski.

Dla tego twardziela, który, jak bohater pieśni Wysockiego, „nienawidzi fatalnego końca, nie lubi, kiedy los śmieje się w nos, nie znosi pory roku, dnia, miesiąca, gdy kością w gardle własny staje głos”, w chodzeniu po jaskiniach najbardziej pociągająca jest tajemnica. A do tego królestwo Hadesu to chyba ostatnie miejsce, gdzie można jeszcze odkryć dziewiczy teren. Nim ludzie weszli na szczyt Everestu, wiedzieli doskonale, jak wygląda ta góra, ile ma metrów licząc dokładnie od poziomu morza. Naturalnie mogli spodziewać się niespodzianek, że gdzieś jest stromiej i krucho, czego na zdjęciach nie widać. Ale - można powiedzieć - tylko tyle było przed nimi niewiadomych. A w jaskini przecież za każdą pokonaną przeszkodą: wodospadem, zaciskiem czy progiem czai się kolejna wielka niespodzianka, nie widać, czy korytarz jeszcze się ciągnie tylko pięć metrów, a może pięć kilometrów...?. Nie da się przewidzieć, bo nigdy nie ma się przed sobą prostej, dobrze widocznej drogi. Najczęściej są kręte uliczki jak w mieście albo labirynt, w którym pośród niezliczonych galerii, korytarzy i kominów nie ma łatwej do przewidzenia trasy.

Speleoklubie, Speleoklubie,  
czy twą zagadkę wreszcie rozdlubię?  
Czy ją rozgryzę, czy dowiem ja się,  
po co w jaskinie naród tak pcha się...

Cicho, cicho, cichuteńko  
kapią krople w grotach,  
na jaskinie pomaleńku  
bierze mnie ochota...<sup>21</sup>

Janusz zaczyna chodzić po grotach jeszcze w epoce lin szalowych, ale już o zmierzchu tradycyjnych technik eksploracyjnych z epoki pierwszych polskich eksploratorów - braci Zwolińskich: karbidówek, drabin, kopania i innych metod z pogranicza górnictwa. W połowie lat pięćdziesiątych grotolazi wchodzą do jaskini i wychodzą przy pomocy tylko jednej liny, ze specjalnie zawiązanymi węzłami, ruchem gąsienicy posuwają się po niej do góry bądź w dół. Podstawowym sprzętem przy pokonywaniu rozmaitych przeszkód, na przykład kominów, są drabinki z cienkich stalowych linek i aluminiowych szczebli rozmieszczonych po trzy na metr. Aby takie duraluminiowe rurki „dostać”, potrzeba nieprawdopodobnych znajomości oraz tzw. dojść i nieprzeciętnych umiejętności zjednywania sobie sympatii różnych ważnych osób. Janusz decyduje się aż na rozmowę z samym ministrem. Jak przy zdobywaniu jaskini cierpliwie pokonuje ważne sekretarki, wędruje kilometrami po puszytych dywanach, ociera się o rozłożyste palmy i wreszcie przebija się zwycięsko: staje przed obliczem ministra i przedstawia problem. Minister nawet nie daje mu dokończyć, zniecierpliwiony pyta: - To ile wagonów tych rurek w końcu wam potrzeba?. - Dwadzieścia kilo... - odpowiada Janusz.

Klubową, najczęściej odwiedzaną jaskinią warszawskich grotolazów jest Miętusia, uważana wtedy jeszcze za najgłębszą z ponad sześciuset jaskiń w Tatrach: 220 metrów. Daje się do

niej chodzić tylko zimą, ponieważ po pierwszych 200 metrach napotyka się syfon, który latem jest na ogół zalany i nie można przedostać się do dalszych partii jaskini. Zwykle więc latem warszawiacy się szkolą albo uprawiają wspinaczkę w górach, póki na początku lat sześćdziesiątych nie odkrywają Śnieżnej, „takiej grotty, gdzie fartów jest więcej niż sto...”, która okazuje się nie tylko najgłębszą w Polsce, ale czwartą na świecie: 640 metrów, ponad 22 km wszystkich ciągów – studni, kominów. Pionowa, trudna, bo szalenie śliska. Poznawanie kolejnych odcinków wprowadza odkrywców od razu na najbardziej prestiżowe salony eksploratorów, wchodzą do światowej czołówki speleologów.

Śnieżną zdobywają niczym Everest: zakładają obozy pośrednie, jak podczas wypraw w najwyższych górach, atakują falami, to znaczy zbiorowo, ale nie wszyscy naraz: planują cały ruch poszczególnych grup transportowych i ubezpieczających, dochodzą do jakiegoś miejsca, zakładają obóz, wracają. I tak schodzą coraz bardziej w dół, coraz głębiej. W newralgicznych punktach, aby sobie zabezpieczyć powrót, zostawiają na posterunku asekuracyjnym po jednym uczestniku wyprawy. Grupa więc topnieje, aż z całej drużyny szturmowej zostaje tylko Onyszkiewicz. Sam. – Schodzę jeszcze głębiej i jestem przed ciasną studnią, mniej więcej ośmiometrową, dalej widzę korytarz, ale już nie mam ani jednego metra liny, żeby zjechać w dół... Może mógłbym zejść, jakoś się powoli zsunąć, ale zdaję sobie sprawę, że gdybym później nie potrafił wyjść o własnych siłach, to przecież nikt mi nie będzie mógł pomóc...Bo w jaskini jest inaczej niż w górach, gdzie zawsze, nawet podczas samotnej wspinaczki na ścianie, jest poczucie możliwości kontaktu z innymi, choćby krzykiem albo znakiem świetlnym. Tu wystarczy minąć trzy zakręty i już wpada się w absolutną izolację, kompletną ciemność i świat odcięty od wszelkich dźwięków zewnętrznych, tylko słychać rytmiczne kapanie kropli i cichy szmer wody. Trzeba baczyć na wszelki, choćby nawet najdelikatniejszy ruch powietrza. Jeśli bowiem jest przewiew, to sygnał, że dalej ciągnie się większa przestrzeń i można podjąć próbę dotarcia do nowych korytarzy. Ale bywa też, że fragment jaskini jest całkowicie zamknięty, wtedy trzeba być jeszcze bardziej czujnym, bo najzwyczajniej może wkrótce zabraknąć tlenu do oddychania.

W grotach czasem wystarczy odległość paru metrów, aby już nie można w żaden sposób dostać się do współuczestnika wyprawy, a nawet przyjść mu z pomocą w razie groźącego niebezpieczeństwa. Tak bywa na przykład w przypadku nieszczęśliwego zaklinowania się w coraz węższej szczelinie, ale na początku jeszcze dość szerokiej, złudnie kuszącej, że dalej się rozszerzy i doprowadzi do większej przestrzeni. Zakleszczonego grotolaza jest niezwykle trudno wyciągać, łatwo podrapać go w piętę, a nie da się uratować mu życia. Bywa niestety, że zaklinowany umiera z wyziębienia albo z braku powietrza i nikt nie jest w stanie mu pomóc.

Pod ziemią człowiek nieporównywalnie jest bardziej samotny niż w górach, gdzie jednak panuje różnorodność otaczającego świata: słońce zachodzi, pojawiają się chmury, pada śnieg, gwiazdy świecą, sytuacja nieustannie się zmienia. I grotolaz myśli o tym wszystkim... Dać się uwieść jaskiniowej tajemnicy czy odrzucić ryzyko i zawrócić...?

Janusz wycofuje się, ale i tak wyprawa kończy się wielkim sukcesem - pierwszy raz w Polsce mają za sobą zejście aż na głębokość pięciuset metrów w głąb Ziemi!

W 1961 roku Janusz Onyszkiewicz jest kierownikiem międzynarodowej ekspedycji do Śnieżnej. Do pomocy angażuje kolegę z lat szkolnych, Andrzeja Zajączkowskiego, który po ukończeniu wydziału rehabilitacji na AWF-ie pracuje w Szpitalu Chirurgii Kostnej w Konstancinie u profesora Mariana Weissa. Wspina się trochę w Tatrach, ma wystarczające pojęcie o ortopedii i traumatologii, aby zastąpić lekarkę, od której przecież, jako kobiety, nie można wymagać zejścia aż 600 metrów pod ziemię. I tak od razu od udziału w wielkiej międzynarodowej ekspedycji zaczyna się wielka przygoda Andrzeja z jaskiniami, a później górami.

Ale Śnieżna wciąż uparcie broni swej tajemnicy. Janusz jednak jest już przygotowany, że pójdą z kolegami przynajmniej krok dalej niż w czasie poprzedniej wyprawy. Udaje się poko-

nać jeszcze 50 metrów, dojść do końca syfonu i zjechać aż na dno jaskini. W świetle speleologów sensacja: w Polsce jest jaskinia głęboka na 600 metrów! Zapisują na swoim koncie zdobycie kawałka Polski, na którym przed nimi nie stanęła ludzka stopa! Mają poczucie absolutnych liderów.

„Lepiej życie stracić w cnocie, niżli cnotę stracić w grocie” - żartują jaskiniowcy. Nie idzie, oczywiście, o zachowanie wstrzemięźliwości, lecz wskazanie dyskomfortu, na jaki człowiek się naraża pod ziemią: wilgotność prawie stuprocentowa, temperatura bliska zera, zimno i mokro, a do tego zawsze ciemno.

Janusz Onyszkiewicz: - Ekspedycja speleologiczna jest przedsięwzięciem niesłychanie zespołowym. Każdy ma dokładnie przypisane miejsce. Nikt nie usłyszy: jesteś za słaby, odpadasz. Nie ma więc żadnego pędu, żeby koniecznie być lepszym. Bardzo szybko tworzy się zwarta grupa, która - jeśli użyć określenia Jacka Kuronia - jest „grupą całościową”, sobie wystarczającą pod każdym względem: razem chodzimy po jaskiniach, wspólnie wybieramy się do filharmonii, gramy w karty, uczymy się języka angielskiego, tylko dla siebie organizujemy potańcówki. Myśmy wtedy po prostu funkcjonowali cały czas w swoim własnym, bardzo wąskim gronie, które się znało na wylot, z detalami. Zналиśmy dobrze swoje poglądy, przyzwyczajenia, reakcje. Praktycznie nie mieliśmy żadnych potrzeb, których nasza grupa nie byłaby w stanie zaspokoić. Nic przeto dziwnego, że ukoronowaniem tych zażyłości były nierzadko zawierane małżeństwa.

Andrzej Zajączkowski: - Ludzi gór i jaskiń towarzysko łączył Speleoklub. Aby lepiej opanovać obce języki, wyznaczaliśmy sobie dni: francuskie poniedziałki, angielskie wtorki. Czwartki były zarezerwowane dla spraw klubowych. Latem wyjeżdżaliśmy na wyprawy w Jurę Krakowsko-Częstochowską, zimą organizowaliśmy potańcówki. Widywaliśmy się dosłownie codziennie. Speleoklub zajmował wyjątkowe miejsce, rzadko bywaliśmy w innych środowiskach, bo poza klubem życie towarzyskie dla nas nie istniało. Znakomicie czuliśmy się w swojej grupie i cały czas sobie poświęcaliśmy. Łączyła nas naprawdę autentyczna, bardzo głęboka przyjaźń.

Ulubionym celem wspólnych wyjazdów jest Zakopane, miejsce szczególne - „tygiel ludzi osobliwych charakterów, wielkich pasji, różnych wydarzeń, prądów, trendów rodem z całej Polski. Specyficzną atmosferę umacniała obecność licznych artystów. Były też piękne, stare przedmioty i mechanizmy, jak na przykład dziewiętnastowieczna maszyna do mielenia kawy w delikatesach. Jeździły tu jako taksówki superluksusowe samochody produkowane w latach dwudziestych (Bugatti, Dedion-Bouton, Delaney, Packard, Hispano-Suiza, Renault, Isotta-Fraschini, Panhard-Levassor, Tatra, Dusenberga)”<sup>22</sup>. Nawet w kawiarni „Europejska”, mieszczącej się w domu braci Zwolińskich na Krupówkach, oazie lepszego świata na tle szarzyzny komunizmu, jednym z najbardziej wykwintnych i reprezentacyjnych lokali Zakopanego, gdzie wieszaki w szatani uginały się od futer, pelis, kozuchów i lisich czap, brak obowiązujących „godnych” strojów zazwyczaj uchodził grotolazom na sucho. Ale do „Europejskiej” chodzili rzadko. Spotykali się u Taty, Edwarda Winiarskiego, rozmiłowanego w jaskiniach i górach. Choć nie miał technicznego wykształcenia z mistrzowską biegłością wykonywał prace należące do kilkunastu chyba zwodów. Jego warsztat i dom przy Krupówkach stanowił etap każdej ich wyprawy, był klubem i drugim domem. A powiedzenie Taty: „ignorantowi, krucyfiks, niczym nie zaimponujesz” pasowało do ich sposobu myślenia<sup>23</sup>.

Wśród wspomnień z tamtych lat została też pieśń, która im wówczas towarzyszyła. Śpiewali na melodię „Criminal tango” zaczerpniętą z popularnego filmu „Rififi”:

Znacie knajpę u “Harnasia”?

Podły lokal, lecz przy drodze,

Tam przepita młodość nasza,

lecz nie szkoda nam tych lat.

Wielu z nas się w świat wyniosło,

a nie jeden i w zaświaty.  
Tobie może gorzej poszło,  
boś zapomniał, kto twój brat.  
Speleotango i puchar wina,  
speleotango - wspomnień lawina.  
Tango kościeliskie,  
tango małałackie,  
speleotango, tango i już...

Janusz Rzepecki: - Tworzyliśmy coś na wzór pierwotnej hordy ludzkiej, czyli samowystarczalnej grupy społecznej, która całkiem dobrze egzystowała bez kontaktów z otoczeniem. Nie mniejszą rolę niż eksploracja jaskiń spełniało życie intelektualne. Więzi klubowe przenosiły się na sprawy codzienne i prywatne. Do tego stopnia, że jeśli ktoś z naszego grona zawierał związek małżeński z partnerką czy partnerem spoza Speleoklubu, uważaliśmy, że jest osobą straconą. Wybaczyliśmy, bo przecież serce nie sługa, ale traktowaliśmy taki wybór jako poważny błąd życiowy...

Janusz Onyszkiewicz: - W zamkniętym gronie Speleoklubu poznałem Wiškę. Bardzo mocna osobowość, pierwsza kobieta, która zeszła na dno jaskini Śnieżnej.

Piotr Wojciechowski: - Była postacią niezwykle barwności, pełną fantazji.

Anna Bogobowicz: - Miałam 15 lat, gdy Janusz z Wisią zabrali mnie po raz pierwszy w Tatry. Później już jeździłam na wszystkie obozy speleologiczne, dobrze poznałam całe towarzystwo. Byłam jeszcze bardziej nieśmiała od Janusza, a do tego pełna kompleksów z powodu brata, który przecież zawsze był nie tylko dla mnie wzorem ucznia, studenta, kolegi. Bardzo się mną zajmował i opiekował, wszędzie ze sobą zabierał, na wszystkie spotkania, wszelkie imprezy towarzyskie, nie wyłączając Sylwestra, które były cudowne, bo miały na gadaniu o wielu wspaniałych sprawach i były czysto intelektualną rozrywką. Świetny świat, wspaniałe przeżycia. Poznałam mnóstwo bardzo sympatycznych, na ogół starszych ode mnie osób, ale oni przyjmowali do swojego grona wszystkich i traktowali mnie po partnersku. Bardzo mi te kontakty pomogły, odblokowały mnie. Nawet przeszłam kurs speleologiczny. Tamten czas zbliżył mnie z bratem, w jakiejś mierze dzięki Wisi, którą też wszyscy lubili, tak jak Janusza. Była bardzo mądrą osobą. Na pewno Januszowi imponowała, potrzebował takiej towarzyszkę, bo on - przy wszystkich swoich zaletach - też był nieśmiały. Myślę nawet, że to ona zrobiła ten pierwszy krok w kierunku bliższej znajomości z moim bratem.

Andrzej Zajączkowski: - Wisia była wspaniałą, zwyczajnie dobrą dziewczyną, przez wszystkich wręcz uwielbianą. Nie zawaham się powiedzieć, że wszyscy ją kochaliśmy za jej wyjątkową osobowość i silny charakter. Wyszła za Janusza w 1963 roku.

Witosława Boretti-Szumańska pochodziła z rodziny włoskiej, której romantyczne losy na zawsze związały się z Polską i pozostawiły na tej ziemi trwałe ślady. Prapradziad Witosławy - Józef Boretti, urodzony w 1746 roku w Lombardii w Inzago<sup>24</sup>, był jednym z tych licznych majstrów północno włoskich, co począwszy od XVI wieku osiedlali się w Polsce i dali się poznać jako przedsiębiorczy budowlani. „Jak w rodzinach Bellotich czy Ceronich, Fontanów czy Soloarich - pisze profesor Władysław Tatarkiewicz - zawód budowniczego został dziedziczny również w rodzinie Borettiego. Potomkowie tego Włocha byli już Polakami (...) W archiwach z tamtych czasów pełno jest wzmianek o nim (...) miał udział niemały w architekturze warszawskiej z przełomu XVIII i XIX wieku; był wykonawcą, nie projektodawcą, przedsiębiorcą, nie architektem, majstrem, nie artystą”. Przybył za panowania i na prośbę Stanisława Augusta, kiedy to okazało się, że Kolumna Zygmunta, o której legenda żyjąca wśród ludu warszawskiego mówiła, że w momentach groźnych dla kraju i stolicy stojący na niej brązowy król wznosi do góry swoją szablę, wstrząsana tyłoma burzami wojennymi i narażona na wpływy atmosferyczne wymaga reperacji. Komisja, wyznaczona przez prezydenta

miasta, orzekła, „że Kolumna Zygmunta wyciosana z marmuru chęcińskiego, będącego tak zwanym zlepem, już to przez zlasowanie się w niej części wapiennych, już to przez ciosy od kul działowych i karabinowych w dwukrotnej walce ze Szwedami pod nią stoczonej, mocno uszkodzona została i ma na sobie wielkie skazy i szczyrby, niewróżące jej długiej trwałości”. Odchylenie od pionu górnej części pomnika postrzeżono w 1808 roku, „wówczas to Jan Łuszczewski, minister spraw wewnętrznych, obmyślił był fundusz na jej naprawę, kosztorys wynosił 12 826 złp. Konserwację kolumny przeprowadzono jednak dopiero w 1810 r. Zniszczony cokół posągu, o którym pisał Juliusz Słowacki: „.. Jest u nas kolumna w Warszawie /Na której usiadają podróżne żurawie /Spotkawszy jej liściane czoło śród obłoka / - Taka, zda się, samotna i taka wysoka”..., wymieniono wtedy na nowy, wyreperowano impost oraz stopnie. Ogólny nadzór nad naprawą mieli architekci: Jakub Kubicki, Hilary Szpilowski i Karol Schultz; bezpośrednio wykonanie powierzone zostało Józefowi Borettemu. Nazwiska te, jak również datę ukończenia konserwacji głosił napis umieszczony na blasze impostu: „Naprawa ta pod zarządzeniem Jakóba Kubickiego Budowniczego Generalnego Xięstwa Warszawskiego i Budowniczych Departamentowych Hilarego Szpilowskiego i Karola Schultz przez Józefa Boretti Entreprenera dnia 24 listopada 1810 R. wykonana jest”<sup>25</sup>.

Józef Boretti, protoplasta rodziny budowniczych, do końca swego stutrzyletniego żywota podpisywał się „Giuseppe B”. Syn jego, Feliks Jan Marja, obrał zawód ojca i awansował na etatowego budowniczego przy pałacach cesarskich Łazienek i Belwederu<sup>26</sup>. Wnuk, też Józef, był technikiem budowniczym.

Wiśka, jak ją po prostu nazywają przyjaciele, kończy wydział geologii na Uniwersytecie Warszawskim W 1966 roku doktoryzuje się i rozpoczyna pracę w Katedrze Geologii Inżynierskiej UW. Jest w światowej czołówce kobiecej speleologów. W kraju niewielu mężczyzn może jej dorównać.

Bernard Uchmański tak ją zapamiętał: - W naszym środowisku była postacią wyjątkową, a wynikało to nie tylko z ogromu jej dokonań speleologicznych, których zresztą nie lubiła eksponować. Wiśka zjednywała sobie powszechną sympatię i przyjaźń przede wszystkim bezpośredniością, ujmowała pogodnym usposobieniem, zawsze gotowa spieszyć z pomocą w każdej sprawie. Lubiliśmy przychodzić do jej domu<sup>27</sup>.

Mieszkanie Wiśki i Janusza, dwa małe pokoje z kuchnią na jedenastym piętrze, na Polnej, było jak hotel. Ciągłe przewalały się tłumy ludzi, stale u nich ktoś nocował, a nawet przemieszkiwał. Bywało, że pokodem spało po dziesięć osób, wtedy i balkon był zajęty. Gdy jeden z kolegów złamał nogę, to się u nich się kurował i z nogą w gipsie leżał na balkonie, głośno komentując z nudów ruch uliczny. To były strasznie cygańskie czasy...

Z gościnności Wiśki i Janusza korzysta Piotr Wojciechowski, który przyjeżdża z Wrocławia na studia dziennikarskie na UW. - Pisałem wtedy - pamięta - książkę „Czaszka w czasie”. Pierwsze stronicie wystukiwałem na maszynie Onyszkiewicza. Pewnego dnia, gdy wróciłem z wykładów, zauważyłem, że pod moją nieobecność przybyła cała jedna strona!... To Wiśka mi dopisała dalszy ciąg, doskonale wchodząc w moją stylistykę, a nawet bardzo trafnie wymyśliła i wprowadziła nową postać.

Zawsze można było do nich przyjść, uprać koszulę, zjeść. Janusza nazywaliśmy łagodnym blondynkiem. Był naszą ostoją. Czasami próbował nam coś tłumaczyć z zawilosci matematyki, co przyjmowaliśmy dość anegdotycznie, bo dowiadaliśmy się o kuli z uszami i butelce, która się mieści w swojej własnej szyjce, otwierał przed nami dziwne przestrzenie. „Onyszkiewiczówka” to był otwarty, szalenie wszystkim przyjazny dom, który - jak to określaliśmy - świadczył usługi spalnicze. Obowiązywał uroczy regulamin podejmowania gości, z wyraźnym podziałem na kategorie. I tak zaliczani do najważniejszej, pierwszej kategorii korzystali z przywileju spania w małżeńskim łóżu gospodarzy oraz śniadania z całym ceremoniałem podawanego do łóżka... Ci, którzy mieścili się w najniższej hierarchii najczęściej, z braku już

miejsca w przepelnionych pokojach, spali na balkonie we własnym śpiworach i na własnym podściele. Mnie się zawsze jakoś udawało plasować w okolicach stanów środkowych.

„Rzepa”, który blisko siedem lat mieszkał razem z Wisią i Januszem na Polnej, oferował całą gamę usług spalniczych: od klasy „ekstra lux”- dom serwował wówczas absolutnie wszelkie dogodności, aż po klasę „odpór spalniczy” - spanie na balkonie. - Wiśka przygarnęła mnie na rok przed ślubem z Januszem. Moja sytuacja bytowa była nikła, bo kiedy miałem niespełna 20 lat, zbuntowałem się i wyprowadziłem z domu od rodziców. I właściwie od tamtej pory, przez lata studiów na wydziale technologicznym Politechniki Warszawskiej, nie miałem swoje kąta. Wiśka była starsza ode mnie i rozumiała moje zawirowanie losu. Była osobą szczególną, nadzwyczajnie wybitną, o olbrzymiej energii i samodyscyplinie, niespotykanych umiejętnościach współżycia z innymi ludźmi, drugiej o tak wspaniałych walorach nigdy już w życiu nie poznałem. Stała się też katalizatorem naszej nadzwyczajnej męskiej znajomości z Januszem. Wprawdzie znaliśmy się znacznie wcześniej, ale nie załapaliśmy się szczególnie mocno, póki nasze losy się tak potoczyły, że życie nas związało w Onyszkiewiczówce. Bardzo wiele czynników sprawiło, żeśmy się zbliżyli - jednakowe poczucie humoru, posługiwanie się tym samym slangiem, ale najważniejsze, że rozumieliśmy się właściwie bez słów, mieliśmy identyczne poglądy na wiele spraw i myśleliśmy niemal tak samo. Oczywiście, u podstawy naszej przyjaźni była ciężka szkoła życia wspólnie zaliczana w jaskiniach. Powszechnie wiadomo, że jak się razem dostaje mocno w tyłek, to stajemy się sobie bliżsi.

Lubili zabawiać się grą jedną lub dwiema taliami kart, zwaną „żurko”. To oryginalny spektakl, obliczony wyłącznie na zaintrygowanie, oszołomienie i przyciągnięcie nieświadomych tej tylko „na niby” gry widzów, których łatwo było wciągnąć do zabawy w schroniskach, na wyprawach, w pociągu. Takiemu kibicowi aż oczy błyszczały na widok fury banknotów na stole! Nie nadążał wodzić za nimi, gdy szybko przechodziły od jednego do drugiego gracza, emocjonowała go łatwość wygrywania dużej forsy. Nie wiedział, że w tej grze nie obowiązują żadne reguły, wszystko polega na żywiołowej improwizacji, aby gra toczyła się jak najdłużej, a pieniądze są w niej jedynie „rekwizytami”. Nie chodziło o hazard, chodziło o żart. Jak w kabarecie...

- „Rzepa” - uważa Onyszkiewicz - to człowiek spokojny, wyrozumiały, tolerancyjny, chociaż czasem i jego trafiał szlag, ale niezwykle rzadko. Te cechy sprawiały, że Wisia go tak wspaniale akceptowała. Potrafił być dla nas konfesjonałem, w Speleoklubie powierzaliśmy mu nasze sprawy osobiste, a już dziewczyny to zwierzały mu się wszystkie i ze wszystkiego, nie miały przed nim żadnych tajemnic. Jak mało kto „Rzepa” potrafi słuchać, stwarza przy tym atmosferę braterstwa, sprawia, że człowiek ma poczucie bezpieczeństwa.

Gdy „Rzepa” wraca z zakupami do mieszkania na jedenastym piętrze, gospodarz zwykle leży na kozetce z przymkniętymi oczami. - Śpisz, czy pracujesz?... - pyta. To dzięki obcowaniu z Januszem rozumie, że przedmiot pracy matematyka jest intensywnie nieistniejący, bo nigdy przecież nie wiadomo, co on i kiedy wielkiego liczy... Wie już, że matematyka jest jedną z najczystszych form myśli ludzkiej i tylko osobie postronnej matematycy mogą wydawać się istotami z innej planety, a nawet cieszą się złą sławą pedantów, którzy domagają się absolutnego dowodu, zanim zaakceptują jakikolwiek sąd. Tę reputację dość jasno wyraża anegdota, opowiedziana przez Iana Stewarta w książce „Pojęcia matematyki współczesnej”: Pewnego razu astronom, fizyk i matematyk wybrali się na wakacje do Szkocji. Z okna pociągu ujrzeli pośrodku pastwiska czarną owcę. „To ciekawe - zauważył astronom - wszystkie owce w Szkocji są czarne”. „Ależ skąd, niektóre owce w Szkocji są czarne” - odparł na to fizyk. Matematyk wzniosł oczy w górę, westchnął i stwierdził: „W Szkocji istnieje przynajmniej jedno pastwisko zawierające przynajmniej jedną owcę, która jest czarna przynajmniej z jednej strony”<sup>28</sup>.

- Matematyka - konstatuje Rzepecki - od pewnego poziomu jest wiedzą zupełnie nieznaną przeciętnemu człowiekowi. Matematycy, mówiąc żartobliwie, mogą tworzyć wielkie sprzy-

siężenie i tylko udawać, że rozwiązują jakiś wielki problem ze świata liczb, nikt tego nie sprawdzi. Każdy zawód wnosi pewne skazy w osobowości człowieka i przenosi się na jego całe życie. Onyszkiewicz może być zaangażowany w coś bardzo konkretnego, w coś z mięsa, kości i metalu, ale może to dalej traktować tylko jako przestrzeń matematyczną. To mu pozwala na strategiczne myślenie o celu, do którego należy dążyć, absolutnie nie sugerując się rzeczywistą istotą materii, jakiej dotyczy. Bo dla niego to wszystko może być przestrzenią abstrakcyjną. I dlatego jest tak bardzo skuteczny.

Wspólne mieszkanie z matematykiem nasunęło mi na myśl takie rozważania: jeżeli wyraz siła w różnych kontekstach posiada inne znaczenie, to nic nie znaczy. Mam, może trochę żartobliwą, teorię ruchów podłużnych i poprzecznych, humorystyczny podział działań ludzkich. Ruchy podłużne zbliżają nas do celu, a poprzeczne tylko to zbliżanie pozorują. Jeżeli na przykład brakuje mi pieniędzy, muszę je zdobyć. Ruchami podłużnymi jest szukanie pracy lub pożyczki, lub opracowanie realnego sposobu kradzieży. I nie idzie tu o kwestie dotyczące moralność, a o zdobycie pieniędzy. Ruch podłużny jakby bezpośrednio zbliża nas do zdobycia pieniędzy, a więc do celu. Za to na przykład ruchem poprzecznym będzie zjedzenie obiadu, bo tym działaniem tylko pozorujemy zbliżanie się do celu.

Różni nas odmienne kryteria trudności i łatwości dotyczące pewnych spraw. Kiedy nie było jeszcze komputerów i wykonanie jakiegoś obliczenia wymagało zaangażowania dziesięciu osób i musiało trwać rok, to on uważał, że to działanie było łatwe, bo jego zdaniem szło jedynie o jednoroczną zmusność. A według mnie coś wymagające rocznego trudu i dziesięcioosobowej ekipy jest trudnym przedsięwzięciem. Dla mnie pewne rzeczy są możliwe, choć trudne i łatwe. Jeśli nie można wyleczyć jakiejś formy raka przy obecnym stanie wiedzy, to ja nie powiem, że to jest trudne, powiem wprost: to niemożliwe, ale stanie się możliwe i może pozostanie trudne po nowych odkryciach nauki. Moim zdaniem wydzieranie tajemnic naturze jest pasjonujące, ale nie określa kryteriów łatwości i trudności. Dla Janusza sprawy niemożliwe są trudne, a możliwe są łatwe. Tu wyraźnie bierze górę jego skomplikowana natura obarczona skazą zawodową.

Bo „czysty matematyk - jak to wyjawia profesor Uniwersytetu w Princeton, Brytyjczyk Andrew Wiles - po prostu uwielbia wyzwania. Uwielbia nie rozwiązane problemy. Gdy uprawia się matematykę, przychodzi to wspaniałe uczucie. Zaczynasz od problemu, który po prostu cię zadziwia. Nie możesz go zrozumieć, jest tak niebywale skomplikowany, że po prostu nie możesz się w nim połapać. Lecz gdy wreszcie znajdziesz rozwiązanie, niewiarygodnie mocno odczuwasz urok tego wszystkiego; widzisz jak elegancko wszystko do siebie pasuje. Najbardziej zwodnicze są problemy, które wyglądają łatwo, a mimo to okazują się piekielnie zawiłe”<sup>29</sup>.

Różnice w ocenie kategorii łatwości i trudności nie są żadną przeszkodą w prawdziwej przyjaźni dwóch Janusów. Są zapalnikiem twórczych sporów i drogą jeszcze bliższego wzajemnego poznawania się. - Onyszkiewicz jest człowiekiem z bardzo szlachetnego materiału, o olbrzymich walorach osobistych. Bardzo wydajny w pracy, zdyscyplinowany i rzetelny w tym, za co się bierze. Pasjonuje go użytkowanie dobrych cech ludzkich. Na przykład doskonale wie, że węglarz jest bardzo dobry do noszenia węgla i jeśli trzeba znieść węgiel, to nie zaangażuje, choć ma akurat pod ręką, stolarza czy ornitologa, szybko znajdzie węglarza. Potrafi tak kierować ludźmi, że sam pozostaje w cieniu, zupełnie niewidoczny, ale nigdy siebie nie oszczędza. Ma bardzo silne zdolności regeneracyjne, polegające na trochę angielskim sportowym podejściu do życia. Nie znaczy to, że nie odczuwa problemów, ale potrafi spojrzeć na nie z pewną lekkością, ze swego rodzaju humorem. Nie niszczą go te problemy, które ma do pokonania. Potrafi stworzyć przychylną atmosferę, w której on i jego otoczenie lepiej się czuje. W codziennym obejściu jest bardzo skromny. To właśnie dlatego do domu na Polnej tak tłumnie lgnęli ludzie.

Stale u Onyszkiewiczów ktoś pomieszkiwał, przybywając z bliskich bądź odległych zakątków kraju, a nawet świata. Na chwałę tej międzynarodowej wspólnoty Piotr Wojciechowski, występujący często pod pseudonimem Dymitr Łazur, którego niekiedy użyczał bohaterom swoich powieści, napisał imponującą śpiewogrę zatytułowaną: „Ostatni Zajazd na Polnej, czyli Princessa Awaria”, z podtytułem „Bileterka o włosach jak len, czyli jednoaktowy męczoł śpiewarniany w czterech językach”, w której kurtyna nie idzie do góry, lecz w strzępy...”

Jakiś czas rezydował na Polnej Japończyk, matematyk, nazwiskiem Suzuki. Wyjeżdżając z Polski, pozostawił pewną sumę złotych, których nie zdążył wydać. Wszyscy mieszkańcy Onyszkiewiczówki wiedzieli, że te pieniądze leżą w pewnym miejscu na bibliotece, nazywali je funduszem Suzukiego. Gdy ktoś wybierał się do kina, a nie miał na bilet, to po prostu brał sobie „od Suzukiego”. Wspólnota była bowiem niesłychanie otwarta. Jedzenie kupował ten, kto miał pieniądze. Najczęściej więc byli to Janusz albo Wisia, bo już regularnie pracowali.

Miał też pieniądze „Rzepa”, który udzielał masowo korepetycji oraz należał do nieformalnej spółdzielni „Formatka”. Obaj Janusze, Wisia, jej pierwszy mąż, Andrzej Szumański, oraz kilku geologów jeździli po Polsce i wyszukiwali okazy geologiczne, które następnie obrabiali i sprzedawali Fabryce Pomocy Naukowych zaopatrującej szkoły.

- Po prostu tłukliśmy kamienie - określa tę intratną pracę w „Formatce” Janusz Rzepecki.

- Ponieważ Wisia i jej koledzy byli geologami - przywołuje pewne szczegóły Onyszkiewicz - dzięki nim mieliśmy rozeznanie, na jakie minerały jest zapotrzebowanie w szkołach. Zwykle znajdowali ogromne bryły, które trzeba było rozbijać i formować w małe fragmenty. To była ciężka, fizyczna praca, polegająca na siedzeniu przez wiele dni i waleniu młotkiem...

Pewnego razu dostali zamówienie aż na osiem tysięcy próbek oliwiny<sup>30</sup>, minerału skałotwórczego. Pojechali w okolice, gdzie występują bazalty z takimi wtrąceniami i później natłukli te osiem tysięcy kawałków, które nazywali formatkami. Łatwo się mówi, ale przecież bazalt jest diabelnie twardy, bardzo trudno go się łupie, gdy jedynym narzędziem jest zwykły młotek.

„Formatka” bardzo dobrze prosperowała. Nabrali wprawdy zawodowych kamieniarzy, potrafili sprostać prawie każdemu zamówieniu, nawet na tak rzadkie okazy jak skalenie skandy-nawskie. Znaleźli je na hałdzie przy zniszczonej i zapomnianej bocznicy kolejowej. W czasie wojny transportowano je pociągami, który został zbombardowany i tak już zostały, póki ich przypadkiem nie odnaleźli geolodzy, koledzy Wisi. Dość szybko zarobili tyle pieniędzy, że stać ich było na kupno na raty wartburga combi, zwozili nim setki kilogramów kamieni z różnych stron Polski.

W czasach Onyszkiewiczówki Janusz i Wisia nie myślą o typowym ognisku domowym, dzieciach, stabilizacji. To miało być w przyszłości, skoro przed nimi było całe życie. Bawią ich jaskinie, góry, podróże, po prostu aktywne życie młodych ludzi. Janusz od 1961 roku jest asystentem na wydziale matematyki UW, u profesora Andrzeja Mostowskiego, przygotowuje się do doktoratu. Łatwiej mu, bo już podczas studiów w 1958 roku był asystentem w Zakładzie Aparatów Matematycznych PAN, później przemianowanym na Instytut Maszyn Matematycznych. – Tę pracę zaproponowano mi, gdy złożyłem podanie o stypendium naukowe. Zawsze starałem się nie obciążać zbytnio rodziców, nigdy nie brałem od nich żadnego kieszonkowego, więc bardzo liczyłem na to stypendium. Byłem pewien, że dostanę, bo przecież w indeksie miałem same piątki. Niestety, odmówili. Dali mi wyraźnie do zrozumienia, że z moim inteligenckim pochodzeniem nie mam co liczyć na takie przywileje. Ale obce klasowo pochodzenie nie przeszkodziło, aby mnie przyjąć do Zakładu Aparatów Matematycznych PAN i dopuścić do udziału w ściśle tajnym opracowywaniu dla wojska programu skomputeryzowania systemu obrony przeciwlotniczej kraju oraz zajmowania się komputerami, które współpracowały z radarami przeciwlotniczymi. Mimo tak „ściśle tajnego” zajęcia, naprawdę integralnie związanego z największymi tajemnicami dotyczącymi obronności, w kraju totalnej inwigilacji i surowych zakazów nie miałem żadnych trudności z uzyskaniem paszportu i wy-

jazdami na Zachód... W ankietach podawałem, że jestem studentem. I to była prawda. Tyle tylko, że będąc studentem jednocześnie pracowałem, ale tego najwidoczniej już nikt nie sprawdzał...

Janusz kończy studia w terminie. W Zakładzie Aparatów Matematycznych PAN nie ma perspektyw na karierę naukową, jest tu wielu inżynierów i tylko jeden z tytułem docenta habilitowanego. Wraca więc na uczelnię, z ochotą go przyjmuje prof. dr Andrzej Mostowski do grona swoich najbliższych współpracowników.

Najbliżsi przyjaciele Janusza znacznie dłużej dochodzą poprzez studia do dorosłego, samodzielnego życia i stałej pracy zawodowej. „Rzeka” dyplom robi, gdy ma już 30 lat, i to za usilną namową Wisi. Piotr Wojciechowski korzysta ze statusu studenta jeszcze długo po ukończeniu geologii na Uniwersytecie Wrocławskim, bo podejmuje studia dziennikarskie na UW, a następnie zdaje egzamin na reżyserię w łódzkiej PWSFiT im. Leona Schillera. W tym czasie, gdy obaj przyjaciele wciąż studiują, Janusz się ożenił i zdążył obronić doktorat.

Jedno, co nieprzerwanie łączy ich ponad wszelką wątpliwość, to nieustanna fascynacja jaskiniami. Dymitr Łazur pyta humorystycznie:

Czyście w truciźnie zanurzeni,  
że uciekacie do podziemi?

Truciciel na was dybie?

Czy losy wasze są jak rybie?

Jaskinie i Speleoklub wciąż są dla nich ratunkiem w beznadziejnej rzeczywistości bezruchu połowy lat sześćdziesiątych, tej „małej stabilizacji”, gdy życie publiczne biegnie w koleinach obchodów, jubileuszy, zjazdów, a nakazany na XIII Plenum KC przez towarzysza Wiesława postulat rozwoju „socjalistycznej świadomości społecznej” żadną miarą nie pasuje do rozwoju ich świadomości. – W Speleoklubie – wspomina geolog i grotolazka Izabela Luty – mieliśmy swój drugi dom. Same szyłyśmy sobie i kolegom kombinezony, wspólnie robiliśmy drabinki, pracowicie gromadziliśmy pudła tekturowe i inne ówczesne rarytasy zdobywane dzięki najróżniejszym znajomościom i tak zwanym układom: stearynę czy baterie do latarek.

W Speleoklubie odbywają się próby widowisk z tekstami autorskimi Piotra Wojciechowskiego, który ku uciesze przyjaciół potrafi sypać jak z rękawa drobnymi, żartobliwymi utworami dramatycznymi. - Ot, błahostki, wprawki - twierdzi. I pewnie można nazwać wprawką werset z „Ostatniego tramwajarza Rzeczypospolitej, czyli powrotu docenta”: Mała, będziesz moją branką/ Za ubranko to z helanco? Ale czy błahostką jest „Rower pancerny”?

Wszystko można zdeptać platfusem  
i płaską stopą zmierzyć

Dajcie więcej mięsa i klusek,  
Gębom, które chcą przeżyć!

Platfusy:

Bo przeżywają przystosowani  
na płask zgnieceni, na płask sklepani  
wszystko kanciaste jest do bani  
bo przeżywają przystosowani (...)

Wszyscy (śpiewają):

Pod prąd popłynię czas, pod prąd,  
A my na Pancernym Rowerze,  
Zwiejemy Stąd, zwiejemy stąd,  
Tylko kurz się zakręci w eterze.

Jutro się wydarzy wczoraj  
ku młodości potoczy się świat  
ukryjemy się w sen Narratora  
jak w bunkier zapomniany od lat(...)

Pancerna rama, pancerne szprychy,  
Dookoła pancerz, pancerz nielichy,  
pancerz ze stali siedmiocalowej  
pancerz na dupę, pancerz na głowę,  
Pancerz,  
pancerz,  
pancerz ze stali!

Platfus:

Kiedy cię męczy paranoja,  
Albo moralny kac niezmierny,  
Zbawi cię tylko jeden pojazd:  
Rower Pancerny<sup>31</sup>.

Wyczekują na kolejny anons w „Wiercicy” pana barona Rzepeckiego, który rozbawia takimi ogłoszeniami: „Poszukuję dyferencjału do samochodu marki Dodge. Sprawa bardzo pilna, ponieważ bez tej koniecznej części nie mogę sprawdzić, czy cały samochód został zmontowany prawidłowo. Mimo że składałem go, posługując się „Poradnikiem harcerzyków automobilistów”, jak dotąd na kręcenie korbą nie reaguje. J. Rzepa-Rzepecki”<sup>32</sup>.

- Sam nie zdobyłbym się na taką autoironię – przyznaje „Rzepa”. – Zakpił tak ze mnie Jan Rudnicki, najbarwniejsza chyba postać Speleoklubu. Za to mojego autorstwa było zamieszczenie w „Wiercicy” kopii pisma do działu kadr Zakładu Urządzeń Dźwigowych, gdzie wtedy pracowałem, że nie jestem w stanie przychodzić do pracy na godzinę siódmą rano, ale będę się starał. Potraktowali mnie w pracy jak wariata, którego lepiej nie tykać.

Dzielenie się z przyjaciółmi radością tworzenia jest równie ważne jak eksploracja jaskiń, uwalnia od pokus politycznej akceptacji reżimu Udaje się ucieczka od kiepskiej rzeczywistości. Wyprawy uczą przekonania, że człowiek potrafi bardzo wiele wytrzymać, że nie ma się co załamywać, trzeba trwać.

W połowie września 1967 roku Janusz z Wisią wyruszają z dziesięcioosobowym zespołem na Kaukaz zdobywać jaskinię Cinckił. Pionową, typu akwenowego, z ciągiem umiarkowanie nachylonych korytarzy i niewielkich studni, stanowiącą dawny odpływ wód powierzchniowych z pobliskiego polja, głęboką na 284 metry. Miała opinię jaskini średnio trudnej. Gruzini udostępnili ją do eksploracji dopiero po wybudowaniu zapory na rzeczce płynącej dnem polja i po przekuciu sztolni odprowadzającej wody do sąsiedniej doliny.

19 września idą w dół jak na skrzydłach, każdy w bardzo dobrej formie, wyposażony w zupełnie niezły sprzęt. Widzą jaskinię gliniastą, dość brzydką, bez żadnych nacieków, mało ozdobną, z niewielkimi jeziorkami po kolana i kaskadami wody na skalnych półkach. Dokonują trzeciego w historii przejścia głównego ciągu jaskini. Wracają, od otworu wyjściowego dzieli ich jakieś sto metrów...

- Nagle przez te kaskady zaczyna się przelewać - relacjonuje Piotr Wojciechowski. - W pierwszej chwili wydaje się, że to tylko ktoś z uczestników robi dowcipy i chlapie na nas, butami rozpryskując wodę. Szybko jednak okazuje się, że to nie są żarty, że idzie woda. Błyskawicznie orientujemy się, że jest groźnie, bo jaskinię zaczyna całkowicie zalewać. Woda niesie masy piachu, gałęzi, pniaki...

Słysząc dźwięk straszny i piękny zarazem. Błyskawicznie narasta, potężnieje: pędzi, huczy woda w jaskini. Niesione rzeką kawały drewna Janusz widzi już pod sufitem. Muszą uciekać pod prąd tej nawałnicy. Zaczyna się wyścig z żywiołem. Przed Wojciechowskim jeden z progów przechodzą z powodzeniem wrocławianka Ela Piekarczyk, za nią warszawiak Jacek Bzowski. Za nimi ma iść Wojciechowski, a za nim Wiśka. - Nie mamy do pokonania jakiś strasznych przeszkód, idzie tylko o pośpiech - ocenia Wojciechowski. - Wiem, że Wiśka jest bardzo odważna, a tu nagle spostrzegam, że ona się waha. Dlaczego?!... Słyszę jednak już tylko plusk... Wokół dudni woda, idzie bardzo mocno... Przez tę mętną wodę na powierzchnię

bije snop światła z lampy na hełmie Wiśki. Żywioł ją kotłuje i zabiera. Natychmiast w ten snop światła skacze Janusz. Niestety, nie znajduje Wiśki, bo to był już tylko niesiony przez prąd wody hełm zerwany jej z głowy... Dopiero po chwili Wiśka wypływa. Ponad naszymi głowami, niemal w powietrzu, dociera do niej Jacek Bzowski, który ma apteczkę. Jest nieprzytomna, Jacek robi zastrzyk na podtrzymanie akcji serca, Niestety, jest za późno... Zgubiło ją, bo nie umiała pływać i bała się wody, dlatego się zawahała...

Tragedia wszystkich paraliżuje. Przestają uciekać, zatrzymują się z jej ciałem i czekają właściwie na śmierć, bo jaskinię wciąż przecież zalewa... Po pewnej chwili jednak słyszą, że woda jakby mniej huczy, zaczyna nawet opadać... Wychodzą. Czekający na zewnątrz. Gruzini nie mogą uwierzyć, byli już pewni, że wszyscy się potopili pod ziemią. Widzieli spływającą do jaskini rwącą, skłębioną rzekę z istnej nawałnicy, jaką przyniosło nagłe oberwanie się wielkiej deszczowej chmury...

Według księdza-poety, Jana Twardowskiego, śmierć jest czarną dziurą i może uwalnia człowieka od samotności. „Dopóki żyjemy, czujemy się trochę samotni, nawet we współżyciu z innymi ludźmi, bo nie jesteśmy jeszcze z Bogiem”<sup>33</sup>.

- W takich chwilach – zdaniem Anny Bogobowicz - każdy musi sam sobie poradzić. To było dla Janusza bardzo silne, traumatyczne przeżycie. Brat zamknął się w sobie, nie zwierzał się. Nie okazywał, jak ta tragedia głęboko go dotyka. Jak pamiętam, on nigdy nie objawia spontanicznych wybuchów swoich prawdziwych uczuć: szalonej radości czy gwałtownego gniewu, szczęścia czy najdotkliwszego bólu. Charakteryzuje go jakiś rodzaj wewnętrznej harmonii z samym sobą.

- Taki po prostu to człowiek, nie ma w nim dramatu - sądzi Andrzej Zajączkowski. - „Rzepa” określił go „Wielkim Hermetykiem”.

Janusz Rzepecki: - Ma taką cechę, że w dramatycznym momencie potrafi wrócić do życia mimo dramatu. Jak po przegranym wyścigu, nie rezygnuje i biegnie dalej. Jest realistą, nie walczy z mitami, nie rozpamiętuje, nie uzewnętrznia uczuć, bo uważa, że nie są aż tak ciekawe, aby innych nimi obdarzać.

- Dobrze się stało - uważa siostra Janusza - że „Rzepa”, którego oboje z Wisią traktowali jak najbliższego członka rodziny, bardzo wspomógł Janusza w tym trudnym dla niego czasie.

„Rzepa” po tragicznej śmierci Wisi nie wyprowadza się od Janusza. - Nie wiem, czy to była słuszna decyzja, ale doszedłem do wniosku, że nie mogę go zostawić samego. Dla mnie odejście też byłoby trudnym wyborem, bo przez te siedem lat ich dom był w sensie emocjonalnym także moim domem...

\*

Formowanie osoby o szerokiej wiedzy, krytycznej inteligencji, wrażliwości społecznej to według Johna Henry'ego Newmana, angielskiego myśliciela religijnego, najważniejsze cele uniwersyteckiego nauczania. „Uniwersytet ma zatem kształcić dżentelmenów. Newman rozumie przez to styl życia, a nie przywilej społeczny. Uniwersytet nie jest zatem instytucją dla elit, ale instytucją kształtującą elity, a jednocześnie promującą kulturę intelektualną w społeczeństwie. Karl Jaspers - niemiecki filozof egzystencji - pojmuje uniwersytet jako „instytucję zawodową, której celem jest poszukiwanie prawdy przez naukę i nauczanie”. Postuluje separację uniwersytetu od polityki. „Polityka - pisze - wchodzi do uniwersytetu nie jako czynnik walki, lecz tylko jako przedmiot badań”<sup>34</sup>.

Uniwersytet Warszawski w latach sześćdziesiątych naznaczony jest polityką. Tego miejsca nie dotyczy szarobylejakość i smętek ulicy. „To niezwykle fenomen – zwraca uwagę Jacek Kuroń - w państwie totalitarnym, w warunkach ogólnego marazmu, a następnie zaostrzających się represji, na Krakowskim Przedmieściu istniało coś, co bez żadnej przesady można nazwać życiem politycznym. Na dziedzińcu UW w maju 1964 roku odbył się wiec manifestujący solidarność studentów z postulatami tak zwanego listu trzydziestu czterech. W uniwersyteckim klubie dyskusyjnym ZMS mówiono publicznie o pakcie Ribbentrop-Mołotow, o blokującym rozwój kraju systemie zarządzania gospodarką, o antyrobotniczej polityce cen i płac, o braku wolności słowa i swobód twórczych, o potrzebie pluralizmu politycznego i tym podobnych. W audytorium uniwersyteckim Włodzimierz Brus wygłosił cykl wykładów, uzasadniając wobec szerokiej publiczności, że własność państwowa w żadnym systemie nie może być utożsamiana ze społeczną”<sup>35</sup>. Te znaki świadczyły, że można nie być wobec władzy pokornym, że „ocalałeś nie po to aby żyć/ masz mało czasu, trzeba dać świadectwo”...<sup>36</sup>

Po pierwszym „akcie niezgody dokonany publicznie i bez strachu” w 1964 roku - „Liście 34” pisarzy i uczonych, ludzi, którzy tworzyli dla państwa: dla obywateli i władzy, którzy, jak to określa Andrzej Kijowski, „nosili w sobie ich uszy i oczy”, a jednak sprzeciwili się polityce kulturalnej rządu i cenzurze, następuje niebawem akt drugi. Doktorant na Wydziale Pedagogicznym, Jacek Kuroń, oraz asystent na Wydziale Historycznym, Karol Modzelewski, składają w Zarządzie Uczelnianym ZMS i w KU PZPR „List otwarty do członków PZPR i ZMS przy UW”. Przedstawiają wnikliwą i krytyczną ocenę ustroju politycznego i gospodarczego Polski, a w konkluzji prognozują zmiany mające nastąpić w wyniku rewolucji.

Wielu ludziom dokument otwiera oczy na otaczającą rzeczywistość realnego socjalizmu. – Zdałem sobie sprawę – nawiązuje do „Listu” Janusz Rzepecki – że żyję w jakimś nieporozumieniu, przypisując rządzącym całkiem inne cele niż rzeczywistość oni sprzed sobą stawiają. Wcześniej, jako technik z wykształcenia i człowiek indoktrynowany, szukałem prostych wyjaśnień tego, co się w Polsce dzieje. Widząc, że posunięcia władz nie zgadzają się z deklarowanymi intencjami, najzwyczajniej podejrzewałem głupotę. Po lekturze opracowania Kuronia i Modzelewskiego stało się jasne, że to przemyślane działanie. Odkrycie tej prawdy było szokujące.

Janusza Onyszkiewicza, asystenta profesora Andrzeja Mostowskiego, polityka interesuje w stopniu nie większym niż biologa jakaś żywa istota. Jest obserwatorem sceny politycznej z bezpiecznej pozycji, jaką mu zapewnia Profesor, światowej sławy matematyk o tak rozległych kontaktach międzynarodowych, że choć nie należy do partii, nie musi się czegokolwiek obawiać ze strony władzy komunistycznej. Matematyka to bardzo kosmopolityczna dziedzina nauki. Nie ma żadnej różnicy, czy wyklada się ją w Warszawie, czy na drugim końcu świata, na przykład w Bangkoku. Na seminaria kierowane przez prof. Andrzeja Mostowskiego, autora akademickich podręczników i książek naukowych, tłumaczonych na wiele języków, przyjeżdżają studenci i doktoranci z różnych krajów. Polscy matematycy mają dostęp do prac naukowych wydawanych na całym świecie w języku angielskim, rozmawiają z zagranicznymi kolegami nie tylko o sprawach zawodowych, ale również o różnych „tajemnicach” życia na Zachodzie, starannie ukrywanych przy pomocy cenzury przed czytelnikami prasy krajowej.

Matematycy w mniejszym stopniu niż inne środowiska odczuwają dolegliwości wynikające z istnienia „żelaznej kurtyny”. Odporna na wpływy polityczne, całkowicie hermetyczna, a zarazem uniwersalna dyscyplina naukowa nie daje się recenzować nawet najbardziej zawziętym ideologom partyjnym. Nie mogą przecież powiedzieć, że opracowanie z dziedziny matematyki nie jest zgodne z naukami marksizmu i leninizmu albo niesie niebezpieczne dla Polski Ludowej elementy burżuazyjnych naleciałości. Nie istnieje podział na matematykę burżuazyjną albo socjalistyczną, tak jak nie ma socjalistycznego czy kapitalistycznego samochodu, jedyne kryterium podziału to co najwyżej tylko takie, że najzwyczajniej jeden jest gorszy, a drugi po prostu lepszy...

Janusz tonie w matematyce bez reszty. Bo jak trafnie to wyraża Kazimierz Brandys „z matematyki ma się radość, bo uczy nas ona, co to znaczy dowodzić, co się zowie dowodzeniem jakiejś prawdy, bez pytania o jej praktyczne zastosowania”. Młody naukowiec specjalizuje się w grupie teorii, która zbiorczo określana jest mianem „podstaw matematyki”. Nazwa jest trochę myląca, niektórym studentom, którzy zgłaszają się do niego przed złożeniem pracy magisterskiej wydaje się, że podstawy matematyki są tylko jakimś bardziej zaawansowanym rodzajem tabliczki mnożenia. A tymczasem to dyscyplina bardzo skomplikowana, obejmuje tak obszerne gałęzie wiedzy jak między innymi logika, teoria modeli oraz teoria mnogości.

Dr Janusz Onyszkiewicz zbliża się do polityki właściwie dopiero w 1966 roku, gdy w dziesiątą rocznicę objęcia władzy przez Władysława Gomułkę Adam Michnik organizuje w Instytucie Historycznym UW zebranie dyskusyjne<sup>37</sup>, na którym Leszek Kołakowski wygłasza odczyt o odwolecie od „demokratycznego socjalizmu”<sup>38</sup>. Uczestniczy blisko dwieście osób, w dużej mierze z innych wydziałów uniwersytetu. Profesor Kołakowski krytykuje nieprzebranie rozporządzeń prawnych zapewniających społeczeństwu kontrolę rządzących, co w efekcie zwalnia ich od wszelkiej odpowiedzialności za podejmowane decyzje. „Panuje dalej doktryna – odważnie głosi autor referatu - że socjalizm jest z natury samej brakiem swobód politycznych, brakiem możliwości krytyki, brakiem udziału społeczeństwa w rządzeniu, a wobec tego każde żądanie jakichkolwiek swobód politycznych jest automatycznie żądaniem powrotu do kapitalizmu. Doktryna, która zakłada, że całkowita monopolizacja decyzji politycznych, brak odpowiedzialności przed społeczeństwem, brak możliwości wyrażania się opinii publicznej, brak informacji i strach przed konfrontacją - że to należy do natury ustroju socjalistycznego”.

Śmiałe wystąpienie wskazuje na zaprzepaszczone nadzieje i uświadamia potrzebę ich rewindykacji. Natychmiast wywołuje najwyższy niepokój władzy, która jak ognia boi się jakiegokolwiek samodzielności środowisk intelektualnych i kulturalnych strzegących resztek zdobywcy Października, a tym samym starających się zachować swego rodzaju enklawy wolności.

27 października zespół orzekający Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej usuwa z PZPR Leszka Kołakowskiego<sup>39</sup>. Poruszenie w środowisku akademickim oraz w środowiskach twórczych jest tym większe, że represje dotyczą także studenta Adama Michnika, oskarżonego o antypartyjne wystąpienie w dyskusji na temat Października prowadzonej publicznie na uniwersytecie przez tow. Mieczysława Rakowskiego. Michnik staje przed uczelnianą komisją dyscyplinarną z rektorskim wnioskiem o relegację. Protest podpisuje 1100 studentów i 200 pracowników naukowych<sup>40</sup>, wśród nich asystent Janusz Onyszkiewicz. Nie zna osobiście Adama Michnika ani Jacka Kuronia, wystarcza, że przedstawiono mu sytuację i przebieg zdarzeń.

Represjonowani należą do dość hermetycznej grupy towarzyskiej. Nie izolują się świadomie od reszty młodzieży, ale komuś z zewnątrz, kto nie ma z nimi wspólnych wspomnień, kolegów, trudno wejść w ich środowisko, zadomowić się w nim<sup>41</sup>. Janusz nie uczestniczy w takich układach, dla niego wciskanie się bez wyraźnej zachęty do takiej grupy jest nie do pomyslenia w obawie, że mogą mniemać, iż czyni to z nie dość zrozumiałych pobudek. Nie są-

dzi też, że mógłby coś wnieść do kręgu humanistów prowadzących uczone dysputy na przykład na temat młodego Marksa. Chce być jednak przydatny w działaniu.

Akademicka młodość łączy Janusza Onyszkiewicza z Krzysztofem Śliwińskim, młodszym o rok studentem biologii, związanym ze środowiskiem Klubu Inteligencji Katolickiej, późniejszym dyplomatą. – Warszawa to w gruncie rzeczy małe miasto – opowiada Śliwiński. – Jeśli jesteśmy z tego samego pokolenia musimy wcześniej czy później się poznać na którymś z towarzyskich spotkań w maleńkich, zakłębionych i zadymionych mieszkaniach. Mieliśmy wspólnych znajomych, ale osobiście nigdy nie byłem z Januszem blisko związany. Nie wymienialiśmy iluś poglądów na różne sprawy i rzeczy, które są częścią przyjaźni. Moje środowisko też było hermetyczne, ale to nie wynikało ze snobizmu. Nie przyjmowaliśmy lub przynajmniej staraliśmy się nie przyjmować do swego grona ludzi, którzy mieli inny pogląd i stosunek do fundamentalnych wartości, które w ówczesnym czasie wyznaczały różnice polityczne. Musieliśmy mieć do siebie zaufanie. Mówiono o nas: „warszawski salon”. Przypomnę zdarzenie charakterystyczne dla mojej grupy. W połowie lat sześćdziesiątych pewna znajoma jedzie do Lwowa. Po powrocie pytam ją: - jak tam było ? -Wspaniale, nadzwyczajnie - odpowiada. - Jak to możliwe?! W tym okropnym Sojuszu?... - dziwię się, a ona relacjonuje: - Byłam w środowisku niczym z czasów pierwszych chrześcijan, z górą pięćdziesiąt osób. Rozpoznają się po tajemnych znakach, jak w Sienkiewiczowskim „Quo Vadis”. Jeden odpowiada za wszystkich, wszyscy za jednego... U nas było podobnie, też każdy z nas wiedział, że nie jest samotny i cokolwiek złego się stanie, przyjaciele na pewno przyjdą z pomocą.

Gdy w 1968 roku aresztują naszych studentów, zbieramy pieniądze na ich obronę, występujemy z oficjalnym protestem. Ja i Janusz jesteśmy już pracownikami naukowymi. Nie jesteśmy jeszcze ze sobą związani bliskim koleżeństwem, mamy inne temperamenty towarzyskie, w innych barach na inne piwo wstępujemy, ale już wiem, że mogę iść na matematykę i w poczuciu pełnego zaufania zwrócić się do niego oraz jeszcze trzech innych osób. Razem układamy tekst protestu przeciwko represjom.

Dla jednych rok 1968 jest epokowym progiem, rokiem niezwykłym, wizjonerskim, dla innych czasem „między tragedią a podłością”<sup>42</sup>, podziałem nie na „My - Oni, lecz Swoi - Obcy”<sup>43</sup>, niezmiernie antyinteligentnym, czasem nieudanej próby zreformowania socjalizmu, ale i rzeczywistej walki. „Studenci pochodzący ze wszystkich środowisk społecznych odczuwają trudną sytuację bytową swoich rodzin, a stykając się na uczelni z intelektualistami, zaczynają odczuwać również brak wolności. Wzrasta w kraju niezadowolenie i rośnie w siłę opozycja studencka na UW. Nic dziwnego, że to właśnie tutaj sformułowano hasło „nie ma chleba bez wolności”<sup>44</sup>.

Ósmego marca studentów wiecujących na dziedzińcu Uniwersytetu w obronie kolegów represjonowanych za udział w manifestacji po ostatnim spektaklu „Dziadów” najpierw atakuje gumowymi pałkami aktyw robotniczy, później mundurowa policja – pałkami i gazem. Są aresztowania. Akcja pacyfikacyjna UW kończy się około szesnastej, a w godzinach popołudniowych Służba Bezpieczeństwa dokonuje rewizji i aresztowań. Zatrzymują: Józefa Dajczgewanda, Karola Modzelewskiego, Jacka Kuronia, Irenę Lasotę, Wiktora Nagórskiego. W sumie aresztują 8 marca około 70 osób – studentów, pracowników naukowych i uczniów szkół średnich, którzy przyłączyli się do demonstrujących na ulicach studentów<sup>45</sup>.

9 marca aresztują Barbarę Toruńczyk, a wraz z Adamem Michnikiem z jego mieszkania zabierają Jadwigę Staniszkis.

Dzień później podziemna ulotka alarmuje: „Do studentów! Dnia 8 marca Milicja „Obywatelska” biła pałkami kobiety. Jednej ze studentek wybito oko. Dziesiątki ludzi aresztowano. Czekają na nas, Warszawiaków, wozy pancerne na Placu Teatralnym. Gestapo Polski Ludowej pobiło trzech dziekanów UW. Żądamy takiej WOLNOŚCI, jaką zapewnia nam Konstytucja. Politechnika, ASP, SGGW czynnie solidaryzują się z Uniwersytetem. A MY????”<sup>46</sup>.

Paweł Mikłasz., nim stał się wydawcą samizdatów i bliskim znajomym Onyszkiewicza, studiował w 68 roku w Szkole Głównej Planowania i Statystyki. – Rok wcześniej na drugim roku jako przewodniczący ZMS na wydziale ekonomii produkcji zaliczam się do uczelnianego aktywu tej organizacji. Na wydziale handlu zagranicznego szefem ZMS jest Józef Oleksy, a funkcję v-ce przewodniczącego Zarządu Uczelnianego ZMS, którego szefem jest Stanisław Gutek, sprawuje Jerzy Kropiwnicki. Studencki Ośrodek Dyskusyjny prowadzi Marek Borowski, v-ce a przewodniczącym Rady Uczelnianej ZSP, organizacji hołubionej przez władze, jest Dariusz Rosati. Również Adam Michnik, Józef Dajczgewand, Henryk Szlajfer, Wiktor Górecki i Aleksander Smolar to są ludzie ZMS-u, który jest płaszczyzną naszych spotkań i dyskusji w klubie w akademiku na Kickiego.

SGPiS była silnie indoktrynowana, a na fali marcowych wydarzeń władzę na uczelni przejmują grupa Jana Gieźgały, I sekretarza Komitetu Uczelnianego PZPR. On i jego ludzie wzniecają istne piekło, rozgrywają swoje prywatne sprawy, szczują młodych asystentów, licho opłacanych i podatnych na obietnice awansów, przeciwko studentom oskarżanym o pochodzenie żydowskie. Wściekłem się na to i postanowiłem przeciwko takiemu postępowaniu wystąpić publicznie.

Student trzeciego roku, Paweł Mikłasz, przemawia na jednym z największych wieców w SGPiS-ie w marcu 1968 roku. Mówi że to, co się dzieje w kraju, jest stosowaniem antysemickich metod, sięganiem w dwadzieścia lat po wojnie po faszystowskie wzorce. Z trybuny wiecowej apeluje, aby nie oskarżano studentów o mieszanie się do polityki. Chce, żeby zaprzestano mówić, kto powinien odejść, a kto zostać, postuluje pod adresem partii zaniechania rasistowskiej polityki.

Natychmiast wyrzucają go z ZMS-u, niebawem relegują z uczelni. W październiku zostaje skazany na rok więzienia za nielegalne przekroczenie granicy z Czechosłowacją.

Janusz jest już adiunktem. Marzec '68 to dla niego sprawa konkretna. Choć nie należy do środowiska dysydentów, jego postawa i poglądy są jasne i znane na uczelni, wcześniej już podpisywał protesty w obronie więzionych za przekonania. W piątek, 8 marca, dołącza do manifestujących na rzecz wolności na Politechnice, idzie ze wszystkimi pod „Riwierę”, „Mikrusa” i inne domy akademickie, aż brutalnie rozganiają ich tak zwane „siły porządkowe”.

W poniedziałek 11 marca o godzinie 12,00 w Audytorium Maximum, za zezwoleniem uzyskanym podczas negocjacji delegacji studenckiej z prorektorem Rybickim, rozpoczyna się wiec ogólnie uniwersytecki. Gromadzi się około 3,5 tysiąca osób. Studenci protestują przeciwko gwałceniu Konstytucji PRL i naruszaniu praworządności. Przed wiecem i później odbywają się zebrania wydziałowe, między innymi studentów i pracowników naukowych Wydziału Matematyki i Fizyki. Do Komitetu Studenckiego wybierają Jana Lityńskiego oraz adiunkta Janusza Onyszkiewicza. Jest to bodaj jedyny przypadek na całym Uniwersytecie Warszawskim, że do Komitetu Studenckiego wybrano przedstawiciela kadry naukowej<sup>47</sup>.

W wiecu uczestniczy Anna Onyszkiewicz, siostra Janusza, studentka anglistyki UW. – Na wykładzie z filozofii nasza opiekunka roku powiedziała: proszę państwa, jutro nie mamy zajęć, wszystkich zapraszam na wiec. Szliśmy ze zwykłej ciekawości, bo nie za bardzo zdawaliśmy sobie sprawę, co tak naprawdę się dzieje. Kiedy jednak już staliśmy razem z innymi na tym wiecu, to ze zdumienia zaczęły nam się otwierać oczy! Słuchaliśmy rzeczy, o których do tej pory nikt w ogóle nie śmiał mówić! Odważne słowa padały publicznie, głośno i wyraźnie, że prasa kłamie, że jesteśmy manipulowani... Nigdy nie zapomnę szczególnej atmosfery tego zgromadzenia, poczucia naszej jedności uniwersyteckiej, studentów i wykładowców. Inny człowiek stamtąd wychodził, bardziej świadomy tego, w czym żył, ale też z poczuciem pewnej siły, jaką dawała nasza, akademicka wspólnota. Te wydarzenia połączyły też mnie z bratem. On od tej pory zaczął się interesować polityką.

Zaraz po wiecu Janusz organizuje na swoim wydziale akcję poparcia dla prześladowanych. Na zwołanym zebraniu pracowników naukowych i studentów, po długiej debacie, uchwalają

jednomyślnie rezolucję przeciwko represjom stosowanym przez władze. Jest w środku najważniejszych wydarzeń.

Krzysztof Śliwiński notuje też inne postawy. - Są i tacy, którzy uważają, że trzeba ten okres cicho i spokojnie przeczekać w podziemiu, nic nie robić, tylko w miarę bezpiecznie wegetować. Jeden z profesorów, skądinąd bardzo przyzwoity człowiek, tłumaczył mi życzliwie, że nic nie da się zrobić, bo i tak przecież komuniści każdą odwilż zaraz skoszą, jak dopiero co wyrosła, zielonutką trawę. Wobec tego – przekonywał - najważniejsze jest zachowanie głęboko pod ziemią najwartościowszej substancji narodowej. Jego zdaniem trzeba przeżyć ponury okres, zajmując się swoją dziedziną, udawać, że niczego poza tym nie ma i niczego się nie widzi...

Według Śliwińskiego wydziały ściśle UW korzystają z większej swobody akademickiej. Kryteria oceny bowiem są tu przejrzyste: dobrego matematyka poznaje się po tym, jak rozwiązuje matematyczne problemy. W przypadku dyscyplin humanistycznych kryteria są mniej ostre. Dlatego pozycja naukowa nie chroni na przykład historyka, wybitnego mediewistę Bronisława Geremka, przed znieważeniem i dyskredytowaniem jego dorobku w ocenach, że zajmuje się „marginesem nauki”.

Surowe represje nie omijają jednak również wydziału matematycznego UW. „Za karę” władze nakazują rozwiązać trzeci rok. Dlaczego akurat trzeci? Do dziś nie wiadomo. Żądają relegowania najaktywniejszych studentów, zwłaszcza z lat starszych, którzy często są tuż przed końcowymi egzaminami. Onyszkiewicz razem z innymi wykładowcami starają się im pomóc, aby nie poszedł na marne ich wieloletni trud. - Tworzyliśmy fakty dokonane: pospiesznie wpisywaliśmy do indeksów zaliczenia, dopingowaliśmy do składania prac magisterskich, pilnowaliśmy, żeby otrzymali dyplomy ukończenia studiów. Tacy profesorowie jak Andrzej Mostowski nie wahali się użyć swego autorytetu i stanowczo występowali do rektora UW w obronie niewinnych ofiar ubeckich czystek.

„Marzec wywarł niezatarte piętno. Przede wszystkim zmienił nastawienie do władzy: zburzył złudzenia i wiarę większości młodych ludzi w dobrą wolę władzy i systemu, pozostawił doświadczenie wspólnej walki w obronie własnej godności. Pozostawił poczucie rozgoryczenia i przegranej”<sup>48</sup>. Krzysztofa Śliwińskiego fascynuje w tym czasie spotkanie dwóch, wcześniej odrębnych grup o zupełnie odmiennych tradycjach: środowiska KIK-owskiego, które jest jego środowiskiem i tzw. komandosów. Razem odnajdują się w przyjaźni: KIK-owcy wychowani w tradycjach katolickich i endeckich oraz potomkowie działaczy lewicowych i komunistycznych. Kiedy I sekretarz Komitetu Warszawskiego PZPR, towarzysz Józef Kępa, w czerwcowych „Nowych Drogach” podsumowuje całą kampanię marcową, to obok rewizjonistów i syjonistów wylicza wśród tych, którzy ukazali swoje wrogie oblicze, również „moralistów marcowych”, Krzysztof Śliwiński z dumą przyjmuje tę etykietę. SB wielokrotnie go przesłuchuje, na okoliczność „dajczgewandyzmu”. Ubeikom nie przeszkadza, że w ogóle nie zna i nigdy nie widział Józefa Dajczgewanda, któremu najpewniej tylko ze względu na dobrze propagandowo brzmiące nazwisko przypisują autorstwo jakiejś wyimaginowanej ideologii kontrrewolucyjnej. Ciągłe Śliwińskiego o niego pytają. Kiedy więc Dajczgewand wychodzi z więzienia, Krzysztof Śliwiński zwraca się do Teresy Boguckiej, też związanej z KIK-iem studentki socjologii, która zna wszystkich „komandosów”, aby mógł wreszcie poznać tego groźnego „wroga ludu i socjalizmu”...

Andrzej Zajączkowski w 1967 roku rozpoczyna studia w szkole filmowej w Pradze, jest więc bezpośrednim świadkiem Praskiej Wiosny i zmagania o „socjalizm z ludzką twarzą”. W momencie inwazji na Czechosłowację przebywa w kraju na wakacjach. W nocy z Onyszkiewiczem i Rzepeckim zakradają się do zajezdni MZK i wypisują farbą na tramwajach hasła w obronie Dubczeka.

Przez Andrzeja Janusz poznaje Petera Uhla, dysydenta z Czechosłowacji, którego polska partyjna prasa nazywa „emisariuszem trockistowsko-syjonistycznym, przybyłym specjalnie

do Warszawy dla udzielenia wsparcia organizatorom ruchawki”. Uhl zatrzymuje się na Polnej. Janusz jest w Tatrach i nawet nie wie, kto korzysta z przytuliska, do którego przecież klucze krążą wśród znajomych i są udostępniane w razie potrzeby.

Pewnego wrześniowego dnia Janusz przyjeżdża do Warszawy, aby odebrać pensje na uczelni. Mieszkanie zastaje w fatalnym stanie, jakby nagle porzucone: nie pozmywane talerze, nawet nie rozpakowany chleb w siatce, jakieś nie dopite mleko na stole... Telefonuje do matki Zajączkowskiego. Jest bardzo zdenerwowana, nie chce mu słowa powiedzieć przez telefon. Jedzie więc do niej i dowiaduje się, że bezpieka aresztowała Andrzeja, który właśnie pomieszkiwał na Polnej.

Znając już przyczynę bałaganu w mieszkaniu, Janusz idzie na uczelnię po pieniądze. Przy okazji sprawdza na swoim wydziale na tablicy rozkład zajęć na październik, jednak nie znajduje swojego nazwiska. Wchodzi więc do sekretariatu, aby zapytać dlaczego go pominięto? Sekretarka patrzy na niego, jak na jakąś zjawę:

- Panie Januszu, co się z panem działo?!...- woła w największym zdziwieniu.

Na moment wpada w panikę: może zapomniałem o egzaminach poprawkowych?... - stara się odgadnąć przyczynę tak gwałtownego zaskoczenia sekretarki, ale odpowiada jej spokojnie: - Byłem w górach, a o co chodzi...?

- Przecież rektor nas zawiadomił - wyjaśnia sekretarka - że pana aresztowali, dlatego nie ma pana w rozkładzie zajęć...

Jest marnie - wtedy sobie pomyślał. Wraca szybko do domu, bo ma sporo zakazanych egzemplarzy paryskiej „Kultury”, które przywiozła mu znajoma speleolożka z Francji, musi je wynieść i ukryć w bezpiecznym miejscu. Tylko zdążył wejść do mieszkania, dzwoni telefon, kolega prosi o nocleg dla znajomego, który przyjechał z chórem z Holandii. Zakwaterowali ich w domkach campingowych, w nocy jest zimno, Holender obawia się, że dostanie chrypy i nie będzie mógł śpiewać. Janusz odstępuje mu swoje łóżko w mniejszym pokoju, a sam rozkłada sobie materac na podłodze w dużym pokoju.

Rano o szóstej budzi go natarczywe pukanie do drzwi. Zaspany, nawet nie pyta „kto tam?”, otwiera, widzi smutnych cywilów, którzy odpychają go i wchodzą do mieszkania.

- Kto tu nocuje? - pyta chyba najstarszy stopniem

- Holender - Janusz odpowiada.

- Jaki znowu Holender? - dziwi się ubol.

- Nie wiem, kolega go przysłał.

- Jak to, nie wie pan, kto śpi w pana mieszkaniu?!...

Chcą Holendra przepytac, ale żaden nie zna angielskiego. Janusz zaczyna tłumaczyć, jednak jeden z ubeków przerywa: - Nie rozmawiać w języku, którego nie rozumiemy!

Wybity ze snu Holender jest zdezorientowany - Ja muszę jechać na próbę! - krzyczy po angielsku. Janusz musi tłumaczyć, ubecy pozwalają chórzystom opuścić mieszkanie.

Przystępują do rewizji, ale dzwoni telefon, ubek wyrywa Januszowi słuchawkę.

- Janusz? - ktoś pyta nie wiedząc, że Janusz nie może odebrać telefonu.

- Nie, nie Janusz. A kto mówi? - dopytuje się ubek.

- TeglarSKI. Czy Janusz jest w Warszawie?

- Jest.

- Bo słySzałem, że siedzi...

- Skąd pan to słySzał?

TeglarSKI, oczywiście, przez telefon nie chce powiedzieć, przerywa rozmowę..

- Kto to jest ten TeglarSKI? - pytają Janusza.

- Znajomy matematyk z Wrocławia - odpowiada półprawdą. Bo TeglarSKI, owszem, studiuje we Wrocławiu, ale jest Słowakiem, który doskonale mówi po polsku, a ujawnienie znajomości ze Słowakiem jest ze względu na „sprawę taterników” okolicznością mocno obciążającą.

Przestają dalej pytać, bo znajdują dość okazały maszynopis. Na pierwszej stronie czytają: „Czaszka w czasce”. Ten nierzeczywisty tytuł wydaje im się bardzo podejrzany.

- Kto to napisał?
- Piotr Wojciechowski.
- Czy jest członkiem Związku Literatów?

Przynależność do ZLP po Marcu '68 też była okolicznością mocno obciążającą, ale Janusz już nawet nie zdążył odpowiedzieć, bo rozlega się dzwonek do drzwi. Otwiera.

- Świetnie, że cię widzę! - raduje się od progu Teglarski.

Za moment znów dzwonek, w drzwiach stoi... Piotr Wojciechowski. Ubecy rzucają się na niego:

- Po co pan tu przyszedł?
- Po namiot na ślub... - szczerze odpowiada Wojciechowski.

Piotr Wojciechowski jest blisko z grupą oskarżoną później w „procesie taterników”. Przyjaźni się prawdziwie ze znakomitym alpinistą i człowiekiem wspaniałego intelektu, Andrzejem Mrozem, który unika tego procesu, tylko dlatego, że nie wraca z Francji. Przez niego poznaje Maćka Kozłowskiego i Macieja Włodka. Uczestniczy w ich spotkaniach. Jest na jednym z takich spotkań w domu Iwaszkiewiczów w Stawiskach, urządzonym pod nieobecność pisarza przez jego wnuka, Maćka Włodka. Dzięki wpływom Jarosława Iwaszkiewicza Maciek został z tego procesu wyciągnięty jeszcze w fazie śledztwa.

Z powodu kontaktów z tą grupą, która – według komunistycznych propagandystów – podkopywała korzenie ustroju, trafia do kartoteki SB. Jest poszukiwany przez bezpiekę. Mają z nim kłopot, bo na stałe nigdzie nie mieszka, nie mogą go znaleźć. Wprawdzie od dawna stara się usilnie o zameldowanie w Warszawie, zanoszą w tej sprawie prośby do różnych urzędów, ale nikt nie kojarzy poszukiwanego wroga Polski Ludowej ze studentem oficjalnie zabiegającym o formalne zalegalizowanie pobytu w stolicy. W końcu ubecy nachodzą matkę Piotra mieszkającą w Lublinie i żądają, aby nakłoniła syna do dobrowolnego ujawnienia. W tym celu zapisują nawet numer telefonu kontaktowego do komisarza Bajora. – Nie spodziewałem się – wspomina Wojciechowski – że wpadnę w ubecki kocioł na Polnej. Naprawdę wtedy przyszedłem do Janusza po namiot, bo miałem się żenić i potrzebny mi był dla gości weselnych, aby mieli gdzie spać. Ubecy poddali mnie drobiazgowej rewizji osobistej i ... wyrzucili z mieszkania!...

Janusza zabierają na Rakowiecką, zaczyna się przesłuchanie:

- Zna pan Wojciechowskiego Piotra? – pyta śledczy
- Znam - przyznaje zatrzymany.
- A gdzie on mieszka? - ubek stara się wyciągnąć ważną informację
- Nie wiem - mówi prawdę Janusz
- Bo my go poszukujemy - uzasadniają pytanie o Wojciechowskiego.
- Przecież właśnie go rewidowaliście u mnie w domu... Pojęcia nie mam, dokąd sobie teraz poszedł - Janusz wyraźnie ironizuje..

Śledczy wyskakuje z pokoju jak oparzony, wraca niebawem i oznajmia: - Rzeczywiście, to był Piotr Wojciechowski, jest raport z rozmowy z nim. Jak go pan spotka, to niech mu pan powie, że jeżeli nie chce zobaczyć swojej fotografii na wszystkich słupach ogłoszeniowych, to niech szybko się do nas zgłosi.

Piotr decyduje się na telefon do Bajora, obiecuje mu, że sam się zgłosi do niego, ale komisarz odpowiada, że „sprawa już nieaktualna”... Najwidoczniej woleli kontynuować poszukiwania i niejako na konto Wojciechowskiego od czasu do czasu urządzać sobie atrakcyjne wypady za służbowe pieniądze do Zakopanego, skąd musiały najczęściej nadchodzić meldunki od agentów, że go właśnie tam widziano...

Głównym tematem przesłuchania na Rakowieckiej jest wszystko, co może dotyczyć Petera Uhla, właśnie aresztowanego w Czechosłowacji oraz przetrzymywanych w więzieniu „tater-

ników”. Janusz wychodzi z tego obronną ręką, nie uczestniczył przecież w przerzucaniu przez granicę zakazanych książek, co najwyżej znał ludzi, którzy tym się zajmowali i po części składowali je w mieszkaniu na Polnej. Była to nie tylko „Kultura” paryska, ale też rozmaite materiały wydawane w Czechosłowacji, gdzie jeszcze w 1969 roku wciąż istniały znaczne możliwości poligraficzno-kolportażowe i w obiegu było mnóstwo wydawnictw politycznych w Polsce niedostępnych. Przerzucano też materiały, które drukowano w Czechosłowacji na zlecenie polskich opozycjonistów. Gdy w maju 1969 roku cała ta akcja wychodzi na jaw, bo celnicy na granicy NRF i Czechosłowacji rekwirują 150 polskich książek, zorganizowano popisowy proces nazwany „procesem tatarników”. Jednym z kanałów przerzutowych były Rysy, ale nie wszyscy, których posadzono na ławie oskarżonych, mają pojęcie o górskich wspinaczkach. Niewątpliwie najwięcej o tatarnictwie wie Maciej Kozłowski, pozostali tylko czasem bywali w górach.

Celem pokazowego procesu jest nie tyle wytłumienie w Polsce odradzających się grup opozycyjnych, co skompromitowanie „Kultury” paryskiej jako „instytucji agenturalnej na usługach CIA, wrogiej Polsce Ludowej. Akt oskarżenia obejmuje pięć osób<sup>49</sup>, którym prokurator zarzuca, że: „Weszli w porozumienie z występującym w imieniu obcej organizacji Giedroyciem w celu działania na szkodę państwa polskiego, tj. o czyny wyczerpujące dyspozycje art. 5 dekretu z 1946 r. o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa polskiego”.

- To jest proces „przeciwko książkom i słowu” – rzuca przed sądem oskarżenie Jakub Karpiński, socjolog, syn projektanta Ściany Wschodniej w Warszawie.

Od „procesu tatarników” Janusz już stale ma trudności z uzyskaniem paszportu. „Rzepa” zawyrokował wtedy: - No, zadarli z Onyszkiewiczem, to już będzie ich koniec...

\*

„Już lat dwadzieścia pięć, powoli dzień po dniu, rozkwita nam ojczyzna jak pęk czerwonych róż”- zachwycił się Wojciech Gąsowski z zespołem „ABC” z okazji srebrnych godów PRL-u. I choć po tragicznym grudniu 1970 roku nastąpiły zaledwie trzy dni demokracji - strajk okupacyjny robotników Stoczni im. Adolfa Warskiego w Szczecinie<sup>50</sup>, to „w pierwszych latach siedemdziesiątych powiało nadzieją. Polacy przez chwilę - zwłaszcza w pierwszej pięciolatce Gierka - uwierzyli, że mogą sobie pożyć naprawdę, zamieszkać w normalnych mieszkaniach, jakoś się urządzić, pojeździć własnym samochodem po świecie (za przydzielone dolary), choćby do NRD”<sup>51</sup>. W nadchodzącej punkowej dekadzie lat siedemdziesiątych zawiruje powierzchowną wolnością: młodzieńcy zapuszczą długie włosy, zazdrość wzbudzą rozszerzane spodnie, a na prywatkach przy algierskim winie gellala pary zasłuchają się w Black Sabbath i Led Zeppelin.

Ożywia się telewizja, na antenę wchodzi drugi program ogólnopolski, pojawiają się wreszcie pierwsze audycje emitowane w kolorze. Rekordy oglądalności biją nowe programy - teleturnieje, wśród nich teleturniej „20 pytań”. Rywalizują w nim dwie drużyny, które mają odgadnąć dane słowo lub nazwisko, zadając nie więcej niż dwadzieścia pytań. Prowadzący odpowiada tylko „tak” lub „nie”. Zawodnicy musieli nieraz solidnie się nabiedzić, aby słowozagadkę odgadnąć, jeśli w ogóle im się to udawało. Karta zdecydowanie się odwróciła na stronę teleturniejowych zawodników, gdy w kolejnym programie „20 pytań” wystartowała drużyna warszawskich matematyków: Robert Bartoszyński, Janusz Onyszkiewicz, Aleksander Pełczyński i Wiesław Szlenk. Za pierwszym razem wygrali teleturniej ledwie w połowie wyczerpując limit pytań. W następnym programie też wzięli udział i również wygrali grubo przed czasem. Bodaj dopiero po trzeciej czy nawet piątej wygranej drużyny matematyków organizatorzy „20 pytań” zaczęli podejrzewać, że coś szwankuje, skoro ta sama drużyna za każdym razem tak łatwo wygrywa. Przez to też program szybko stracił całą swoją atrakcyjność w oczach widzów, stał się nieznośnie monotony, gdyż od razu wiedzieli, która drużyna znowu wygra!... Po cichu więc zdjęto na zawsze „20 pytań” z anteny...

- Dla nas to była bardzo prosta sprawa – ujawnia tajemnicę teleturniejowych zwycięstw Janusz Onyszkiewicz. - Zastosowaliśmy po prostu optymalny sposób zadawania pytań oparty na własnej metodzie „metys”, to znaczy słowa, które w słowniku języka polskiego, jak policyliśmy, wymienione jest dokładnie w połowie. Następnie każdy z nas zrobił sobie diagram z haseł poprzedzających słowo „metys” oraz występujących po nim. Posiłkowaliśmy się przy tym równaniem: jeżeli „x” jest słowem nieznanym, a „n” cyfrą otwierającą słownik, to ukryte słowo „x” jest przed „n/2”? , czy przed „n/4”? , a może „3n/8”?... Tak przygotowani rozpoczęliśmy odgadywanie hasła od pytania: „czy szukane słowo jest w leksykonie słów polskich przed słowem „metys”? Jeśli prowadzący teleturniej odpowiadał „nie”, to pytaliśmy: „czy jest po słowie „geografia”, bo według naszych wyliczeń właśnie to słowo plasowało się w jednej czwartej słownika. W zależności od odpowiedzi od razu wiedzieliśmy, że zadane słowo jest w pierwszej lub drugiej ćwiartce. I w ten sposób zawężając stopniowo lokalizację, zadając nie więcej niż piętnaście pytań, dochodziliśmy do praktycznie bezbłędnego trafienia... „20 pytań” zamieniliśmy sobie w prawdziwy automat, dla widzów tym bardziej nudny, że przecież zawężaliśmy krąg znaczeniowy tylko poprzez odgadywanie początkowych liter i nie mogli uczestniczyć w semantycznym śledzeniu wyrazów.

Dzięki kolejnym zwycięstwom nagromadziliśmy zapasy aż ponad miarę wód kolońskich z prestiżowym na tamten czas yardleyem, rozmaitych wiecznych piór i długopisów, a także bonów towarowych równowartości paruset złotych.

Janusz Rzepecki nie był zaskoczony sukcesami matematyków w teleturnieju „20 pytań”: - Wprawdzie pierwszy raz w życiu widziałem zawodników, którzy w zupełnie nowym stylu tak miażdżyli swoich przeciwników, to jednak nie mogły być dla mnie jakąś wielką niespodzianką sukcesy drużyny, w której był Janusz. Wiedziałem przecież, że potrafi tak genialnie grać w popularny „Monopol”, że wszystkich łatwo ogrywa. Zawsze też wyraźnie wyróżniał się w

prowadzeniu rozgrywek brydżowych, bo skuteczna strategia i taktyka to jego domena, żywioł w którym świetnie się czuje i potrafi spokojnie osiągać wytyczony sobie cel.

Sukcesy na szklanym ekranie owocują popularnością, Janusz Onyszkiewicz staje się osobą rozpoznawalną na ulicy, a nawet mówi się o nim w uniwersyteckim środowisku, że jest najbardziej znanym w Polsce matematykiem od kilku lat. Przebojem wśród studentów jest też jego podręcznik przygotowany po społu z Wiktorem Markiem pt. „Elementy logiki i teorii mnogości w zadaniach”. Określa się go jako jeden z najprzystępniejszych, zawiera łatwe, podstawowe ćwiczenia, ale też bardzo trudne, zaawansowane zadania, w których dla zwykłego zjadacza chleba bardziej zrozumiałe mogą być co najwyżej takie pojęcia, jak rodzina zbiorów, zbiór częściowo uporządkowany, dobrze uporządkowany, symetria, spójność, teoria mocy, jeden element maksymalny i jeden minimalny. Podręcznik doczekał się kilku edycji. Gdy ukazało się pierwsze wydanie, obaj autorzy wywiesili na drzwiach swoich gabinetów kartki: „Każdemu, kto znajdzie błąd w naszej książce, fundujemy kawę”. Już pod koniec dnia jednak zawisła nad nimi groźba bankructwa, tak było dużo błędów drukarskich i korektorskich. Musieli zmienić nagrodę: wykreślili „kawę” i zastąpili „herbatą”, która była zdecydowanie tańsza...

U progu 1971 roku Janusz Onyszkiewicz nieoczekiwanie dostaje paszport na wyjazd do Danii. Ma prawo być zaskoczony łaskawością władz, bo wcześniej odmawiano mu nawet na wykłady do Alma Aty, mimo oficjalnego zaproszenia wystawionego przez matematyka radzieckiego, Kazacha, Tajmanowa. Być może dlatego odmówili, że Tajmanow był prawdziwym uczonym. Nie takim jak akademik Ławrow, który cały rok się mozolił, aby wyliczyć, że z jednego baobabu można wyprodukować trzy tysiące kijów hokejowych drugiego gatunku... - Odmowa wydania paszportu służbowego na wyjazd do ZSRR wzbudziła wtedy wielką konsternację w ministerstwie. Pani, która miała mi zakomunikować tę hiobową wieść, wyszła do mnie na korytarz i w pewnej konfidencji uprzedziła o tej decyzji, a gdy zapytałem, co w tej sprawie można zrobić, odpowiedziała: „Proszę pana, gdyby powodem odmowy były nie płacone przez pana alimenty, podatki, jakaś sprawa sądowa, to szło by załatwić, ale pan ma odmowę z ważnych względów państwowych.. Nic się nie da zrobić”. Zaraz przypomniała mi się historia wojaka Szwejka, który trafił do więzienia po zamachu na Wielkiego Księcia. W celi był jeden uwięziony za to, że grając w bilard powiedział: „siedem kul jak w Sarajewie”, drugi, że „muchy obsrały portret najjaśniejszego pana” oraz trzeci, który trzymał się z dala od pozostałych, aby go broń boże z nimi nie łączono, bo „siedział tylko za morderstwo”...

W styczniu 1971 roku doktor Onyszkiewicz rozpoczyna wykłady na uniwersytecie w Aarhus. Zaproszenie przez Duńczyków było niewątpliwym wyrazem uznania dla jego dorobku naukowego i znaczącej już pozycji w społeczności europejskich matematyków młodszego pokolenia. Wiosną, w przerwie semestralnej, udaje się do Anglii, z wizytą do zaprzyjaźnionej z warszawskimi grotolazami alpinistki, Alison Chadwick.

Alison, wychowana w Kornwalii, hrabstwie Wielkiej Brytanii, starożytnym i średniowiecznym regionie Celtów, który wrzyna się przylądkiem Land's End (Koniec Świata) w Atlantyk, romantycznej krainie owianej legendami zamku króla Artura i jego Rycerzy Okrągłego Stołu, jest absolwentką Slade School przy Uniwersytecie Londyńskim, a następnie stypendystką warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Poznali się w Polsce przypadkiem, gdy Janusz wracał do Warszawy ze swojej kolejnej eskapady jaskiniowej. Nie знаła jeszcze ani Polski, ani języka. Przez niego poznała grotolazów Speleoklubu. Przyłgnęła do nich, choć od penetrowania jaskiń zdecydowanie bardziej lubiła góry. Miała już za sobą doświadczenia wspinaczkowe w nadmorskich klifach Wielkiej Brytanii oraz w Alpach. W Polsce zaczęła zdobywać szczyty Tatr. Przyjaciele grotolazi nazywali ją „Elisonką”, bo Alison brzmiało im za chłodno i zbyt oficjalnie. Miała opinię „bardzo skromnej i dyskretnej, cechowała ją prawość i wstręt do fałszu, poszanowanie i delikatność w kontaktach z innymi<sup>52</sup>”.

Jak wszyscy speleoklubowicze często bywała w „Onyszkiewiczówce”, zaprzyjaźniła się z Wisią i Januszem, tu poznała Piotra Wojciechowskiego: - Któregoś razu umówiłem się z nią we Francji, bo akurat ja wracałem z wyprawy do jaskiń Dubrownika, a ona z Grecji. Odbyliśmy wtedy wspólną podróż autostopem do Paryża. Była znakomitą kompanią.

W pamięci Janusza Rzepeckiego pozostała jako osoba cicha i spokojna, nieco przytłumiona, która w Polsce chyba się nienajlepiej czuła: - Gdy ją spotkałem w Anglii, była inna, wesoła, towarzyska, z temperamentem, który na pewno nie da się określić mianem przysłowiowej „angielskiej flegmy”.

W odczuciu Anny Bogobowicz była romantyczką, ale stanowczą, dokonującą własnych wyborów: - Miała silną osobowość, ale zupełnie w innym stylu niż Wisia.

Po dwuletnim stażu w warszawskiej ASP, w 1966 roku, Alison wróciła do Anglii, ale podtrzymywała serdeczne kontakty z polskimi przyjaciółmi, często pisała listy na adres „Onyszkiewiczówki”, bo wiedziała, że w ten sposób najłatwiej trafią do adresatów. Pisała z Exeter, miasta położonego niedaleko jej rodzinnej Kornwalii. Wykładała tam zagadnienia litografii w College of Arts. I tam ją odwiedził Janusz.

Ucieszyło ją to spotkanie, tym bardziej że opowiedział jej o poznanym w Aarhus alpiniście, imigrancie z Chorwacji, wokół którego skupiła się grupa wspinaczy planujących wyprawę w skały koło Getteborga. Po kilku tygodniach Alison pojechała do Janusza do Danii. Dołączyli do grupy Chorwata i pojechali zdobywać skały w Szwecji. Janusz przekroczył wtedy granicę, choć nie miał szwedzkiej wizy, służba graniczna nie kontrolowała w angielsko-duńskiej grupie nikogo.

Wzajemne wizyty Alison i Janusza zwieńczone zostały 6 sierpnia 1971 roku, w poniedziałek, zawarciem związku małżeńskiego. Polskim akcentem uroczystości było wykonanie poloneza A-dur Fryderyka Szopena. Nikt z rodziny ani spośród przyjaciół Janusza nie mógł na ten ślub z Polski do Anglii przyjechać, nie dostali paszportów.

Nowa sytuacja sprawiła, że małżonkowie przyjeżdżają do Polski na początku 1972 roku. Prawie nikt tu nie może pojąć, dlaczego się zdecydowali na ten przyjazd, a zwłaszcza dlaczego podjął taką decyzję Janusz, któremu los podsunął tak szczęśliwą okazję wyrwania się raz na zawsze z dotkliwie uwierających warunków życia w „realnym socjalizmie”?...

- Rzeczywiście Zachód wtedy stał dla mnie otworem: żona, rodowita obywatelka Wielkiej Brytanii, dobrze znam język, a przy moim dorobku naukowym na pewno nie miałbym żadnych kłopotów z otrzymaniem dobrej pracy. Ale dla mnie to były fakty, a nie argumenty przemawiające za pozostaniem na Zachodzie. Bo w moim postępowaniu zawsze najbardziej liczy się poczucie odpowiedzialności za wspólną sprawę, za ludzi, z którymi ją realizuję. W górach była to odpowiedzialność za współtowarzysza, z którym łączyła mnie ta sama lina, na uniwersytecie – za mój wydział, a w sumie za kraj, przecież mój kraj. W Anglii nie czułem się za nic odpowiedzialny, bo nie było to moje miejsce na ziemi. Bardzo chętnie korzystałem z każdej okazji, aby tam pojechać, ale o pozostaniu na stałe nigdy nie myślałem poważnie.

Taką kolejną okazją miał być wyjazd z wykładami na uniwersytecie w Leeds. Umówiliśmy się z angielskim kolegą, że na ten czas on przyjedzie z wykładami na Uniwersytecie Warszawskim. Miała to być taka wymiana naukowo-dydaktyczna. I wszystko już było na najlepszej drodze, bez kłopotów nawet dostałem paszport, ustaliliśmy termin wyjazdu na poniedziałek, a nagle w piątek wieczorem dzwonią z uniwersytetu, że mam natychmiast zwrócić paszport! Była już późna godzina, więc wytargowałem, że oddam paszport w poniedziałek. Gdy tylko odłożyłem słuchawkę, to na nic już z żoną nie czekaliśmy, tylko pośpiesznie się spakowaliśmy, w samochód i do granicy. Udało się przechytryć władze, wyjechaliśmy z PRL-u. Ale w Leeds okazało się, że kolega Anglik nie może jechać do Polski. Odmówiono mu wjazdu, nawet nie próbowano ukryć, że w odwecie za mój wyjazd wbrew woli ówczesnych decydentów Polski Ludowej. Spowodowało to wielce niezręczną i trudną sytuację, ponieważ moje zajęcia ze studentami w Polsce pozostały nieobsadzone, a dla mnie w Leeds nie

było wolnego miejsca. Wróciłem więc, na uniwersytecie się szczerze uradowali, bo już nie musieli się bezpieczeństwo tłumaczyć, dlaczego dopuścili do mojego zniknięcia z kraju...

W pierwszych latach gierkowskiej epoki względnej poprawy ekonomicznej i pewnego otwarcia PRL-u na świat nie było sprzyjającej atmosfery, by można było budować opozycyjną działalność polityczną na większą skalę. Późniejsze protesty robotnicze w Radomiu i Ursusie, a w konsekwencji powstanie KOR-u, ominęły Janusza, zaangażowanego wtedy bez reszty w zdobywanie najwyższych szczytów naszej planety. Podobnie jak dla wielu wówczas intelektualistów również dla niego stał się drogowskazem ideowo-moralnym ogłoszony na Zachodzie w 1978 roku, a przemycany rozmaitymi drogami do kraju, esej zajadle potępianego przez reżimową propagandę Leszka Kołakowskiego „Jak być konserwatywno-liberalnym socjalistą”: - Tylko z pozoru wyglądał na intelektualny żart, trafiał w zestaw wartości i postaw powybieranych z kilku podstawowych nurtów politycznych, które, jak twierdził Kołakowski, są całkowicie niesprzeczne, a które mogłyby być jakby programem politycznym takiego ruchu, który nigdy nie powstanie. Te wartości mi bardzo odpowiadały. Jak niebawem dowiodły wydarzenia o znaczeniu historycznym odpowiadały ogromnej liczbie ludzi, dzięki którym narodził się potężny ruch „Solidarności”.

Leszek Kołakowski pisał w swoim „Katechizmie” poprzedzonym mottem: „Proszę się cofnąć do przodu!” (Słyszałem takie wezwanie konduktora w tramwaju warszawskim; proponuję je jako główne hasło dla wielkiej i potężnej Międzynarodówki, która nigdy nie będzie istniała).

Myślmy na sposób konserwatywny, sądząc:

1. Że nigdy nie było i nie będzie takich ulepszeń i usprawnień życia ludzkiego, które nie musiałyby być opłacane pogorszeniem pod innymi względami i że z tej racji przy wszystkich projektach reform obowiązani jesteśmy zadawać sobie pytanie o ich cenę. Można to wyrazić inaczej: istnieją niezliczone zła, które się dają pogodzić, które więc w pełnych rozmiarach możemy jednocześnie cierpieć, a istnieją liczne dobra, które się wzajem wykluczają lub ograniczają, z których zatem nigdy nic możemy jednocześnie w pełni korzystać: społeczeństwo, gdzie nie ma żadnej wolności i żadnej równości, jest najzupełniej możliwe, nie jest natomiast możliwe społeczeństwo, gdzie jest pełna wolność i pełna równość zarazem. (...)

2. Że nie wiemy, w jakich rozmiarach rozmaite, z tradycji odziedziczone formy życia - rodzina, naród, społeczności religijne, rytuały - są ważne i są nieodzowne dla trwania i dla jakości trwania społeczeństw. Nie ma żadnych racji do mniemania, że niszcząc te formy lub piętnując je jako irracjonalne, mnożymy szanse zadowolenia z życia, pokoju, bezpieczeństwa i wolności; są natomiast liczne racje, by oczekiwać czegoś przeciwnego. (...)

3. Że oświeceniowy przesąd; wedle którego zawiść, żądza wyróżnienia, chciwość, agresywność, są tylko wynikiem wadliwych instytucji społecznych i zostaną razem ze zmianą tych instytucji zniesione, jest nie tylko w najwyższym stopniu niewiarygodny i sprzeczny z doświadczeniem (i jakże to, u diabła, powstały te wszystkie instytucje, skoro się tak sprzeciwiają autentycznej naturze ludzkiej?), ale zgubny w myśleniu społecznym. Spodziewać się, że można zinstytucjonalizować braterstwo, miłość i bezinteresowność to tyle, co mieć już niezawodną receptę na despotyzm.

Myślmy na sposób liberalny, sądząc:

1. Że dawna zasada, wedle której zadaniem państwa jest troszczyć się o bezpieczeństwo, pozostaje w mocy. Pozostaje w mocy również wtedy, gdy pojęcie bezpieczeństwa rozszerza się tak, iż obejmuje ono nie tylko prawną ochronę osób i własności, ale także różne zabezpieczenia społeczne; że ludzie nie muszą głodować z powodu braku pracy albo z braku pieniędzy umierać na łatwo uleczalne choroby, że mają bezpłatne szkoły dla dzieci - wszystko to objęte jest pojęciem bezpieczeństwa. Żadną miarą jednak nie wolno mylić bezpieczeństwa z wolnością. Państwo zapewnia wolność nie przez to, że coś robi i coś reguluje, ale przez to, że nie robi nic i pozostawia różne dziedziny życia bez regulacji. (...)

3. Że w najwyższym stopniu nieprawdopodobne jest przypuszczenie, iż w społeczeństwie, gdzie zniesione zostały wszystkie formy konkurencji, nadal działają konieczne bodźce dla twórczości i postępu. Wzrost równości nie jest celem samym w sobie, lecz tylko środkiem: innymi słowy, nie opłaca się w ogóle dążyć do zwiększonej równości, jeśli wynikiem miałyby być tylko ściągnięcie na dół tych, co lepiej się mają, nie zaś poprawa losu upośledzonych. Doskonała równość jest zaś sprzecznym wewnątrznie ideałem.

Myślimy na sposób socjalistyczny, sądząc:

1. Że, gdyby dążenie do zysku było jedynym regulatorem produkcji, dzisiejsze społeczeństwa byłyby zagrożone nie mniejszymi, a może większymi, chociaż innymi, katastrofami, niż w wypadku, gdyby zysk był całkowicie wyeliminowany z czynników regulujących. Są dobre powody, by ograniczać wolność działań ekonomicznych w imię bezpieczeństwa większości i dążyć do tego, by pieniądź nie obrastał w pieniądź automatycznie; ograniczenie wolności powinno się jednak nazywać ograniczeniem wolności, nie zaś szczególną formą wolności.

2. Że jest obłudą i zamachem na zdrowy rozsądek wnioskować z niemożliwości doskonałego i bezkonfliktowego społeczeństwa, iż każda istniejąca forma nierówności jest nieuchronna i każda forma zysku usprawiedliwiona. (...)

Wydaje się, że ten zbiór regulatywnych idei nie zawiera sprzeczności. W takim razie możliwą jest rzeczą być konserwatywno-liberalnym socjalistą, albo też - co na jedno wychodzi - te trzy słowa nie stanowią już zdolnych do życia i wykluczających się opcji. Powód zaś, dla którego wspomniana na wstępie wielka i potężna Międzynarodówka nigdy istnieć nie będzie, jest taki, iż Międzynarodówka ta nie może obiecać ludziom, że będą szczęśliwi...<sup>53</sup>

\*

„Pokonać nieosiągalne - to odwieczne wyzwanie”- pisze Andrzej Zawada, który przez pół wieku chodził w Himalaje. Znaczący Szekspira, Jan Kott, dla którego taternictwo to „najpiękniejsze, najważniejsze i najbardziej intensywne chwile życia”, uważał, że „wspinaczka to poker ze ślusarką. Ślusarka dlatego, że wspinanie polega na ciągłym wbijaniu i wyciąganiu haków”. A poker? Bo „szczególną przyjemnością wspinaczki jest niebezpieczeństwo. Strach, który przychodzi z zewnątrz, strach narzucony tobie jest upokorzeniem. Ale strach, który sam sobie wybierasz, to jest ogromna przyjemność, radość i poczucie jakiejś szlachetnej gry o życie”<sup>54</sup>.

Zdaniem Wandy Rutkiewicz „alpinizm to wentyl dla ludzi odczuwających potrzebę walki”, a słynny alpinista angielski George Mallory na pytanie, dlaczego pcha się na Mount Everest, odpowiada lakonicznie: bo jest!...

W opinii wielu innych zdobywców szczytów, siła, która gna ludzi w góry, to ta sama, która wyniosła człowieka ponad zwierzę. Potrzeba wspinania się tkwi głęboko w naszej psychice, jest wyrazem tych cech ludzkiego ducha, które skłoniły człowieka do opuszczenia jaskini i odważnego podboju świata, w którym zaczął szukać celów swojego istnienia. Ludzie chcą badać granice swych możliwości, podejmują wyzwania natury, przyrody. I może nie jest najważniejsze, czy się osiągnie szczyt, ale ważne są duch i charakter, które wiedzą człowieka tak daleko.

Janusz Onyszkiewicz po odkryciach Ziemi „w głąb”, sięga po mistrzostwo zdobywania Ziemi „w górę”. Jego nazwisko kojarzy się z hinduskim Noszakiem, potęgą Karakorum - Gasherbrumami i „górami gór, której żadna inna dorównać nie może pięknnością” - K-2. „Morskocznymi” bywalcy znają drogę jego imienia na Żabi Mniech: - Komuś, kto raz zasmakował gór, nigdy nie uda się uwolnić od nich całkowicie. Górską przeszłość to kawał mojego życia.

Tych, którzy lgną w jakiś sposób do gór, łączy, tak jak grotolazów, coś szczególnego, im tylko dane wtajemniczenie, rodzaj namiętności, która rzadko pojawia się w człowieku. Góry siedzą w nich od zawsze. Najpierw młodzieniec rozgląda się po świecie i albo może bez przerwy prywatkować, albo leżeć na plaży, albo jest ciekawy gór. A kiedy już ich dotknie, objawia się mu nowy szmat innego świata, nowa Ziemia. Chce ją ciągle poznawać. Chęć takiego poznania mają tylko nieliczni. Lata siedemdziesiąte, gdy Janusz Onyszkiewicz wchodzi swoją himalajską drogą, to wielki czas polskiego alpinizmu wyprawowego. Także szlachetnych zespołów, grup, która idą razem, a tempo mierzy się według najsłabszego. Górolazi rozślawiają Polskę w świecie, choć zdarza im się zdobywać szczyty we flanelowych koszulach, okularach spawalniczych i w ciężkich, kutych z żelaza rakach.

Hanna Wiktorowska, człowiek-instytucja, legendarna postać PZA, która zaczyna sekretarować i matkować Polskiemu Związkowi Alpinizmu, gdy jeszcze przy końcu lat pięćdziesiątych ta organizacja jest Klubem Wysokogórskim - Zarządem Głównym, doskonale pamięta czasy, kiedy wszyscy musieli kisić się w Tatrach, bo jak w całym kraju i w alpinizmie powszechnie panowała posucha i bieda. Wtedy nawet w góry Kaukazu z trudem załatwiała się paszporty.

Naraz puszcza wentyl dławiący wszelkie swobodne działania i niemal z dnia na dzień otwierają się możliwości wyjazdów. Nasi wygłodniałi alpiniści rzucają się na Himalaje, Alpy, Hindukusz... Władzy to na rękę, przechwala się ich osiągnięciami, o których głośno w świecie. Sekretarze od propagandy dość logicznie rozumują: przecież jak mówi się o naszych alpinistach, to oczywiście również o Polsce, a jak o Polsce, to przekłada się to w sposób naturalny na dobrą opinię o rządzie i partii. Nie rozpieszczają jednak alpinistów, którzy sami muszą się martwić o pieniądze na wyprawy. Zbierają od prywatnych darczyńców, zarabiają na bardzo dobrze opłacanych robotach wysokościowych. Wiele spraw załatwiają po znajomości. Alpiniści, ludzie twardzi i wykształceni, dla własnych potrzeb umieli umiejętnie wygrywać uprawianą przez władzę propagandę sukcesu, choć nikt nie wnosił popiersia Stalina na Pik Komunizmu. Myśleli praktycznie: jeśli na prezesa wybierzemy kogoś, kto ma dobre stosunki

z partią, z władzą, to łatwiej mu będzie trzymać parasol ochronny, a chody w GKkFiT-cie dadzą możliwość skuteczniejszego załatwiania różnych spraw dla alpinistycznej społeczności. Chodziło wyłącznie o sprawy praktyczne, nie ideologiczne. W tym specyficznym środowisku nigdy nie miały znaczenia różnice w poglądach politycznych, które oczywiście, zawsze istniały, wszystko było podporządkowane jednej wielkiej i scalającej pasji – górom.

W 1972 roku Janusz Onyszkiewicz debiutuje w górach wysokich. Jest uczestnikiem wyprawy męsko-kobiecej w Hindukusz afgański, zorganizowanej w dwanaście lat po pierwszej po wojnie polskiej ekspedycji w ten rejon, na Noszak. Udział jego w tej wyprawie jest wyczynem tym bardziej niezwykłym, że rzadko się zdarza, aby ktoś szedł w tak wysokie góry właściwie prosto z Tatr, nie zaliczając wcześniej etapu pośredniego, jakim zwykle jest zdobywanie szczytów Alp lub Kaukazu. Koledzy odkrywają, że jest człowiekiem ze stali, im większe przed nim trudności do pokonania, tym jest twardszy. Z każdej potyczki wychodzi silniejszy, przy nim czują się bezpieczniej. Jest bardzo wytrzymały, również na ból fizyczny. Jak przystało na urodzonego pod znakiem Strzelca, wyróżnia się energią i ruchliwością, aktywnością i odwagą. A przy tym przecież jego imię pochodzi od hebrajskiego Jahwe i Hannah, więc oznacza, że chroni go łaska boska.

Janusz zdobywa z innymi Noszak, 7492 metry nad poziomem morza. Pierwszy raz patrzy na ziemię z tak wysoka, znad chmur, niczym oczami Boga...

Wcześniej, dla zaprawy klimatycznej, uczestniczy w pokonaniu wraz z Wandą Rutkiewicz, Haliną Kruger i Alison Chadwick pierwszego trawersu czterowierzchołkowego sześciotyśięcznika Aspe Safed. Robiąc przy okazji też pierwsze wejście na niektóre wierzchołki. To jest prawdziwy chrzest wysokogórski Janusza, kieruje bowiem grupą, która tego przejścia dokonuje. Omal nie stał się wtedy kandydatem do nagrody „Złotego Jaja”, przyznawanej dla autorów zbłaźnień: podczas biwaku na lodowcu przed wejściem na pierwszy szczyt okazało się, że zapomniał menażek - nie dał sobie szans przetrwania. Musiał cały dzień wracać po nie do bazy.

Wyprawa na Noszak jest jedną z niewielu, gdy cały czas panuje sympatyczna i koleżeńska atmosfera, nie ma żadnych napięć. Każdy może liczyć na pomoc partnera, nikt nie idzie na własny rachunek. Kierownikiem ekspedycji jest Janusz Kurczab, a Onyszkiewicz jego zastępcą. Zdobywa wysokogórskie doświadczenie, i jednocześnie oswaja się z całą skomplikowaną maszynериą organizacyjną dużej ekspedycji.

Zdobyć Noszaka podpowiada autorom tego sukcesu pomysł, by zorganizować kolejną wyprawę, tym razem kobiecą i do tego na jeszcze wyższy szczyt. Po powrocie do kraju zaczynają przygotowania, jednak Janusz traci paszport, nawet też wkładkę paszportową zezwalającą na przekroczenie granicy do krajów demokracji ludowej, a nawet unieważniają mu stempel w dowodzie osobistym umożliwiający chodzenie w Tatry Słowackie. Tak bardzo bowiem naraża się władzom listem wysłanym do Obywatela Przewodniczącego Rady Państwa Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej profesora doktora Henryka Jabłońskiego:

Szanowny Panie Przewodniczący!

List mój wywołany jest zatwierdzeniem przez Sąd Najwyższy wyroku skazującego Jerzego Kowalczyka na karę śmierci, a jego brata Ryszarda na karę 25 lat więzienia za wysadzenie w nocy z 5 na 6 października auli WSP w Opolu.

Surowość tych wyroków bardzo mnie poruszyła. Nie jestem prawnikiem i nie mogę podjąć dyskusji nad tą decyzją Sądu Najwyższego na płaszczyźnie litery Kodeksu Karnego, mam jednak pełne prawo oprzeć się na powszechnym, jak mi się wydaje odczuciu moralnym, z którym duch prawa w każdym razie powinien być w pełnej zgodzie.

Chciałbym tu pominąć niebagatelną skądinąd kwestię moralnej zasadności samego istnienia kary śmierci. Zakładając jednakże nawet doraźną celowość jej stosowania wydaje się, że powinno robić się z niej użytek jedynie w wypadkach wyjątkowo drastycznych. Zgodnie zaś z moim odczuciem przestępstwo, które nie tylko nie pociągnęło ofiar w ludziach, ale zostało

dokonane, wbrew być może wcześniejszym zamierzeniom w sposób wykluczający zaistnienie takich ofiar (bo przecież nie inaczej należy traktować fakt dokonania eksplozji w środku nocy) z całą pewnością na taki wymiar kary nie zasługuje. Nawet znacznych strat materialnych nie można bowiem przeliczać na życie ludzkie.

Nie można też z oczywistych względów moralnych usprawiedliwiać tego wyroku względami natury prewencyjnej.

W tym kontekście warto też przypomnieć stosunkowo niedawne procesy porywaczy samolotów. Ich czyn groził zaistnieniem wielkich strat materialnych, a także licznych ofiar w ludziach. Jednakże wymierzone im kary nie stoją w żadnej proporcji do kar, na jakie zostali zasądzeni bracia Kowalczykowie.

Mając to wszystko na uwadze, zwracam się do Pana z apelem o spowodowanie złagodzenia wyroków, a w szczególności o skorzystanie z prawa łaski w stosunku do Jerzego Kowalczyka.

Łączę wyrazy szacunku

Janusz Onyszkiewicz, Warszawa, Polna 54/67. 13.01.1973 r.<sup>55</sup>

Janusz w sprawie paszportu się odwołuje, prosi o podanie uzasadnienia odmowy wydania, a wreszcie pisze, że jego żona jest obywatelką brytyjską i chce z nią jechać do Anglii w sprawach rodzinnych. Nic z tego, odpowiedź jest stanowcza:

Warszawa, dnia.7 maja 1973 r.

POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych

Biuro Paszportów i DOWODÓW Osobistych

L. dz. E-II-1551/73

Ob. Janusz Onyszkiewicz Warszawa, Polna 54/67

W odpowiedzi na odwołanie Obywatela z dnia 7. 4. 73 r. w sprawie negatywnej decyzji odnośnie wyjazdu czasowego do Wielkiej Brytanii uprzejmie informuję, że na podstawie art. 4 ust. 2 pkt. 4 ustawy o paszportach (Dz.U. z 1967r. nr 17 poz. 81) podjętą decyzję odmowną przez wydział Paszportów KSMO utrzymano w mocy.

Jednocześnie wyjaśnia się, że zgodnie z treścią § 11 rozporządzenia Ministrów Spraw Wewnętrznych Spraw Zagranicznych z dnia 22.5.1967 r. w sprawie zasad i trybu postępowania w sprawach paszportowych (Dz.U. z 1967 r. nr 21 poz. 97 i z 1970 r. nr 24 poz. 198) organy paszportowe obowiązane są w zawiadomieniu o decyzji powołać wyłącznie podstawę prawną odmowy.

Naczelnik Wydziału Biura Paszportów i Dowodów Osobistych MSW

Dopiero gdy podpisano porozumienia KBWE i można było powołać się na ustalenia „III koszyka”<sup>56</sup>, dają mu paszport i może opuścić terytorium Polski Ludowej. Jest kierownikiem ekspedycji w góry Pamiru. Zamierzają przetrzeć nową drogę na szczyt Piku Komunizma.

– Radzieccy gospodarze piętrzą jednak przed nami niebotyczne przeszkody, wymagają odpowiednich planów, podań z załącznikami, szczegółowej analizy projektu. – Jak to – dziwią się – wyobrażacie sobie, że jak tylko górę zobaczyliście, to już wystarczy, żeby się wspinać..? Rychło okazuje się, że wszystkie trudności wynikają jedynie z obawy przed spotkaniem polskiej wyprawy z radziecką, która w tym samym czasie robi trawers między Pikiem Korzeniowskiej i Pikiem Komunizma, aby go sobie zaliczyć do mistrzostw ZSRR. Gdyby Polacy osiągnęli grań na lewo od wierzchołka, zapewne doszłoby do spotkania i wtedy radziecka wyprawa mogła narazić się na zarzut, że skorzystała z polskiej pomocy. W końcu nasza ekspedycja dostaje pozwolenie na wspinaczkę, ale na wszelki wypadek inną drogą, mniej ambitną niż była planowana. W czasie schodzenia ze szczytu dotyka nas tragedia - ginie w wypadku Ewa Czarniecka-Marczak. Schodziła jako pierwsza z grupy, nie była z nikim związana liną, spadła z seraka<sup>57</sup>.

Rok 1975 UNESCO ogłasza Międzynarodowym Rokiem Kobiet. Sprzyja to realizacji pierwszej polskiej wyprawy kobiecej w Himalaje. Założenia organizacyjne czynią z niej przedsięwzięcie bezprecedensowe w całej historii polskich wypraw. Wanda Rutkiewicz pisze: „Nasza wyprawa zakładała współdziałanie zespołów kobiecego i męskiego na dwu sąsiednich szczytach wysokich około 8000 metrów. Przed nami stała szansa wejścia na pierwszy „polski” ośmiotysięcznik, a także ustalenia rekordu nie do pobicia: najwyższego pierwszego wejścia kobiecego. Po raz pierwszy więc w Polsce po kolejny rekordowy cel alpinistyczny sięgnęły kobiety wspólnie z mężczyznami. Zostałam wówczas oficjalnie mianowana kierownikiem wyprawy kobiecej, Janusz Onyszkiewicz – kierownikiem męskiej. (...) Alison Chadwick, Janusz Onyszkiewicz, Krzysztof Zdzitowiecki, Andrzej Łapiński i ja spotkaliśmy się i zaprzyjaźniliśmy w Hindukuszu w 1972 roku. Nasza przyjaźń i wzajemne zaufanie przetrwały wiele prób i trudnych chwil w latach późniejszych. Z Januszem i Krzysztofem spotkałam się jeszcze raz dwa lata później w Pamirze na pierwowzorze naszej kobieco-męskiej wyprawy, kiedy podczas wejść na Pik Korzeniewskiej i Pik Komunizmu po raz pierwszy była wypróbowywana koncepcja niezależnej działalności zespołu kobiecego i męskiego (...) Janusz Onyszkiewicz współpracował ściśle z komitetem organizacyjnym naszej wyprawy, mimo że jednocześnie był w składzie komitetu organizacyjnego wyprawy na K2 planowanej na 1975 lub 1976 rok. Janusz uważał, że nawet pozornie zdecydowanie sprzeczne interesy stwarzają możliwość pokojowego współdziałania; czuł się jak ryba w wodzie w konfliktowych sytuacjach i pomagał znaleźć wyjścia z różnych ślepych zaułków. Biorąc na siebie kierownictwo zespołu męskiego, był cennym współpracownikiem zespołu kobiecego”<sup>58</sup>.

Celem wyprawy jest niezwykle gniazdo górskie – Gasherbrumy. Wznoszą się w drugich co do wysokości górach świata – Karakorum, położonych w Azji Środkowej, na pograniczu Chin, Indii, Pakistanu, Afganistanu i Tadżykistanu, gdzie aż sto wierzchołków przekracza wysokość 7000 metrów<sup>59</sup>. Chcą zdobyć najwyższy z jeszcze dziewięciu szczytów ziemi Gasherbrum III (7952 metry) oraz poprowadzić nową drogę na sąsiedni Gasherbrum II (8035 metrów).

Gasherbrum III stanowi obiekt westchnień alpinistów całego świata. Od lat jednak region Kaszmiru, tej wysokogórskiej krainy, której większość zajmują łańcuchy górskie Himalajów i Karakorum, jest terenem spornym między Pakistanem a Indiami i zamkniętym dla cudzoziemców. Gdy w 1974 roku Pakistan ogłosił, że otwiera dostęp do Karakorum, zaczął się wielki wyścig alpinistów z całego świata. Polacy wpadają na pomysł, który od razu daje im przewagę nad rywalami. Powołując się mianowicie na Międzynarodowy Rok Kobiet, proszą o objęcie patronatu nad wyprawą żonę premiera Pakistanu, znaną z zaangażowania w sprawy kobiet w krajach muzułmańskich, panią Begum Nusrat Bhutto. Pod koniec stycznia, oficjalnie przez MSZ otrzymują odpowiedź, że pani Bhutto wyraża zgodę i oferuje polskiej ekspedycji wszelką pomoc ze strony władz pakistańskich, nawet transport samolotem wojskowym. W ten sposób w pokonanym polu zostaje dziewięć innych ekspedycji z różnych krajów, które również usilnie zabiegały o zezwolenie na realizację wspinaczki.

Szczęście Polaków o tyle tylko nie jest pełne, że jednak nie otrzymują zgody na wejście na Gasherbrum II. Wobec tego łączą zespoły kobiece i męski w jedną ekspedycję. Z bezwarunkowym zastrzeżeniem, że panie mają pierwszeństwo w wejściu na sam szczyt Gasherbrum III i przywilej umieszczenia na nim flagi symbolizującej zdobycie góry<sup>60</sup>.

W wyprawie uczestniczy Andrzej Zajączkowski. Po ukończeniu studiów w Pradze pracuje w Wytwórni Filmów Dokumentalnych. Jest laureatem nagrody Srebrnego Lajkonika na Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie za „Ósmy kontynent”, film zrealizowany przez niego w 1973 roku o wyprawie grotolarzy do najgłębszej jaskini w Tatrach, do którego komentarz napisał Piotr Wojciechowski<sup>61</sup>. Do ekipy dołącza na wniosek Janusza, gdy okazuje się, że Wanda Rutkiewicz zdołała uzyskać od prezesa TVP, Macieja Szczepańskiego, spore dofinansowanie wyprawy. Przeciwny jest szef Studia 2, Mariusz Walter, któremu prezes

Szczepański zleca wysłanie ekipy: - Będzie jeszcze jedna lukrowana laurka o tych naszych wspaniałych alpinistach... – uważa, ale w końcu się zgadza. Andrzej Zajączkowski przyrzeka sobie wówczas, że zrobi dokument na temat relacji między uczestnikami wyprawy, a nie zdobywania szczytu. Na operatora proponuje Zbigniewa Pietrzakiewicza, który miał już doświadczenie w wyprawie naukowej na Antarktydę.

Korzystając z parasola peerolowskiej władzy, partii i wszelkich innych oficjalnych czynników, dzięki którym stało się możliwe zebranie pieniędzy i załatwienie wszystkich formalności, jadą do Pakistanu latem 1975 roku jako „Wyprawa kobieca Karakorum 75” Obok dziesięciu kobiet jest siedmiu alpinistów, dwóch filmowców oraz pakistański oficer łącznikowy<sup>62</sup>.

Ciężarówkę polskiej ekspedycji pokrywają reklamy sponsorów: na tle granatowej panoramy Gasherbrumów wymalowanej na bocznych plandekach samochodu rzuca się w oczy pomarańczową plamą wdzięczna kurka, znak firmowy Zjednoczenia Przemysłu Drobiarskiego „Poldrob”, podkreślona napisem: „with polish down go up!” (z polskim puchem idź do góry!) Logo „Orbisu” pokrywa przód auta, a znak firmowy „Ciech” zdobi boki szoferki<sup>63</sup>.

26 maja docierają do Skardu, ostatniego miejsca, gdzie jeszcze mogą odczuwać bezpośredni kontakt z resztą świata. Kilka osób przylatuje tu, dzięki uprzejmości pani Bhutto, wojskowym samolotem transportowym w asyście kompanii żołnierzy do pomocy. Wokół ośnieżone szczyty po cztery, pięć tysięcy metrów wysokości. Angażują 250 kulisów i wyruszają do moreny lodowca Abruzzi, gdzie zakładają bazę wyprawy. Właściwa akcja górską rozpoczyna się 15 czerwca, a kilka dni później Alison z Januszem idą najpierw do obozu I-ego, założonego w kotle pod Gasherbrumami, potem do II-ego na wysokości 6500 metrach.

Janusz notuje w swoim dzienniku:

„Godziny południowe na plateau to prawdziwe szaleństwo światła. Odbijane tysiącnymi refleksami od śniegu i lodu, atakuje człowieka ze wszystkich stron. Jego siłę czuje się niemal całym ciałem. Słońce przeszło już na lewą część nieba i seraki zaczynają rzucać krótkie cienie. Robi się nieco lepsza pora do zdjęć. Alison w swym jaskrawoczerwonym kombinezonie tworzy ładną barwną plamę na lodowcu. Puszczam ją przodem i robię zdjęcia w miarę, jak zbliżamy się do końca trawersu.

Idę wciąż za Alison. Ma ona rzadką zaletę utrzymywania cały czas dokładnie takiego samego tempa. Prędko wpada się dzięki temu w automatyzm ruchów powtarzanych cyklicznie stałym rytmem. Noga, podciągnięcie jumara (nazwa urządzenia zaciskającego się pod obciążeniem na linie), przytrzymanie – wtedy Alison podciąga swojego, podciągnięcie się na linie na wyższy stopień. Cztery oddechy i znów to samo. Alison nie chodzi szybko. Jest, jak sama mówi, „naturally slow”. Ale prawie nie zmienia tempa ze zmianą wysokości. Tak więc stosunkowo powolna niżej, tu porusza się tempem wręcz doskonałym. Stok jest stromy i idąc tuż za nią widzę tylko jej buty. Mogę powtarzać dokładnie jej ruchy i myśleć o przysłowiowych „niebieskich migdałach /.../

Leżąc już w namiocie, rozpoczynam gotowanie. Z sąsiednich namiotów też dobiegają odgłosy kuchennej krzątaniny. Nieco głośniejszy jest w namiocie Haliny i Łapy<sup>64</sup>. Po chwili słyhać głos tego ostatniego.

-Brodacz, a u was kto gotuje?

-Ja - odpowiada dziarsko Leszek<sup>65</sup>.

-A u was, Onychy?

-Ja – odpowiadam podnosząc głowę znad menażki.

- O, i to się nazywa Ladies Expedition! - z boleścią w głosie stwierdza Łapa”...<sup>66</sup>

Wszyscy znają pierwsze prawo Onycha: „suma produktów jadalnych jest jadalna”. Według tej zasady właściwie wszystko można zmieszać i nadaje się do jedzenia. Więc kiedy koledzy z I obozu dostają w prezencie od Japończyków różne produkty żywnościowe, a wśród nich coś, z czym nie bardzo wiedzą co zrobić, aby stało się potrawą, w myśl zasady Onycha bez wahania wrzucają do kotła wraz z innymi, nie budzącymi żadnych wątpliwości składnikami na

zupę. W gotującej wodzie owa nierozpoznana rzecz pochodzenia japońskiego szybko nabiera kształtów i okazuje się być bardzo sprytną ściereczką do mycia naczyń...

Koledzy uważają, że Onyszek wymyślił takie prawo, bo on naprawdę wszystko może zjeść, ma strusi żołądek i nic mu nie zaszkodzi. Powiadają o nim: „nasz głodomór”, często bowiem podgrzewa sobie na śniadanie resztki z wczorajszego obiadu, a na nienawistne dla innych płatki z mlekiem czy herbatniki szalupowe zawsze ma wprost wilczy apetyt.

- Nawet w chłopięcych latach jak się uczył, zjadał potworne ilości maminych konfitur - potwierdza siostra Janusza. - Pod swoim tapczanem miał cały arsenał słoików z tym specjałem. Łasuchostwo mu zostało. Ma rewelacyjną przemianę materii, po prostu strusi żołądek.

Kiedy trzeba Onyszkiewicz potrafi głodować. Jest szalenie wytrzymały psychicznie i fizycznie. Może spać w śniegu, bez słowa skargi wstaje o trzeciej nad ranem, nawet gdy już pada z wyczerpania nie narzeka i uparcie pokonuje trudności. Cechuje go również poczucie odpowiedzialności za partnera, za wyprawę, a wreszcie za osiągnięcie wyznaczonego celu. Ryzyko, tak, ale pokonać siebie, cel, nie człowieka. Wyzwanie, ale tak jak w filozofii jogi: zdyscyplinować wewnątrz i osiągnąć spokój. W czasie górskiej wspinaczki jest to niezwykle ważne, bo nie ryzykuje się utraty pieniędzy czy nawet dobrego imienia, ale tu idzie o życie. - Oczywiście, że człowiek się boi - przyznaje. Ale jest to strach o innych uczestników wyprawy. Bo kiedy sam się wspinam, to nie mogę się bać, bo utraciłbym możliwość działania. Umiejętność opanowania strachu daje mi ogromną satysfakcję.

„Jeszcze jedno jest piękne we wspinaczce - zauważa Jan Kott - to, że wchodzisz związany liną z drugim człowiekiem. Bardzo często tego pierwszego, który prowadzi, nie widzisz, ale czujecie się nawzajem. Twój strach czy trudności on czuje po drganiu liny. Jest w tym niesłychana przyjaźń i odpowiedzialność”<sup>67</sup>.

Po długim i cierpliwym przekonywaniu towarzyszącego polskiej ekspedycji pakistańskiego oficera łącznikowego udaje się w końcu uzyskać jego nieoficjalną zgodę na realizację pierwotnego planu wejścia na Gasherbruma II<sup>68</sup>. Pierwszego sierpnia Cichy, Onyszkiewicz i Zdzitowiecki osiągają cel nową drogą, północno-zachodnią ścianą. Spodziewali się, że dokonają drugiego w historii wejścia na ten szczyt<sup>69</sup>, ale ubiegli ich Francuzi, korzystający z wcześniejszego zezwolenia władz pakistańskich.

Janusz relacjonuje wspinaczkę na szczyt: - Francuzi poszli sprawdzonym szlakiem, a my spróbowaliśmy nowej drogi, trochę nielegalnej, bo od strony Chin, szczyt jest bowiem na granicy. Weszliśmy na przełęcz i zamierzaliśmy dalej wspinać się granią. Nie mieliśmy jej zdjęć. Na miejscu przekonaliśmy się, że jest to klasyczny uskoki skalny, który wymagałby solidnej i długiej akcji. Zostało nam ledwie parę godzin czasu, zdecydowaliśmy więc, że przedostaniemy się na stronę chińską przez zieloną granicę i podejmiemy stromą, lodową ścianą. Nie można było się na niej asekurować, szliśmy więc nie związani, a wiało tak potwornie, że nawet nie mogliśmy wyjąć z plecaków dodatkowych spodni puchowych. Było nam diabelnie zimno. W pewnym momencie dostrzegam, że ściana się załamuje i nie widać, co jest dalej. Wołam do Leszka Cichego, bo on akurat przecierał drogę, że może za wypłaszczeniem uda się wypakować te spodnie. On z nadzieją przyspiesza, mija załamanie, po czym słyszymy z Krzysiem Zdzitowieckim: - Jestem na szczycie!

Krzysztof Zdzitowiecki dodaje szczegóły: - Odpoczywamy krótko. Należy się spieszyć. Teraz idziemy już prosto do góry. Ścianę zamyka śnieżna grań, w której sterczą trzy turnie zbudowane z jasnych skał. Nie wiemy, gdzie jest wierzchołek. Prawa turnia wydaje się najwyższa, idziemy, w miarę możliwości, w jej kierunku. Torujemy na zmianę. Regulowanie czasu trwania zmian według zegarka skończyło się już wcześniej. Każdy prowadzi, jak długo może, po czym zatrzymuje się na odpoczynek, rozgrzewa nogi i idzie za partnerami. Ściana staje się coraz bardziej stroma: Śnieg jest zmienny - miejscami po kolana, gdzie indziej twardy jak lód. Takie odcinki pokonujemy na przednich kolcach raków. Pierwszy pas skał przechodzimy śnieżnym kominkiem. Wysokość rośnie w tempie około 120 metrów na godzinę. Z

niepokojem spoglądamy na zegarki i wysokościomierz. Czy zdążymy? Wiatr wzmaga się. Ewentualny biwak grozi poważnymi odmrożeniami. Obawiamy się drugiego pasa skał. Szybko zostaje za nami. Umożliwia to skośna, śnieżna rynna. Nad nią witają nas niesione wiatrem tumany śniegu. Nagle utknęliśmy. Nie powodują tego trudności techniczne. Dostępu do grani broni stumetrowy pas świeżego śniegu. Zapadamy się w nim chwilami po pierś. Przy nastromieniu, na oko, około 55 stopni, graniczy to z klęską żywiołową. Orzemy w tych zaspach półtorej godziny. Każdy odbywa odpowiednio wyczerpujący dyżur. Ale nawet ostatni z podchodzących zapada się po kolana, często drepcząc w miejscu w obsuwającym się śniegu. Swoją odcinek usiłuję przebrnąć trochę za szybko. Drogo mnie to kosztuje. Gdy przeszkoda została za nami, jestem już bardzo zmęczony. Tak dalece, że proszę o zwolnienie z torowania. Ale Leszek musi kiedyś skończyć prowadzenie, a Janusz, który toruje przed nim, jeszcze nie wypoczął. Nie ma rady, muszę wykrzesać z siebie potrzebne rezerwy sił. Do grani nie jest daleko - około 100 metrów. Akurat wystarcza na dwie zmiany: moją i Janusza. Bardzo stromy stok, podejrzewam nachylenie ponad 60 stopni, wiatr uformował w szeregi złodowaciałych zasp. Każdą podcina prawie pionowa ścianka. Lawirując pomiędzy nimi docieramy pod skały prawej, rzeczywiście najwyższej turni. Tu trochę mniej wieje. Chcemy choć na chwilę usiąść i odpocząć, ale jest paskudnie stromo i Leszek decyduje się wyrzucić na grań. Podchodzi kilka metrów. Nagle woła: „jestem na szczycie, tu nie wieje” i znika nam z oczu. Nadążamy za nim. To jest naprawdę wierzchołek Gasherbruma II, a tuż przy nim znajduje się osłonięta ze wszystkich stron kotlinka. Jest godzina szesnasta dwadzieścia. Pięćsetmetrową ścianę pokonał w pięć godzin<sup>70</sup>.

Janusz uzupełnia: - Na górze zakładamy dodatkowe ubrania, robimy zdjęcia i zaczynamy schodzić już związani i inną drogą – pierwszych zdobywców. Tym samym zaliczamy trawersowanie, co też jest ważne. Gdy docieramy do bazy, dowiadujemy się, że dziewczyny równocześnie atakowały Gasherbruma III, ale nie dały rady. Żeby więc zrównoważyć szanse w tej przecież kobiecej wyprawie, powołujemy zespół mieszany, taką silną grupę pod wezwaniem, w której mężczyźni mieli za zadanie ubezpieczać zespół kobiecy, i po paru dniach odpoczynku ruszamy znowu na Gasherbrum III, drogą od strony przełęczy między II i III Gasherbrumem.

Tak zachowała w pamięci tę wspinaczkę Wanda Rutkiewicz: - Ruszamy do góry, torując z Krzysztofem i Januszem na zmianę, ale po około 100 metrach dalszą drogę zamyka wielka skalna ściana. Od tego miejsca istnieje możliwość pójścia: w prawo w górę stromym zachodem śnieżnym przetykanym skałkami, który podprowadza kolejno do dwóch kuluarów wychodzących już na grań szczytową. Stromizna śniegu jest już tutaj zawrotna, śnieg trzyma się skały nie wiadomo na jakiej zasadzie. Ten trawers kosztuje nas najwięcej sił. Torujemy drogę w śnieżnym puchu, trzeba odgarniać rękami śnieg sprzed nosa, zmuśnię udeptywać stopień, który najczęściej nie wytrzymuje ciężaru ciała i torujący obsuwa się w śnieżnym puchu z powrotem. Wszystko tylko nie ten śnieg - myślałam, rozglądając się dookoła. Janusz dochodził właśnie prawie do połowy zachodu i staje w słońcu tuż za granicą cienia: Krzysztof spróbuje podejść pod pierwszy kuluar.

- Tam powinno być łatwo - stwierdza.

- Chyba jest trudniej, niż myślałem - słyszę po chwili. Ale kiedy widzę, że Krzysztof stoi opierając końce raków o występ skalny, trzymając się rękami skały i że nie może zdecydować się na zrobienie następnego ruchu; wiem już, że raczej tędy nie pójdziemy. Idziemy mozolnie dalej po śniegu. Teraz Alison rusza naprzód, potem znowu ją ktoś zmienia.

Wejście do drugiego kuluaru okazuje się bardzo niebezpieczne, tam już nie ma żartów. Każdy krok trzeba stawiać delikatnie, próbując, czy raki przebijające cienką warstwę śniegu utrzymają na skale. Nie można pozwolić sobie na żaden nieostrożny ruch. Każdy błąd spowodowałby konsekwencje ostateczne. Kilkaset metrów przyprószonych śniegiem skał pod nami jakby uginało się. Niebezpieczeństwo zmobilizowało mnie. Wysłałam na prowadzenie i idę

dalej jak maszyna, równo i dosyć szybko jak na tę wysokość. Za szybko. Zatyka mnie kilkanaście metrów poniżej grani i odpoczywam trzęsąc się z zimna. Po śladach dochodzą do mnie pozostali. Pierwszy rusza dalej Janusz. Zauważyłam, że idzie związany z Alison. Zrozumiałam, że jest jeszcze ciągle pod wrażeniem śmierci Ewy w Pamirze. Wszyscy wtedy schodzili nie związani i kiedy Ewa się potknęła, nic już nie mogło jej zatrzymać.

Kiedy dochodzę do grani, Janusz umocowuje właśnie koniec liny zjazdowej do haka wbitego pod szczytem skalnej turniczki. Musimy ją minąć, by dojść do przełączki przed ostatnimi na szczęście już śnieżnymi wzniesieniami. Za pomocą założonej liny przetrawersowaliśmy zbocza turniczki w lewo i na przełączce stajemy, naprzeciw zachodzącego już słońca, które grzeje. Wiatr jakby trochę ucichł. Szczyt powinien być kilkanaście metrów wyżej - pomyślałam. Grań od zachodu spada na stronę chińską stromym śnieżnym zboczem. Śnieg jest twarde, tylko jego kilkucentymetrowa warstwa rozmiękła w słońcu przylepia się do raków. Kiedy idąc zachodnimi zboczami, dochodzimy do przełączki rozdzielającej dwa śnieżne wzniesienia, zwracam się do Janusza: - Zaczekaj, pójdę zobaczyć, który jest wyższy. Ten dalszy sprawiał wrażenie najwyższego punktu grani.

Nie czuję zmęczenia, przepełnia mnie radość, czuję niezwykłą w porównaniu z ostatnimi godzinami lekkość. Nogi stawiam byle jak, nie zważam na to, że raki ślizgają mi się w rozmiękłym śniegu i że mogę po prostu spaść na dół. Dopiero kiedy pośliznęłam się mocniej, przytomnieję. Ostrożnie wchodzę na ostatnie śnieżne wzniesienie uważając, by nie stanąć na nawisie. Jestem chyba na szczycie. Z drugiej strony grani wionie dojmującym chłodem. W dole, ponad 2500 metrów niżej jest baza i ludzie przy lunecie. Może mnie widzą - przemyka mi przez głowę myśl. Kiedy oglądam się wstecz, pierwsze wzniesienie wydaje mi się jednak wyższe. Wracam na przełączkę, na której stoją już wszyscy. Od szczytu wzniesienia dzieli nas dosłownie metry. Krzysztof rusza przodem.

- Zaczekaj - krzyczy Janusz - niech dziewczyny wejdą pierwsze.

Krzysztof zdaje się nie słyszeć, idzie dalej równym krokiem, jak w lunatycznym śnie.

- Krzysztof, zaczekaj!- Janusz powtarza

- Dobra, oczywiście –odpowiada jakby nie całkiem przytomnie.

Wreszcie na szczycie. Nie jestem w stanie niczego sobie uświadomić, niczego odczuć w tym momencie. Wiem tylko, że nie trzeba już iść wyżej”<sup>71</sup>.

Janusz Onyszkiewicz: - Sukces, udało się! Tak się składa, że ja już na dwóch szczytach przyczepiłem flagę do „góry nogami”, czerwienią do góry. Tym razem bardzo się staraliśmy, żeby dobrze wypadło, to był w końcu najwyższy nie zdobyty szczyt na świecie. Tę wyprawę pisma branżowe uznały za najlepszą w tamtym sezonie w Himalajach.

Andrzejowi Zajączkowskiemu wyprawa dostarcza ogólniejszych refleksji: - Wychowałem się w środowisku taternickim wyznającym i zawsze sumiennie przestrzegającym zasadę, że partnera związanego liną traktuje się jak brata, osobę ważniejszą. Wszelki egocentryzm jest bezwzględnie wykluczony. Z dużym zaskoczeniem więc zobaczyłem w Himalajach inne postawy, a mianowicie ludzi, dla których najważniejszą sprawą jest wejście na górę i wtedy już nic innego się nie liczy, ani moralność, ani zasady etyczne. Na tym tle tylko Janusz zachowywał się i postępował bez najmniejszego zarzutu. Formalnie ekspedycji szefowała Wanda, ale emocjonalnie już tak się ogromnie zaangażowała, że wyraźnie wszystko jej się wymykało z rąk. Jemu nigdy nerwy nie puszczały, zawsze panował nad sytuacją, wszystkich traktował jednakowo życzliwie, a nawet serdecznie. I właśnie o tym zrobiłem film, który zatytułowałem „Temperatura wrzenia”<sup>72</sup>. Nie jest to tylko barwna relacja z wchodzenia polskiej wyprawy na szczyt niebotycznej góry, ale przede wszystkim o postawach i zachowaniach ludzi realizujących to bardzo trudne zadanie. Dlatego premiera filmu sprawiła, że niemal całe środowisko się na mnie obraziło, uważając za niedopuszczalne upublicznienie „tajemnic” ekspedycji uwieńczonej przecież tak wspaniałym sukcesem.

- W czasie każdej wyprawy toczy się skomplikowana gra - Janusz nawiązuje do refleksji Zajączkowskiego. - Przecież zdarza się, że swoją stopę na szczycie góry stawia wcale nie naprawdę najlepszy, ale ten, kto ma szczęście być w odpowiednim momencie w odpowiednim miejscu. Zaczyna się od aklimatyzacji. Aby przystosować organizm do mniejszych ilości tlenu, trzeba partiami wspinać się i schodzić. Nieostrożne szafowanie siłami może spowodować, że już na tym etapie, w ciągu pierwszych kilku dni człowiek się zedrze i nie może być mowy o jego udziale w zdobywaniu szczytu. Bardzo często rywalizację narzucają zmienne i kapryśne warunki. Solidnie przygotowany zespół na przykład przystępuje do atakowania szczytu, a tu kompletnie załamuje się pogoda, muszą zrezygnować. Tymczasem w obozie są koledzy może technicznie słabiej przygotowani, ale w pełni sił. Kiedy więc poprawia się pogoda, to przed nimi otwiera się szansa zdobycia szczytu. Wcale nierzadko, zwłaszcza w ekstremalnych warunkach, bywa również, że powodem kłótni stają się zupełnie drobiazgi, nieprzymierzając tak banalne, jak w udanym skądinąd małżeństwie. Po wyprawie – Janusz kończy optymistycznym akcentem - wszystko wraca do normy.

Niemal nazajutrz po powrocie z Gasherbrumów, Janusz angażuje się w przygotowania do narodowej wyprawy na szczyt K2, której kierownikiem desygnowano Janusza Kurczaba. Zostaje swego rodzaju „ministrem spraw zagranicznych”, nawiązuje korespondencję z wieloma firmami zachodnimi, zabiega o sprzęt, jakiego nie można zamówić w Polsce. Jego dyplomatyczne zabiegi odnoszą skutek – udaje się korzystnie załatwić sprawy ubezpieczeń, sfinalizować rozmowy z telewizją oraz z „Premier Tabacco Industries” - firmą produkującą papierosy „K2”. Obejmuje też pieczę nad finansami wyprawy<sup>73</sup>.

W końcu grudnia 1975 roku nadchodzi upragniona wiadomość: jest zgoda na wspinanie się na K2!

Osiem wypraw wcześniej atakowało drugi szczyt świata i tylko jedna osiągnęła cel – włoska ekspedycja w 1954 roku. Aż sześć istnień ludzkich pochłonęła walka o zdobycie K2. Już w latach trzydziestych prekursor i fanatyk idei polskiej wyprawy w najwyższe góry świata, warszawski alpinista Adam Karpiński, wyznaczał krajowemu alpinizmowi nowy, ambitny cel: „Namawiam na K2: Góra olbrzymia, obronna, więc tym większa chwała dla narodu, który na niej walczy. Nawet po osiągnięciu wierzchołka Everestu będzie pierwsze wejście na K2 zaliczone do wielkich czynów. Namawiam z całym rozmysłem. Wiem, że Polacy mogą robić wielkie rzeczy – tylko musi przed nimi stać wielki cel”<sup>74</sup>.

Najwybitniejszy polski znawca himalaizmu, dr Jan Kazimierz Dorawski, pisał: „Dzieje K2 są bardzo znamienne dla rozwoju alpinizmu w Himalajach. Oczywiście, wykazują one jak na dłoni, że każda kolejna wyprawa buduje swe sukcesy na osiągnięciach poprzednich. Jeszcze raz potwierdzają tezę, że najlepsze nawet przygotowanie, świetne wcielanie planów w życie przez doskonałą ekipę, może być z łatwością i w każdej chwili obrócone w niwecz przez przemożne działanie sił przyrody wysokogórskiej. Wicher, zamieć, mróz, brak tlenu – łamią najtęższe zespoły”<sup>75</sup>.

Coraz bardziej zbliża się termin wyjazdu polskiej ekspedycji, a tu wciąż nie wiadomo, czy Janusz dostanie paszport... Formalnie rzecz biorąc, ma trzy paszporty: zielony prywatny i dwa granatowe, z wstemplowaną literą S, służbowe - na wyjazdy z uniwersytetu i eskapady sportowe, ale – co w PRL-u jest oczywiste, wszystkie ma obowiązek oddawać natychmiast po powrocie do kraju i za każdym razem musi zabiegać o łaskawe wydanie.

Paszporty prywatny i „uniwersytecki” są w dyspozycji MSW. Podania o wydanie jednego z nich spotykają się z odmową. Ale trzeci, „sportowy”, jest złożony w depozycie w kasie pancерnej w Centralnym Ośrodku Sportu. Hanka Wiktorowska delikatnie więc sonduje, czy Janusz będzie mógł go otrzymać. Do ostatniej chwili trwa osobliwa wojna nerwów, na szczęście była koszykarka policyjnego klubu sportowego „Gwardia” ma sobie tylko znane „chody” i udaje się jej paszport Janusza wydostać z COS.

- Zaczynałam grać w koszykówkę w warszawskiej „Polonii” - wspomina Hanna Wiktorowska – a gdy się nasz zespół rozpadł, bo część zawodniczek wyszła za mąż i zostałyśmy matkami, sekcję przeniesiono do „Gwardii”, klubu resortowego MSW. Kierownikiem sekcji koszykówki był dyrektor stołecznego wydziału paszportów. I właśnie dzięki znajomości z nim mogłam załatwić kolegom wydanie paszportów. - Oj, Wiktorowska - czasem się zżymał – wy to chyba mnie w coś trefnego wpuszczacie... ale kilka razy paszport Januszowi załatwił. W ten sam sposób pomagałam też Andrzejowi Paczkowskiemu, który również miał potworne kłopoty z uzyskaniem paszportu. Naszych alpinistów obowiązywała procedura jak przy składaniu wniosków o paszport służbowy. W Klubie Wysokogórskim oddawali poświadczony w swoich zakładach pracy wnioski z dwoma zdjęciami: prawe oko, lewe ucho. Klub musiał dołączyć dziesiątki wypełnionych i zaaprobowanych przez Główny Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki papierków: z planowanym składem wyprawy, listą krajów, przez które kolejno mają będnę przejeżdżać, datą wylotu z Warszawy, a już na samym końcu ostateczny skład wyprawy, urzędowo zatwierdzony przez GKFiT. Całą tę dokumentację składało się w biurze paszportowym Centralnego Ośrodka Sportu przy ul. Łazienkowskiej, i to dopiero oni występowali do Wydziału Paszportowego MSW.

Zawsze występowałyśmy o paszporty dla większej liczby osób niż rzeczywiście uczestniczyło w wyprawie. Znacznie łatwiej bowiem wydawali paszport na taki wyjazd, kilka osób mogło się więc przy okazji „załapać na wyprawę”. Odbierając paszporty, oddawałam dowody osobiste wyjeżdżających, a po ich powrocie rytuał był odwrotny: oddawało się paszporty, a MSW zwracało dowody. Zdarzało się, że Główny Komitet Kultury Fizycznej usiłował wywierać presję, na przykład, że powinniśmy kogoś surowiej traktować, bo jego działania im się nie podobają, dopytywali się: „po co musi tak często wyjeżdżać w te zagraniczne góry..?”

Janusz zamierza wykorzystać okazję, jaką mu daje paszport „sportowy” i po zakończeniu wyprawy chce pojechać do Anglii na umówiony tam od dawna cykl wykładów na uniwersytecie w Leeds. Dlatego bierze roczny urlop bezpłatny w warszawskiej uczelni. Z Polski ma wyjechać z Januszem Kurczabem wcześniej niż reszta ekipy, aby na miejscu przygotować niektóre sprawy organizacyjne.

Dosłownie w przeddzień ich wyjazdu dzwoni do Klubu Wysokogórskiego wysoki urzędnik z COS-u. Surowym tonem pyta: czy w składzie grupy na K-2 jest Janusz Onyszkiewicz? Powołuje się na MSW, które właśnie zażądało niezwłocznego oddania paszportu Janusza. - Ale przecież on już wyjechał - spokojnie mu odpowiada Hanna Wiktorowska.

Nawet słowem nie wspomina Januszowi o tym telefonie. Nazajutrz jedzie na lotnisko, aby na własne oczy się przekonać, czy uda mu się bez kłopotu przekroczyć bramkę odprawy paszportowej. Obawia się, że MSW zdąży zawiadomić służby graniczne i mogą Janusza zatrzymać. Przygotowuje sobie na taki wypadek całe opowiadanie, które ma wyprowadzić w pole ubeków, gdyby wykryli, że świadomie skłamała odpowiadając na telefon z COS-u. Na szczęście Janusz i Kurczab bez kłopotów pokonują drogę do samolotu.

Janusz Kurczab zapisał:

„12 maja przed południem, we dwójkę z Januszem Onyszkiewiczem, wzięliśmy krótki rozbieg z Warszawy do Londynu na pokładzie niewielkiego lotowskiego odrzutowca Tu-134, by wykonać następnie wielki skok przez Amman do Islamabadu, tym razem samolotem British Airways - Viscunt-10. Lecąc słońcu naprzeciw, w pędzie pokonaliśmy kilka stref czasowych i w Islamabadzie przywitał nas już upalny świt 13 maja.

24 czerwca. Widać go! Kolos ukazał wreszcie swoje oblicze! Regularną, niebotyczną piramidę K2 omywały jeszcze poranne mgły, jednak po pół godzinie mgły ustąpiły i cała góra kapiała się w słońcu. Po raz pierwszy zobaczyłem prawdziwy kolor naszej góry. Skały były przeważnie rdzawo-żółte, ale gdzieśgdzie zdarzały się partie niemal czarne. K2 jest prawie cały zbudowany z nader twardego i odpornego na wietrzenie rodzaju gnejsu, który otrzymał

nawet nazwę gnejsu K2. Temu solidnemu budulcowi zawdzięcza swoją szczególną pozycję wśród wyniosłego otoczenia.

Jeszcze nigdy naraz nie widziałem tylu olbrzymich szczytów. Miałem teraz przed sobą wszystkie cztery ośmiotysięczniki Karakorum - Hidden Peak czyli Gasherbrum I, Gasherbrum II, Broad Peak i sam król tych gór - K2, który ukazywał nam swoją piramidę wierzchołkową. A przecież widoczne były jeszcze - Gasherbrum III i Gasherbrum IV, zbliżające się wysokością do „zaczarowanych” ośmiu tysięcy, zaś obok wznosił się Skyang Kangri! Tak, nie bez racji twierdzi się, że ten rejon Baltoro Mustagh, gdzie na niewielkiej przestrzeni skupia się duża ilość wysokich szczytów – to najpotężniejsze wyniesienie górskie na świecie” (...)

Na lodowcu w okolicy drugiej strefy szczelin widać było cztery maleńkie punkciki. Byli to Dmoch, Głazek, Koisar i Onyszkiewicz, śpieszący z kolejnym transportem dla obozu I i II ... Do zmroku brakowało jeszcze parę godzin, zajęci byliśmy właśnie rozładowywaniem plecaków i zagospodarowywaniem obozu, gdy potworny huk rozległ się od strony bariery seraków zwisającej spod Ramienia K2. W żlebie obok „filara Kurtyki” zakotłowało się. Masy lodu i śniegu ruszyły w dół zmiatając wszystko po drodze. Zmartwieliśmy z przerażenia. Przecież tam na lodowcu znajduje się teraz nasza czwórka! Lawina pędziła wprost na nich. Nie mieli najmniejszych szans ucieczki, była to kwestia sekund. Bezsilnie patrzyliśmy, jak zbliża się do nich potężny obłok pyłu, jak ogarnia cztery maleńkie sylwetki.

Gruchot toczących się odłamów lodu długo dzwonił w uszach. Serak był jak żywy, wciąż wypływał z siebie coraz to nowe i nowe bryły (...) Niecierpliwie wyczekiwaliśmy wieczornej łączności, żeby zapytać tych z obozu I o wrażenia z lawiny.

- Lawina była kapitalna - Janek Koisar zaczął opowiadać rozemocjonowanym głosem – mieliśmy kilkanaście sekund na przygotowanie się. Onych przytomnie wyciągnął aparat i fotografował. Postawiliśmy plecaki na śniegu i położyliśmy się za nimi, chroniąc głowy. Przeżycie było niesamowite. Dmuchi jak diabli, lawina przeszła nad naszymi głowami, ale nie czuliśmy żadnych uderzeń, widać bloki lodu rozsypały się po stoku lub nie doleciały do nas.

- Musieliście mieć kapitalny widok z góry – włączył się Onyszek - pewnie już nas grzebaliście w myślach? A myśmy „dali głos” zgodnym chórem i nura za plecaki. Ponabijało nam śniegu do ciuchów cholerycznie, ale w ogóle to nic groźnego. Więcej huku niż efektu”<sup>76</sup>.

Mniej więcej na wysokości pięciu tysięcy metrów Janusz dostaje wysokiej temperatury. Leży w namiocie z trudem łapiąc oddech, przez szparę wejściową akurat widzi „piramidę Gilkeya”, wzgórek usypany z kamieni na cześć amerykańskiego himalaisty Arthura Gilkeya, który podczas wyprawy w 1953 roku umarł właśnie z powodu wysokiej gorączki, której doznał z nieustalonego powodu... Jedynym ratunkiem dla chorego jest jak najszybsze zejście w dół, ale to może zająć nawet tydzień. Bierze antybiotyki, bez rezultatu. Dopiero pomaga lek na malarię, po paru dniach może iść dalej.

Wydarli górze niemal wszystko, z wyjątkiem ostatnich 200 m... Nikt z dziewiętnastu osób wyprawy nie stanął na wierzchołku K2. „Góra oszczędziła nas, lecz odepchnęła tak, jak wielu przed nami”- napisał Janusz Kurczab w swojej wspomnieniowej książce „Ostatnia Bariera”.

Gdy wracają przez Islamabad do Europy, w Wiedniu Janusz decyduje się nie wracać do kraju i jedzie do Anglii. Wykłada w Leeds, nawiązuje w Londynie kontakt z Eugeniuszem i Niną Smolarami z kwartalnika „Aneks”. Poczta przesyła Kurczabowi wszystkie rachunki, pełne rozliczenie wyprawy, skrupulatnie opisane wszystkie pozycje. Wysyła też list do Andrzeja Paczkowskiego, przewodniczącego PZA:

„Drogi Andrzeju!

Piszę do Ciebie w związku z moją decyzją odłączenia się od reszty grupy w Austrii.

Jestem, jak zapewne wiesz, bądź się domyślasz, uwikłany w skomplikowane układy paszportowo-rodzinne, które często zmuszają mnie do dokonywania niełatwych wyborów.

Tak było i tym razem. Od paru lat starałem się wyjechać na nieco dłuższy czas do Anglii. Po pierwsze sędzę i chyba każdy się ze mną zgodzi, że Alison ma prawo trochę czasem pomieszkać w swojej ojczyźnie. Oprócz tego, kontakt z angielskim środowiskiem naukowym, gdzie pracują ludzie nad interesującymi mnie zagadnieniami jest dla mnie zawodowo bardzo ważny. Z tego też względu podejmowałem wielokrotnie próby wyjechania służbowo, które mimo najprzeróżniejszych poparć przez Uniwersytet a nawet Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego były blokowane na innych szczeblach. Najbardziej zaawansowana była moja ostatnia próba, która zakończyła się odwołaniem mnie już z Anglii.

Zniechęcony do tej drogi postanowiłem załatwić wyjazd prywatnie uzyskałem z pracy roczny bezpłatny urlop, wniosek mój o paszport został jednak załatwiony odmownie. Przed wyjazdem na wyprawę złożyłem od tej decyzji odwołanie. W Austrii dowiedziałem się, że nie odniosło ono pożądanego skutku.

W tej sytuacji postanowiłem mimo wszystko pojechać do Anglii. Tu, w Londynie, przedstawiłem swoją sprawę w Konsulacie. Nie zgłoszono żadnych zastrzeżeń, a nawet przedłużono mi paszport, umożliwiając mi tym samym spędzenie tutaj całego urlopu.

Być może, władze sportowe (GKKFiT) nie uznają tego trybu załatwiania sprawy i zechcą wyciągnąć wobec mnie konsekwencje dyscyplinarne. Jestem gotów je przyjąć, jak również orzeczenie Komisji Dyscyplinarnej PZA. Jak już wspomniałem, nie miałem i dalej, nie mam bezbolesnych wyborów i muszę działać na zasadzie minimalnych strat.

Załączam swoją rezygnację z pracy w Zarządzie. Ze względu na przedłużanie się mego pobytu za granicą blokowanie miejsca nie ma chyba sensu. Możecie z tej rezygnacji skorzystać lub nie (np. w wypadku gdybyście uznali za właściwsze zwolnienie mnie z tej funkcji dyscyplinarnie). Chciałbym żebyście wiedzieli, że nie będę żywił urazy za żadną decyzję co do mnie wierząc, że będzie ona podyktowana dobrze zrozumianą ideą interesu alpinizmu.

Nie chciałbym abyś odniósł wrażenie, że tak łatwo i chętnie godzę się na wszystko, bo mi po prostu na pracy w Zarządzie i Waszej opinii nie zależy. Wprost przeciwnie- inaczej nie pisałbym tego listu W ciągu tych paru lat praca z Tobą i resztą zespołu dała mi wiele satysfakcji i mam nadzieję, że będę mógł w jakiś nieformalny sposób dalej z Wami współpracować.

Łączę serdeczne pozdrowienia dla Ciebie i proszę Cię o przekazanie ich reszcie zespołu”.

Hanna Wiktorowska musi pisać „wyjaśnienie” do COS-u, bo nie chcą przyjąć paszportów, skoro jednego brakuje. Uważali, że Janusz „wybrał wolność”, odmawiając powrotu do kraju. To nie była jakaś nadzwyczajnie wyjątkowa sprawa, że ktoś został na Zachodzie, często zdarzały się takie przypadki, ale tym razem władze rozpętały pokazową awanturę, Janusza nawet zawieszono w prawach członka Klubu.

Warszawa, dnia 18 listopada 1976 r.

Polski Związek Alpinizmu

L. dz. PZA-2933/76

Otrzymują:

GKKFiT – Departament Zagraniczny

COS – Dział Paszportowo-Wizowy

Komisja Sportowa PZA

Komisja Dyscyplinarna PZA

Klub Wysokogórski Warszawa

Klub Wysokogórski Wrocław

Kol. Janusz Fereński

Kol. Janusz Onyszkiewicz

Polski Związek Alpinizmu podaje poniżej wypis z protokołu 81 posiedzenia Zarządu PZA w dniu 16 listopada br.:

„Po przedstawieniu i przedyskutowaniu opóźnionego o 3 tygodnie powrotu z wyprawy na K2 Kol. Janusza Fereńskiego oraz opuszczeniu przez kol. Janusza Onyszkiewicza tejże wyprawy w czasie drogi powrotnej samochodem w Wiedniu, Zarząd postanawia:

Do wyjaśnienia sprawy zawiesić kol. Janusza Onyszkiewicza w czynnościach członka Zarządu PZA oraz jego Komisji.

Zażądać od kol. J. Onyszkiewicza natychmiastowego zwrotu dokumentów wyprawy na K2, które znajdują się w jego posiadaniu.

Zawiesić kol. Janusza Fereńskiego w czynnościach członka Komisji Sportowej PZA.

Przekazać sprawy obu kolegów do Komisji Dyscyplinarnej PZA

zawiadomienie o powyższej decyzji otrzymują: Departament Zagraniczny GKKFiT, KD PZA, Komisja Sportowa PZA, COS – Dział Paszportowo-Wizowy, Kluby, do których należą wymienieni oraz obu zainteresowanych”.

Za przyjęciem uchwały zdecydowanie głosuje Zbigniew Skoczylas. Znają się z Januszem od 1965 roku, choć nie uczestniczą w tych samych wyprawach, często spotykają się w górach: w Alpach, na Kaukazie. Skoczylas jest oficerem Ludowego Wojska Polskiego, w stopniu kapitana, członkiem zarządu PZA. - Zawsze mieliśmy kłopoty z rozliczeniem prawie każdej wyprawy - komentuje swoje ówczesne stanowisko. - O ile przed wyjazdem wszyscy się bardzo starali, aby rozliczenia i cała dokumentacja była w największym porządku, to po powrocie do kraju już bywało różnie, niektóre rozliczenia ciągnęły się nawet całymi latami. A przecież każda wyprawa to ciężkie pieniądze i w żadnym razie nie da się przejść do porządku, gdy brak rozliczenia. Dociskał nas więc z bilansem Główny Komitet Kultury Fizycznej, odmawiali jakichkolwiek dotacji. Dawali się trochę udobruchać, gdy widzieli, że winnych okładamy karami. Uchwała nie miała absolutnie żadnego związku z polityką. Zresztą podobnie potraktowano jeszcze cztery czy pięć innych osób.

Janusz listem odpowiada na uchwałę:

Leeds, 23.XII. 1976

Zarząd Polskiego Związku Alpinizmu, Warszawa, ul. Sienkiewicza 12/439

W związku z przesłanym mi wyciągiem z protokołu z posiedzenia Zarządu dn. 18.XI.76 , a także pismem z Centralnego Ośrodka Sportu - Dział Paszportowo-Wizowy wyjaśniam, że zmuszony byłem do udania się bezpośrednio po wyprawie na K2 do Anglii z ważnych względów rodzinnych.

Natychmiast po przyjeździe do Londynu zgłosiłem się do Konsulatu PRL, gdzie wyjaśniłem swą sytuację. Ponieważ nie zgłoszono żadnych zastrzeżeń, a nawet przedłużono mi paszport do końca mojego urlopu t. j. do listopada 1977, uznałem sprawę za załatwioną.

Chciałbym dodać, że żona moja, która jest obywatelką brytyjską podjęła tu pracę zawodową, a ja kończę pisanie swej rozprawy habilitacyjnej.

Janusz Onyszkiewicz, University of Leeds School of Mathematics, Leeds, LS2 9JT

Ponieważ pobyt w Wielkiej Brytanii się przedłuża Alison zwraca się do polskich władz:

Leeds, 15.02.1978

Komenda Stołeczna MO

Warszawa

Pałac Mostowskich

P O D A N I E

Uprzejmie proszę o utrzymanie ważności mego pozwolenia na stały pobyt w Polsce.

Przebywam obecnie wraz z mężem w Wielkiej Brytanii, gdzie podjęłam pracę. Ostatni raz byłam w Polsce w kwietniu ub. roku, ale w roku bieżącym praca zawodowa nie pozwoli mi na przyjazd. Tak więc mój nieprzerwany pobyt za granicą przekroczy okres jednego roku, co jak mi powiedziano, może spowodować utratę pozwolenia na stały pobyt w Polsce i konieczność ponownego załatwiania wszystkich formalności.

Ze względu na to, że nasz pobyt za granicą nie ma charakteru stałego (mąż mój jest na urlopie bezpłatnym, w Wielkiej Brytanii wykłada na jednym z uniwersytetów) proszę o pozytywne załatwienie mojej prośby.

Alison Chadwick-Onyszkiewicz

Warszawa, ul. Polna 54/67

adres czasowy:

Flat 1, 6 Cumberland Rd.

Leeds 6

England

Do wiadomości:

Konsulat Generalny PRL w Londynie

W tym samym czasie Janusz otrzymuje kolejną odmowę przedłużenia ważności paszportu. Udaje nie obeznanego w prawie obywatela i pyta naiwnie:

Konsulat Generalny PRL

Londyn

19, Werymonth Street

W nawiązaniu do pisma nr 1538/71 z dn. 23.3.78 r. informującego mnie o odmownym załatwieniu mojego podania o przedłużenie ważności paszportu uprzejmie proszę o udzielenie mi odpowiedzi na następujące pytania:

1. Jakie jest brzmienie cytowanego art. 8 ust. 4 ustawy o paszportach?

2. Czy przysługuje mi prawo odwołania się od decyzji, a jeśli tak to do kogo i w jakim trybie?

3. Czy w związku z otrzymanym pismem mam uznać, że moje następne podanie z końca lutego br. zostało również załatwione odmownie?

J. Onyszkiewicz

Flat 1, 6 Cumberland Rd., Leeds 6

Nim nadchodzi odpowiedź, Onyszkiewiczowie wyruszają w Himalaje. Alison jedzie z kobiecą wyprawą amerykańską do Nepalu zdobywać jeden z ośmiotysięczników korony Himalajów – Annapurnę, Janusz w tym samym paśmie górskim wspinać się będzie z zespołem brytyjskim na Himalchuli.

Słońce i śmierć, dwie potęgi, którym – jak mawiał siedemnastowieczny francuski pisarz i moralista, La Rochefoucauld - nie możemy patrzeć w twarz. Gdzie przebiega ta cienka nitka oddzielająca życie od śmierci, tam na wysokości ponad 8 tys. metrów...? Strasznie trudno to uchwycić...

„Po zdobyciu Manasalu przychodzi pora na Annapurnę. Jesienią 1978 roku ekspedycja amerykańska zakłada bazę u stóp północno-zachodniej flanki tej góry. Ekipę wspinaczkową tworzą: Arlene Blum (kierowniczka), Alison Chadwick-Onyszkiewicz, Joan Firey, Liz Klubusicky-Majlander, Vera Komarkowa, Piro Kramar, Irene Miller, Margi Rusmore, Vera Watson i Annie Whitehouse. 16 października szerpowie schodzą aż do obozu II, natomiast alpinistki dopiero po godzinie 12-ej opuszczają obóz V. Z tego powodu muszą nocować w obozie IV, w którym znajdowały się Chadwick-Onyszkiewicz i Watson z szerpą Wangelem. Na sześć osób przypadają tylko trzy śpiwory i noc należy do bardzo ciężkich. Chadwick-Onyszkiewicz i Watson są w dobrej formie i zamierzają wejść na główny szczyt lub na dziewiczny środkowy. 17 października wyruszają w kierunku obozu V, bez Wangela, który nie czuje się tego dnia najlepiej. Pozostałe alpinistki schodzą do obozu III, w którym mają czekać na powrót drugiego zespołu szczytowego. Chadwick-Onyszkiewicz i Watson są po raz ostatni widziane przed zmrokiem poniżej obozu V. Od tej pory nie ma już z nimi kontaktu i koleżanki przypuszczają, że w obozie V zepsuł się radiotelefon. Gdy jednak przez cały następny dzień nie stwierdzono w górze żadnego ruchu, Blum organizuje 19 października zespół ratunkowy. Lakpanorbu i Mingmatszing wyruszają z obozu II, następnego dnia dojrzeli nieopo-

dal obozu IV Chadwick-Onyszkiewicz, która leży na stoku, a lina prowadzi do najbliższej szczeliny...

Prawdopodobnie obie spadły około 350 metrów w dół i Watson wpadła do szczeliny. Szerpowie nie mają liny, więc nie podchodzą do miejsca upadku alpinistek. Komarkowa i Kramer wyruszają do góry celem dotarcia do ciał, ale muszą zawrócić, gdyż jest nadal bardzo wietrznie i bardzo zimno, a Kramer dokucza odmrożony wcześniej palec. Wkrótce wyprawa opuszcza bazę. Na zboczu Annapurny pozostały na zawsze doświadczony alpinistki, które jak na ironię zginęły w dosyć łatwym terenie. Jeszcze raz potwierdza się, że nawet najmniejszy moment nieuwagi lub dekoncentracji w górach wysokich kończy się przeważnie tragicznie<sup>77</sup>.

Dramat wydarzył się dokładnie w dniu, gdy na papieża wybrano kardynała Karola Wojtyłę. Obie te wiadomości - jedna tragiczna, dotycząca go bezpośrednio, i druga, radosna dla wszystkich Polaków - docierają do Janusza z opóźnieniem. Przynosi je lokalny kulis, gdy Janusz schodzi do bazy u podnóża Himalchuli.

Hanna Wiktorowska towarzyszy wtedy polskiej wyprawie w Katmandu, u podnóża Himalajów. Tam spotyka Janusza.

- Przyjechał szukać Alison, gdy już wszyscy z poszukiwań zrezygnowali. Boże - pytałam najzwyczajniej po babsku - jak ty sam pójdziesz w te góry, gdzie jej będziesz wypatrywał!?...

- Mam taki obowiązek - odpowiedział.

I został, trzy tygodnie sam jej tam szukał.

Wiedział, że żadnej szansy już nie ma, że jest po fakcie i niczego nie da się odwrócić... Chciał na własne oczy zobaczyć tę całą scenerię, przynajmniej uzyskać jakieś informacje o tym, jak to się stało, może choć dostrzec jakikolwiek ślad przez lornetkę...

Anna Bogobowicz: - Dwa tygodnie przed śmiercią Alison zmarła nasza mama. Janusz był wtedy w Himalajach. Te bolesne zdarzenia sprawiły, że nasze wzajemne relacje z bratem bardzo się zacieśniły. Zaczęłam pisać długie listy do Janusza i on mi odpowiadał. Przedtem właściwie w ogóle do siebie nie pisaliśmy listów.

Janusz już do wyczynowej wspinaczki nigdy nie powrócił.

\*

Aż zobaczyli ilu ich, poczuli siłę i czas,  
I z pieśnią, że już blisko świt, szli ulicami miast  
Zwalali pomniki i rwali bruk  
- Ten z nami! Ten przeciw nam!  
Kto sam - ten nasz największy wróg!  
A śpiewak także był sam...

Ożyła wypełniona po brzegi sala Teatru na Rozdrożu, setki głosów łączą się z solistą, zbuntowanym poetą Jackiem Kaczmarskim. Z coraz większą ekspresją gra na gitarze Przemysław Gintrowski<sup>78</sup>, a Zbigniew Łapiński dla kontrastu, ale i właściwej chwili, podtrzymuje grą na fortepianie liryczną nutę. W czerwcu 1979 r. wszyscy złaknieni są takiej pieśni: znikąd cienia otuchy - „w szarych domach szarzy ludzie”<sup>79</sup>. Polska nie jest już bajecznie kolorowa, jak to u szansonistów świętujących srebrne gody PRL. Nawet hippis i uliczny muzyk Walek Dzedzej buntuje się przeciw socjalistycznej nudzie, w przejściu podziemnym w centrum Warszawy, akompaniując sobie gitarą i harmonijką ustną, śpiewa: „Nie jestem w partii, nie jestem w ZMS-ie, więc k... nie jestem nikim”. Wystawanie godzinami w kolejkach, przybierających dziwne nieco figury przestrzenne, bo szerokich na kilka osób, a czasem nieco zwężonych lub zespolonych z niewielkich grupiek, wprawdzie sprzyja wymianie wiadomości w nieocenzurowanej postaci, jednak odbiera ludziom ich godność. Wszyscy mają w pamięci apel papieża, którym żegnał Polaków na koniec swojej pielgrzymki do ojczyznoego kraju: „proszę was, abyście nigdy nie zwątpili, i nie znużyli się, i nie zniechęcili, abyście nie podcinali sami tych korzeni, z których wyrastamy”...

Gdy Ryszard Kapuściński, świadek dziesiątków rewolucji w Trzecim Świecie, wraca do kraju, zawsze pyta, co się tu naprawdę działo podczas jego nieobecności. „Opowieści były coraz bardziej przesiąknięte poczuciem beznadziei, poczuciem grzęźnięcia w bagno, poczuciem, że to bagno nas wchłania. Drugi objaw, to nasilające się - w miarę upływu czasu - wrażenie, że coś musi się stać. Istniało przekonanie, że ten naród - zduszony, przygnieciony, pozbawiony głosu, pozbawiony szansy samorealizacji - wybuchnie”<sup>80</sup>.

Po pierwszym lipca osiemdziesiątego roku, kiedy rząd wprowadza bez uprzedzenia podwyżkę cen mięsa i wędlin, robotnicy natychmiast przystępują do strajku. Najpierw w Stalowni Walcowni Grubej „Ursusa” i Fabryce Lamp Kineskopowych w Piasecznie, zaraz też protesty obejmują zakłady w Świdniku, Lublinie oraz FSO na Żeraniu. Strajki nazywane przez propagandę „przestojami” są już w całej Polsce: Wrocław, Sanok, Tczew, Poznań... „W narastaniu fali strajkowej najważniejsze jest to nagłe i niezwykle poczucie wspólnego przeżywania niezależności od władzy. Uczucie wyrwania się z powszedniego lęku jest żywe, radosne, ma moc oczyszczającą. Każdy może w tym uczestniczyć - robotnik i dyrektor, fizyczny i umysłowy, partyjny i nie zrzeszony, opozycjonista i milicjant - i tym akcesem jakby zyskuje rozgrzeszenie za dotychczasową bierność, posłuszeństwo, realistyczną zgodę na reguły życia dekretowane przez partię. Otwartość ruchu oparta jest na poczuciu, iż dotąd wszyscy byliśmy zastraszeni, stłumieni, zagubieni, nie rozumiejący, wciągnięci w tamto ponure życie - a teraz się z tej dusznej zależności, z tego trwałego lęku wyzwoliliśmy”<sup>81</sup>.

W tym niespokojnym i ważnym czasie Janusz poznaje Zbigniewa Janasa, elektromontera ciepłowni ZM „Ursus”, który ze Zbigniewem Bujakiem organizował lipcowy strajk w fabryce traktorów.

- Poznaliśmy się przez Zbyszka Bujaka - przypomina sobie Janas. - Pierwszy raz wybrałem się do niego do domu, na Polną. Moje odwiedziny wiązały się z powołaniem w Ursusie Komisji Robotniczej, która nie tylko formułowała pod adresem władzy żądania i postulaty, ale miała się stać zalążkiem więzi robotników z intelektualistami. Szukaliśmy lidera, człowieka z zewnątrz, wykształconego, który mógłby imponować nam, robotnikom, być dla nas autorytetem, przewodnikiem i nauczycielem, który byłby zawsze dostępny, prowadził wykłady na różne tematy. Wokół takiego człowieka chcieliśmy skupić grupę zaufanych kolegów. Wy-

obrażaliśmy sobie, że takie grupy powstaną na różnych wydziałach „Ursusa”. Pierwszą grupę miał prowadzić Janusz. Był wtedy związany ze środowiskiem „Robotnika”, KIK-u i KOR-u. A dla nas, robotników z Ursusa, ludzie KOR-u od pierwszych spotkań byli niesłychanie życzliwi, gotowi w każdej chwili na nasze wezwanie spotkać się, być z nami. Janusz ze względu na swoją osobowość okazał się bardzo przyjacielski, ciepły, taki normalny, imponował nam, bo to przecież doktor matematyki, sławny alpinista i grotolaz. Dla nas wszystko co jego dotyczyło było niezwykle. Jego życiorys zainspirował nas, żeby prowadzenie pierwszej grupy jemu zaproponować. Naszego pomysłu nie zdążyliśmy jednak zrealizować, wybuchł bowiem Sierpień, który zmienił wszystkie nasze plany...

...Uda się na pewno

Ludzie! Wszyscy wierzcie

Będzie sprawiedliwość

Wolność będzie wreszcie!”<sup>82</sup>

Ale „w Polsce już kilka razy zaczynał się świt, który później okazywał się fałszywy...”<sup>83</sup> Początek sierpnia 1980 roku wita kraj deszczem. W Moskwie trwają XXII Igrzyska Olimpijskie. Kozakiewicz w skoku o tyczce bije rekord świata i pokazuje kibicom na trybunach, a także, dzięki transmisji telewizyjnej całemu światu, w wymownym geście: - a właśnie, że się nie damy! Edward Gierek i Leonid Breżniew razem wczasują na Krymie, umacniając „współdziałanie polityczne obu bratnich partii będących siłą motoryczną dalszego zbliżenia narodów Polski i Związku Radzieckiego oraz stałego pogłębiania współpracy”. W gazetach obok zdjęcia roześmianych, zrelaksowanych pierwszych sekretarzy dużo miejsca zajmują informacje o strajku na Wybrzeżu. „Kolejny dzień strajku, kolejny dzień strat gospodarczych” - utyskuje „Trybuna Ludu”, a „Sztandar Młodych” opisuje z lotu ptaka sparaliżowane strajkami miasto. W radio lansują przebój Rosiewicza o witaminach, jakie „mają tylko polskie dziewczyny”, uhonorowany pierwszą nagrodą na Festiwalu Piosenki w Opolu. A wszędzie, gdzie tylko spojrzeć tasiemcowe kolejki dosłownie po wszystko: po mięso, chleb, gazety, meble, pralki, maszyny do szycia, kolorowe telewizory, mydło, papier toaletowy, sznurek do snopowiązałek... W tej tępotnie codzienności nie mówi się po prostu, że „kurczaki są nieświeże, zepsute i cuchnące”, ale, że... „straciły pierwszą wartość”<sup>84</sup>. Na dworcu w nocy „jest tak brudno i brzydko, że pękają oczy”<sup>85</sup>, a z rozwieszonych na dziesięciopiętrowych blokach z wielkiej płyty czerwonych transparentów biją w oczy krzepiące hasła w rodzaju: „Program partii postem w XXI wiek”.

W tej jakże „śmiesznej krainie absurdu” coraz częściej jednak używa się budzącego nadzieję słowa: „odnowa”...

Większość dziennikarzy przebywających w Gdańsku przyjechała na Międzynarodowy Festiwal Piosenki w Sopocie, a znalazła się na zupełnie innym spektaklu: w Stoczni Gdańskiej! I niewiele z tego rozumieją. - Co ja zrobię, jeśli Gierek ustąpi? - zastanawia się angielski dziennikarz - przecież będę musiał napisać, co to oznacza, a ja tego nie wiem<sup>86</sup>, a kilku reporterów ze świata ma trudności z określeniem, gdzie ten Gdańsk leży...

Napis na orle w pobliżu I bramy Stoczni: „Niech żyją WZZ (Wolne Związki Zawodowe) i poniżej: Niech ma nas w swojej opiece Bóg”. I krzyczący jakiś działacz: - Wolne Związki? A od czego mają być wolne? Od partii?... wprowadza w ich uporządkowanym myśleniu chaos: Bóg, klasa robotnicza i partia. Jak to powiązać? Również polscy dziennikarze uczestniczą w nowym scenariuszu. „Ta brama nie dzieliła a łączyła ludzi. Z jednej strony stali stoczniowcy, z drugiej było miasto. Z jednej strony mężowie, z drugiej żony i dzieci. Wyczuwało się, że za tymi bramami funkcjonuje zupełnie inny świat, że rządzą tam inne prawa. Znalazłem się na granicy innego świata”<sup>87</sup>.

Janusz jest związany z redakcją „Robotnika” - Henrykiem i Lutką Wujcami, Heleną i Wojtkiem Łuczywo. Ze względu na znajomość obcych języków ma dość aktywne kontakty z dziennikarzami zachodnimi, proszą, aby poleciał z nimi do Szczecina, na strajk, gdzie już

powołano Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, który wysunął pod adresem rządu 36 postulatów. Pisano o tym niewiele, bo strajkujący nie wpuszczali prasy na teren stoczni. Grupę, która przylatuje z Januszem, też zatrzymują przy bramie. Udaje się jednak porozmawiać z przedstawicielami Komitetu Strajkowego, którzy informują, że właśnie w Szczecinie rozpoczynają się rozmowy z rządem! To jest prawdziwy szlagier, wiadomość najwyższej rangi sygnalizująca znaczący przełom polityczny w sytuacji, gdy wydawało się, że władza już do końca będzie szła „w zaparte” i do żadnych negocjacji nie przystąpi!

Aby dziennikarze tę rewelację mogli przekazać do swoich redakcji i ogłosić światu, muszą jak najszybciej wrócić do Warszawy, do dalekopisów i telefonów, które dają im przywilej kontaktu z zagranicą. Biegają więc z powrotem na lotnisko, ktoś ich goni, próbuje zatrzymać, ale w końcu dostają się do samolotu startującego na Okęcie. W połowie drogi maszyna raptem zawraca, nikt nie wie, co się dzieje, dokąd wszystkich wywiozą?!.. Lądują w Poznaniu, obsługa lotniska informuje, że Warszawa nie przyjmuje samolotów. Nie wiadomo, czy z powodu wprowadzenia stanu wyjątkowego, a może wybuchu w Polsce strajku generalnego? – starają się odgadnąć, aż ktoś kładzie kres tym dziennikarskim spekulacjom oznajmiając, że nad stolicą przeszła gwałtowna burza i zalane lotnisko nie może przyjmować samolotów...

W rezultacie ze znacznym opóźnieniem poszła w świat niesłychanie ważna informacja o negocjacjach, które rozpoczęły się w Szczecinie wcześniej niż w Gdańsku.

Andrzej Zajączkowski spotyka się z reżyserem Bohdanem Kosińskim, który ma kontakty z KOR-em, na kortach „Warszawianki”. - Zastanawialiśmy się: jak to z nami jest? Przecież jesteśmy ludźmi, którzy powinni dokumentować wszystkie ważne wydarzenia, a my tu siedzimy jak gdyby nic się nie działo... Postanawiamy: koniec z tym grzecznym wyczekiwaniem, jedziemy na Wybrzeże. Przedstawiamy temat naszej filmowej realizacji dyrektorowi programowemu Wytwórni Filmów Dokumentalnych. Oczywiście, wymiguje się jak może z akceptacją, wreszcie przyparty do muru odpowiada, że taka decyzja nie leży w zakresie jego kompetencji, ale samego ministra. Dopiero po dwudziestym piątym sierpnia wiceminister Kultury i Sztuki, Antoni Juniewicz, zezwala na zorganizowanie ekipy i wyjazd na Wybrzeże, ale bez Bohdana Kosińskiego. Władze nie zgadzają się na jego udział, bo uważają, że jest związany z opozycją. Zabieramy z trudem wywalczone 10 tysięcy metrów taśmy, wymyślam tytuł „Robotnicy’80”, dostajemy od Komitetu Strajkowego przepustki i wchodzimy z ekipą do Stoczni! To jest dla mnie ogromne przeżycie. Wcześniej chyba tylko raz w życiu odczuwałem podobną euforię, i to jeszcze będąc właściwie dzieckiem, gdy wybuchło Powstanie Warszawskie. Mieszkaliśmy na Mokotowie, moja matka szyła powstańcze opaski. Wtedy, w czterdziestym czwartym, też był sierpień i też było ciepło. Między podwórkami sąsiadujących posesji zburzono płoty i ogrodzenia i na tej wolnej przestrzeni w kółko chodzili czwórkami powstańcy z biało-czerwonymi opaskami i głośno śpiewali „Jeszcze Polska nie zginęła”. W Stoczni zastałem takie samo zbiorowe zachłyśnięcie się wolnością<sup>88</sup>.

Niepowtarzalne dni. „Od dawna nie żyłem tak pięknie i intensywnie” - notuje w dzienniku Wiktor Woroszyński. Ludzie mówili: niech się dzieje co chce, niech ten strajk trwa, niech trwa, bo żyć tak jak do tej pory jest niepodobna. Wszyscy wracali ze stoczni, tego Przylądka Dobrej Nadziei, inni niż pojechali.

Janusz Onyszkiewicz w Warszawie ma poczucie życia na wulkanie i niepewności: jak to będzie? Co dalej?... Podobnie jak w górach, z determinacją stara się zakładać kolejne obozy, aby iść coraz wyżej, aż do osiągnięcia celu. Z Maciejem Gellerem, fizykiem, którego po marcu’68 aresztowali w związku ze sprawą „taterników”, organizują serię zebrań uniwersyteckiego Związku Nauczycielstwa Polskiego, do którego Janusz zapisał się bodaj w 1976 roku i nawet wybrano go przewodniczącym Rady Wydziałowej. Doprowadzają do zredagowania w gronie 60 osób uchwały popierającej robotnicze strajki. Dokument jest przyjęty jednomyślnie. Aby doręczyć go Komitetowi Strajkowemu w Stoczni wysyłają Gellera, uważają bowiem, że

potrafi najlepiej przedrzeć się przez kordony mundurowych milicjantów i ubeków po cywilnemu. I rzeczywiście to wcale niełatwe zadanie udaje mu się wykonać.

W tym samym czasie Krzysztof Śliwiński obraca się trochę w innych sferach i nie ma na co dzień kontaktu z Januszem. - Kiedy do stoczni wyjechali tak zwani eksperci zawieźć listę podpisów z wyrazami poparcia dla strajkujących, my w Warszawie, w drugim, czy trzecim rzucie frontu, robiliśmy swoje. Niebawem zawiązuje się sztab stanowiący zaplecze ekspertów dla Stoczni. Siłą naszego środowiska było powiadamianie o wydarzeniach światowej opinii publicznej poprzez korespondentów zagranicznych. Inspirowaliśmy wiele artykułów, które drukował opiniotwórczy „Le Mond” oraz ogłaszała powszechnie słuchana w kraju „Wolna Europa”. W zaufanym gronie spotykamy się codziennie, najczęściej w moim mieszkaniu, ponieważ jest dość obszerne i w dobrym punkcie w śródmieściu. Tu oglądamy w telewizji podpisanie porozumienia. Jako środowisko warszawskiego KIK-u znamy się wzajemnie i wiemy, że możemy sobie ufać. Zaufaniem darzą nas też strajkujący. W siedzibie KIK-u przy ulicy Kopernika 34 zaczyna działać ośrodek informacyjny powstającej „Solidarności”. Ja zostaję jego szefem. Doskonale układają się nasze kontakty z biurem MKZ „Mazowsze”, które zaczyna działalność przy ulicy Hożej 42. Spotykam tam Zbyszka Bujaka i jego kolegów z Ursusa i jakby na nowo odkrywam Janusza, którego przecież już znam i wiem, że można z nim bezpiecznie konspirować przeciwko komunistycznej władzy.

Janusz aktywnie włącza się w działalność MKZ Regionu „Mazowsze” właściwie od pierwszej chwili jego powstania. Henryk Wujec przekazuje mu informację, że nowy związek ma już swoją oficjalną siedzibę przy Hożej, numeru nie zna, określa tylko: „między Marszałkowską a Kruczą”. Biuro mieści się w części typowego mieszkania, kuchni i saloniku, podarowanym przez dwie ofiarne emerytki, które sobie zostawiły jedynie malutką sypialnię. - Przyszłem tam 4 września - Janusz doskonale pamięta tę datę. - Gdy tylko dowiedzieli się, że jestem z Uniwersytetu, ktoś powiedział: No, mój drogi, tutaj jest stół, a tam tłum ludzi. Od tej chwili jesteś naszym doradcą i masz radzić, jak zakładać związki zawodowe w zakładach pracy. Nie miałem wyboru, stanąłem za stołem...

Będąc już doradcą „Mazowsza”, nadal uczestniczy w działalności na UW, tworzeniu niezależnego związku zawodowego na uczelni. Spieszą się, bo zdają sobie sprawę, że szybko muszą skorzystać z otwartej furtki do swobód obywatelskich, nim władze odzyskają siłę i powrócą do stanu normalnego, to jest swojej polityki represji i prześladowania za jakąkolwiek działalność opozycyjną. Chcą wykorzystać moment zaskoczenia i stworzyć jak najwięcej niezależnych samorządnych związków zawodowych aby taką masę struktur komunistom trudniej było zdławić, gdy się szczęśliwa karta odwróci.

Z Maćkiem Gellerem wpadają na pomysł, aby cały uczelniany Związek Nauczycielstwa Polskiego, z rozwiniętymi sztandarami, demonstracyjnie przeprowadzić do nowego związku. Było to realne, ale oznaczałoby rozwiązanie ZNP, a tu już na przeszkodzie stały kwestie statutowe. Więc zorganizowali własny związek. Są na tyle sprawni, że w ciągu kilku dni doprowadzają do zjazdu założycielskiego, wybierają delegatów na zjazd centralny i wybierają władze krajowe oraz zatwierdzają statut. Nowy związek wchłania środowiska Polskiej Akademii Nauk, obejmuje całą oświatę i szkolnictwo wyższe, ma bodaj najdłuższą nazwę na świecie: Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Pracowników Nauki, Techniki i Oświaty. - W skrócie – objaśnia Janusz Onyszkiewicz - nazwany był dziewięcioliterowcem. Cały trud poszedł jednak na marne. 17 września bowiem w Gdańsku odbył się zjazd przedstawicieli wszystkich nowopowstałych związków i połączyły się w „Solidarność”. Oczywiście, myśmy też chcieli wstąpić, więc musieliśmy jeszcze raz zwołać swój zjazd, ponownie przeprowadzić wybory, żeby podług prawa nowego związku znaleźć się w jego strukturze.

Drugi „cud nad Wisłą” trwa. Selim Turquie w „Liberation” pisze: „Ci Polacy są niemożliwi. Czego jeszcze chcą? Żądali głów – głowy poleciały. Chcieli mieć prawo do strajku – i będą je mieli. Chcą niezależnych związków. Przemówił do nich sam kardynał. I to w telewi-

zji. Wyobrażacie to sobie? Nawet jego nie usłuchali. Uparci Polacy, choć przecież wierzący. A ich ruch rośnie z dnia na dzień. Czujecie się zaniepokojeni? Raczej - pełni podziwu i entuzjazmu na widok ich chyrego pragmatyzmu i spokojnej determinacji. Dla nas to prawdziwa lekcja. Chapeau bas...<sup>89</sup>

W Warszawie w lokaliku przy Hożej nie daje się normalnie funkcjonować. Tłum ludzi kłębi się w ciemnej, wąskiej klatce schodowej, całe biuro „Mazowska” to dwie dziewczyny, które wszystkie papiery trzymają w dwóch plastikowych torbach. Zawsze te dokumenty mają przy sobie, gdziekolwiek wychodząc, zabierają. Obawiały się tego zostawiać, bo gdyby ta kartoteka ze wszystkimi kontaktami i nazwiskami zniknęła, nie byłoby „Mazowska”!

Z pomocą przychodzi Klub Inteligencji Katolickiej, który z solidnego i pewnego zaplecza szybko staje się ich stałą siedzibą, przenoszą się do KIK-u i redakcji „Więzi”, która mieści się w sąsiedztwie, tuż za rogiem. Dopiero po pewnym czasie „Mazowsze” uzyskuje większy, samodzielny lokal przy ulicy Szpitalnej, który zresztą też szybko okazuje się niewystarczający. Trochę lepiej jest po przeprowadzce do kolejnej siedziby, przy ul. Mokotowskiej.

Krzysztof Śliwiński jest drugim obok Janusza inteligentem zatrudnionym w tak zwanym pełnym wymiarze godzin w organizującym się „Mazowszu”. - Pracujemy na okrągło, po 24 godziny na dobę, dość długo w jednym pokoju. Teoretycznie Janusz zajmuje się kontaktami z dziennikarzami, ja związkowcami i inteligenckim zapleczem wspierającym „Solidarność”. Faktycznie to się zlewa, każdy z nas zajmuje się wszystkim, jest tylko zdecydowany podział: ja „obsługuję” francuskojęzycznych, Janusz „anglików”. Dołączają do nas Teresa Bogucka i Kasia Cywińska oraz prawnicy. W momencie, gdy wprowadzamy się na Szpitalną, Zbyszek Bujak proponuje mi, żebym został szefem administracyjnym „Mazowska”. Mam pełnić służbę cywilną, zachowując apolityczność. Nie było to dla mnie trudne, nigdy nie byłem we władzach związku, ani nie należałem do żadnej partii. Nie mogłem mieć zaufania do każdego, kto się zgłaszał do pracy. Spodziewaliśmy się, że przecież ubecja zaraz naśle nam wspaniałą drużynę różnych fachowców. Staraliśmy się wyszukiwać współpracowników pośród znanych nam środowisk: katolickiego i dysydenckiego. I to jest sprawa „salonów”, bez których żadna rewolucja nie może się dokonać. Podczas jednego z towarzyskich spotkań u Janiny i Wiktora Woroszylskich poznałem wysoką, bardzo przystojną blondynkę: Joannę Jaraczewską. Pewnego dnia odwiedziła mnie w „Mazowszu”. - Mam paszport angielski - powiedziała - ale chcę pomóc „Solidarności”, bo to nasza wspólna, polska sprawa. Dowiedziałem się, że ta urodziwa dziewczyna włada biegle kilkoma językami, jest więc doskonałą kandydatką do obsługi naszych kontaktów z zagranicznymi dziennikarzami. Bez wahania zwróciłem się do niej: - Joasiu, pozwól, to jest mój przyjaciel Janusz Onyszkiewicz - przedstawiłem jej Janusza, a do niego powiedziałem: - Do Joasi możesz mieć pełne zaufanie, do tego włada wieloma językami, więc to chyba wymarzona osoba do naszego biura prasowego...

Joanna od razu została asystentką Janusza...

\*

## JOANNA

Powojenny, polski Londyn w 1952 roku. Uroczystość urodzin Aleksandry Piłsudskiej. Są znamienici goście. Jest jeszcze dostojniej niż zwykle, bo pani marszałkowa obchodzi siedemdziesięciolecie. W przyjęciu po raz pierwszy uczestniczy Joasia, ukochana wnuczka Jubilatki. Ma już dwa lata, nie bacząc na wymogi towarzyskiej etykiety zajada się smakowitymi, cynamonowymi ciasteczkami własnego, babcinego wypieku, przysmakiem znanym wszystkim gościom. W imieniu przyjaciół i znajomych życzenia składa generał Kazimierz Sosnkowski. Obecni z szacunkiem stoją, słuchają w skupieniu słów generała układających się jednak w trochę przydługą orację. – Babciu, siadaj, bo ten pan tak długo już mówi, że przecież się zmęczysz – przerywa rezolutnie jasnowłosa dwulatka, która przecież w tym wieku jeszcze nie musi się liczyć z żadnym protokołem dyplomatycznym.

Uroczystości z okazji imienin oraz urodzin babci łączą się z najdawniejszymi wspomnieniami Joanny Onyszkiewicz. Przede wszystkim zapamiętała tłumy przybywających gości. Oczywiście, nie odróżniała wtedy stanowisk, stopni i szarż. Wszyscy ci pułkownicy, generałowie, przeważnie ludzie już w zaawansowanym wieku i wielce utytułowani, o nienaganych manierach, pełni rewerencji dystygowani panowie i panie byli dla niej właściwie tacy sami, jednakowi znajomi babci. Dostrzegała jednak, że zgodnie zwracają się zawsze z wielką powagą i wyszukaną atencją do babci, która dla niej jest po prostu jej kochaną babcią, mamusią mamusi. Z biegiem lat to od tych gości dowiadywała się, kim jest jej dziadek dla Polski i Polaków, najsłynniejszy dziadek w Polsce, który zmarł niestety piętnaście lat wcześniej, nim przyszła na świat..

Joanna Onyszkiewicz, córka Jadwigi i Andrzeja Jaraczewskich: - Dla babci Aleksandry przeszłość naturalnie miała znaczenie, ale przede wszystkim interesowała się światem współczesnym. Żyła teraźniejszością. Nie była taka typowo babciovata, choć jak niemal każda babcia piekła pyszne ciasteczka i bułeczki, szczególnie na Wielkanoc. I bardzo lubiła kwiaty, wyjątkowo pelargonie. Do końca zachowała osobowość stanowczą, a nawet, powiedziałabym bojową.

Krzysztof Jaraczewski, syn Jadwigi i Andrzeja Jaraczewskich: - Zapamiętałem ją jako osobę energiczną, zawsze otoczoną wieloma ludźmi. Lubiłem jej pokój i jej towarzystwo. Nie pamiętam już dobrze szczegółów, raczej tylko atmosferę tamtego czasu, charakterystyczny, pełen ciepła nastrój...

Jadwiga Jaraczewska, córka Aleksandry i Józefa Piłsudskich: - Mama miała wielki dar grupowania ludzi wokół siebie, czy to w sprawach społecznych, czy rodzinnych. Często zupełnie jej nie znanych, samotnych osób...

„Urodziłam się w zaborze rosyjskim - zapisała we wspomnieniach Aleksandra Piłsudska – w Suwałkach<sup>90</sup>, tym spokojnym gubernialnym miasteczku, nie wyróżnionym specjalnie przez historię. Składało się ono z jednej głównej ulicy, pełnej dołów. W Suwałkach rezydował gubernator rosyjski; na końcu głównej ulicy stały koszary kawalerii z domami dla oficerów i urzędników. Z wyjątkiem oficjalnych stosunków społeczeństwo polskie trzymało się z daleka od Rosjan. Mieli oni swoje własne kasyno, gdzie odbywały się zabawy i koncerty, bez udziału oczywiście Polaków. Dwa społeczeństwa żyły obok siebie jak obce sobie i wrogie.

Suwałki były położone prześlicznie. Łagodne pagórki tu i ówdzie ukrywały wioski i dwory wśród wspaniałych lasów sosnowych i dębowych, ciągnących się bez końca. W ich sercu leżały wielkie jeziora, głębokie i tajemnicze i położone na takim odludziu, że jedynie ślady stóp przygodnego rybaka były oznakami istnienia człowieka”.

Rodzice pozostali w jej pamięci postaciami trochę zamglonymi, odległymi, oboje bowiem zmarli w niedługim czasie po sobie, gdy miała lat dziesięć. Ojciec - marzyciel, człowiek niepraktyczny, o usposobieniu artystycznym, kochał muzykę. Matka, kobieta piękna, ale jej zdrowie i siły nadwątlili bardzo częste porody. „Gdy umarła, mając lat ok. 40, zdążyła uro-

dzieć dwanaścioro dzieci – pięcioro tylko z nich żyło: brat, trzy siostry i ja. Byłam druga z kolei z żyjących. Mieszkaliśmy wszyscy razem w domu mojej babki Karoliny z Truskolaskich Zahorskiej, która odznaczała się wielką siłą charakteru i żelazną wolą (...) a inteligencją, odczytaniem, głębią umysłu i szeregiem innych zalet przewyższała bez wątpienia większość swoich rówieśniczek. Po śmierci dziadka sama gospodarowała niewielkim mająteczkiem, nawet bez pomocy rządcy, żelazną ręką trzymając służbę i fernali (...)

Głównym motorem jej życia był patriotyzm. - Kto się urodził Polakiem, ten musi być patriotą – powtarzała te słowa tak często, że utkwiły głęboko w mej dziecięcej pamięci, zanim jeszcze zrozumiałam ich znaczenie (...) W robocie spiskowej w czasie powstania 1883 roku grała w okolicy główną rolę, przewodząc na tajnych zebraniach u siebie na dworze. Przechowywała i przewoziła broń. Upadek powstania był największym ciosem w jej życiu. Od tego czasu ubierała się jedynie w czarne suknie, z wąską białą koronką u szyi i na rękawach, a na palcu nosiła na znak żałoby pierścionek z tabliczką z czarnej emalii, ozdobioną krzyżykiem z białych pereł.

Miałam chyba 7 lat, gdy pewnego wieczora zapytałam ją o ten pierścionek.

- To jest pierścień żałobny po tych, którzy polegli - odpowiedziała surowo na moje pytanie. Następnie zdjęła go z palca i pokazała mi datę wyrytą wewnątrz. Wysylabizowałam po woli: „tysiąc osiemset sześćdziesiąt trzy”.

- Babciu, pozwól mi włożyć ten pierścionek - prosiłam.

Wstrząsnęła przecząco głową:

- Możesz nosić go tylko wówczas, gdy będziesz patriotką, Olu.

Nareszcie miałam okazję zapytać o to, co słyszałam tak często:

- A co to znaczy być patriotką, babciu?

Zamyśliła się na chwilę i jej głęboko osadzone niebieskie oczy zaświeciły jakimś wewnętrznym ogniem:

- Ten jest patriotą - odpowiedziała - kto kocha Polskę nade wszystko na świecie i kto dla jej wolności poświęci wszystko, co posiada, nawet swe życie, gdy będzie trzeba.

- Ja chcę walczyć o Polskę, babciu - powiedziałam na pół rozumiejąc co mówię, tak bardzo chciałam włożyć ten pierścionek na palec.

- Wierzę, że chcesz, przyrzec mi, że będziesz walczyć!

- Przyrzekam, babciu - powtórzyłam uroczyście, przejęta grozą i mocą uczucia w jej głosie.

Przytuliła mnie do siebie z gestem rzadkiej u niej pieśczości, pocałowała i włożyła pierścionek na mój palec, trzymając go mocno, gdyż był na mnie o wiele za duży<sup>91</sup>.

Rodzina Piłsudskich też nie zagoiła jeszcze świeżych ran po klęsce powstania, tej „wojny garści źle uzbrojonych i źle odzianych szaleńców, zmagających się z kolosem władającym połową świata”. Józef Wincenty Piłsudski, wykształcony i światły agronom, jako komisarz Rządu Narodowego na powiat kowieński na Żmudzi, musi razem z żoną, kuzynką Marią Billewiczówną, którą poślubił 23 kwietnia 1863 roku, porzucić włości dziedziczne Tenenie w Kowieńszczyźnie i przenieść się do Zułowa, do wniesionego w posagu żony pokaźnego majątku liczącego około 11 tysięcy morgów, w powiecie święciańskim. Piłsudscy byli – według herbarza Seweryna Uruskiego - rodziną żmudzka, od początku XVIII stulecia należąca do zamożniejszych w swoim województwie. Podług tradycji rodzinnej pochodzą od Ginwiłłów vel Giniatowiczów, pieczętujących się Kościeszą. Z kolei Billewiczowie - jedną z najznakomitszych, a zarazem jedną z najdawniejszych rodzin żmudzkich, tych samych, o których pisze Henryk Sienkiewicz, że od Mendoga ród wiedli i dlatego „Potop” zaczął zdaniem: „Był na Żmudzi ród możny Billewiczów”...<sup>92</sup>

W Zułowie, położonym sześćdziesiąt kilometrów na północ od Wilna, zamieszkali w pięknie zbudowanym dworze o dwunastu pokojach. Na ścianach wisiały portrety przodków. Dwór otoczony był budynkami folwarcznymi i mieszkaniami dla służby. Przed bramą wjazdową,

gdzie wisiał herb rodowy „Kościeszka”, aż do samego dworu ciągnęła się droga wjazdowa wysadzana lipami. Wokół rozciągały się pagórki i rozliczne stawy.

„Lesiste pojezierze okolic Zułowa, rozciągające się nad granicami Litwy, Łotwy i Sowie-  
tów ma, swój odrębny, pełen uroku krajobraz - melancholijny, pyszny i romantyczny. Tę zie-  
mię borów i jezior, sadów, uli i lnu, o pejzażu głęboko nastrojowym, przerywały szlaki wo-  
jenne we wszystkich kierunkach, na których wielojęzyczne wojska toczyły boje o ten kresowy  
wycinek Rzeczypospolitej. Żyją tu stare tradycje szlacheckie i ludność twarda i uparta o  
śpiewnym akcencie mowy. Z owych stron bogatych w charaktery wyszedł legion najtęższych  
ludzi w Polsce. Mieszkają tu rodzeni bracia po krwi Mickiewicza, Kościuszki i często ich  
imiennicy”<sup>93</sup>.

W tym dworku w noc grudniową, cztery lata po klęsce powstania styczniowego, dokładnie  
5 grudnia 1867 roku Piłsudskim urodził się syn, który na chrzcie otrzymał imiona Józef Kle-  
mens. I „czar krajobrazu litewskiego, przepojony powagą i melancholią, otaczał jego młodość  
i pozostawił swe piętno na Jego usposobieniu”<sup>94</sup>. Był czwartym dzieckiem z dwanaściora  
rodzeństwa, miał jeszcze pięciu młodszych braci i trzy młodsze siostry. Również w rodzinie  
Aleksandry ze Szczerbińskich przyszło na świat dwanaścioro dzieci.

Przeznaczenie tak kierowało losem tych dwojga ludzi - Józefa i Aleksandry, że po raz  
pierwszy spotkali się w maju 1906 roku w Warszawie. Aleksandra Szczerbińska, absolwentka  
kursów Wyższej Szkoły Handlowej J. Siemiradzkiej w Warszawie, członkini wydziału bojo-  
wego Polskiej Partii Socjalistycznej<sup>95</sup>, oczekiwała razem ze swoimi towarzyszkami na przyby-  
cie człowieka, którego imię było już legendą w Polsce podziemnej. Odbывał inspekcję od-  
działów warszawskiej Bojówki PPS. „Żywo stoi mi w pamięci ten obraz, gdy w wiosenne  
popołudnie staliśmy wśród kilku karabinów, między koszami z browningami, mauzerami i z  
amunicją, a ja myślałam, że oto widzę człowieka, którego Syberia złamać nie zdołała. Fizycz-  
nie psychicznie był to człowiek zdrowy, w odróżnieniu od jakże wielu z tych, którzy wrócili z  
zesłania z piętnem klęski. Nie było w nim ani zgorzknienia, ani rezygnacji. W następnym  
momencie odczułam na sobie wpływ jego osobowości, jakąś siłę niezwykłą, nieokreślony  
magnetyzm, którym promieniował przez całe życie, nągając do siebie ludzi nawet wbrew  
ich woli. Nie wiem dlaczego, zdawało mi się, że zobaczę człowieka wysokiego i mocno zbu-  
dowanego, gdy tymczasem stał przede mną mężczyzna średniego wzrostu, o szerokich ba-  
rach, cienki w pasie. Miał dużo wdzięku i elegancji w ruchach, co zresztą zachował do końca  
życia. Tak lekko chodził, że zdawało się, iż nie idzie, lecz płynie; jak później przekonałam  
się, był doskonałym piechurzem, cięższe nawet marsze znosił lepiej od ludzi silniejszych od  
siebie. Ruchliwa twarz odbijała prawie każdą jego myśl.

Najciekawszy był jednak kontrast między jego prawą i lewą ręką. Lewa dłoń - wąska i  
nerwowa, kształtna i delikatna, zakończona kobiecymi niemal palcami, to ręka artysty i ma-  
rzyciela. Prawa była o wiele większa, jakby innego człowieka. Silna, nawet brutalna, z rów-  
nymi, kwadratowo zakończonymi palcami, tak silna, że - zdawało się - mógłby w niej łamać  
podkowy; była to ręka żołnierza i człowieka czynu. W późniejszych latach nieraz myślałam,  
że nic tak dobrze nie charakteryzowało tego człowieka jak te dwie jego ręce, jakby należące  
do dwóch ludzi, z odrębnymi cechami charakteru. Piłsudski był żołnierzem i realistą, trzeźwo  
patrzącym daleko w przyszłość, wybitnie praktycznym w czynie i bezwzględny, gdy wy-  
padki tego żądały. Jednocześnie był marzycielem i idealistą. Kochał poezję i piękno w każ-  
dym jego przejawie; czuły, wrażliwy aż do sentymentalności, przejawiał zbyt wiele wyrozu-  
miałości, był zbyt wspaniałomyślny w sądach o ludziach, którym zaufał, a którzy go zawodzi-  
li. Przy tym pierwszym spotkaniu nasza godzinna rozmowa polegała na liczeniu mauzerów i  
browningów. Dopiero po kilku miesiącach zobaczyłam go znowu w lipcu 1906 r.”<sup>96</sup>

Aleksandra Szczerbińska, druga żona Marszałka, była od niego piętnaście lat młodsza. Po-  
brali się w 1921 roku<sup>97</sup>, już po śmierci pierwszej, Marii Juszkiewiczowej, obłożnie chorej

przez długie lata. Ślub brali w Pałacu Belwederskim<sup>98</sup>, należącym do parafii św. Aleksandra. Tu otrzymały chrzest też ich córki: Wanda i Jadwiga.

Dwudziestego lutego 1918 roku, z celi magdeburskiej, Piłsudski pisze do Aleksandry, jeszcze nie wie, że już mają córkę: „Jeśli będzie syn, to według umowy ma mieć imiona Józef Mieczysław<sup>99</sup>, jeśli córka, to rozstrzygnij Ty sama, ja bym głosował za imieniem Wanda”<sup>100</sup>. W kilka dni później śle następny list: „Niezmiernie wdzięczny Ci jestem za wszystkie najdrobniejsze nawet szczegóły o Tobie i dziecku. Obiecywałem sobie zawsze dużo śmiechu z wychowania dziecka według ostatniego słowa nauki i postępu i chociaż, niestety, widzieć tego bezpośrednio nie mogę, sprawia mi niezwykłą przyjemność wiedzieć o tym z listu. Na przykład w ostatniej kartce z dnia 27/III znajduję szczegół, nad którym biedziłem się ze dwa wieczory. Pan Bóg obdarzył mnie dużą dozą żywej wyobraźni, lecz ani rusz wyobrazić sobie nie mogłem, jak ta biedna panna „gimnastykuje się” z rana według „systemu Muellera” i ma przy tym, jak piszesz, „rozradowaną minkę”. Czyżby „to” już się śmiało? Jak wiesz, mam bardzo konserwatywno-reakcyjną głowę, więc bierze mnie obawa, że przy tych eksperymentach powykręcasz dziecku rączkę albo nóżkę. Nie mogę też pochwalić Ciebie za nierozsądny, zdaniem moim, pomysł wsadzenia fotografii Wandeczki pomiędzy świąteczne babki. W każdym razie ani tych babek, ani fotografii dotąd nie otrzymałem. Zrób rozsądniej i wyślij fotografię w liście; bardzo jestem ciekaw, jak wygląda córka”.

Dziesięć miesięcy później zwierzał się przyjacielowi, Leonowi Wasilewskiemu: „Sytuacja mojego syna byłaby nie do zniesienia, bo już więcej ode mnie by nie zrobił. Polska jest Niepodległa<sup>101</sup>”.

Joanna Onyszkiewicz: - Wiem dobrze, jak bardzo trudno nieść przez życie spadek takiego dziedzictwa, chociaż raczej nie wychowywałam się w blasku wielkości Marszałka. Dla mnie właściwie nie istniała ani legenda Marszałka, ani legenda dziadka. Zawsze był to najzwyczajniej ojciec mojej ukochanej mamusi oraz ojciec mojej kochanej cici. Jawił nam się – mnie i bratu, w dwóch postaciach: jako nasz dziadek i jako Józef Piłsudski. Rodzice nie tworzyli z tego dziedzictwa domowej kapliczki, ale wychowywali nas jednak według jego podejścia do życia, zasad, którymi się kierował i był wierny nie tylko w słowach, lecz w czynach. Te same zasady były drogowskazem w życiu mojego ojca. Rodzice wpajali nam z naciskiem, że mamy postępować w życiu według tych norm, ale każde z nas musi iść własną, przez siebie wybraną i wytyczoną drogą. Bardzo pilnowaliśmy zachowania pewnej równowagi, aby ta rodzinna historia po stronie naszej mamy nie zdominowała tradycji rodzinnych po stronie naszego taty. Czasem niektórzy ludzie jakby się trochę dziwili, że my – brat i ja, mamy dwóch dziadków. W dzieciństwie dla nas nie miało żadnego znaczenia, który z naszych dziadków położył większe zasługi dla budowania wolnej Polski. Świadomość, że jesteśmy z bratem wnukami postaci historycznej, rosła z nami...

Krzysztof Jaraczewski: - Bardzo długo nie chciałem czytać ani dzienników babci, ani w ogóle książek czy artykułów historycznych o czasach Piłsudskiego. Bo dla mnie to nie byli bohaterowie historii, lecz przede wszystkim członkowie mojej rodziny. A w każdej rodzinie są przecież osobowości bardziej i mniej barwne, kontrowersyjne i nie budzące żadnych emocji. Własnymi oczyma chciałem patrzeć na swoich bliskich, a nie przez cudze oceny. Fakt, że mój dziadek był osobowością nieprzeciętną, częścią polskiej historii współczesnej, docierał do mnie stopniowo i w sposób naturalny, działało się to chyba wraz z każdą kolejną rozmową, której się przysłuchiwałem w pokoju babci, gdy często przyjmowała gości.

Jadwiga Jaraczewska: - Moja siostra, Wanda, która była dla mnie wzorem, bo uważałam, że urodziłam się po to, aby chodzić za Wandzią i na przykład, kiedy wychodziłyśmy do gości, tylko ona mówiła, a ja stawałam za nią i jedynie się uśmiechałam, bardzo prawdziwie w albumie Juliusza Englerta o Piłsudskim wyraziła nasze relacje rodzinne: „Dla legionistów był Komendantem. Dla całego Narodu Naczelnikiem Państwa, Marszałkiem Polski Odrodzonej. Dla nas był ukochanym, najtroskliwszym ojcem”. Gdy mama pisała wspomnienia, zapytała

nas: co mam napisać o ojcu? Wanda odpowiedziała: - Musisz, mamusiu, napisać o tym, że był wesoły i często śmiał się z nami. Ja dodałam: - I to, że tatuś pobudzał nas do śmiechu. Ojciec naprawdę lubił z dziećmi żartować, bawić się, wczuwać się w ich świat. Potrafił wzbudzić uczucie, stworzyć poczucie bliskości. Myśmy z siostrą były do ojca ogromnie przywiązane, zawsze miałyśmy do niego wstęp. Nieraz wchodziłyśmy do pokoju, w którym siedział sam i rozmyślał. Nie było nawet mowy, że mu kiedykolwiek przeszkadzamy w jego zajęciach. Godzinami stawiałyśmy z ojcem pasjanse, choć siostra nie bardzo lubiła, myliła się i trochę niecierpliwiła. A ja bardzo. Bywało, że tylko patrzyłam, czasami stawialiśmy pasjans wspólnie, ale często ja kładłam, a Ojciec patrzył...

„Wczesnej jesieni 1924 roku - notuje Aleksandra Piłsudska - firma gramofonowa w Warszawie zwróciła się do męża z prośbą o nagranie dwóch jego przemówień. Mąż zgodził się na to mówiąc, że drugie będzie lepsze; będzie mógł w nim poprawiać błędy pierwszego. Oczywiście firma spodziewała się przemówienia na temat państwowy lub historyczny. Ale mąż mówił o dzieciach:

„Stoję przed jakąś dziwną trąbą i myślę, że głos mój ma się oddzielić ode mnie i pójść w świat beze mnie, jego właściciela. Zabawne pomysły mają ludzie! Doprawdy, trudno się śmiać z tej dziwnej sytuacji, w której nagle głos pana Piłsudskiego się znajdzie. Wyobrażam sobie tę zabawną chwilę, gdy jakiś ananas korbą nakręci, śrubkę naciśnie - i jakaś trąba zamiast mnie gadać zacznie. Ciekawe! Chciałbym widzieć wtedy zebrane dzieci, do których trąba ludzkim głosem gada. A gdy pomyślę, że wśród tych dzieci nagle znaleźć się mogą moje własne, które na pewno pomyślą, że tatuś z nimi gdzieś za trąbą w chowanego się bawi, pusty śmiech mnie bierze, że ten biedny mój głos, ode mnie oddzielony, przestał nagle być moją własnością, i należy już nie wiem do kogo, nie wiem do czego: do trąby, czy do jakiegoś akcyjnego towarzystwa...

Żywiołem szczęścia jest śmiech... Śmiać się na zamówienie nie umiem, lecz powiem panom jedną uwagę o śmiechu. Witaliśmy Polskę odrodzoną nie dźwięcznym śmiechem odrodzenia, lecz jakimś kwasem śledzienników i jakąś zgryźliwością ludzi o chorych żołądkach. Więc głosem z trąby błagam: matki i ojcowie, gdy sami śmiać się nie możecie, w kąć rzućcie instrumenty pedagogiczne, gdy wesoły srebrny dzwonek roześmianych buziaków dziecinnych w waszych domach się rozlega. Niech się śmieją polskie dzieci śmiechem odrodzenia, gdy wy tego nie umiecie! A gdy wam teraz do śmiechu już usta się układają, śmiećcie się dowoli, gdy ja z tej trąby was żegnam pustym, dziecinnym, żołnierskim śmiechem i słowem: do widzenia!”.

A tak pisał o kojącym wpływie dzieci: „Nad głową stoi czas, nad duszą świszczy bat i człowiek się z sobą mocować musi... I wtedy ramię dziecka... dłońmi pieści tak jak jedwab, zmarszczki wygładza i troski zwalcząca”<sup>102</sup>.

Uwielbiał rozpieszczać córki, sprawiał im najróżniejsze, radosne niespodzianki, małe i większe przyjemności. „Mąż tylko je psuł i rozpuszczał... 23 czerwca wypadają imieniny Wandzi. Któregoś roku mąż był w tym czasie na kuracji w Druskiennikach, a ja z dziewczynkami byłam w Sulejówku. Wandzia martwiła się zawczasu, że na imieninach nie będzie Tatusia. W wilię tego dnia przyjechała do nas serdeczna przyjaciółka naszej rodziny, Halina Sujkowska, nasza kochana „ciocia Hala”. Przywiozła list od męża z życzeniami dla Wandzi, przesłany na jej ręce z prośbą aby rano, w dniu imienin położyła ten list przy śniadaniu pod jej talerzyk. Dziewczynki jadły tego dnia śniadanie tylko z ciocią Halą, gdyż sama czułam się zmęczona i zostałam u siebie w pokoju. Wandzia wpadła do mnie podniecona, mówiąc, że dostała list-łamiętkę, pisaną dużymi literami drukowanymi, rozrzuconymi w rozmaite esyfloresy. Wynikało z tego listu, że jeden pan jęczy i szlocha, nie mogąc przyjechać na jej imieniny. Oczywiście domyśliła się od razu, że to Tatuś ten list przysłał. Po krótkiej chwili radości zaczęła się martwić, bo przecież ten list oznaczał, że Tatusia na imieninach nie będzie. Do pokoju przyszła również i Jagusia. Pokiwała główką i pocieszała starszą siostrę: „Nie martw

się - mówiła - masz jeszcze cały dzień przed sobą, a po Tatusiu wszystkiego można się spodziewać". Po obiedzie nagle usłyszeliśmy znany stukot zajeżdżającego samochodu. Dziewczynki wybiegły do ogrodu. Rzeczywiście przed domem stał samochód, a w nim Tatus"

Innym razem w Pikieliszkach pod Wilnem, stutrzydziestohektarowej resztówce ze zrujnowanym dworkiem, przydzielonej Aleksandrze Piłsudskiej za order Virtuti Militari (bo każdy z kawalerów tego najwyższego bojowego odznaczenia miał prawo do przydziału ziemi), założył „Towarzystwo Rzeczy Przyjemnych a niekoniecznie Pożytecznych”. „Do Towarzystwa tego należał on i córeczki. Dorosłe siostrzenice otrzymały przyrzeczenie, że zostaną przyjęte w poczet członków, ale dopiero po rocznej próbie, która polegała na zasłużeniu się Towarzystwu”<sup>103</sup>. Godłem tego niezwykłego zespołu było Wronie Pióro, ponieważ zebrania odbywały się na cypelku, gdzie gnieździły się stada wron i moc ich piór zaścielała zawsze murawę.

Szczególny sentyment do Pikieliszek miała Jagódka. „W roku 1934 jesień była mokra i pochmurna. Na Wileńszczyźnie przyszły już przymrozki w październiku, ale nie zdążyły jeszcze zamrozić ostatnich kwiatków. Ażeby zrobić Jagodzie przyjemność, mąż poprosił bratanicę swoją, córkę Adama Piłsudskiego, która mieszkała w Wilnie, o przywiezienie do Warszawy bukietu tych właśnie ostatnich kwiatków pikielskich”<sup>104</sup>.

Najpopularniejsze dzieci II Rzeczypospolitej, córki człowieka-symbolu, który przyniósł krajowi wolność po 132 latach niewoli, matki chrzestne pierwszych statków odrodzonej polskiej floty handlowej: „Wandy” i „Jadwigi”...<sup>105</sup> W Rzeczypospolitej każdy wiedział, kim są Wandzia i Jagódka!

Profesor Zbigniew Wójcik, historyk:<sup>106</sup> - Można powiedzieć, że moja znajomość z córkami Marszałka zaczęła się w 1927 roku w Sulejówku, a jeszcze dokładniej w... piaskownicy. Mój ojciec, chorąży Walenty Wójcik, był wtedy bowiem adiutantem Komendanta. Nigdy nie odnosiłem się do nich z jakimś dystansem, że to przecież są marszałkówny, córki pierwszej osoby w państwie! Pośród dzieci oficerów, podoficerów, woźnych i cywilnych pracowników, które tam, w Sulejówku wówczas mieszkały, nie wymagały specjalnego traktowania czy wyróżniania. To były nasze, takie same jak my wszyscy, rówieśnice z tego samego wspólnego podwórka.

Jadwiga Jaraczewska: - Zbyszek i jego siostra Hala bawili się z nami w dzieciństwie. Miałyśmy normalne, szczęśliwe dzieciństwo, o tyle tylko może inne, że byłyśmy córkami wyjątkowego ojca. I że do naszego domu przychodzili niepospolici ludzie, a życie publiczne zawsze stykało się z prywatnym. Ogromna popularność ojca do nas w ogóle nie docierała. W naszym tak ruchliwym domu nigdy nie przywiązywało się wagi do społecznej hierarchii, do traktowania ludzi według pochodzenia czy sprawowanych urzędów. Jednakowo ważna była też dla nas cała nasza, liczna rodzina. W tej rodzinie byliśmy bardzo blisko siebie. Przy tym zawsze żyliśmy bardzo skromnie. Ojciec przecież ustawicznie przekazywał swe uposażenie na Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie albo na wdowy czy sieroty po legionistach. Uważał, że pieniądze dostaje się po to, żeby je oddać. I tak też konsekwentnie postępował nie gromadząc przecież żadnego majątku.

Ojciec nie lubił bałwochwalstwa. Powiadał, że traktują go jak pomnik, bo na pomnik można pluć, a on dalej stoi... Dotąd przecież w mówieniu o ojcu słychać emocje przesłaniające rzeczywistość. Każdy co innego pamięta. Ludzie odnoszą się nie do osoby, ale do swojego wyobrażenia o niej, często wyolbrzymiają pewne rzeczy. Ja na przykład dla wielu ludzi wciąż pozostaję Jagódką, tą małą dziewczynką, którą tak jak na znanych fotografiach ojciec trzyma na kolanach... Z drugiej strony przecież w żadnym razie nie można się od tej własnej historii rodzinnej całkiem dystansować<sup>107</sup>.

„Wielki człowiek jest na oczach i na ustach wszystkich - napisała przedwojenna publicystka Maria Wielopolska<sup>108</sup> - każdy słyszy o nim, widzi go, każdy kolportuje inną wersję, inną bajkę, czarowną, naiwną lub złośliwą i perfidną o tym życiu, nie podlegającym ani w dzień, ani w nocy zwyczajnemu prawu izolacji. Każdy przechodzień jest pewny, że wie wszystko,

co się za tymi jasno oświetlonymi szybami kryje, wie, co wielki człowiek w danym momencie robi, wie, co jada, nad czym grymasi, jak śpi, co lubi lub czego nie lubi, jakie kolory, jakie kwiaty, jakie książki. Wie, kogo z rodziny i spoza rodziny bardziej kocha, a kogo mniej, czym jest dla niego żona i dzieci lub plotkuje na ten temat niestworzone historie - bajkopisarz nieudany.

Życie Jego rodzinne składało się z pierwiastków prostych i jasnych, tak mało skomplikowanych, jak bardzo skomplikowane - na odwrót - było jego życie zewnętrzne, życie czynu i władzy...<sup>109</sup>

\*

Z zapisków Joanny Jaraczewskiej:

„Urodziłam się Polką. Co to znaczy?

W roku 1950 urodziłam się w Londynie - rodzice moi, którzy wyjechali z Polski na początku wojny, czuli zawsze i dalej czują, że Polska jest ich krajem, że Polska jest dla nich wszystkim. Tak nas, mojego młodszego brata i mnie, wychowali. Polska jest naszym krajem, za Polskę jesteśmy współodpowiedzialni, po polsku trzeba mówić - to nasz język, po polsku trzeba myśleć, dla Polski trzeba żyć...”

Dwadzieścia lat niepodległości mija jak sen. Z bombardowanej przez Niemców Warszawy, za namową jednego z generałów, Aleksandra Piłsudska z córkami decyduje się wyjechać najpierw na kresy wschodnie do majątku Jerzego Bułhaka, męża siostrzenicy Marszałka, Wandy z Juchniewiczów, zaraz potem do miasta, w którym, jak pisał Józef Piłsudski: „miłe mury, co mnie dzieckiem kiedyś pieściły, co kochać wielkość prawdy uczyły” - Wilna. Dwa dni po napaści Sowieców na Polskę po raz ostatni spojrzała na polską ziemię i przekroczyła z córkami granicę litewską. W drodze do Kowna, gdzie jeszcze latem młodsza córka, Jadwiga, była na zlocie szybowcowym, skorzystały z gościny właścicielki zajazdu. „Kiedy czekałyśmy na dworze na przygotowanie pokoju, jeden z uciekinierów, kolejarz, usłyszawszy moje nazwisko zbliżył się do mnie ze łzami w oczach.

- Proszę pani! Żeby to Pan Marszałek jeszcze żył, by do tego nieszczęścia nigdy nie doszło!

Za chwilę ktoś inny pocałował mnie w rękę, mówiąc:

- Ja byłem jednym z pierwszych co służyli pod Komendantem. Ja z Kadrówki! Pani Marszałkowno, Polska już raz zwyciężyła i znowu zwycięży. Ja może tego nie dożyję, ale ten dzień przyjdzie! - rzekł nieznamy mocno, z wielką wiarą w całej swej żołnierskiej postaci. Przypomniałam sobie słowa męża: „Być zwyciężonym i nie ulec to zwycięstwo”<sup>110</sup>.

W Kownie jednak wszyscy spodziewają się rychłego zajęcia kraju przez Sowiety. Aleksandra Piłsudska z córkami pośpiesznie rusza na Łotwę, do Rygi, skąd samolotem odlatują do Sztokholmu, a stamtąd w początkach listopada 1939 roku do Londynu, miejsca wygnania nie wybranego, lecz przeznaczonego, gdzie czeka na nie ambasador Edward Raczyński i dawny legionista, inspektor armii, generał Mieczysław Norwid-Neugebauer. Jest pierwszą polską osobistością, nie polityczną, która zjawia się w Londynie po wybuchu wojny. „Dolatuując do Anglii, po raz pierwszy od opuszczenia Warszawy miałam czas pomyśleć o przyszłości i uświadomić sobie, że jestem na wygnaniu, bez domu, bez kraju, a droga w przyszłość jest ciemna i niepewna. Nigdy jednak nie przywiązywałam zbyt wielkiej wagi do bezpieczeństwa...”<sup>111</sup>

Nazwisko marszałka Piłsudskiego w Anglii przystępującej do wojennych zmagania z potęgą militarną III Rzeszy wiele znaczy nie tylko wśród przybyłych tu jego dawnych żołnierzy. Dla większości Polaków jest uosobieniem wytrwałości i nieustępliwości w walce, ale jego nazwisko nie jest całkiem obce również Anglikom. „Józef Piłsudski przetarł londyńskie szlaki w końcu XIX w. Pierwszy raz przybył do Londynu w roku 1894, dwa lata później był dłużej i mieszkał w robotniczym East-Endzie. Kronikarz zanotował, że w czasie pobytu w Londynie przyszły marszałek ze względów konspiracyjnych zgolił brodę i przystrzygł brwi. Jest prawdopodobne, że mógł mu w tym pomóc Ignacy Mościcki, który miał wówczas w Londynie własny zakład fryzjerski”<sup>112</sup>. Nawet Joseph Conrad, który przebywając w Anglii mówił z dumą o sobie, że jest polskim szlachcicem z Ukrainy, na honorowym miejscu w swoim domu umieścił portret Marszałka, człowieka, który realizował patriotyczne marzenia również jego rodziców.

Z początku marszałkowa Piłsudska wynajmuje mieszkanie w okolicach polskiej ambasady, ale niebawem przeprowadza się z córkami do potężnego Dolphin Square nad Tamizą, domu giganta, wzniesionego wedle nowej idei, właściwie samowystarczalnego. Jest tu ponad 100 mieszkań, restauracja, fryzjer i kilka sklepików. Lokatorzy mogą tu żyć nigdy nie opuszczając budynku. Wybudowano go tak solidnie, że nawet niemiecka bomba nie zrobiła na nim wrażeń-

nia, gdy weń trafiła, tylko przez moment się wszystko zachwiało, a uszkodzeniu uległ sąsiedni budynek.

To prawdziwe zresztą zdarzenie nawet przeszło w anegdotę. Jadwiga Karbowska, recenzentka teatralna „Słowa” wileńskiego, która towarzyszyła Catowi-Mackiewiczowi w jego okresie londyńskim, opisała, jak marszałkowa Piłsudska „przestrzegała zwyczaju nieschodzenia do schronu obliczonego na kilkaset osób. Którejś nocy stała się rzecz dość niezwykła, mianowicie bomba, zamiast trafić w dach czy narożnik, wleciała do tego właśnie schronu masakrując sporą liczbę obecnych. Wstrząs obudził trzy panie, nic więcej”<sup>113</sup>.

Ta sama autorka też wspomina, jak pewnego razu „do pani Marszałkowej zgłosił się ktoś z propozycją, żeby zechciała wziąć udział w obronie cywilnej Londynu. Przy zapisywaniu, a raczej spelowaniu kolejnych liter, angielski fire-watcher powiedział:

- Ależ ja znam świetnie pani nazwisko sprzed wojny.

- Czyż to możliwe? - spytała zaskoczona.

- O tak! - i tu mimo woli przebiegł palcami po wyimaginowanych klawiszach: - Pani mąż przyjeżdżał do nas wielokrotnie z koncertami...

Wyjaśniło się wtedy, że pomylił Piłsudskiego z Paderewskim”<sup>114</sup>.

Gdy marszałkowa Piłsudska z córkami znalazła się w Londynie, Wanda ma dwadzieścia jeden lat i zamiłowanie do medycyny, a Jadwiga dziewiętnaście i pasję do latania.

- Samolotami - wspomina Jadwiga Jaraczewska - interesowałam się jeszcze za życia ojca; miałam 12 lat, kiedy konstruowałam modele. Już w 1938 roku zaczęłam latać na szybowcach, a przed samą wojną, latem, wykonałam pięciogodzinny lot szybowcem - z Bezmiechowej w Bieszczadach do Łukowa na Podlasiu. Zamierzałam studiować aeronautykę na Politechnice. W Londynie od razu chciałam pełnić służbę lotniczą, ale nie byłam dość przygotowana, nie miałam wylatanych wymaganych godzin, a przede wszystkim ukończonych dwudziestu jeden lat. Zaczęłam więc studiować na wydziale architektury w Cambridge. Warunki były bardzo przyjemne, ale w angielskim środowisku czułam się wtedy samotna, a nadto panował przykry nastrój zawieszenia, nie psujący do wszystkiego, co działo się wokół. Kiedy więc tylko barierę wymagań do służby lotniczej nieco obniżyli, przerwałam studia. Przyjęli mnie, po przeszkoleniu, do cywilnej służby pomocniczej, do jednej z wielu jednostek lotniczych stacjonujących blisko Londynu, dokąd dojeżdżałam codziennie z rana. Wszystkie byłyśmy – Angielki i Polki – umundurowane. Mnie i moje rodaczki wyróżniały naszywki „Poland”. Zasadniczo zajmowałyśmy się dostarczaniem samolotów z fabryki na wskazane lotnisko lub przeprowadzaliśmy je z jednego lotniska na inne. Obsługa techniczna zabierała się z miejsca do roboty. Lotnicy wojskowi byli wprost na wagę złota, toteż przede wszystkim my odbierałyśmy maszyny i odstawiałyśmy na właściwe lotnisko, aby ich już nie absorbować. Cieszyłyśmy się, jeśli samolot mogłyśmy od razu dostarczyć do jednostki bojowej RAF-u. Latałyśmy na różnych typach samolotów. Moim ulubionym był Spitfire. Nie było to zajęcie całkiem bezpieczne, zginęło wiele koleżanek i kolegów...

Naszywka „Poland” na ramieniu była przepustką do wielu angielskich domów. Anglia czasów wojny była krajem przyjaznym dla 150 tysięcy Polaków, bo walczyli o czyste niebo, wolne od złowrogich samolotów z czarnymi krzyżami. A jednak, jak wspomina Adam Zamoyski: „postrzegali nas o szczebel lub dwa niżej na cywilizacyjnej drabinie”<sup>115</sup>. „Londyn, do którego Polacy zaczęli przybywać po klęsce Francji, w lecie 1940 r., był dla większości miastem nieznanym. Przed wojną i po jej wybuchu za pierwszą metropolię Europy uchodził w Polsce Paryż, a stolica imperium brytyjskiego, ze względu na swoje położenie, leżała na uboczu szlaków turystycznych oraz zainteresowań. W lecie 1940 r. Londyn nie był najbezpieczniejszym miastem na ziemi, dla Polaków był jednak w pewnym sensie ziemią obiecaną. Docierali tam w związku z tym wszyscy, którym udało się pokonać kanał”<sup>116</sup>.

Z kraju, „gdzie - jak pisał Witold Gombrowicz - na nikim żaden kołnierzyk nie leży”, wojenna zawierucha przygnała do Londynu także porucznika marynarki wojennej Andrzeja Ja-

raczewskiego. W 1938 roku ukończył szkołę oficerską, miał wtedy dwadzieścia dwa lata, został zaokrętowany na kontrtorpedowiec „Burza”, który według rozkazu Komendanta Marynarki Wojennej w razie grożącego wybuchu wojny miał z „Gromem” i „Błyskawicą” wykonać plan „Peking” nakazujący opuszczenie Polski i skierowanie się do Wielkiej Brytanii. Przedostatniego dnia sierpnia 1939 roku trzy okręty wypłynęły więc z Gdyni, minęły Hel i obrały kurs na Olandię, a następnie, po utracie widoczności lądu, na Bornholm. O wybuchu wojny załogi dowiedziały się 1 września o godzinie siódmej rano, niebawem nad polskimi niszczycielami pojawił się brytyjski samolot. Wkrótce nastąpiło też spotkanie na morzu z brytyjskimi niszczycielami „Wanderer” i „Wallace”, które poprowadziły nasze okręty do Leith, skąd w nocy z pierwszego na drugiego września niszczyciele przeszły na redę w Rosyth.

- Wcale nie zamierzałem wstępować do marynarki - wspomina Andrzej Jaraczewski. - Owszem, miałem wyjątkowe zamiłowanie do morza, ale myślałem raczej o studiowaniu budownictwa okrętowego na Politechnice. Ponieważ na polskich uczelniach nie było takiego kierunku, musiałbym studiować w Gdańsku. To jednak wiązało się już z tak znacznymi kosztami, że moja matka nie była w stanie mnie finansować. Aby studiować i jednocześnie pracować, jak często postępowali polscy studenci w Gdańsku, w moim przypadku było zdecydowanie niemożliwe, za dużo czasu musiałbym poświęcić na pracę zarobkową, a niewiele zostałoby na poważną naukę. Dochodziła też ważna kwestia mojej znajomości języka niemieckiego, tylko na poziomie gimnazjalnym. Żeby mimo wszystko przy morzu pozostać, zdecydowałem się wstąpić do Oficerskiej Szkoły Marynarki Wojennej w Toruniu. Nie każdy mógł tam się dostać, jak zresztą do każdej polskiej szkoły oficerskiej. Ci, których nie wspierały dostateczne polecenia i znajomości, byli przez selekcyjnerów eliminowani. Bardzo dbano, by przyszli oficerowie marynarki byli ludźmi na wysokim poziomie wychowania społecznego. Dlatego też z dużej liczby kandydatów tylko wybierali takich, którzy te wymagania spełniali.

Nie miałem żadnych koneksji ani jakichkolwiek znajomości w marynarce. Jednak w końcu znalazłem przez moich przyjaciół pewną panią, która, jak się okazało, zna zarówno admirała Jerzego Świrskiego, szefa kierownictwa Marynarki Wojennej, jak i admirała Józefa Unruga. Poprosiła, bym podanie, które napisałem o przyjęcie do szkoły, jej oddał, a ona już zajmie się wysłaniem do szkoły podchorążych w Toruniu<sup>117</sup>. Tak oczywiście postąpiłem. Po pewnym czasie dostałem wezwanie na egzamin... Moja radość z przyjęcia do wymarzonej szkoły mieszała się z wielką odpowiedzialnością. Wiedziałem, że nie mogę „nawalić”, harowałem więc jak dziki koń, bym nie przyniósł wstydu admirałowi i rzecz jasna sobie. Potem przekonałem się, że służba w siłach zbrojnych jest bardzo specyficzna, wymaga rezygnacji z wielu zasad, aby coś z siebie dać. To ciężka powinność.

„Burza” i pozostałe niszczyciele, według założeń strategicznych dowództwa marynarki, na wypadek wybuchu wojny z Niemcami miały opuścić polskie wody, ponieważ skazane byłyby na zniszczenie przez lotnictwo wroga. Świadczy to, że przedwojenne dowództwo marynarki to nie byli panowie, którzy mieli tylko szarże oficerskie i nosili mundury, to byli ludzie, którzy potrafili myśleć i realnie przewidywać. Byli nie tylko marynarzami w służbie, ale na pewno prawdziwymi patriotami. To pośrednio za ich sprawą znalazłem się w wolnym świecie i przeżywałem czas wojny w Anglii.

Marynarka wojenna jest całym życiem Andrzeja Jaraczewskiego. Całą wojnę spędza w czynnej służbie na morzu, bierze udział w konwojach atlantyckich, inwazji na Francję, jest dowódcą grupy ścigaczy. Najpierw awansuje na dowódcę ścigacza S-3, zamówionego w brytyjskiej stoczni przez Polską Marynarkę Wojenną jeszcze przed wojną. Bierze na nim udział w blisko w stu patrolach i operacjach na kanale La Manche, spędzając 250 dni w morzu. Pewnego razu, w czasie patrolowania kanału La Manche z zadaniem zwalczania niemieckich konwojów i ścigaczy zapuszczających się pod angielski brzeg, okręt wpada na minę i zostaje poważnie uszkodzony. Musi przejść remont. - Przesuwano mnie wtedy z jednego okrętu na drugi. Najpierw na okręt podwodny „Wilk” z perspektywą, że z całą jego załogą przejdę na

zupełnie nowy okręt podwodny, który mieliśmy dostać od Anglików. Ale rozpoczął się już flirt sowiecko-angielski i równolegle angielsko-sowiecki, więc okrętu nie dali... Zamustrowano mnie na „Garlanda”, na miejsce jednego z kolegów oficerów, który zachorował. Gdy w końcu wróciłem na pokład mojego wyremontowanego ścigacza S-3, zaraz w pierwszych dniach miałem pecha i wpadliśmy na skały<sup>118</sup>. Wtedy otrzymałem przydział do pracy na lądzie, w kierownictwie marynarki w Londynie<sup>119</sup>.

W ostatni miesiąc 1943 roku, mimo szalejącej wciąż wojny, Londyn także się bawi. Młody, przystojny oficer chętnie jest widziany w kręgach towarzyskich. Na przyjęciu u Jadwigi Mickiewiczówny, lekarza, późniejszej żony komandora Borysa Karnickiego, Andrzej Jaraczewski poznaje urodziwą, wysmukłą, o niespotykany urokliwym uśmiechu pannę w stopniu porucznika wojsk lotniczych, Jadwigę Piłsudską.

- Tak, w naszym przypadku można śmiało powiedzieć, że była to miłość od pierwszego wejrzenia. Przed ślubem widziałam Andrzeja nie więcej niż dziesięć razy. Trwały wtedy przygotowania do inwazji w Normandii, w której brał udział, przez sześć miesięcy nie wolno było nawet listów pisać. Pobraliśmy się już po zakończonej inwazji. Ślub, który się odbył 23 grudnia 1944 roku w kościele Brompton Road, chcieliśmy mieć tylko dla siebie, dlatego zaprosiliśmy nieduże grono nam najbliższych, którzy naprawdę byli naszym szczęściem zainteresowani. Wymaganych dwóch świadków poprosiliśmy właściwie z ulicy, a zaraz po ceremonii w kościele udało nam się skutecznie wszystkim umknąć...

Korzenie rodzinne Andrzeja Jaraczewskiego są równie rozległe jak drzewo genealogiczne rodu Piłsudskich. Jaraczewscy wywodzą się z zubożałej arystokracji herbu Zaremba. O początkach tego herbu Bartosz Paprocki powiada, że „z Niemiec do Polski przybysz za czasów Bolesława Krzywousty, Okolski zaś rozumie i lepiej, że z Czech, kędy jeszcze znajdują się familie, które takim się lwem zaszczycają i Zarembami zowią”<sup>120</sup>. Wizerunkiem herbu jest Lew: „powinien być czarny w polu brunatnym, przecież nie cały, ale go tylko połowa, język u niego wywieszony, łapy przednie u niego widać tak, że lewa trochę do góry wyniesiona nad prawą, ogon też zadarty ku górze; wyskakuje zaś lew z muru białego, u którego blanki cztery, na murze trzy kamienie żółte, czyli raczej w złoto oprawne tak ułożone, że dwa podle siebie w równi są, trzeci pod nimi. Na hełmie z korony takież lew wyskakuje”. Herbowni to: Biela-kowski, Celiński, Drzewoszewski, Giniet, Jaraczewski, Nosowski, Tymieniecki.

O Zarembach pisał Mikołaj Rej:

Zarembowie, co dobrej myśli bywał każdy,  
Czarno jako kurczęta rodzili się zawždy.  
Nie skazili biesiady, gdzie się obrócili,  
I gdzie trzeba dołożyć, tam się nie kurczyli.  
I zacnych wiele ludzi z tego domu było,  
I nigdy się to gniazdo niczym nie zalżyło.  
Acz im czasem Wenusek po trosze wędrował,  
Lecz się każdy poważnie z nim zawždy zachował<sup>121</sup>.

Jaraczewscy osiedli w województwie Poznańskim: „z tych jeden zginął w potrzebie z Szwedami, drugi chorąży pod husarską chorągwią Potockiego Mikołaja hetmana, a Adama Jaraczewskiego znajdziesz w Konstytucyjach 1638...”<sup>122</sup>

Majątek rodzinny Jaraczewskich jest pod Leszmem, choć dziadowie pochodzą z Jaraczewa pod Poznaniem. Rodzina ma barwną historię. Dziadkowi Andrzeja, Antoniemu, który rozwiódł się z pierwszą żoną, i ojcu, Hieronimowi, nazywanemu w rodzinie Krzysztofem, tak bardzo przypadły do serca rodzone siostry Helena i Maria Zaborskie, że się z obiema ożenili. I dziadek Antoni miał z Heleną dwóch synów, zbliżonych wiekiem do swojego wnuka.

Rodzice Andrzeja też wcześniej się rozwiedli. Ojciec ożenił się powtórnie. Mając zaledwie 29 lat Hieronim Jaraczewski ginie w wypadku: w trakcie robót polowych wciąga go maszyna

rolnicza. Wychowaniem Andrzeja zajmuje się jego dziadek, a niebawem zabiera go do siebie matka. Mieszkają w Ożarowie pod Warszawą. Żyją bardzo skromnie. Po ukończeniu szkoły podstawowej idzie do prywatnego męskiego gimnazjum im. Ludwika Lorentza w Warszawie, przy ulicy Brackiej. Bardzo aktywnie udziela się w harcerstwie wodniackim, często uczestniczy w spływach kajakowych, uprawia żeglarstwo. Chce studiować budowę okrętów...

Jadwiga Jaraczewska nie mogła spotkać się z matką męża, Marią: - Jedynie pisałyśmy do siebie listy. My nie mogliśmy pojechać do Polski, a z PRL-u wyjazdy za granicę stały się możliwe dopiero po październikowej „odwilży” w 1956 roku. Niestety, matka mego męża już tego czasu nie doczekała, zmarła w 1954 roku.

Gdy dla Polski „koniec wojny zbiegł się z objęciem władzy przez obóz polityczny, który przekreślił instytucjonalną ciągłość państwowości polskiej, zmiądzzył wszystkie struktury utworzone przez Polaków dla narodowej samoobrony w ciemną noc hitlerowskiej okupacji, a rząd RP w Londynie i jego krajową delegaturę ogłoszono nielegalnymi”<sup>123</sup>, kiedy przeważyła siła, a nie sprawiedliwość i los Polaków nie mógł być już od tej chwili jednakowy, bo „jedni borykać się będą w kraju z okrutną rzeczywistością państwa policyjnego, inni zostaną w wolnym świecie, by stać się ustami niemych”<sup>124</sup>, kiedy Polska stała się dla nich krajem okupowanym, a oni uchodźcami, obywatelami Polski niezłomnej, bo wierzyli, że Polska nigdy nie podda się Rosjanom”<sup>125</sup> - Andrzeja Jaraczewskiego, jak wszystkich jego towarzyszy broni, obejmuje rozkaz o demobilizacji. I podobnie jak wszyscy z nastaniem pokoju odchodzący z armii wpada w całkowitą pustkę. Ma ledwie co ukończone trzydzieści lat i przed sobą żadnych konkretnych perspektyw...

„Najgorsza jest naturalnie sytuacja naszej inteligencji - pisze wybitny publicysta Waław A. Zbyszewski - podczas gdy warunki bytu naszych b. żołnierzy polepszyły się w ciągu ubiegłych dwóch lat, pozycja b. oficerów, którzy stanowią gros naszej inteligencji, wydatnie się pogorszyła. Na tym większe uznanie zasługuje odwaga, z którą nieraz ludzie ongiś zamożni czy piastujący odpowiedzialne stanowiska zabrali się do pracy fizycznej czy rzemiosła”<sup>126</sup>.

Marian Hemar tworzy w Londynie kabaret „Orzeł Biały”, który otwiera takimi strofami:

Była już emigracja w wieku dziewiętnastym,

Obecna jest tej pierwszej widocznym kontrastem.

Różnica między nimi w dwu słowach się streszcza:

W tamtej wieszcz stworzył „Dziady”,

Ta - dziady bez wieszca.

Generał Stanisław Sosabowski, legendarny dowódca polskich wojsk desantowych, pracuje jako magazynier, generał Kazimierz Fabrycy, były wiceminister spraw wojskowych, dowódca armii „Karpaty”, obsługuje w introligatorni gilotynę do papieru, generał Klemens Rudnicki, ostatni dowódca I Dywizji Pancerniej, oprowadza po Londynie wycieczki. Bo w walce z wrogiem jest się razem, po bitwie ta wspólnota się rozpada. Koniec wojny, koniec kontaktów. Nikt prawie z Anglików cię nie zaprasza. Nikomu nic nie mówi twoje nazwisko... - Anglicy na początku byli przemili, ale pod koniec wojny zakochali się w Rosjanach. Cofnęli uznanie naszego rządu - przypomina Aleksander Pawłowski, lotnik Dywizjonu 300. - Anglik taki ma charakter: obrzuci cię wszystkimi zaszczytami, póki cię potrzebuje, i odwróci się, kiedy już jesteś zbędny - dodaje pilot Leszek Spaczyński<sup>127</sup>. Ostatni ambasador Wielkiej Brytanii przy rządzie polskim w Londynie w rozmowie z Augustem Zaleskim, byłym ministrem spraw zagranicznych w rządzie Mościckiego i przyszłym prezydentem RP podsuwa propozycję: - Znam rodzinę na wsi, która chętnie by przyjęła polską służbę. Zaleski ripostuje: - No, ja to mógłbym być tylko piwnicznym, bo na stajennego i dojeżdżacza jestem już za stary...<sup>128</sup>

Jadwiga Jaraczewska: - Zdecydowana większość zdemobilizowanych przeszła do utworzonego w 1946 roku Polskiego Korpusu Przynsposobienia i Rozmieszczania, tymczasowej organizacji wojskowej w ramach brytyjskich sił zbrojnych, która miała pomagać w zdobyciu zawodu: szkolenia przyszłych krawców, monterów, zegarmistrzów, elektryków, nauki języka

angielskiego i znalezienia pracy, nie tylko w Wielkiej Brytanii. Mąż pracował w korpusie w charakterze poszukującego innym zatrudnienia. Polacy zawsze dostawali posadę gorszą od Anglików. Wiz wjazdowych do innych krajów też nam niełatwo udzielano. A jeśli już ktoś wizę otrzymał, czekał go bardzo trudny start w nowym kraju osiedlenia. W Kanadzie, na przykład, trzeba było najpierw obowiązkowo odpracować dwa lata na roli. Lepsze warunki dawała Argentyna. My zdecydowaliśmy się zostać w Anglii. Dostaliśmy tak zwaną odprawę: około 150 funtów, starczyło akurat na wyjazd na urlop... Trudno się dziwić, że wielu Polakom po wojnie dokuczało poczucie upokorzenia. Trudno jest komuś, kto zajmował wysokie funkcje wojskowe, a jego osoba była autorytetem dla tysięcy ludzi, pójść nagle na jakąś podrzędną posadę, choć z godnością zмирzali się z taką koleją losu. Pewnym rozwiązaniem wydała nam się praca „na swoim”.

Andrzej Jaraczewski zakłada warsztat wyrobów z kutego żelaza. Ponieważ na rejestrację nowej firmy musiałby bardzo długo czekać, przejmuje licencję od przyjaciół: pułkownika lotnictwa Wacława Makowskiego, dowodzącego lotnictwem bombowym podczas wojny, i jego żony, córki znanego działacza PPS, Aleksandra Sulkiewicza, chrześnicy Józefa Piłsudskiego, którzy właśnie zdecydowali się zmienić „branżę” i założyli hodowlę pieczarek.

Warsztat kowalski oficera marynarki wojennej, niedawnego dowódcy okrętów bojowych, prosperuje właściwie dzięki pomocy żony, która ma stałą pracę w londyńskim Town Planning and Housing, dającą niewielki, ale systematyczny przyrływ gotówki. Ukończyła bowiem Polską Szkołę Architektury i Urbanistyki założoną przy Uniwersytecie w Liverpoolu, której studentem był też „cichociemny” Stanisław Jankowski - „Agaton”, przybyły do Anglii niemal prosto z niewoli niemieckiej, a wśród wykładowców znakomity architekt, profesor Bolesław Schmidt<sup>129</sup>. W polskim środowisku panowało przekonanie, że dwa zawody, architektura i medycyna, będą najbardziej potrzebne przy odbudowie zniszczonej Polski<sup>130</sup>. Wanda Piłsudska kończy studia medyczne na Polskim Wydziale Lekarskim w Edynburgu i podejmuje pracę lekarza ze specjalnością psychiatrii w ośrodku dla nerwowo chorych w Mabledonie pod Londynem. Przywraca do zdrowia rodaków, którym wojna zrujnowała życie i nie potrafią o własnych siłach stanąć na nogach, stawiać czoła nowej rzeczywistości, często popadają w rozpacz i skrajną depresję, nie widzą przyszłości dla siebie, we śnie dręczą ich koszmary wojennych przeżyć...

Na ozdobne świeczniki, furtki i najprzeróżniejsze balustrady wytwarzane w firmie państwa Jaraczewskich nie było jednak wielu chętnych wśród Anglików przywiązanych do swoich tradycji, a na Polaków praktycznie w ogóle nie było co liczyć, bo przecież nie mieli pieniędzy i byli zajęci własnymi kłopotami. Do tego właściciel bardzo nie lubił prowadzenia dokumentacji, wypełniania formularzy finansowych, całej biurokracji związanej z prowadzeniem biznesu. Po długim namyśle i wielu dyskusjach Jadwiga i Andrzej Jaraczewscy postanawiają podjąć się stolarki meblowej na zamówienie – Jadwiga, nie rezygnując na razie z pracy zajmuje się projektowaniem mebli, Andrzej poszukuje klientów i realizuje zlecenia. W domowym budżecie liczy się każdy pens: państwo Jaraczewscy spodziewają się pierwszego dziecka.

10 maja, w tym miesiącu, wedle Wacława Potockiego, świata delicii, lubości aury, radości przychodzi na świat niebieskooka dziewczynka, od razu z długimi, prostymi i jasnymi włosami. Znak Byka zapowiada, że jest osobą odważną, energiczną, inteligentną; rozsądną, troskliwą i tolerancyjną. Imię Joanna, jakie wybierają dla niej rodzice, charakteryzuje jej niezależność w postępowaniu, dynamiczną osobowość, wrażliwość, a przy tym... trochę dziwny i trudny charakter.

Pierwsze miesiące życia Joanna Jaraczewska spędza w przepięknym ogrodzie w niemal letniskowej dzielnicy na obrzeżach Londynu - Crystal Palace. Na początku 1950 roku państwo Jaraczewscy przenieśli się bowiem na kilka miesięcy do dalekich krewnych Andrzeja, Marjanowskich, których do Anglii też zagnała zawierucha wojenna, a którzy teraz na dłuższy czas

wyjechali do Ameryki w sprawach majątkowych. W domu są tylko, jak to przeważnie wtedy u Anglików, kominki, od których przecież twarze mają rozgrzane ogniem, a plecy pokryte szronem, i jeden piecyk. Woda czasem zamarza w rurach, brakuje lodówki i innych udogodnień cywilizacyjnych, ale to rzeczy drugorzędne wobec widoku z okien wspaniale zadbanego ogrodu i panoramy położonego nieco niżej wielkiego Londynu.

W pielęgnowaniu i wychowaniu panny Jaraczewskiej bardzo pomaga jej babcia, Aleksandra Piłsudska, która dojeżdża do Crystal Palace z domu w Battersea położonym znacznie bliżej Londynu. Ten dwurodzinny, usytuowany w szeregu innych dom w robotniczej dzielnicy na południe od Tamizy kupili Aleksandra Piłsudska z córką i zięciem do spółki ze Zbigniewem Leliwą-Sujkowskim, emisariuszem Polski podziemnej, wykształconym geologiem, synem zaprzyjaźnionej z Piłsudskimi Haliny Sujkowskiej. Dla córek Marszałka była cicią Halą, bardzo się nimi opiekowała, kiedy mieszkali w tym samym domu w Warszawie przy ulicy Koszykowej 70, gdzie się urodziła Jadwiga. Leliwa-Sujkowski był wdowcem, żona Idalia zginęła w Oświęcimiu. Z Anglii niebawem wyjechał na stałe do Kanady. Niestety, zginął tam w dramatycznych okolicznościach - ratując wnuka, który wpadł do rzeki, obaj utonęli.

Gdy Zbigniew Leliwa-Sujkowski wyjechał, opiekę nad domem powierzył spokrewnionej z jego żoną Halinie Czarnockiej /jej mąż, Stefan, który zmarł na Syberii, był bratem Idalii Sujkowskiej/. Halina Czarnocka zamieszkała w pokoju Zbigniewa Sujkowskiego. Na początku 1953 roku córka Haliny, Hanna Kościa, urodziła dziewczynkę, której dano na imię Wanda. Niedługo po radosnym fakcie Hanna z mężem dostają wypowiedzenie najmu mieszkania i muszą się wyprowadzić. W trudnej sytuacji spieszy im z pomocą pani Marszałkowa. Odstępuje Halinie Czarnockiej pokój swej córki, Wandy, która odbywa praktykę lekarską poza Londynem, i Kościowie wprowadzają się do dużego pokoju na pierwszym piętrze. Aleksandra Piłsudska zajmuje wciąż parter, a Jaraczewscy poddasze. Bardzo często po wojnie wśród londyńskich Polaków domy są tak podzielone według wkładu pieniężnego w ich kupno. I tak zresztą wszystko finansują z pożyczek bankowych, bo nikogo nie było stać na kupno samodzielniego domu.

Halina Czarnocka z domu Karpowicz była sekretarką generała Tadeusza Pełczyńskiego<sup>131</sup>, szefa sztabu Armii Krajowej. W Londynie, w polskiej dzielnicy na Ealingu, prowadzi archiwum Studium Polski Podziemnej, założone w lutym 1947 roku z inicjatywy właśnie generała Pełczyńskiego, przewodniczącego Zarządu SPP. - Moja babcia, rocznik 1900, przechowywała i gromadziła prawdę historyczną – opowiada Wanda Kościa. – W Polsce mieszkali z dziadkiem w Krzemieńcu, ale kiedy dziadka aresztowali i wywieźli na Sybir, po sześciu dniach wędrówki przeszła przez zieloną granicę i przedostała się do rodzinnej Warszawy. Tam, w 1943 roku, Niemcy ją aresztowali i osadzili na Pawiaku, następnie wywieźli do Oświęcimia, a później do obozu koncentracyjnego w Bergen-Belsen, który w kwietniu 1945 roku oswobodziły wojska brytyjskie. Uważała, że jak długo Polska jest pod panowaniem komunistów, pod wpływami Związku Radzieckiego, w pewnym sensie wojna nie jest skończona. Choć ogromnie tęskniła do Polski, wybrała emigrację polityczną, ale nigdy nie przyjęła obywatelstwa brytyjskiego. Przez jakiś czas z moimi rodzicami mieszkaliśmy w tym samym domu z panią Marszałkową i rodziną Jaraczewskich w Battersea, przy Albert Bridge Road. Pani Marszałkowa była bardzo bezpośrednia, mówiła do mnie, jeszcze bardzo malutkiej: - Wandziu, mów mi Ola. Ja, niestety, potrafiłam powiedzieć wtedy tylko jedno proste słowo: „tata”... W pamięci mojej mamy pani Marszałkowa pozostała jako kobieta wyjątkowo pracowita - zabrała się nawet pewnego razu do malowania okien, towarzyska – w każdą sobotę przyjmowała znajome panie na herbatkę, częstując je kupionymi bułeczkami drożdżowymi posypanymi przez siebie cynamonem, podtrzymująca ludzi na duchu – tyłu po wojnie wpadało w rozpacz.

Aleksandra Piłsudska lubiła mieszkać w Battersea przede wszystkim dlatego, że choć powiadają, iż w Londynie wszędzie jest daleko, stąd właściwie wszędzie było blisko, a usytuowanie domu zapewniało codzienny kontakt z ludźmi, do czego przywiązywała wielką wagę.

A był to czas, kiedy wszyscy odczuwali potrzebę bliskości. Niedaleko stąd było do wszelkich polskich instytucji i do znajomych, miłych sercu ludzi: pobliskim mostem przez Tamizę do Kensington, autobusem na Ealing, tube'm., czyli metrem do City, gdzie najmniej lubiła jeździć. Gdziekolwiek nie osiedliliby się jej krajanie, obecna była wszechpolska przeszłość. „Dla nas Tamiza „połyska, wiślaną świetląc się falą”, a londyński Tower każe nam o Wawelu myśleć, choć się do Wawelu wzrostem ani pięknnością nie umył” - pisze Zygmunt Nowakowski, popularny felietonista londyńskiego „Dziennika Polskiego”. Polacy dość licznie osiedli na Kensington przestrzegają zasady: swój do swego po swoje. Sklepy, krawcy, dentysta – wszystko tu polskie<sup>132</sup>. Ci, którzy mieszkają na południu Londynu, już po drugiej stronie Tamizy, mówią, że to „za Wisłą” albo „na Pradze”. Inni rodacy, którzy wybrali Ealing, Acton czy Hammersmith, nazywają te dzielnice „lewobrzezną Warszawą”...

Dom w Battersea nie jest jednak taki całkiem idealny. Stoi w pobliżu wielkiej elektrowni, a z dymiących kominów lecą ogromne ilości czarnych, tłustych sadzy. Najbardziej dotyka to małą Joasię, zaczyna ją atakować astma, zapada na silną alergię na pomarańcze, jajka, mleko, ryby, a nawet zielony groszek. Tak silną, że gdy ledwie komuś da buziaka na dzień dobry, kto wcześniej jadł na przykład sardynki, natychmiast dostaje uczuleniowej wysypki. Matkę trapi zmartwienie, bo przecież alergja nie jest jeszcze dokładnie rozpoznawanym schorzeniem, nie wiadomo, jak ją leczyć, brakuje specjalistów, nikt nie słyszał o stosowaniu diety bezglutenowej. A na dodatek w Anglii obowiązują kartki żywnościowe, co w ogromnym stopniu ogranicza możliwości wybierania sobie jakiegokolwiek diety.

Jadwiga Jaraczewska: - Joasia miała dwa latka, gdy lekarze ustalili, że to jajka wywołują u niej alergię. Zalecali ścisłą bezjajkową dietę. Pomyślałam sobie: - Czy w ogóle o tym warto myśleć, skoro dostaję z przydziału jedno jajko na tydzień...? Nie sposób przecież było cokolwiek upiec bez dodania jajek, a kiedy już upiekłam, dziecko patrzyło z wielkim żalem, bo przecież nie wolno było jej tego jeść... Bez kartek można było kupić jajka w proszku, które nie zawsze mogą zastąpić prawdziwe. Na kartki było prawie wszystko: mięso – według polskich miar – 300 gram na tydzień, cukier - 200 gram, ser – 50 gram, półtora litra mleka... Jedynie matki w poważnym stanie dostawały większe przydziały, ale i tak o wiele za mało. Prócz tego miesięcznie: dwa mydła toaletowe, 200 gram herbaty, 400 gram biszkoptów, tyle samo syropu... Nie racjonowano tylko ryb i królików, których mieliśmy pod dostatkiem...

„-Proszę sobie wyobrazić, że w tym tygodniu dostałam na przydział tylko jedno jajko - skarżyła się do Cata-Mackiewicza Wanda Mackiewiczowa.

-To tak jak wszyscy.

-Ale okazało się nieświeże. Poszłam więc do sklepu ze szklanką w rękę, bo jajko było już nadbite, a ja chciałam im pokazać. Wyglądali na zaskoczonych: „Przecież i tak byśmy pani uwierzyli na słowo”.

Dziwni są ci Anglicy.

Zaraz potem Wanda Mackiewiczowa pytała Jadwigę Karbowską:

-Czy zna pani sposób na te obrzydliwe, różowe kiełbaski, które pojawiły się ostatnio na rynku?

-Nie.

-Ale wie pani z czego się składają?

-No wiem: bułka, pieprz, sól...

-Trzeba jednak oddać im sprawiedliwość: mają w sobie odrobinę mięsa. Anglicy smażą je i przetykają nawet bez musztardy.

-Czyżby Polki miały już własną koncepcję tego dania?

-Oczywiście. Wypruwa się całą zawartość do salaterki, dodaje sporo podsmażonej cebuli, jajko i koniecznie przyprawę „Bovril”, która na szczęście nie została racjonowana. Trzeba to wszystko starannie wymieszać. Na wierzch plasterki bekonu, równoległe albo w kratkę. I do piecyka. Wychodzi z tego pyszny paszтет<sup>133</sup>.

Jadwiga Jaraczewska: - Jeśli pominąć nasze kłopoty związane z chorobą Joasi, nie odczuwało się dolegliwości związanych z „kartkami”. Wszystko było doskonale zorganizowane. Należało się tylko zarejestrować w danym sklepie, przychodzić i pobierać przynależne racje. Nie stało się w ogonkach. Ponieważ Joasia mogła jeść banany, całą godzinną przerwę w biurze spędzałam w drodze na rynek w Soho, obok Piccadylly, aby kupić dla niej jednego banana. Sprzedawcy sami racjonowali ten rarytas, nikomu nie sprzedawali więcej niż po dwa. Nikt się nie wyklócał, że ma prawo do większej ilości. Podziwiałam wielką dyscyplinę angielskiego społeczeństwa.

Bardzo nieprzyjemne zdarzenie miałyśmy w Mond d'Ore we Francji, dokąd pojechałyśmy na klimatyczną kurację dla astmatyków. Podano przygotowywaną leguminę z karmelem, którą Joasia ogromnie lubiła. Byłyśmy więc bardzo zaskoczone, gdy dostała dokuczliwego napadu astmy, a do tego jeszcze spuchła. Okazało się, że Francuzi robili tę leguminę dodając jedno prawdziwe jajko... Z czasem dziecko doszło do takiej wprawy, że samo potrafiło w sklepie rozpoznać, które ciastko było pieczone z prawdziwym, a które z proszkiem udającym jajko.

W domu Joasię obowiązuje bezwzględne respektowanie dwóch reguł, zwłaszcza gdy zostaje sama: nie wolno jej wychodzić na ulicę i nie wolno zbliżać się zanadto do okna. Pewnego dnia Jadwiga Jaraczewska wracając z pracy zastaje córkę stojącą na krześle i jednak wyglądającą sobie przez okno.

- Joasiu! Przecież nie wolno podchodzić do okna! Tu jest wysoko i możesz wypaść...

- A pan Bóg z nieba nie wypadnie? - zaskakuje matkę rezolutną odpowiedzią.

- Pewnego dnia w czasie spaceru w pobliskim parku – wspomina Jadwiga Jaraczewska - spotykamy generała Stanisława Karpińskiego z żoną Barbarą, moją starszą koleżanką z czasów RAF-u. Witamy się serdecznie, on dżentelmen w każdym calu, o nienagannych manierach, zawsze bardzo elegancki, a tymczasem Joasia uważnie mu się przygląda i zauważa: - Masz brudne rękawiczki... Generał tak się poczuł skonfundowany, że zaczął się Joasi tłumaczyć, że to absolutny przypadek bo innych nie mógł akurat znaleźć... Po wielu latach, gdy generał już nie żył, Joasia wysłała życzenia Bożonarodzeniowe Barbarze Karpińskiej, która mieszka w Los Angeles. Barbara napisała mi w liście: „taka jestem wzruszona, ciągle pamiętam tę scenę w parku z Joasią i to jak Stanisław się wtedy przejął. Tak mnie to nadal bawi...”

Z powodu silnego uczulenia Joasia nie chodzi do przedszkola. Gdy ma trzy lata choroba tak jej dokucza, że musi przejść dwutygodniową hospitalizację. - W pewnej mierze moja niechęć do Anglików ma źródło w tamtym, szpitalnym czasie. W domu i całym moim środowisku mówiło się wyłącznie po polsku, nie rozumiałam więc języka lekarzy, pielęgniarek, a nawet innych pacjentów. Czułam się strasznie samotna, byłam przerażona i całkiem zagubiona. Mama chyba ma rację, że to dlatego tak długo miałam awersję do języka otoczenia, od którego oddzielała mnie ta bariera.

Jadwiga Jaraczewska: - Joasia od najmłodszych lat objawiała bardzo silny charakter, ale ze względu na kłopoty ze zdrowiem trudno było przewidzieć, jak jej się ułoży dorosłość. Dość długo musiała szukać swojego miejsca w życiu...

\*

Z zapisków Joanny:

...Już z bardzo wczesnych lat, miałam może siedem czy osiem lat, przypominam sobie początki rozterki i zmęczenia. Wyraźnie pamiętam takie moje myśli: „czemu nie urodziłam się Angielką?... Byłoby mi znacznie łatwiej, byłabym między swoimi, nie byłabym tu obca i inna”... Być innym - jest dla dziecka wyjątkowo trudne i niezrozumiałe.

Gdy dorastałam, przyzwyczaiłam się do tej „inności” i nawet ją polubiłam. Zaczęłam wtedy świadomie, na własne konto, kochać mój kraj - już nie jako coś tradycyjnego, wziętego od rodziców, tylko coś pochodzącego od siebie...

W 1954 roku w rodzinie państwa Jaraczewskich przychodzi na świat drugie dziecko. Joasię duma rozpiera, że ma brata, na krok go nie odstępuje. - Nie pozwoliła się nawet na chwilę oderwać, choć ją prosiłam, przekonywałam, że przecież powinien sobie czasem popłakać - opowiada Jadwiga Jaraczewska. - Bardzo starałam się, aby nie była o niego zazdrosna. W pamięci bowiem miałam postawę mojej starszej siostry, Wandzi, gdy się urodziłam. Wywołałam w niej - o czym sama mi po latach mówiła - tak szaloną zazdrość, że mnie biła, drapała i w ogóle chciała, żeby nasza mama wyrzuciła mnie za okno... Na szczęście Joasia taka nie była: - Jaki on śliczny! - szczerze zachwycała się braciszkiem i wciąż chciała brać go na rączki.

Czterooosobowa już rodzina Jaraczewskich przeprowadza się do nowego, w całości dla siebie kupionego domu, na obrzeżach Wimbledonu, dzielnicy znanej od 1877 roku z zawodów tenisowych, a teraz drugiego po Ealingu ośrodka polskiego w stolicy Wielkiej Brytanii. Joasi ogromnie podoba się okalający dom duży ogród, który zarasta bujna, mocno zapuszczona, tak wysoka trawa, że może się w niej łatwo ukryć i mościć jak w wyrosłym zbożu długie tunele. Na kupno tego dość sporego domu rodzice zaciągają pożyczkę. Aby lżej ją spłacać, wynajmują kilka pokoi, to jest wówczas w polskich rodzinach powszechny i konieczny zwyczaj, a zarazem praktyczny i dobrze się sprawdzający. W ten sposób można uplasować się w „middle class” angielskiej społeczności, która respektuje zasadę, że przynależność do klasy społecznej kwalifikuje się według stanu posiadania.

Krzysztof Jaraczewski: - Nasz dom był zawsze trójpokoleniowy i otwarty. Przewijało się wielu gości, przyjaciół, bliższych i dalszych kuzynów. Bywało, że niektórzy korzystali z gościny pod naszym dachem i po dwa lata. Oczywiście, z nami mieszkała babcia Aleksandra<sup>134</sup>, która miała na parterze swój pokój z dużym kominkiem. Zawsze też jeden gościnny pokój czekał na ciotkę Wandę, która na stałe mieszkała w Mabledonie.

Joanna Onyszkiewicz: - Babcia zawsze była bardzo obecna w naszym rodzinnym życiu. Nie tylko idzie o to, że często brała nas na kolana, opowiadała najróżniejsze, zajmujące historie, ale ona naprawdę zawsze była przy nas i miała znaczny wpływ na wszystkie nasze sprawy, na nasze wychowanie, postawy. Zabierała nas na różne uroczystości, a już obowiązkowo 19 marca w dniu imienin naszego dziadka Józefa. Zbierało się wtedy wiele najważniejszych osobistości polskiej emigracji, ludzi wielce zasłużonych, o głośnych nazwiskach. Dla nas jednak była to po prostu zwyczajna część normalnego życia. Lubiliśmy z Krzysiem zaglądać do jej pokoju, zawsze miała dla nas jakieś pyszne ciasteczko albo czekoladkę, a w ostateczności tylko świeżutką herbatę. Kiedyś zaczęłam głośno płakać, żeby wreszcie mama mnie usłyszała i się mną zajęła. I rzeczywiście dopięłam swego! Babcia to zauważyła i z dumą skwitowała w komentarzu do mojej mamy: - A widzisz, jednak Joasia umie postawić na swoim!

To również po babci, bo zdecydowanie na pierwszym miejscu po ojcu, mam taki charakter trochę rogaty, bardzo stanowczy i honorowy oraz zakodowaną bezkompromisowość. Ona na przykład nigdy nie przyjęła nie tylko brytyjskiego paszportu, ale też, choć żyła przecież w trudnych warunkach, angielskiej emerytury socjalnej. Prawnie rzecz biorąc, taka emerytura jej się należała i władze ją oferowały, ale babcia uważała, że człowiek powinien się liczyć nie tylko z przepisami, ale również, a może nawet przede wszystkim z normami moralnymi. -

Przecież ja w Anglii nigdy nie opłacałam żadnych świadczeń, jakże więc mogłabym teraz wyciągać do nich rękę po pieniądze? - uzasadniała swoją stanowczą odmowę.

Krzysztof: - W naszym domu zawsze mówiliśmy przede wszystkim po polsku. Mama wprowadziła surowy zakaz mieszania języków. Można było używać najlepiej polskiego, ale tylko polskiego, albo angielskiego, nie wolno było przeplatać słowa jak komu wygodniej. Za wtrącenie do rozmowy prowadzonej po polsku słowa angielskiego winowajca zaraz płacił karę - jednego pensa. To była dokuczliwa kara, bo moje kieszonkowe wynosiło tylko 15 pensów tygodniowo. Pieniądze, wrzucane do skarbonki, miały iść na tak zwany zbożny cel, na przykład dla dzieci głodujących w Biafrze, jednak z jakichś powodów do realizacji tych szlachetnych celów zazwyczaj nie dochodziło. Pamiętam, że najwięcej płaciła ciocia Wanda, gdy nas odwiedzała. Zdaje mi się, że robiła to umyślnie. Była tak hojna, że za nas - za Joasię i za mnie, też płaciła. Troszkę nadużywaliśmy jej gestu...

Joanna: - Rodzice wymagali od nas polszczyzny. Nie było to łatwe ani dla nich, ani dla nas. Dziecko nie jest przecież świadome sprawy, dla której ma uczyć się języka, który właściwie rozumieją tylko rodzice, krewni i najbliżsi znajomi. Moje koleżanki mówiły w swoich domach po angielsku. Buntowałam się. Kraj, korzenie, tradycja, przeszłość - takie argumenty raczej słabo przemawiają do dziecięcej wyobraźni. Świadoma byłam, że jestem Polką, ale w te dni, kiedy miałam pójść do polskiej szkoły, to zazwyczaj dziwnie bolała mnie głowa... Jednocześnie usilnie broniłam się przed angielskością, bo przecież dobrze wiedziałam, że Polska to jest najlepszy kraj na świecie!

Joasia ma pięć lat, gdy podobnie jak wszystkie angielskie dzieci idzie do szkoły. Rodzice zapisują ją do państwowej podstawowej szkoły żeńskiej prowadzonej przez zakon katolicki sióstr urszulanek - Ursuline Convent Preparatory School. Wybierają tę szkołę, bo gwarantuje, że uczy angielskiego bez rażących nalotów oraz nie kształtuje snobizmu. - Oczywiście, w Anglii katolicy są w wyraźnej mniejszości. Odczuwało się pewną rezerwę, a nawet dyskryminację - przypomina sobie Joanna. - Bo katolik wydawał się Anglikom trochę jako fanatyk religijny, który również wierzy w czarownice... Ponieważ mieszkaliśmy w dzielnicy zaliczanej wówczas do przeciętnej, szybko pojawił się problem mojego towarzystwa w szkole i akcentu. Mówienie angielszczyzną oksfordzką albo z akcentem języka prostych ludzi, cockneyowskim, natychmiast plasowało człowieka w odpowiedniej szufladzie.

Do szkoły musiałam jechać godzinę autobusem. Nauka polegała głównie na rysowaniu, grach zespołowych i zabawach. Z początku słabo mówiłam po angielsku i jeszcze mniej rozumiałam. Na szczęście wkrótce znalazłam jedną przyjazną duszę, Włoszkę z pochodzenia, która nie miała kłopotów z angielskim. Dzięki niej już mniej więcej w połowie roku szkolnego opanowałam język angielski i poczułam się pewniej. Ale przecież nawet moja najlepsza znajomość języka nie mogła być powodem jakiegokolwiek awansu w szkole, w której wszyscy niemal od urodzenia mówili tylko po angielsku i bardzo dziwiło ich, że ktoś może nie znać angielskiego... Źle się czułam w tej szkole otoczona przez wyłącznie anglojęzyczne nauczycielki i koleżanki, byłam bardzo nieszczęśliwa. Gdy poszłam do gimnazjum, gdzie pierwszoklasistek było dziewięćdziesiąt, podzielonych na klasy według oceny dyrekcji szkoły - najlepszych, średnich i słabych uczennic, mnie zakwalifikowano do klasy słabych. Nawet już w starszych klasach też nikt nie widział we mnie kandydatki na studentkę. Tym bardziej zapewne, że głównie starano się tak wychowywać dziewczęta, aby były przykładnymi żonami i matkami, w mniejszym stopniu przygotowywano do kontynuowania nauki czy wręcz jakiejś kariery naukowej. Moim największym zmartwieniem w szkole nie była jednak nauka, lecz znalezienie sobie swojego miejsca wśród koleżanek. Byłam skryta, nieśmiała i raczej nie należałam do lubianych uczennic. Zawsze ktoś wbijał mi jakąś złośliwą szpilę. Jedna z koleżanek z klasy kiedyś mi powiedziała: - Żebyś ty, Joasiu, chociaż się broniła, to byśmy przestały ci dokuczać... Ale ja nie umiałam się w tym wszystkim odnaleźć ani się obronić. Zawsze byłam poza tworzącymi się w sposób naturalny koleżeńskimi grupami. Z powodu polskiego

nazwiska nie uważali mnie za rodowitą Angielkę. Do tego prowokowałam ich moją zadziorną, dumną postawą, bo na każdym kroku z naciskiem podkreślałam, że jestem Polką. A tego otoczenie już zupełnie nie pojmowało: jak to? urodziła się na wyspie, tu mieszka pośród nas i nie czuje się Angielką?!... A ja nie tylko nie czułam się, ja w ogóle nie chciałam być Angielką!

Joanna i Krzysztof wyrastali w dwóch światach nieuchronnie wywołujących w nich wewnętrzny konflikt: w rodzinnym, na wskroś polskim domu, choć przecież w naturalny sposób żyjącym nie polską codziennością, oraz w odmiennym, angielskim otoczeniu szkoły i rówieśników. Stale musieli rozstrzygać co wybrać, jak to razem złożyć?... Zawsze górę brała rodzina, ich rodzina. Była dla nich wszystkim: światem polskim, wyspą na wyspie. Samowystarczalna.

Krzysztof: - Osobisty przykład rodziców na pewno działał silniej, niż gdyby nam powtarzali: „Pamiętajcie, że Polska to wasz kraj, to wasz święty obowiązek, musicie ją kochać...” Zasady patriotyczne obydwójce mają silnie zakorzenione, więc nikt nigdy nie musiał nakazywać nam patriotycznej miłości, nasiąkaliśmy nią jakby „przez skórę”. Przekaz językowy, kulturowy, tradycja poznawana w domu, to wszystko w sposób naturalny przenikało w nas dzięki ich postawie... Zdołałem ominąć konflikty na tle mojej polskości, które były udziałem Joanny. Różni nas sposób bycia. Ja wolałem ustąpić, aby nie być z kolegami na bakier, w ciągłych sporach. A może jestem bardziej od niej gruboskórny i z uwagami koleżanek i kolegów, które Joasię tak bardzo bolały, łatwiej dawałem sobie radę?... Kiedyś zwrócono mi uwagę, że najwyższy czas, bym zmienił imię na Christopher, puściłem tę uwagę mimo uszu. Na studiach zaś, podczas publicznej obrony pracy semestralnej, jeden z dyskutantów tak się zaperzył, że aż zawołał: - Chcesz być Polakiem czy architektem? Wybieraj w końcu!...

Anglicy nie uznawali nas za swoich, ale też, mówiąc szczerze, często my sami podkreślaliśmy, że jesteśmy inni. Więc nie do końca można mieć im za złe, że traktowali nas jak obcych. W każdym bądź razie na własnej skórze przekonaliśmy się jak Wyspiarze traktują mniejszości, ich kraj, pomimo bogactwa swojej kultury, pozostał dla nas niedostępny, w jakiś sposób przed nami zamknięty. Joasia, na pewno bardziej wrażliwa, jeszcze silniej to odczuwała, mocniej ją to dotykało i nie mogła się z tym pogodzić. To był dla niej bardzo silny imperatyw do działania w kierunku znalezienia sobie lepszego miejsca na ziemi...

Chris Niedenthal podobnie jak Joanna i Krzysztof Jaraczewscy wychowuje się w Londynie w klasycznym polskim domu. On i siostra też muszą mówić po polsku, a wtrącanie angielskich słów jest karane. - Moja matka - opowiada o swojej rodzinie - Helena, pochodzi z Łucka, wyjechała z Polski z rządem RP w 1939 roku pociągiem przez Rumunię, a następnie przez Paryż dotarła do Londynu. Pracowała w Polskiej Agencji Telegraficznej (PAT), była sekretarką, młodą osobą jeszcze nie związaną rodziną. Myślała zresztą, że wróci za dwa tygodnie, wierzyła, że to przecież tylko „taka sobie wojenka”... Ojciec, Jan, pochodzi ze Lwowa, ale przed wojną pracował w Wilnie, był wiceprokuratorem, wsadzał do więzienia komunistów. Z kraju zdążył uciec, zanim wkroczyli Rosjanie. Do Francji przedarł się przez zieloną granicę, wstąpił do polskiej armii, walczył pod rozkazami generała Bolesława Ducha na linii Maginota. Dostaje się do niemieckiej niewoli, skąd ucieka i przez Hiszpanię, Gibraltar przedziera się do Londynu<sup>135</sup>. Tu poznaje moją mamę, pobierają się w 1947 roku, najpierw urodziła się moja siostra Krysią, a ja przychodzę na świat trzy lata później. Mieszkamy wtedy koło Portobello, gdzie osiedla się wielu Polaków, potem przeprowadzamy się na Ealing, wtedy już na wskroś polskiej dzielnicy. Nigdy nie czułem się pełnoprawnym Anglikiem, ani też ze względu na niemal całkowite oderwanie od kraju stuprocentowym Polakiem. Wyróżnialiśmy w wyspiarskiej społeczności. Tym bardziej że obnosiliśmy się wobec Anglików z naszą narodową dumą, że jesteśmy Polakami i polskimi patriotami. Miałem łatwiej od innych tylko z uwagi na nazwisko: Niedenthal - może Niemiec, a może Holender?... Nie wiedzieli.

Wanda Kościa wspomina: - U nas było wprost nie do pomyślenia, aby zwracać się do rodziców w języku angielskim! Mieliśmy to silnie zakodowane w umysłach. Język domu rodzinnego jest najważniejszy, bo emocjonalny - uważali rodzice. A mój Londyn to była nasza rodzina, mam dwóch braci i trzy siostry, polska szkoła sobotnia i polskie harcerstwo. Dobrze się w tym czuliśmy, choć rodzice odnosili się niechętnie do wszelakich akademii i politycznych „szopek”. Ale mój Londyn to też była codzienna angielska szkoła, koleżanki, które miały zupełnie inne życie domowe i dla których moje życie rodzinne i „polskie” soboty były dziwne i obce. Żyłam równocześnie w dwu rozdzielnych światach, jakby dotknięta schizofrenią. Nierzadko towarzyszyło mi poczucie zagubienia i wstydu, że jestem inna, jednocześnie wciąż lojalna wobec najbliższych, którzy tak wiele przeszli, ale ich przeżycia nie były przez Anglików rozumiane i docenione. Moi rodzice, jak wielu innych tu Polaków, też do końca nie rozumieli Anglików, nie mieli, powiedziałabym, na nich wycucia. Trzeba było jakoś dać sobie z tym wszystkim radę, pogodzić te dwa światy.

Marysia Szymańska, późniejsza koleżanka Joanny, też należała do polskiego harcerstwa oraz chodziła do szkoły sobotniej: – W domu mówiło się po polsku. Rodzice dbali, aby chociaż w jednym miejscu, bardzo ważnym dla naszego wychowania, nigdy nie mieszać języków. W rodzinach, gdzie nie przestrzegano tej zasady, dzieci mówiły dziwną i śmieszoną mieszanką polskiego z angielskim. Mama czytała nam polskie książki - „Krzyżaków”, „Pana Tadeusza”, całą Trylogię, głównie w niedzielę po obiedzie, ale czasami wieczorami, telewizora przez lata w naszym domu celowo przecież nie było. Uczestniczyłam w wielu obozach harcerskich, na których w przeciwieństwie do angielskich spędzaliśmy czas w spartańskich warunkach, nie mieliśmy tak wspaniałych wygód jak na przykład butle z gazem do gotowania czy przenośne toalety. Polskie harcerstwo działało w stylu Baden-Powellowskim, mieszkaliśmy w namiotach powojkowych, chłopcy zbijali sobie drewniane prycze, a my spałyśmy na dmuchanych materacach rozkładanych na ziemi. Ja pełniłam przeważnie funkcję gospodyni, a Kryśka Kościa, siostra Wandy, zwykle była przyboczną. Zapisałam się do harcerstwa, bo mojemu dziadkowi, Romanowi Szymańskiemu, jednemu z najmłodszych legionistów Piłsudskiego, który jako dziewiętnastoletni strzelec Pierwszej Kompanii Kadrowej wymaszerował 6 sierpnia 1914 roku z Oleandrów, ogromnie na tym zależało. Zarówno dziadziowie Pawłowiczowie jak i dziadziowie Szymańscy byli dla nas żywymi przekazicielami tradycji polskich i rodzinnych i mieli nadzieję, że kiedyś może wrócimy do wolnej Polski<sup>136</sup>.

Rodzice Marii Szymańskiej poznali się w polskiej kapelanii studenckiej i pobrali w Londynie. Ojciec, Roman Władysław, z bratem i matką zostali w 1940 roku wywiezieni ze Stanisławowa do Kazachstanu, skąd po ogłoszeniu amnestii dla Polaków<sup>137</sup> uciekli i udało im się dotrzeć do armii polskiej formowanej przez generała Andersa. Latem 1942 roku Roman Szymański przybył do Anglii, gdzie w polskim lotnictwie wyszkolony został na pilota. Mama, Anna Maria, przyjechała do Anglii już po wojnie, dołączyła do swojego ojca, który nie mógł powrócić do Polski.

Rodzina Szymańskich mieszka w latach sześćdziesiątych w Surrey, dość daleko od Wimbledonu, ale wszyscy z tej okolicy należą do jednej, polskiej parafii, która powstaje wokół Wimbledon Park. Początkowo msze święte odbywają się w angielskim kościele Chrystusa Króla<sup>138</sup>. Później polskie życie skupia się głównie wokół polskiego ośrodka z kaplicą i „harcówką” kupionych przez wspólnotę oraz nieobowiązkowej, polskiej sobotniej Szkoły Przedmiotów Ojczystych imienia Marii Skłodowskiej-Curie<sup>139</sup>. Uczą w niej przedwojenne nauczycielki o solidnych i różnorodnych kwalifikacjach, które najprzeróżniejszymi drogami dotarły do Anglii: z armią generała Andersa, z wyzwolonych obozów, z wojennej poniewierki... Za prowadzenie lekcji pobierają jedynie zwrot kosztów dojazdu, noszą w sobie etos służby, są prawdziwymi siłaczkami z wszystkimi zaletami, jakie opisał w swojej powieści Stefan Żeromski.

Jedną z nich jest matka Wandy – Hanna Zbirohowska-Kościa. Zajęcia zaczynają się w każdą sobotę rano i trwają cztery godziny. Obejmują lekcje języka, historii i geografii Polski, religii i śpiewu, a dla starszych literatury - wszystko oczywiście po polsku.. Dzieci trochę sobie krzywdują, że w tym czasie ich angielscy rówieśnicy mają czas wolny od nauki. Na egzaminie końcowym, odpowiadającym maturze, wymagana jest dokładna znajomość co najmniej pięciu lektur, m.in. „Trenów” Jana Kochanowskiego i „Pana Tadeusza”, trzeba też wykazać się umiejętnością przekładania tekstów angielskich na polski i odwrotnie, z języka polskiego na angielski. Dorastające uczennice z czasem awansują na nauczycielki, uczą młodsze roczniki przechodzące do klas zerowych. Marysia Szymańska pierwsze lekcje zaczyna prowadzić, gdy kończy czternaście lat. Uczniowie poznają język i Polskę z „Elementarza” Feliksa Falskiego. I często zostaje im przed oczyma taki obraz kraju, jak w tym napisanym przecież jeszcze przed wojną, a kolejny raz wznawianym już, z poprawkami, w PRL-u podręczniku ilustrowanym obrazkami z życia wsi i „proletariatu”.

„Większość dzieci w szkole ma duże trudności z wymową, może nawet większe z pisownią. Oto np. pisownia „książki” - „kczowszka”; lub „zatrzymał się” - zaczzymał się; „iść” - isch itd.- notują swoje spostrzeżenia emigracyjni publicyści Czaykowski i Sulik<sup>140</sup>.- Im dzieci starsze, tym gorzej piszą po polsku, tym większy wpływ angielskiego. Nauczycielka pyta: co to jest? i pokazuje statek na obrazku. Odpowiedź brzmi: „To jest ship”. Inny chłopak poprawia: „Nie, to motor boat...”

Krzysztof: - W naszym, moim i Joasi dzieciństwie, Polska nie jawiła się nam jako jakiś kraj magiczny, dla nas nieosiągalny. Polska to było coś, co z czasem na pewno powróci, bo po prostu kiedyś nadejdzie jej czas. Abyśmy jednak wiedzieli, że istnieją jeszcze na świecie inne kraje, a nie tylko po wyspiarsku bardzo samolubna Anglia, rodzice każdego roku zabierali nas za granicę. To była święta rzecz. W mojej klasie angielskiej szkoły był jeszcze tylko jeden jedyny uczeń, który również na wakacje opuszczał wyspę. Anglicy bowiem z reguły swoje urlopy spędzali w domu, a w najlepszym razie nawet gdzieś dalej, ale prawie zawsze w swojej ojczyźnie. My pakowaliśmy namioty, wsiadaliśmy w samochód i nim minął trzeci dzień podróży, już byliśmy we Włoszech. Innym razem jechaliśmy do Francji, gdzie zwykle odwiedzaliśmy stryja, Krzysztofa Konopnickiego, który miał przepiękny domek w Prowansji. Trzeba bowiem wiedzieć, że przez dziadka Jaraczewskiego jesteśmy spowinowaceni z rodziną słynnej pisarki, a ponieważ tata był jedynakiem, przywiązywał wielką wagę do podtrzymywania kontaktów ze wszystkimi krewnymi. Stryj, ożeniony z Francuską, był ojcem sześcioro dzieci, z którymi też chętnie i dość często ja i Joasia wymienialiśmy się wizytami. Rodzice wiedzieli, że wszystkie wyjazdy wakacyjne są ważne dla naszej świadomości, dawały nam pojęcie, że świat europejski jest szalenie różnorodny i bardziej złożony niż to się może wydawać z wyspiarskiej perspektywy. Podróże, według naszych rodziców, miały nie tylko pobudzić w nas ciekawość patrzenia na świat, ale nauczyć nas nawiązania z nim kontaktu, przefiltrować przez swoją świadomość. Przekonały nas, że poznając inne kraje i inne narody to również polskość postrzega się trochę inaczej, bardziej zwyczajnie i naturalnie.

W 1961 roku, przed wyjazdem na wakacje do Włoch, Joasia kupuje zeszyt w twardej oprawie, w którym prowadzi dziennik podróży. Notuje nie oddzielając jednak kolejnych dni:

„Mieliśmy lekcje muzyki rano. Potem poszliśmy na Wimbledonie kupić rzeczy dla mamy i na wakacje. Wszystko bardzo ekscytujące. Mama, tata i Krzysztof poszli po francuską wizę.

Mamy zamiar obudzić się o czwartej rano, żeby wsiąść o piątej na statek. Odplywaliśmy szalenie podekscytowani.

We Francji jedziemy konno. Na drodze widzieliśmy zieloną walizkę, która musiała wypaść z autobusu przyjeżdżającego z Anglii. Podróżując, spaliśmy we Francji w cudownym hotelu i na campingu. Dzisiaj dotrzemy do Turynu. Przejechaliśmy przez wspaniały tunel, na którego końcu był cudowny widok.

Dzisiaj przekroczyliśmy granice z Włochami, ale wciąż przed nami długa droga.

Przybyliśmy do przyjaciół we Florencji. Jest ciemno i zostajemy z przyjaciółmi do późna w nocy. Widzieliśmy stary most, na którym stały domy. Nazywa się Ponte Vecchio.

Pojechaliśmy do Włoch, na wyspę Ischia, koło Neapolu. Oglądaliśmy Wezuwiusz i Pompeje.

Dotarliśmy do Villa Il Monde (miejsce skąd dopływaliśmy do Ischia).

Mama dostała chyba różyczki.

Poszliśmy pływać i do sklepów. Dzisiaj przekonałam się, że potrafię pływać kraulem.

Mama wciąż ma różyczkę. Od wczoraj są duże fale, płynamy. Z naszych okien widać wulkan Wezuwiusz. Dostałam różyczki. Leżę w łóżku cały dzień i czytam książkę „Backing up Billy Bunter”.

Poszłam do doktora. Zalecił, że nie mogę się kąpać przez dwa dni po ustąpieniu gorączki. Miałam przejażdżkę na koniach.

Włochy były dość tanie”.

Gdy Joanna kończy 16 lat, rodzice przepisują ją do angielskiej szkoły świeckiej, z autorskim programem, z nauką języków francuskiego i włoskiego. Droga do szkoły zabiera jej aż dwie godziny, ale w nowym miejscu od razu czuje się świetnie. Poznaje inny, zdecydowanie bardziej sobie przyjazny świat. Najbardziej ze wszystkich przedmiotów lubi zajęcia plastyczne, najczęściej maluje konie. Ubóstwia bowiem te zwierzęta. Będąc dziewczynką, zaczęła jeździć konno, była to jej wielka pasja, ale musiała zrezygnować z powodu alergii, do domu wracała cała w uczuleniowej, dokuczliwej wysypce.

Krzysztof: - Siostra miała już chyba 13 lat, gdy z okazji moich urodzin chciała mi zrobić przyjemność i ze swojego kieszonkowego zafundowała jedną jazdę w siodle. Strasznie to długo trwało, bo było mi na koniu za wysoko i nie miałem z tej jazdy specjalnej przyjemności. Ona uradowana, biegła obok, zaraz dostała silnej wysypki, ale z uporem mi towarzyszyła, do samego końca. To cała moja siostra: jeśli tylko coś postanowi, wytrwa, żeby nie wiem ile miało ją to kosztować, nie da po sobie nawet poznać!... Ze względu na jej alergię nie mieliśmy w domu żadnych zwierzątek, choć ogromnie tęskniłem za jakimś czworonogiem, było nawet tak, że chciałem Joasię wymienić na psa... Ona sobie w ogrodzie trzymała w klatce królika, a przez pewien czas mieliśmy też dwie papużki... Dolegliwości Joasi oraz zdrowie ojca, który musiał przejść operację żołądka, dyktowały naszą domową dietę. Odżywiałyśmy się zdrowo, mama nie używała żadnych tłuszczów i sosów, na stole właściwie nigdy nie pojawiały się ciasta czy kremy. Odkąd tylko pamiętam, było wielkim marzeniem Joasi, aby dostała i mogła zjeść prawdziwe, ugotowane kurze jajko...

Jadwiga Jaraczewska: - Poza tym nieszczęsnym jajkiem, nie przypominam sobie innych jej oczekiwań na prezent. Trudno nam wtedy było o zabawki, dzieci to rozumiały i nie robiły sobie dużych nadziei. Bardziej niecierpliwymi w oczekiwaniach był Krzyś. Raz nawet tak przywiązał się za nogę do łóżka, aby obudzić się zaraz po północy, żeby zobaczyć swój urodzinowy prezent, bo mieliśmy taki zwyczaj, że upominki z tej okazji kładliśmy przy łóżkach dzieci po północy. Znalazł wtedy – pamiętam - upragniony rower, radość była olbrzymia!

Joanna: - Każdy prezent był dla nas niespodzianką. Nie pisaliśmy listów do świętego Mikołaja z prośbą o konkretną rzecz. Miałam już chyba czternaście lat, gdy po raz pierwszy mogłam sobie zamówić prezent. Zapamiętałam to jako dość przykre rozczarowanie, bo całe święta mi się jakoś zburzyły przez brak tego magicznego stanu oczekiwania na niespodziankę... Przez całe lata moją ulubioną zabawką była lalka nazwana przeze mnie „Amerykanką”, dostałam ją bowiem od znajomych naszych rodziców mieszkających w Stanach Zjednoczonych. Byłam zrozpaczona, gdy zgubiłam ją w Szwajcarii, dokąd pojechałam na kurację przeciwalergiczną. Na szczęście rychło ją odzyskałam, ktoś znalazł i oddał na pocztę, na której często z mamą bywałyśmy, wysyłając i odbierając korespondencję... Nie mieliśmy z bratem nierealnych marzeń. Nauczono nas być szczęśliwymi w ramach istniejących możliwości, tego, co można realnie osiągnąć. Owszem, miałam marzenia, marzyłam o wolnej Polsce, zaw-

sze wierzyłam, że kiedyś pojadę tego kraju, mojego kraju. Ale czyż to są zwykłe marzenia na miarę normalnych, dziecięcych lat...?

Rodzina Jaraczewskich żyje w Londynie we własnym, zamkniętym świecie. Nie chodzą do kin czy teatrów, raz, że za daleko, dwa - nie ma co ukrywać - skromny budżet domowy na to nie pozwala. W weekendy najczęściej robią sobie piesze wycieczki za miasto.

Joanna: - Tata był ogromnie zapracowany. Rzadko nawet siadał razem do kolacji, bo miał godziny pracy kompletnie nieregularne, a do tego klienci telefonowali właściwie o każdej porze dnia i nocy. Często zmęczony zasypiał siedząc na kanapie, nie wytrzymał już tego szalonego tempa. Przede wszystkim została mi w sercu z tamtych lat jego obecność w domu, moje niesłychanie silne przywiązanie do ojca. Po nim odziedziczyłam mój upór, przekorę i emocjonalne podejście w życiu do wielu spraw... Nasza mama zawsze była osobą o bezprzykładnie łagodnym usposobieniu.

Nieustannie udziałem naszej rodziny była niepewność finansowa. Każdy dopływ większej gotówki zaraz był inwestowany, nie można było sobie pozwolić na lepszą kolację, butelkę wina czy kupno modnej sukienki. Rodziców nie było stać na posyłanie nas do prywatnych szkół.

Krzysztof: - Mama zrezygnowała z posyłania mnie po zakupy, bo raz popisałem się nieodpowiedzialnie taką hojnością, że wydaną resztę w sklepie zostawiłem na ladzie jako napiwek, a gdy tylko miałem okazję po drodze kupowałem mamie kwiaty... Na takie gesty w naszym domu nie można było sobie pozwalać. Rodzice nie palili, pieniądze, które mieliby wydawać na papierosy, systematycznie odkładali, zebrana kwota starczała na dwutygodniowe, a czasem nawet dłuższe wakacje pod namiotem dla całej rodziny.

Joanna: - W domu wychowywano nas dość rygorystycznie, rodzice byli wymagający, ale traktowali po partnersku, można było z nimi rozmawiać o wszystkim. Narzucali dyscyplinę, okazywali jednak szacunek nie tylko jako dzieciom, ale ludziom. Liczyli się z naszą opinią, nigdy nas nie lekceważyli, odnosili się zawsze do nas z zaufaniem. Nie miałam problemów, gdy zasiedziałam się u koleżanki, wystarczył telefon do domu, że wrócę później. Nie zdarzyło się, abym ich oszukała i nie poszła np. do koleżanki, tak jak powiedziałam, ale poszła sobie gdzie indziej, po prostu nigdy nie musiałam tego robić.

Krzysztof: - Na pewno nie mogliśmy sobie pozwolić na czynienie rzeczy nieprzyzwoitych. Nie wyobrażam sobie na przykład, abym wrócił do domu pijany nawet wtedy, gdy już byłem dorosłym mężczyzną. O takich sprawach nawet się w ogóle nie mówiło, to było dla nas absolutnie oczywiste.

Joanna: - Uczyli nas samodzielności w myśleniu, opierania się poddawaniu choćby najpopularniejszym łatwiznom, zachowania własnej, niezależnej postawy. Pewnego razu moje czternastoletnie rówieśnice z klasy miały wolny bilet na Beatlesów: - Chcesz iść z nami? - zapytały, wiedząc przecież doskonale, że jest to dla mnie bardzo atrakcyjna szansa. - Owszem, chętnie pójdę - odpowiedziałam. - A będziesz krzyczała na koncercie? - Nie, nie będę krzyczała - szczerze odrzekłam zgodnie z moim przekonaniem. - To w takim razie nie idziesz - usłyszałam i biletu mi nie dały... Powszechnym zwyczajem było mieć swojego chłopaka. Zwykle chodziło się z chłopakiem ze trzy miesiące, następowało jakby planowane rozczarowanie, robiło się miesiąc przerwy i znajdowało sobie kolejnego boyfriend'a. W ten sposób dziewczyny się dowartościowywały ale mnie to nie było potrzebne i ta moda zupełnie mi nie odpowiadała. Ja starałam się mieć dobrych kolegów, przyjaciół, których nie musiałam pozyskiwać wdając się koniecznie w romanse... Nie naśladowałam też moich rówieśniczek w dość bezmyślnym przecież kolekcjonowaniu wycinanych przeważnie z gazet zdjęć aktorów, idoli estradowych i zespołów muzycznych.

Krzysztof: - Nigdy nie mieliśmy poczucia, że rodzice nas wychowują według jakiegoś z góry ustalonego, sobie znanego planu, wszystko w naszym domu zawsze działo się w sposób bardzo naturalny i niewymuszony.

Joanna: - Wartości obu rodzin naszych rodziców wzajemnie się wsparły i silnie połączyły. Czy potrafilibyśmy z bratem sami wydobyć te wartości z siebie, gdybyśmy nie wyrosli w rodzinie, która potrafiła nam je przekazać? Myślę, że jednak byłoby nam trudno...

\*

Z zapisków Joanny:

Tak, Polska istnieje! Jest i Warszawa, i Kraków, i Bałtyk, i jeziora mazurskie, i język polski, telewizja polska, tramwaje polskie, sklepy!.. Nie jestem już taka inna!... Jestem między swoimi. Polskość zaczęła być czymś normalnym, codziennym...

- Jak państwo mogli pozwolić, aby wasza córka pojechała do komunistycznej Polski?!- „niezłomni” w Londynie z oburzeniem pytali rodziców Joanny. Bo przecież emigracja nigdy nie zaakceptowała PRL-owskiej rzeczywistości, w gruncie rzeczy nawet nie przyjęła do wiadomości istnienia całkowicie przez Kreml zniewolonej Polski Ludowej. W kraju, z którym nastąpiło „rozstanie niepowrotne”, nie było według nich wolności, a tylko mogła panować pewna swoboda. „Co to znaczy: wolni Polacy? - pytał przywódca socjalistów Adam Ciołkosz i odpowiadał: - „Wedle jednej wykładni, wolni Polacy to ci, którzy nie uznają prawowitości obecnego systemu rządzenia w Polsce, wedle innej wykładni, to ci wszyscy, którzy znajdują się poza zasięgiem władzy polskiej partii komunistycznej i władz bloku moskiewskiego , a więc wszędzie - jak to się niezupełnie ściśle ale powszechnie określa - przebywają na Zachodzie. Prawowitości obecnego systemu rządzenia nie uznaje 99 procent ludności Polski, chociaż czuła się ona i czuje wciąż jeszcze wobec tego systemu bezbronna i bezsilna. Rolę rzeczników jej ideałów i interesów narodowych wzięła na siebie emigracja polityczna.

Podjęcie tego zadania pociągało za sobą i nadal pociąga wielkie poświęcenie osobiste, a mianowicie rezygnację z życia mniej więcej normalnego, mniej więcej uporządkowanego, a przede wszystkim z życia na własnej ziemi, w organizmie złożonym z ludzi tego samego pochodzenia, języka i kultury. Życie w jednorodnym środowisku zawsze jest duchowo lżejsze, nawet jeśli przynależność do tego środowiska pociąga za sobą dyskryminację. Emigracja polityczna w pełni świadomości tego co czyni zaakceptowała gorycz pobytu na obczyźnie i wzięła na siebie to privilegium odiosum, negatywny przywilej rezygnacji z normalnego życia. Mickiewicz nazywał emigrację z czasów po powstaniu listopadowym „pielgrzymstwem”. Nasze czasy nie lubią patosu słów, ale coś z tego mickiewiczowskiego pojęcia pozostało, między innymi gotowość powrotu do Polski i służenia Polsce na polskiej ziemi, gdy ziemia ta będzie wolna”<sup>141</sup>.

W latach czterdziestych i pięćdziesiątych wyjazdy do Polski były wśród emigracji niezwykle rzadkością, miały posmak zakazanego owocu i natychmiast prowadziły do napiętnowania osoby, która się na taki krok ważyła. - Tam są przecież komuniści! - powszechnie wyrażano przerażenie. Nie utrzymywano oficjalnie z krajem okupowanym ani kontaktów handlowych, ani kulturalnych, ani towarzyskich. Pierwszy reportaż emigranta, który odwiedził Polskę i wrócił na Zachód, Aleksandra Janty-Polczyńskiego „Wracam z Polski”, wydany przez paryską „Kulturę”, w Londynie wywołał niesłychaną burzę. Na osobiste polecenie generała Andersa numer „Kultury” został skonfiskowany i zakazano sprzedaży w polskich księgarniach<sup>142</sup>.

Zdarzały się jednak pewne wyjątki. Profesor Stanisław Kot, zajadły tropiciel piłsudczyków, namawiał: „Trzeba zobaczyć i zorientować się, jak jest naprawdę”, a Stanisław Mackiewicz, premier emigracyjnego rządu, argumentował: „Nie jesteśmy narodem wyznającym zasadę „gdzie dobrze, tam ojczyzna”. Kiedy Antoni Słonimski pojechał w 1945 roku do kraju z wycieczką pisarzy i artystów angielskich i wrócił po dwóch tygodniach do Londynu, zapisał: „ta wyprawa była jak harpun, który na długo utkwił w moim sercu”, a już po powrocie na stałe do kraju dodał: „Miałem dobre stanowisko i ponętne propozycje, ale w Anglii nie byłem sobą. Jak Montaigne, który twierdził: ”Paryż czyni mnie Francuzem”, tak i ja bez Warszawy byłem kimś innym, niepełnym. Obracałem się w Londynie w środowisku ludzi wybitnych i atrakcyjnych, ale nie jako partner równorzędny, lecz jako intruz”<sup>143</sup>.

Emigracja odcięła się od systemu, ale nie od rodzin, z którymi utrzymywano korespondencję, wysyłano paczki. Pod koniec lat sześćdziesiątych zarysowuje się w postawie uchodźców poważna szczelina: rodzice wychowujący dzieci na Polaków chcą im pokazać ten kraj znany właściwie tylko z rodzinnych opowiadań i z dość przecież naiwnego elementarza Falskiego. Z

każdym rokiem jakby dojrzewa rozsądek i rośnie pęd do zobaczenia Polski na własne oczy. „Drugie płuca Polski” odczuwają potrzebę dotlenienia. Kurczą się szeregi niezłomnych obrońców emigracyjnej żelaznej kurtyny.

Jaraczewscy nie są zaangażowani w jakiegokolwiek polityce. Z komunizmem oczywiście stanowczo się nie zgadzają i nigdy z komunistyczną ideologią się nie pogodzą, ale – mają odwagę powiedzieć – że jeśli zdarzyłoby się coś tak nieprawdopodobnego, że komuniści byliby wybrani w Polsce w wolnych wyborach, to ustanie uzasadnienie przebywania Polaków na uchodźstwie. Z rodziną w Polsce utrzymują żywą więź listowną, ślą paczki. Zdają sobie przy tym sprawę, że dorosłe i samodzielne dzieci mają prawo do własnych decyzji również w tak delikatnej kwestii jak odwiedzenie Polski pod komunistycznymi rządami.

Joanna Onyszkiewicz: - Starsza emigracja wcześniej dostrzegła, że młodsze pokolenie ucieka od polskości., mimo całego, nierzadko ogromnego wysiłku włożonego w ich patriotyczne wychowanie. Młodzież nie mogła się pogodzić z narzuconą im polskością, choć nie bardzo potrafiła tak całkiem od niej odejść.

Krzysztof Jaraczewski: - Nasza emigracja wpadła trochę we własną pułapkę: dzieci wychowano patriotycznie, ale nie wobec Polski, jaka realnie istniała i była państwem uznawanym w świecie, ale według Polski zachowanej tylko w pamięci rodziców, normalnej i niepodległej. Dla naszego pokolenia stworzył się abstrakt trochę trudny do zrozumienia... Aby podtrzymać polskość, nie popadając wyłącznie we wspomnieniowy sentymentalizm, jeszcze bardziej eksponowano naszą etniczność objawiającą się głównie folklorem. Narodowe tańce, krakowiaki i kujawiaki na ogół się podobały, ale jednak wydawały się dość obce, ja na przykład wolałem mimo wszystko tańczyć rock and rolla... Wielu moich kolegów i koleżanek jechało do Polski z jej wizerunkiem trochę takim właśnie folklorystycznym. Dla mnie i Joanny nie był to kraj z najwspanialszej wyobraźni, jechaliśmy do Polski, jaką była naprawdę, biedna i zniewolona przez komunistów, jednak nasza. Nie byliśmy rozczarowani, bo z Polską to jak z Warszawą - brzydka jak noc, ale przecież każdy ją kocha...

W kraju panował do emigracji „stosunek nacechowany ambiwalencją, stosunek zazdrości zespolonej z nieufnością, mieszanina kompleksu niższości z megalomanią - kąśliwe uwagi o Andersie, który chce wrócić na „białym koniu”, złośliwe napomknięcia o pisarzach, którzy „wybrali wolność”, ironiczne dowcipy o ministrach rządu londyńskiego, którzy dobrze się urządzili na brytyjskiej ziemi, groteskowo kontynuują instytucje przedwojennego państwa, a rodakom z kraju udzielają bezczelnych rad i pouczeń. Przyznajmy uczciwie: ten manewr udał się oficjalnej propagandzie. Emigracja nie miała w latach naszej młodości, w latach 50-tych i 60-tych, dobrej prasy. Była czymś obcym. Funkcjonował stereotyp emigranta, który odwrócił się plecami do kraju, postawił się poza narodem, nie dzieli jego doli i niedoli, żywi beznaście pragnienia powrotu do dawnych stosunków i własnych przywilejów; emigranta, który wybrał łatwy chleb, bezpieczeństwo i dobrobyt, a za amerykańskie pieniądze - przez „Wolną Europę” - opowiada kłamstwa o Polsce. Obowiązywał pogląd, że po to, by wypowiadać się o najważniejszych polskich sprawach, trzeba być tu, nad Wisłą, gdzie ciężko i niewygodnie, a nie nad Sekwaną czy Tamizą, gdzie wygodnie i bezpiecznie. W Polakach rozsiansych po świecie widziano bogatych krewnych zza granicy, a nie składnik polskiego losu z XX wieku...”<sup>144</sup>

Pierwsza jedzie do Polski Joanna, ma 15 lat. - Już nie było babci Aleksandry, która twierdziła, że do komunistycznej Polski się nie jeździ. Rodzice uważali, że nie mogą wychować dziecka w duchu własnego kraju, jeśli tego kraju samo nigdy nie zobaczy. Wysłali mnie na wakacje do rodziny. Sami jechać naturalnie nie mogli, mieli tylko paszporty Nansenowskie.

Jadwiga Jaraczewska: - Nie przyjęliśmy obywatelstwa brytyjskiego, byliśmy na statusie uchodźców politycznych. Zamiast paszportów dostaliśmy dokumenty podróży - Travel Dokument, na których widniała adnotacja: „ważny na wszystkie kraje świata” ale obok stempel: „Except Poland”<sup>145</sup>. Dlatego, gdy dzieci jechały do Polski, oddawaliśmy je pod opiekę przyjaciół albo na Okęciu odbierał je ktoś z naszej rodziny. Joasia jeździła też czasem w grupach z

kościół polskiego. Każda bez wyjątku podróż dzieci do Polski była dla nas niewątpliwie bardzo silnym przeżyciem i emocjonalnym obciążeniem.

Nareszcie Joasia czuje się u siebie! Wszyscy mówią wokół po polsku, jak w jej rodzinie.

Na dworcu kolejowym w Poznaniu czeka rodzina ojca. Poznała ich wcześniej, gdy gościli w Londynie: stryj Jasiak, jego dwóch synów - starszy od Joasi o osiem lat Tomasz i młodszy o rok Wojtek. Mieszkają w starej kamienicy, dwupokojowym „M.-3”. Stryjenka wiecznie szoruje podłogi, potwornie ciężko pracuje, aby dom utrzymać w czystości. Narzekają na nękające ich karaluchy, pchły i pluskwy.

- Nie byłam zszokowana warunkami, w jakich ich zastałam. Liczyła się ich serdeczność, wspierała umiejętność tworzenia atmosfery rodzinnej i rodzinnego życia - wspólna cecha, która niewątpliwie łączyła stryjostwo i moich rodziców. Mnie zaakceptowali pełnym sercem.

Choć w Polsce, w porównaniu z innymi krajami, w których już była, jest jaskrawo odmiennie, uciążliwości życia codziennego Joasi nie dokuczają. Była uprzedzona, że to ubogi kraj. Intryguje ją jazda zatłoczonym pociągami czy tramwajem. Że na Zachodzie zawsze można kupić miejscówkę zrobiło się nudne. Oszalała też bliskość fizyczna ludzi, bo przecież w Anglii nie można nikogo dotknąć. Fascynują ją powszechne kolejki, w których stojąc godzinami można sobie gadać z rówieśnikami, silna woń chlorowanych toalet, zapach kiszzonej kapusty niemal w każdym domu. Zachwyca ją inność, jakiej nigdzie nie mogła wcześniej doświadczyć. Jednak najwspanialsza jest świadomość, że otacza ją POLSKA, takie jakby światło, które żarzy się przy niej nieustannie przez cały czas...

Drugą część wakacji Joasia spędza w Warszawie, u przyjaciółki mamy z ławy szkolnej w gimnazjum Wandy Szachtmajerowej, Władysławy Smolińskiej. - Dla mnie była ciocia, u dorosłych miała przydomek „Dunda”. Razem latała z mamą na szybowcach i ta pasja zbliżyła je do siebie. Za przyjaźń z mamą spotkały ją przykrości, w szkole bowiem uznano, że nie jest odpowiednią dla córki Marszałka i zmuszona była odejść z tego gimnazjum. Ich przyjaźń jednak okazała się trwała, mama zawsze wymieniała z nią listy, wysyłała paczki, a gdy tylko mogła, również telefonowała. Ciocia miała męża i troje dzieci, była warszawianką z krwi i kości, cechowało ją fantastyczne poczucie humoru, tchnęła ciepłem rodzinnym. Mieszkali z babcią, czyli mamą cioci Smolińskiej, w sypiącej się, przedwojennej kamienicy. Mieli bodaj trzy pokoje bez łazienki, a kuchnię urządzili w jednym z tych pokoi. Dawali mi wspaniałe, rodzinne oparcie. Oni też pokazali mi Polskę, która była odmienna od mojego przecież wcale nie wyidealizowanego obrazu, chociaż kiedy w gazecie przeczytałam o jakimś pospolitym morderstwie popełnionym w kraju, aż krzyknęłam ze szczerego zdumienia: - Jak to, przecież w Polsce chyba nie ma morderców!?!...

Krzysztof Jaraczewski: - Musiałem ciężko pracować, aby udowodnić sobie, że jestem Polakiem, dopiero to uzyskać, czymś się wykazać. Nie mogłem zostać Polakiem tak po prostu, niejako automatycznie z racji samego pochodzenia. W kraju nie ma żadnego znaczenia, czy ktoś jest nawet notorycznym pijakiem, czy jakimś złodziejaszkiem, i tak od razu i zawsze jest Polakiem. My musieliśmy się zasłużyć.

Pierwszy raz przyjechałem do Polski, gdy miałem 11 lat. Rodzice wsadzili mnie samego do samolotu, a na polskim lotnisku odebrała mnie rodzina ojca. W Polsce chadzaliśmy z Joasią tymi samymi ścieżkami. Dla niej przewodnikiem był nasz stryj, Jasiak Jaraczewski: żywy, towarzyski człowiek, z polotem. Zabierał ją na jeziora, w góry, pomógł nawiązać kontakt w Polskę. Ponieważ miał dwóch synów, więc Joasię traktował jak córkę, bardzo był ojcowski. Mnie kontakt z Polską przychodził trochę trudniej. Również dlatego, że tak naprawdę mnie bardziej interesowały inne strony świata. Gdy Joasię pociągała Polska, mnie nęciła raczej Afryka. Ona konsekwentnie ten swój „polski” plan przeprowadzała.

Chris Niedenthal: - Moi rodzice przyjęli brytyjskie obywatelstwo, nie zrzekając się polskiego. Nie podzielali przekonania, że nie powinno się odwiedzać kraju, póki trwa komunizm. Pierwszy raz byliśmy w Polsce w 1963 roku, oczywiście, ku zgorszeniu niektórych znajo-

mych Polaków w Londynie. Rodzice byli antykomunistami, przecież głównym zadaniem ojca jako prokuratora w Wilnie było tropienie komunistów. Choć z duszą na ramieniu, ale jechał do Polski. Wybraliśmy się pociągiem, samolot był za drogi i chyba nie było jeszcze nawet regularnych rejsów do Polski. Miałem 12 lat, dobrze pamiętam pierwsze momenty. Witął nas brat matki, profesor Antoni Łyżwański, artysta malarz, cudowny człowiek, wprawdzie komunistą, ale taki jeszcze przedwojenny, ideowiec, żaden karierowicz. Wykładał w Akademii Sztuk Pięknych i jednocześnie pracował w Ministerstwie Kultury. Czekał na nas na dworcu Gdańskim, gdzie przyjeżdżały wszystkie pociągi z zagranicy. Była czarna wołga z kierowcą. Nigdy wcześniej takiego samochodu nie widziałem. Zapamiętałem charakterystyczny zapach skóry radzieckich samochodów i benzyny; która pachniała inaczej niż zachodnia, jakoś intensywniej. Zawieźli nas do małego mieszkania wuja przy ulicy Angorskiej, na Saskiej Kępie. Nie, nie doznałem żadnego rozczarowania, nie spodziewałem się białych niedźwiedzi na ulicach... Owszem, ludzie żyli biednie, ale było wspaniale i przyjacielsko.

Maria Szymańska: - Emigracja nie chciała mieć kontaktu z PRL-em. Pewne koła polityczne stanowczo się sprzeciwiały, by dzieci jeździły do Polski. W mojej rodzinie, podobnie jak u Hani Kościa, uważano jednak, że młodzież musi mieć kontakt z żywą Polską. Kiedy dziadzio Stanisław Pawłowicz pojechał do rodziny w Krakowie i Warszawie, przygotował drogę dla nas, umawiając się z krewnymi<sup>146</sup>. Pierwszy raz przyjechałam z siostrami i rodzicami w 1967 roku, skromnym austinem, ale w Polsce w tamtym czasie, kiedy były tylko syrenki i maluchy, uchodził za luksusowe auto. Tak mi się rodzinny kraj moich dziadków i rodziców spodobał, że po powrocie od razu zaczęłam odkładać z kieszonkowego na autokar, liczyłam co parę tygodni, aż zebrało się dwadzieścia sześć funtów, tyle wtedy kosztował bilet. Po dwóch latach oszczędzania starczyło też na inne wydatki. Jechałam do Polski sama. Miałam szesnaście lat. W Poznaniu czekał na mnie brat znajomego rodziców, który pomógł mi przesiąść się w pociąg do Krakowa. Tu mieszkała moja o bojowym charakterze ciocia-babcia Lula, Helena Zarembyna, jedna z sanitariuszek w Legionach, żołnierz pułku kawalerii biorącego udział w wojnie 1920 roku, odznaczona osobiście przez Marszałka Piłsudskiego Virtuti Militari V klasy. Dała mi kwadratowy plecaczek i dołączyłam do grupy o wiele starszej ode mnie młodzieży studenckiej, która należała do wspólnoty krakowskiego duszpasterstwa akademickiego prowadzonego przez ojców Dominikanów, zwanego „Beczka”. Pojechałam z nimi na obóz wędrowny w Beskidy. W autobusie poznałam miłe studentki, które nie zorientowały się, że jestem z Anglii. Jednak gdy w punkcie zbornym usłyszałam: Gdzie ta Angielka? od razu odparłam: Jestem Polką! Wszystko we mnie krzyczało: - Jestem Polką z krwi i kości, serca i duszy!... Zawsze, gdy ktoś o mnie mówił: „Angielka”, strasznie mnie to bolało.

Joanna Onyszkiewicz: - Doprowadzało mnie do szewskiej pasji, że tam, w Wielkiej Brytanii walczyłam, aby uznawali moją polską narodowość, a tu, w Polsce, moi rodacy mówią mi, że jestem Angielką!... Wściekałam się, nie godziłam się, dręczył mnie straszny ból i przejmująca gorycz. Po co w takim razie – zadawałam sama sobie retoryczne pytanie - ja tak zawzięcie walczę o tę Polskość?!...

W sumie jednak z Polski wracałam zachwycona i szczęśliwa. Po wakacjach, w mojej nowej szkole obok języka francuskiego, którego nauka przychodziła mi niezmiernie łatwo, zaczęłam się uczyć niemieckiego. Niestety, bez większego rezultatu. Myślę, że niechęć do tego języka wzięła się w czasie pobytu w kraju, gdzie wciąż bardzo żywe były wspomnienia wojenne i stosunek do Niemców był wrogi. Wróciłam tak nasycona pamięcią o okupacji, że nie mogłam nauczyć się tego języka. Nauczycielka od niemieckiego zwróciła mi uwagę, że nawet po angielsku mówię... z polskim akcentem.

Zmiana szkoły, a zwłaszcza pobyt w Polsce, czynią ważny przełom w życiu Joanny. Częściej teraz bywa wśród polskiej młodzieży na Wimbledonie i Ealingu, zbliża się do grupy skupionej wokół parafii Ojców Marianów na Ealingu, gdzie opiekunami młodzieży są księża Włodzimierz Okoński<sup>147</sup>, organizator licznych wycieczek, i Kazimierz Grzymała.

Ksiądz Okoński, lekarz, był bardzo lubiany. „To człowiek-dusza”, pełen dynamizmu, jeździł czasem lambrettą, obowiązkowo w kasku na głowie - wspominają go. Potrafił łatwo znaleźć wspólny język z młodzieżą garnącą się do polskiej wspólnoty, zachęcić ją do poznawania i podziwiania dzieł sztuki. Organizował pielgrzymko-wycieczki: do Włoch, do Loreto, miejsca kultu Matki Boskiej, gdzie co roku odbywały się spotkania polskiej młodzieży z różnych krajów osiedlenia - „Kursy Loreto IV”, później do Hiszpanii, gdzie spotkania te też były organizowane. Od końca lat sześćdziesiątych na zaproszenie księdza prymasa Wyszyńskiego ksiądz Okoński zabierał młodzież również do Polski<sup>148</sup>.

Joanna Onyszkiewicz: - Ksiądz uczył nas życia: opowiadał o problemach, jakie możemy napotkać. Nie było tematów tabu. Współpracował z nim młodszy ksiądz, Grzymała, wesóły, dowcipny, niemal nasz kolega. Pierwszy raz pojechałam na wycieczkę do Loreto. Wtedy bliżej poznałam Marysię Szymańską. Cały autokar pełen rozśpiewanej młodzieży z gitarami. To była normalna religijność, żaden dewotyzm. Czułam się cudownie w gromadzie wychowywanej w tradycji polskiej, ani chwili nie odczuwałam jakiejś odrębności czy wyizolowania. Ten wyjazd miał ogromny wpływ na całe moje życie, odnalazłam w sobie równowagę.

Gdy zbliża się czas na wybór kierunku studiów, rodzice radzą Joannie: „Pamiętaj, żeby wybrać to, co ci się kiedyś przyda w kraju”. Gdy myśli o studiowaniu polonistyki, mama zwraca jej uwagę: „I co ci, Joasiu, przyjdzie w Polsce z angielskiej polonistyki?”...

- To raz jeszcze uświadamia mi, że my w Anglii rzeczywiście przebywamy tymczasowo, że jesteśmy, oboje z bratem, ciągle wychowywani z myślą o powrocie do kraju, wychowywani na walizkach... Mamy swój dom, szkołę, ale dla nas jest to układ niestały, bo przecież „jeśli tylko odbędą się w Polsce wolne wybory zaraz tam wracamy”... To wieczne wyczekiwanie troszkę nas męczy psychicznie. Dwadzieścia trzy lata po wojnie system komunistyczny tak się zakorzenił w Polsce, że trudno spodziewać się tam szybkiego spełnienia warunków do naszego powrotu...

Joanna Jaraczewska zdaje egzaminy do Kingston College of Art, która to uczelnia łączy się nieco później z Kingston Polytechnic. Chce studiować malarstwo albo rzeźbę. Mama, całkiem nieświadomie, zraziła ją do architektury. Gdy ją pewnego razu zapytała: a co to jest architektura, usłyszała: na przykład zaprojektowanie tak wejścia do domu, aby deszcz nie zaciągał... Wydało się jej, że takie zajęcie jest nudne i nieznośnie prozaiczne.

Już po trzech tygodniach ogólnego kursu, który trzeba najpierw zaliczyć, nim ostatecznie wybierze się konkretną dziedzinę studiów, zwrócono uwagę, że jej rzeźby mają formę bardziej przestrzenno-techniczną niż plastyczną. Doradzają, aby wybrała architekturę. Jednego dnia załatwia wszystkie formalności i jest studentką architektury, na razie w domu nic o tym nie mówi.

Notuje w pamiętniku:

„Pierwszy rok uniwersytetu w 1968 r. w Londynie. Demonstracje londyńskich kolegów popierające studentów polskich i czeskich i świadomość rozkwitająca, że nie tylko przynależę do tego kraju, ale może i ten kraj mnie potrzebuje?”

Kolejne wakacje w Polsce w wieku 19 lat i początek przyjaźni na własne konto. Jestem między swoimi! Miłość do Polski rozwija się trochę niezdrowo, zbyt romantycznie, a nie realistycznie.

Anglikom nie podoba się wcale, że ktoś kto się urodził w Anglii i ma paszport brytyjski, może się uważać za Polaka. Cały czas trzeba tej polskości bronić. Nadchodzi zmęczenie psychiczne. Miłość do kraju staje się obronna, a nie pozytywna”.

Bardzo często jeździ na wakacje do Polski. W grudniu 70 roku chce wyjechać, żeby podczas zimowych ferii z kuzynami wybrać się w góry na narty. W domu trwają narady: czy w takim momencie, gdy jest tragedia na Wybrzeżu, Joanna ma prawo weselić się na nartach?... Do ostatniej chwili rodzice wahają się, w końcu decydują, że jednak dla polskiego wychowania każdy wyjazd jest ważny. Jedzie do Szczyrku z kuzynem Tomkiem.

- Gdy w telewizji ogłaszają, że nie ma już Gomułki, jest Edward Gierek, dla mnie nie ma to większego znaczenia. Liczy się przede wszystkim rodzina, przyjaciele, społeczeństwo. Mam wprawdzie 20 lat, ale brak mi świadomości politycznej, znam już zasady polityczne, wiem oczywiście, jakie znaczenie mają wolne wybory, co to jest wolność, ale takie niuanse, do tego w kraju o systemie totalitarnym, kto personalnie jest u władzy, nie mają wówczas dla mnie znaczenia i nawet nie są zrozumiałe. Jednak giną ludzie, moi rodacy. Zaczyna do mojej świadomości docierać, że moja ojczyzna to nie tylko złote łąny pól i beztrudne wakacje...

Kuzyn Tomek kończy studia, Joannie szalenie imponuje jego akademickie towarzystwo, czuje się w tej grupie świetnie. Niestety, przytrafia się jej przykry wypadek, złamanie nogi okazuje się na tyle poważne, że nie obejdzie się bez chirurgicznego zespolenia kości. Przewożą ją do szpitala w Poznaniu, bo rodzina ma tu znajomych lekarzy. Anestezjolog podaje jej eter i każe wolno liczyć do dziesięciu... Po operacji zostaje w szpitalu na dwa miesiące, ponieważ stryj bardzo ciężko się rozchorował i stryjenka nie może dodatkowo opiekować się Joanną. Wcale z tego powodu nie czuje się pokrzywdzona, wprost przeciwnie, jest to dla niej - jak to określa - „wspaniała lekcja wspólnoty, lojalności i dobrego serca”. Wszyscy przyjaciele kuzyna ją odwiedzają, każdego dnia dbają, aby niczego jej nie brakowało, wiedzą, że w Polsce nie ma nikogo poza wujostwem, czują się za nią odpowiedzialni. Nawet jest zadowolona, że pobyt się przedłużył. Nieoczekiwanie przyjeżdża Krzysztof, w pierwszej chwili zamiast z tego się ucieszyć, ogarnia ją niepokój, że jej stan zdrowia jest poważniejszy niż mówił lekarze i dlatego rodzice przysłali brata.

Jadwiga Jaraczewska: - Sami przecież nie mogliśmy pojechać do Poznania. Wysłaliśmy więc Krzysia z pełną walizką bielizny, której Joasia potrzebowała. Celnicy na Okęciu podobno zdębieli ze zdziwienia, gdy zobaczyli, że cały bagaż szesnastoletniego młodzieńca składa się z damskiej bielizny...

Po wypisaniu ze szpitala Joanna wraca do Londynu. Studia w Kingston Polytechnic na wydziale architektury trwają sześć lat, z roczną przerwą po trzecim roku na praktykę. W architekturze interesuje ją nie tyle strona techniczna, co psychologia i socjologia: jak kształty wpływają na ludzi? gdzie się lepiej czują, czy w pokoju owalnym, czy kwadratowym? jaką rolę odgrywają kolory?... Na roczną praktykę wyjeżdża do Rzymu. Próbuje szukać swego miejsca na ziemi, bo w Anglii jakoś wciąż nie potrafi się odnaleźć.

Choć ma załatwioną pracę jako kreślarka w pracowni projektowej, jedzie w nieznaną, nie może na miejscu liczyć na pomoc, nikogo nie zna. Pieniądzy starczy na wynajęcie skromnego pokoiku. Oszczędza, aby opłacić kurs języka włoskiego dla zaawansowanych na uniwersytecie dla cudzoziemców w Perugii. Jako osoba praktyczna dość łatwo radzi sobie ze sprawami bytowymi, znacznie gorzej idzie z panowaniem nad życiem emocjonalnym. Nieustannie jest spięta, jakby w obawie przed jakimś nieszczęściem, cierpi na bezsenność. - To była cena usamodzielniania się - wspomina. - Stała się życiową dolegliwością, która dopadła mnie, gdy miałam szesnaście lat. Na dodatek przecież byłam nieśmiała, więc i to musiałam w sobie pokonywać, aby wreszcie uwierzyć w siebie, nie ugrzęznąć raz na zawsze w niepewności... Poznałam Polaka, z którym zaczęliśmy się spotykać. Pewnego dnia spacerowaliśmy nad brzegiem Tybru. - Ach, gdy wrócę do Polski i powiem, że trzymałem za rękę wnuczkę Piłsudskiego! - powiedział, pewnie chcąc mi zrobić przyjemność. W tym momencie jednak przysła cała moja sympatia do niego. Bo przecież chciałam się podobać nie za to, że mam akurat taką, a nie inną rodzinę. Tymczasem najczęściej się zdarzało, że adorującym panom najbardziej imponowało moje pokrewieństwo z Marszałkiem Piłsudskim. Inni znowu szczerze mną się interesowali, ale nie potrafili unieść stojącej za mną historii, był to dla nich za ciężki bagaż. W rezultacie dokuczała mi samotność. Koszmarnie trapiła mnie myśl, że mogę zostać sama...

\*

Z zapisków Joanny:

„...Wychowałam się na emigracji, między niezłomnymi. Jestem Polką, Kocham Polskę, a nie bardzo mogę sobie z tym dać radę, od wielu, wielu lat noszę garb polskości, który zaczynam nienawidzić. Wciąż jestem inna, nie uznana ani za jedno, ani za drugie: Angielką nie jestem, ale czy w końcu jestem Polką?... Bo co to jest być Polką? Czy wystarczy tak o sobie mówić? Czy wystarczy kochać, a nic nie robić?

Co ja bym mogła dodać z siebie do naszej kultury? Nie jestem przecież Mickiewiczem... Kim jestem? Gdzie jest moje miejsce? Chciałabym od tego wszystkiego uciec...”

Wtedy zrodziła się myśl o Kanadzie. Po praktyce we Włoszech ma jeszcze kilka tygodni wakacji i trochę oszczędności. Postanawia odwiedzić ulubionego kuzyna Tomasza, syna stryja Jasia., który wyemigrował do Kanady.

- Kiedy już tam spędziłam parę tygodni, pomyślałam: Ech, nie chce mi się do tej Anglii wracać! Wydawało mi się, że w Kanadzie będzie mi łatwiej, bo po prostu będę Polką wśród tylu innych emigrantów z całego świata. Chciałam się na tyle pozbyć moich problemów, by wreszcie móc z nimi żyć, zrzucić bagaż wymagań, jakie polskość na mnie nakładała, jednocześnie uwolnić od ciśnienia brytyjskości. Do domu już tylko pojechałam, żeby zakomunikować, że załatwiłam sobie studia w Kanadzie i zaraz wyjeżdżam. Rodzina przeżyła szok!

W styczniu 1974 roku Joanna rozpoczyna studia od drugiego semestru na wydziale architektury Uniwersytetu Carlton w Ottawie. Żyje bardzo oszczędnie, ma 30 dolarów na tydzień, z tego 18 płaci za mieszkanie. Aby zaoszczędzić 50 centów na autobusie, chodzi piechotą w czterdziestostopniowy mróz kilka kilometrów na uczelnię. Ma oparcie w kuzynie oraz w kilku przyjaciółach rodziców i cioci Wandy, zaprzyjaźnia się z Basią Miedzińską, wnuczką przedwojennego ministra poczty i telefonów, marszałka senatu, Bogusława Miedzińskiego.

Przez pierwsze miesiące nie rozumie wykładów, mimo że są prowadzone po angielsku. Nie rozumie z powodu innego akcentu. Musi je dodatkowo czytać. Ale studia ją pochłaniają, intrygują różnice w podejściu do architektury. Kanadyjscy wykładowcy uważają, że historii sztuki i architektury nie należy się uczyć, bo później można bezwiednie coś naśladować czy nawet kopiować. Nie uznają dziedzictwa i doświadczenia pokoleń, architekt musi być całkowicie oryginalny.

- Przeżyłam też wstrząs kulturowy. Zaniósłam swój pierwszy projekt i o mały włos od razu nie oblałam. Miałam zaprojektować sto domków na działce stuhektarowej, poza Ottawą, sąsiadującej z parkiem narodowym. Opierając się na swoim angielskim doświadczeniu, podzieliłam całość na 100 działek i na każdej zaplanowałam osobny dom. Moi profesorowie oniemieli. Nie mogłam zrozumieć dlaczego?!... W końcu stało się jasne: ludzie w Kanadzie żyją inaczej, obok siebie, a nie w oddaleniu. Kanadyjskie zimy są bardzo ciężkie, nie mogą więc liczyć tylko na siebie, mieszkając w skupiskach mogą łatwiej sobie pomagać w razie jakiejś awarii. Prawdopodobnie więc powinnam zaprojektować sto domków przylegających do siebie, a resztę terenu przeznaczyć do wspólnego użytku... To było dla mnie całkiem nowe myślenie. W Anglii, poza robotniczymi dzielnicami, nie ma tradycji budowania tak zwanych segmentów. Jeśli już buduje się bliźniaki, to z osobnymi ogródkami i odgradzającą je ścianą, aby broń Boże sąsiedzi nie mogli zaglądać. A w Kanadzie nawet nazwa placu przy domu jest inna: nie nazywa się go „back garden”, czyli „tylny ogród” ale „back yard” to znaczy podwórko. I jak to na podwórku: kwitnie wspólne życie sąsiedzkie, ludzie się spotykają, gadają, nie mają przed sobą tajemnic... Naprawdę więc musiało ich bardzo zaskoczyć, że chcę im zafundować osobne domy! Oczywiście, cały projekt gruntownie przerobiłam i już pomna tego doświadczenia nie wybrałam sobie na pracę dyplomową żadnego projektu, lecz opracowanie o wiele bardziej dla mnie ciekawego tematu, a mianowicie: „Analiza współczesnej architektury w różnych kulturach”.

Kanada jest piękna. Łatwo tu odsunąć się od intensywnego, wręcz obsesyjnego przeżywania polskości. Joanna nie prowadzi dusznych rozmów, które tak ją męczyły wśród Anglików.

Jest normalną cudzoziemką i tak naprawdę nikogo nie obchodzi, z jakiego kraju. Nikt niczego nie wymaga, życie jest łatwe, pogodne, relaksujące, a przez to takie kuszące, szczególnie dla kogoś kto rozmyśla o sobie, rodzinie, znajomych i swoim kraju, zastanawia się nad każdym krokiem, bo zawsze musi być odpowiedzialny... Joanna uczy się, pracuje, jeździ na nartach i ...w pewnym momencie czuje, że ta łatwość ją wsysa. Zaczyna zdawać sobie sprawę z coraz silniejszej pokusy, aby tu osiąść na stałe. Obawia się jednak, że wtedy szybko popadnie w przeciętność, a miłe, tak uporządkowane życie, że aż nudne, stanie się dla niej trudne do wytrzymania. - Wolę pokonywać przeszkody. Ocknęłam się. W ostatniej chwili uciekłam, nim zagarnęła mnie ta wygoda.

W domu dowiaduje się, że jej bliska koleżanka, Danusia Klimowska, uzyskała stypendium British Council na wyjazd do Polski, gdzie niebawem wyszła za mąż za operatora filmowego, Witolda Stoka, i już na stałe zamieszkała w Polsce<sup>149</sup>. Dla Joanny jest to oczywista wskazówka, że jednak można złamać żelazną zasadę emigracji i wrócić na stałe do kraju!

W tym przypadku jednak proste naśladownictwo nie jest możliwe dla Joanny, córki Jadwigi Jaraczewskiej z domu Piłsudskiej. Na pewno łatwiej jej przychodzi podjąć decyzję niż ją spełnić. Ma 26 lat i może samodzielnie stanowić o swoim losie, ale nie może być obojętna wobec zobowiązań politycznych swojej rodziny. Ma świadomość, że jej powrót nad Wisłę może być przez wielu ludzi odebrany jako gest wspólnego dziedzictwa Polaków, wymowny znak pewnego zwrotu w złożonej historii naszego narodu. Ojciec wydaje się być nieprzejednany, nigdy nie były jego udziałem moralne kompromisy. Mama odnosi się z większym zrozumieniem dla projektu córki. Jednak niczego nie zakazują, wyrażają jedynie swój pogląd. Bardzo poważna dyskusja trwa kilka miesięcy. Joanna zapewnia rodziców, że ich zgoda lub sprzeciw ma dla niej ogromne znaczenie, ale ostateczną decyzję musi wziąć na siebie. Tak ją przecież wychowali, aby nie unikała odpowiedzialności, nigdy nie kryła się za cudzymi plecami.

Po przyjeździe do kraju Joanna zamierza zachować brytyjski paszport. Gdy mówi o tym rodzicom, wyrażają na ten temat i taką opinię: - Jeśli poważnie traktujesz swój wybór, powinnaś zrzec się obywatelstwa brytyjskiego i mieszkać tak jak miliony innych Polaków mieszkają we własnym kraju, na takich samych prawach jak całe polskie społeczeństwo.

- Wyrażenie takiej opinii musiało być dla nich niezwykle trudne - komentuje Joanna. - W sposób oczywisty przecież wiązało się z ryzykiem, że utracą możliwość osobistego kontaktu ze mną, że możemy nigdy więcej się nie zobaczyć, bo w najlepszym razie zostanie nam kontakt listowny i telefoniczny. Jako bezpaństwowcy nie mieli wstępu do Polski komunistycznej, a ja z chwilą zrzeczenia się obywatelstwa brytyjskiego zdam się na łaskę i niełaskę reżimu, który może mi odmówić wydania paszportu umożliwiającego wyjazd z PRL-u. Wszyscy dobrze wiedzieliśmy, że pod tym względem system totalitarny potrafi być nieprawdopodobnie okrutny. Stanowisko rodziców, choć w pełni je podzielałam, wcale więc nie poprawia mojego samopoczucia, nie pomniejsza tysiąca kłębiących się w głowie najrozmaitszych wątpliwości...

Jeszcze raz Joanna jedzie do Polski. Jest lipiec 1976 roku, tuż po strajkach w Radomiu, w kraju organizuje się opozycja. Joannę wciąż zaprząta osobisty problem: wracać czy nie wracać do Polski? Wciąż nurtują ją te same pytania: czy będzie w porządku od strony moralnej, jeśli zostanie w kraju? Czy w ogóle ma prawo zamieszkać w Polsce? Co zrobić, aby nikogo nie zawieść, nie zdradzić ideałów swoich najbliższych?.. Wie, że decyzję może podjąć tylko raz i będzie to już decyzja nieodwracalna, powrót do Anglii zostanie przed nią zamknięty.

Znajomi w Polsce na ogół jej odradzają przyjazd na stałe. Taki pomysł uważają raczej za zwariowany. W Polsce - argumentują - życie na pewno jest cięższe, ludzie są pozbawieni kontaktu ze światem, cały kraj to jedna wielka zapyziała prowincja, w dodatku mało elegancka, nieuprzejma, żeby nie powiedzieć chamska. To nie są warunki odpowiednie dla kogoś kto wychował się w kraju dżentelmenów.

Joanna po raz pierwszy w życiu wykorzystuje swoją pozycję osoby spokrewnionej z Marszałkiem Piłsudskim, prosi o audiencję u prymasa Stefana Wyszyńskiego. - Ogromnie tę wizytę przeżywałam, z emocji dostałam gorączki, całą noc nie mogłam oka zmrużyć... Wiedziałam, że wszystko stawiam na jednej szali, że jest to już właściwie mój ostatni krok przed definitywnym rozstrzygnięciem... Ksiądz kardynał miał dla mnie czas, choć był przecież człowiekiem obciążonym wieloma obowiązkami. Niemal w nabożnym skupieniu słuchałam jego słów, starając się żadnego nie uronić. Ksiądz prymas Wyszyński utwierdził mnie w moim zamiarze: - Uważam – powiedział z naciskiem - że miejsce każdego Polaka jest w Polsce.

W ślad za siostrą jedzie do Polski jej brat, Krzysztof. - Wcześniej - relacjonuje - uważnie śledziłem, co robi KOR, ROBCiO, jaki jest los robotników w Radomiu i na Wybrzeżu. Brytyjskim dziennikarzom tłumaczyłem bibułę otrzymanywaną z Polski. Na targach książki w Londynie urządziłem z kolegą oddzielne stoisko z wydawnictwami publikowanymi w kraju poza zasięgiem cenzury. Sami z listew zbijaliśmy stojak. Poważni wystawcy patrzyli na nas, dwóch studentów w podartych dzinsach, z dezaprobatą ale mina im zrzędała, gdy właśnie do naszego stoiska zaczęli tłoczy się dziennikarze. Wybrałem się do Polski na spotkanie z opozycją.

W Londynie planowany powrót wnuczki Marszałka na stałe do Polski wciąż wywołuje komentarze wśród niepodległościowej emigracji. Nie ustają obawy, że komuniści wykorzystają to propagandowo, jako legitymizację swoich, PRL-owskich racji.

Joanna jeszcze wybiera się z rodzicami i cicią Wandą na weekend do Paryża. Odwiedzają Maisons-Laffitte, rozmawiają z Jerzym Giedroyciem, sumieniem Rzeczypospolitej. Środowisko paryskiej „Kultury” nie myśli o Polsce jedynie w kategoriach białoczarnych i nie uważa, że „wszystko tam jest do niczego”. „Zasadnicza rozbieżność między nami a Londynem – pisze Jerzy Giedroyc - polegała na tym, że my byliśmy nastawieni na oddziaływanie na Kraj, a oni chcieli od razu budować Polskę emigracyjną, państwo polskie na wygnaniu. Stali się samowystarczalni i byli pochłonięci tylko własnym życiem. Kraj był całkowicie odrzucony: zakaz drukowania w Kraju czy bojkotowanie książek wydanych w Kraju - to było przecięcie wszelkich więzi. Choć nie mieliśmy wątpliwości co do tego, że pozostaniemy na Zachodzie, nasz stosunek do rzeczywistości polskiej nie był jej jednoznacznym i bezwarunkowym odrzuceniem. Chcieliśmy oddziaływać na tę rzeczywistość. A przede wszystkim chcieliśmy mieć obiektywną informację o tym, co się dzieje w Kraju”<sup>150</sup>.

Jerzy Giedroyc był także zwolennikiem polityki Piłsudskiego, a najbardziej cenił jego realizm: „On znalazł rozwiązanie, które jest dla Polaków jedyne. Jego polityka była bardzo realistyczna, o pozorach romantyzmu. To jest bardzo typowe dla Piłsudskiego, który był jednocześnie bardzo zimnym kalkulatorem, ale umiał temu nadać takie jakieś szaty romantyczne. Dla mnie więc Piłsudski to jest legenda, polityka narodowościowa, w pierwszym okresie pilnowanie - aż przesadne - niezależności i suwerenności Polski”<sup>151</sup>.

Po polskich i paryskich konsultacjach Joanna zaczyna realizować plan powrotu na stałe do kraju. W lutym 1977 roku podejmuje pracę w Paryżu, aby sobie przygotować jak najwięcej pieniędzy na zagospodarowanie się w Polsce. - Pomogła mi znajoma mamy. Skontaktowała się z zaprzyjaźnionym małżeństwem architektów, którzy zatrudnili mnie w swoim biurze projektowym. Oszczędzałam, ile tylko mogłam.

W Paryżu jest Marysia Szymańska: - Choć początkowo myślałam o polonistyce, w Londynie studiowałam romanistykę. Pojechałam do Francji, by poznać żywy język i zdobyć praktykę. Aby się utrzymać uczyłam w szkole języków Berlitz. Mieszkałam w bardzo ładnej, eleganckiej miejscowości Le Vesinet pod Paryżem, w przerobionym na mieszkanie garażu otoczonym wielkim ogrodem. Właściciele willi i tego „garażomieszkania” byli dumni, że ich matka grała w brydża z samym prezydentem Francji!... Mieszkanie dzieliłam z Irlandką, która też uczyła angielskiego. Ja zajmowałam pokój przejściowy, na dzień łóżko nakrywałam kapą, aby wyglądało jak kanapa. Z mojego pokoju było wejście do kuchni, a dalej, z kuchni do ła-

zienki. Któregoś dnia, pamiętam, właścicielka naszego mieszkania, która miała swój dom w pobliżu, zawiadomiła mnie, że „ktoś dzwoni z Londynu”.

- Dzień dobry, mówi Joasia - usłyszałam zupełnie zaskoczona, bo od Loreto właściwie nie miałyśmy kontaktu. Powiedziała, że przyjeżdża do Paryża i nie ma się gdzie zatrzymać.

- Witaj więc: czym chata bogata! - zaoferowałam pomoc.

Marysia cieszy się na przyjazd koleżanki, ale niepokoi, że mieszkanie jest strasznie zawilgocone i zagrzybione, a to nie są warunki obojętne dla uczuleniowców. Chce odstąpić Joasi pokój przejściowy („no bo jakże to może być w ogóle do pomyślenia, żeby gość spał w kuchni”?!), ale Joanna zdecydowanie się nie zgadza. Przez miesiąc mieszka w mniej zagrzybionej kuchni tego „garażomieszkania”, aż nadarza się trochę lepsze rozwiązanie. Przez Marię Winowską, publikującą pod pseudonimem Andre Martin książki o polskich świętych oraz męczennikach wiary chrześcijańskiej, utrzymującą kontakty z polską opozycją, znajduje mieszkanie w robotniczej, imigranckiej części Paryża, La Bastille. Należy do starszej pani, Polki, przebywającej w szpitalu. Jest potwornie smętne, zapuszczone, ciemne, słońce wcale nie zagląda, bo okna wychodzą na ciasne podwóreczko. Z kranu płynie tylko zimna woda, nie ma łazienki ani prysznic, ale ubicacja w mieszkaniu, a nie na klatce schodowej, tak jak w większości tego typu komunalnych kamienic.

W Paryżu Joanna ma też duchowe oparcie w Marysi, która również jest głęboko związana z Polską, ma podobne marzenia i zmierza w tę samą stronę: - Od najmłodszych lat myślałam o Polsce. Głęboko mi zapadły w sercu słowa dziadka, że my, jego wnuki, któregoś dnia powrócimy do wolnej Polski... Póki co jednak za wizę do Polski trzeba było słono płacić, a jeszcze za każdy dzień pobytu w kraju żądano po 16 dolarów, nie mogłam sobie na to pozwolić.

To był czas, kiedy do Francji już przyjeżdżają polscy dysydenci. Nie lubili tego określenia, bo tak nazywali ich komuniści, mówili o sobie, że są opozycją. Prasa obszernie pisze o Michniku i Kuroniu. Jest kilka ośrodków nakierowanych przede wszystkim na Polskę, nie na emigrację. Między polskim Paryżem a polskim Londynem istniała wtedy ogromna różnica,. Francuzi lepiej rozumieli polskie problemy, wynieśli podobne doświadczenia z II wojny światowej. Wypiarze całkiem serio mówili: Anglii to by się nie dało Niemcom okupować, my byśmy zaraz zamknęli wszystkie sklepy na klucz i nie mieliby gdzie kupować...

We Francji polska emigracja polityczna nikogo nie drażni, jej obecność wydaje się naturalna i oczywista. Joanna często zagląda do Biblioteki Polskiej w Paryżu, ale przede wszystkim odwiedza Maisons-Laffitte: - Gdy jest mi samotnie i źle, pomieszkuję tam w weekendy w pokoju gościnnym. Mimo że nie dorównywałam poziomem do tego miejsca, bo nie jestem intelektualistką i nie mogę pochwalić się głębszą znajomością literatury i historii, zawsze przyjmowali mnie szalenie serdecznie. Ja ich traktowałam jak rodzinę. Prawdziwym uniwersytetem poszerzającym moją wiedzę o Polsce, o różnych aspektach moralnych i etycznych są spotkania z tak wybitnymi ludźmi jak z Herlingiem-Grudzińskim, Tomaszem Vencłowa, Natalią Gorbajewską. Poznają też tam Alika Smolara, a moment poznania Adama Michnika tym bardziej zapamiętałam, że stałam się jego ... fryzjerem. Przyszło mi to łatwo, bo miałam za sobą praktykę, przecież w domu strzygłam ojca i brata... Wszyscy bardzo się martwią o jedno: czy wytrzymam w Polsce? Nie idzie im o trudności materialne, z tym można sobie jakoś dać radę, lecz czy potrafię stawić czoła polskiej zaściankowości, rozplotkowanemu towarzystwu, zamkniętemu światkowi różnych gier opozycyjnych grup i grup, które zapewne mój powrót będą usiłowały wykorzystać do swoich partykularnych celów...

Krzysztof Jaraczewski: - Gdy Joasia powiedziała mi, że już nieodwołalnie postanowiła na stałe wrócić do Polski, podzieliliśmy się naszymi rolami wobec rodziców: ja miałem zostać przy nich, aby nie czuli się przez nas opuszczeni. Pamiętam, że wpadła wtedy na krótko do domu z Paryża i oboje wybraliśmy się do York, pięknego, zabytkowego miasta na północy Anglii. Właśnie tam zawarliśmy tę niesłychanie ważną dla nas umowę.

Chris Niedenthal przyjechał na trochę dłużej do Polski w 1973 roku: - Z początkiem nowej dekady i przejściem w PRL-u władzy przez Edwarda Gierka nastąpiło znaczne ożywienie w wyjazdach do kraju naszych ojców. Co tydzień ze stacji Liverpool Street jechał wycieczkowy pociąg do Warszawy. Każdy wagon miał przewodnika, który pomagał uczestnikom głównie w odprawach na granicy. Latem zatrudniałem się w tej roli. Jeździłem też z wycieczkami autokarowymi z Londynu do Poznania. Podczas jednej z podróży poznałem dziewczynę i się zakochałem. Miałem więc jeszcze jeden powód przyjazdów do Polski, a mogłem sobie na nie pozwolić, bo za sto dolarów można było wtedy spędzić w Polsce całe lato, i to nawet dostаточно! Po studiach na wydziale fotografii w London College of Printing rzuciłem pracę w małej agencji fotograficznej w Londynie i przyjechałem już pobyc tu dłużej, aby poznać Polskę na co dzień, a nie wakacyjną. W 1973 roku miałem dwadzieścia dwa lata, miłość wkrótce się rozwiła, ale już wolałem być Polakiem w Polsce niż jakimś w gruncie rzeczy bliżej nieokreślonym cudzoziemcem w Anglii... Mimo całej udręki systemu totalitarnego w Polsce było zwyczajnie i sympatycznie, poznałem wielu fajnych rówieśników, miałem towarzystwo prawdziwych przyjaciół jakiego tak bardzo brakowało mi w Londynie. Im bardziej poznawałem Polskę i ludzi, tym bardziej nabierałem przekonania, że to jest ważny kraj i kiedyś o Polsce będzie głośno w świecie. A ponieważ fotografowanie było moim zawodem i całym moim życiem, więc i tu to robiłem.

Wanda Kościa, która pierwszy raz razem z bratem odwiedziła Polskę w 1966 roku, tym razem przyjeżdża do kraju dzięki stypendium British Council, które jej umożliwia podyplomowe studia w warszawskiej ASP. Jest 1978 rok.: - Trafiam na fantastyczny moment: wybór Polaka na papieża! W ludzi wstępuje nowy duch, nawet jakiś pijany na przystanku tramwajowym wykrzykuje: Ludzie! Polak rządzi światem!!... A telefonistka z centrali na interwencję, że długo czekam na połączenie usprawiedliwia się: nagle wszyscy zaczęli do siebie dzwonić, mamy jakiś szal telefonów i nie możemy nadażyć! Myśleliśmy, że rząd zapowiada znów jakąś podwyżkę, bo przed każdą podwyżką ludzie do siebie tak dzwonią i się uprzedzają, a tu - mówi ta nieznajoma telefonistka - okazuje się, kurde, że nasz Polak został papieżem!...

Niebawem mam szczęście być obecna podczas pierwszego przyjazdu papieża do Polski. Joasia ma mi czego zazdrościć, jeszcze wtedy bowiem pracowała w Paryżu. Często odwiedzała ją tam moja młodsza siostra Basia, która przyjeżdżała podczas weekendów z Londynu. Też do Joanny pojechałam. Mówiła ciągle o jednym: jechać do Polski na stałe, czy nie...

Świat zaczyna zwracać uwagę na kraj między Odrą a Bugiem, fotografie z Polski Chrisa Niedenthala są na okładkach „Newsweek’a”, tygodnika o międzynarodowym prestiżu. Pochodzące z różnych krajów koleżanki Marysi Szymańskiej, która w Manchesterze jest na podyplomowym kursie nauczania obcokrajowców języka angielskiego proszą, aby im opowiadała o papieżu i jego kraju, bo często nawet tyle nie wiedziały, że Polska leży w Europie. Promotor już rok wcześniej ją zachęcał, aby pracę dyplomową napisała na temat nauczania Polaków języka angielskiego. Do Manchesteru przyjeżdża z wizytą do polskiej parafii i szkoły sobotniej późniejszy arcybiskup i duszpasterz polskiej emigracji na całym świecie, Szczepan Wesoły. Gdy słyszy od Marysi, że ona chce po ukończeniu kursu uczyć angielskiego w Japonii lub na Filipinach, wyraża zdziwienie: - Przecież misje również są w Polsce. Wskazuje jej drogę, która wcześniej wydawała się nierealna, rozwiązanie, jakiego nie brała pod uwagę. Również jej trzy młodsze siostry, które właśnie wracają z Polski, gdzie zbierały materiały do swoich prac uniwersyteckich, uważają: - Na pewno, Marysiu, czułabyś się dobrze w kraju...

Joanna w Paryżu spotyka znajomego Australijczyka: - Gdy zaczęłam mu się wypłakiwać z goryczą na mój „garb” polskości, powiedział mi, że powinnam być szczęśliwa, bo mam właśnie to, czego większość osób w tak zwanym wolnym świecie szuka przez całe życie - mam coś, co mnie potrzebuje. Zapamiętałam te słowa i ... jeszcze bardziej tęskniłam do kraju, spraw bliskich mi uczuciowo, do swojego miejsca wśród ludzi, którym nie trzeba wszystkiego od początku do końca tłumaczyć, mówiących tym samym co ja językiem. Tęskniłam tak, jak

tęskni się za rodziną. Gdy więc dostałam wiadomość, że i ja mogę w Polsce prowadzić badania sponsorowane przez British Council, moja radość była niewyobrażalna!

Z notatek Jadwigi Jaraczewskiej:

18 maja 1979

Przyszło potwierdzenie z Polskiego Instytutu Kulturalnego zaakceptowania pracy Joasi (i stypendium płatnego przez Rząd Polski!) na Uniwersytecie Warszawskim. Rzecz organizowana przez British Council - wymiana studentów. Joasia z paszportem brytyjskim + stypendium „reżymowe”... Ile problemów, ile powikłanych sytuacji!... Wszystko zostawia lekki niesmak - a czystego rozwiązania nie ma. Zadzwoiłam zaraz do Joasi do Paryża - czekała na to ostateczne potwierdzenie, żeby układać dalsze plany.

Joanna już nie jedzie do domu, telefonicznie zawiera z rodzicami kompromis: to będzie rok próby w Polsce, jeszcze na paszporcie brytyjskim, na obcych i bezpiecznych papierach, upewnienia się, czy rzeczywiście o to jej chodzi. Taką obietnicę, szczerze mówiąc, składa dla uspokojenia rodziców oraz rozdyskutowanej tej części emigracji, która trwa w niezłomnym sprzeciwianiu się kontaktom z PRL-em. Bo tak naprawdę decyzję podjęła już w 76 roku, a trzy minione lata potrzebne jej były do przekonywania otoczenia.

W pożegnalnym wieczorze uczestniczą przyjaciele i znajomi, jest bardzo miło, pomagają tak sprytnie pakować papier offsetowy, aby polscy celnicy nie zorientowali się, do jakich celów ma służyć...

Niemal w ostatniej chwili wsiada do pociągu odjeżdżającego z Paryża do Warszawy - jest sobota 29 września 1979 roku...

Upragniony moment powrotu do kraju!. Za oknami pociągu majestatycznie przesuwa się niebo zasnuwane chmurami. Jest szarawo i dość smutno, raczej mało uroczyście. Joanna więc trochę przysnęła znużona monotonnym widokiem. Gdy się budzi, świeci słońce, widać jasne pola, nie ma najmniejszej wątpliwości, wyczuwa to przez skórę, że już przekroczyła granicę, jest u siebie, w swoim kraju, może i trochę wyśnionym, ale na pewno jej kraju!

Na początku zatrzymuje się u cioci „Dundy”: - Chyba po dwóch miesiącach wynajęliśmy do spółki z Jackiem Lohmanem, który też przyjechał na prawach stypendysty British Council, dwupokojowe mieszkanie przy ulicy Platynowej. Jacek nazywał mnie „Joanna Huragan”, a ja się rewanżowałam mówiąc o nim „Jacek Tajfun”. Dobrze nam się razem mieszkało, bo on wesoły i towarzyski, miałam z kim porozmawiać, a bałagan nie przeszkadzał ani jemu, ani mnie. Oczywiście, zaraz po przyjeździe do Warszawy spotkałam się też z Wandą. W naszych rodzinach zakorzeniona jest świadomość, że Kościowie i Jaraczewscy są na tym świecie, że istniejemy i się lubimy, niekoniecznie musimy się stale widywać. W naszym domu się mówiło a to, że Wanda poszła na studia, a to, że Basia skończyła szkołę... Życie naszych rodzin stale się zazębiało. Przez długi czas nie widziałam się z Wandą, a teraz nasze drogi spotkały się w Polsce... Wkrótce się dowiedziałam, że do Polski przyjechała też Marysia Szymańska... Bardzo ostrożnie nawiązywałam kontakty z opozycją. Obawiałam się, że jeśli władze się zorientują, to nie tylko będę mogła raz na zawsze zapomnieć o polskim obywatelstwie, ale też nie dostanę już więcej wizy wjazdowej. Nie angażowałam się więc w nic więcej ponad przewożenie przez granicę papieru, książek i gazet... Często bywałam u państwa Woroszyłskich. Z ich córką, Natalią, znałyśmy się jeszcze z Paryża. U nich poznałam Krzysztofa Śliwińskiego. Miałam też oparcie w rodzinie Danusi i Witka Stoków oraz naturalnie, w cioci „Dundzie”, która zastępowała mi mamę troszcząc się o wszystkie moje sprawy.

W Instytucie Historii Sztuki PAN, gdzie Joanna uczęszcza na wykłady w ramach stypendium, swoje zainteresowania kieruje na dwory polskie. Interesują ją ich typowe polskie cechy: dachy, proporcje, wymiary, a także rozkład pomieszczeń, najczęstsze kolory, wzory mebli i sprzętów. Oczywiście, ciekawi ją również historia polskich dworów: - Niewiele jeździłam, aby oglądać zachowane obiekty. Raczej opierałam się na teoretycznych materiałach, planach i rycinach siedemnasto i osiemnastowiecznych. Nie mam w sobie duszy naukowca,

średnio mi to szło, na szczęście przedłużyli mi stypendium. Pod koniec czerwca 1980 roku pojechałam do Londynu, żeby sobie zarobić pieniądze na utrzymanie w następnym roku. Gdy w Anglii pracowałam jako architekt i kończyłam kreślić cudze projekty, w Polsce wybuchł Sierpień.

O ile w Anglii raczej nie interesowano się szczególnie Polską, sierpniowy zryw chwycił ludzi za serca. Wszystkich ogarnął entuzjazm. Dumni i rozważni polscy robotnicy poruszyli wyobraźnię najchłodniejszych nawet i najbardziej opanowanych umysłów. Nie tylko dla mnie stali się nadzieją i zwiastunem optymizmu: niemożliwe stało się możliwe! Ta chwytna, romantyczna historia powstania „Solidarności” była każdemu potrzebna... Ogromnie to przeżywałam. Tłumaczyłam, podobnie jak wielu innych Polaków urodzonych w Anglii, dla różnych stacji telewizyjnych: BBC, ATN, Peter Snow wszelkie materiały dotyczące wydarzeń w Stoczni Gdańskiej i w całej Polsce, informacje, reportaże, filmy... Razem ze mną tłumaczyła też Wanda Kościa. Prosto z pracy pędziłam ile sił w nogach do telewizji. Pracowałam po osiemnaście i więcej godzin na dobę. Często na tyle, na ile moja wiedza o Polsce pozwalała, komentowałam sprawy na bieżąco w wiadomościach, w programie „Ten O’Clock News”. Dobrze że miałam wyrozumiałych pracodawców, pozwalali mi na sobotę i niedzielę zabierać projekty do wykonania w domu.

Wanda Kościa: - Nagle brytyjscy dziennikarze niemal dosłownie rzucili się na Polskę, wielu manifestowało sympatię nosząc znaczki „Solidarności”. Polski Sierpień był dla nich ożywczym przebudzeniem. Wcześniej wiedza na temat tego, co się dzieje w Polsce, była wśród Anglików bardzo ograniczona, zupełnie nie zdawali sobie sprawy ze szczególnego okrucieństwa okupacji hitlerowskiej w Polsce, przyrównywali okupowaną Polskę do okupowanej Francji, mało się orientowali, co działo się współcześnie za żelazną kurtyną. Jeszcze w szkole, kiedy opowiadałam o nieszczęśliwym dla Polski sąsiedztwie Rosji i Niemców, nauczycielka zareagowała z angielską elegancją: - To chyba jest z twojej strony nieuprzejme...Można kogoś urazić! Dziennikarze też mieli powierzchowną wiedzę o rodzącej się w Polsce coraz silniejszej opozycji. Aby teraz mogli więcej i obszerniej pisać o Polsce, robić reportaże telewizyjne i filmy byli im niezbędni nie tylko zwykli w takiej sytuacji tłumacze, ale ludzie, którzy choć trochę znają polską historię i jej realia.

„Gdy w połowie lat siedemdziesiątych - wspomina Krzysztof Pszenicki, były szef polskiej sekcji BBC - w Polsce pojawiło się coś, co można nazwać masową opozycją, w Wielkiej Brytanii zebrała się grupa osób, która utrzymywała przyjacielskie kontakty z działaczami opozycji, otrzymywała od nich informacje i przekazywała je głównie do zachodnich mediów. Mówię o słynnej firmie „Smolar, Smolar i nieliczne grono przyjaciół” - bracia Eugeniusz i Aleksander ze swoimi żonami Niną i Ireną, moja żona Małgorzata oraz kilka osób w Londynie, też zresztą związanych zawodowo z BBC: Antoni Pospieszalski, Jan Radomyski, Jan Krok-Paszkowski, paru tłumaczy. Informacje zdobywaliśmy w różny sposób - głównie przez telefon, przede wszystkim od członków Komitetu Obrony Robotników, ale też od działaczy Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Udało się przekonać londyńską elitę (nazywaliśmy ją „starsi panowie”), że jedynie działania obliczone na to, co się dzieje w kraju, mają jakikolwiek sens. Brytyjskie środowiska emigracyjne były więc gotowe, by zainteresować się strajkami. Gdyby sierpień nastąpił pięć lat wcześniej, nadal zajmowałyby się bitwą pod Monte Cassino i tym, kto zostanie ministrem od czegoś tam w emigracyjnym rządzie”<sup>152</sup>.

Joanna nie może się doczekać końca wakacji. Przyjeżdża, a tak na dobrą sprawę, to już wraca do Polski w połowie września. Na początku października zgłasza się do Krzysztofa Śliwińskiego, który był szefem biura „Mazowsza” i do jego kompetencji należało zatrudnianie ludzi do różnych zadań.

- Bardzo chciałabym się do czegoś przydać, umiem ustawiać meble, zaprojektować logo, przetłumaczyć angielski tekst... - oferuje swoją gotowość do pomocy.

- Mogę - rozważa Śliwiński - przydzielić cię do dwóch osób: Staszka Grocholskiego, naszego artysty plastyka, lub Janusza Onyszkiewicza, kierownika biura prasowego, i dodaje: - Jeden jest wdowcem, a drugi nawet dwukrotnym.

- Mam paszport brytyjski, czy nie przysporzę wam kłopotów?

Śliwiński nie widzi od tej strony żadnego zagrożenia, również Bujak, który jest szefem „Mazowsza”, bez wahania akceptuje kandydaturę Joanny: - Zna biegle trzy obce języki, więc - rozstrzyga Śliwiński - najbardziej przyda się nam w biurze prasowym obleganym przecież od rana do nocy przez istny tłum zagranicznych dziennikarzy, przeważnie zupełnie nie znających polskiego...

Z dniem 10 października 1980 roku Joanna Jaraczewska dostaje oficjalny angaż jako asystentka szefa biura prasowego, Janusza Onyszkiewicza.

I tak się zaczęła ich historia...

\*

## RODZINA

- Pierwsza rzecz, która mnie w nim uderzyła, to sympatyczna twarz. Ale w duchu sobie jednak pomyślałam: ojej, jaki on niski i drobny!... Przy moich 181 metrach wzrostu!

- Ja zwróciłem uwagę na jej oczy: ależ niebieskie! I nogi: ależ długie!...

- Naprawdę oboje się polubiliśmy od pierwszego wejrzenia. Od razu okazał się fantastycznie fajnym kumplem.

- Joasia w moim życiu pojawiła się nagle, jak szczęśliwa gwiazda. Tylko trochę późno, miałem już czterdzieści cztery lata.

W podniosłym i patetycznym czasie 1980 roku częściej niż o miłości mówiło się o historii, drugim po zaledwie sześćdziesięciu latach istnym „cudzie nad Wisłą”, Ojczyźnie, Narodzie, Bogu... I o nadziei. „Każdy człowiek i każdy naród potrzebuje nadziei - pisał Tadeusz Mazowiecki. - Nie można żyć bez nadziei. W historii rzadkie są jednak momenty, kiedy coś na naszych oczach staje się wyrazem nadziei całego narodu. „Solidarność” jako ruch społeczny stała się wyrazem naszej zbiorowej polskiej nadziei. Jako społeczeństwo i jako związek idziemy drogą nie przetartą przez nikogo. Żadne wzory do naszej sytuacji nie pasują, wszystkie musimy tworzyć na nowo”<sup>153</sup>.

Ksiądz prymas Stefan Wyszyński przypominał: „Pamiętajmy: zawsze, gdy zwyciężamy to po to, by służyć, a nie po to, by nam służyło. Służyć rozwojowi człowieka, by się nie upadłał. Służyć rodzinie domowej, której jesteście ojcami i synami. Służyć Narodowi, którego jesteście dziećmi. Służyć społeczeństwu, które oczekuje od Was pomocy, bo Wam pomaga...”<sup>154</sup>

Polaków ogarnia euforia, wszyscy przecież są naocznymi świadkami historycznych wydarzeń. Coś takiego zdarza się raz na kilka pokoleń. Darem losu jest w tym uczestniczyć, a w dodatku mieć poczucie, że staje się po właściwej stronie. Dla wielu ludzi „Solidarność” to obowiązek. Joannę wciąga bez reszty, zagarnia całą jak wielka fala. Czuje się w swoim żywiole, choć w Regionie „Mazowsze” pracuje z innymi po 24 godziny na dobę, przygotowują materiały dla prasy, odpowiadają na niezliczone pytania dziennikarzy, głównie zagranicznych, bo z prasy reżimowej mało kto do „Mazowsza” zagląda. Przejmuje sprawy, z którymi jej zwierzchnik, Janusz Onyszkiewicz, już nie nadaża, na przykład obsługę całych, zorganizowanych grup turystów i bardzo licznych, zupełnie nie zapowiadanych gości dosłownie z całego świata.

Janusz Onyszkiewicz należy niewątpliwie do najbardziej znanych działaczy „Solidarności”. Jest członkiem prezydium „Mazowsza”, kierownikiem sekcji Informacji i Środków Przekazu Regionu, a niebawem przybywają mu obowiązki rzecznika prasowego Krajowej Komisji Porozumiewawczej. Zadowolony jest więc z ogromnie pomocnej asystentki, rzeczowej, dobrze zorganizowanej, posługującej się językiem angielskim na równi z polskim, biegle władającą też francuskim i włoskim, potrafiącej utrzymać żelazną ręką istne mrowie kłębiących się wokół Regionu dziennikarzy, których zainteresowanie „Solidarnością” i bezkrwawą polską rewolucją jest kolosalne. Wiadomości z Polski przecież nie schodzą z pierwszych stron największych na świecie dzienników, otwierają serwisy informacyjne stacji telewizyjnych na całej kuli ziemskiej. Złośliwie, ale jednak z pewną sympatią korespondenci opowiadają sobie, że Joanna na pewno codziennie rano zjada na śniadanie ...garść gwoździ.

- Rodzinna legitymizacja - zdaniem Janusza - daje jej pozycję osoby szczególnego zaufania, a jednocześnie podziwianej i szanowanej. Jej dziadek, Józef Piłsudski, to bez wątpienia po Janie Pawle II najsilniej eksponowana postać, do której najczęściej się odwoływaliśmy. Dla nas w „Mazowszu” zawsze była serdeczna, pogodna, ciepła. I pełna nadziei.

- W rodzinie Jaraczewskich obowiązuje hasło: „Chcieć to móc, nigdy nie wolno rezygnować przynajmniej z próbowania pokonania trudności! Nic mnie bardziej nie złości, niż czyjeś słowa, że „to się i tak nie uda”... Jak może się nie udać?! Trzeba choć spróbować. Dlatego tak mi świetnie wśród tych, którzy się jeszcze nie spalili emocjonalnie, mają w sobie niezłomną

wiarę i siłę dokonania zrywu, słowem są ludźmi, dzięki którym właśnie niemożliwe staje się możliwe.

W „Solidarności” Joanna odnajduje wreszcie swoje środowisko, tu ma co ze sobą robić, nie musi już krążyć, dopraszać się, aby ktoś łaskawie ją do siebie zaprosił. Jest wśród swoich, z którymi razem je, śpi, chodzi do kina, łączy ją wspólne życie towarzyskie...

Dla Janusza czas „Solidarności” daje się przyrównać do wspólnoty Speleoklubu. - Nie było dla nas innego życia poza tym, które tak intensywnie toczyło się w Regionie. Żyjemy we własnym świecie i właściwie w ogóle się nie rozstajemy. Jesteśmy do tego stopnia samowystarczalni, że któraś z pań z Mazowsza udzierała mi na zimę ciepłą i wygodną kamizelkę. Z tym większą dumą nosiłem przypięty do niej znaczek z napisem: „Niestrudzony Szermierz Odnowy”...

W „Mazowszu” splatają się wszystkie sprawy: służbowe z rodzinnymi, smutne z radosnymi, banalne ze wzniosłymi. Tworzą prawdziwie silną grupę wspaniałych ludzi. Niektórzy są samotni, inni z rodzinami. Joanna zapamiętała zwłaszcza rodzinę Głowackich. - On, robotnik z Komisji Zakładowej „Solidarności” FSO, członek zarządu „Mazowsza”, całe dni spędzał w Regionie, żona przychodziła z ich małym synkiem, aby choć trochę go mieć dla siebie... Żał mi było tych żon, które musiały opiekować się domem i nie mogły do nas dołączyć. Mężowie mieli bogate środowisko, o którym niemal nic nie wiedziały, nie mogły uczestniczyć w emocjach mężów, których życie zawodowe i towarzyskie kręciło się wyłącznie wokół roboty solidarnościowej. To musiało czasem wywoływać rodzinne zgrzyty, było bardzo trudną próbą dla wielu rodzin... Dla mnie „Solidarność” była zbawienna, opatrność obdarowała mnie hojnym prezentem: dostałam wspaniałe środowisko, poczucie wspólnoty, różniło mnie jedynie to, że nie miałam się do czego odwołać, brak ciągłości, bo moją przeszłość na zawsze zostawiłam w Anglii. Ale wszystko dla wszystkich wtedy było nowe, więc nie czuję się obca. Mam bez przerwy żywy kontakt z ludźmi, przede wszystkim z rodakami, których ogromnie dużo przyłącza się do „Solidarności”, ale też z profesorami, studentami i zwykłymi turystami z całego świata przybywającymi do Warszawy. Łatwo ich spotkać na Szpitalnej, zadają tysiące pytań, chcą zrozumieć co się zdarzyło, że świat wstrzymał oddech w podziwie dla Polaków.

Pewnego dnia Joanna niespodziewanie dowiaduje się, że japońscy dziennikarze wytropili w Jokohamie jej autentycznego kuzyna! Nazywa się Kazuyasu Kimura Piłsudski, jest wnukiem, rodzonym brata Józefa Piłsudskiego, wybitnego etnologa Bronisława Piłsudskiego, którego za uczestnictwo w przygotowywaniu zamachu na cara zesłano w latach osiemdziesiątych zeszłego stulecia na Sachalin zamieszkiwany między innymi przez Ajnów. - Wiedzieliśmy, że Bronisław ożenił się z córką wodza Ajnów, Chuhsammą, i miał z nią dwoje dzieci, syna Sukezo i córkę Kiyō, ale oboje zmarli... O ich dzieciach wcześniej nie mieliśmy żadnych wiadomości, sądziliśmy nawet, że zmarli bezpotomnie...

W nawiązaniu kontaktu z Kazuyasu, synem Sukezo, Joannie pomaga Yoshiho Umeda. Jest w „Mazowszu” wiceszefem biura zagranicznego. Jego ojciec przed wojną założył katedrę japonistyki na Uniwersytecie Warszawskim. Yoshido miał 14 lat, gdy stracił ojca, którego ostatnią wolą było, by syn wychowywał się w Polsce. Oczywiście, zna japoński i tłumaczy listy do nie mniej zaskoczonych odnalezieniem krewnych w Polsce, Kazuyasu, który w ogóle nie zna polskiego ani żadnego języka europejskiego.

W „Mazowszu” Joanna spotyka wielu dawnych znajomych i przyjaciół, poznaje jeszcze więcej nowych. Bywa w Regionie Andrzej Zajączkowski, współautor głośnego i zajadle tępionego przez PRL-owską cenzurę filmu „Robotnicy ‘80’”. W drukowanych w oficjalnej prasie repertuarach kin nie wolno podawać tytułu tego ważnego dokumentu, tylko przy nazwie kina dopisek: „wszystkie seanse zarezerwowane”... Śmieszny, bo i tak wszyscy doskonale wiedzą, że kryje się za nim wyświetlanie „Robotników ‘80’”, ludzie więc oblegają kina, w których rzekomo są „wszystkie seanse zarezerwowane”... Na nic władzy się zdają „recenzje” w stylu „Trybuny Ludu”, że „realizatorzy zepchnęli swoich bohaterów tytułowych do roli

statystów, nie pokazują robotników jako aktywnej siły społecznej, a kamera jest robotnikom niechętna”<sup>155</sup>. Skutek takiej pisaniny na zamówienie partyjnych decydentów daje rezultat dokładnie odwrotny do zamierzonego, film obrasta legendą.

Poznaję Chrisa Niedenthala, który dzięki zdjęciom z Polski stał się sławnym fotoreporterem. W zawodowej karierze walnie pomogły mu dwa doniosłe wydarzenia: wybór kardynała Karola Wojtyły na papieża oraz wybuch „Solidarności”. Już następnego dnia po ogłoszeniu strajku w Stoczni Gdańskiej był na miejscu i fotografował przebieg wydarzeń, jego zdjęcia znów trafiły do „Newsweek'a”, a za pośrednictwem agencji prasowych do gazet całego świata.

Z telewizją brytyjską przyjechała Wanda Kościa. Występuje w roli tłumacza i asystenta produkcji ekipy z Granada TV, która realizuje reportaż do programu „World in action”.

Na Szpitalną wpada też czasem Paweł Mikłasz. Celowo unika częstszych kontaktów, bo założone jeszcze w 1977 roku wydawnictwo „3-go Maja” wciąż istnieje nielegalnie. Wie, że jest stale obserwowany przez kapusiów z bezpieki, obawia się, aby nie wytropił go jakiś kolejny ubecki „ogon”.

Siostra Janusza, Anna Bogobowicz, już w sierpniu kolportuje ulotki „Solidarności”. Do rozwożenia związkowej „bibuły” i wydawnictw drukowanych poza zasięgiem cenzury wykorzystuje wózek, w którym jak gdyby nigdy nic śpi sobie smacznie na zakazanym słowie jej roczna córeczka. W Polskim Radio, gdzie po skończeniu studiów zaczęła pracować zawiązuje z kolegami Komisję Zakładową „Solidarności”.

Piotr Wojciechowski, uważa, że nie ma prawa bywać w „Mazowszu”, bo nie zapisał się do „Solidarności” i nie jest pracownikiem żadnej struktury związkowej.

Janusz Rzepecki nie angażuje się zbyt emocjonalnie w historyczne wydarzenia, ma naturę raczej refleksyjnego myśliciela i aktywne uczestnictwo w związkowej działalności raczej go nie interesuje. Doskonale we wszystkim się orientuje, często wyraża opinie bardziej radykalne niż Onyszkiewicz, jednak tylko życzliwie kibicuje przyjacielowi, woli chadzać własnymi ścieżkami.

Joanna tkwi po uszy w „Mazowszu”, rezygnuje ze stypendium, nie chce brać pieniędzy za coś czego już nie wykonuje. Zamierza w piątek, ósmego grudnia 80 roku, wyjechać na Boże Narodzenie do rodziców, jednak poufnymi kanałami Region dostaje informację, że wojska Układu Warszawskiego są postawione w stan gotowości do podjęcia w każdej chwili interwencji w Polsce. Odwołuje więc wyjazd, nie może przecież wobec takiego zagrożenia opuścić przyjaciół, kolegów i znajomych z „Solidarności”. W styczniu 1981 roku składa papiery o potwierdzenie obywatelstwa polskiego. Jednocześnie w ambasadzie Wielkiej Brytanii zrzeka się obywatelstwa brytyjskiego choć wie, że praktycznie jest to niemożliwe, ponieważ Anglicy respektują prawo ziemi, a nie krwi. Czyni tak w obawie przed zarzutem władz komunistycznych, że pracuje w NSZZ „Solidarność”, a ma obce obywatelstwo. Wie przecież, z jaką łatwością w systemie totalitarnym rzuca się oskarżenia, nawet o szpiegostwo na rzecz zachodnich imperialistów jeśli tylko byłby taki „argument” przydatny reżimowej propagandzie w politycznej walce. Zresztą Joanna już nie ma jakichkolwiek wątpliwości, gdzie jest jej miejsce, od dawna ma za sobą wszelkie rozterki duszy i serca, w Polsce i tylko w Polsce chce mieszkać na stałe i na zawsze.

Władze PRL-u udają, że nic im nie wiadomo o koneksjach rodzinnych Joanny Jaraczewskiej. Żądają, aby udowodniła, że jest córką ... Polaków! Doskonale wiedzą, że sama takich dokumentów nie może przedstawić, musi zwrócić się o pomoc do rodziców, których postawi w kłopotliwej sytuacji, będzie to bowiem wymagało od nich bezpośredniego kontaktu z reżimem tak konsekwentnie przecież nieuznawanym od zakończenia II wojny światowej.

Joanna z rodzicami utrzymuje częsty kontakt listowy oraz telefoniczny, jeśli rzecz jasna doczeka się połączenia, które trzeba zamawiać w centrali międzynarodowej. - Musieliśmy być bardzo ostrożni, trzeba było się liczyć, że nasza korespondencja jest cenzurowana, a rozmowy

najwyczejniej podsłuchiwane - wspomina Jadwiga Jaraczewska. - Joasia więc nie pisała nam o szczegółach i zakamarkach trudnego, codziennego życia w kraju, ograniczała się do spraw osobistych, choć oczywiście, bardzo byliśmy ciekawi wszystkiego, co dzieje się w Polsce. Nasz syn, Krzysztof, przygotowywał w Londynie transporty z darami do Gdańska, zbierane przede wszystkim wśród rodaków, ale nie brakowało też darczyńców angielskich. Znaczącym przeżyciem było dla nas, gdy po raz pierwszy zobaczyliśmy w relacji telewizyjnej z kraju Janusza Onyszkiewicza przemawiającego na zebraniu „Solidarności”. Wiedzieliśmy, że jest szefem i kolegą Joasi. Poczuliśmy się wtedy bliżej Polski i spraw, które tam się dzieją. Prowadziłam wówczas pobieżne notatki:

13 lutego 1981 godz. 12-ta

Krzysztof leci do Warszawy. Jeżeli samolot się nie spóźnił, to prawie dolatuje. Odwiozłam go na lotnisko, wróciłam do domu i jestem bardzo niespokojna.

Sprzątam bałagan, resztki listów i adresów pomieszane z ubraniem, drobiazgami i książkami, które się nie zmieściły.

Miał nadwagę 2 kg, ale przepuścili - ja stałam z boku z maszyną do pisania dla „Solidarności”. To bagaż ręczny, nieważony. Poza tym olej do gotowania i proszek na robaki w plastikowym woreczku. I książki Miłosza z dedykacją dla Joasi i Tadzika w kieszeni. Reszta poszła na bagaż. Strasznie trudno zdecydować hierarchię ważności tych rzeczy - zawsze mam z tym kłopoty. I nikt nie wie w Londynie jak przesyłać sprzęt - wolno zabrać maszynę do pisania czy nie? Więc jestem niespokojna, i to bardzo.

14 lutego

Krzysztof zadzwonił dopiero dzisiaj z rana. „Kubuś zdrow” - (nasz kod, że nie miał kłopotów z celnikami, trochę śmieszny i oczywisty!) i Joasia w dobrym stanie. Odetchnęłam.

17 marca

A Joasia na nartach w Bukowinie - mam nadzieję, że odpocznie. Wczoraj pokazywali w telewizji jej „szefa”, Janusza Onyszkiewicza. Wywiad w związku z wyborami w „Solidarności”. Świetnie mówi po angielsku, stał pod napisem, pod którym Joasia zwykle siedzi (przynajmniej Krzyś przywiózł takie zdjęcie, doskonałe i miłe Joasi), widocznie to ich kącik prasowy w biurze.

2 kwietnia

Joasia telefonowała rano, tuż przed moim wyjściem po sprawunki. Tam spokój, odprężenie po wielkim napięciu<sup>156</sup>, tylko wszystkie lokalne komitety się dzielą na pro i anti-Wałęsa. Ale wiemy, że jedność „Solidarności” zwycięży. O zagrożeniu interwencją (my mówimy „tu jest duże napięcie”) nie słyszała. Gazety zachodnie dochodzą z 4-dniowym opóźnieniem, a w biurze nie była. Onyszkiewicza nie widziała parę dni - powtórzy mu, że jego nazwisko tak często teraz prasa angielska cytuje. Jak zawsze trudno mi mówić przez telefon - rozmowę zresztą prowadził głównie Krzysztof: co wysłał, co załatwił. O czym mówić - że jesteśmy zmęczeni, przygnębieni, poirytowani? Że remont nie idzie? Że pieniędzy nam brak? Że znowu szary, deszczowy dzień?

4 kwietnia 81 r.

Dla Joasi mam przepisać podania o obywatelstwo polskie. Strasznie to dla nas trudne, ciągnie się kilka miesięcy. Joasia chce to popchnąć w Warszawie. My do konsulatu nie chodzimy, poszedł więc Krzysztof. Chodzi o prawne poświadczenie dokumentów: akt urodzenia ojca (tzn. Andrzeja), jego legitymacja oficerska jako dowód obywatelstwa, akt urodzenia Joasi i akt zawarcia związku małżeńskiego. Ja, jako matka, pojawia się tylko w tym akcie, tylko na potwierdzenie obywatelstwa po ojcu i moje nazwisko panięskie tylko tam figuruje. Urzędnik prawny, który te sprawy załatwiał, podobno ze znużonej postawy przeszedł do zemocjonowanej i zapytał Krzysztofa: czy to „Jagódka”? Czy to dla Krzysia „dziadek”?... Powiedział, żeby Krzyś nie płacił (zapłacił naturalnie - to nasza nieugięta zasada) i przesłał mi pozdrowienia. Po cichu dodał: „Tylko nie mów o tym nikomu”. Ciekawe i typowe.

- Władze polegały na legitymacji oficerskiej w tej sprawie – uzupełnia Jadwiga Jaraczewska - ponieważ oficerem w Rzeczypospolitej mógł być tylko obywatel polski. Przy gromadzeniu tych dokumentów mieliśmy nieco kłopotu, gdyż na każdym z trzech posiadanych odpisów aktu urodzenia mojego męża miał wpisane inne imię i nawet inną datę urodzenia, choć wszystkie pochodziły z tej samej parafii, w której przyjął sakrament chrztu - z kościoła św. Zbawiciela. Dobrałam w końcu tak, by się zgadzało z danymi w akcie naszego ślubu. Przy okazji zbierania tych dokumentów żartowałam, że w całej naszej rodzinie jestem jedyną Polką od urodzenia: mąż, wprawdzie urodzony w Warszawie, ale w 1916 roku, więc jego pierwszym obywatelstwem było obywatelstwo niemieckie, moja starsza siostra Wanda też przyszła na świat, gdy jeszcze Polska nie była krajem niepodległym, tylko ja urodziłam się już w wolnej Polsce.

Władze w Warszawie na szczęście nie piętrzą więcej trudności, uznają za wystarczające papiery przedstawione przez Joannę i nawet dość szybko, bo już 31 czerwca 1981 roku, Joanna Jaraczewska odbiera dowód osobisty, jaki jest dokumentem każdego dorosłego obywatela PRL: – Dla mnie to był dzień radosny, kończył wieloletnie, dręczące rozterki. A moi rodzice? Przed wszystkim przeżyli emocjonalnie fakt, że nasze kontakty teraz mogą być bardzo utrudnione, bo przecież jako obywatelka PRL odtąd będę podlegała nakazom, zakazom i wszelkim restrykcjom, zwłaszcza dotyczącym wyjazdów za granicę, na równi z innymi Polakami mieszkającymi w kraju. Co do innych spraw... Sami przecież od ponad czterdziestu lat żyli na walizkach, nie było jednego dnia, aby kwestia powrotu do Polski nie wypłynęła w rozmowie. Zawsze byli gotowi do natychmiastowego powrotu, jeśli nie będzie to stało w sprzeczności z ich zasadami, respektowanymi zawsze wartościami. Dotkliwy ból rozdarcia, jaki tworzy życie na emigracji, był od lat ich udziałem. Wiem, że właśnie oni rozumieli mnie wtedy najlepiej.

W sierpniu 1981 roku Janusz Onyszkiewicz jest gościem państwa Jaraczewskich. Jako rzecznik „Solidarności” leci do Irlandii na zaproszenie tamtejszych związków zawodowych, a ponieważ z Warszawy nie ma bezpośredniego połączenia, musi przesiąść się w Londynie. Zostaje na kilka dni, które wykorzystuje na wcześniej zaplanowane rozmowy polityczne. Joanna mu zaproponowała, aby na ten czas zatrzymał się u jej rodziców.

Z notatek Jadwigi Jaraczewskiej:

5 sierpnia 81 r., środa

Był Onyszkiewicz, Joasi szef - rzecznik prasowy „Solidarności”. Bardzo miły, świetnie mówi po angielsku. Zaraz po przyjeździe z lotniska oglądaliśmy program telewizyjny o Polsce, w którym występował - potem od razu długa dyskusja. Łatwy, bezpośredni kontakt. Wyjechał do rodziny żony do Kornwalii.

(...) Martwię się o p. Anię<sup>157</sup> - robili jej szykany w drodze tutaj. Na cle rewizja osobista i zabrali prawie wszystkie ulotki i broszury. Przeczytali też list Joasi. Na szczęście pisała głównie, że smaży konfitury. Z truskawek. I dryluje wiśnie. Może myśleli, że szyfr?.. Czujemy lekki niepokój, jak będzie z powrotem?... Może Joasia zadzwoni - prosiliśmy o to - bo stąd nie można dostać połączenia od paru dni, a podobno w odwrotnym kierunku łatwiej.

Janusz: Onyszkiewicz: - Ta pierwsza rozmowa z rodzicami Joanny w 1981 roku była dla mnie bardzo ważna, choć nie podbudowana jeszcze wtedy żadnymi osobistymi zobowiązaniami między mną i Joasią. Nic się jeszcze nie rozwinęło, aby rozmowa zyskała inny wymiar. Ważne dla mnie wówczas było, czy to co robimy w Polsce, wysoko trzymając sztandar wolności, choć niepodległość nie jest na nim wypisana, nie jest odrzucane właśnie przez takich ludzi na obczyźnie jak rodzina Joanny. Jej ojciec, niezwykle wyrazisty i klarowny w przestrzeganiu zasad, odniósł się z uznaniem dla nas i „Solidarności”. Bardzo znamienne miałem też rozmowy z prezydentem Edwardem Raczyńskim, dalekim od trwania na twardym gruncie fundamentalistycznym.

Jadwiga Jaraczewska: - Nic wtedy nie wiedzieliśmy o związkach osobistych Janusza z naszą córką. Był dla nas po prostu gościem z Polski, bardzo ważnym gościem, bo przecież znanym działaczem „Solidarności” i szefem naszej córki.

Joanna Onyszkiewicz: - To były całkiem okazjonalne odwiedziny, nie mające połączenia z naszym związkiem, którego chyba wtedy jeszcze nie było. Może nie zdawaliśmy sobie sprawy z wewnętrznej bliskości naszego kontaktu, czysto koleżeńskiego i bardzo miłego, na tyle jednak widocznego dla naszego otoczenia, że zaczęto sobie na nasz temat plotkować, nim naprawdę staliśmy się parą. Janusz miał za sobą bardzo ciężkie przeżycia osobiste. Dość długo konspirowaliśmy, kryjąc się ze swoimi sympatiami i uczuciami, bo oboje nie byliśmy pewni, co z tego rzeczywiście wyniknie...

16 miesięcy „lekcji wolności można wymazać z murów, ale nie z ludzkiej pamięci”<sup>158</sup>. Taką nieprawdopodobną intensywność przeżyć ludzi wyjątkowo zbliża. Wszystko jest albo normalne, albo dramatyczne, aż trudno z tego niebywale wartkiego nurtu wyłowić jakieś szczególne momenty. - To był jeden wielki ciąg wydarzeń, do których moi rodzice jednak dość ostrożnie podchodzili. Wcale nie dlatego, że chcieli się zdystansować - ich żarliwa nadzieja na niepodległą Polskę była tak w nich silna, że najzwyczajniej bali się zapeszyć, rozczarowanie byłoby niewyobrażalnie bolesne. A nadzieja przecież ledwie zaczynała się rodzić. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, my w kraju i oni na emigracji, że system komunistyczny może to stłamsić i zdławić... Staralam się nie grzebać w ich sercach, w początkach lat osiemdziesiątych im powiedziałam: daję temu systemowi najwyżej jeszcze pięć lat, najpóźniej za pięć lat wreszcie wrócicie do wolnej Polski... Niektórzy mówili, że ta prognoza w ogóle się nie sprawdzi albo dopiero za dwadzieścia lat. Moje przewidywania sprawdziły się z pięcioletnim opóźnieniem...

\*

Coś groźnego wisiało w powietrzu, ale nikt nie przeczuwał, jak wielkie zło nadchodzi. „Władza może pokazać swoje zdecydowanie - ostrzegał w „Tygodniku Solidarność” Krzysztof Czabański. - Na skrzyżowaniach staną czołgi, patrole policyjne i wojskowe wyroją się na ulicach. Ale karabin nie zastąpi reformy gospodarczej, ani nie zapełni pustych półek w sklepach. Karabin w ogóle niczego sensownego nie załatwi. A żadne rozmowy władza - społeczeństwo nie będą już wtedy możliwe”<sup>159</sup>.

Dwunastego grudnia 1981 roku w Gdańsku drugi dzień obraduje Komisja Krajowa NSZZ „Solidarność”. Dla przewodniczącego „Mazowsza”, Zbigniewa Bujaka, „atmosfera tej „krajówki” była do końca jakaś dziwna, ciężka; inne też niż zazwyczaj toczyły się spory w kuluarach: - zwykle kłóciliśmy się o każde zdanie w projekcie uchwały, a tym razem szły dyskusje na tematy zasadnicze. Z jednej strony ostra koncepcja Jacka Kuronia, dotycząca rządu tymczasowego, z drugiej - ogromna ostrożność mecenasa Olszewskiego. Z jednej strony buńczuczne wypowiedzi wielu osób, z drugiej - Lechu patrzący z politowaniem na całą tę sytuację”<sup>160</sup>.

Według Janusza Onyszkiewicza atmosfera „krajówki” była napięta: - Po pierwszym, wrześniowym Krajowym Zjeździe Delegatów utraciłem stanowisko rzecznika związku, bo Wałęsa mianował Marka Brunne. Wciąż jednak do mnie dziennikarze zwracali się o komentarz, tym bardziej że nowego rzecznika nie było w tym czasie w kraju. Zwłaszcza korespondenci radzieccy jeszcze przed północą bardzo cisnęli mnie, bym powiedział, jakie są ostatecznie decyzje „krajówki”. Ale obrady wciąż trwały, a końcowe ustalenia zostały przegłosowane dopiero przed pierwszą w nocy. To też przeczy partyjnej propagandzie, że stan wojenny wprowadzono wskutek ekstremistycznych decyzji obrad Komisji Krajowej. Jeszcze przed zakończeniem posiedzenia dochodzą nas słuchy, że są jakieś ruchy wojska, że odcięto telefony. Nie wiadomo na jaką skalę wszystko się dzieje. Cały czas podsycano historię w jakiś sposób tłumaczącą tę pobudliwość milicji i wojska: że trwają przygotowania do obchodów rocznicy wydarzeń grudniowych, a dzień później, 17 grudnia, ma się odbyć w Warszawie wielki wiec przeciwko stosowaniu przemocy w odpowiedzi na zajęcie siłą szkoły pożarnictwa.

Joanna uczestniczy w posiedzeniu „krajówki” jako przedstawicielka biura prasowego „Mazowsza” i asystentka Onyszkiewicza: - Atmosfera była pełna podejrzliwości, wyczuwało się, że niedługo coś się będzie działo. Jednak niemal wszyscy sądzili, że przed świętami władze nie zdecydują się na żaden brutalny krok wobec „Solidarności”. Wróciłam do hotelu znacznie wcześniej niż Janusz. Już byliśmy razem, ale jeszcze nie ujawnialiśmy się ze swoim związkiem. Obydwoje mieszkaliśmy w Monopolu, w dwóch różnych pokojach. Ze względu na kończące się obrady „krajówki” Janusz, podobnie jak wielu innych uczestników, już w sobotę zwolnił swój pokój.

Janusz: - Gdy późną nocą wyszedłem z zakończonego wreszcie posiedzenia „krajówki”, miałem dylemat: co ze sobą zrobić? Musiałem się gdzieś przytulić do rana. U Joanny w pokoju stały dwa łóżka.

Trzecia nad ranem. Z głębokiego snu Janusza budzi hałas otwieranych drzwi i jakiś harmider na korytarzu. Siada w pościeli. Do pokoju wchodzi cywil z dwoma umundurowanymi, chyba zomowcami. Na sąsiednim łóżku Joanna przeciera oczy i nie może uwierzyć, że nie jest to koszmarny sen: stoi nad nią mundurowiec w kasku i z pałą w rękę. Jest wściekła:

- Co to za perfidia i złe wychowanie!? Kto wam dał klucze !? Jakim prawem wchodzicie do cudzego pokoju i wyrzycacie ludzi ze snu?!..

Która godzina?! - z furią pyta ubeka.

- Trzecia, proszę pani - intruz odpowiada zaskakująco grzecznie. Zaraz dodaje: - Niech się pani tak nie złości, a zwracając się do Janusza: - Proszę się ubrać i wziąć szczoteczkę do zębów, bo przyda się panu...

Janusz niespiesznie pakuje niezbędne drobiazgi, zakłada swoją ulubioną puchową kurtkę, która pamięta jeszcze jego wyprawy wysokogórskie. Jest spokojnie, żadnych krzyków. Ale to tylko pozorny spokój lodowca. Wszystko trwa ledwie kilka minut, bez słowa wyjaśnienia.

Joanna zostaje sama: - Szybko się ubieram i schodzę do recepcji. Mówią mi, że aresztowano więcej osób z „Solidarności”, podają numery pokoi, do których bezpieka nie brała kłuczy. Po kolei pukam do drzwi. Zbiera się kilka osób, ale nikt nic nie wie. Pędzę więc do „Heveliusza”, gdzie również zakwaterowano uczestników „krajówki”. Niestety, hotel jest otoczony przez ZOMO. Wracam do „Monopolu”, przystaję w recepcji, aby chwilę pomyśleć co dalej robić... Nagle widzę, że ktoś dobija się do szklanych drzwi hotelu zamkniętych przez personel, jest przecież jeszcze noc. Są to dwaj Zbyszkowie z „Mazowsza”: Bujak i Janas!. Dają im rozpaczliwe znaki, aby natychmiast odeszli i szybko uciekali...

- Joasiu, nie gorączkuj się - woła z uśmiechem na twarzy Bujak i prosi: - Sprowadź kogoś, niech otworzy drzwi, chcemy pogadać.

Otwierają im.

- Na litość boską, natychmiast uciekajcie! - Joanna stara się uświadomić im grozę sytuacji.

- Dlaczego?- pytają, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z zagrożenia.

- Janusza już zabrali.

- Czy oni już naprawdę zwariowali?! - wykrzykuje Bujak. - Janusza Onyszkiewicza?!... Przecież to tak znana osoba, że zaraz będzie strajk w całym naszym regionie!

- Widziałam też, jak wyprowadzali z pokoju, w kajdankach, Wądołowskiego - Joanna informuje przyjaciół.

- Rany Boskie!! Pierwszego wiceprzewodniczącego Solidarności!?!... - Bujak zdaje się być bliski szoku<sup>161</sup>.

- I kogo jeszcze wzięli? - dopytuje się Janas.

- Całe prezydium! - Joanna odpowiada ze wściekłością. - Chyba tylko uratowali się Szumiejko i Konarski...

- Powiedzieliśmy sobie z Joasią „do zobaczenia” - pamięta Janas - ale okazało się, że było to pożegnanie na wiele lat... Wybiegliśmy z Bujakiem z hotelu i każdy na własną rękę usiłował dotrzeć do Warszawy...

Joanna idzie pogrążonymi w ciemnościach ulicami do stoczniovców: - Ze stoczni im. Lenina do stoczni Remontowej, gdzie miało się w zaistniałej sytuacji odbyć tajne spotkanie Tymczasowej Komisji Krajowej, przewieziono mnie łodzią. Płynęliśmy chyba Motławą, tylko czasami ostrożnie uchylałam plandekę, żeby zobaczyć, gdzie jesteśmy. W „Remontowej” już się gromadzili ludzie. Byli też ci, którzy nie nocowali w hotelach i dzięki temu uniknęli aresztowania. Po tajnym posiedzeniu TKK wręczono mi tekst uchwały z zadaniem dostarczenia do Warszawy. W drogę udało mi się zabrać z Piotrem Ikonowiczem i polskim dziennikarzem, który jednak pracował dla zachodniej prasy, samochodem któregoś z życzliwych nam agencji prasowych. W pewnej chwili dziennikarz oświadczył dość stanowczym tonem, że jeśli zaraz nie zobaczy dokumentu, który dostałam z TKK, to już dalej nie będzie mnie wiozł. - Jesteś Polakiem, czy zwykłym pismakiem?! - krzyknęłam w proteście. Zdawało mi się, że nie rozumie mojej reakcji Ikonowicz mnie poparł i jakoś dojechałam w niedzielę wieczorem do Warszawy. Zaraz poszłam do Huty „Warszawa”, do przewodniczącego największej w mieście komisji zakładowej „Solidarności”, Lisowskiego. Wypatrywałam go przy bramie wśród wychodzących ze zmiany. Kiedy się spotkaliśmy, wyjęłam ukrytą w biustonoszu uchwałę i mu przekazałam. Później zaczęły się poszukiwania Janusza. Krążyły koszarne pogłoski: że wywieźli ich do Czechosłowacji, że są na Helu gotowi do wywiezienia na Syberię, a nawet, że już wszystkich rozstrzelali... Byłam u ojca Janusza, wszystko mu szczegółowo zrelacjonowałam.

Janusza Onyszkiewicza po wyprowadzeniu z pokoju hotelowego zabrali do więziennej „suki”: - Dosadzili jeszcze kilka osób i nas powieźli. Nie mieliśmy najmniejszego pojęcia,

dokąd jedziemy. Po pewnym czasie samochód się zatrzymał i kazali nam wysiadać, prosto w głęboki śnieg, w światłach skierowanych na nas reflektorów. Było przejmująco zimno, na szczęście miałem na sobie puchową kurtkę. Po chwili zaczęliśmy się orientować, że jesteśmy na terenie jakiejś milicyjnej czy też wojskowej jednostki. Mnie pierwszego wywołują i prowadzą biorąc pod łokcie wzdłuż szpaleru funkcjonariuszy uzbrojonych w karabiny. Wchodzimy do budynku, do pokoju na piętrze, gdzie dwóch cywilów zaczyna spisywać moje dane personalne: nazwisko, data urodzenia, imię matki... Jeden z nich, jakby na swoje usprawiedliwienie, mówi: - Sam pan chyba rozumie, my też nie wiemy, co się tu właściwie dzieje, robimy tylko to co nam każą... Na żadne refleksje nie dali mi jednak czasu, sprowadzili do piwnicy. Kazali stanąć przy świeżo wybielonej, oświetlonej ścianie. Byłem sam, przede mną tylko żołnierze z karabinami...

Wcześniej jakoś nie miałem poczucia zagrożenia, co człowiekowi podpowiada: oho, to już koniec! Pod ścianą jednak pomyślałem: teraz chyba będzie tak zwane „końcowe rozwiązanie”... Po kilku minutach - tak mi się wydawało, że minęło kilka minut, choć na zegarek nie patrzyłem - jednak wyprowadzają mnie z piwnicy do sali gimnastycznej. W koło roztawieni mundurowi z karabinami, a po środku, na świecącym pastą parkiecie, siedzi ...Jacek Kuroń.

- Co o tym sądzisz? – pyta.

- Generałowie się ruszyli.

- Tak uważasz?

- Tak. Nie wiadomo, co jeszcze nas czeka, lepiej się przespać.

Położyłem się w kąci i zasnąłem. Kiedy się obudziłem, sala była pełna naszych ludzi, działaczy „Solidarności”.

W wydanej w podziemiu w 1982 roku książce pt. „Internowanie” Tadeusz Mazowiecki napisał: „Od 13 grudnia jesteśmy w nowej sytuacji. Ten dzień stanowi granicę między Polską nadziei a Polską odwetu i nienawiści. Pierwsze uczucie - pozbawienie wolności – w sposób tak nagły, brutalny i wiarołomny przeżyliśmy wczoraj. Teraz trzeba było w tych warunkach umieć żyć. (...) Znaleźliśmy się tu w poczuciu zaskoczenia. Obrachunek z tego zaskoczenia jest trudny. W innym, zupełnie innym sensie, niż głosi to oficjalna propaganda, czas ten jest czasem refleksji. Zarówno tej bardziej doraźnej - czy i co da się uratować z tego, co zdołaliśmy osiągnąć przed 13 grudnia, jak i tej głębszej i bardziej długofalowej - gdzie są nasze siły i jakie mogą być nasze drogi”<sup>162</sup>.

Z Gdańska wiozą internowanych do obozu przygotowanego w Strzebielinku. Onyszkiewiczza umieszczają w celi razem z Kuroniem, Wujcem i Rulewskim: - Jaś Rulewski był strasznie bojowy, czuł ogromną potrzebę działania.

- Musimy natychmiast zażądać widzenia z komendantem więzienia i przedstawić mu postulaty - ostro nas przekonywał.

- No dobrze, jakie postulaty?

- Żeby zakończyć stan wojenny - odpowiedział zdecydowanie.

- Naturalnie – przytaknęliśmy rozbawieni z Jackiem. – Jak pójdziesz do komendanta zażądaj, żeby zniesiono stan wojenny, ale, jak ci się nie uda, to chociaż załatw nam wypiskę.

I Jaś udał się z takim mandatem negocjacyjnym. I wypiskę załatwił! Nie dali nam od razu, ale obiecali, że niedługo dostaniemy.

Toczyli gorące i długie dyskusje, wciąż wokół jednego tematu: co robić w tej sytuacji?. Trawiło ich koszarne poczucie bezsilności. Nie wiedzieli, co się dzieje z Wałęsą. Z sąsiedniej celi dochodziła ich modlitwa-pieśń:

O Panie, który jesteś w niebie,  
wyciągnij sprawiedliwą dłoń,  
wołamy dzisiaj stąd do Ciebie  
o polski dom, o polską broń.

O Boże, skrusz ten miecz, co siecze kraj.  
Do wolnej Polski nam powrót daj.  
By stał się twierdzą Twojej siły  
nasz dom, nasz kraj...

Strzebielinek nie był docelowym miejscem więzienia działaczy „Solidarności”. Bodaj w drugim tygodniu, w dniach między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem, strażnik wywołał z celi Jacka Kuronia i Janusza Onyszkiewicza: - Poprowadzili nas do „depozytu”, oddali sznurowadła, zegarki i inne drobiazgi, a następnie skuli razem kajdanami i wsadzili do „suki”. Po chwili doprowadzali kolejno Gwiazdę, Rulewskiego, Jaworskiego... Dlaczego właśnie my, dlaczego taka grupa? - zastanawialiśmy się, a cały Strzebielinek nas żegnał w patriotycznym nastroju śpiewając „Jeszcze Polska nie zginęła” oraz „Rotę”... Wieźli nas przez puste, wymarłe ulice, do Babich Dołów, na lotnisko marynarki wojennej. Kazali wchodzić do podstawionego śmigłowca, przykuli do poręczy dwójkami, które rozdzielali mundurowi milicjanci... Cały czas lecimy nad pełnym morzem, nie można się zorientować dokąd. Pytam milicjanta: - Gdzie nas wieziecie? Odpowiada: - Do Kaliningradu... Niebawem jednak maszyna kieruje się w stronę lądu i już wiemy, że to nie Kaliningrad jest celem naszej przymusowej podróży. Czyżby Warszawa? Może poszli po rozum do głowy i chcą wreszcie negocjować? Ale jak na rozmowy, to chyba trochę nas za dużo... A może będą chcieli siłą wywalić z kraju...? W obecności milicyjnych konwojentów ustaliśmy, że nie damy się już dobrowolnie wsadzić do żadnego innego samolotu. - A jeśli użyją przemocy - powiedziałem - to zaraz wracam do Polski: mam kurtkę puchową, dobre buty, góry znam, więc nie ma cudów, przejdę... Kuroń prosił: - Janusz, weź mnie ze sobą... Ładujemy jednak na Bemowie, więc żadnej przesiadki nie będzie, bo to tylko wojskowe lotnisko helikopterowe. I rzeczywiście, z Bemowa wiozą wszystkich do więzienia w Białoleścu...

Nikt, nawet spośród najbliższych nie wiedział, gdzie są aresztowani działacze „Solidarności” i co się z nimi dzieje. Siostra Janusza, Anna Bogobowicz, usłyszała z Radia Wolna Europa, że wszyscy z „krajówki” zostali „internowani”: - Co to znaczy, że są „internowani” też nikt wtedy jeszcze nie miał pojęcia... Aż do świąt Bożego Narodzenia nie mieliśmy jakiegokolwiek sprawdzonej wiadomości. Raptem zjawiła się u nas pewna pani, która powiedziała, że ma znajomych w MSW i chce pomóc. Przyszła z Rzepeckim. Wydała nam się postacią mocno podejrzaną, ale strasznie chcieliśmy dowiedzieć się czegoś o Januszu. Skorzystaliśmy więc z jej oferty i przez nią skontaktowaliśmy się z jakimś naczelnikiem w MSW, który w zaufaniu powiedział, że wszyscy internowani z „krajówki” są przetrzymywani w Strzebielinieku. Dzięki niej też uzyskałam pozwolenie na wyjazd z Warszawy. Dzieci zostawiłam pod opieką Joanny, a sama w noc sylwestrową, z wielkim plecakiem, pojechałam nocnym pociągami do Wejherowa. Na miejscu okazało się, że w Strzebielinieku nie ma już Janusza. Przesiedziałam pięć godzin na komendzie MO w Gdańsku, żeby się dowiedzieć, dokąd go wywieźli, ale nie powiedzieli mi, poradzili tylko, żebym wróciła do domu i szukała odpowiedzi u władz w Warszawie. Wróciłam, wielokrotnie dreptałam do Pałacu Mostowskich, rozmawiałam z różnymi panami pułkownikami, aż wreszcie dowiedziałam się, że Janusz i inni jego koledzy z „krajówki” są w Białoleścu.

Ważną rolę w odnalezieniu internowanych niewątpliwie odegrała nieznajoma, która najpierw skontaktowała się z Januszem Rzepeckim: - Zgłosiła się do mnie w pierwszych dniach stanu wojennego, powiedziała, że jest dziennikarką i zbiera materiał do napisania książki o Januszu. Zaczęła o niego wypytywać. Nie bardzo wiedziałem, jak postąpić, czy jest podstawiona przez bezpiekę, czy najzwyczajniej życzliwym nam człowiekiem?... Andrzej Zajączkowski, pamiętam, był chyba najbardziej sceptyczny wobec niej, ale jednak postanowiliśmy skontaktować ją z siostrą Janusza, która gdzie tylko mogła gorączkowo poszukiwała brata. Poszła z Anią do jakiejś ważnej figury w MSW, przedstawiła się, że jest narzeczoną Janusza, chyba dotarła nawet do samego Kiszczaka... Według mnie cała ta sprawa z ową dziennikarką,

której później nikt więcej nie spotkał, nie była całkiem czysta, ale faktem jest, że to dzięki niej Ania, po trzech tygodniach uporczywych poszukiwań, w końcu trafiła na ślad brata.

Pierwszą Wigilię stanu wojennego Joanna spędziła w areszcie: - W przeddzień Wigilii Andrzej Zajączkowski podwoził mnie samochodem na ulicę Komarowa<sup>163</sup>, gdzie mieszkałam w swoich już własnych dwóch pokojach z kuchnią. Dojeżdżaliśmy do skrzyżowania Komarowa i Rakowieckiej, gdy zatrzymał nas patrol milicyjno-wojskowy. Zażądali okazania dowodu osobistego. Miałam w nim stempel Regionu „Mazowsze” jako miejsce zatrudnienia. Widok tej pieczęci ich zelektryzował, natychmiast kazali nam wsiąść do milicyjnej nyski i powieźli na komendę. Na szczęście Andrzej nie stracił zimnej krwi, różne notatki, które miał przy sobie, zdołał niepostrzeżenie poupychać za oparcie fotela, a część wcisnął za zapasowe koło... Mnie coś takiego nie przyszłoby do głowy, wpojone zasady angielskiego wychowania: uczciwość i otwartość w każdych warunkach, obowiązek mówienia zawsze prawdy policjantowi, który przecież jest przyjacielem każdego uczciwego obywatela, strasznie mi przeszkadzały w konspiracyjnej robocie... Zaraz więc znaleźli przy mnie notes ze wszystkimi kompromitującymi wtedy adresami, wizytówkami, telefonami do Najderów, Bieleckich, delegatów japońskiego związku zawodowego SOHYO, czy jednego z ostatnich żyjącego żołnierzy Pierwszego Pułku Szwoleżerów imieniem Józefa Piłsudskiego oraz tak „obciążające” dowody jak kartki z zapiskami w rodzaju: zadzwonić do Macierewicza, załatwić Biuletyn Specjalny<sup>164</sup> oraz całkiem banalnymi: pójść na przegląd filmów o ułanach, odebrać pościel, które jednak w tym kontekście przesadnie czujna władza mogła uznać za sprytnie zaszyfrowane instrukcje...

Andrzej Zajączkowski pomagał Joannie, która opiekowała się chorym ojcem Janusza: - Miałem samochód, więc czasem ją podwoziłem. Wtedy zatrzymali nas dokładnie róg Komarowa i Rakowieckiej. Zdążyłem tylko zapytać Joannę, czy ma dokumenty w porządku. Uspokoiła mnie, że ma w porządku, nie wspomniała, że w jej dowodzie jest pieczęć „Mazowsza”!... Od razu nas zgarnęli, gdy ledwie wzięli do ręki ten dowód. Na domiar złego w aucie miałem sporo różnych wydawnictw „solidarnościowych” jeszcze sprzed stanu wojennego, tyle tego było, że bardzo łatwo wpadły im w łapy. Zawieźli nas na „dołek”, czyli do aresztu w komendzie milicji przy ulicy Malczewskiego.

Joannę śledczy wypytywał o znajomych, rodzinę, kontakty towarzyskie, właściwie o wszystko: - Z przekazów rodzinnych sięgających jeszcze czasów konspiracyjnej działalności dziadka i babci zapamiętałam, że na przesłuchaniu nie mówi się nic, na zadawane pytania odpowiada milczeniem, a na koniec odmawia się podpisywania podsuwanych dokumentów. Ja jednak nie potrafiłam milczeć, gdy ktoś, kimkolwiek by nie był, o coś mnie pyta, zakorzenione od najmłodszych lat zasady grzeczności nakazujące uprzejme udzielanie odpowiedzi okazały się silniejsze. Odpowiadałam więc, ale tylko: „nie wiem”, albo „bardzo przepraszam, nie mogę sobie przypomnieć”... Bałam się pioruńsko, nie wiedziałam, czy czeka mnie internowanie, czy areszt, a może łaskawie wypuszczą na Wigilię...? Kazali pisać oświadczenie, jak doszło do zatrzymania, opisać przebieg wydarzeń... I nawet napisałam nawet z pięć wierszy, że jechałam Puławską, gdy zaczęli dyktować: „razem z Andrzejem Zajączkowskim zostaliśmy zatrzymani”. W tym momencie na dobre się przeraziłam: rany boskie, nie jestem przecież sama, mogę tym pisaniem wrobić Andrzeja!. Oświadczyłam, jak tylko potrafiłam stanowczym tonem: - Więcej już niczego nie napiszę. Zaczęli szantażować: - To nie ma znaczenia, przecież możemy łatwo podrobić pani podpis... Wtedy coś we mnie wstąpiło, jakaś siła, przestałam się bać. - To sobie podrabiajcie - odpowiedziałam już bez lęku. I dali mi spokój. Tylko jeszcze mnie zbadali rzekomo na okoliczność, że mnie nie pobili w czasie zatrzymania, a naprawdę, aby mnie upokorzyć. Ich intencje jednak w ogóle mnie nie obeszły, bo mam, chwalić Boga, wystarczające poczucie własnej godności.

Ośławiony „dołek” robi na Joannie przygnębiające wrażenie: - Szczególnie ubikacja, nie wiadomo było nawet gdzie stanąć. W celi, do której mnie doprowadzili, była już jakaś niedwuznacznie wymalowana panienka. Nieproszona chciała mnie przekonać o swojej niewin-

ności, bo - jak mówiła - „tylko spotykała się z panami”. Jej wymuszone towarzystwo zapewne też było zamierzonym aktem upodlenia mnie. Byłam wobec niej ostrożna, obawiałam się, że jest podstawiona, aby ze mnie wyciągnąć informacje przydatne naszym prześladowcom... Noc minęła pełna niepokoju, że nikt z przyjaciół nie wie, co się ze mną stało. Nazajutrz, w Wigilię 24 grudnia, całe dopopołudnie nic się nie działo. To był trudny czas, w zawieszeniu, w kompletnej niepewności: czy zamknęli mnie tylko na 48 godzin, a może na trzy lata...? W wigilijny wieczór nieoczekiwanie zajrzał do mojej celi milicjant, aby ... podzielić się ze mną, jak opłatkiem, kromką chleba! Widziałam, że on strasznie się boi...

Andrzej Zajączkowski oczywiście był zamknięty w osobnej celi, oddalonej od celi Joanny tak, że nie mogli się kontaktować: - Gdy nas przywieźli, cały areszt był wypełniony zatrzymanymi, ale następnego dnia, w Wigilię, niemal kompletnie opustoszał. Nie zapomnę tego dnia. Dyżur pełnił młody milicjant, ostro pił, sam ze sobą, niemal od pierwszej chwili jak objął swoją zmianę. Słyszałem jego hałaśliwe zachowanie, ludzi wyciągał z celi, wrzeszczał, a późnym popołudniem, już solidnie wstawiony, przyszedł do mnie z talerzem pełnym zupy pomidorowej. - Przyniosłem zupę, ale ona tak śmierdzi, że nie wiem, czy będzie pan jadł - powiedział.

Byłem głodny, całą dobę przecież nic nie jadłem, ale zrezygnowałem, bo milicjant prawdę mówił. Chyba po dziesięciu minutach znowu przyszedł, z kromką chleba:

- Nic więcej nie mam, tylko ten kawałek chleba - jakby się usprawiedliwiał.

Wtedy pomyślałem, że przecież jest Wigilia: - Może się pan ze mną przełamać tym chlebem - zaproponowałem dodając: - Nie mam się z kim przełamać, jesteśmy po dwóch stronach, ale w takim dniu...

Aż zaniemówił z wrażenia. Nie przełamał się jednak, zatrzasnął drzwi i sobie poszedł. Ale i tym razem chyba nie minęło dziesięć minut, a milicjant ponownie otworzył drzwi mojej celi, złapał mnie za klapę i wyciągnął na korytarz. Nie widziałem niczego dalej własnego nosa, zabrali mi przecież okulary, a noszę szkła minus siedem. Jego nie mogłem nie widzieć, stał przede mną dosłownie nos w nos, strasznie zionęło od niego wodą, wyciągając medalik szep-tem zapytał:

- Z jakiej jesteś parafii?

- Ze Świętego Michała - odpowiedziałem.

- Ja też, to jak jutro rano skończę służbę, dam znać proboszczowi, że tu jesteście - zapewnił.

Poprosiłem go jeszcze: - Daj też znać mojej mamie, która czeka na mnie z wigilią i nie wie, co się ze mną stało.

Podał mi adres, który zapisał na skrawku brudnej gazety, zmiął w kulkę i wsadził w dziurę w zębie, dobrze to widziałem, bo wciąż stał przede mną w odległości nie większej niż ćwierć kroku.

- To jest najlepszy sposób. - objaśnił mi. - W razie wypadki można zjeść i nie ma śladu.

Na końcu wyjął pistolet z kabury, przystawił mi pod nos i ostrzegł:

- Jak mnie zdradzisz, to się zabiję.

Później wyciągnął z celi Joaškę, oboje nas zaprowadził do strasznie śmierdzącego kibla, odkręcił na cały regulator kran, z którego woda leciała z głośnym pluskiem na posadzkę. - Tu też jest podsłuch, ale jak puściłem wodę, to ona wszystko zagłusza i możecie sobie uzgodnić ze sobą, co macie mówić na przesłuchaniach - powiedział zostawiając nas samych.

Nie za bardzo mieliśmy co uzgadniać, ale byliśmy mu wdzięczni za jego dobre chęci i ofiarowane nam poczucie pewnej wolności choć przez kilka chwil.

Milicjant rzeczywiście zawiadomił matkę Andrzeja: - Dopiero następnego dnia, tego samego dnia poszedł, ale zląkł się. Opowiadał mi, że był już na schodach, z wszystkich mieszkań sąsiadów dochodziły wyraźne odgłosy świątecznych biesiad, jedynie za drzwiami naszego mieszkania było cicho jak makiem zasiał, nabrał więc podejrzeń, że bezpieka urządziła „ko-

cioł”. Poszedł drugi raz nazajutrz, o piątej rano, moją mamę tak uradowała wiadomość o moim losie, że rzuciła mu się na szyję i go wyściskała jak najbliższego przyjaciela. Łatwo „wycygnął” od niej butelkę wódki.

W pierwszy dzień świąt Joannę przewieziono do Pałacu Mostowskich. Po przesłuchaniu została zwolniona: - Bałam się być sama w domu. Na szczęście pojawił się, jak dobry duch, Rzepa. Chętnie przystałam, aby się do mnie wprowadził. Bardzo był wobec mnie opiekuńczy, rozumiał mój lęk przed samotnością w pustym mieszkaniu, obawy, że znowu mogą mnie aresztować i nikt się nie dowie, co się ze mną stało. Doceniałam tę jego niezwykle przyjacielską postawę, choć zdawałam sobie sprawę, że robi to dla Janusza, z którym łączyła go wieloletnia przyjaźń, mnie przecież znał od niedawna. Mieszkaliśmy razem, ale prowadziliśmy dwa odrębne życia. Po trzech, a może czterech tygodniach zorientował się, że przyszedłam już do siebie po nerwowych przeżyciach w milicyjnych aresztach, zaczął pojawiać się rzadziej. Ale zawsze tak jakoś intuicyjnie wyczuwał, że przychodził, gdy potrzebowałam przyjaznego wsparcia.

Janusz Rzepecki o istnieniu Joanny dowiedział się dopiero w stanie wojennym: - Nawet sam nie bardzo siebie rozumiem, chyba już mam charakter takiej przylepy, która lgnie do ludzi. Oczywiście, chciałem ją poznać, wszak to wnuczka Piłsudskiego, postaci historycznej, ale nie myślałem, że u niej zamieszkać. Zdecydowałem się, gdy pierwszy raz się spotkaliśmy, mimo że żadne słowo na ten temat w ogóle nie padło. Zrozumiałem, że potrzebuje pomocy.

Krzysztof Śliwiński nie sądzi, aby w postawie Rzepy było coś nadzwyczajnego: - Nasze środowisko wyraźnie miało zarysowane standardy, jeśli chciało się być jednym z nas, należało tym standardom sprostać w sensie szlachetności i bezinteresowności.

Hanna Wiktorowska, kiedy wybuchł stan wojenny, była w Indiach. - Dołączyłam na własny koszt do jednej z naszych wypraw. Miałam zarezerwowany bilet na Lotowski samolot z Bombaju do Warszawy na 15 grudnia. W przeddzień, jadąc pociągiem przez całe Indie, z Patny, stolicy stanu Bihar, do Bombaju, dowiedziałam się od jakiegoś Hindusa, że w Polsce jest wojna. Na drugi dzień rano pobiegliśmy do konsulatu i dopiero tam dowiedzieliśmy się, co się stało w Polsce. Samolotu nie było już do Warszawy, bo miał wylecieć z Polski 13-ego, ale nie zdążył. Dwa i pół tygodnia siedzieliśmy w Bombaju, pożyczaliśmy pieniądze z konsulatu, które skrupulatnie po przyjeździe oddaliśmy. Wróciłam dopiero do kraju jedenastego czy dwunastego stycznia. Wchodzę do biura, jeszcze było na Sienkiewicza, a przy moim biurku siedzi wiceprezes Zarządu PZA. Zaraz po wybuchu stanu wojennego napisał pismo, że w związku z tym, że sekretarz związku Hanna Wiktorowska nie powróciła w terminie do kraju, zarząd Polskiego Związku Alpinizmu pełnienie funkcji sekretarza generalnego jemu powierza. Jeszcze do Gierka pisał też, że jego zdaniem wyprawa alpinistyczna to jest marnowanie pieniędzy, kiedy w kraju są takie potrzeby, a tu takie dolary się wydaje. To niemoralne i nieetyczne. Mawiał do mnie: - Pamiętaj, jak masz miękkie serce, musisz mieć twardą dupę. W innym środowisku by takiego faceta wyklęli, a u nas: a... niech sobie gada...

Piotr Wojciechowski uczestniczył w przerwanej wprowadzeniu stanu wojennego Kongresie Kultury Polskiej, który obradował w Teatrze Dramatycznym: - Spod zamkniętych przed nami drzwi teatru pobiegliśmy do kościoła Wszystkich Świętych, później do Związku Literatów. Zaraz pojawiły się pilne sprawy do załatwienia: jak wysłać lekarstwa internowanym kolegom, w jaki sposób dostarczyć okulary Kijowskiemu... Od razu zaangażowałem się w akcję samopomocową. Nikogo nie trzeba było zachęcać, samopomoc organizowała się spontanicznie, po prostu każdy z nas robił swoje, co uważał za oczywistą powinność wobec przyjaciół, kolegów i również ludzi obcych, który władze wtedy osadziły w więzieniach.

„Tu, za kratami, każdy gest solidarności jest jak łyk świeżego powietrza. (..) Każda dobra informacja pomaga żyć - pisał Adam Michnik z Białołęki. - Parę słów o internowanych. Jesteśmy więźniami bez prokuratorskiego nakazu, każdy z nas może uzyskać wolność za cenę

deklaracji lojalności i zgody na rolę policyjnego konfidenta. Człowiek złamany - rozumują nasi nadzorcy - nie będzie zdolny do oporu. Jesteśmy - robotnicy, rolnicy, inteligenci - zakładnikami. Nasz los ma być przestrożą dla innych kolegów, nasz status wizytówką dla zagranicy, my sami - monetą przetargową. Gorzej jest tym po wyrokach za strajki. Jak wszystkich, tak i nas, „wojna polsko-jaruzelska” - by użyć formuły warszawskiej ulicy - postawiła w nowej sytuacji. Trudno dziś o jednolitą formułę, każdy musi we własnym sumieniu odpowiedzieć na pytanie - jak sprzeciwiać się złu, jak bronić godności, jak zachować się w tej dziwnej wojnie, która jest - warto o tym stale pamiętać - nowym wcieleniem trwających od stuleci zmagania Prawdy z Kłamstwem, Wolności z Przemocą, Godności z Poniżeniem. Powtórzmy przeto - za filozofem - że w tej walce nie ma wprawdzie ostatecznych zwycięstw, ale nie ma też - tu szczypta optymizmu - ostatecznych porażek<sup>165</sup>.

\*



Anna Bogobowicz jest pierwszą osobą „z wolności”, której udaje się uzyskać dla siebie i ojca zezwolenie na widzenie w Białoleńcu, tej mini Syberii de Lux, jak nazwał to miejsce Andrzej Gwiazda: - Była to wielka niespodzianka przede wszystkim dla Janusza. Opowiedział o Strzebielinku i drodze do Białoleńki, jak to zawsze Janusz: spokojnie i bez emocji. Mówił też, jak ich traktują, jakie panują nastroje, jaka jest atmosfera w więzieniu. O tym wszystkim nikt z nas w Warszawie jeszcze nic nie wiedział, w ogóle nazwa „Białoleńka” niewiele nam mówiła. Janusz podał mi nazwiska działaczy „Solidarności” więzionych w Białoleńcu. Dzięki informacjom, które przywiozłam do Warszawy, wiele rodzin dowiedziało się wreszcie, gdzie są przetrzymywani ich mężowie, ojcowie i bracia bezskutecznie dotąd poszukiwani.

Jacek Kuroń: - W stanie wojennym, jako piętnastka ekstremistów, siedzieliśmy w normalnym więzieniu na Białoleńcu, lecz w złagodzonej rygorze. Paczki, które nam przysyłano, dostawaliśmy bez ograniczeń, mogliśmy do woli jeść, spać, wylegiwać się, na co w normalnym więzieniu nie pozwalają. I okazało się, że jest to strasznie wyniszczające, najlepszy sposób samozagłady, ponieważ klasztor bez reguły to coś potwornego. W więzieniu czy klasztorze człowiek rozwija się tylko w warunkach ścisłej, surowej reguły<sup>166</sup>.

Tadeusz Mazowiecki: - Życie internowanych składa się jakby z dwóch elementów: uregulowania i niepewności. Normalnie biorąc, są to elementy nie przystające do siebie, nie mogące współistnieć ze sobą jako coś trwałego. Dolegliwości internowania na tym jednak między innymi polegają, że właśnie te nieprzystające do siebie składniki mają stanowić jedność, być czymś normalnym<sup>167</sup>.

„Może prościej być w więzieniu niż na wolności - napisał do Adama Michnika przyjaciel. - Wody ruszyły, spieniły się i górą płynie mętna szumowina”<sup>168</sup>.

„Więźniów ekstremistów” w Białoleńcu trzymano w absolutnej izolacji. Nawet pewien pułkownik, pełnomocnik samego generała Czesława Kiszczaka, mógł się do nich dostać dopiero przy okazji wizyty prymasa Józefa Glempa. W imieniu swego mocodawcy, szefa MSW, proponował każdemu po kolei wyjazd z Polski, mówił, że wszystko jedno dokąd, byle się zdecydował, a załatwienie formalności bierze na siebie MSW: - Czy można byłoby wyjechać do Czechosłowacji? – niewinnie zapytał Janusz Onyszkiewicz. W pierwszej chwili pułkownik osłupiał ze zdumienia, ale w miesiąc później, gdy ponownie zawitał do Białoleńki, powiadomił Janusza: - Rozmawiałem z przełożonymi, uważają, że z tą Czechosłowacją możemy mieć trudności...

Tak zwaną ekstremę „Solidarności” więziono po dwóch w celi w IV pawilonie, byli odseparowani nie tylko od zwykłych więźniów, lecz także od innych internowanych, którzy mieli luźniejszy reżim. Janusz dzielił celę z Henrykiem Wujcem: - W odróżnieniu od innych kolegów, którzy analizowali wszystko wracając do lat pięćdziesiątych, nie prowadziliśmy z Heniem żadnych politycznych debat. Co jakiś czas „wrzucali” nam jakiegoś nieznanego osobnika, aby nas prowokował do dyskusji, ale myśmy z Wujcem, który miał dźwięczny kryptonim „Ptaszyna”, dość szybko zaakceptowali nasze przymusowe położenie jako takie, którego mogliśmy się spodziewać. Mieliśmy przekonanie, że nie będziemy siedzieć w więzieniu do końca życia, coś się w Polsce musi zmienić i wtedy na pewno wyjdziemy.

Henryk Wujec: - Bardzo dobrze było mi z Januszem.. Do żadnych konfliktów między nami nie dochodziło, choć w innych celach bywało różnie. W sąsiedniej, w której siedzieli Kuroń, Rulewski, Dymarski, wrzało. Ze śmiechu też nie pękaliśmy. Było nam bardzo wygodnie, na tyle na ile wygodnie może być w więzieniu. Sprawnie podzieliliśmy obowiązki: ja dbałem o ogólny porządek w celi, Janusz był odpowiedzialny za „przyprawianie” jedzenia, tak że stało się ono zupełnie smaczne. Przyprawy dostawaliśmy z domu. Głównie milczeliśmy, każdy czytał swoje książki. On matematyczne i historyczne, w tym z historii wojskowości<sup>169</sup>.

20 stycznia 1982 roku Janusz pisał do Joanny:

„Cieszę się, że się specjalnie nie przejmujesz moim zamknięciem. Słusznie! A może to będzie jak z Magdeburgiem (z uszanowaniem wszelkich proporcji, jak powiadają Francuzi)? ...

Chudnięciem się nie przejmuj, byle nie za bardzo, bo Cię wiatr porwie. A niedługo znów Wiatr Historii się wzmoże, więc żebyś nie musiała dla obciążenia nosić kamieni w kieszeniach.

Joanna odpisuje w sobotę 23 stycznia:

Januszk

Więc dziś czytałam kolejny Twój list Byłam u Ani, przeczytałam dwa razy, a Ania widząc, że jestem nienasycona, zaproponowała, że jeszcze można czytać od końca...

Niedziela, siódmy tydzień, nudno. Czy uważasz, że mogę przeczytać Twój list po raz trzeci, czy to już będzie głupio?

Niestety, w parę dni po wojnie znów zaczęłam palić. Postawiłam sobie termin – do Twojego zwolnienia, a ponieważ kopczę dosyć dużo, więc tego zwolnienia zaczynam się bać!

Już pewno masz następną paczkę żywnościową, tylko podobno czekoladek nie można dać, nie wiadomo dlaczego. Bardzo żałuję, bo życie bez słodczy to trudne życie”.

29 stycznia Janusz pisze:

„Zaryglowano nas, jak zwykle na noc, na dodatkowe zasuw, i mamy spokój do jutra rana. No i dobrze, bo dzisiejszy dzień, tak jak i poprzednie miał swoje atrakcje. Nie poszliśmy dziś do łaźni, bo woda była ponoć za zimna, ale za to mieliśmy dodatkową rewizję w celi połączonej z dość dokładną rewizją osobistą. Coś ta władza ostatnio robi się nerwowa. W czasie rewizji poniosłem niepowetowaną stratę - zabrano mi z kieszonki w kapeluszu karteczkę datującą się jeszcze ze „sprawy Narożniaka”, która głosiła, że właściciela kapelusza trzeba natychmiast zamknąć na osobiste polecenie prokuratora Czubińskiego. Władza (dla sprawiedliwości nie tylko zresztą nasza) potrafi czasem wykazać patologiczny brak poczucia humoru. Co oni teraz z tą karteczką zrobią? Włączą do akt?”

Konfiskują mu też notatnik wypełniony cyframi, ponieważ... „zawiera nielegalne liczby”. Onyszkiewicz zaraz wysyła gryps do zaprzyjaźnionych matematyków, uprzedza, by zabezpieczyli swoje prace, bo też bezpieka może je uznać za nielegalne.

Czołowa trąba reżimu, „Żołnierz Wolności”, pisze o Januszu w anonimowym komentarzu zatytułowanym złowieszczo „Z zimnym wyrachowaniem”: „człowiek o precyzyjnym, matematycznym umyśle. Nie przeszkadzało mu to wcale brać udziału w tworzeniu antyrobotniczej i antypolskiej mafii politycznej, która, aby było trudniej odgadnąć jej właściwą misję, przybrała oszukańczą nazwę Komitet Obrony Robotników. Zgodnie z wytyczonym mu zadaniem w ogólnym programie działań, nie rzucał się w oczy, ale należy przyznać, pracował jako kowrovec bardzo skutecznie, w czym jego ścisły umysł matematyka ogrywał swą rolę. Jak powiedano, potrafił budować równania różniczkowe najwyższych stopni na użytek działań KOR i pod tym względem miał przewyższać nawet wyrafinowanego Modzelewskiego<sup>170</sup>”.

Paszkwilancki artykuł wywołał skutek odwrotny do zamierzonego, wszyscy matematycy kpili z tak ewidentnej bzdury wymyślonej przez partyjnych propagandystów jak „równanie różniczkowe najwyższego stopnia”. Już na poziomie szkoły średniej nawet mniej pilni w nauce uczniowie wiedzą, że tak jak nie ma największej liczby, bo ciąg liczb jest nieskończony, tak nie istnieje równanie „najwyższego stopnia”, bo przecież rzędy, a nie „stopnie” równań oznaczone są liczbami... Według anonimowego autora „Żołnierza Wolności” mogłoby być więc równanie 50 rzędu, ale 51 to już nie...Jeden ze znanych matematyków, kierownik katedry równań różniczkowych żartował, że musi chyba zmienić nazwę na „katedrę równań różniczkowych niskiego rzędu”.

Janusz w kolejnym liście z Białołęki pisał: „Matematyka mi nie idzie. Nie mam do niej głowy, bo albo studiuje sytuację bieżącą, albo czytam o najnowszej historii, ewentualnie nieco dalszej, no, bo historia – magister vitae i można w niej znaleźć sporo wskazówek do rozumienia mechanizmów i sytuacji aktualnych.

Henio siedzi przy sąsiednim stoliku i czyta Biblię, wyszukując co bardziej antypaństwowe sentencje. Jak tak dalej pójdzie będzie znał Stary Testament nie przymierzając jak sam cadyk z Góry Kalwarii.

Bo jak zawsze w trudnych dla narodu czasach człowiek szuka oparcia w wielkiej literaturze. Oczywiście, przede wszystkim w dziełach narodowych wieszczów. Nie ma ich wiele w tutejszej bibliotece, więc trzeba polegać na własnej pamięci, ale nie jest źle, bo na dzisiejszą sytuację znaleźliśmy następujące słowa:

Ptak ptakowi nie dorówna

Nie polecą orzeł w gówna

(panie cenzorze, tak naprawdę napisał Wyspiański w „Weselu”, więc proszę nie skreślać!)

I tym pocrzepiającym akcentem kończę pisanie na dzisiaj. Dobranoc.

Dopisane w niedzielę, 31.I: Dzień dzisiejszy spędziłem na cerowaniu spodni od dresów. Było tam parę cer (Twoich?), ale wykryłem całe mnóstwo innych dziur i musiałem je zaszyć, bo bałem się, że mi się spodnie rozlecą. Może masz kwalifikacje na Penelopę?”

Rodzice i brat „Penelopy”, czyli oczywiście Joanny, wszelkimi możliwymi kanałami: przez wszystkich przyjaciół, znajomych, a także organizacje alpinistyczne organizuje akcję pisania listów do brytyjskich parlamentarzystów, aby stanowczo zareagowali na wprowadzenie w Polsce stanu wojennego. Joanna zaś pierwszy raz pojechała do Białoleki dopiero pod koniec stycznia 1982 roku. O zezwolenie na widzenie mogli ubiegać się tylko najbliżsi, wystąpiła więc o uznanie jej konkubiną Janusza. Ta dość częsta na Zachodzie forma związku dwojga ludzi była w Polsce zjawiskiem raczej marginalnym, a przez to traktowanym trochę podejrzliwie. Czuli się też skrępowana tak śmiałą inicjatywą, której nie mogła przecież uzgodnić z Januszem, obawiała się, aby jej źle nie zrozumiał. Starła się go uprzedzić: „Daj Boże, żeby mnie wpuścili. Jest to przewidziane w regulaminie więziennym, tyle tylko że zastanawiam się czasem, czy internowani, idąc na widzenie, wiedzą dokładnie, kogo zobaczą, czyli kto dokładnie jest ten lub ta konkubin (a) (jak to bardzo ładnie określa regulamin). Mam nadzieję, że nie zniszczę całkowicie Twojej reputacji!”

Za każdym widzeniem musiała potwierdzać ten konkubinatus, bo służby więzienne mogły w każdej chwili cofnąć jej pozwolenie odwiedzin. Dopiero w kwietniu została stałą konkubiną. Píše w liście do Janusza: „Więc co do tych konkubinów. Istotnie, zdaje się, że niektórzy mają ich sporo, bo kiedy w końcu wpuścili mnie, to Pan Milicjant w biurze przepustek prosił, żeby tylko następnym razem nie było innej narzeczonej. Obiecałam, że będę tego pilnowała, więc w dniu widzeń chyba będę trzymała wartę przed bramą! Oh yes!!!

Aha - więc Pan Cenzor jest najwyraźniej bardzo miły, bo nie było żadnych skreśleń, ani cytatu z Wyspiańskiego, ani słowo „gryps” powiedziane przez księdza Prymasa, więc dziękuję Panu bardzo, Panie Cenzorze”.

Prawo do widzenia przysługiwało raz w miesiącu, dzieliła się nim z siostrą Janusza i ich ojcem: - Śmieszko mi, że Janusz jest „groźnym ekstremistą”, on przecież taki niesłychanie łagodny człowiek, aczkolwiek bardzo zasadniczy. Pod jednym względem w tej internii nie mogli narzekać, przygotowaliśmy dla nich paczki z najlepszą herbatą, najsmaczniejszymi kielbaskami i konserwami. My mogliśmy jeść byle co, dla siebie nigdy w kolejce nie stanęłam, ale dla Janusza stałam po lepszą kielbasę... Czasy były ciężkie, zdobywanie żywności nie przychodziło łatwo, więc przygotowując paczki dla Janusza nawet żartowałyśmy sobie z Anią, że ... my też chcemy do interny. Moja przyszywana ciocia zauważyła: - Bogu dzięki, że masz te wizyty u Janusza, bo przynajmniej raz w miesiącu przyzwycisz się ubierzesz, uczeszszes i ładniej się umalujesz. Zwykle do Białoleki jeździłam sama, bo dojeżdżał tam tramwaj, czasem, w okolicach Żerania przesiadałam się na autobus. Nie było więc potrzeby, aby kogoś prosić o podwiezienie To była całodzienna wyprawa. Przede wszystkim dlatego, że pod więzienną bramą bardzo długo czekało się na widzenie. Czas jednak mijał dość szybko, zawsze spotykało się bowiem bardzo wielu znajomych żon, braci oraz bliższych i dalszych kolegów...

Joanna Łukasiak-Mikłasz: - Na początku, kiedy wszyscy po raz pierwszy przyjeżdżali na widzenia do Białoleki, na dworcu był siarczasty mróz, więc kto tylko mógł, starał się dostać do niewielkiego baraczkę, gdzie panował tłok nie do opisania. Tu trzeba było się zarejestrować, a długie godziny czekania skracałyśmy sobie rozmowami na różne, najczęściej dość obojętne tematy, natychmiast przerywane, gdy pojawiał ktoś już wracający z widzenia. Zasiadywano go dziesiątkami pytań: co zabierają, co pozwalają przenieść...? Nigdy nikt nie wiedział, kiedy przyjdzie jego kolej na upragnione widzenie z bliską osobą i zostanie wywołany. Czasem strażnicy dostawali szału, gdy ktoś w sposób zbyt widoczny starał się coś przemycić. Wtedy rewidowali, a nawet kazali ważyć. Strażnicy zawsze dokładnie sprawdzali dowody osobiste i przy tym pozwalali sobie na pewną poufałość: „dzień dobry pani Joanno”, albo „do widzenia, panie Stanisławie” - zwracali się nawet dość uprzejmie. - A pocałuj mnie w dupę!.. - bardzo często słyszeli w odpowiedzi.

Janusz Rzepecki: - Jeździłem na widzenia do Białoleki, ale też do Jaworza i innych obozów internowania. Nie zaobserwowałem tam ścisłej dyscypliny więziennej czy wojskowej, raczej trochę elementów życia harcerskiego. W pewnych kręgach, głównie inteligenckich, widzenia stały się stałym fragmentem życia towarzyskiego. Nie jeździło się jednak po „internatach” tylko w odwiedziny, jak nie przymierzając jakaś dama do towarzystwa, zawsze coś się przemycało... Pamiętam, że właśnie w tym okresie wyraźnie chciał odnowić kontakty ze mną pewien nasz dawny znajomy z gór. Trochę dziwnie się zachowywał, był asystentem na uniwersytecie, mało zarabiał, a gdy raz do niego pojechałem, to się okazało, że mieszka sobie bardzo bogato, we własnym domu pod Warszawą, bardzo zasobnym, pełnym żarcia z „zrzutów”, jak się przeważnie określało pomoc nadsyłaną z zagranicy. Tłumaczył się, że ma troje dzieci, wszystkie swoje kartki oddaje do kościoła i w zamian właśnie dostaje te rzeczy. Nie mogłem w tę „bajkę” uwierzyć. Mam w pamięci obraz, jaki zastałem w domu Tadeusza Daniszewskiego, kierownika wydziału historii KC PZPR, z którego córką chodziłem do tej samej, TPD-owskiej szkoły. Mieszkali na Puławskiej, pomiędzy Narbutta i Madalińskiego, tam gdzie stoją najlepsze kamienice. Zajmowali wtedy tak olbrzymie mieszkanie, że się w nim zagubiłem i wszedłem do małego pokoiku całego wypełnionego darami z UNRR-y!... Pomny tamtego zdarzenia nie skorzystałem więc z oferowanej pomocy ze strony naszego dawnego kolegi.

Piotr Wojciechowski: - Rzepa, fanatyk samochodów, zawsze miał benzynę, żeby nie wiem jakie wprowadzono ograniczenia. Dzięki urokowi osobistemu i sile przekonywania kupował tę benzynę od żołnierzy, tych samych, którzy pilnowali, żeby nikt samochodem nie jeździł. Woził bibułę i raz go milicja zatrzymała za jakąś małą paczkę bibuły leżącą na wierzchu, a on pod siedzeniami trzymał tego ze czterdzieści kilo, których nie znaleźli.

Janusz Rzepecki: - Miałem swój mały udział w spektakularnej akcji, której efektem stało się opublikowanie w zachodniej prasie zdjęć ze spaceru w Białolece...

U Joanny w lodówce zawsze było w zapasie kilka kostek masła: - Jak chciałam coś małego przemycić Januszowi, to wpychałam w środek kostki masła i zamrażałam. „Klawisze” nie bardzo sobie radzili: przecież co chwila ktoś coś przemycał, nie było im łatwo ani przeszukiwać, ani dokładnie skontrolować trzystu osób, które wpuszczali na widzenia. Kiedy przekraczałyśmy bramę więzienną z pakami z żywnością, to gadałyśmy, śmiałyśmy się, panował wielki gwar. To wszystko niewątpliwie wpływało na znaczne obniżenie czujności strażników, co postanowiłam wykorzystać. Pożyczyłam od znajomej dziennikarki z zachodniej agencji automatyczny aparat fotograficzny i ukryłam go w kilogramowej paczce cukru. Zastanawiałam się, czy torebkę z cukrem zakleić, aby wyglądała na fabrycznie zapakowaną i nie naruszoną. Były z tym pewne trudności, bo klej na banderoli był kiepskiej jakości i nie chciał trzymać. W końcu więc postanowiłam podwójnie zalefować i nie zakleiłam torebki, aby wyglądała bardziej autentycznie... - Mogłaś, kurczę, przynajmniej zakleić, bo cukier zaczął się usypywać, paczka się spłaszczyła i aparat zaczął niebezpiecznie wystawać – skarcił mnie Janusz później, gdy już było po całej udanej akcji.

Aparat ze zdjęciami z „internatu” w Białoleńce wrócił za mur więzienia razem z rzeczami oddawanymi do prania. Ta droga już była łatwiejsza, bo „klawisze” spodziewali się przecież przemycania informacji czy różnych rzeczy przede wszystkim do internowanych, w odwrotnym kierunku już tak surowo wszystkiego nie sprawdzali. Janusz zdołał też w podobny sposób przesłać Joannie na pamiątkę dwie oryginalne koszule więzienne z numerami, a nawet kiedy opuszczał Białoleńkę wyniósł jak gdyby nigdy nic deskę, którą dostał na imieniny z dedykacją: „Januszowi - ekstremalne życzenia pomyślności. Sąsiedzi „S” i powstańczym znakiem „kotwicy”. Tylko nigdy nikomu nie zdradził, gdzie w celi chował przed klawiszami przemycaną prasę, żartuje sobie, że tak skuteczna skrytka może mu się jeszcze w życiu przydać.

- Aparatem dostarczonym przez Joannę zrobiliśmy niepostrzeżenie kilkanaście ujęć: z mszy świętej, ze spacerniaka i z celi. Ja fotografowałem i Lech Dymarski, dlatego mnie też widać na paru zdjęciach. Ukazały się, sygnowane przez wielką agencję prasową o zasięgu światowym, UPI, akurat 22 lipca, gdy w PRL-u obchodzono roczne święto tzw. Manifestu Lipcowego, między innymi, na eksponowanej rozkładówce francuskiego dziennika „Liberation”: w celi siedzi na pryczy przy stoliku Henryk Wujec w kraciastej koszuli, na spacerniaku, na tle więziennych drutów Kuroń, Rulewski i ja w koszulkach z charakterystycznym napisem „Solidarność”, na innym jeszcze zdjęciu Modzelewski, Gwiazda, Michnik i Wujec oglądają telewizyjną transmisję z piłkarskiego Mundialu...

Chris Niedenthal: - Nigdy nie angażowałem się w sprawy polityczne, starałem się zachowywać dziennikarską neutralność. Korzystałem z brytyjskiego paszportu, wiedziałem, że jako obcokrajowca stale mnie inwigilują, więc często kontakty z ludźmi z „Solidarności” narażały ich na szykany, czego się najbardziej obawiałem. W tym czasie zrobiłem tak wymowne zdjęcie pod kinem „Moskwa”, że już sobie mogę, jak to się mówi w moim środowisku zawodowym, spokojnie umrzeć: „Czas apokalipsy”. Obiegło cały świat!...

Paweł Mikłasz - Ten cały stan wojenny i związane z nim internowanie miało trochę posmak operetki, śmiesznie komicznej, aczkolwiek w zupełnie kiepskim stylu. Czołgi i karabiny wystawili przeciwko ulotkom „Solidarności”, która nigdy nikogo czynnie nie zaatakowała! Jednym z powodów interwencji stały się tak zwane „bachanalia socjalistyczne” na Politechnice, podczas których pokazywano karykatury Leonida Breżniewa... Totalitaryzm wszystko traktował potwornie poważnie: w jednym łagrze siedzieli ci, którzy opowiadali dowcipy, w drugim ci, którzy słuchali ...

Paweł Mikłasz przebywał w Białoleńce w części więzienia poza głównymi pawilonami, w ośrodku pracy, gdzie rygor był luźniejszy: - Kontynuowałem swoją działalność wydawniczą i... pędziłem bimber, w czym nawet pomagał mi Wiktor Mikusiński, który wtedy na pewno nie spodziewał się, że w wolnej Polsce zostanie... komendantem stołecznej policji. Marek Nowicki, udzielający porad w dziale interwencji „Mazowska”, późniejszy prezes Fundacji Helsińskiej, sprowadził przyspieszacz do fermentacji. Wszystkie potrzebne produkty mieliśmy na miejscu: śliwki kalifornijskie z paczek otrzymywanych aż w nadmiarze, sztuczny miód dawali nam często na śniadanie, a pozostałe składniki, drożdże i mąka, pochodziły od życzliwych nam kucharzy z więziennej kuchni. Zacier robiliśmy w wiadrze, które potem zamykaliśmy pokrywą uszczelnioną ciastem. W pokrywie była umieszczona rurka z rozebranej grzałki elektrycznej. Cała ta „aparatura” stała na płycie elektrycznej, aby można było zacier podgrzewać. A gdy już „produkcja” ruszyła i zaczynał przez rurkę wyparowywać alkohol, trzeba było ją stale schładzać, aby skraplał się do podstawionego słoika. Świetnie sobie z tym radził właśnie Wiktor Łopusiński, który owijał rurkę szmatkami maczanymi w zimnej wodzie, a jakoś gotowego produktu sprawdzał organoleptycznie Karol Modzelewski... Prawie w każdej celi szła pełną parą produkcja bimbrowa. Niecierpliwość wśród kolegów była tak wielka, że w celi Janka Lityńskiego nie mogli się doczekać finału i pili zacier, który smakował im jak wino.

W sierpniu, gdy z „ekstremy” więzionej w IV pawilonie władze stanu wojennego wybrały działaczy, którzy mieli stanąć przed sądem w pokazowym procesie KOR-u, pozostałych, wśród nich Janusza Onyszkiewicza, przeniesiono na tak zwany OZ-et, oddział o złagodzonej regulaminie: - Smakosze twierdzili, że najlepszy bimber w całej Białoleńce, bo najbardziej fachowo „wypędzany”, był dziełem kolegów z „Solidarności” Rolników Indywidualnych... W naszym baraku też stało wiadro z zacierem. Podstawą skonstruowanej własnym sumptem aparatury były rurki z metalowych krzesła. Wieczorem krzesła rozbieraliśmy, aby przez całą noc aparatura pracowała, a świtem krzesła z powrotem się składało. Cała sprawa była nie do wykrycia!.. Póki nie zarządzono przeprowadzki z powodu olbrzymich szczurów, które pod podłogą czyniły tak niemilosierny harmider, że nie mogliśmy już wytrzymać. Do przenoszenia rzeczy „klawisze” skierowali regularnych więźniów, którzy przy tej okazji oczywiście odkryli naszą tajemnicę. Jak się dorwali do wiadra z zacierem, to w oka mgnienia wszystko do czysta wyjedli łyżkami. I się wtedy wydało, bo okropnie się pochorowali...

Paweł Mikłasz cieszył się wśród strażników w Białoleńce zasłużoną opinią najlepszego płatnika: - Siedząc w internie, prowadził dalek wydawnictwo. Do „Przeglądu”, którego pierwszy numer z dopiskiem „wojenny” ukazał się w styczniu 82 roku i w zasadzie zawierał informacje dotyczące sytuacji internowanych w Białoleńce, teksty pisali współtowarzysze niedoli, wśród nich Janusz Onyszkiewicz. Przekazywałem je na zewnątrz w formie grypsów, a na wolności je potajemnie drukowano i ...wracały w postaci gazetek. Przemycano mi nawet aparat fotograficzny i filmy o wysokiej czułości, produkowane specjalnie przez „Solidarność” zakładów „Fotopan” w Warszawie, cały kraj przecież jakoś funkcjonował i wszystkie tryby pracowały dla frontu walki z komuną. Słuchałem też radia skonstruowanego w pudełku od zapalek. Spore więc były moje potrzeby przemytowe. Płaciłem strażnikom przeważnie markowymi papierosami firmy „Marlboro”, naszego bimbru im nie oferowaliśmy, bo kto by rozdawał taki napój!... Niebawem doszło do zgoła absurdalnej rywalizacji wśród „klawiszów”, walczyli między sobą o prawo do „kipiszowania” mnie, rzecz jasna pozorowanego, przy powrocie z widzenia.

- Paweł był naszym głównym kolporterem - wspomina Janusz Onyszkiewicz. - Można chyba powiedzieć, że działał jak „ojciec chrzestny”, choć siedział w więzieniu, to wciąż skutecznie kierował całym interesem i wszystko dokładnie kontrolował.

Najbliższą współpracowniczką Pawła Mikłusza po drugiej stronie więziennego muru była jego żona, Joanna, inżynier elektryk, do niedawna starszy wykładowca w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarnictwa. Miała znaczący udział w przygotowaniach technicznych i redakcyjnych wszystkich ukazujących się w stanie wojennym jedenastu kolejnych numerów „Przeglądu” oraz kierowaniu ich do kolportażu: - Ogromnie to wszystko przeżywałam. Paweł uważał, że najbezpieczniej jest przekazywać pisma już wydrukowane w miejscu, gdzie zawsze jest dużo ludzi. Zaobserwowałam, że zwykle dużo ludzi jest pod Związkiem Wędkarskim mającym swoją siedzibę przy ulicy Krajowej Rady Narodowej<sup>171</sup>. Więc mimo że historycznie boję się dżdżownic, przekazywałam kolporterom świeże egzemplarze „Przeglądu” pośród kłębiącego się tłumu bab z wiadrami pełnymi robaków i wędkarzy przebiegających w tym obłym i wiecznie wijącym się „towarze”.

Jedną z dolegliwości internowania był - w opinii Pawła Mikłusza - brak możliwości zapewnienia sobie prawdziwego odosobnienia - Internowany Andrzej Zozula napisał do naczelnika podanie: „Proszę o ukaranie mnie karą izolatki, jednocześnie zobowiązuję się dokonać niezbędnego wykroczenia w ciągu trzech dni po odbyciu kary”. Izolatka naprawdę była dla nas komfortowym miejscem, przez tydzień było się wreszcie samemu! A władza dostawała szału od mnogości oryginalności naszych pomysłów. Siedziało nas przecież blisko trzystu...

Janusz w kolejnym liście z Białoleńki informuje Joannę:

„W naszej celi panuje stan wojenny. Zaczęły się bowiem mnożyć muchy, co spowodowało anarchizację życia i załamywało poczucie bezpieczeństwa - nie można było wysunąć głowy

spod koca, by nie być brutalnie zaatakowanym. Muchy ponadto wyraźnie chciały przejąć kontrolę nad żywnością. Próby negocjacji nie powiodły się. W tej sytuacji w nocy z niedzieli na poniedziałek ukonstytuowała się *Więzienna Rada Ocalenia Niewinnych ( WRON) z kapralem podchorążym Wujcem jako przewodniczącym*. (tekst wyróżniony kursywą wykreśliła cenzura więzienna)

Joanna odpowiada:

Napiszę chyba wiersz (!): „pod murami więzienia, tak blisko, a tak daleko”. Byłyśmy pod Twymi murami w sobotę. Chciałam nadać paczkę z książkami, ale administracja przyjmuje tylko żywność – bo to się szybko psuje, a książki nie!

Pisanie do pana cenzora jest dosyć trudne, za co przepraszam pana bardzo (...)

*Idzie fama, że będą zapisy na kalesony!*<sup>172</sup> Znajoma mówiła, że zaczniesz pisać o rozmowach przy kolacji pamiętnik, który zrobi rychłą furorę. Wczoraj była u znajomych i tak:

- „A skąd ma pani ten salceson?
- A to przydział socjalny mego męża.
- A ten serek topiony, dawno nie widziałam.
- A to przydział emerycki ze związku mamusi”.

I tak dalej... i tak dalej... Czy ktoś, tam daleko, z tego zgniłego ... fe, przez gardło mi nie przejdzie... uwierzyłyby w takie rozmowy towarzyskie? (...)

Co to jest grupa trzech osób: - zebranie. A czterech osób – wiec! A 10 milionów: - mała garstka ekstremistów<sup>173</sup>. (...)

Mam nadzieję, Panie Cenzorze, że nie uzna Pan niczego w moim liście za godne do skreślenia. Chyba że ten list jest momentami trochę zjadliwy, *ale sam Pan chyba rozumie stan psychiczny w stanie wojennym i w ciężkich warunkach, które zapewne Pan też odczuwa*<sup>174</sup>.

Izabella Luty: - Dostaliśmy od Janusza z Białoleki kartkę pocztową z pozdrowieniami dla „całego towarzystwa podziemnego ze Speleoklubu”. Naturalnie cenzor zamazał, aby były nieczytelne te zacytowane słowa. Uważał pewnie, że Janusz ma na myśli swoich kolegów z konspiracyjnego podziemia.

Aby uniknąć cenzorskiego ołówka, Janusz korzysta z przemycanych różnymi drogami więziennych grypsów:

„Nie jestem myślicielem politycznym i ideologiem i zawsze uważałem, że moją dziedziną jest działanie. A siedząc tu działać nie mogę, a i studia stać się mogą jałowe ze względu na brak dopływu materiałów, stagnację sytuacji politycznej, brak możliwości dyskusji wreszcie. Tak, więc tu w więzieniu z powodów wyżej podanych może mi się znudzić polityka, ale nie jako taka, a jedynie ten rodzaj, jaki tu mogę uprawiać - bierny, zbyt teoretyczny i jałowy. I wtedy może wrócę do matematyki, ale jak widać będzie to sytuacja czasowa, do momentu, gdy jakieś wydarzenie w kraju czy na świecie, dopływ nowych idei czy ludzi dadzą nową pożywkę do spekulacji. (...)

Problematyką polityczną interesuję się intensywnie przez cały czas swego dorosłego życia, choć z różną intensywnością i zawsze byłem bardzo politycznym zwierzęciem. Najbardziej pociągało mnie działanie w miejscach i czasie takim, kiedy to odwaga nie była zbyt tania. A więc tak długo, jak działalność polityczna będzie się wiązała z ryzykiem możesz na mnie na sto procent liczyć. A kiedy wszystko będzie na równej drodze i będzie się dość zwyczajnie toczyć? No, wtedy nie wiem, może nie będę miał takiej potrzeby działania, bo na działaniu jedynie po to, by osiągnąć jakąś pozycję, mało mi zależy. Summa summarum: działania politycznego nie traktuję jak szachów, którymi można ni z tego ni z owego znudzić i przerwać partię, ale jako realizację pewnego celu, którym jest osiągnięcie danej sytuacji społecznej, państwowej, międzynarodowej i itp., a nie osobistej pozycji”.

Oczywiście, wymienia też z Joanną grypsy o treści całkiem prywatnej: „Ogromnie podbudowujące jest dowiedzieć się, jak wielką wiarę pokładasz we mnie i na jakie niebezpieczeństwa byłabyś skłonna razem ze mną się zdecydować. Most encouraging!!! Nie wiem, czy

mógłbym Cię nieść przez tak długi czas. Gdybym Cię mógł załadować do plecaka, to na pewno tak, ale zwyczajnie na rękach... Bardzo chciałbym jednak spróbować. (...) Ja też mam straszny charakter! Nie będę Ci jednak pisał jak postępować ze mną, bo i tak drzę ze strachu, że wiesz to już za dobrze”.

Joanna odpowiada: „Przed chwilą spojrzałam na stojący na półce „Old Spice” i... nieraźnie mi się zrobiło. Niech to wszystko...! Jutro i pojutrze biorę urlop, zrobię zakupy, pogotuję trochę, sprzątnę w domu, a poza tym nie będę z nikim rozmawiała. Bardzo brak mi jest „sympatycznego milczenia”, mam okropny przesyt ludzi, a zarazem niechętnie bywam zupełnie sama w domu. Takie to są problemy na wolności”.

„Sobota 15.V.82 r., Kochana

Nie wiem, czy będzie okazja jutro ten list wysłać, ale piszę. Wszystko może się pokręcić, bo zupełnie inaczej niż dotychczas władze więzienne podeszły do naszej głodówki bardzo serio, wręcz nerwowo. Przede wszystkim zabrano nam spacer, choć to jawna granda, bo według regulaminu spacer można za karę jedynie skrócić do 30 minut, ale zabrać nie można! Dziś zrobiono nam następny kipisz, zabrano do depozytu całą żywność, papierosy, tytoń fajkowy i zapalki. To, że zabrali żywność, nie ma znaczenia, choć wołałbym mieć kawę, ale tytoń to już kiepsko. Nie chodzi tu o mnie, ale o Jacka i innych palaczy, którzy bez papierosów żyć nie mogą nawet w czasie głodówki. Przy okazji kipiszu zwinęli nam grzałkę i musieliśmy szybko zrobić z rezerwowych surowców nową. Działa niezłe i szybciej gotuje wodę od starej, tyle że przewód jest znacznie krótszy i trzeba robić piramidy stołków, żeby sięgnąć do lampy.

Dobiega trzecia doba głodówki. Jak dotąd czuję się bardzo dobrze. Po prostu cała tajemnica głodowania sprowadza się do przestrzegania paru zasad: dużo pić (woda z solą, na mnie dobrze robi kawa), niezbyt dużo się ruszać i nie myśleć o żarciu!! Ten ostatni punkt realizuję w sposób szalenie sympatyczny – myślę o Tobie.

Muszę Ci też podziękować za odzież i za rewaloryzację mojej kurtki. (...) Kubraczek himalajski (a raczej nepalski) istotnie bardzo się przydaje, bo „trzej ogrodnicy” są dość chłodni, a przy głodówce człowiek o wiele łatwiej marznie. (...)

Była dość ciekawa rozmowa dwu kryminalistów - obaj z Wołomina, którzy ostatnio wpadli. To był kawałek prawdziwego więziennego folkloru, niestety nie do powtórzenia między innymi dlatego, że taka relacja musiałaby się składać prawie wyłącznie z wykropkowanych słów. Duch w nich był bojowy, bo uzgodnili, że dostaną pewnie taki sam wyrok to wyjdą w tym samym czasie i już na to konto umówili się na kolejny skok, którego jeden z nich nie zdążył wykonać, bo go zwinęli za jakieś wcześniejsze włamanie.

24.V, Dziś tę głodówkę mamy za sobą. Zakończyliśmy ją po najróżniejszych dyskusjach przez okno i na wszelkie inne sposoby. Jaś Rulewski uznał, że trzeba głodówkę ciągnąć póki się da, wyłamał się więc i głoduje dalej. Reszta, tzn. Jacek, Lech Dymarski, Seweryn, Modzelewski, Gwiazda, Pietkiewicz, Palka no i nasza cela przerwaliśmy głodówkę dziś rano czyli po jedenastu dniach. Zniosłem ją bardzo dobrze. Schudłem bardzo mało, bo raptem 4,5 kg (normalnie powyżej 6 kg) i czuję się doskonale, tyle że dość słaby - ot, jak po zejściu do bazy na wyprawie wysokogórskiej.

Kochana!

Mniej więcej przed dwoma godzinami wróciliśmy ze spaceru. Jaka zmiana! Mamy spacer dwugodzinny razem z celą nr 12 (Jacek K., Janek Ru. i Lech Dym.) i można w końcu pogadać. Dziś był drugi dzień z rzędu z takimi spacerami, a ma być tak już stale. To wszystko dzięki MCK (Międzynarodowy Czerwony Krzyż), którego wizytę przeżywalimy tutaj. (...) Pierwszy wspólny spacer spędziłem na żaźartej dyskusji z Jackiem nt. taktyki ruchu. Ustaliliśmy, że się różnimy (ja osobiście uważam za niesłuszne stawianie jako cel, i to niezbyt odległy, totalnej konfrontacji z władzą), no i na tym stanęło. W łaźni miałem okazję przedyskuto-

wać sprawę z Adasiem ponownie i tu znalazłem bratnią duszę. Będziemy więc tworzyć pewnie front, a może i coś napiszemy (...)

Wczoraj zrobiliśmy na spacerunku Mundial, korzystając z nowych koszulek dostarczonych nam przez Ludkę Wujec. Zasadniczy mecz odbył się między drużyną Mazowsza (Kuroń i ja) i resztą (Rulewski, Dymarski). Mazowsze wygrało 3:1 w golach, a jeśli chodzi o straty w ludziach, to też byliśmy lepsi, bo Kuroń ostrym zagranieniem wyeliminował całkowicie Dymarskiego, więc i w tej punktacji wygraliśmy 1:0 (...)

Jakie masz plany wakacyjne? Wakacyjny wyjazd planuj na wszelki wypadek po 22 lipca. A może wyjedziemy razem? Jakbym bardzo tego chciał. Chyba żeby Ojczyzna była w Potrzebie! Wtedy trudno - bywaj dziewczę zdrowe, ojczyzna mnie woła, idę pogonić kota Czerwonemu. Ale tylko wtedy! Okropnie czekam, a tymczasem całuję Cię ekstremalnie.

Listy i kartki pocztowe adresowane: Janusz Onyszkiewicz, syn Stanisława, Ośrodek dla Internowanych ul. Ciupagi 1 blok 4/4 Białoleka Dworska albo Białoleka Camp nadchodziły zewsząd. W ramach akcji wspierającej, zorganizowanej przez Klub Wysokogórski, piszą himalaści z całego świata: „Znamy Pana z czytania w naszym czasopiśmie „Mountain Magazine”. Razem z kolegami przesyłamy życzenia. Jest Pan w naszych myślach. Anna i koledzy angielscy. (29.6.82, Lancaster)”. Pamiętał nawet o Januszu jeden z oficerów pakistańskiej armii, Sabir, który pomagał polskiej wyprawie w 1975 roku w zdobywaniu szczytów Gasherbrumów.

Z kraju pisali koledzy z jaskiń i gór, znajomi i nieznajomi. Większość ograniczała się do kilku słów: „Koledzy i znajomi przesyłają wyrazy przyjaźni i serdeczny uścisk dłoni”. Przeważnie są z widokami gór w Szwajcarii, Szwecji, Norwegii, Australii... Dziesiątki kartek nadysłały też środowiska uniwersyteckie z Liverpoolu, Manchesteru, Brønderslev w Danii, amsterdamskiego Instytutu Matematyki...

Mirosława Kropiwnicka napisała: „Wszyscy ze wzruszeniem przyjęli Twoje pozdrowienia i parę osób będzie pisać. Podobno Izunia wysłała ci karteczkę z gór, żebyś sobie popatrzył na widoczek.

Ja też wybieram się na święta w góry, tzn. przynajmniej na ścieżkę Nad Regłami, bo tam można chodzić bez zezwoleń na pobyt w strefie przygranicznej. Takie zezwolenie trzeba załatwiać w Zakopanem i wyobrażasz sobie, jakie są kolejki.

Czekamy wszyscy z niecierpliwością, kiedy wrócisz do nas i znowu pójdziesz z nami w góry i do jaskiń. Mirka

Może chcesz, żeby Ci przysłać parę ładnych tatrzańskich zdjęć?

Szanowny Panie Januszu! Przeglądając „Taterniki” i „Ostatnią Barierę” postanowiłem napisać do Pana kilka słów, choć Pan mnie nie zna (przez 2 miesiące byłem Pana sąsiadem, ale nie miałem przyjemności zobaczyć Pana na spacerze). Fakt, że był Pan i jest alpinistą dodatkowo zbliża mnie do Pana, choć w obu dziedzinach nie sięgam „pięt”... Aleksander Jeniszewski (brat Małgorzaty).

Małgorzata Jedynek córka Piotra, wysłała kartkę z Ośrodka Odosobnienia Internowanych w Gołdapi: „16.2.82 r., Janusz! Przesyłam Ci serdeczne pozdrowienia z luksusowego i pokazowego ośrodka dla internowanej płci pięknej”.

Pisali ludzie obcy, często anonimowo: „Do 16 Panów, którzy mają zamiar zrobić głodówkę! Przede wszystkim muszę się przedstawić, że jestem kobietą, która przeszła obóz koncentracyjny w czasie wojny. Ja żadną polityką się nie zajmuję, jedynie chcę panów poprosić, aby nie robili tego głupstwa z tym głodowaniem.

W tej chwili jest burza na całym świecie, ale ja przeczuwam, że burza przejdzie, kiedy przyjdzie czas uspokojenia, a Wy, moi drodzy rodacy, po przejściu głodówki zostalibyście bez zdrowia w przyszłości. Proszę bardzo, proszę nie róbcie tego, macie rodziny, dzieci, oni bardzo z tego tytułu by cierpieli, że głodujecie.

Przesyłam po kolei każdemu z Panów serdeczny uścisk dłoni. P.S. Bardzo proszę cenzora o przesłanie tej prośby do tych Panów do obozu. Dziękuję.

B. Kopczyńska z Londynu przysłała paczkę: „Panie Januszu i współtowarzysze. Wysłałam paczkę i podaję spis zawartości, a na paczce napisałam, że to jest dla byłych panów głodujących. Bardzo dobrze się złożyło, że przerwaliście ten proceder.

10 mydeł Camea, 10 szynek Ham, 20 puszek sardynek, 2 paczki herbaty po 240=480 szt., 2 puszki mleka w proszku, 4 kg cukru, 1 pudełko czek. Do picia, 5 paczek marcepanu, 10 funtów smalcu, 1 funt cafe, ½ funt rodzynek.

Żeby uzupełnić paczkę, gdzie było luźno, żeby puszki leżały ciasno, włożyłam 4 kalesony, 4 podkoszulki i ręcznik od męża mojego. Smalec to byłoby dobrze z cebulką przesmażyć do chleba. Ja jestem dobrej myśli, że wszystko się dobrze skończy i będziecie wolni no i pracować po wyjściu będziecie. Życzę wszystkiego najlepszego dla moich braci. Kocham bardzo swoją Ojczyznę. Może panów osobiście poznam kiedyś?”

W czerwcu 1982 roku Joanna, podobnie jak inni pracownicy NSZZ „Solidarność” Regionu „Mazowsze” otrzymała pismo od zarządcy komisarycznego, Jerzego Żabińskiego:

W-wa 14.VI.82 r., znak sprawy ZKU/212/82

W związku z zawieszeniem działalności związków zawodowych na czas obowiązywania stanu wojennego, na podstawie zarządzenia nr 51 Prezesa Rady Ministrów z dnia 13 grudnia 1981 r. (M.P. nr. 30, poz. 273) i brakiem możliwości powierzenia innej pracy, z dniem 31 lipca 1982 rozwiązuję z Obywatelką umowę o pracę – za uprzednim wypowiedzeniem od dnia 30 czerwca 1982 r.

Od wypowiedzenia umowy o pracę przysługuje Obywatelce w terminie 7 dni od daty doręczenia niniejszego pisma prawo wniesienia odwołania do terenowej komisji odwoławczej do spraw pracy Warszawa-Śródmieście, ul. Nowogrodzka 43.

Jednocześnie informuję, że:

- za okres wypowiedzenia zostanie Obywatelce wypłacone wynagrodzenie z jednoczesnym zwolnieniem Obywatelki z obowiązku świadczenia pracy,
- za niewykorzystany urlop wypoczynkowy za 1982 r przysługuje Obywatelce ekwiwalent pieniężny”.

Janusz się niepokoi, chce pomóc wyrzucanym z pracy, wysłała do Joanny gryps: „Kochana, czy powstaje dla zwalnianych z Regionu coś takiego jak fundusz pomocy zwalnianym z pracy? Powiem Ci dokładnie, co mnie dręczy. Otóż siedzę ja tu w tym internacie, pensje mi płacą, wydatków żadnych nie mam, a tam ludzi wyrzucają z roboty. Chciałbym w związku z tym dokonać wpłaty na ich rzecz – jednorazowo jakąś większą kwotę np. 10 tys., a od 1 VIII np. po dwa tysiące miesięcznie. Najbardziej naturalnie dla mnie byłoby wpłacanie na taki fundusz przy Uniwersytecie (ale tam zwolnień chyba jest bardzo mało, jeśli w ogóle) lub przy Regionie. Inna możliwość to stanie się subskrybentem jakiegoś dużego zakładu pracy (Ursus, Huta Warszawa)”.

Joanna znalazła się w trudnej sytuacji nie tylko z powodu utraty pracy w zlikwidowanym faktycznie „Mazowszu”: - Nie mogłam sobie miejsca znaleźć... Bardzo się wstydziłam, że nie nadaję się do konspiracyjnej roboty, nie potrafię pisać artykułów, a przed zaangażowaniem się w kolportażu powstrzymywała mnie obawa, że bezpieka szybko się zorientuje i wytropi moje kontakty, bo przecież jestem wysoka, więc wszędzie mnie widać i łatwo rozpoznać... Często chodziłam do kościoła św. Andrzeja Boboli, przy zbiegu Rakowieckiej i Komarowa, z domu miałam pięć minut spacerem. Byłam w stałym kontakcie z ojcem Opielą, który w obie strony przemyślał grypsy, dzięki niemu mogliśmy sobie z Januszem wymieniać co kilka dni listy niekontrolowane przez cenzora. Pomagałam też w „Świętym Marcinie”, przyklasztornym kościele Sióstr Franciszkanek na Starym Mieście przy Piwnej.

Przy kościele św. Marcina, który od pierwszej głódówki zbiorowej w 78 roku w obronie uwięzionych członków KOR-u stał się kościołem opozycji, ostoją dla wielu ludzi, źródłem

informacji, po wprowadzeniu stanu wojennego powstał komitet pomocy internowanym, który potem przybrał nazwę Prymasowski Komitet Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i Ich Rodzinom. Wśród pierwszych, którzy tu przyszedli zaraz po 13 grudnia 1981 byli Jacek Fedorowicz z żoną Anną: - Przypominam sobie tamtą zimę, kiedy nikt nie wiedział, co to będzie stan wojenny i czym grozi: Kołymą czy „tylko” więzieniem, zabijaniem, czy „tylko” biciem. Ale bardzo szybko w kościele udało nam się, nam ludziom dość przypadkowym, dzięki wielkiej pomocy „pospolitego ruszenia” Warszawiaków, dzięki zgodzie kościoła i wspaniałym siostron Franciszkanom, które oddały nam część swojego klasztoru, zorganizować bardzo wszechstronną pomoc, co było czymś w rodzaju samoobrony napadniętego społeczeństwa..

Ponieważ ludzie znali Jacka - zwracali się do niego z zaufaniem. Kiedy Jacka akurat nie było, zaufanie przechodziło na mnie. To było bardzo ważne, bo zgłaszano też mieszkania dla ukrywających się, samochody z benzyną na wyjazdy do obozów i więzień, samą benzynę składaną nierzadko całymi miesiącami, czasem pieniądze, oferowano fałszowanie dokumentów (to dziś brzmi kryminalnie, ale po mistrzowsku fałszowane dowody osobiste uratowały niejednego działacza „Solidarności” przed więzieniem). Komitet rozwijał się błyskawicznie. Można tu było uzyskać pomoc prawną, medyczną, rzeczową, czasem finansową, dostać informacje, zostawić informacje, a także załatwić opiekę nad dziećmi czy chorymi, których rodziny internowano.

Oczywiście do pracy wewnątrz Komitetu nie można było przyjmować każdego wprost z ulicy, więc kiedy zjawiała się Joasia i kiedy mi ją przedstawiono, uznałam, że ze swoimi referencjami, także historycznymi, jest „kąskiem” wyjątkowym. Wzięłam ją do mojej pakamerki, jedyne miejsce gdzie chwilami można było spokojnie porozmawiać i zaproponowałam, żeby u nas została, zrobiła rozeznanie, żeby zapisywała różne „ludzkie sprawy” i zbierała informacje. Została. Była chyba trochę za duża do tego małego miejsca, w dodatku wypełnianego coraz bardziej paczkami. A transporty zaczęły nadciągać już z całego świata, w tym bardzo regularnie z Londynu, gdzie zajęła się tym rodzina Joasi. Przyjeżdżał do nas z transportami brat Joasi, Krzys i wspaniała przyjaciółka rodziny, Angielka, Julie.

Joanna przychodząc do „Świętego Marcina” zajmowała się zbieraniem ważniejszych informacji: o kopalniach, pacyfikacji, sytuacji w zakładach pracy. - Przekazywałam je gdzie tylko się dało. Robiłam sobie bardzo pobieżne notatki. I z tymi notatkami oraz grypsami od Janusza, które gromadziłam, bo lubiłam je kilkakrotnie czytać, wpadłam w łapy bezpieki... Doszłam do wniosku, że niebezpiecznie to wszystko trzymać w domu i postanowiłam ukryć u mojej przyszywanej cioci, której o nic nie mogli podejrzewać i prawdopodobieństwo rewizji u niej było raczej wykluczone. Właśnie jechałam z tym całym „bagażem” do cioci i gdy czekałam na przystanku na tramwaj, zatrzymali mnie mundurowi milicjanci za ... noszenie znaczka „Solidarności”. Taka ze mnie była konspiratorka!... Od razu mnie zabrali do Pałacu Mostowskich. Oczywiście, z łatwością znaleźli cały obciążający materiał. - Wie pani, co to jest pacyfikacja? - zapytał śledczy, przeglądając moje notatki i nim zdążyłam pozbierać myśli, sam sobie odpowiedział: - Hitlerowcy robili pacyfikacje. Obraził się, gdy użyłam słowa „ubecja”: - „Ubecja” była za Stalina, teraz nie ma żadnej „ubecji”!.. W zasadzie byli nawet dość grzeczni, ale szybko wyszły na jaw ich zamiary: zaczęli mnie szantażować, że jeśli nie zgodzę się na współpracę z nimi, to Janusz za te grypsy dostanie wyrok i z Białołęki go przeniosą do regularnego więzienia. To było dla mnie ogromne przeżycie, gdy musiałam twardo powiedzieć, że nie będę współpracowała, jeśli nawet wsadzą Janusza do więzienia... Trudno - pomyślałam - ale inaczej nie mogę postąpić właśnie ze względu na Janusza, który na pewno nie chciałby zapłacenia tak haniebnej ceny za uniknięcie więzienia! Tę przymusową i wysoce nieprzyjemną dla mnie „wizytę” w Pałacu Mostowskich przyplaciłam ciężką chorobą i miesięcznym pobytem w szpitalu.

- Mimo tych dramatycznych przeżyć - konkluduje Joanna - dużo łatwiej jednak było mi przeżywać stan wojenny będąc w Polsce, niż gdybym była wtedy za granicą. I co dla mnie

bardzo ważne - zrozumiałam ból moich rodziców, którzy nie mogli dołączyć do powstańców walczącej Warszawy, i dlatego wtedy - jak opowiadał mi ojciec - wydano rozkaz polskim marynarzom, że nie wolno im w żadnym porcie opuszczać pokładu. Obawiano się, że jeśli zejść z okrętu, to już nie wrócą, uciekną do kraju, by stanąć w szeregach Powstańczej Warszawy.

Pierwszą wiadomość Joanna zdołała przesłać rodzicom przed świętami Bożego Narodzenia 1981 roku, przez kolegę, Jacka Lohmana, który miał paszport brytyjski i na wigilię wracał do Londynu: - Kiedy wznowiono regularne loty rejsowe, przekazywaliśmy listy przez najrozmaitszych znajomych, którzy wybierali się w różnych sprawach na Zachód. A jeśli akurat nikt nie leciał na Zachód, to po prostu zbierałam listy, jechałam na Okęcie i prosiłam o zabranie którąkolwiek z osób czekających w kolejce do odprawy celnej. Nigdy nie spotkałam się z odmową, nigdy też nie zdarzyło się, aby tą drogą listy nie dotarły do adresatów.

Gdy w Polsce ogłoszono stan wojenny, Krzysztof Jaraczewski zakłada organizację charytatywną „Friends of Poland”: - Z początku dary gromadziliśmy w przydomowym garażu, ale bardzo szybko tyle przybywało, że prawie cały dom był magazynem darów. Bardzo mi pomagali rodzice. Ojciec na przykład potrafił wraz z kolegą załadować do połowy trzydziestotonowego TIR-a z darami dla Polski. Przez dwa lata ściągaliśmy dary z całej Anglii i wysyłaliśmy samochodami do Komitetu Prymasowskiego przy kościele św. Marcina w Warszawie. Oczywiście, wysyłaliśmy też pieniądze dla podziemia niezbędne przecież w działalności konspiracyjnej.

- A mama – dodaje Joanna - zawsze do imiennych paczek wkładała jakiś miły drobiazg, coś osobistego, niekoniecznie niezbędnego w ciężkiej sytuacji, jaka panowała w kraju: a to piankę do kąpieli, albo szminkę lub lakier do paznokci czy puszkę ananasów. Takie wcale nieluksusowe, ale na pewno miłe prezenciki podnosiły obdarowywanych na duchu, pozwalały im zachować poczucie własnej godności, przekonywały, że nasze paczki w żadnym razie nie są jałmużną.

Z listu Jadwigi Jaraczewskiej do córki::

Joasińko Kochana

Dziś Twoje Imieniny. Wszyscy o Tobie serdecznie myślimy i całujemy gorąco. Taka się czuję bezradna, bo ani pójść do Ciebie z życzeniami, ani zatelefonować, aby usłyszeć Twój głosik, ani nawet wysłać telegramu nie można. (...)

A teraz, czego Ci życzyć? Jeżeli nadal jesteś zainteresowana Januszem, to moje wszystkie życzenia dotyczą szczęśliwej przyszłości Twojej z Januszem. Już go widzę w naszym gronie rodzinnym. I też go serdecznie całuję. Ale może z tymi całowaniami mam jeszcze poczekać? Nie wiem, w którym stadium romansu jesteście.

Z listu Andrzeja Jaraczewskiego do córki:

„Joaszków kochana

...Ja się w roli emeryta zupełnie nie czuję. Czegoś brak - tylko czego. Zajęcia jest więcej niż kiedykolwiek przedtem, programu nie można sobie na kilka dni naprzód ułożyć - takie zgubienie. Wrażenie, jakbym to już w ...życiu kiedyś przeżywał.

O Tobie dowiadujemy się, że doskonale wyglądasz - tylko żeś schudła! Powiedz przy okazji, jak to jest naprawdę, czyżby istotnie wiatr mógłby Cię ponieść? Może by Cię przy okazji w żagle „Woodki” przyniósł? Na razie to podsyłam Ci tym wiatrem całusy, może dojdą. Ta-ta”.

Przed świętami Bożego Narodzenia w 1982 roku Joanna znów przeżywa trudne chwile: -. Nie było wiadomo, czy wypuszczą internowanych, bardzo chcieliśmy ich mieć przy wigilijnych stołach... W tych dniach niepokoju nagle pojawił się przy mnie „Rzepa”. O nic nie pytał, tylko zwyczajnie znalazł się przy mnie. Jego obecność była bardzo dużym wsparciem. Nie zaangażował się w opozycję, tym bardziej więc ceniłam sobie, że ma odwagę trwać w przyjaźni dla Janusza i tę przyjaźń mimo ryzyka, okazywać. Wiem, że bezpieka wzywała go na

przesłuchania, próbowała zastraszyć, że jeśli nie zgodzi się donosić to zrobią go w... aferę szpiegowską.

Janusz Rzepecki: - Chcieli zrobić ze mnie swoją „wtykę” na Janusza. A to niby przypadkiem spotkali mnie na ulicy, a to dzwoniли, żebym do nich przyszedł albo też już bez osłonek wzywali na Rakowiecką, czy nawet przyjeżdżali do domu i zabierali na komendę na Malczewskiego. Za każdym razem było to samo: najpierw teza ideologiczna, że przecież powinienem pomóc państwu, a za chwilę groźby: Onyszkiewicz skończy w więzieniu, to i panu przy nim gwarantujemy dziesięć lat odsiadki... Nie myślę, żeby ich postępowanie wpływało z braku inteligencji, raczej było rezultatem ich mentalności, zupełnie innego sposobu myślenia. W ogóle nie rozumieli, o co w tej „solidarnościowej” historii chodzi. Na koniec kazali pisać życiorys, napisałem im niezliczoną liczbę życiorysów...

Krzysztof Śliwiński: - Dla mojej mamy największym problemem było: „żeby tylko się Krzysio nie załamał!...” I nie zawiodła się na mnie, nie poddałem się ubekom. Przesłuchiwany byłem kilkanaście razy. Zawsze trzymałem się rady, jakiej udzielił mi zaprzyjaźniony adwokat, aby na wszystkie pytania odpowiadać, że nie pamiętam. Za brak pamięci - mówił - przecież nie mogą cię skazać. Gdy więc pytali: - komu pan zanosił bibułę? odpowiadałem: nie pamiętam; - a kto panu dawał pieniądze? - odpowiadałem: - nie wiem... W końcu tak ich to zirytowało, że zapytali: - Jak pan może uczyć na uniwersytecie, skoro pan nic nie pamięta?! Odpowiedziałem, chyba nawet dość logicznie: - Robię sobie notatki... Gdy przebywałem w Jaworzu mniej straszna wydawała się odsiadka choćby trzystu lat w więzieniu niż taka wizja, że wchodząc do kawiarni w „Czytelniku” obecne tam panie z bólem i smutkiem mogłyby na mój widok skonstatować: - A jednak Krzysio się załamał i podpisał lojalkę...

W związku z pogłoskami, że z okazji PRL-owskiego święta 22 lipca władza trochę rozluźni rygory stanu wojennego i może nawet zwolni przynajmniej niektórych spośród internowanych, Janusz przemyca gryps:

„Kochana. Dziś mieliśmy znów wspólną telewizję - powtórkę finału Włochy-RFN. Przy tej okazji spotkaliśmy się razem no i większość czasu przegadaliśmy, zezując tylko kątem oka w telewizor. Adaś Michnik przy tej okazji przekazał mi pewną wiadomość: podobno stosunkowo niedawno odbyło się spotkanie Woźniaka (nowego sekretarza KW w Warszawie) z aktywnym partyjnym PAN i chyba uczelni warszawskich, na którym ów Woźniak oświadczył, że do 22 lipca będą zwolnieni z interny wszyscy absolutnie naukowcy ze środowiska warszawskiego z wyjątkiem jednego - Onyszkiewicza. Ha! Muszę mieć jak widać lepsze notowanie nawet od Geremka. Istotnie, ostatnimi czasy znów jakoś moje nazwisko zaczęło się pojawiać: „:Polityka”, „Trybuna Ludu”, nawet podobno radio Tirana poświęciło mi niemal całą audycję. Nie masz to jak stara zasada aktorek - źle czy dobrze byle dużo i z nazwiskiem!”

Paweł Miłkasz: - Z „interny” wyszedłem pod koniec października, razem z Woroszyłskim, Dymarskim i pewnym bibliotekarzem z Koszalina. Zaliczałem się do pracowników kultury, bo przed stanem wojennym miałem etat w SPATiF-ie, prowadziłem biuro konsultacyjno-informacyjne do spraw zatrudnienia. Zwolnili nas po zapowiedzi tego „aktu łaski” przez ministra kultury i sztuki, Żygulskiego, w jego półgodzinnym wystąpieniu telewizyjnym. Żartowaliśmy sobie, że za pieniądze, jakie kosztowała ta propagandowa audycja telewizyjna, moglibyśmy jeszcze posiedzieć do końca roku.

Joanna Onyszkiewicz: - Paweł natychmiast się do mnie odezwał, gdy tylko go zwolnili. Przestrzegano bowiem niepisanego zwyczaju, że uwalniani przejmowali opiekę nad żonami i narzeczonymi kolegów, którzy jeszcze nie mogli cieszyć się wolnością. Przyniósł mi gryps od Janusza, pomagał w różnych codziennych sprawach.

Andrzej Zajączkowski: - Przypadek sprawił, że spotkałem się z „Rzepą”. Obaj postanowiliśmy pojechać do Białoleki, aby z „internatu” odebrać Janusza.

Janusz Onyszkiewicz: - Miałem tę przyjemność, że to ja, wychodząc 23 grudnia 1982 roku, jako ostatni zgasilem światło w pawilonie więzienia w Białolece. Siedziałem tam rok i dziesięć dni...

\*

- Janusz aresztowany, a ty taka uśmiechnięta... - Hania Fedorowicz powitała ją w św. Marcinie trochę zdziwiona.

- A zyg, zyg, nam się udało. Jestem w ciąży! - buzia Joanny śmiała się od ucha do ucha.

Janusz: - Już w internie byłem pewien, że nasze będzie na wierzchu i nie spędzę reszty życia za kratkami, a na wolności od razu włączymy się w odbudowywanie struktury związku. Po wyjściu z Białołęki przede wszystkim zdążyłem do rodziny na Wigilię, zaraz też z Joasią zdecydowaliśmy się pobrać. Złożyliśmy wszystkie wymagane papiery, ale okazało się, że wolne terminy w Urzędzie Stanu Cywilnego Warszawa-Śródmieście są bardzo odległe. Najwcześniej proponowali maj, bo miesiąc ten uważany jest za ponoć nieszczęśliwy dla zawierania związków małżeńskich, są „przelotne jak majowy deszczyk”. My nie jesteśmy przesądni, podjęliśmy wyzwanie i ustaliliśmy termin naszego ślubu na dzień czternastego maja.

Joanna: - Byłam tak wierną dostarczycielką paczek, grypsów, wiadomości dobrych i złych, tak bardzo lojalną towarzyszką jego niedoli, że po wypuszczeniu z interny mój ”biedny” narzeczony chyba już nie miał innego wyjścia i musiał się ze mną ożenić... W przedmałżeńską podróż pojechaliśmy do Zakopanego, do domu wypoczynkowego Uniwersytetu Warszawskiego. Janusz, przywykły do żon wysportowanych, gonił mnie po górach i dolinach: na biegówkach, bez żadnego przygotowania, wciąż jeszcze zmęczoną fizycznie i psychicznie niedawnymi przeżyciami, wyciągnął aż na Ornak! Z nadmiaru wrażeń dostałam kompletnej chichrawki, ze śmiechu pokładałam się na śniegu.

Janusz: - W kilka dni po powrocie do Warszawy Joasia wysłała mnie po odbiór wyniku testu ciążowego. Przeczytałem: „pozytywny”. Byłem skonfundowany, bo nie wiedziałem, co to znaczy: jest w ciąży czy nie? Zapytałem pielęgniarkę. - Oczywiście, że jest! - uświadomiła mnie. Byłem szalenie szczęśliwy! Pierwsze moje dziecko! Miałem 45 lat. W tym niespokojnym czasie musieliśmy zdecydować: albo absolutnie poświęcamy się sprawie i w ogóle nie myślimy o zakładaniu rodziny, albo będziemy się starali się pogodzić jedno z drugim. Wybraliśmy tę drugą drogę...

Anna Bogowicz: - Joanna, od kiedy tylko ją poznałam, mówiła, że chce mieć dużo dzieci. Januszowi pewne etapy życia już się zamknęły, teraz chciał mieć rodzinę. To też jest wejście na szczyt...

17 kwietnia 1983 roku, u stóp pomnika Bohaterów Getta Warszawskiego, Roman Zimand odczytuje list otwarty jednego z przywódców Powstania w getcie, Marka Edelmana, który nie mógł wziąć udziału w rocznicowych uroczystościach, ponieważ „ze względu na osobiste bezpieczeństwo” otrzymał od władz zakaz opuszczenia swojego domu. Zaraz po Zimandzie przemówił Janusz Onyszkiewicz, jako nieoficjalny rzecznik prasowy nielegalnej „Solidarności”. Zdążył po skończeniu tylko zejść ze stopni pomnika, a już dwóch panów po cywilnemu stanowczo ujęło go pod pachy i poprowadziło prosto do służbowej nyski. Nie pozwolili pożegnać się z Joanną. - O Jezu, a nasz ślub?! - zaniepokoiła się zaskoczona aresztowaniem Janusza, który jeszcze zdążył pomachać jej na pożegnanie, a z jego warg odczytała pytanie: „Czy masz klucze do mieszkania?...” I już go znowu przy niej nie było, i znów ich wspólne życie toczyło się w listach...

Warszawa, 23.IV.83 r

Kochana moja! Właśnie gdzieś w tym czasie mija dokładnie tydzień od momentu, kiedy widzieliśmy się po raz, jak dotąd, ostatni. Jest niedzielny wieczór. W celi jest nas w sumie czterech – bardzo sympatyczna kompania. Nie będę Ci pisał, kto to, bo pewnie cenzura to wykreśli, a szkoda wielka - trudno będzie opisywać nasze życie i rozmowy, kiedy niczego bliżej nie wiesz o moich współtowarzyszach. No - może będę ich jakoś oznaczał literami np. A, B, C.

Po zatrzymaniu w ubiegłą niedzielę zawieziono mnie na Wilczą i ulokowano na tzw. dołku. Tak więc i ja w końcu poznałem co to takiego, uzupełniając tym samym dotkliwą zaległość w swoim wykształceniu. Wreszcie Ci pod tym względem dorównałem, choć przyznaję, nie było

to moim celem. Towarzystwo miałem dość ciekawe, choć całkowicie „niesolidarnościowe”. Wszyscy tam są oczywiście, całkiem niewinni. Do domu jednego z nich przyszedł koleżka po włamaniu do sklepu i przyszedł „razem z towarem”, ale on z tym nic wspólnego nie miał. Inny podszedł tylko do kolegi w restauracji i milicja zwinęła ich razem.

Po spędzeniu pełnych 48 godzin zostałem przewieziony do Pałacu Mostowskich, gdzie wręczono mi postanowienie o tymczasowym aresztowaniu, mój numer akt II Ds. 66/83. Później przewieziono mnie na Rakowiecką, gdzie znalazłem się chyba około 18,30. Moje przyjęcie trwało bardzo długo, już mi się wydawało, że o mnie zapomnieli w jakiejś przejściowej celi. Siedziałem tam ze dwie godziny, studiując napisy na ścianach - znalazłem parę znajomych nazwisk, jak np. Słowik.

To całe wchodzenie na Rakowiecką odbywa się etapowo i ma się wrażenie, że się człowiek coraz to głębiej zapada, w miarę jak zamykają się za nim kolejne drzwi.

Następnego dnia rozpocząłem zwykle życie więźnia. Trochę tu jednak inaczej niż na Białołęce. Główna różnica polega chyba jednak na tym, że tu nie sposób nawiązać jakiegokolwiek ludzkiego kontaktu z więziennym personelem, który robi wrażenie automatów.

Pisałem już Ani, że wystąpiłem do Prokuratury o zgodę na nasz ślub w więzieniu. Nie będzie to całkiem tak, jak może byśmy chcieli najbardziej, ale kameralność będzie zagwarantowana. Prosiłem o termin 14.V, tak jak w USC, ale okazało się, że to będzie musiał zrobić urząd na Mokotowie i może to zależeć od tego, kiedy oni będą mieli wolne terminy. Cholera jasna! Chciałbym tak bardzo już to mieć załatwione.

W ogóle to okropnie trudno pisać mi list do Ciebie wiedząc, że przejdzie przez tyle rąk i tyle osób będzie go skrupulatnie czytać.

Uśmiechnij się i trzymaj dzielnie. Jeszcze trochę!

T B.B. Bardzo Janusz<sup>175</sup>.

Warszawa 28.4.1983, czwartek

Kochana Moja

...Jak Ci już pisałem, po otrzymaniu pierwszej paczki żywnościowej pomyślałem sobie, że na pewno jesteś dzielna jak zawsze i że traktujesz to wszystko tak jak to zasługuje, a więc jako kolejną, dość znaczną dokuczliwość, ale nie jako dramat czy coś podobnego, ale nie miałem pewności. Teraz ją mam i nie pozostaje mi nic innego, jak być wdzięcznym Opatrzności, że mi dała taką dziewczynę.

Wraz z listem otrzymałem także długopis, papier oraz wiele znaczków i kopert. Aluzję zrozumiałem!

Dziś napiszę Ci więcej o swoim życiu, bo trochę różni się ono od tego, jakie wiodłem na 4 pawilonie, na Białołęce. Przede wszystkim nie mogłem zatrzymać swego ubrania. Musiałem zdać do magazynu część garderoby, mogłem zatrzymać jedynie sweter (golf), skarpety, buty i spodnie. Te spodnie są dość pechowe - miałem je na sobie, kiedy mnie przywieźli do Strzebielinka i teraz znów to samo. Wydano mi natomiast zwykłą więzienną koszulę, długie kalesony (niebywale nieatrakcyjne!), bluzę i czapkę. Jest to mała, okrągła czapeczka z szarego sukna. Po przyjściu do celi okazało się, że poprzedni jej użytkownik wymalował na niej dysfunkcję pułkownika. Jak to dobrze, że nie majora ani generała, bo wstyd byłoby ją nosić!

Reżim więzienny jest tu skrupulatnie przestrzegany. Około szóstej rano rozlega się dzwonek na pobudkę i wkrótce potem wnoszą do celi wystawianą na noc tzw. kostkę – wszystkie zewnętrzne ubrania ułożone precyzyjnie na stołeczku, a także buty. Trzeba się ubrać i być gotowym na apel – sprawdzenie stanu osobowego celi. Później dają śniadanie: zazwyczaj czarna, słodzona kawa zbożowa, margaryna, ser lub dżem, czasem pasztetowa lub nawet kawałek kiełbasy, ewentualnie jajko. W jakiś czas później mamy spacer. Piszę „w jakiś czas później”, bo nie mamy zegarków, a czas zgadujemy bądź z dobiegających czasem sygnałów radiowych, bądź też z położenia plam słonecznych na podłodze celi.

Chciałbym Cię prosić o załatwienie przesyłki pewnych książek „z wolności”. Chodzi mi o takie książki jak: 1. Borejsza – książka o autorytarnych rządach w krajach Europy południowej i wschodniej i ich związkach z faszyzmem włoskim (kupiłem ją w Dusznikach, pamiętasz? Stoi na 3-4 polce od dołu z prawej strony w dużym pokoju, czerwona), 2. Historia polskiej myśli społeczno ekonomicznej z okresu sprzed II wojną i z czasu jej trwania - duży pokój, 1-2 półka wyżej niż Borejsza, też z prawej strony, mała czerwona książeczka, 3. Historia doktryn społeczno-politycznych (szara książka, prawa część środkowej półki, w dużym pokoju), 4. Holtzer - Dzieje PPS.

List piszę siedząc na swym górnym łóżku. „A” leży pode mną i coś czyta, B i C grają jak zwykle w szachy. Mogą to robić całymi godzinami, a aktualny stan meczu to 84:81. Jak widzisz, rozegrali już ponad półtorej setki partii! Naciągnęli mnie na szachy, ale hmm, wygrałem z obydwojma i to po parę razy, i teraz boję się o swą dość łatwo zdobytą sławę najlepszego szachisty celi. Chyba jednak nie będę się mógł długo migać i w końcu tzw. naga prawda o poziomie mojej gry wyjdzie na jaw. Aha, prosiłem Cię o parę książek. Gdybyś mogła dołożyć jeszcze Micewskiego „W cieniu Marszałka Piłsudskiego”, byłbym wdzięczny, a także książkę Ajnenkiela „Od zamachu majowego do września” czy coś w tym rodzaju. Obie stoją tuż obok Holtzera.

Niedziela 1.5.83

Od rana w więzieniu jakiś nerwowy nastrój. Tak jakby była zwiększona obsada personalna, częściej zagląдают do cel, w czasie spaceru sprawdzają cele i itd. Ani chybi to właśnie ze względu na pierwszego i pewnie potrwa jeszcze parę dni aż przejdzie trzeci maja i wtedy wszystko wróci do normy.

Wiem, że nie lubisz pisać listów, ale wiem też, że to potrafisz, więcej, że robisz to dobrze. Bardzo bym chciał żebyś napisała mi, co u Twoich rodziców, co z Chadwickami, jak Tatuś, ale przede wszystkim jak Ty się czujesz, jak zdrowie, apetyt, co mówią lekarze, słowem - wszystko. (...) Za parę dni, 4.V są urodziny Alison. Zwykle wtedy dzwonić do Anglii, no, ale tego roku znów mi to wypadło.

4 maja 1983

Kochana Joasieńko

Chciałem znów zapuścić brodę, ale niestety nie można. Wczoraj były imieniny jednego z nas. Dostał paczkę dodatkowo i mieliśmy niezłe używanie. Ponadto dość intensywnie czytaliśmy książki, bo zapowiedziano ich zabranie pod wieczór. Otóż system wypożyczania książek jest tutaj dość dziwny i mało wygodny. Książki wydaje się raz na dwa tygodnie (4 tomy na osobę). Jeśli się jakiejś książki nie przeczyta, to nie można jej zatrzymać – trzeba albo wszystkie oddać albo wszystkie zatrzymać. Po zabraniu książek następne dostaje się za parę dni i w związku z tym jest pewien okres „bezksiążkowy”.

6 maja, piątek

W celi rozpełtała się straszna dyskusja na temat zbliżającego się kongresu PRON, a właściwie różnych posunięć władzy towarzyszących temu kongresowi. Trwała ona jeszcze po zgaszeniu światła. (...) Opinia, że jestem wręcz stworzony do siedzenia dalej się w pełni potwierdza. Zresztą moi współtowarzysze też „doskonale siedzą”. Ba, twierdzą nawet, że są wdzięczni władzy za to, że ich zamknęła, bo to i spokój i ucieczka od różnych zwalających się na głowę kłopotów, no a jeszcze laur męczeństwa na dodatek. Jak więc widzisz, pobyt w więzieniu jest realizacją pewnego modelu szczęścia, który polega na całkowitej ucieczce od wolności na rzecz spokoju i bezpieczeństwa. Tak, tak bezpieczeństwa, bo jak się tutaj siedzi, to już człowiekowi nie grozi żadne więzienie ani nic, a więc jest całkiem bezpiecznym.

Jestem z wami myślami bardzo, bardzo często. Wiem, że jesteście blisko, nie tak jak na Białolecie i to jest bardzo miłe. Oddychamy prawie tym samym powietrzem. Twój Janusz.

Nikt nie wie, jak długo jeszcze będzie trwała ta więzienna udręka, która jest już stałą formą taktyki zwalczania opozycji w PRL. Formalnie prokuratura wydała „tylko” trzymiesięczną

sankcję, co stanie się po tym terminie, nie da się przewidzieć. Bo jeśli nawet Janusz odzyska wolność, to zapewne na krótko, może na dzień, dwa... Dlatego decydują się na zawarcie małżeństwa w więzieniu. Joanna też składa do Prokuratury na ręce znanej ze swego nieprzychylnego, ogłędnie mówiąc, stosunku do „Solidarności”, p. Bardonowej, takie samo jak Janusz podanie o wydanie zezwolenia na ślub. 12 maja Prokuratura zawiadamia Joannę o udzieleniu zgody i wyznacza termin ślubu za tydzień, tj. w czwartek 19 maja. Jednocześnie pismo informuje, że w ceremonii mogą uczestniczyć obok nowożeńców tylko dwie osoby w charakterze świadków oraz jedna osoba z rodziny Janusza i jedna z rodziny Joanny.

Na wszystkie przygotowania Joannie zostaje bardzo mało czasu, dobrze, że najważniejsze sprawy wcześniej uzgodnili. Pierwszym świadkiem jest siostra Janusza: - Nie byłam zdziwiona ich decyzją. W tamtych latach nie przykładało się typowych ram do sytuacji jakie niesie życie, na wiele spraw patrzyło się inaczej niż w normalnych czasach. Uważaliśmy, że wrogom trzeba dawać wyraźnie do zrozumienia, iż mimo wszystkich represji potrafimy się normalnie zachowywać, działać i myśleć. Krótko mówiąc, że mamy ich wszystkich razem w przysłowiowej pięcie...

Drugim świadkiem zostaje Krzysztof Śliwiński, w pewnym sensie swat, któremu przecież zawdzięczają, że się poznali: - To chyba Opatrzność wyznaczyła mi taką rolę w ich życiu. Na zawsze zapamiętałem porę tego dnia, po południu, a właściwie już pod wieczór, na Szpitalnej, kiedy przedstawiając Janusza powiedziałem: - Joasiu, to jest mój przyjaciel... Nigdy właściwie nie przesiadywaliśmy razem, nie powierzałeś mi sekretów, nie zmagaliśmy się z myślami. Wobec tego rodzi się pytanie: czy w tych czasach, gdy zwykle słowa nie pasowały do niezwykłych sytuacji, to była przyjaźń czy koleżeństwo?... Właściwym określeniem naszych relacji będzie chyba, że łączyła nas głęboka znajomość w wymiarze zaufania.

Decyzję Joanny jej rodzice zaakceptowali bez zastrzeżeń, mimo przykrew świadomości, że nie będą mogli przyjechać na ślub. Na ile tylko było ich stać, starali się pomóc córce. Mama wybrała kremowy kostiumik z delikatnego lnianego żakardu i okazją przesłała do Polski. Panna młoda dostała go, gdy jeszcze spodziewali się, że będą mogli się pobrać w urzędzie stanu cywilnego.

W przeddzień zaślubin Joanna nocuje u Smolińskich, nie może spać z emocji, rano znajoma przynosi jej zamówiony bukiet konwalii z brateczkami. Skromniutki, dobrze komponuje się z jej kremowym kostiumem. Edek Głowacki z „Mazowsza” wiezie ją swoim sfatygowanym fiatem na Rakowiecką. Ania z Krzysztofem już są, jest też dwoje gości, jak to dopuszcza więzienny regulamin: ojciec Janusza i stryjka Joanny, Romana Jaraczewska, która przyjechała na tę uroczystość z Poznania. Wszystkich prowadzą do gabinetu naczelnika więzienia, gdzie ma się odbyć oczekiwana ceremonia.

Janusza o wyznaczonej dacie ślubu nikt nie uprzedził. 14 maja, gdy mijał termin ustalony jeszcze na wolności, Aleksander Małachowski, z którym dzielił celę, zauważył: - A co pan, panie Januszu, taki markotny? Odpowiedział: - Bo właśnie dziś miałem się ożenić...

W czwartek 19 maja „klawisz” otwiera drzwi celi i wskazując palcem na Janusza, bo w więzieniu jest taka zasada, że nie wymawia się nazwiska więźnia, aby w sąsiednich celach nie usłyszeli, kogo zabierają, oznajmia: - Do wyjścia! Prowadzą go pod prysznic, każą się ogolić i z depozytu wydają cywilne ubranie: sztruksowe spodnie i jasny sweterek. Czyżby mieli zwolnić? - Po co to wszystko? - pyta śledczego. - Przecież za chwilę ma pan się ożenić - odpowiada zaskoczonemu panu młodemu.

Joanna: - Tak naprawdę, to nerwy dały mi znać o sobie, gdy zobaczyłam Janusza wprowadzanego pod „opieką” śledczego do gabinetu naczelnika więzienia. Wtedy zdałam sobie sprawę, że przecież to w końcu mój ślub! Byłam tak spięta, że wręcz mnie zamurowało, gdy padło oczywiste pytanie: „czy bierzesz tego oto Janusza za męża?”. Nie wiem dlaczego przyszło mi do głowy bardzo dziwna myśl: przecież zawsze marzyłam, aby tak znać się na winach, że jeśli kiedyś kelner poda butelkę będę mogła autorytatywnie powiedzieć - Nie, to nie

jest wino, które zamawiałam... I jeszcze pomyślałam: - A co by się stało, gdybym teraz odpowiedziała „nie”?... „Odmurowało” mnie dopiero, gdy poczułam bardzo delikatnego szturchańca, to kandydat na mego męża stanowczo dopominał się mojego sakramentalnego „tak”.

Po ceremonii nie było tradycyjnego szampana. W „prezencie” dostali prawo do nadprogramowego, dokładnie jednogodzinnego widzenia w więziennej rozmównicy, w obecności śledczego, który co pewien czas wtrącał się głupimi pytaniami w rodzaju: - Co państwo dalej zamierzają? Albo: - A jak tam u pani porządki w domu?... Byli jednak szczęśliwi, że choć tę jedną godzinę mogli ze sobą spędzić przy małym stoliku, blisko siebie.

„Prezent” szybko się skończył, Janusz musiał wrócić do celi, a Joanna swoją noc poślubną spędziła na rozmowie ze stryjenką, która u niej się zatrzymała.

Rodzice Joanny zamówili u polskiego drukarza okolicznościowe bilety, które rozesłali do bliższych i dalszych znajomych: „Jadwiga i Andrzej Jaraczewscy zawiadamiają, że ślub ich córki Joanny z Januszem Onyszkiewiczem odbył się we czwartek, 19 Maja 1983 w Warszawie, w więzieniu przy ulicy Rakowieckiej 37. Planowany ślub kościelny odbędzie się później”. Przekazują też do Polski pieniądze na pomoc dla rodzin internowanych, wyrzuconych z pracy. Sumę tę mieli przeznaczoną na przyjęcie, bo tradycja przecież mówi, że to rodzice panny młodej organizują wesele, ale w tej sytuacji trudno było jakiegokolwiek przyjęcie organizować.

Na adres Janusza w Areszcie Śledczym przy ul. Rakowieckiej 37 nadeszły telegramy z całego kraju i różnych stron świata, od instytucji i osób prywatnych: „Najlepsze życzenia z okazji ślubu składa Instytut Historyczny im. Józefa Piłsudskiego”; „Wszystkiego najlepszego z okazji ślubu i nowej drogi stop gratulacje za wyniki między interną a dołkiem stop Włodek”...

21 maja Janusz wysłał list do swoich teściów. Do Londynu przychodzi ze złowieszczą pieczęcią: „OCENZUROWANO” i datownikiem Prokuratury Wojewódzkiej - Wydział Śledczy, 7 czerwca 1983 roku:

Drodzy!

No więc, wobec prawa jesteśmy już małżeństwem. Stało się to parę dni później niż jeszcze w marcu planowaliśmy i w nieco innej scenerii, ale zawsze. Jak wicie, chcieliśmy to zrobić kameralnie i bez szumu, no i okazało się to super kameralnie, choć ciągle może jeszcze nie tak jak Wasz ślub.

Została nam jednak jeszcze jedna ceremonia, mniej istotna prawnie, choć może bardziej dla nas ważna – ślub kościelny, ale z tym trzeba będzie trochę poczekać.

Mam nadzieję, że Joasia przekazała Wam opis tego wydarzenia. Pewnie to było przez telefon, bo pisanie listów nie przychodzi jej łatwo, a to, że pisuje do mnie regularnie i to przez tak długi czas, poczytuję sobie za życiowy sukces, niezwykle też miło łechce moją próżność.

Już więc pewnie wicie, że wszystko poszło gładko. No, może nie całkiem, bo kiedy prowadząca uroczystość Pani z Urzędu Stanu Cywilnego Warszawa - Mokotów zapytała się, zgodnie z formalną procedurą, czy wyrażamy wolę złożenia oświadczenia o wstąpieniu w związek małżeński, Joasia jakby się zawahała i musiałem dać jej łokciem kuksańca, który na szczęście pomógł i dalej wszystko przeszło bez zahamowań. Joasia wyrecytowała całą resztę bez zająknięcia. Cóż zresztą innego mogła biedna zrobić - myśmy byli w większości, jako że był tam mój Ojciec, Ania – moja siostra, a także Krzys Śliwiński - główny winowajca, to on nas ze sobą poznał, a Joasia mogła liczyć tylko na p. Jaraczewską. Nie miałem przyjemności poznać jej wcześniej i szkoda wielka, że nie było tam czasu, żeby trochę porozmawiać.

Jak kaže tradycja, nie widzieliśmy się pełnych 24 godzin przed ślubem, nie widziałem także sukni ślubnej Joasi. Bardzo, bardzo ładna! (Chodzi o suknie, ale Joasia też). Wielkie dzięki (za obie).

Po ślubie mogliśmy sobie jeszcze porozmawiać niemal przez godzinę, tyle że nie „sam na sam” a w obecności przedstawiciela Prokuratury.

No a później trzeba się było rozstać i wróciłem do swej celi niosąc ze sobą różne smakołyki (np. mars-barsy), którymi wieczorem raczyłem swoich towarzyszy.

*Jest nas w celi czterech*<sup>176</sup>. Żyje mi się tu dość dobrze. Wyżywienie jest proste, ale po uwzględnieniu paczek i zakupów za własne pieniądze - całkiem wystarczające. Brakuje mi tylko herbaty, której tu się nie podaje, a samemu przyrządzać nie można. Trochę także brakuje mi ruchu, bo cela jest zbyt mała na chodzenie, a dziennie mamy tylko 30 minut spaceru na świeżym powietrzu. No, ale to nie obóz internowanych, lecz zwykłe więzienie. Jest mi ono zresztą dobrze znane, tyle że z zewnątrz. Tuż bowiem obok mieściło się moje gimnazjum im. T. Reytana i często przechodziłem pod jego murami. No a teraz zwiedzam je od wewnątrz. Przejmować się nie ma czym, bo jak powiada jeden z moich towarzyszy: „zamknąć nas nie musieli, ale będą nas w końcu musieli wypuścić”, co oby nastąpiło jak najprędzej, Amen.

Będę już kończył. Chciałbym Was gorąco uściskać i prosić o przekazanie pozdrowień wszystkim znajomym, a także przesłać Wam moc najserdeczniejszych pozdrowień.

Wasz Janusz

Janusz Rzepecki: - Po ślubie pojechaliśmy z Joasią do Mięćmierza koło Kazimierza Dolnego. Byliśmy na kilku spacerach. Żartowaliśmy sobie, że jesteśmy w podróży poślubnej.

Joanna: - „Rzepa” to człowiek, który żyje przyjaźnią. Jeszcze raz dowiedział, że jest solidnym przyjacielem Janusza. Napisałam do męża z tej podróży list, w którym dokładnie opisałam, jakie miejsca odwiedzamy, co robimy. Śledczy, który naturalnie wszystkie nasze listy czytał, zapytał podczas kolejnego przesłuchania: - Czy pana to nie niepokoi, że żona wyjeżdża z innym mężczyzną? Janusz mu odpowiedział z absolutną nonszalancją: - Trzeba wiedzieć, komu można ufać. Śledczy tego nie mógł zrozumieć, bo na pewno nie wiedział, co to naprawdę znaczy, że ma się przyjaciela rodziny czy prawdziwego towarzysza broni. Zupełnie też nie rozumiał, że komukolwiek można ufać.

Joanna pisze do Janusza:

„Wygrałam dziś na loterii – otrzymałam aż cztery listy plus list do kolegium! Urządziłam sobie istną orgię czytania, zabrało mi to prawie dwie godziny. Pisałam Ci już chyba, ile otrzymuję listów z całego świata? Rodzice wysłali zawiadomienia o naszym ślubie do ogromnej ilości ludzi. Jest to strasznie fajne, bo odzyskuję kontakt z wieloma osobami. Termin porodu – jak od początku, 1 listopada. T.S.(C) kopie coraz bardziej, a teraz to zaczyna nawet tak robić, że nie tylko kopnie i cofnie nogę (czy rękę, a może głowę?), ale potrafi przytrzymać w miejscu. Poza tym kopie prawie wyłącznie po prawej stronie – czyżby on też się nie nadawał do tego systemu?”

Trochę mnie jednak spieszyłeś, że jestem idealną żoną na ciężkie czasy. No bo ja jestem jednak pełna nadziei, że czasy się odmienią i unormują, a w takim przypadku to jaką ja będę żoną?”

- Stosowaliśmy taki zabawny, rodzinny kod - Joanna objaśnia skróty używane w listach - który zapoczątkował tata Jaraczewski. Któregoś razu podpisał się pod listem do mnie „T.O.”, co znaczyło Twój Ojciec. I od tego momentu ja swoje listy do niego podpisywałam „T.C.” - tzn. Twoja córka, a do Janusza - „T. Ż.” - Twoja Żona. Dwie litery „WW” w naszej korespondencji z rodzicami oznaczały: Wasze Wnuczątko, bo jeszcze nie wiedzieliśmy, czy będzie wnuk czy wnuczka. Z tego powstało też Wuwusiątko oraz „T.S. (C)” - Twój Syn (Córka).

Wspomniany wyżej list do kolegium dotyczył niemal abstrakcyjnej i kuriozalnej sprawy, w wyniku której Janusz miał zapłacić grzywnę w wysokości piętnastu tysięcy złotych, co na owe czasy było znaczną sumą. Orzeczenie Kolegium do spraw Wykroczeń przy Naczelniku Dzielnicy Warszawa Mokotów przy ulicy. Rakowieckiej 23 brzmiało:

„Kolegium w składzie: przewodniczący – Czerwińska Danuta, członkowie Jagodzińska Janina, Komendacki Piotr, z udziałem protokolanta Łukasiewicz Ewa, po przeprowadzeniu w dniu 14. 04. 83 w Warszawie rozprawy w postępowaniu zwyczajnym w sprawie ob. Onysz-

kiewicz Janusza, syna Stanisława, ur. 18.12.1937, zam. w Warszawie, obwinionego o to, że w dniu 17.3.83 r w Warszawie, wezwany na przesłuchanie w charakterze świadka do MSW, zgłosił się mając przypięty w widocznym miejscu do swetra znaczek prawnie nieistniejącego Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność”, do noszenia którego nie uzyskał wymaganego zezwolenia - uznaje obwinionego winnym popełnienia czynu opisanego j.w., co stanowi wykroczenie z art. 61 § 2 KW i wymierza karę zasadniczą 15.000 zł grzywny, 150 zł koszty postępowania ponosi obwiniony.

Uzasadnienie: wina obwinionego Janusza Onyszkiewicza została udowodniona na podstawie zebranego materiału dowodowego - zeznań świadka Wiktora Fonfary, wyciągu z protokołu ob. Onyszkiewicza w MSW, notatki świadka Fonfary oraz wyjaśnień obwinionego. Obwiniony nie kwestionował zarzutu, że w czasie przesłuchania w MSW miał przypięty do swetra znaczek „Solidarność”.

Kolegium uznało, że znaczek, którego używał obwiniony, jest znakiem mającym na celu oznaczenie organizacji rozwiązanej, a więc prawnie nie istniejącej i na tej podstawie stwierdziło winę ob. Onyszkiewicza w zakresie naruszenia dyspozycji art. 61 § 2 KW.

Jako okoliczność łagodzącą przy wymiarze kary Kolegium przyjęło fakt, że obwiniony na żądanie przesłuchującego go pracownika MSW znaczek odpiął.

Przepadku znaczka nie orzeczono, ponieważ nie został on obwinionemu odebrany”.

8 maja Janusz Onyszkiewicz się odwołuje się od orzeczenia: „W czasie przeprowadzonego postępowania nie został przedstawiony przez oskarżenie dowód tego, że noszony przeze mnie znaczek był odznaką organizacyjną ani też że organizacja NSZZ „Solidarność” nie istnieje prawnie”.

23 maja Urząd Dzielnicowy Warszawa-Mokotów, Wydział Spraw Społeczno-Administracyjnych wysłał na adres: ob. Janusz Onyszkiewicz, zam. Areszt Śledczy, ul. Rakowiecka 37, wezwanie do wpłacenia grzywny w wysokości 15 tys. zł wraz z nawiązką 150 zł niezwłocznie w ciągu siedmiu dni.

29 maja Onyszkiewicz napisał w odpowiedzi: „W związku z otrzymanym wezwaniem do zapłacenia grzywny uprzejmie informuję, że w przewidzianym prawem terminie wniosłem odwołanie od decyzji Kolegium ds. Wykroczeń przy Naczelniku Dzielnicy Warszawa-Mokotów. Wobec tego proszę o wstrzymanie kroków egzekucyjnych do czasu rozstrzygnięcia sprawy”.

Takie iście kabaretowe, ale bardzo serio przez władze traktowane sytuacje, zdarzały się dość często nie tylko Januszowi: - Pan Aleksander Małachowski, z którym siedziałem w jednej celi, napisał prośbę o udostępnienie mu Biblii. I nawet dali mu pozwolenie. Ale tego dnia, gdy miał Biblię otrzymać i był wręcz uroczyście, duchowo nastawiony na ten moment, wrócił niemilosierdzie wściekły. - Niech pan sobie wyobrazi - opowiadał - że już, już miałem księgę dostać, gdy jakiś klawisz, przeglądając Biblię, wykrzyknął: - E, e, tu są jakieś mapy! Tego nie wolno, to jest zabronione! I nie dał mi Biblii... Albo czy normalnemu człowiekowi mogłoby przyjść do głowy, aby członkowi Związku Literatów Polskich kazać wypełniać formularze z takimi pytaniami: czy umie czytać?, czy umie pisać? czy grypsuje?... Nawet szachów nie chcieli nam wypożyczać, może uznając je za zbyt inteligentną grę. Robiliśmy figurki z mokrego chleba, jak wyschły, można było nimi grać. Z szachownicą nie było zmartwienia, rysowaliśmy cymkolwiek na blacie stołu albo na kawałku papieru.

Z panem Aleksandrem łączy się też jeszcze inna barwna scena. Gdy wprowadzili mnie do celi, w której on już był osadzony wcześniej, radośnie wykrzyknął: - Panie Januszu, jakże się cieszę, że pana tutaj widzę! Nie bardzo zrozumiałem, a widząc moje pytające spojrzenie wyjaśnił: - Bo przecież w wolnej Polsce nikt, kto nie siedział w więzieniu, nie będzie się liczył, dlatego się cieszę, że pana tu widzę...

W celi na Rakowieckiej Janusz Onyszkiewicz postanowił napisać podręcznik dla studentów: - Potrzebne mi były książki matematyczne. Odmówili, nie chcieli pozwolić nawet na

dostarczenie mi książek matematyków radzieckich. Prokurator zakomunikował z całą powagą: „Pozwolimy, jak zostaną przełożone na polski przez naszych tłumaczy przysięgłych”...

Nawet na forum międzynarodowe przenosiły się te kuriozalne przypadki. Dostałem wiadomość, że jest propozycja zgłoszenia na najbliższym zebraniu w Salzburgu mojej kandydatury do władz Międzynarodowej Unii Filozofii i Metodologii Nauk, do której należeliśmy jako logicy matematyki. Wyszumgłowałem z więzienia list do kolegów, że się zgadzam kandydować. W jakiś czas później dowiedziałem się, jak ten mój zaoczny wybór przebiegał. Rzeczywiście wpisano moją kandydaturę na listę, którą przesłano wraz z innymi materiałami wszystkim delegacjom uczestniczącym w międzynarodowym zebraniu. Radzieccy delegaci od razu się sprzeciwili, bo trafnie mnie sobie skojarzyli z „Solidarnością”. Ich przewodniczący chciał w tej sprawie spotkać się z szefem naszej delegacji.

- Ale u nas nie ma szefa - odpowiedzieli Polacy, reprezentujący niezależne środowisko matematyków.

- To w takim razie proszę do pokoju polskich delegatów partyjnych - zdecydował.

- Ale u nas nie ma partyjnych - usłyszał w odpowiedzi, co tak już go zirytowało, że zaczął krzyżeć: - A czy w Polsce jeszcze w ogóle jest partia?!...

Ponieważ nie mógł niczego wskórać, zaczął torpedować moją kandydaturę w drodze proceduralnej:

- Przecież tu nie ma doktora Onyszkiewicza, czy jest przynajmniej jego potwierdzenie, że się zgadza? - zwrócił się z pytaniem do przewodniczącego obrad, który ku jego zaskoczeniu odpowiedział zgodnie z prawdą:

-Tak, jest jego zgoda na kandydowanie wyrażona na piśmie.

I znowu nerwy mu puściły: - Ale przecież on siedzi w więzieniu! - zawołał.

- W statucie naszej organizacji nie ma żadnego zastrzeżenia, że kandydat nie może siedzieć w więzieniu - spokojnie odpowiedział przewodniczący.

Radzieccy delegaci byli do tego stopnia zdesperowani, że jeszcze raz spróbowali nie dopuścić do wybrania mnie do władz Unii. Zgłosili mianowicie wniosek formalny, aby głosować, na wszystkich kandydatów en bloc, z wyłączeniem mojej kandydatury, nad którą proponowali głosowanie odrębne. - Dlaczego tak mamy głosować? - próbował dowiedzieć się przewodniczący obrad. Szef radzieckiej delegacji wygłosił wtedy dość zabawne przemówienie, które sprowadzało się do tego, że „to jest zjazd naukowy, a nauki nie można mieszać z polityką, więc on nie może wyjawiać zebranym, dlaczego zgłosili taki wniosek”...

Wbrew niezłomnej woli delegacji radzieckiej wybrano mnie do władz Międzynarodowej Unii Filozofii i Metodologii Nauk z siedzibą w Salzburgu.

W czwartek 16 czerwca 1983 roku rozpoczyna drugą pielgrzymkę do Ojczyzny Polak Papież, Jan Paweł II. W PRL-u wciąż jeszcze obowiązują rygory, ledwie zawieszono stan wojenny. Bardzo wiele kościołów jest na pierwszej linii silnego oporu społeczeństwa przed totalitaryzmem. Całą władzę skupia w swoich rękach generał Wojciech Jaruzelski. Usiłuje wykorzystać wizytę Ojca Świętego dla propagandowych celów, chce pokazać światu, że w Polsce nastąpiła już pełna normalizacja, a stosunki na linii Państwo-Kościół układają się coraz lepiej. Rzecznik rządu Jerzy Urban stwierdza nawet, że „obie strony mówią o tych samych celach, tylko inne widzą sposoby ich realizacji”. Oczywiście, nikt w to nie wierzy, bo przecież aż nadto widoczny jest stan faktyczny. Dostojnego gościa społeczeństwo wita transparentami: „Solidarność” żyje!”, „Świat nas widzi”, „My chcemy Lecha”. Na nic zdaje się szokujący ogrom środków bezpieczeństwa na trasie pielgrzymki. W Warszawie, Poznaniu, Katowicach i Wrocławiu ulice są aż niebieskie od milicyjnych mundurów, wszędzie wozy policyjne, motocykliści, limuzyny z obstawą, oddziały antyterrorystyczne. Nie udaje się odizolowanie Papieża od narodu, tylko na błoniach wokół Jasnej Góry gromadzi się blisko 2,5 miliona pielgrzymów. Z ust Ojca świętego padają znamienne słowa: „Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, lecz duszy zabić nie mogą. Bójcie się raczej tego, który duszę i ciało może zatracić w

piekle”, a w homilii o istocie pracy ludzkiej przypomina, że „organizowanie się w swobodne związki zawodowe jest naturalnym prawem człowieka, nie zaś prawem nadanym przez kogośkolwiek”.

Jan Paweł II umacnia kraj w nadziei. Coraz głośniejsze mówi się o amnestii, ale bezpieczeństwa wciąż robi swoje. Joanna pisze do rodziców:

„Kochani moi wszyscy!

Dziś poniedziałek, rozpoczyna się ciężki tydzień, bo przed samym 22 lipca. Głowę mam pełną jednego - dziś rano przyszli do mnie państwo z ulubionego przez większość narodu urzędu: bardzo uprzejmi, zapewniający, że nie przyszli w żadnej przykłej sprawie. Chcieli mnie zaprosić do Pałacu Mostowskich na rozmowę. Chcą Janusza podłączyć pod amnestię, ale to zależy rzekomo od rozmowy ze mną. - To bynajmniej nie ma być przesłuchanie, proszę pani – mówili. Powiedziałam, że będę jutro, bo muszę się do myśli przyzwyczaić, bo nie wolno mi się denerwować. Więc oczywiście, o co im chodzi - chcą zapewnienia z mojej strony, że będę swego męża namawiała na wyjazd albo przynajmniej, żeby się teraz nie zajmował niczym ze względu na moją ciążę. Nie jestem w stanie odmówić pojechania tam, gdybym była całkowicie honorowa, to bym im powiedziała, co mogą z takimi rozmowami zrobić. Trudno, tak silna nie jestem, a ponadto ponosi mnie ciekawość. Tylko że oni biedni jednego nie wiedzą, że ze mną i tak niczego nie wskórają, a to z prostej przyczyny: umówiliśmy się z Januszem już dawno, że ja biorę na siebie decyzje - dom, dzieci, wakacje i co będzie na obiad, a on zajmuje się tym, co dotyczy „wojna czy pokój”. W tej materii jestem całkowicie podporządkowana swojemu mężowi, więc o tym będą musieli z nim pogadać. Bardzo jestem ciekawa tej rozmowy. Jutro dopiszę jeszcze jak było.

Rozmowa we wtorek była taka, jak myślałam. Macanie co do tego, czy przypadkiem byśmy nie wyjechali:, „bo, pani rozumie, życie w Polsce jest bardzo ciężkie, na Zachodzie znacznie lżej, ma pani tam rodziców”. Po tej rozmowie jednak zdecydowali się na przesłuchanie, a potem jeszcze kilka godzin spędziłam na ławeczce. Zrobiłam straszną awanturę u samej góry władz i już na przesłuchania nie będę chodziła!”

Udając się do Pałacu Mostowskich, Joanna zwraca się o pomoc do Marka Komorowskiego: - On był w Komitecie Prymasowskim, wszyscy go znali z przebojowości, potrafił dostać się do każdego więzienia, więc miałam poczucie, że w razie czego wyciągnie mnie z „Mostowa”. Byłam w czwartym miesiącu ciąży, pojawiły się komplikacje, dopiero co wyszłam po dwutygodniowym pobycie w szpitalu. Poprosiłam, aby mnie podwiózł na tę „rozmowę” i zaczął w samochodzie.

Najpierw rzeczywiście tylko rozmawiali, usiłowali przekonać do wyjazdu z kraju. Powiedziałam im: ja swoją wolność już oddałam, wyszłam za mąż i teraz mój mąż decyduje o takich sprawach. Jego zapytajcie, macie go pod ręką. Wobec takiej odpowiedzi na ich nalegania przeszli do regularnego przesłuchiwanie z protokolowaniem. Odmawiałam zeznań, nie odpowiadałam wcale na pytania albo mówiłam, że nie pamiętam. W końcu kazali mi poczekać na korytarzu, na ławeczce, mętnie tłumacząc, że mój dowód osobisty gdzieś im się zapodział, a bez dowodu przecież nie mogę wyjść z tego gmachu. Czekałam cierpliwie, ale po kilku godzinach zaczęło mi się to nie podobać. I wtedy wtargnął Marek, co graniczyło z cudem, bo do Pałacu Mostowskich nikt nie mógł sobie wejść ot tak po prostu, jak wchodzi się do urzędu. Zaniepokoiło go, że mnie tak długo trzymają, byłam przecież w zaawansowanej ciąży. Przesiedział ze mną jeszcze chyba ze dwie godziny i wreszcie mnie puścili, po sześciu godzinach jałowego siedzenia na tej ławeczce...

Marek odwiózł mnie do domu. Gdy otworzyłam drzwi, natychmiast spostrzegłam, że brzeg zasłonki w oknie jest umaczany w salaterce z wiśniami, a na moim pamiątkowym zasuszonym bukietku ślubnym nakapana jest jakaś farba. Zorientowałam się, że w tym czasie, gdy trzymali mnie w Pałacu Mostowskich, w mieszkaniu musieli być nieproszeni goście...

W cztery dni później Janusza zwalniamy z więzienia. Joanna dzieli się radosną nowiną z rodzicami:

Piątek 29 lipca. Piszę już po wszystkim. Janusz jest i jest znakomicie! Wuwuś pierwszego dnia zawstydził się i nie kopał tyle, co zwykle, ale już od wczoraj wieczór wrócił do normy.

Od razu potrzebuję rady Mamy. Otóż mój mąż pierwszego dnia wstał o szóstej rano (przyzwyczajenie więzienne), zaczął krzątać się po domu i robić porządki – przekładać, układać i przestawiać. A ja byłam tak dumna z porządku, jaki utrzymałam! Czułam się nieco urażona, szczególnie że była to nasza noc poślubna! a on już o szóstej mnie porzucił. A wczoraj wieczorem zrobiłam bardzo, jak mi się wydawało, romantyczną kolację. Przez trzy czwarte kolacji mój mąż, ignorując mnie całkowicie, uparczywie szukał w radio BBC, co jest rzecz jasna bardzo trudne, bo zagłuszają. Resztę romantycznej kolacji spędziliśmy przy towarzyszącym trzasku i buczeniu radia., a i tak niczego nie dało się usłyszeć. Mamo, ratunku! Co robić?!?!...

\*

„Okres pośredni między prawdziwym PRL-em a czasem wolności wypełniony był czymś niezwykle w dziejach realnego socjalizmu. - istniało podziemie nieustannie kwestionujące sensowność i prawomocność rządów PZPR-u. Podziemie, którego totalitarna władza nie była w stanie rozbić, co więcej - to, iż jego działacze ścigano, nie rodziło już trwogi ni paraliżu. Toteż PZPR traciła swą porażającą kontrolę nad społeczeństwem - bo ono uwolniło się od strachu, psychicznie wyprowadziło się z PRL-u, robiło swoje”<sup>177</sup>.

Janusza wracającego z Rakowieckiej Joanna powitała nie tylko eksplozją głośniejszej radości, jakiej miał prawo się spodziewać. Pokazała mu na migi, aby nie mówił o ważnych sprawach i wskazała na zacieki wokół lampy na suficie. Nie mogło być wątpliwości, że są to ślady działalności „nieznanych sprawców”, którzy na szczęście nie wykazali się profesjonalną starannością przy wykonywaniu zleconego zadania. Partactwo zdawało się niezbitnie wskazywać, że bezpieczeństwa założyła podsłuch, wykorzystując nieobecność Joanny umyślnie wezwanej do Pałacu Mostowskich. Janusz postanowił to sprawdzić w obecności zaproszonych przyjaciół i ekipy brytyjskiej telewizji.

Kamera zaczęła rejestrować delikatne odpukiwanie młotkiem tynku: pod pierwszą plamą niczego nie znaleziono, pod drugą też nic nie było, dopiero, gdy posypał się tynk spod najmniejszej, oczom zebranych ukazała się szklana rurka z umieszczonym w niej malutkim mikrofonem podsłuchowym...

Oryginalny dokument filmowy z „odkrycia” w mieszkaniu Onyszkiewiczów wyemitowała nie tylko telewizja brytyjska, ale w ślad za nią również wszystkie największe stacje telewizyjne na świecie, nie wyłączając Japonii. Prasę całego świata obieżyły też zdjęcia z tego wydarzenia. Międzynarodowa opinia publiczna miała wymowny dowód, że władza komunistyczna wprawdzie oficjalnie odwołała stan wojenny, ani jednak myśli rezygnować z represjonowania „solidarnościowej” opozycji demokratycznej.

Zdarzały się też inne zaskakujące sytuacje ze strony bezpieki, wynikające z mentalności ludzi werbowanych do pracy w tak zwanym. resorcie, a czasem może wskazujące, że policja polityczna w PRL-u nie jest aż tak bardzo niezłomnym monolitem obrońców „władzy ludowej”, za jaki chce uchodzić. Janusz Rzepecki przypomina sobie słowa jednego z „uboli”, którzy przyszedli na kolejną rewizję do mieszkania Onyszkiewicza na Polnej: - Panowie, tak się bardzo nie cieszcie, bo teraz nawet trochę zwyciężacie, ale przecież my i tak zostaniemy. A takich jak my każda władza potrzebuje.

Esbek, który eskortował Onyszkiewicza do więzienia przy Rakowieckiej, wyjawiał mu na osobności: - Często w naszym gronie się zastanawiamy, co wy z nami zrobicie, gdy kiedyś wygracie? I zaraz pokrępił się odpowiedzią, jakiej sam sobie głośno udzielił: - Policja polityczna wszędzie jest potrzebna...

- Bardziej niż nas bali się naszego słowa, naszej, jak ją nazwał Stanisław Barańczak, „papierowej rewolucji”, siły niezależnych wydawnictw zwanych z rosyjska „samizdatami” – zaświadcza z własnego doświadczenia Paweł Miłkasz, który zajmował się łamaniem, drukowaniem i kolportażem pism opozycyjnego wydawnictwa „Myśl”. - Nazwę dla naszego wydawnictwa zaproponował Janusz. Wydawaliśmy ponad 300 gazetek dla regionów od Szczecina po Zakopane oraz takie pisma jak „Poglądy” i „Akces”<sup>178</sup>.

Już z Białołęki Janusz Onyszkiewicz pisał do „Tygodnika Mazowsze”: - Przybrałem sobie pseudonim „Białołęcki”. Dość czytelny, ale nie zależało mi, aby był specjalnie trudny do rozszyfrowania. Chciałem tylko, aby moich publikacji nie odbierano w kategoriach oficjalnego stanowiska NSZZ „Solidarność”. „Poglądy” dawały mi możliwość realizacji wcześniejszego pomysłu, aby nie zasklepiać się w naszym polskim kręgu, ale możliwie najszerzej prezentować teksty na temat sytuacji w kraju pisane przez autorów z zewnątrz, a również prognozujących rozwój wydarzeń w całej Europie. W warunkach konspiracji i nieustających represji ze strony władz bardzo trudno było przestrzegać terminów wydawania pisma, był to więc periodyk, który ukazywał się nieregularnie. Materiały do kolejnych numerów, w większości publi-

kowe na Zachodzie, pozyskiwałem różnymi drogami: od znajomych, dziennikarzy, dyplomatów. Wśród stałych współpracowników miałem między innymi Leszka Balcerowicza. Skład redakcji utrzymywano w największej tajemnicy, a żeby nie dawać bezpiecze łatwego pretekstu do ścigania krajowych autorów zamieszczaliśmy, podobnie jak inne pisma wydawane poza zasięgiem cenzury, adnotację: „tekst publikujemy bez wiedzy i zgody autora”.

Pierwszy numer „Poglądów”, w którym znalazły się między innymi fragment głośnej książki Timothy Garton-Asha „Polska rewolucja - Solidarność” oraz nie podpisany przez autora artykuł „Wczesne sowieckie plany dotyczące Polski”, otwierał wstępniak przedstawiający czytelnikom koncepcję pisma:

„Polsce potrzebny jest rozwój i upowszechnienie myślenia politycznego i temu celowi chcemy służyć wydając nasze pismo. Będziemy więc zamieszczać w nim także artykuły, z którymi częściowo, a nawet całkowicie się nie zgadzamy, jeśli tylko uznamy, że warto się zapoznać z myślami w nim zawartymi. Taka ocena może wynikać np. z tego, że są one reprezentatywne dla znaczących politycznie grup, a nawet dlatego, że mogą one spełnić rolę płodnej prowokacji intelektualnej.

Ostatnie lata sprawiły, że sprawa Polski stała się nie tylko przedmiotem żywego zainteresowania za granicą, ale stała się po prostu elementem polityki międzynarodowej. Głos „Solidarności” czy głos polskiego Kościoła jest przez zagraniczne ośrodki polityczne uważnie wysłuchiwany i uwzględniany w podejmowanych działaniach. Tym samym więc nie można uprawiać myślenia politycznego, ograniczając się jedynie do spraw dziejących się między Odrą a Bugiem, a nawet nie wystarczy myślenie w kategoriach układu Polska - ZSRR. I dlatego chcielibyśmy sporo miejsca poświęcać sprawom międzynarodowym.

Dużą część pisma zajmować będą przedruki, w szczególności z pism zagranicznych. W ten sposób chcielibyśmy przyczynić się do tego, by nasze myślenie nawiązywało do kultury politycznej współczesnej Europy, a nie ześlizgiwało się w zaściankowość<sup>179</sup>.

Autorzy skupieni wokół „Poglądów” zbierali się często u Pawła Miklasza: - Nie brakowało przy takich okazjach barwnych sytuacji. Na przykład w sierpniu 1983 roku na wieczór dyskusyjny przyszli Jasio Lityński, redagujący przez cały czas podziemnego „Robotnika”, Stefan Kisielewski i oczywiście Janusz. Dyskusja tak nam się przeciągnęła, że zabrakło ...wódki. Jedynym zasobnym w gotówkę był wśród nas Kisielewski, ale nie wypadało przecież posyłać go do sklepu, a on krępował się dać nam pieniądze. Aby rozwiązać tego pata zaproponowałem, że jako gospodarz pójdę z Kisielewskim. Nieoczekiwanie musieliśmy przebić się przez „bojówkę” pikietującą najbliższy sklep alkoholowy, której przewodził Andrzej Zambrowski, syn byłego sekretarza KC PZPR. W ten sposób przypomnieliśmy sobie, że sierpień jest ogłoszonym przez Episkopat miesiącem trzeźwości...

Zaskakująca historia przytrafiła się Piotrowi Wojciechowskiemu: - 11 listopada 1983 roku bezpieka aresztowała Romana Labę, Amerykanina, alpinistę, przyjaciela Andrzeja Mroza i Janusza, przygotowującego książkę o ruchu związkowym. Uznali go za „wroga ludu” i wydali z Polski. Zaraz też przyszli po mnie, w „Mostowie” zaczęli zadręczać dopytywaniem się, kim jest dla mnie Roman Laby? Odpowiadałem, zresztą zgodnie z prawdą, że to bohater mojej książki, którego kiedyś poznałem w Paryżu. Ten ekshippis, postać niesłychanie barwna, wydał mi się tak interesujący, że „wyciąłem” go z rzeczywistości i wprowadziłem do książki, bo nie mogłem się spodziewać, że go jeszcze kiedykolwiek w życiu spotkam. Tymczasem okazało się, że przyjechał do Polski. Musiałem być na tyle przekonujący, że prześladowcy jakoś tym razem nie wpadli na pomysł przeprowadzenia rewizji w moim mieszkaniu. A może dlatego, że mieszkalem w bloku, który był niemal w całości zasiedlony przez pracowników MSW?.. W każdym razie to zaniechanie sprawiło, że uratowało się całe archiwum Romana Laby. Pewnego dnia, w samo południe, podjechały pod dom furgonetki, które przywiozły z Francji paczki żywnościowe. Przy pomocy dwóch Francuzów zniosłem wszystkie papiery

Laby do ich furgonetek. Nikt o nic się nic nie pytał. Dokumenty bezpiecznie dotarły do Paryża i Roman mógł napisać interesującą książkę „The roots of Solidarity”.

Onyszkiewicz, prowadzącego aktywne życie podziemno-naziemne, Lech Wałęsa, nieuznawany przez komunistyczne władze przewodniczący zdelegalizowanego związku, znów powołuje na stanowisko rzecznika, a w praktyce również „ministra” spraw zagranicznych Solidarności. Od tego momentu bezpieka stara się już nawet na chwilę nie spuszczać go z oka. Stale towarzyszy mu nieodłączny „ogon”, śledzą niemal każdy jego krok. Dyspozycyjna prasa reżimowa wypomina mu, że w marcu ’68 „popierał z wyzyny pracownika naukowego Uniwersytetu Warszawskiego inspiratorów i uczestników zamieszek”. Często bez jakiegokolwiek pretekstu zabierają Janusza z ulicy, przetrzymują kilkanaście godzin w areszcie i wypuszczają bez słowa wyjaśnienia. Mają za sobą PRL-owskie prawo, które im pozwala na zatrzymywanie właściwie każdego obywatela na 48 godzin bez uzasadnienia, z czego korzystają wobec wielu działaczy demokratycznej opozycji. Po Warszawie krąży wymowna anegdota: - Chcesz mieć pewność, że cię milicja natychmiast aresztuje? Pokaż się z Onyszkiewiczem, najlepiej w rocznicę wybuchu stanu wojennego...

Mimo nieustannego nękania przez reżimowe służby specjalne Joanna i Janusz starają się wykorzystać dla siebie każdą wspólną chwilę. Wybierają się w swoją zadawnioną podróż poślubną. Ogromnie sympatyczną, choć niedaleko Warszawy. Chronią się w Zakładzie dla Niewidomych w Laskach, który pod serdeczną opieką sióstr Franciszkanek stał się też miejscem wypoczynku i ukojenia, a nawet azylem wolności dla nękanym przez władze działaczy opozycji.

Według wszelkich znaków Joanna miała zostać matką w pierwszej połowie listopada: - Janusz sobie żartował, że stanowczo mi zabrania, aby dziecko przyszło na świat siódmego listopada, bo to ... rocznica rewolucji październikowej. Ja dla odmiany miałam obawy, że mogę urodzić jedenastego, w rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości. Nie chciałam tego, bo wydało mi się, że byłoby to tak symboliczne, że aż nieznośne. Na szczęście Witosława wybrała sobie na dzień urodzin wtorek ósmego listopada 1983 roku, dzień odświętny w naszej rodzinie, bo tego dnia obchodził swoje urodziny jej dziadek, a mój ojciec Andrzej Jaraczewski. Janusz akurat był na jakimś zebraniu, gdy zaalarmowano go telefonicznie, że właśnie zostaje ojcem, zdążył przyjechać w ostatniej chwili przed porodem.

Janusz: - Ogromnie chciałem, aby nam się urodziła właśnie dziewczynka. Byłem więc bardzo szczęśliwy, gdy przyszła na świat nasza córka.

Krzysztof Jaraczewski: - U nas w domu było wielkie święto z powodu powiększenia się rodziny. Tak się wszyscy cieszyliśmy, że z tej radości aż tańczyłem w ...fontannach na Trafalgar Square!. Szalałem ze szczęścia, choć panował listopadowy chłód i woda musiała być zimna, ale ja tego nie czułem. Jeden jedyny raz w życiu tak bez zapamiętania tańczyłem.

Hanka Fedorowicz: - Zaskoczyła mnie oczywiście, ale i ucieszyła propozycja, że bym została matka chrzestną Wisi. Spytałam tylko czy wiedzą co robią, bo mówi się przecież, że dziecko dziedziczy charakter po chrzestnych a właśnie dziewczynka po matce. Nie wiedzieli, ale jednak zaryzykowali. Chrzest był niezwykły. U Wizytek zebrał się tłum. To była wspaniała, radosna uroczystość, mimo że nie było ojca chrzestnego - Zbyszek Bujak jeszcze się ukrywał - w roli ojca chrzestnego *per procura* występowała Wacia, żona Zbyszka. Ludzie płakali, śmiali się a od ołtarza szliśmy pod lasem wyciągniętych rąk z palcami w literę „V”. Wtedy cały kościół, może z wyjątkiem kilku dyżurnych ubeków, kochał Zbyszka, Wacię, Janusza, Joasię i to małe, w którym wszyscy zobaczyli nadzieję.

Joanna: - Wisię nazywaliśmy z lwowska „Fafułą”, bo jako niemowlę miała takie śliczne, puciołowate policzki... Była zapowiedzią spełnienia się mojego marzenia o dużej rodzinie. Nie wiem skąd się to u mnie wzięło? Nie wydaje mi się, bym miała jakoś szczególnie rozwinięte poczucie macierzyństwa, może dlatego, że w Anglii, w tej naszej małej rodzinie zamykał się właściwie cały nasz świat: język, kultura, nasza religia?...

Któregoś dnia w początkach grudnia Janusz wrócił do domu z tajemniczą miną, sygnalizującą, że zdarzyło się coś nadzwyczajnego:

- Joasiu, czy na pewno dobrze się czujesz? - zapytał
- Tylko troszeczkę jestem zmęczona.
- To usiądź, dostałem dziś wreszcie paszport!

Poczynając od 1968 roku zawsze na kolejne podania o wydanie paszportu dostawał odpowiedzi odmowne. W sumie występował o paszport 39 razy i tyle też zgromadził decyzji Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych z jednobrzmiącym tekstem: „odmawia się obywatelowi wydania paszportu z przyczyn określonych w art. 4.ust.2 ustawy z dnia 17 czerwca 1959 r. o paszportach”...

Janusz: - Pewnie sobie wykombinowali, że jak wyjedziemy z kraju, to już na pewno nie wrócimy. Wiedzieli przecież, że mam w Anglii teściów, z którymi chcieliśmy spędzić święta Bożego Narodzenia, pokazać im naszą malutką córeczkę. Mogli przypuszczać, że w Anglii łatwo sobie znajdę pracę i wybiorę życie w spokoju i stabilizacji zamiast ustawicznego nękania, biedy i niepewności oraz więzienia, z którego dopiero co mnie wypuścili... Nie bardzo nas interesowały te motywacje, które sprawiły nieoczekiwaną łaskawość totalitarnej władzy. Oboje dobrze wiedzieliśmy, jaki jest cel naszego wyjazdu i byliśmy pewni, że wrócimy do Polski, choć szczerze mówiąc bardzo się obawialiśmy, czy na pewno zezwolą nam na wjazd do kraju.

Jadwiga Jaraczewska: - Czekaliśmy na nich z otwartymi sercami. Przecież trzy lata nie widzieliśmy naszej córki, bardzo chcieliśmy też poznać naszą malutką wnuczkę... Joasia prosiła w liście, żeby odszukać księdza Kazimierza Grzymałę, którego tak bardzo ceniła i lubiła z czasów młodości, a który przeniósł się dokądś z parafii na Ealingu. Zawsze chciała, aby to właśnie ksiądz Grzymała udzielał jej sakramentu małżeństwa. Okazało się, że naucza w polskiej ponadpodstawowej szkole z internatem, Fawley Court, w Henley, miejscowości nad Tamizą, gdzie od 1839 roku odbywają się wielkie regaty wioślarskie.

Joanna: - I właśnie tam, w przyszkolnej kaplicy, stanęłam obok Janusza i z malusienką Wiśnią na ręku przed księdzem Grzymałą, który udzielił nam ślubu kościelnego i pobłogosławił na nową drogę życia. Obecni byli tylko rodzice, mój brat i ciocia Wanda.

Janusz: - Nasz pobyt w Londynie zaplanowaliśmy na trzy tygodnie, ale wśród kolegów ze struktur „Solidarnościowych” narodził się pomysł, abym z Anglii pojechał do Szwecji do Olofa Palme. Szwecja była takim przedziwnym krajem, który bardziej się interesował Afryką Południową, Górną Woltą niż Polską. Poprzez Polskę patrzyli na Trzeci Świat. Dopiero gdy wybuchła „Solidarność”, lody zaczęły się przełamywać, choć wciąż pozostając taką porządną, laicką socjaldemokracją, nie bardzo rozumieli symbiozy związków zawodowych z religią. Byli także krytyczni wobec amerykańskiej centrali związkowej AFL/CIO, która nas finansowo wspomagała. W sumie ich stosunek do „Solidarności” był letni, bez ognia. Dopiero wprowadzenie stanu wojennego stało się dla nich absolutnie klarownym sygnałem. Wtedy dokonał się zdecydowany przełom i Olof Palme opowiadał się całkowicie za „Solidarnością”.

Do spotkania z premierem Palme szukaliśmy pewnego kamuflażu wobec władz w kraju. Oficjalnie więc pojechałem na Uniwersytet Sztokholmski z wykładem. I rzeczywiście wykład wygłosiłem, ale w gruncie rzeczy odbyłem turę politycznych rozmów, a zwieńczeniem było spotkanie z Palmem. Cały mój program sztokholmski zorganizowała pani Maria Borowska, Polka, która wyjechała do Szwecji dość dawno, miała kontakty ze szwedzką socjaldemokracją i prowadziła niesłychanie skuteczną kampanię na rzecz pozyskania szwedzkiej socjaldemokracji do tego, co się dzieje w Polsce. I to się jej powiodło. Można było ją nazwać ambasadorem polskiej opozycji, jej wpływy w kręgach polityków otwierały nam wszystkie gabinety. Dzięki znakomitej znajomości szwedzkiego była też świetną tłumaczką.

W czasie naszego pobytu w Londynie rozmawiałem z wieloma osobistościami uchodźstwa polskiego: Edwardem Raczyńskim, Kazimierzem Sabbatem, z panią Lidią Ciołkoszową. My-

śle, że osobiste kontakty z tymi wybitnymi osobami i moje rozmowy z nimi zdecydowały, że cztery lata później zwrócono się do mnie, poprzez cichociemnego, dr Jerzego Lerskiego, profesora Uniwersytetu San Francisco, z propozycją objęcia prezydentury Rzeczypospolitej Polskiej na Uchodźstwie. Godność ta była przekazywana na mocy Konstytucji Kwietniowej na zasadzie sukcesji. To był czas, kiedy już sędziwy prezydent Raczyński ustąpił, a jego następcą został Kazimierz Sabbat, ale myślano o przyszłości. Nie mogłem złożyć obietnicy objęcia tego urzędu, gdyż musiałoby to się łączyć naturalnie z opuszczeniem kraju.

Po powrocie do Warszawy Onyszkiewiczowie zamieniają dwa małe mieszkania, Janusza i Joanny, na osiemdziesięciometrowe mieszkanie przy ulicy Boya, w okolicy dobrze znanej Januszowi z jego lat młodzieńczych. Nowe mieszkanie od razu robi się dość ciasne, bo zamienia się w prawdziwe biuro prasowe „Solidarności”. Telefon się urywa, drzwi nie zamykają, Janusz zasypywany jest pytaniami, dziennikarze nie dają mu wytchnienia ani w dzień, ani w nocy, trudno by nazwać to mieszkanie miejscem prywatnym.

Joanna: - W połowie października 1984 roku, późnym wieczorem, bez zapowiedzi, bo wtedy przyjaciele nie zapowiadali swoich wizyt, odwiedził nas ksiądz Jerzy Popiełuszko. Poznałam go, gdy zaczęłam chodzić na jego słynne msze święte za ojczyznę. Od pierwszej chwili sprawił na mnie wrażenie księdza wyjątkowo ludzkiego, któremu mogłabym się zwierzyć ze wszystkiego. Nic go nie szokowało, był bardzo otwarty na ludzkie ułomności i ludzką krzywdę. I szalenie młodzieńczy. Otworzyłam mu drzwi nie bardzo przygotowana, na sobie miałam stary, trochę wymięty szlafroczek, na rękę trzymałam maleńką Wisię i byłam już w ósmym miesiącu ciąży. Zrobiło mi się więc strasznie głupio na widok powszechnie znanego i lubianego księdza, którego przecież nie tak powinno się przyjmować w progu swego domu. Zaraz następnego dnia wyszukałam kuponik materiału i pewna pani uszyła mi podomkę, aby już nigdy więcej nie powtórzyła się równie krępująca sytuacja. W tydzień później poraziła mnie wiadomość, że ksiądz Jerzego zamordowali.

Gdy wyszła na jaw zbrodnia bezpieki, zaczęłam podświadomie bać się o życie mego męża. Całe dnie i wieczory spędzał w kościele św. Stanisława Kostki, gdzie spotykał się z dziennikarzami, często bardzo późno wracał do domu, a ja nawet nie mogłam o nic zapytać, bo obowiązywały zasady konspiracji. Dokuczały mi sennie koszmary - widziałam Janusza w kałuży krwi, a mnie z dzieckiem wlekli na Syberię... Szukałam pomocy u znajomej psycholożki. - Nie ty jedna masz teraz takie problemy - powiedziała. - Przed chwilą na przykład była u mnie znajoma, znana działaczka opozycji, która śmiertelnie się boi przechodzić przez most. Wszystko bierze się stąd, że nikt nie wie, co się stanie, może będzie wojna?...

Janusz: - Po wstrząsającej śmierci księdza Jerzego Popiełuszki rozgorzała w „Solidarności” gorąca dyskusja na temat utworzenia niezależnej i jawnej struktury. Byłem zwolennikiem jej powołania i zaangażowałem się w zakładanie Obywatelskich Komitetów Przeciw Przemocy. Władze na ten nasz krok przeciwko totalitaryzmowi nie zareagowały, tyle tylko że częściej mnie zamykali w areszcie pod absurdalnym zarzutem działalności zmierzającej do wywołania niepokoju.

Pisał do rodziców Joanny:

Kochani

Wczoraj wyszedłem z więzienia po rutynowych 48 godzinach. Zaczynam się przyzwyczajać do tego, że jak tylko coś się dzieje, to mnie zabierają. Oby tak dalej, bo to krótkie, w sumie niezbyt nieprzyjemne i nieproduktywne dla władzy, bo tylko większy szum.

Joanna: - Te powtarzające się zatrzymania Janusza zawsze wiązały się z wielką bojaźnią o jego bezpieczeństwo. Ale głęboko we mnie tliła się też nadzieja, że taki stan nie będzie trwać wiecznie. Miałam poczucie uczestnictwa w czymś, co rzadko komu jest dane, że tworzymy historię... Nikt nie mógł mieć pewności, że to się szczęśliwie zakończy, ale wiedzieliśmy, że pracujemy, jeśli nie dla pokolenia naszych dzieci, to na pewno naszych wnuków.

I tak byłam w lepszym położeniu niż żony mężów, którzy wciąż ukrywali się przed poszukiwaniami służby bezpieczeństwa. Ja przynajmniej wiedziałam, w którym więzieniu Janusza trzymają, mogłam go odwiedzać, coś dla niego zrobić. A one nie mogły ani pomóc, ani nic zrobić, żyły w ogromnym napięciu, na granicy potwornego strachu, że mogą utracić swoich mężów. Podobnie jak żony i dzieci aresztowanych działaczy z małych miasteczek i wsi, do których jakakolwiek wiadomość o losach ich mężów i ojców nadchodziła z wielkim opóźnieniem.

Zbigniew Janas, podobnie jak legenda podziemnej „Solidarności”, Zbigniew Bujak, też się ukrywał. Na początku 1984 roku, gdy безпеaka wyraźnie nasiliła brutalne działania, jego żonę, Bogusię, zabrano z domu i w Pałacu Mostowskich ciężko pobito: - Wypuścili ją z uszkodzonym kręgosłupem, konieczne było leczenie szpitalne. W zapewnieniu jej pomocy lekarzy specjalistów pomagali też Joasia z Januszem. W wakacje udało mi się zorganizować konspiracyjne spotkanie z żoną. Zaszła w ciążę. Gdy zaczęła przybywać na wadze, musiała leżeć w szpitalu ze względu na schorzenie kręgosłupa, które spowodowali u niej oprawcy z „Mostowa”. Zadzwoiłem do niej do szpitala i zapytałem: - Czy mam wrócić? - Absolutnie nie, bo pomyślą, że są skuteczni – odpowiedziała. Jest jednak granica, gdy w grę wchodzi los rodziny. Uważałem, że żona nie może mieć poczucia osamotnienia w tak ważnej chwili. Więc formalnie nie ujawniłem się, o co apelowały władze, ale po prostu wsiadłem w autobus i przyjechałem do domu. Umówiliśmy się z żoną, że jeśli mnie zabiorą i każą podpisać deklarację o ujawnieniu, to odmówię, i będzie musiała się pogodzić z moim więzieniem. Dostałem wezwanie na przesłuchanie do „Mostowa”. Był grudzień 1984 rok. Poszedłem z adwokatem, Wieśkiem Johanem<sup>180</sup>.

- Musi pan podpisać – podsunęli mi jakiś papier i długopis.

- To jest wasze zmartwienie, nic nie podpiszę.

- Niech pan tylko podpisze, że pan nie chce podpisać ujawnienia – pokrętnie nalegali.

Osobno mnie przesłuchiwali, a osobno namawiali Wieśka, by mnie nakłonił do podpisania. Potem zostawili nas samych w pokoju, w którym na pewno był podsłuch. Wiesiek mówił do mnie: No wiesz, oni proponują, żebyś chociaż podpisał, że się nie ujawnisz, a rękoma pokazywał mi, bym niczego nie podpisywał. W końcu wypuścili mnie, choć niczego im nie podpisałem.

Joanna: - Wielkim problemem dla wszystkich par małżeńskich, zresztą nie tylko przecież małżeńskich, było spełnienie marzenia o potomstwie. Jak to zrobić, skoro безпеaka nie daje szans, raz po raz zabierając małżonków do więzienia? Nigdy nie wiadomo było, czy wrócą do domu za dziesięć dni, a może za dziesięć lat...? Całe nasze środowisko serdecznie cieszyła każda wiadomość, gdy którejś z zaprzyjaźnionych par udało się w pewnym sensie przechytryć władze i mogła spodziewać się dziecka. Ogromnie podobał mi się taki wspólny rodzaj odpowiedzialności. Zawsze, gdy męża aresztowano, ludzie spieszyli mi z pomocą, oferowali wykupienie tygodniowego przydziału na kartki albo też po prostu deklarowali: mam dla ciebie pół dnia, co mogę dla ciebie zrobić? To był zupełnie inny świat niż ten, który znałam na Zachodzie. Tam życie było łatwe, proste i nie wymagało takiej lojalności i tak ofiarnej pomocy. Właśnie ta lojalność, koleżeństwo i wzajemne oddanie były dla mnie wspaniałym odkryciem! Nigdy się nie bałam, że nie będę miała co jeść, bo zawsze coś się znalazło. Wystarczyło tylko powiedzieć: nie mam pieniędzy, skończyły się, a zaraz ktoś przynosił najpotrzebniejsze rzeczy dla dziecka albo dla mnie, bo wszystko było tak bardzo wspólne. Sztuka życia polegała na tym, aby w tym kompletnie nienormalnym czasie pozostać normalnym.

Z notatek Jadwigi Jaraczewskiej:

5-tego czerwca 1984

Wróciliśmy po południu z łódki, dość wypoczęci pomimo czyszczenia i malowania dna przez trzy dni. Po powrocie dużo listów i wiadomości. Wieczorem telefon od Joasi: spodziewa się drugiego dziecka!!! Data wyznaczona na 17tego stycznia. Są strasznie szczęśliwi.

W prognozach lekarze pomylili się o jeden dzień. - Siedemnastego nie wolno mi było urodzić, bo wiadomo, rocznica przekroczenia Wisły przez Armię Czerwoną. Staś, który otrzymał imię na cześć dziadka Onyszkiewicza, wytrwał i urodził się osiemnastego stycznia.

W stołecznych sferach dyplomatycznych Onyszkiewiczowie stali się bardzo popularnym małżeństwem. Na wszelkie przyjęcia bowiem przychodzili, jako jedyni, z niemowlęciem w nosidelku. „Kiedy ma się za żonę wnuczkę Piłsudskiego, można przyjść na przyjęcie dyplomatyczne z niemowlęciem w beciku, ale na inne panie zwracać męskiej uwagi nie wypada” – pisali kąśliwie w gazetach. W politycznym obyczaju Warszawy bowiem nowym zjawiskiem stało się zapraszanie na salony ambasad państw zachodnich przedstawicieli opozycji i „tych bezczelnych typów z „Solidarności”, jak ich nazywała reżimowa prasa peerelowska. Legalizowało to kontakty ciągle nielegalnej w Polsce „Solidarności” z Zachodem. Początek dał minister obrony Wielkiej Brytanii, Malcolm Rifkind, który podczas swojej oficjalnej wizyty w Polski zażądał spotkania z „Solidarnością”. W jego ślady poszły też inne wybitne osobistości odwiedzające Polskę: minister spraw zagranicznych Hiszpanii, Francisco Ordonez, zastępca sekretarza stanu USA, John Whitehead, wiceprezydent George Bush, Hans Dietrich Genscher...

Okropnie to władzę irytowało W końcu postanowiły dać „stanowczy odpór” tym nieznośnym dla reżimu praktykom.

Janusz: - Wydano poufną instrukcję, że jeśli na przyjęciu w którejkolwiek ambasadzie pojawi się ktoś z „Solidarności”, to wszyscy reprezentanci rządu PRL mają niezwłocznie je opuścić. Szybko na to znaleźliśmy bardzo prosty sposób: zjawiliśmy się mianowicie z wyjątkową punktualnością, w rezultacie skazując przeciwników na całkowity niebyt... Zdarzyło się, że do ambasady Norwegii przyszedłem nawet nieco przed czasem. Przywitałem się z gospodarzami i stanąłem na końcu szpaleru Norwegów oczekujących gości. W tym momencie wszedł ambasador radziecki. Wylewnie witał się ze wszystkimi, na końcu też ze mną, zapewne przekonany, że jestem jednym z Norwegów. Wybuchła sensacja: ambasador ZSRR ściska rzecznika podziemnej „Solidarności”!... Znaleźli się zaraz i tacy, którzy ten incydent odebrali jako sygnał wielkich zmian.

Joanna: - Chodziliśmy na przyjęcia z dziećmi z konieczności, bo karmiłam je piersią. W polskim zwyczaju takie zachowanie nie było popularne, ale byłam wychowana na Zachodzie, gdzie zabieranie maluszków na różne okazje jest zwyczajnością, one przecież nie hałasują, nie przeszkadzają w rozmowie. Przy okazji okazało się, że ludzi bardzo łączy opowiadanie o dzieciach, ociepla atmosferę z pozornej, dość sztywnej i dyplomatycznie wyważonej w bardziej rodziną i spontaniczną. Nasze postępowanie przełamywało pewien konwenans.

Janusz: - Wszystko zaczęło się od przyjazdu do Polski grupy intelektualistów amerykańskich z Susan Sontag. Zaprosili nas na spotkanie do ambasady Stanów Zjednoczonych. Na uwagę z naszej strony, że nie mamy z kim dzieci zostawić, dopowiedzieli: - Proszę przyjechać z dziećmi. I okazało się, że dzieci nie są żadną zawadą, wśród gości od razu znalazło się wielu chętnych do zabawiania ich, abyśmy mogli swobodnie włączać się do rozmów.

Władze usiłowały na wszelkie sposoby odstręczyć działaczy „Solidarności” od kontaktów z zachodnimi dyplomatami. Osławiony rzecznik prasowy rządu PRL, Jerzy Urban, sam siebie nazywający „kontr-Onyszkiewiczem”, na cotygodniowej konferencji prasowej wiosną 1987 roku oskarżył czterech opozycjonistów o szpiegostwo. Powołując się na informacje „wysoko-kwalifikowanego i wyspecjalizowanego organu państwowego” z nieukrywaną satysfakcją informował: „Docent Magdalena Sokołowska, docent Bronisław Geremek, profesor Klemens Szaniawski i docent Janusz Onyszkiewicz utrzymywali poufne kontakty z agentem amerykańskiego wywiadu Albertem Muellerem”.

Janusz: - To był kompletny niewypał polityczny! Nikt z tej czwórki nigdy nie spotkał się z Muellerem. Bo był jedynym dyplomatą, którego Amerykanie trzymali z daleka od wszelkich kontaktów z "Solidarnością". Może on rzeczywiście coś miał na sumieniu, ale na pewno nie

my. W wyniku procesu sądowego, który wytoczyliśmy Urbanowi, został on upokorzony i musiał nas przeprosić<sup>181</sup>.

Onyszkiewicz utrzymywał kontakty nie tylko z zachodnimi dyplomatami. Bardzo bliskie mu były też spotkania z czeskimi opozycjonistami, sygnatariuszami „Karty 77”. Pierwsze spotkanie umówił w wysokich Tatrach Zbigniew Janas: - Mój przyjaciel Petr Pospichal, członek „Karty 77”, znalazł mój prywatny adres w wydanej w Paryżu książce „Konspira”. Ilustrowana była między innymi listem gończym, w którym, obok Borusewicza, Frasyńniuka, Bujaka, Lisa i Szumiejki, figurowało moje zdjęcie i nazwisko wraz z podanym adresem zamieszkania. Skorzystał z tej informacji i przysłał łącznika z propozycją nawiązania współpracy. Oczywiście, natychmiast odpowiedziałem pozytywnie. Zaraz też przygotowałem kody konspiracyjne i wytyczyłem trasy przejść, na których mieliśmy się spotykać w Tatrach. Wszystko to dałem łącznikowi przed jego powrotem do Czechosłowacji. W umówionym terminie w 1985 roku wyruszyliśmy z Januszem przez Zakopane, gdzie zatrzymaliśmy się na krótko w willi „Ornak”, w której ukrywałem się przez pewien czas w stanie wojennym. Na wypadek naszego aresztowania, zgodzili się nas asekurować właściciele willi i doświadczeni przewodnicy, Hania i Zbyszek Walentowie. Kierowaliśmy się z Doliny Chochołowskiej na Grzesia i schodząc ze szlaku przeszliśmy lasem na Przełęcz Bobrowiecką. Musieliśmy zachowywać największą ostrożność ze względu na Janusza, którego twarz była przecież bardzo znana, bo jako rzecznika „Solidarności” ciągle go pokazywali w telewizji i na zdjęciach w prasie. Obawialiśmy się, by nikt go nie rozpoznał, nim dojdziemy do celu. Posuwaliśmy się bardzo wolno, wolniej niż się spodziewałem, mając za partnera tak doświadczonego zdobywcę najwyższych szczytów świata. Z pewnym zdziwieniem nawet skonstatowałem, że Janusz idzie wolniej niż ja!... On po prostu ma swój własny rytm, idzie bardzo konsekwentnie krok za krokiem, wysokość nie ma dla niego znaczenia... Nawet Bozia nam wtedy sprzyjała, było lato, piękna pogoda, leżeliśmy sobie w wysokich trawach, rozmawiając z czeskimi przyjaciółmi na temat spraw interesujących obie strony tego spotkania...

Dwa lata później Petr Pospichal został aresztowany. W jego obronie ubieraliśmy kilka tysięcy podpisów /dzięki pomocy i zaangażowaniu nieżyjącego już Marcina Przybyłowicza/. Postanowiliśmy wspólnie z Januszem zanieść te podpisy do Ambasady Czechosłowacji. Zapatrzyliśmy się na wszelki wypadek we wszystkie akcesoria przydatne w areszcie i zadzwoniliśmy do drzwi ambasady. Przez domofon przywitał nas kobiecy głos. Poinformowaliśmy, że mamy podpisy w obronie sygnatariusza Karty 77. Pani kazała poczekać. Byliśmy pewni, że zaraz po nas przyjadą. Spotkała nas niespodzianka. Po około dziesięciu minutach kobieta poprosiła, abyśmy listy wrzucili do skrzynki na korespondencję. Nie wiadomo na ile pomogła nasza akcja oraz manifestacja i głódówka we Wrocławiu, którą zorganizowała Solidarność Polsko – Czechosłowacka, ale Petr bardzo szybko jak na Czechosłowację wyszedł z więzienia i o dziwo nie miał procesu, mimo że powodem aresztowania była współpraca z Solidarnością.

Gdy jeszcze Onyszkiewicz z Janusem są na przełęczy, „na tym osobliwym, wyróżnionym punkcie krajobrazu, co świeci klinem jasnego nieba”<sup>182</sup>, w Warszawie władze znajdują nowy sposób, aby Januszowi dokuczyć, wszczynają kroki, by go pozbawić pracy na Uniwersytecie.

W lipcu Joanna pisze do rodziców:

„Koniecznie chcą wyrzucić Janusza z pracy - miało to nastąpić teraz na dniach, przed zjazdem, ale okazało się, że jest niedopatrzenie w ustawie i wyrzucić Janusza może tylko rektor, a on tego nie zrobi! Minister dostanie chyba apopleksji, jak się o tym dowie. No i na koniec zaczęli wzywać Janusza na przesłuchania w sprawie Zbyszka. Był wczoraj i teraz też poszedł na trzynastą.

Przed chwileczką przyszedł Janusz na podwórko i powiedział, że ministerstwo samo się zorientowało, że nie może go wyrzucić i zapowiedzieli rektorowi, że on będzie musiał to zrobić. Rektor tam poszedł, żeby powiedzieć, że tego nie zrobi! Trochę się boję, że władze będą tak

wściekle, że będą szukały wszelkiego sposobu, aby nam dokuczyć. Między innymi myślę, że sprawa paszportu jeszcze dalej się odsunęła.

Dopisuję w piątek:

Jeśli chodzi o Janusza to najnowsze wiadomości są takie, że ministerstwo wezwało w trybie nadzwyczajnym na dzisiejszy dzień komisję weryfikacyjną, wyłącznie w sprawie Janusza, aby sprawdzić jego kwalifikacje naukowe. Ponieważ ma tych kwalifikacji aż ponadto na stanowisko, jakie zajmuje, a w komisji mają być głównie matematycy z jego wydziału, to też wynik jest przesądzony. Ale hece!

Mamy też emocje innego typu. W zeszły piątek wpłaciliśmy zaliczkę i podpisaliśmy wstępną umowę na chałupę. Potem we wtorek zdałam prawo jazdy! Ha! Prawie dwadzieścia lat było na to potrzeba. No, siedemnaście! A teraz do chałupy. Jest to w miejscu położonym w tzw. Parku krajobrazowym między Płockiem a Włocławkiem. Tam Wisła stwarza duży zalew, a którym można przywoicie żeglować. Obok zalewu na całej jego długości jest park, to znaczy, że są tam bardzo rozległe lasy, a resztę terenu zalesiają. Oznacza to też, że choć można kupić chałupę oraz kawałek terenu bezpośrednio przylegającego do chałupy (do 1/2 hektara) to jednak nie wolno tam się budować. Sam teren (około 15 arów czyli ok. 2 acres) jest bez szczególnych piękności. Jest to równy teren, leżący w polach, które są po części zalesione bardzo młodymi laskami. O jakiś kilometr dalej są duże lasy, głównie sosnowe. Jest tam podobno mnóstwo jagód, borówek i grzybów. Na terenie mamy jakieś drzewka owocowe (podobno jabłonek, gruszę i wiśnię) oraz krzaki porzeczki i agrestu oraz truskawki...”

Jaką wartością może być posiadanie własnego domku na wsi Joanna się przekonała, gdy w czasie internowania Janusza skorzystała z takiej posiadłości Jadwigi Staniszkis w Międmierzu w Kazimierzowskim Parku Krajobrazowym: - Jadzia pożyczała znajomym klucze i można było tam jechać samemu. Byłam w marcu, spodobało mi się ogromnie! Przede wszystkim dlatego, że wspaniale odetchnęłam od niezliczonych problemów dnia powszedniego. Nawet napisałam chyba najdłuższy w życiu, prawie dziesięciostronicowy list do Janusza. Zajęło mi to kilka dni, siadywałam przed rozpalonym kominkiem, do którego musiałam co chwilę dokładać drewno, a w przerwach przy tym zajęciu spacerowałam po drogach zasypanych świeżutkim śniegiem. Tak naprawdę, to pisałam tylko o tym ogniu, o śniegu, spacerach, rozgrzewającej herbacie... Janusz czytając list, powiedział mi, że czuł atmosferę tego domu, moje odprężenie... Właśnie wtedy zapragnęłam takiego domu dla nas, dla naszej dużej w przyszłości rodziny. Janusz utwierdzał mnie w tym pragnieniu. Gdy tylko był na wolności, pomagał w poszukiwaniach, głównie rozpytując przyjaciół. W końcu Marek Nowicki dał nam znać, że jego znajomi kupili dość typowy wiejski dom w okolicach Płocka i są tam jeszcze dwie czy trzy chałupy na sprzedaż. Wybraliśmy się zaraz i właściwie od ręki wszystko sfinalizowaliśmy. Nawet Januszowi, takiemu „plecakowemu”, który każdą noc może w innym miejscu spędzać w śpiworze, jak wszyscy znajomi i rodzina o nim mówili, nagle zachciało się mieć takie jedno własne miejsce na ziemi...

Codzienne życie wciąż było pełne napięcia, bezpieczeństwa nie ustawała w nękaniu Janusza, stało się rutynową regułą, że zamykali go w areszcie nie tylko przed każdą ważną rocznicą, siedemnastym wrześniem czy jedenastym listopadem, ale też przed każdym oficjalnie w PRL-u uznawanym świętem, jak 1 Maja. Gdy tylko było możliwe Joanna chętnie korzystała z wiejskiego azylu. Tym bardziej że w maju 1987 roku spodziewała się trzeciego dziecka. Lekarz, który się nią opiekował, nawet dokładnie wyliczył, że poród nastąpi ... 1 maja! Na tę informację Janusz ostro zaprotestował: - Nie wolno, absolutnie się nie zgadzam, aby nasze dziecko urodziło się 1 maja. To nie jest jeszcze nasze święto!... I najwyraźniej Wandusia, nazywana jeszcze pieszczotliwej Dusią, posłuchała głosu ojca, bo przyszła na świat w piątek 16 maja...

Janusz: - Sprawy rodzinne nigdy nie były hamulcem mojego zaangażowania w działalność konspiracyjną i „solidarnościową”. Przed pierwszym majem, gdy żona była tuż przed rozwiązaniem, złożyli mi „wizytę” panowie z urzędu bezpieczeństwa z ostrzeżeniem, że jeśli pójdę na

demonstrację, to na pewno znowu trafię do więzienia. „Solidarność” tradycyjnie organizowała swoje demonstracje, aby nie dopuścić do zawłaszczenia przez komunistów święta pracy, związanego przecież z ideologią ruchu związkowego. Wtedy się zawahałem, ale żonie nic nie powiedziałem. Joanna sama rozwiąła moje rozterki: - Musisz iść na tę demonstrację. Nie możemy poddać się żadnemu szantażowi. I zapewniła: - Ja sobie jakoś poradzę.

Poszedłem na demonstrację. Natychmiast mnie aresztowali i wsadzili do milicyjnej suki. Po chwili słyszę, że do tej samej suki usiłują doprowadzić jakąś kobietę, która się broni i prosi głosem drżącym ze strachu, aby jej nie zabierali, a oni ją uspakajają. - Niech się pani tak nie boi, tam już siedzi wasz rzecznik, Janusz Onyszkiewicz... Gdy już dojechaliśmy na miejsce, drzwi suki się otworzyły i funkcjonariusz zakomunikował: - Najpierw prosimy pana rzecznika „Solidarności”... Z takimi to „honorami” zaprowadzili mnie jako pierwszego na „dołek”. Na szczęście tym razem zbyt długo nie trzymali, zdążyłem wyjść przed narodzinami Dusi.

Częste nieobecności taty Onyszkiewicza w domu nie mogły pozostawać niezauważone przez dzieci. Czteroletnia Wisia dopytywała się: - Tatuś jest znowu w więzieniu?.. Bardzo się cieszyła z dwuletnim bratem, gdy ojciec wracał. Już na podwórku radośnie go witali, a Staś wołał uradowany: - Tatusiu, wreszcie cię puścili do nas!..

Joanna:- Właściwie to wszystkie porody, jeśli idzie o terminy, przysparzały mi pewnych kłopotów, ale najwięcej chyba ich miałam, gdy miała się urodzić trzecia nasza córka, Danusia. Będąc w siódmym miesiącu, towarzyszyłam Januszowi w jego podróży do USA. Ten wyjazd był uzgodniony z ambasadą amerykańską, ale władze oczywiście tego nie mogły wiedzieć. Oficjalnie więc wyjechaliśmy z Polski na zaproszenie moich rodziców do Londynu, a mój udział w tej podróży miał być dobitnym dowodem naszych intencji. W Anglii dostaliśmy wizy amerykańskie. Podczas wizyty w Stanach sekretarzowałam Januszowi, uzgadniałam terminy spotkań, organizowałam przejazdy. Gospodarze ufundowali nam pewną pensję, za którą musieliśmy się utrzymać, pokryć koszty hotelu i wyżywienia. Uczyli nas w ten sposób kapitalizmu, gospodarowania pieniędzmi, co akurat dla nas nie było czymś nowym. Naturalnie, najważniejsze były sprawy polityczne. Janusz, mając świetnie opanowany język, biegły w sprawach międzynarodowych i posiadający umiejętność łatwego nawiązywania kontaktów, czuł się bardzo swobodnie, był wolny od wszelkich kompleksów polskich. Miało to duży wpływ na kształtowanie wizerunku „Solidarności” w oczach Amerykanów, a w konsekwencji też na pomyślne załatwianie szeregu niezwykle wtedy ważnych spraw dla Polski. Razem byliśmy jednak tylko do połowy września, Janusz został jeszcze dwa tygodnie, ja musiałam wracać, ponieważ linie lotnicze nie przyjmują na pokład samolotów pasażerek, które są w bardziej zaawansowanej ciąży niż 36 tygodni.

Ze złożonego z wizyty w USA sprawozdania Onyszkiewicza:

„W USA przebywałem w dniach 3-25 IX.88 r. Przez pierwsze dwa tygodnie towarzyszyła mi moja żona Joanna Onyszkiewicz. Pobyt zorganizowany został przez AFL/CIO, USIA (Amerykańska Agencja Informacji - odpowiednik naszego ministerstwa kultury) i Kongres Polonii Amerykańskiej. Głównym koordynatorem i twórcą programu był Jan Nowak-Jeziorański.

Ważniejsze punkty programu:

5.IX - obchody Dnia Pracy w Nowym Jorku (przemówienie do zebranych ok. 300 czołowych działaczy AFL/CIO, udział w wielkiej paradzie ulicami Nowego Jorku)

6.IX - spotkanie z Carlem Gershmanem, dyrektorem National Endowment for Democracy

7.IX - odczyt w National Press Club w Waszyngtonie

-spotkanie w AFL/CIO z Lane Kirklandem (był tam także obecny Andrzej Celiński)

-spotkanie w Białym Domu z Prezydentem R. Reaganem. Wzięli w nim także udział: gen. Powell (doradca Prezydenta ds. Bezpieczeństwa Państwa), rzecznik prasowy Białego Domu M. Fitzwater i moja żona.

8.IX - Spotkanie z Dyrektorem USIA Charlsem Wick

- 9.IX - rozmowy w Departamencie Stanu i w National Security Council
- 14.IX - odczyt w Council on Foreign Relation w Nowym Jorku
- 15.IX - lunch w Chicago Committee on Foreign Relation
- 16.IX - przemówienie na otwarcie w Bostonie zorganizowanej przez rodzinę Kennedych wystawy polskich wydawnictw niezależnych, spotkanie z senatorem E. Kennedym
- 17.IX - spotkanie z działaczami Kongresu Polonii Amerykańskiej w Chicago
- 21.IX - spotkanie z V-ce Prezydentem Bushem w N. Jorku i z Gubernatorem Dukakisem w Bostonie
- 22.IX - spotkanie i lunch z Johnem Whitheadem, zastępcą sekretarza Stanu
  - spotkanie na Kapitolu<sup>183</sup> z senatorami i kongresmanami
- 23.IX - wygłoszenie oświadczenia o stanie praw człowieka w Polsce przed Komisją Helsińską Kongresu USA

Poza tymi spotkaniami miałem kilka dużych spotkań z Polonią amerykańską (odczyty w Waszyngtonie, Nowym Jorku, Chicago i San Francisco), udzieliłem także kilkudziesięciu wypowiedzi i wywiadów przede wszystkim dla amerykańskich środków przekazu, odbyłem też spotkania z zespołami redakcyjnymi czołowych pism amerykańskich (Washington Post, New York Times, Wall Street Journal, Chicago Tribune, Chicago Sun Times, San Francisco Chronicle)

Celem mojej wizyty było przede wszystkim oddziaływanie na amerykańską opinię publiczną, środowiska opiniotwórcze i polityczne. W początkowym okresie chodziło o uruchomienie nacisku na polskie władze, aby nie wycofały się z zapowiadanych rozmów i wsparcie Lecha Wałęsy, w okresie późniejszym koncentrowałem się na tworzeniu przekonania, że USA musi mieć aktywną politykę wobec Polski, wychodzącą z założenia, że Stany Zjednoczone są zainteresowane w przekształcaniu się Polski w kraj politycznie stabilny (a więc demokratyczny) o zdrowej gospodarce i że dla osiągnięcia tego celu, w wypadku daleko idących zmian politycznych w Polsce warto przyspieszyć szeroką pomoc gospodarczą. Sprawy te podnosiłem też w rozmowie z v-ce Prezydentem Bushem i gubernatorem Dukakisem, efekty można znaleźć w wydanym przez nich po tych spotkaniach oficjalnych oświadczeniach.

Ze spraw ważnych, choć drobniejszych i bardziej szczegółowych dopominałem się o wzmocnienie nadajników radia „Wolna Europa” podkreślając wagę zarówno tej rozgłośni jak i „Głosu Ameryki”, starałem się też wesprzeć ideę National Endowment for Democracy i działania AFL/CIO a także Kongresu Polonii Amerykańskiej. W licznych rozmowach podnosiłem sprawę praw człowieka w Polsce co zaowocowało zaproszeniem mnie do złożenia stosownego oświadczenia przed komisją Kongresu, w obecności prasy - w tym korespondentów polskiej prasy oficjalnej”.

Janusz: - W „Trybunie Ludu” zaraz napisali, że po przyjeździe będę sądzony za zdradę państwa. Prawdopodobnie władze liczyły, że mnie wystraszy tak poważny zarzut oraz perspektywa procesu i wreszcie zostaną za granicą, spełniając ich marzenie o pozbyciu się mnie z kraju. Oczywiście, wróciłem!

Paweł Mikłasz: - A jedenastego listopada, w nieuznawaną przez komunistów rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości, poszliśmy z Onyszkiewiczami do katedry Świętego Jana na mszę w intencji Ojczyzny.

Joanna: - Podczas nabożeństwa dostałam bóle porodowych.

Paweł Mikłasz: - Cały czas mieliśmy problem, czy Joanna urodzi w czasie tej mszy, czy jeszcze nie...? Gdyby powiła dziecko tego dnia, rzecz jasna byłby to absolutny przypadek, ale przecież władza i różni „życzliwi” nie omieszkaliby zaraz trąbić wszem i wobec o „jawnej manipulacji” rzecznika „Solidarności”...

W pośpiechu, prosto z kościoła Joanna jedzie do szpitala. - Danusię urodziłam o pierwszej w nocy, a więc już dwunastego listopada!... I wielkie szczęście, bo byłoby już trochę za dużo symbolicznych dat w naszej rodzinie. O podawanie jej do chrztu zwróciłam się do Danuty

Wałęsowej, dla nas uosabiającej najlepsze cechy matki-Polki, twardej jak skała, prawdziwej opoki całej rodziny Wałęsów w najtrudniejszych latach, a jednocześnie niezwykle miłej i pełnej ciepła kobiety. Przyjęła zaproszenie i mimo swoich licznych obowiązków przyjechała do Warszawy, podawała Danusię do chrztu razem z moim bratem.

Janusz: - Może to zabrzmie dziś patetycznie, ale wówczas wszystko było ważne, co nas cementowało, również rodzinne uroczystości. Z Danusią Wałęsową nigdy nie przeszliśmy na mówienie sobie po imieniu, a do Lecha mieliśmy pewien dystans, ale on nam zaimponował swoją nieustępliwą postawą podczas stanu wojennego, działaliśmy też przecież razem wobec wspólnego wroga, nieważne były sprawy światopoglądowe, liczyły się tylko kwestie ustrojowe, wszyscy dążyliśmy do systemu demokratycznego i wolnych wyborów. W rezultacie więc nawet nasze dzieci wniosły skromny wkład w dążenia do suwerennej Polski.

Joanna: - Mąż starał się zawsze mieć czas dla dzieci. Wychodził nawet z tajnych zebrań „Solidarności”, aby zdążyć do domu na siódmą wieczorem, na ich kąpiel. To jego powinność, którą sam sobie narzucił, gdy tylko przyszła na świat Wisia...

Janusz: - To się stało moją specjalnością od narodzin pierwszego dziecka, ponieważ Joasia jakby bała się kruchości maleńkiego człowieczka.

Joanna: - Pewnego dnia, kilka minut po siódmej, przyszedł do nas Wiktor Kulerski<sup>184</sup>, miał sprawę, którą chciał omówić z Januszem.

- O tej porze – poinformowałam go – Janusz ma swój salon towarzyski w łazience.  
- Teraz wreszcie rozumiem, dlaczego on z naszych zebrań zawsze wychodzi przed siódmą!  
- wykrzyknął, kiedy zobaczył męża przy wannie pełnej naszych kąpiących się dzieci.

Innym razem odwiedził nas Tadeusz Kłopotowski. Powiedziałam, zgodnie przecież z prawdą, że Janusz jest w łazience i wskazałam drogę zachęcając, by tam się udał.

- Nie, nie będę mu przeszkadzał - wymawiał się nieco skonfundowany propozycją, która zapewne wydała mu się zanadto intymna.

Nalegałam jednak i w końcu go zaprowadziłam do łazienki.

- Ach, to pan dzieci kąpie!.. - skonstatował z ulgą.

Zapewne spodziewał się w najlepszym razie, że Janusz, wzorem królów francuskich, przyjmuje gości nie przerywając sobie ablucji...

Janina Paradowska: - Pod koniec lat osiemdziesiątych pracowałam w „Życiu Warszawy” przy ulicy Polnej. Wtedy jeszcze znałam Janusza Onyszkiewicza tylko z ekranu telewizyjnego i zdjęć publikowanych w prasie. Ilekroć przejeżdżałam w okolicach „supersamu”, widziałam go zawsze z wózkiem i wianuszkami dzieci. Ogromnie się dziwiłam, skąd on bierze czas na spacer z swoimi pociechami...<sup>185</sup>

\*

W poniedziałek wieczorem 28 listopada 1988 roku Janusz Onyszkiewicz zadzwonił do Andrzeja Bobera z prośbą o spotkanie. Następnego dnia przedstawił mu propozycję:

- Jutro ma się odbyć w studio telewizyjnym spotkanie Miodowicz - Wałęsa. Chciałbym, aby pan zechciał nam pomóc w fachowym przygotowaniu Lecha do tej rozmowy przed kamerami.

- Zgoda – odpowiedział Bober.

Onyszkiewicz, stróż i kreator wizerunku „Solidarności”, nie lękający się wysokości ani głębin, najzwyczajniej bał się tego pojedynku. - Odbierałem wiele telefonów od bardzo poważnych osób, bym nie dopuścił do tego pojedynku. Obawiano się, że Wałęsa da się łatwo sprowokować Miodowiczowi, a gdy się zdenerwuje to przepadnie w ocenie widzów! Wiadomo przecież, że kto się w telewizji złości, nie ma co liczyć na sympatię widowni i z kretesem przegrywa. Jednocześnie jednak zdawaliśmy sobie sprawę jak ogromną szansę daje nam ta audycja, którą będą z uwagą śledzić miliony Polaków! Dlatego zwróciliśmy się do zawodowca – redaktora Andrzeja Bobera. Chcieliśmy też, aby Wałęsę przygotował człowiek z zewnątrz, wobec którego nie będzie miał poczucia, że mówi do kogoś, kto wszystkie aktualne sprawy doskonale zna i słyszał już o nich dziesiątki razy, chodziło nam o wywołanie wrażenia świeżości w wizerunku mówcy. Wałęsa miał tu bardzo dobrego nosa...

W środę 30 listopada 1988 roku w studiu TVP reżim spotkał się z opozycją. Po raz pierwszy od siedmiu lat Wałęsa wystąpił w telewizji. Na scenę polityczną powrócił w świetle jupiterów, w stylu godnym zwycięzcy. Pojedynek oglądało trzy czwarte dorosłych Polaków. Większą widownię miała tylko pierwsza wizyta papieża Polaka, Jana Pawła II w ojczyźnie. Lider nieuznawanej oficjalnie opozycji przy otwartej kurtynie zmiażdżył przeciwnika, ugruntował swą charyzmę, autorytet i popularność, tchnął nadzieję w serca milionów ludzi.

Niespełna dwa miesiące później, 16 stycznia 1989 roku, w drugiej części obrad plenum KC PZPR, po burzliwej debacie przyjęto uchwałę o legalizacji NSZZ „Solidarność”. Wreszcie nastąpił moment godny słów poety: „Lawina bieg od tego zmienia/ po jakich toczy się kamieniach...”<sup>186</sup> Szóstego lutego w Pałacu Namiestnikowskim rozpoczynają się obrady „Okrągłego Stołu”. Rzecznikiem strony „solidarnościowej” jest Janusz Onyszkiewicz: - Przynajmniej dwa razy dziennie prowadziłem dla dziennikarzy z całego świata konferencje prasowe, które często przeciągały się do kilku godzin, a wieczorne niemal z reguły kończyły się późną nocą. Dzieci widywałem tylko śpiące w łóżkach. Doszło do tego, że dzwoniłem do domu i uprzedzałem, kiedy będą mogły mnie zobaczyć w telewizji, bo nie chciałem, aby całkiem zapomniały, jak wygląda ich ojciec...

Joanna: - W domu zrobiło się spokojniej, dziennikarze przestali nas tak nachalnie nachodzić, przenieśli się tam, gdzie działa się historia. Ale mój mąż i ojciec czworga drobnych dzieci z chwilą rozpoczęcia „Okrągłego Stołu” zniknął nam całkowicie. Telefonów komórkowych w ogóle nie było, a zwykle bardzo kiepsko działały, trudno było się do kogoś dozwonić nawet w obrębie tego samego miasta, zawsze przed wybraniem numeru długo się czekało na sygnał ze słuchawką przy uchu. Zwykle więc tylko telewizja była dla nas źródłem informacji, o której godzinie nasz mąż i ojciec wróci do domu, po prostu oglądaliśmy transmisję z konferencji prasowych, a gdy się kończyły, już wiedzieliśmy, że niebawem możemy się go spodziewać... W tym czasie dotknęła nas śmierć ojca Janusza<sup>187</sup>. Dla męża było to tym bardziej bolesne, że widział się z nim w szpitalu ledwie trzy razy, cały czas siedział na tym „Okrągłym Stole”. Wszystko u nas musiało być temu podporządkowane, to było całe nasze życie. Janusz niewiele na ten temat mówił, ale i tak polityka zaczęła wkraczać w domową codzienność i naszą prywatność. Poczucie ciągłości „Okrągłego Stołu” było tak absolutne, że malutki Staś powiedział któregoś razu do ojca: - Kiedy dorosnę, też będę chodził z tobą na „Okrągły Stół”...

Janusz: - Po pewnym czasie starałem się tak organizować konferencje, bym mógł powrócić do mojego obowiązku codziennego kąpania dzieci. To zajęcie było dla mnie chwilą prawdziwej radości i relaksu, dawało mi haust normalnego życia.

W tej politycznej gorączce, wiosną, Onyszkiewiczowie decydują się na kupno większego mieszkania. Wyszukali 140 metrowe, też na Mokotowie, ale był kłopot, bo to właściwie jedno spółdzielcze mieszkanie zajmowały aż trzy obce dla siebie rodziny. Zawarli umowę, że kupią im nowe mieszkania, aby mogli się wyprowadzić. Sprzedają zatem swoje mieszkanie przy ulicy Boya... i w tym momencie wszystko zaczyna się walić, bo przecież nie mają się gdzie podziąć, to, które kupują jeszcze nie jest wolne, nie mogą się tam wprowadzić. Kłopoty spadają przede wszystkim na barki Joanny, wiadomo bowiem od początku ich małżeństwa, że jest podział obowiązków: ona zajmuje się dziećmi i domem, a on ma na głowie sprawy państwowe typu wojna czy pokój...

Janusz: - To był najbardziej szalony okres w naszym życiu: malutkie dzieci, „Okrągły Stół” i brak dachu nad głową.

Joanna: - Nie mieliśmy wtedy innego wyjścia i dokwaterowaliśmy się do dwupokojowego mieszkania mieszczącego się także przy ulicy Boya, gdzie po śmierci mojego teścia, który tam mieszkał, zakonspirowane było Biuro Prasowe „Solidarności” z całym wyposażeniem poligraficznym. Nie lada sztuką było w takich połowych warunkach dać sobie radę z czworgiem małych dzieci, dla mnie ledwie starczyło miejsca do spania pod wielką kserokopiarką... Szczęście, że nasze tułaczne życie długo nie trwało, niebawem przenieśliśmy się do pięknego, acz kompletnie zaniedbanego mieszkania na Mokotowie. Od razu zaczęliśmy generalny remont.

Janusz: - Mimo życia jak na wulkanie uważam ten czas za wspaniały. Byliśmy z kolegami wciąż razem, miałem poczucie identyfikacji i oparcia w dużej grupie ludzi o wspólnej przeszłości, systemie wartości i celach. Tuż jednak po zakończeniu obrad „Okrągłego Stołu” pojawiają się w obozie „solidarnościowym” podziały związane z taktyką wyborczą. Część pytała: czy Wałęsa, przewodniczący związku, powinien kandydować do Sejmu albo do Senatu? Byłem zdania, że w ogóle nie powinien kandydować. Uważałem, że wybory będące owocem „Okrągłego Stołu” niosą pewne ryzyko. Jeśli przegramy, czego wtedy przecież nie można było całkiem wykluczyć, to w jakimś stopniu będziemy legitymizować układ, który się wyłonił i komuniści przez jakiś czas, nie wiadomo jak długi, będą dominować. Szło więc, by zachować odpowiedź na ewentualny zarzut, że „Okrągły Stół” był tylko dla zapewnienia grupie osób rekomendowanych przez „Solidarność” wybranie do Sejmu oraz Senatu. Musieliśmy – uważałem - zachować kogoś znaczącego, kto będzie dostatecznie silnym autorytetem, aby powiedzieć, że na pewno nie o to chodziło, że nasza walka toczy się dalej. Jediną osobą, która mogłaby to uczynić, był bez wątpienia Lech Wałęsa.

Dla mnie bardzo istotnym rozróżnieniem było, że nie jestem rzecznikiem prasowym Wałęsy, lecz „Solidarności”, nigdy wobec niego nie przekroczyłem pewnego dystansu. „Wojna na górze”, którą zadekretował wiosną 1990 roku, w gruncie rzeczy była wynikiem takiego oto myślenia: obóz komunistyczny przegrał, komuniści są już na śmietniku historii, nie ma co się nimi zajmować i w ogóle ich brać pod uwagę, trzeba więc coś zrobić, aby „wiodącej roli PZPR-u” nie zastąpiła wiodąca rola „Solidarności”. W obozie skupionym wokół Wałęsy uznano, że najlepiej będzie niejako spluralizować „Solidarność”. W tym myśleniu była racjonalność, tyle tylko, że nie pozwolono „Solidarności” na pluralizację w sposób naturalny, a rozwalono ją siekierą. Osiami krystalizacji nie stały się poglądy, ideowe kierunki, ale osoby, wokół których zaczęły się tworzyć poszczególne grupy. Mnie nie przeszkadza, jeśli różnię się z kimś poglądami, przeszkadza jednak, jeśli kwestionuje się uczciwość moich motywów, podejrzewa o działanie z niskich pobudek.

Właściwie ostatni raz, gdy „Solidarność” była jeszcze dość silnie scalonym blokiem, to czas wyborów do sejmu i senatu w czerwcu 1989 roku. Niejako znakiem firmowym i wyróż-

nikami kandydatów należących do jednej drużyny były niemal identyczne fotografie z Lechem Wałęsą w tle. Janusz Onyszkiewicz ubiegał się o mandat posła z rodzinnego Przemyśla.

Joanna: - Wszystkich ogarnęło poczucie wolności, ale nikt nie wiedział, jaka ta upragniona wolność będzie. Na wiec przedwyborczy „Solidarności” w Przemyślu szliśmy na czele olbrzymiego tłumu. Janusz niósł na ramionach Wandusię, ja pchałam wózek z Danusią, a Wisia ze Stasiem nieśli transparent „Tata na posła”... Janusz przemawiał do wyborców z okna siedemnastowiecznego klasztoru Franciszkanów. Byłam obok niego, gdy padło pytanie, którego lękał się najbardziej, bo wiedział, jak wciąż żywe i drażliwe są tu wszystkie kwestie dotyczące stosunków polsko-ukraińskich: kiedy odzyskamy Lwów? Mógł, oczywiście, odpowiedzieć wymijająco, wykręcić się jakoś w obawie przed utratą głosów wyborców. I choć w tym momencie zdawał sobie sprawę, że przegrywa wybory, odpowiedział tak, jak naprawdę myśli: nigdy Lwowa nie odzyskamy. Możemy się spodziewać – mówił – że granice zostaną na tyle otwarte, że Lwów stanie się miastem dostępnym dla wszystkich i wtedy będziemy traktować Lwów znów jak nasze miasto, ale na Ukrainie. Po takiej odpowiedzi tłum mógł go najzwyczajniej wygwizdać, a dostał owacje.

Janusz Onyszkiewicz otrzymał w swoim okręgu wyborczym aż 148 636 głosów, czyli 82,79 procent wszystkich ważnych głosów. W kontraktowych wyborach PZPR i stronnictwa sojusznicze „przewodniej siły narodu” ponoszą druzgocącą klęskę. „Skończyła się terazniejszość, zaczęła się przyszłość” - optymistycznie skomentował zwycięstwo „Solidarności” Kazimierz Brandys.

Janusz: - A ja się martwiłem, byśmy tylko nie zachłysnęli się tym wejściem na szczyt!.. Przecież w górach człowiek nie wspina się w euforii i nie ogarnia go słodkie poczucie sukcesu. Każdy krok do celu to rezultat niesłuchanie ciężkiej, dobrze przygotowanej i solidnie przemyślanej pracy. Mimo braku tlenu, ciężącego plecaka, obawy przed nieustannie grożącym niebezpieczeństwem cierpliwie robi się swoje, wspinając się powoli, ale jednak wciąż do przodu, aż do szczytu. Uważam, że podobnie dzieje się w polityce: jeżeli chce się osiągnąć ważny cel, naprawdę warto się poświęcić i dać z siebie wszystkie siły. A tymczasem, po wygranych wyborach w czerwcu 1989 roku, nasz prawdziwy cel był ciągle przed nami. Ponadto pamiętałem o tym, co w dniu naszych wyborów zdarzyło się na Placu Tien-an-Men w Pekinie i widmo tamtej masakry porażało oraz o tym, że komuniści pod byle pretekstem mogli wybory unieważnić. Dlatego w wypowiedziach, szczególnie telewizyjnych, starałem się wyciszać emocje, nie uderzać w triumfalne tony. To nie wszystkim się podobało, wielu już uważało, że najważniejsze mamy za sobą, bo jest stu sześćdziesięciu jeden „solidarnościowych” posłów oraz aż stu senatorów. Mniejsze znaczenie miał dla nich fakt, że wciąż jeszcze tkwimy w komunizmie, że czwarty czerwca to na razie tylko jeden dzień naszego prawdziwego zwycięstwa...

Mimo zastrzeżeń i wątpliwości Janusz Onyszkiewicz daje się wessać polityce.

Janusz Rzepecki: - Nie przypadkiem został politykiem. Jego działanie w każdej dziedzinie i na każdym stanowisku zawsze wykracza poza ramy tego, co ma formalnie do zrobienia, odgrywa większą rolę niż postronny może się wydawać, bo idzie mu o coś więcej, po prostu o prawdziwy i trwały sukces. Choć nigdy nie mógłby być liderem politycznym, bo ma wiele respektu dla innych ludzi i pierwszy kamieniem nie rzuci, nie jest ani prostoduszny, ani naiwny. Jest bezwzględnie lojalny, do końca, a ta cecha zapewne może politykowi bardzo utrudniać życie. To „skrzywienie psychiczne” niewątpliwie nabył w Speleoklubie. I teraz już inaczej nie umie. A może jest zbyt mądry do polityki, bo przywódca polityczny powinien być jednak nieco „ograniczony”?..

Janusz Onyszkiewicz: - Nie podzielam filozofii Machiavellego, nie chcę i nie potrafię każdego dnia mówić co innego. W polityce poszukuję, wzorem Metternicha, równowagi pomiędzy stabilnością i doskonałością, bezpieczeństwem a legitymizmem.

Andrzej Zajęczkowski: - Kto chodzi po górach, obcuje z nieprzeciętnymi, ekstremalnymi sytuacjami, staje się bardziej odporny od zwykłego zjadacza chleba. Uczestniczenie w sprawowaniu władzy to również sytuacja ekstremalna, podlega się tak ogromnym naciskom, że trzeba być człowiekiem wyjątkowo odpornym.

Piotr Wojciechowski: - Nigdy nie uwierzę, że Januszowi może władza smakować. Moim zdaniem jego wybory polityczne są pewną konsekwencją „Marszu Mokotowa”, to dla niego po prostu służba, konsekwencja jego nieskończonej lojalności względem przyjaciół i grupy, z którą się związał, a przede wszystkim sprawy. Jak sięgam pamięcią na Onyszkiewicza zawsze można było liczyć, zwłaszcza gdy stawiało przed nami trudne do wykonania zadanie, on brał je swoje barki.

Janusz Onyszkiewicz: - Polityk to taki człowiek, który jakby ciągle stoi na schodach ruchomych, ale jadących w dół. Trzeba nieustannie się wspinać, aby przynajmniej trwać w tym samym miejscu... A gdy już w polityce zdoła się osiągnąć szczyt, to widok jest tak rozległy, że nie widać poszczególnych ludzi. Wiadomo jednak, że oni są i zawsze trzeba ich przede wszystkim mieć na uwadze.

Po czerwcowych wyborach na parkingu przed Sejmem przy ulicy Wiejskiej wśród mniej lub bardziej eleganckich limuzyn pojawia się ... rower, taki zwyczajny z bydgoskiego "Rometu". To wysłużony wehikuł Janusza Onyszkiewicza, jedyne gościa, który z roweru uczynił główny środek lokomocji polityka. Cyklista początkowo wzbudza podobną sensację jak norweski król Haakon, który na przyjęcie wydane przez Jerzego VI dla przedstawicieli alianckich rządów na emigracji pedałował w paradnym mundurze oficera marynarki wojennej przez cały Londyn do pałacu Buckingham w przeciwieństwie do wszystkich pozostałych gości, którzy wybrali się do pałacu własnymi limuzynami, niepomni próśb i sugestii brytyjskiego monarchy<sup>188</sup>.

Onyszkiewicz jeździł rowerem, bo to zdrowo, a także znacznie szybciej niż samochodem po często „zakorkowanych” ulicach Warszawy. - Nigdy też nie miałem kłopotu z zaparkowaniem. W garniturze rzadko występowałem, wystarczyło mi więc, że na codzienny „uniform”, marynarkę i spodnie, sprawiłem sobie na wypadek deszczu luźny kombinezon. Z obuwiem miałem pewien problem, jednak w eleganckich butach niewygodnie się pedałuje. A tak w ogóle, to został mi nawyk z czasów działalności podziemnej, gdy rowerem łatwiej było umknąć czy skryć się.

Piotr Wojciechowski: - Według mnie, on po prostu nie lubi się rozpierać w wygodnych fotelach. Jestem pewien, że jest dla niego wysoką karą, gdy nie może sobie wszędzie jeździć tym swoim rowerem.

Anna Bogobowicz: - Władza go nie hipnotyzuje, jest zawsze taki sam. Nigdy nie przybiera pozy, najzwyczajniej pozostaje sobą.

Hanna Suchocka: - Jest człowiekiem szalenie skromnym. Duża to zaleta, gdy tak wielu ludzi usilnie stara się wszystkich wokół przekonać, że są kimś więcej niż naprawdę są<sup>189</sup>.

Krzysztof Śliwiński: - Nagły przeskok do olbrzymich stanowisk i wpływów rodzi narastające konflikty. Tak jakbyśmy w drużynach grali w różne towarzyskie gry, a nagle usiedli do pokera o oszałamiające pieniądze. Kiedy siadamy do pokera czegoś nowego dowiadujemy się o ludziach. Janusz ma odporną osobowość na pokusy, jego porywają zasady gry, nie pula, która leży na stole. Nie ma takiej osobowości, żeby się załamał, jak go nie wybiorą następny raz. Robi swoje.

Paweł Mikłasz: - Reprezentuje cechy naprawdę rzadkie wśród Polaków. Nigdy nie mówi o zasadach, bo po prostu je ma. Gdy trzeba, potrafi się przeciwstawić, i to w taki sposób, że nie wywoła konfliktu. Ale nie jest człowiekiem ugody. Jednoznacznie pryncypialny, choć można z się z nim spierać i to się wcale nie przekłada na jakiś osobisty konflikt. Działa szalenie mobilizująco na otoczenie. Bardzo słowny, jeśli się z nim umawiam, mogę być pewien, że nie zawiedzie.

Henryk Wujec: - Janusz jest tym wszystkim, kim ja chciałbym zostać: dobrym matematykiem, dobrym alpinistą, dobrym politykiem<sup>190</sup>.

Wróżka w telewizyjnej „Godzinie szczerości” na podstawie danych zodiakalnych tak określiła bohatera programu: - Nie znosi kumoterstwa i dyskryminacji. Bardzo ważne jest dla niego poszanowanie prawa. Interesuje się polityką i życiem społecznym. Jego działania nie są powierzchowne, angażuje się całą swoją istotą. Jest obdarzony olbrzymią energią, odwagą oraz inteligencją. Potrafi współpracować z innymi. Te cechy predestynują go do zajmowania odpowiedzialnych stanowisk”. Bo, jak pisał Conrad-Korzeniowski: „Być człowiekiem to właśnie być odpowiedzialnym. To znać uczucie wstydu w obliczu nędzy, nawet tej nędzy, której nie jesteśmy winni. To odczuwać dumę za zwycięstwo kolegów. To czuć, kładąc swoją cegłę, że się bierze udział w budowaniu świata”<sup>191</sup>.

W sierpniu 1989 roku sejm wybiera pierwszego po wojnie niekomunistycznego premiera. Joanna mieszka z dziećmi w domu przemienionym w jedno wielkie rumowisko, w tumanach kurzu i hałasie wibrującej wiertarki. Remont zdaje się nie mieć końca. Na jeden moment jednak wszystko cichnie, ustają wszelkie zajęcia, bo telewizja rozpoczyna transmisję pierwszego wystąpienia sejmowego człowieka, na którego spadła wielka odpowiedzialność za Polskę i Polaków. „Stawiając się poza nawiasem normalnego życia - mówi Tadeusz Mazowiecki - nie jesteśmy wcale przez to od reszty społeczeństwa lepsi. Przeciwnie, dlatego tylko możemy stawiać opór, że tamta zdecydowana większość ten ciężki trud codziennej budowy normalnego życia niesie na swych barkach”... Joanna nie mogła ukryć wzruszenia, popłynęły łzy, wolna Polska stawała się upragnioną rzeczywistością: - To była w moim życiu bardzo ważna chwila. Całą czwórkę naszego drobiazgu usadziłam przed telewizorem, aby w ich pamięci też coś zostało z tego obrazu wolności. Gdy skończyła się transmisja, wyjęłam butelkę wódki i wszystkich moich panów majstrów zaprosiłam do toastu na cześć Tadeusza Mazowieckiego, naszego premiera...

Jan Nowak-Jeziorański, legendarny „kurier z Warszawy”, pierwszy dyrektor Rozgłośni Polskiej Radia „Wolna Europa”, nie miał wątpliwości, że z powołaniem rządu Tadeusza Mazowieckiego wreszcie naprawdę dla Polski i Polaków skończyła się druga wojna światowa. Ale nie dla wszystkich był to fakt aż tak oczywisty. Wciąż w Londynie prezydent Ryszard Kaczorowski był jedynym konstytucyjnym sukcesorem niepodległej Rzeczypospolitej, która w 1939 roku stanęła do walki zbrojnej z Niemcami, istniała też Rada Narodowa, emigracyjny parlament.

Gdy w Warszawie następowały tak historyczne wydarzenia, państwo Jaraczewscy spędzali urlop na pokładzie swego jachtu. Pan Andrzej sam go zbudował i wymyślił nazwę „Woodka”, aby swojsko brzmiała w ustach Anglików<sup>192</sup>.

Krzysztof Jaraczewski już od trzech lat był żonaty, poślubił Jadwigę, Polkę, którą stan wojenny zastał w Londynie. Pod wpływem wieści napływających z Polski decyduje się na powrót do kraju. Aby omówić z żoną kwestię tak wielkiej wagi, zaprasza ją do chińskiej restauracji. Przy kaczce po pekińsku, wyjawia zamiar:

- Iga, chcę, żebyśmy wrócili na stałe do Polski.

Była trochę zaskoczona, miała pewne wątpliwości, w zwodzie psychologa klinicznego bowiem wiodło się jej coraz lepiej, w pracy rysowały się perspektywy awansu, a przyszłość w kraju wydawała się bardzo niepewna. Przy deserze-niespodziance, rożku z ukrytą przepowiednią, która wróżyła jej pomyślność w życiu, zdecydowała:

- Jeśli zorganizujesz wszystko, zgoda. - Zaraz jednak zapytała: - A co z twoimi rodzicami?

Gdy mama zatelefonowała, że właśnie wrócili z ojcem z urlopu, Krzysztof od razu uprzedził:

- Musimy z wami bardzo poważnie porozmawiać.

- To dobrze się składa, bo my też mamy do was bardzo ważną sprawę.

Umówili się na niedzielę. Przy herbacie Andrzej Jaraczewski oznajmił głosem spokojnym i uroczystym, nie wolnym od wyraźnego wzruszenia:

- Wracamy do Polski. Byliśmy wczoraj u cioci Wandy, też jest zdecydowana na powrót do kraju. Byłoby nam, oczywiście, bardzo miło, gdybyście dołączyli do nas, ale rozumiemy, że macie prawo sami...

Krzysztof przerwał ojcu w pół zdania: - Ależ my podjęliśmy taką samą decyzję! Właśnie chcieliśmy o tym porozmawiać, wspólnie się zastanowić, co będzie, jeśli zostaniecie tu sami...

W tydzień później, podczas weekendowych odwiedzin u rodziców, Krzysztof zdał sobie sprawę, że powiedział jakby o jedno słowo za dużo. Ojciec wyrzucił z siebie kwestię, nad którą nie mógł przejść obojętnie: - Naprawdę zwątpiłeś, że my moglibyśmy postąpić inaczej?... Nie ufałeś mi?

Krzysztof Jaraczewski: - Ojciec chyba z satysfakcją przyjął zapewnienie, że moje słowa nie były wywołane choćby nawet chwilowym brakiem zaufania do niego, jego postawy i decyzji. Rozumiałem tę jego wrażliwość. Tyle lat na uchodźstwie, tęsknoty za wymarzonym powrotem do wolnego kraju!... Gdy postanowiliśmy wracać do Polski, jeszcze nie wszyscy w Londynie podzielali naszą decyzję, uważali, że zwłaszcza nasi rodzice czynią to przedwcześnie. Ogromne znaczenie miał dla nas wcześniejszy wybór Joasi, poprzez jej losy i doświadczenia dowiadaliśmy się wielu rzeczy o sprawach dziejących się w kraju. Mieliśmy też dość dobrą orientację w sprawach krajowych dzięki częstym u nas wizytom ludzi z „Solidarności”.

Joanna: - Dla naszej emigracji wybory czerwcowe w kraju były trudne do zaakceptowania, bo nie były to jeszcze prawdziwie wolne wybory do parlamentu. Mimo że również nasz tata zawsze powtarzał: „wracamy do Polski, gdy tylko odbędą się pierwsze wolne wybory”, rodzice jednak uznali za wystarczający fakt tworzenia rządu przez Tadeusza Mazowieckiego. Znaczący stał się dla nich właśnie ten wybór moralny. Decyzję musiał w każdym przypadku poprzedzić swoisty rachunek sumienia: czy rzeczywiście ma się wolę powrotu, czy też tak przywykło się do uchodźstwa, że jest za późno na wciąż przecież ryzykowny krok?... W tle kołatał się też odwieczny problem polityczny: jak pójść na kompromis, aby uniknąć kompromitacji?... W przypadku naszych rodziców wiedziałam, że poradzą sobie z konfrontacją z polskimi realiami, nie doznają szoku, bo w życiu wiele widzieli i wiele przeżyli, byli – jak to się mówi – „na wozie”, ale bardzo często też „pod wozem”, nie są naiwnymi marzycielami, owszem, na pewno romantykami, lecz mocno osadzonymi w rzeczywistości.

Jadwiga Jaraczewska: - Zasięgaliśmy opinii u kogo tylko można było. Powrót bardzo nam doradzali generał Klemens Rudnicki oraz były prezydent Edward Raczyński. Ogólna opinia uchodźstwa była jednak odmienna, że na powrót do kraju jest za wcześnie, bo to jeszcze nic pewnego. Na Boże Narodzenie 1989 roku przyjechała do nas z Polski córka z zięciem. Po wigilii już za wiedzą i zgodą wszystkich z rodziny utwierdzona została nasza decyzja. Mieliśmy przekonanie, że komunizm upadnie, skoro jego symbol, mur berliński, przestał istnieć, a dążenia do wolności obejmowały coraz więcej krajów, w Czechosłowacji zwyciężała „aksamitna rewolucja”... Joanna, nasza ostoja, zaczęła dla nas szukać w kraju miejsca do zamieszkania, a zięć załatwiał formalności z potwierdzeniem obywatelstwa polskiego i wydaniem paszportów...

W trzy miesiące później w Warszawie Onyszkiewiczowie akurat szykują się na dyplomatyczną kolację do ambasady brytyjskiej, gdy tuż przed wyjściem z domu zadzwonił telefon, z gabinetu premiera. Poproszono Janusza, aby zaraz przyjechał do Urzędu Rady Ministrów. – O, Jezu, na pewno znowu są jakieś kłopoty - pomyślała Joanna i sama musiała pójść na kolację.

- Lepiej od razu wygodnie siadaj – Janusza powitał Tadeusz Mazowiecki. – Dla dodania ci otuchy powiem, że przed tobą w tym samym fotelu siedział przed chwilą dobry nasz znajomy, bardzo się wzbraniał, ale w końcu się złamał. Mam nadzieję, że i ty mi nie odmówisz. Poprosiłem cię, bo nadszedł czas zrobienia naszego pierwszego kroku w resortach siłowych.

Krzysztof Kozłowski idzie na podsekretarza stanu do MSW, do Kiszczaka, a ty, uważam, powinieneś wejść do MON-u, do Siwickiego...

Janusz Onyszkiewicz był zaskoczony, bo jeśli nawet mógł się spodziewać jakiejś propozycji ministerialnej od premiera, to raczej w MSZ-cie. Działał już przecież w sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych i Współpracy Gospodarczej z Zagranicą, należał do Międzynarodowego Komitetu Wykonawczego Unii Międzyparlamentarnej. - Iść do wojska – pomyślałem z obawą - do tej twierdzy niewzruszonych i odpornych na wszystko starych układów?!... Gdybym miał od razu dać odpowiedź premierowi, musiałbym odmówić, tym bardziej że wedle propozycji miałbym zajmować się w MON-ie sprawami społeczno-wychowawczymi, co już mi absolutnie nie odpowiadało. Być figurantem? Nie dla mnie! Premier dał mi czas do namysłu.

Tadeusz Mazowiecki: - Moje decyzje o obsadzeniu MON-u motywowała intencja, aby to byli nasi, „solidarnościowi” ludzie, a jednocześnie nadawali się do pewnego eksperymentu, który miał polegać na wprowadzaniu cywilnej kontroli nad wojskiem. W Polsce nie mieliśmy żadnych doświadczeń, zawsze, również przed wojną, armią kierowali marszałkowie i generałowie. Na pewno czas wtedy jeszcze nie dojrzał, żeby od razu mianować cywilnego ministra, ale obsadzenie „tylko” stanowiska wiceministra w MON-ie było bardzo ważnym faktem politycznym.

Janusz, po rozmowie z premierem, zdążył jeszcze na przyjęcie w ambasadzie. Nawet jednym słowem jednak nie mówi żonie, co było tematem spotkania w URM-ie. – Widziałam, że musi być czymś bardzo przejęty, ale dopiero w samochodzie, gdy już wracaliśmy do domu, powiedział: - Mazowiecki proponuje mi, żebym został wiceministrem, zgadnij gdzie?... Oczywiście, nie odgadłam i omal nie wypadłam z samochodu, jak usłyszałam, że w MON-ie!... Zaniemówiłam z wrażenia, choć jestem przecież z rodziny wojskowej, a nawet można powiedzieć, że wszystkie trzy rodzaje wojsk mam świetnie „obstawione”: ojciec - oficer marynarki wojennej, mama - pilot RAF-u, a dziadek ze strony mamy - wiadomo... Ludowe Wojsko Polskie, bo tak oficjalnie nazywano armię w PRL-u, było strefą kompletnie zamkniętą, niczym gniazdo os. Nie mieliśmy pojęcia o tych ludziach, ich mentalności, a tu mąż mi mówi, że ma zostać wiceministrem w tej tak nam nie znanej enklawie...

Janusz: - „Solidarność” przestrzegала zasady, żeby wojsko zostawiać w spokoju. Aby nikt nam nie mógł zarzucić, że penetrujemy struktury armii próbując jakichś siłowych rozwiązań, a trochę także z tego powodu, by nie wywoływać paniki Sowietów. Wobec tego armia była przez nas w sposób świadomy całkowicie pozostawiona na boku. W rezultacie myśmy o tej armii nic nie wiedzieli. Zresztą, z podobnych powodów też nie chcieliśmy wchodzić w struktury MSW-u. Z tą jednak różnicą, że w przypadku MSW-u to nasze trzymanie się z daleka od nich nie na wiele się zdawało, bo oni się trzymali bardzo blisko nas. Siłą rzeczy więc wiele wiedzieliśmy o MSW-u, a o wojsku nic, pełna hermetyczność.

Joanna: - Z „ubecją” stykaliśmy się na co dzień, choćby podczas częstych przecież przesłuchać, wiedzieliśmy więc, co to za ludzie. Zdarzały się czasem też takie przypadki, że na przykład Jacek Kuroń spotkał „swojego” śledczego na dworcu, a Janusz „swoich” klawiszy w kawiarni. Wiedzieliśmy, że mają dzieci, żony, matki... Wojskowi byli niewyobrażalni jako prywatni ludzie.

Janusz: - Zastanawiałem się nad propozycją premiera, potraktowałem ją jako wyzwanie, nową dziedzinę do rozpoznania. Pomyślałem, że zważywszy na moje zainteresowanie polityką zagraniczną, moją racją bytu w MON-ie może być polityka bezpieczeństwa państwa, a szczególnie kontakty z Układem Warszawskim. Poszedłem z tym pomysłem do Mazowieckiego. Powiedziałem premierowi: - Mogę do wojska wejść, uczyć się, patrzeć jak ono funkcjonuje, ale chciałbym się zajmować kilkoma konkretnymi sprawami, zwłaszcza związanymi z polityką bezpieczeństwa i Układem Warszawskim. Wiem, że mówienie o stopniowym remontowaniu Układu Warszawskiego może teraz wydać się światoburcze, ale ta kwestia

lada moment na pewno wybuchnie i musimy się przygotować, mieć własny pogląd. Mazowiecki podzielał taką opinię, ale - jego zdaniem - na ostre wejście jeszcze czas nie nadszedł. Odłożył więc całą sprawę i udał się z oficjalną wizytą państwową do Stanów Zjednoczonych.

Tadeusz Mazowiecki: - Było dla mnie oczywiste, że Onyszkiewicz ma się specjalizować w MON-ie w problematyce międzynarodowej, wiedziałem, czym się interesował. Problem polegał jednak na tym, że istniał jeszcze Układ Warszawski i wszelkie decyzje dotyczące wojska stawały się od razu sprawami międzynarodowymi, a przez to ogólnopolitycznymi rządu i premiera. Moją dbałością było utrzymywanie procesów współpracy.

W tym samym czasie, gdy w USA jest premier Tadeusz Mazowiecki, przebywa tam pułkownik Stanisław Dronicz, w Ludowym Wojsku Polskim zdegradowany do stopnia szeregowca. Do Stanów Zjednoczonych przyjechał na zaproszenie Kongresu Polonii Amerykańskiej. Stało się to po opublikowaniu „Sprawy pułkownika Dronicza” w paryskiej „Kulturze”.

Stanisław Dronicz we wrześniu 1939 roku miał siedem lat, kiedy w rodzinnym Wilnie pierwszy raz w życiu zobaczył obcych żołnierzy, zwanych potocznie bolszewikami. Po wojnie, jako repatriant, wstąpił do Oficerskiej Szkoły Inżynierii we Wrocławiu, a później ukończył wydział budownictwa lądowego Wojskowej Akademii Technicznej. Po ogłoszeniu stanu wojennego złożył raport o zwolnienie z wojska i związał się z opozycją. W podziemiu wydawał z inicjatywy Czesława Bieleckiego<sup>193</sup> niezależne pismo dla wojskowych „Reduta”. W 1985 roku został aresztowany. W więzieniu spędził blisko półtora roku, przez pewien czas siedział w jednej celi z Leszkiem Moczulskim.

W Stanach płk Dronicz przede wszystkim spotyka się ze środowiskami polskich kombatanów: - Na każdym kroku słyszałem: wojsko w Polsce to ostatnia enklawa starego porządku; jest wrzodem, nawet niebezpiecznym, to sprawca tego, że ciągle kraj tkwi w socjalizmie. Zapewne premierowi Mazowieckiemu mówiono to samo i nie pozostało to bez wpływu na przyspieszenie decyzji dotyczących obsady stanowisk w MON. W pierwszych dniach kwietnia, gdy byłem jeszcze w Chicago, z radiowych „Sygnałów Dnia” prowadzonych tam przez Andrzeja Czumę, dowiedziałem się, że w kraju powołano cywilnych wiceministrów obrony narodowej.

Rzeczywiście, zaraz po powrocie z USA premier odbył z Onyszkiewiczem krótką rozmowę. - Zgadzam się na twoją propozycję. Zajmiesz się polityką obronną, sprawami zagranicznymi wojska i Układu Warszawskiego. Mianuję też drugiego wiceministra do spraw społeczno-wychowawczych, którymi nie chcesz się zająć. Z Bronisławem Komorowskim na pewno będzie ci rażniej.

Tadeusz Mazowiecki: - Zależało mi, by obaj weszli głęboko w to ministerstwo, wywalczyli możliwie największy obszar samodzielności, co pozostawiłem ich inicjatywie. Chciałem, żebyśmy w rezultacie ich pracy zmierzali do wprowadzenia cywilnego zwierzchnictwa nad armią. Nie ma w tym najmniejszej przesady, że zadanie było skomplikowane, do realizacji potrzebowałem ludzi lojalnych, do których opinii i działań mam pełne zaufanie, a jednocześnie potrafiących iść naprzód w sposób wysoce odpowiedzialny. Te właśnie kandydatury wybrałem także ze względów psychologicznych, obaj bowiem kojarzyli się z symbolicznymi nazwiskami w polskiej tradycji, Onyszkiewicz oczywiście ze względu na żonę, wnuczkę Marszałka Piłsudskiego, a Komorowski to bliski krewny generała Bora-Komorowskiego, dowódcy AK w okresie Powstania Warszawskiego. Miało to znaczenie, ponieważ dawało im szansę łatwiejszego zaakceptowania w dość skomplikowanym i mało nam znanym środowisku wojskowym. Przy tym Onyszkiewicz mi powiedział, że decyzję pomogło mu podjąć zdanie żony, a uważam, że w sprawach publicznych opinia tak ważnej w małżeństwie osoby jest niesłychanie ważna.

Nowe nominacje wymagały uzgodnienia z generałem Jaruzelskim jako prezydentem, zwłaszcza ze względu na jego konstytucyjną zwierzchność nad wojskiem, tym bardziej że sprawy wojskowe były dla niego pierwszoplanowe. Nie miał żadnych obiekcji do tych kan-

dydatur i tak rozpoczęliśmy proces wchodzenia w te zamknięte dotąd struktury oraz przygotowanie do w pełni cywilnego zwierzchnictwa nad armią.

Stanisław Dronicz: - Jaruzelski na punkcie wojska był bardzo wrażliwy. Gdyby mu odebrano władzę nad armią, mógłby zrezygnować ze swojego stanowiska. Było to niebezpieczne dla tych, którzy zasiadali przy „Okrągłym Stole” i przejmowali odpowiedzialność za pokojową transformację w kraju. Istniało też poważne niebezpieczeństwo, że rezygnacja Jaruzelskiego może otworzyć Moskwie drogę do ingerencji w polskie sprawy. Trzeba przecież pamiętać, że w czasie negocjacji „Okrągłego Stołu” Chińczycy pokazali inny sposób rozmowy z opozycją. Na placu Niebiańskiego Pokoju rozprawili się z opozycją siłą, co mogło stać się pouczające dla europejskich scenariuszy. Dlatego nie od razu Onyszkiewicza mianowano ministrem, choć wszystkie newralgiczne ministerstwa przejmowali już ludzie nowej opcji politycznej. W wojsku wciąż siedział Siwicki, autor stanu wojennego, członek WRON, a pod jego pieczę spokojnie trwały wszystkie struktury w stanie kompletnie nienaruszonym.

Paweł Mikłasz dziwił się, że to Janusza, uważanego przecież za ministra spraw zagranicznych opozycji, wysłano do MON-u: - Zastanawiałem się nad motywami, jakimi kierował się Mazowiecki. Taka już jest ta nasza specyfika, że sytuacja wymusza zasady zachowań, które wydają się dość dziwne. Cały czas wojsko było kwestią ogromnie delikatną, istniał problem raka komunistycznego, który demolował wojskową kadre. Nie można było dopuścić do rozwalenia armii, stąd brała się niebывała ostrożność i „dmuchanie na zimne”. A właśnie Onyszkiewicz, jak żona cezara, był poza wszelkimi podejrzeniami, nawet nigdy nie należał do żadnej partii, co już ostatecznie wytrącało argumenty przeciwnikom cywilnego zwierzchnictwa nad armią i jego nominacji. Janusz postępował rozsądnie, choć identyfikowano go najpierw z Unią Demokratyczną, później Unią Wolności i można powiedzieć, że jego bezpartyjność była formalną sztuczką, nikt nie mógł postawić mu zarzutu, że jest nie dość obiektywny, bo należy do partii.

Zdaniem Janusza Rzepeckiego za wojsko nikt nie chciał się zabrać, bo to było niebывale trudne zadanie: - A Janusz zawsze podejmuje się rzeczy trudnych. Pasjonował się Napoleonem, który kiedyś powiedział, że w czasie bitew nie musiał wcale podejmować decyzji, musiał je tylko sobie przypominać, wszystko miał wcześniej przemyślane...

Janusz: - Napoleon zapisał na swoim koncie szereg bitew znakomicie przeprowadzonych pod względem przygotowania strategicznego. Nie tylko był genialnym autorem wielkich zwycięstw, ale też geniusz tego wodza widać w bitwach przegranych. Przecież przejście Berzyny nie skończyło się całkowitą katastrofą dzięki jego znakomitym pomysłom taktycznym, które pozwoliły armii francuskiej, w sytuacji kompletnie beznadziejnej, wywalczyć przeprawę i uniknąć okrążenia. Ciekawią mnie też postawy takich ludzi jak bohaterowie Conrada czy Saint-Exupery'ego. Zawsze warto się przyjrzeć, jak zachowują się ludzie w trudnych sytuacjach, jak reagują i potrafią się wydobyć, zachowując swoją godność.

Andrzej Zajączkowski: - Odchodząc nieco od spraw wielce poważnych, powiedziałbym, że nominacja Janusza do MON-u wiąże się z... „Rzepą”. A dokładniej z ich niekończącymi się rozmowami na temat historii i wyposażenia armii. Rzepecki - jak to się mówi - ma „fioła” na punkcie starych samochodów wojskowych i wszelkiego wojskowego sprzętu. Kiedy po śmierci Wiśki mieszkali we dwóch, to był główny temat ich wielogodzinnych, nigdy nie kończących się dysput. Moim zdaniem przez tę znajomość z „Rzepą” Janusz był przygotowany merytorycznie do objęcia stanowiska w MON-ie.

Zbigniew Janas: - Było wiadomo, że dysponuje pewnymi cechami i umiejętnościami, które bardzo szybko pozwolą mu nauczyć się zadania, przed jakim stanie.. Z jednej strony człowiek równowagi: bardzo spokojny, sympatyczny, żadnych wariactw, a do kierowaniem MON-u potrzeba tego typu ludzi. To tylko komuniści dorobili mu etykietę radykała. Po prostu był twardym facetem, którego niczym ubecja nie mogła złamać. Z drugiej: dość zdecydowany, konsekwentny, logiczny, dla którego ważny jest interes państwa. Jego lojalność wcale nie

oznacza, że nie ma swojego zdania i choć nie jest radykalny w słowach, to konkretny w pracy. Nie krzyczy, jak on będzie się rozprawiał, jaką będzie robił rewolucję, tylko zabiera się do realizacji konkretnych spraw. Skuteczność bez fanfaronady, co oczywiście bardzo się przyda-je w takim miejscu jak wojsko.

Janusz: - Wojsko było zawsze objęte ścisłą tajemnicą, po prostu taka „czarna skrzynka”. Wynikało to z polityki, której wzorce pochodziły ze Związku Radzieckiego. Charakterystyczną historię opisał generał Rowny, jeden z czołowych negocjatorów amerykańskich w rokowaniach z ZSRR. Gdy w pewnym momencie członek delegacji USA zaczął cytować rozmaite fakty dotyczące sowieckiego potencjału obronnego, to przewodniczący radzieckiej grupy, generał, przerwał wypowiedź Amerykanina i wyprosił z sali wszystkich cywilnych członków własnej delegacji!... Oni bowiem nie mieli prawa znać tych faktów, nie mogli ich poznać nawet z ust przedstawiciela strony amerykańskiej! Dlatego wejście cywilów do tej militarnej jaskini było sprawą precedensową w naszej części Europy. Musieliśmy jednak tego dokonać, przecież we wszystkich krajach demokratycznych stanowiska ministrów obrony narodowej zajmują politycy cywilni. Wynika to z realizacji zasady, która jest, być może, krzywdząca dla wojskowych, bo powiada, że wojna i wojsko to zbyt poważne sprawy, ażeby zostawić je wyłącznie w rękach zawodowych wojskowych.

Wchodziliśmy z Bronisławem Komorowskim w środowisko, o którym wiedzieliśmy, że jest wobec nas niechętne. Obawialiśmy się ostracyzmu i izolacji. Zaraz w pierwszym dniu nas rozdzielili. Komorowskiemu dali gabinet na Królewskiej, a mnie ulokowali na Klonowej, w willi stojącej obok siedziby ministra. Podobno generał Jaruzelski chciał mi zrobić przyjemność, bo w tej willi mieszkała pani Marszałkowa Piłsudska z córkami...

Jadwiga Jaraczewska: - Po śmierci ojca mieszkaliśmy prawie cztery lata przy ulicy Klonowej. W głównym budynku, gdzie teraz mieści się ministerstwo, miał część biur i mieszkał marszałek Edward Rydz-Śmigły.

Joanna: - Staraliśmy się ustalić, co kiedyś było w pokoju, który teraz zajmował Janusz, a co w obecnym jego sekretariacie...

Jadwiga Jaraczewska: - Kiedyś z moją najstarszą wnuczką Wisią mówiłyśmy na temat uczesań. Opowiadałam jej, że długo nosiłam warkocze aż do kolan. W końcu zdecydowałam się i obciąłam, ale schowałam je na pamiątkę. Wisia zainteresowana zapytała: - A gdzie, babciu, je schowałaś? - U twojego tatusia w biurze - odpowiedziałam, bo tam właśnie był pokój, a jednocześnie sypialnia mojej mamy...

Joanna: - Niesłyszany splot historyczny sprawił, że to właśnie dosłownie znad łóżka mojej babci, 13 grudnia, Jaruzelski nagrywał swoje telewizyjne wystąpienie, oznajmiając społeczeństwu wprowadzenie stanu wojennego. Chyba musiały go później nękać jakieś senne koszmary...

Janusz: - Wchodząc po raz pierwszy do MON-u nasunęło mi się porównanie, może nie najszczęśliwsze, z więzieniem. Tam też, gdy wszedłem do celi, poczułem całkowitą obcość wobec starych bywalców, którzy mieli własne nawyki, swój sposób zachowania, sygnały, gesty, a ja tylko obawę, czy się jakoś wśród nich odnajdę.

Stanisław Dronicz: - Wszystkie armie świata charakteryzuje kastowość i podział na starszych, równych i młodszych. W służbie zasadniczej o pozycji żołnierza decyduje data jego wcielenia - im komuś bliżej do rezerwy, tym czuje się ważniejszy. Kadra zawodowa nosi stopnie, które wizualnie ustawiają każdego na odpowiednim szczeblu niebotycznej hierarchii wojskowej.

Janusz: - Na pierwsze posiedzenie stawilo się całe kierownictwo MON-u, w jednakowych mundurach, każdy z wężykiem generalskim. Zaraz potem chciałem mianować szefa swojego gabinetu. Przysłano mi trzech ludzi, wszyscy mniej więcej w tym samym wieku, dokładnie o takich samych życiorysach, każdy w stopniu podpułkownika, po akademii obrony narodowej, wszyscy z wąsami... Po prostu nierozróżnialni. Musiałem zdać się na wycucie, wybrałem i

bardzo dobrze trafiłem, ale był to ślepy traf. Byłem samusieńki, tylko kilku generałów znalazłem z widzenia z sejmu.

Stanisław Dronicz: - Pan Onyszkiewicz po krótkim czasie po nominacji zadzwonił do mnie do domu. Godzinna rozmowa zdecydowała, że zacząłem pracować na stanowisku starszego oficera do zleceń, albo zwyczajniej - oficera zaufania. Do współpracy w najbliższym kręgu wiceministra zaproszono wtedy również doktora politologii Przemysława Grudzińskiego, późniejszego ambasadora w Stanach Zjednoczonych. Pan Onyszkiewicz nie miał doświadczenia wojskowego. Mam na myśli nie to, że nie znał struktur wojska, jak jest zorganizowane, ile jest pieniędzy, ile czołgów, samolotów, bo te dane wiceministrowi dostarczono z urzędu. Brakowało mu rozeznania, kto jest kim, a tego urzędową drogą nie można się dowiedzieć. Środowisko wojskowe było dla niego obce. Oficerowie znali go jako jednego z najlepszych i ostrych rzeczników prasowych, oglądali jego wypowiedzi w telewizji, czytali wywiady z nim w prasie. Nominacja Onyszkiewicz-cywila budziła w nich taki lęk że był powszechnie zauważalny. W „Szopce w jajku” Marcina Wolskiego, wciąż jeszcze urzędujący minister obrony narodowej, generał Florian Siwicki, śpiewał na melodię „Towarzystwa Weteranów”: Nagle w MON-ie się zjawili/ jacyś dwaj cywili/ znaczki przyszpili/ wąsy jak badyli/ nic nikomu nie mówili/ resort mi rozbili...

Janusz: - Przyjęto nas z niepokojem, obawami i rezerwą, ale dość prędko udało się to jakoś przewalczyć. Myśmy od razu oświadczyli, że nie przychodzimy do wojska, by robić czystkę, polować na czarownice; obiecaliśmy szanować fachowość oficerów i ułatwiać proces przybliżania wojska społeczeństwu, przekształcenia go w instrument państwa i narodu, a nie w „zbrojne ramię” jakiejś nowej partii. Świadom swojej wojskowej niekompetencji musiałem się przede wszystkim nauczyć, jak to ministerstwo działa, jakie obowiązują metody postępowania, poznać wewnętrzny kod, który funkcjonuje w każdym środowisku, a w tym bardziej niż gdzie indziej. Pierwsza lekcja, którą udzielił mi szef mojego gabinetu, pułkownik (imię?) Szalaj, odbyła się w czwartym dniu mojego urzędowania. Na moje biurko trafił list od jakiegoś rozżalonego oficera, któremu nie przydzielono mieszkania. Poprosiłem szefa gabinetu, by przygotował mi do podpisu prośbę o wyjaśnienie tej sprawy. Spojrzał na mnie zdziwiony:

- Przecież lista tych, którzy mieli dostać mieszkania, została już sporządzona i zamknięta, w związku z tym trzeba będzie kogoś z tej listy wykreślić, aby dać mieszkanie temu oficerowi...

- Ja nie proszę, by mu dać mieszkanie, tylko o wyjaśnienie sprawy.

- Jeżeli minister pisze „proszę sprawę wyjaśnić”, to znaczy, że chce, aby była załatwiona pozytywnie. Adresat zrozumie prośbę o ponowne wyjaśnienie sprawy jako rzecz oczywistą, że zdaniem ministra mieszkanie skarżącemu się oficerowi istotnie się należy. „Wyjaśni” więc, że komisja jedynie przez jakieś przeoczenie mieszkania mu nie przydzieliła, zaraz kogoś z listy wykreśli i wpisze to nowe nazwisko...

Dość szybko udało się nauczyć wojskowych, że skoro zwracam się z prośbą o wyjaśnienie sprawy, należy ją rzeczywiście wyjaśnić, nic ponadto.

Czasem trzeba było rozsypywać sprawy ludzi, którzy twierdzili, że byli w przeszłości szykanowani ze względów politycznych. Zgłosili się nawet przedstawiciele ponoć tajnej organizacji z postulatem, że ten ich czyn powinien zostać odpowiednio teraz uhonorowany i nagrodzony.

- A co robiliście? - spytałem.

- Nic. Przecież byliśmy tak mocno zakonspirowani, że nie mogliśmy nic robić.

- Może jakąś ulotkę zredagowaliście? - starałem się dowiedzieć cokolwiek na temat ich „zasług” .

- Nie, żadnych ulotek nie drukowaliśmy. Przecież zaraz by nas nakryli...

Paweł Mikłasz: - Wszystko w wojsku jest tak poważne, że postanowiłem tę gęsta atmosferę troszeczkę rozładować. Ponieważ widoczne było dla wszystkich, że Janusz i głównodowo-

dzący NATO, generał Shalikashvili, darzą się sympatią, puściłem całkiem przez siebie wymyśloną historyjkę, że Janusz jest... przyrodnim bratem amerykańskiego generała, którego ojciec pochodził ze Lwowa, a w 1935 roku służył w wojsku polskim, w I Pułku Szwolężerów, najbardziej elitarnym, bo pułku imienia Józefa Piłsudskiego. Nabajdurzyłem pewnemu oficerowi, oczywiście, w wielkiej tajemnicy, że Shalikashvili-junior jest owocem grzesznej miłości swojej matki i ojca Janusza. Na uwiarygodnienie tej bujdy podałem, że przecież rodzice Janusza w tym samym czasie co Shalikashvilowie mieszkali we Lwowie. Dołożyłem jeszcze, że gdy sprawa stosunków pozamałżeńskich wyszła na jaw, to obaj ojcowie, Onyszkiewicz i Shalikashvili, stanęli do honorowego pojedynku!... Ta oczywista plotka wróciła do mnie po roku jako... tajemna prawda o Onyszkiewicz, prawdziwy super sekret MON-u!

Stanisław Dronicz: - Miał wokół siebie radykałów, którzy parli do zemsty, do rewanzu za dziesiątki lat tkwienia w systemie socjalistycznym. Zewsząd nadchodziły żądania, aby tego wyrzucić, tamtego zdegradować, a innego odsunąć tylko od stanowiska. Wielu ludzi bez litości chciało rozprawienia się z kadrą, kierując się jednak prywatnymi urazami i pretensjami personalnymi. Część kadry też włączała się do tego zewnętrznego chóru rozrachunkowego, widzieli w tym szansę dla siebie na błyskawiczne awanse. Onyszkiewicz musiał się opierać silnym naciskom z różnych stron. Zachował wyjątkową rozwagę, może czerpał wiedzę z doświadczeń Piłsudskiego, który kadrę wywodzącą się z trzech walczących przeciwko sobie zaborów przyjął, zaufał i w dwudziestym roku miał już zwarty organizm dowództwa armii?... Podobnie postąpił generał Charles de Gaulle. Mógł po wojnie wytoczyć zarzuty kadrze oficerskiej, która w dziewięćdziesięciu procentach stanęła po stronie rządu kolaborującego z hitlerowskimi Niemcami, ale tego nie zrobił, nie zniszczył armii francuskiej. Janusz Onyszkiewicz miał więc dobre wzorce. Też zaufał i nie szukał odwetu. Nawet użył takiego przykładu, że jakby zaczął lustrować, to tylko generał biskup Sławoj Głódź by wytrzymał. Onyszkiewicz, uwikłany w historię, uratował kadrę fachowców. Powiedziałbym nawet, że bardzo pomógł armii.

Janusz: - W wojsku wszyscy należeli do PZPR. Jeżeli w jakimś zakładzie pracy należało do partii dziesięć procent załogi, to ta legitymacja partyjna mogła coś znaczyć, dawać w każdym razie przewagę nad tymi, którzy jej nie mieli. Partia w wojsku to było jakby coś pośredniego między związkiem zawodowym a samorządem. Należenie do partii nie było kwestią deklaracji ściśle politycznej, było raczej czymś zupełnie zwyczajnym.

Stanisław Dronicz: - Wojskowym z początku imponowało, że był świetnym sportowcem, wybitnym alpinistą. Szybko przekonali się też, że ma wyjątkowo dobrą pamięć. Na pokazach sprzętu tak łatwo zapamiętywał dane techniczne nowoczesnego czołgu, że później, kiedy do tematu wracał, już te dane podawał z pamięci, zawodowi wojskowi zwykle woleli mieć przy sobie karteczkę. Zadziwiał też wojskowych, że w wystąpieniach publicznych obywa się bez kartki, tego w armii nigdy nie widziano. No, może poza Lucjanem Kydryńskim, który kiedyś prowadził w wojsku imprezę i zapowiadał bez kartki, nie myląc się w nazwiskach... Onyszkiewicz nie korzystał z podpórek, ale nie improwizował, wszystko miał głęboko przeanalizowane, szczegółowe dane techniczne, bezbłędne cyfry. Czasem żądano, by przed swoim wystąpieniem przedstawił na piśmie, co zamierza mówić, żeby coś mu podpowiedzieć, a może nawet narzucić swoje zdanie. Zawsze bez powodzenia, nigdy na to się nie zgodził.

Wojsko czuło, że rośnie jego prestiż. Kadra była dumna, że wreszcie się pojawił ktoś o tak niezwykłych cechach osobowych, a przy tym bardzo skromny. W biurze ministra Onyszkiewicza każdy oficer był traktowany jak równoprawny partner, można się było napić kawy, herbaty, wody... Ale ta jego skromność też wielu irytowała. W wojsku bowiem były dość powszechnym zjawiskiem alkoholowe libacje, a tu okazało się, że zwierzchnik jest kompletnie nietrunkowy... Generałów taka niezrozumiałość dla nich wstrzeźliwość wprowadzała w zażenowanie... Mało który z nich mógł też dotrzymać towarzystwa ministrowi, gdy na przykład

poszedł w góry z komandosami. Jeden generał nawet ośmielił się powiedzieć, że nie chce swego zdrowia tracić na takie łażenie po górach i woli sobie wypić piwo...

Do którejkolwiek jednostki przyjeżdżał, traktowany był jak carski rewizor, przed wyjazdem suto go chciano obdarować a to całym cielakiem, a to koszem pełnym grzybów... W dniu imienin ministra całe sznury, od pułkownika wzwyż, ciągnęły do jego gabinetu. Każda jednostka chciała dać dowód, że pamięta, przynosili więc najrozmaitsze prezenty. Tymczasem, okazało się, że minister jest całkowicie odporny na przyjmowanie jakichkolwiek upominków!... Albo - wszyscy oficerowie jeździli zwykle nowymi samochodami służbowymi, on, wiceminister, na początku zwyczajnym rowerem, później bodaj najbardziej wysłużonym w całej armii polonezem... Nigdy nie zabierał żołnierzy na działkę, sam też nikogo prywatnie nie odwiedzał, nie jadał obiadów w kasynie, nie dowcipkował z kobietami, nie zaczepiał cudzych żon... Jego zadowalała tylko własna rodzina, dom.

Jakże to wszystko ich denerwowało! Uznali, że jest niebezpieczny, bo jeśli tak dalej pójdzie, to wszystkie przywileje utracą. Słyszałem, jak sobie trwożliwie po kątach szeptali: - Tylko nic nie mów mi na jego temat, bo zaraz aż mnie całego trzęsie!...

Joanna: - Polityk musi być przejrzysty, jego rodzina też musi się godzić z dość daleko idącymi ograniczeniami. Doświadczylam tego na własnej skórze. Ponieważ zasiedziałam się w domu, czułam się dosłownie jak zardzewiała, moją architektoniczną wiedzę o polskich, najczęściej ogromnie zaniedbanych dworach i pałacach, chciałam wykorzystać i wpadłam na pomysł, aby poszukać, głównie wśród naszej Polonii, inwestorów gotowych ratować te budowle tak ściśle związane z historią kraju.. Zdawałam sobie sprawę, że sama takiego zadania nie udźwignę, przez Andrzeja Zajączkowskiego poznałam Janusza Lipińskiego, właściciela zarejestrowanej, ale „śpiącej” spółki. Szybko dogadaliśmy się i w styczniu 1990 roku założyliśmy firmę pod nazwą „Korona Co.”, która miała zainteresować osoby polskiego pochodzenia, by zamiast kupować domy w innych krajach, inwestowali w polskie dworki, remontowali, konserwowali i przeznaczali na cele rekreacyjno-turystyczne. Nie podejrzewałam, że tego rodzaju pośrednictwo może wzbudzić czyjekolwiek zastrzeżenia, a nawet zarzuty uprawiania przez nas jakiejś nieuczciwej działalności. Okazało się jednak, że nie wystarczą uczciwe intencje, a moje przekonanie wynika z pewnej naiwności. Nim „Korona” zdążyła się jako tako umiejscowić w biznesie, zdecydowałam się pod wpływem czynionych uwag pod naszym adresem, wycofać się całkowicie z tego biznesu. Nie wnikałam, z jakich pobudek płyną te uwagi, nie przekonywałam jak dalece są bezzasadne, odstąpiłam, choć nie bez żalu, wszystkie swoje udziały w „Koronie” małżonce mojego współnika. Pogodziłam się, że sprawy biznesowe w ogóle są dla nas zamknięte. Również giełda, na której w pierwszym roku wielu ludzi zarobiło duże pieniądze. Na pewno Janusz mógłby z powodzeniem inwestować, ale przecież zawsze ktoś by podejrzewał, że dzięki poufnyom informacjom odnosi sukcesy. Jak można się obronić i przekonać, że wyłącznie dzięki własnej wiedzy i pewnemu talentowi?...

Moje odejście z „Korony” na pewno było z korzyścią dla moich dzieci, męża i całej rodziny. Tym bardziej że wciąż jeszcze urządzałam własne gniazdo oraz nadzorowałam budowę domu dla moich powracających do ojczyzny rodziców. Najpierw szukałam dla nich dużego mieszkania, aby ciocia Wanda mogła być blisko, bo miała problemy ze zdrowiem i wymagała stałej opieki. W końcu zdecydowaliśmy, że za pieniądze uzyskane ze sprzedaży domu w Londynie kupią dom w stanie surowym, który znalazłam dla nich w Wilanowie. Jak tylko mogłam, starałam się, aby był gotów na przyjęcie rodziców, ale się nie udało, na rynku brakowało materiałów budowlanych, trudno też było zaangażować fachowców, którzy przykładaliby się do pracy, chyba jeszcze wtedy takich w kraju nie było. W rezultacie, gdy w październiku rodzice i ciocia wrócili do kraju, po aż pięćdziesięciu jeden latach przymusowej nieobecności, zamieszkali z nami, bo ich dom nie nadawał się jeszcze do zamieszkania.

Paweł Mikłasz: - Powrót pani Wandy Piłsudskiej i jej siostry, Jadwigi z mężem był dokładnie taki, jacy oni są naprawdę: bez fanfar. Tak nakazywało im sumienie i ich wola, w

kategoriach osobistej sprawy, bez jakiegokolwiek manifestacji. Ponad połowę dorosłego życia spędzili poza krajem, zawsze niezwykle wierni idei niepodległej Polski, zdeterminowani wiarą, że jednak się uda powrót do wolnego kraju.

Joanna: - Na Okęcie przyjechał premier Tadeusz Mazowiecki. Razem podjechaliśmy na płytę lotniska w pobliże samolotu. Unikaliśmy jakiegoś hucznego powitania, konferencji prasowej. Mama ma osobowość szalenie prywatną i nie lubi wszelkich oficjalności. Najpierw my przywitaliśmy się z rodzicami i ciocią, za moment przywitał ich premier i podali wopisćcie do sprawdzenia paszporty, jedne z pierwszych po wojnie, wystawione z datą czwartego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku, z prawdziwym polskim orłem w królewskiej koronie!

Jadwiga Jaraczewska - Nawet krajobrazy z mojego dzieciństwa się nie zmieniły. Tyle lat nas nie było, a Zamek stał jak dawniej, jedynie ta świadomość, że przecież został zrównany z ziemią, całe Stare Miasto jak było, Belweder... Tylko na Klonowej drzewa bardzo urosły, ogród i otoczenie się zmieniły. Mieliśmy pewne uczucie nierzeczywistości...

\*

„Życie prywatne było w opinii starożytnych jakby zapleczem życia publicznego. Kto żył jedynie prywatnym życiem, kto do spraw publicznych miał dostęp odcięty (jak niewolnik) bądź kto żył w świecie, gdzie życie publiczne było nieobecne (jak barbarzyńca), ten nie był w pełni człowiekiem”<sup>194</sup>.

Kilka wieków później osiemnastowieczny pamiętnikarz i historyk Jędrzej Kitowicz gorszył się, że „kobiety po całych sesjach przesiadują na ganku w izbie sejmowej, dają znaki posłom i senatorom przymileniem ust lub marszczeniem czoła, co im się podoba, a co nie podoba”, ale już Aleksandra Piłsudska zauważała, że „patriotyzm Polek był niewątpliwie zawsze żywszy i bardziej uczuciowy niż patriotyzm mężczyzn”, a Józef Piłsudski takimi słowami dziękował za poparcie, jakiego właśnie kobiety udzieliły Legionom: „Pierwsze poszły za nami kobiety. Kobiety odczuły silnie piękno życia, odczuły tę przekorę legionową, która szła wbrew całemu światu, która szła przebojem przeciw własnemu społeczeństwu, żądając od niego, jeżeli nie uznania, to szacunku dla polskiego żołnierza. W ślad za nami, trop w trop za naszymi żołnierzami, idą kobiety, oczarowane pięknem duszy, pięknem wartości moralnej, którąśmy z siebie wydobyli”<sup>195</sup>.

Joannie odpowiada rola aktywnej żony polityka, która zarówno wspiera męża w oficjalnych sytuacjach, jak też prowadzi dom w takim stopniu, aby on mógł swobodnie zajmować się polityką. - Jeśli rodzina jest tak zżyta jak nasza i ważne jest, co mąż i ojciec tej rodziny robi, wszystko mu podporządkowujemy. Jeśli więc Janusz należy do społeczeństwa, to siłą rzeczy jego rodzina staje się własnością społeczeństwa i rodziną polityczną. Zaczynamy jakby „pożyczać” swoje życie...

Janusz: - Dość powszechne jest oczekiwanie, że Joasia reprezentuje rodzinę marszałka Piłsudskiego. To stanowi dla niej pewien ciężar. Ludzie bowiem baczniej nas obserwują, spodziewają się od nas niejako więcej, wobec czego trzeba tym oczekiwaniom sprostać. Dla mnie jeśli chodzi o moje działania polityczne, też stanowi to dodatkowe obciążenie. Polityka jest sztuką kompromisu, ale kompromis zawsze niesie ze sobą groźbę, że się pójdzie w tym układowie za daleko. I tu właśnie istotną podporą jest dla mnie Joanna - osoba racjonalnie fundamentalistyczna. Stała się moim politycznym sumieniem rozstrzygającym, czy na jakiś kompromis mogę, czy nie powinienem iść. Fakt powiązań rodzinnych mojej żony ułatwia nasze rozmowy. Piłsudski był przecież mistrzem mądrych kompromisów, które służyły dobrej sprawie. Joanna się ciągle obawia, czy nie jestem przytłaczany tym faktem, że jest wnuczką Piłsudskiego, czy nie mam pewnych kompleksów, że ocena mojego działania jest determinowana do jakiegoś stopnia przez ten fakt. Tego rodzaju kompleksów nie mam, ludzie wystawiają mi rachunki za to, co ja robię. Ale dla mojej żony to ciągle jest problem. No, może poza humorystycznymi sytuacjami. Kiedy była panienką, jej znajoma w Londynie, straszna snobka, co chwila próbowała Joasi imponować, aż wreszcie Joasia nie wytrzymała: - A gdyby mój dziadek chciał, to zostałabym królowną - odparowała, przebijając zdecydowanie wszystkie tamtej przechwałki<sup>196</sup>.

Kiedy indziej na powitanie Joasi jedna z pań z atencją wykrzyknęła:

- O, pani Piłsudska!

- Nie, Onyszkiewicz.

- Aa, to nazwisko panińskie?

- Nie, z domu jestem Jaraczewska.

- Hmm... – owa dama zasępiła się kompletnie widać zbita z pantałyku...

Joanna: - Tak już jest, że nad naszym życiem panuje Piłsudski i wcale nie jest łatwo być najbliższą rodziną legendy, jaką stał się mój wielki dziadek. Można utracić własną tożsamość, stać się przybocznym tej wspaniałej legendy. Jednak z drugiej strony, Boże święty, jak nie być dumnym, że należy się do rodziny człowieka, który potrafił odzyskać dla Polski niepodległość?... Staramy się, by legendarna postać mojego dziadka nie ciążyła na naszym życiu osobistym, żeby nie połknęła naszej rodziny. Gdy wydałam przyjęcie z okazji dwudziestole-

cia mojego powrotu na stałe do Polski, podziękowałam mojemu mężowi, że miał odwagę ożenić się ze mną, wnuczką Józefa Piłsudskiego. Pamiętałam słowa jednej z moich przyjaciółek, która mnie uprzedzała, że mało kto zdobędzie się na odwagę, aby wziąć na siebie taki ciężar historycznego bagażu i związanej z nim odpowiedzialności.

Hanka Fedorowicz: - Joanna jest naturalna i całkiem zwyczajna, swojska. Nie wykorzystuje faktu, że jest wnuczką Marszałka, co u wielu ludzi budzi wielką i powiedziałabym zrozumiałą ciekawość. Kiedy na przykład Norman Davies przyjechał pierwszy raz po stanie wojennym do Warszawy, jedno mu było w głowie: poznać osobiście Joasię, wnuczkę Marszałka Piłsudskiego! Ogromnie mu na tym zależało, był tak szalenie przejęty, że wręcz rozgorączkowany... Opowiadała mi znajoma z „Tygodnika Mazowsze”, że w związku z którąś rocznicą Cudu nad Wisłą, chciała z Joasią porozmawiać o Dziadku, ale to się zupełnie nie udawało, bo Joasia z każdego pytania zbaczała na Janusza. Była tak zakochana, że nikogo większego czy ważniejszego od niego nie było. I wydaje mi się, że tak zostało do dziś.

Paweł Mikłasz: - Jest osobą, która czasami nawet trochę denerwuje ludzi współpracujących z Januszem na płaszczyźnie politycznej, bo stawia ścianę chroniącą rodzinę, jeśli cokolwiek zagraża ognisku domowemu, to ona niczym Walkiria mieczem ognistym odpędza wszystko.

Hanka Fedorowicz: - Ona jest doskonale reprezentacyjna i reprezentująca, bez własnych aspiracji zdobycia pozycji.

Joanna: - W powszechnym odczuciu jest trochę taka opinia, że ministrowa musi mieć niańki, gosposie, a jedynym jej zmartwieniem to ładnie się ubrać. W moim przypadku na pewno nic takiego w ogóle nie wchodzi w rachubę, na co dzień jestem najzwyczajniejszą kobietą bez męża... Kilka razy przeżyłam chwile grozy. Gdy byłam sama w domu z czwórką dzieci i w ciąży z piątym, zadzwonił o północy telefon: - Janusz - usłyszałam w słuchawce - masz w domu podłożoną bombę! Zmartwiałam. W kraju atmosfera była podgrzana, upadał właśnie rząd Olszewskiego. Zadzwoniłam zaraz na policję. Natychmiast przyjechali ochroniarze, przeszukali cały dom, nic na szczęście nie znaleźli. Innym razem ktoś powiadomił policję, że w naszym mieszkaniu są złodzieje. Nic o tym nie wiedziałam, gdy usłyszałam dzwonek do drzwi, otwieram, a tu dwóch barczystych mężczyzn w czarnych panterkach z bronią gotową do strzału!... Starczyło mi refleksu, aby natychmiast zatrzaskać im drzwi przed nosem. Dzieciom kazałam na kolanach przejść do tylnej części mieszkania, bałam się, że mogą do nas strzelać przez drzwi... Już po wszystkim, kiedy wyjaśniło się, że to policja, a nie bandyci, dowiedziałam się szczegółów. Ktoś zaalarmował policję, że jest naszym sąsiadem i widzi z okna włamywaczy w naszym mieszkaniu. Kto to był, nie zdołano ustalić.

Na początku tego gorącego czerwca, w dniach kryzysu politycznego wywołanego „teczkami Macierewicza”, który doprowadza do upadku rządu Jana Olszewskiego, Joanna musi parę dni zostać w szpitalu, lekarze obawiają się poronienia. Szóstego czerwca 1992 roku Onyszkiewicz jak co dzień jedzie do sejmu rowerem. Wypadki tego dnia toczą się błyskawicznie. O wręczeniu przez prezydent Lecha Wałęsę w trybie pilnym w obecności nowego premiera, Waldemara Pawlaka, mężowi nominacji na podsekretarza stanu w MON<sup>197</sup> Joanna dowiaduje się w szpitalu z informacji radiowych.

Janusz: - Miałem natychmiast pojechać do MON-u i przejąć obowiązki. Uparłem się, że pojedę rowerem, ale funkcjonariusze BOR-u nie zgodzili się, aby oni jechali rządową lanią, a ja przed nimi rowerem. Wsadzili więc mojego „Rometa” do bagażnika, a ponieważ się nie mieścił i wystawało jedno koło, musieli zwiesić na nim czerwoną szmatę. Obejmując stanowisko, zrezygnowałem z rządowej lani oraz przysługującej obstawy Biura Ochrony Rządu. Jeździłem, podobnie zresztą jak całe ówczesne kierownictwo ministerstwa, polonezem, a ochraniaли mnie, o ile rzeczywiście była potrzeba, żołnierze z żandarmerii wojskowej.

Stanisław Dronicz: - Wiadomość o powrocie Onyszkiewicza kadra przyjęła z zadowoleniem. Miesiąc później z nominacji premier Hanny Suchockiej został ministrem obrony narodowej.

Joanna: - Z okazji nominacji nie było w domu żadnego przyjęcia, bo nie odczuliśmy tego awansu w kategoriach uroczystych, ale raczej powagi i obowiązków. Człowiek jest dumny, ale jest to prywatna duma, niekoniecznie trzeba się z nią zaraz publicznie obnosić. Nie było też czasu, nasz mąż i ojciec znów po prostu zniknął nam z oczu.

Dokładnie w czwartym dniu sprawowania przez Janusza Onyszkiewicza najwyższego stanowiska w MON, przyszedł dawny znajomy, oficer i alpinista, Zbigniew Skoczylas: - W dziewięćdziesiątym roku inny mój znajomy z gór, Krzysztof Kozłowski, ściągnął mnie do MSWiA, bym zajmował się problemem uchodźców w Indiach i Nepalu. Pracowałem tam dwa lata, zorganizowałem departament uchodźstwa i emigracji, a później pani profesor Ewa Łętowska poprosiła, żebym w Urzędzie Rzecznika Praw Obywatelskich zorganizował zespół dla spraw żołnierzy i służb mundurowych. I pracowałem tam jeszcze, gdy już rzecznikiem został Tadeusz Zieliński. Do ministra obrony narodowej musiałem się udać w związku z jakąś sprawą dotyczącą pretensji i żalów zaszczytowych, którą dostałem do załatwienia. Po służbowej rozmowie Janusz powiedział, że potrzebuje kogoś do kierowania departamentem kadr w MON-ie i zapytał, czy bym się zdecydował objąć to stanowisko. - Zależy od profesora Zielińskiego - odrzekłem - jeśli wyrazi zgodę, proszę bardzo. Janusz przekonał profesora Zielińskiego.

Janusz: - Potrzebowałem fachowca, wiedziałem o odpowiednich kwalifikacjach Skoczylasa, nie miały dla mnie znaczenia dawniejsze zawirowania w naszej znajomości.

Zbigniew Skoczylas: - Wcześniejszy czas wiceministrowania bardzo wiele go nauczył, nie był już homo novus w tym resorcie. Oczywiście, dla każdego, kto nie piął się w wojsku od najniższych szczebli, pewne kwestie zawsze są odkryciem, ale minister nie musi być wszechwiedzącym i absolutnym znawcą w każdej sprawie. Istotne jest, by miał wokół siebie właściwych, kompetentnych ludzi. Janusz skutecznie dążył do stworzenia sobie takiego zespołu.

Stanisław Dronicz: - Bardzo powściągliwie postępował w decyzjach personalnych. Wojskowi, jak kawalerzyści, chcieliby szybkiego rozstrzygnięcia: winny albo niewinny, ukarać natychmiast, a potem już dojdziemy, kto naprawdę zawinił. Do takiego trybu byli przyzwyczajani przez dziesiątki lat, a tu spotkali się z ogromną rozważą, szło wszystko wolno, aby przypadkiem nie wylać dziecka z kąpielą. Przy tym Janusz Onyszkiewicz, jako człowiek skromny, większość spraw sam prowadził. Nawet na listy, których wpływały dziesiątki, próbował odpowiadać osobiście. Tego rodzaju samodzielność nie zawsze jest konieczna. Był też prawdziwie lojalny wobec premiera i rządu, czasami aż chyba niepotrzebnie, bo płacił za to cenę polityczną.

Dla wojska zaczął się wtedy czas wyjątkowo niekorzystny. Polacy nie czuli już zagrożenia, wśród polityków, ani w społeczeństwie nie było zaangażowania w sprawy armii, brakowało lobby, które by zmuszało do myślenia o nakładach, zmniejszyła się liczebność wojska. Nie naśladował Reytana, nie urządzał historycznych scen, że się nie zgadza, nie pozwala na tak niski budżet, nie stawiał veta, bo był bardziej mężem stanu i kierował się racjonalizmem. Nie krzyczał w sejmie, a tylko prosił. Tym czasem armia chciałaby osoby walczącej o jej sprawy, wojskowi byli rozczarowani, że nie zabiega o pieniądze, o lepsze emerytury dla nich. Do tego skutecznie pozbawiał synekur - na przykład zauważył, że kierownicy klubów oficerskich czy wykładowcy na studiach wojskowych nie muszą być zaraz w randze pułkowników, wystarczą im stopnie poruczników i kapitanów. Albo komendanci ośrodków wypoczynkowych, też wszędzie pułkownicy z darmowym jedzeniem i darmowym spaniem, a Onyszkiewicz im mówi, że takie ośrodki mogą prowadzić cywile. To za co go mieli lubić?...

Nie umiał albo nie chciał robić sobie reklamy, nawet przy zdjęciach pamiątkowych stawał skromnie z boku, choć z urzędu powinien zająć miejsce w centrum i na podwyższeniu, aby nikt nie mógł mieć wątpliwości, kto jest osobą najważniejszą na tej fotografii. W sumie to

złożyło się na nienajlepszy jego wizerunek w oczach armii, złał się w średniość. Zdecydowanie za to wyróżniał się we wszystkich sprawach dotyczących dążeń Polski do NATO.

Janusz: - Pełniąc ministerialną funkcję doświadczyłem, że bardzo często pole manewru ze względu na opór materii jest znacznie mniejsze niż by się wydawało. Opór materii bywa kolosalny! Czasami z uwagi na uwarunkowania zewnętrzne, czasami jest to materia w postaci struktur, układów, sposobu myślenia ludzi. Zmiany można realizować tylko w bardzo długim okresie, nie można tego zrobić prędko. Burzyć jest bardzo łatwo, budować trudno. Mam zasadę, którą bym nazwał odwrotną brzytwą Ockhama<sup>198</sup>: nie niszczyć bytów ponad potrzebę.

Joanna: - Na Zachodzie udział rodziny w życiu polityka jest zupełnie naturalny, dlatego podczas nieoficjalnych spotkań międzynarodowych łatwo znajdowaliśmy sprzymierzeńców. Janusz zawsze chodzi z plikiem rodzinnych zdjęć w kieszeni. Pokazujemy zdjęcia dzieci, lubimy słuchać o dzieciach innych polityków, a to zjednuje ludzi. Czasami słyszałam: - A... nie będę cię zanudzała opowieściami o swoich dzieciach. - Ależ mów, przecież my to kochamy - odpowiadałam. I bardzo szybko rozmowy schodziły na tematy rodzinne, po czym Janusz z tą osobą zasiadał do negocjacji. Jest to jakieś ocieplenie stosunków. Dlatego też zupełnie świadomie wykorzystywaliśmy sprawy rodzinne do ponadpolitycznego porozumienia i odsztywniania atmosfery w wojsku. Na początku trochę szokowało, że dzieci przyszły do ministerstwa, albo Janusz zabiera Stasia na poligon, czy nawet na trybunę podczas defilady.

Przykładem włączenia dzieci do polityki, w dobrym tego słowa znaczeniu, był nasz pierwszy wyjazd na Litwę, gdy zabraliśmy Wisię i Stasia. Okazało się, że ówczesny minister obrony narodowej, Aurius Butkieviczius ma syna w wieku naszego Stasia i od razu nawiązał się ciepły, serdeczny kontakt. Ustalono, że obaj ministrowie złożą kwiaty na cmentarzu, gdzie spoczywają żołnierze litewscy i polscy z wojny dwudziestego roku: polski minister na grobach litewskich, a litewski na mogiłach polskich żołnierzy. Sprawa była dość delikatna, bo dotyczyła przecież wydarzeń ogromnie drażliwych w historii naszych narodów. Dzięki temu, że obu ministrom towarzyszyli ich synowie, uroczystość składania kwiatów siłą rzeczy nabrała bardzo ludzkiego, wcale nie politycznego wymiaru, wszyscy byli tak wzruszeni, że już nie mogło być mowy o jakimkolwiek politycznie niepoprawnym akcie.

Oczywiście, czasem jednak trzeba zachowywać umiar. Nie popisaliśmy się przezornością, udając się z oficjalną wizytą do Szwecji. Zabraliśmy dzieci, bo płynęliśmy tam raketowcem „Orkanem”, którego byłam matką chrzestną, była więc dobra okazja, aby nabrały pojęcia, co to jest marynarka wojenna, jak wygląda służba na takim okręcie. Spodziewałam się, że na czas naszej wizyty dzieci zostaną na pokładzie pod opieką marynarzy, ale w praktyce okazało się to absolutnie niemożliwe. I w rezultacie Szwedzi zupełnie nie wiedzieli, co z nami zrobić...

Innym razem zabraliśmy dzieci na uroczystości związane z rocznicą „cudu nad Wisłą”, piętnastego sierpnia. Uważaliśmy, że będzie to wymowny symbol ciągłości polskiej historii i naszej rodziny. Staliśmy na trybunie honorowej, na placu Piłsudskiego, przed grobem Nieznanego Żołnierza, podziwiając wspaniałą defiladę, gdy nagle najmłodsza córeczka zawołała: - Tatusiu, ale ja chcę siusiu... Szeptem zwróciłam się do adiutanta, by pomógł wyjść z tej nieoczekiwanej opresji i oficer stanął na wysokości zadania, a mąż ze stoickim spokojem zniósł tę niecodzienną sytuację...

Wiem od mojej mamy i cioci, że dziadek chciał, żeby jego ukochane córeczki niemal wszędzie z nim były, bo tak niewiele czasu mieli dla siebie. Mąż też lubi mieć przy sobie nasze dzieci. Myślę, że to świadczy o normalności kraju i każdego polityka, bo pomaga mu otworzyć się na ludzi. W naszym domu ponad wszystkimi sprawami stoi rodzina, jest jak kotwica. Choć co prawda obowiązki ministerialne męża czasami burzyły tę opokę. Tak się zdarzyło, gdy na świat miało przyjść nasze piąte dziecko – Andrzejek.

W sobotę, 12 grudnia 1992, Janusz miał wyjechać służbowo za granicę, a my spodziewaliśmy się rozwiązania już od tygodnia każdego dnia, ba, nawet w każdej chwili. Poniedziałek

minął i nic, wtorek też nic, w środę nic... rany boskie, jedyna możliwość, żeby Janusz był przy porodzie, to czwartek, no, najpóźniej w piątek. Umawiam się więc z lekarką na czwartek, dzwonię do męża, że idę do szpitala we czwartek, jest gotowość porodowa i lekarze mają wywołać narodziny dziecka.

- Wiesz, właściwie to jest dla mnie termin bardzo niewygodny - odpowiedział rzeczowo.

- To kiedy? Przecież w sobotę wyjeżdżasz!

- No..., w porządku, postaram się być przy tobie - łaskawie ustąpił.

Gdy we czwartek go zawiadomiłam, że właśnie jadę do szpitala, usłyszałam tylko: - Dobrze, dobrze...

Zdążył jednak na czas. Podłączyli mi kroplówkę na wywołanie skurczy, już zaczynam się pocić, a mój drogi siedzi przy moim łóżku na krześle, spokojnie otwiera aktówkę i podpisuje jakieś służbowe papiery... Później lekarz go zaprosił na obiad, a ja zostałam sama. Cały czas się niepokoilałam: Gdzie jest mój mąż? Czy zdąży na poród?.. Na szczęście zdążył!

Janusz: - A w styczniu z Andrzejkiem, jeszcze przecież zupełnym niemowlakiem, poszliśmy na przyjęcie noworoczne, które wedle tradycji wydaje minister obrony dla attaché wojskowych z żonami. Po pewnym czasie spostrzeżliśmy, że niemal wszystkie panie gdzieś nagle zniknęły. Okazało się, że poszły asystować Joasi, która musiała nakarmić Andrzejka.

Joanna: - Naszej rodzinie otoczenie zawsze przygląda się dość bacznie. Szczególnie atrakcyjni staliśmy się jednak dla mediów, gdy mąż zaangażował się bez reszty w proces wejścia Polski do NATO, co zresztą stało się też ważną sprawą również w naszym osobistym życiu. Dziennikarze polscy i zagraniczni często robili wywiady z Januszem, a jak z nim to i z żoną oraz dziećmi. Zaistnieliśmy w społeczeństwie jako rodzina.

Stanisław Dronicz: - Minister wyróżniał się w sprawach dotyczących dążenia Polski do wejścia do NATO. Tu jego ogromna roztępa, skuteczność i to, że był osobą znaną i wiarygodną wśród polityków z Zachodu, głównie Amerykanów, szalenie pomagała, była wprost nieoceniona. Wiedział przecież, jak duże braki ma wojsko, a przekonywał zachodnich polityków o wielkiej wartości polskiego oręza i oni całkowicie mu ufali.

Joanna: - Mnie się wydaje, że mąż bardziej jest doceniany za granicą niż w kraju. Jego styl uprawiania polityki jest bardzo zachodni. Ma głęboką kulturę i spokojny sposób bycia, jest bezkonfliktowy, a to na Zachodzie uchodzi za normę. Do tego ma romantyczną przeszłość nie tylko osobistą, ale „Solidarnościową”. Z Bronisławem Geremkiem cały czas jeździli po świecie i rozmawiali, rozmawiali... Tak często wyjeżdżał na konferencje w sprawach NATO, że on mi wprost zniknął z życia. Towarzyszyłam mężowi na jednej z konferencji, organizowanej przez amerykańską fundację „Aspen Institut”.

Janusz: - To były doroczne, tygodniowe konferencje dla kongresmanów i senatorów amerykańskich, zapoznające ich z sytuacją w Europie Środkowej i Wschodniej. Odbywały się co roku w innym miejscu. Zapraszano na nie ekspertów oraz polityków z krajów tej części Europy. Zaproszenia, aby atmosferę nieco udomowić, obejmowały także małżonki. Siłą tych konferencji była właśnie atmosfera. Obok rozmaitych merytorycznych dyskusji zawiązywały się szalenie pożyteczne dla wagi państwowej prywatne znajomości polityków z różnych krajów.

Joanna: - Od wczesnego rana do późnej nocy Janusz rozmawiał cierpliwie i uparcie na ten sam temat - wejścia Polski do NATO. Nierzadko nie miał nawet czasu na posiłek i wracał do pokoju głodny. Czasem chciałam się przysiąc do jakiegoś miłego towarzystwa. - Nie Joasiu, mimo że na pewno są szalenie mili, ale nie usiądziemy, bo oni są już przekonani, a musimy przekonywać następnych - Janusz decydował. Wszystko miał precyzyjnie przemyślane i absolutnie podporządkowane tylko tej jednej sprawie - przyjęcia Polski do NATO... Było o co walczyć! Rosjanie czynili wszystko, co mogli przeciwko przyłączeniu Polski do NATO, a Amerykanie zdawali się być pod ogromnym wpływem ich argumentacji. Szczególnie więc trudne i długie, wymagające ogromnej cierpliwości i determinacji były rozmowy z Rosjanami, aby wytrącić im argumenty albo przynajmniej je zmarginalizować. Raz wtedy - pamiętam

- siedziałam przy jednym stoliku z wnukiem Wiaczesława Mołotowa, część wykształcenia zdobył w Stanach i rewelacyjnie mówił po angielsku. Staralam się to traktować jako niezbyt fortunny zbieg okoliczności.

Od momentu, gdy Janusz został ministrem<sup>199</sup>, masę czasu zaczęliśmy spędzać w kręgach ludzi polityki. Środowisko i znajomości męża siłą rzeczy są otoczeniem żony, a wspólny cel rodzi przyjaźnię. Polityka przy tym wymaga absolutnej koncentracji, maksymalnego skupienia. Musiałam w niej uczestniczyć bo stała się naszym codziennym życiem, mąż o niczym innym nie bardzo potrafił mówić. Próbowałam z tym walczyć, utrzymać równowagę, wprowadzałam inne tematy, zapraszałam ludzi spoza polityki, ale on nie brał w tym udziału, już nie starczało mu czasu.

Janusz: - Polityka wyjąławia człowieka z treści, nie zostawia czasu na inne zainteresowania, na przykład literaturą czy filmem. Niestety, dzisiejsi politycy, przykro to powiedzieć, dość dramatycznie odbiegają od tego, co zwykle się uważać za profil polskiego inteligenta.

Polityka też sprawiła, że ostygła przyjaźń Onyszkiewiczów z „Rzepą”. - Ja zawsze byłam trochę człowiekiem plebejskim, a to są zupełnie różne od mojego style życia, zupełnie inne kręgi. Przyznam szczerze, że jak przeczytałem w gazecie, iż Janusz brał udział na Służewcu w jakimś spotkaniu super-biznesu, które było niezmiernie dystyngowane, światowe, pomyślałem: biedny Janusz. Współczułem mu, ale to jest jego wybór. Ja nie lubię polityków, uważam, że są ludźmi, którzy niewiele tworzą, tylko zonglują tym, co już inni stworzyli. Chcę być jak najdalej od polityki. Tak naprawdę to czego spodziewaliśmy się po upadku komunizmu, wynikało w dużej mierze z naszego poprzedniego życia, z naszych ideałów, pragnień, które były w czasach komunizmu u wszystkich równo stłumione. Potem te nasze pragnienia doszły do głosu i ujawniło się, jakie każdy z nas ma naprawdę. I nie musiały być wcale takie same, częściej bardzo różne. W końcu każdy po upadku komunizmu trochę czego innego się spodziewał. Myślę, że trochę też idealizowaliśmy czasy, które nastąpią: że wszyscy będą żyć jak w raju, we wzajemnej życzliwości i naturalnym kompromisie, że wszyscy będziemy grali do jednej bramki. Okazało się, że każdy, czy też grupa, miał tę bramkę gdzie indziej.

Nie mogę powiedzieć, że nasze drogi z Januszem się całkiem rozeszły. Tylko kontakty stały się zdecydowanie rzadsze, bo jeśli chodzi o prywatne utrzymywanie kontaktów z politykami, jest to szczególnie trudne, ponieważ zawód polityka wymaga pewnego wyobcowania i nawet jeżeli polityk bardzo się stara, żeby zachować dawne znajomości na takiej samej fali częstotliwości, będzie to fizycznie niemożliwe. Zawód polityka mimo wszystko narzuca pewną izolację. Tutaj partyjni koledzy muszą być na pierwszym miejscu bezwzględnie. To wymaga zmiany stylu życia, choć Janusz specjalnie tego stylu nie zmienił. Rozdział naszej znajomości jest jeszcze nieskończony...

Andrzej Zajączkowski od czasu, gdy Janusza Onyszkiewicza wciągnęła polityka i sprawowanie władzy, właściwie tylko raz się z nim spotkał, w Pradze: - Minister Skubiszewski powołał mnie na dyrektora Instytutu Kultury Polskiej. Z okazji dziesięciolecia „Solidarności” w telewizji czeskiej odbyła się premiera „Robotników”, więc zaprosiłem do dyskusji Borusewicz i Fiszbacha oraz Janasa, Bujaka i Onyszkiewicza. Towarzystwo spotykamy się dwa razy do roku, na imieninach Janusza i Joanny.

Również Piotr Wojciechowski spotkał się z Januszem i Joanną okazjonalnie, może ze dwa razy: - Zawsze jednak miałem wrażenie, jakbyśmy się dopiero co wczoraj widzieli...

Częściej w domu Onyszkiewiczów bywał Paweł Mikołasz: - Gdy Janusz był zajęty, a Joanna miała jakiś problem w domu, że kran przecieka albo nie ma z kim dzieci zostawić lub musi któreś zawieźć do lekarza po prostu dzwoniła po pomoc. Nawet zaczęliśmy sobie żartować, że jestem p.o. jej męża. Moja żona też pomagała z matematyki dwójce dzieci Onyszkiewiczów. Kiedyś na jednej lekcji spotkały się u nas prawniczka Józefa Piłsudskiego z wnuczką ... Edwarda Ochaba<sup>200</sup>, bo swoją córkę przysyłała też na naukę Maryna Ochab.

Już wcześniej odżył kontakt z Marysią Szymańską: - Kiedy zamieszkałam w Warszawie, pracowałam jako lektor języka angielskiego. Często się spotykałyśmy lub tylko rozmawiałyśmy przez telefon. Przeżywałyśmy szczególnie trudne chwile, kiedy Janusz z różnych powodów był w domu nieobecny. Dużo czasu spędzałam z ich dziećmi. Cieszę się z chrzestnego syna, Andrzejka, którego podawałam do chrztu z Bronisławem Komorowskim.

Wanda Kościa czasami odwiedza Polskę i oczywiście Joannę. Nagadać się wtedy nie mogą, głównie o dzieciach, ale też o polityce. Wanda nadal mieszka w Anglii i pracuje dla telewizji. Wyszła za mąż za ekonomistę, Jacka Rostowskiego. Poznali się w Londynie. Jacek był potem doradcą ministra Leszka Balcerowicza.

Hanka Fedorowicz czuje się silnie związana z rodziną Onyszkiewiczów: - Z całą pewnością można powiedzieć, że się przyjaźnimy, choć nie jest to taka przyjaźń codzienna. Nasze drogi się nie rozeszły, tyle że może nie o wszystkim myślimy identycznie. Interesują mnie ich dzieci i to, jak się zmieniają. Interesuje mnie, jak dalece opinie Joasi o ludziach czy polityce różnią się od opinii Janusza. Lubię ich oboje. Cenię sobie tę przyjaźń. Urodziła się w stanie wojennym, a stała się spokojna i pewna.

Zbigniew Janas: - Nasze drogi, z Januszem, Zbyszkiem Bujakiem, Heniem Wujcem nigdy się nie rozeszły. Wspieramy się w trudnych sytuacjach. Janusz pomógł mi nawet wyjść z nielada opresji. Moja żona wyszła z mieszkania i zapomniała kluczy, a zamek mieliśmy zatraskowy. Nie mogła się w żaden sposób dostać, nikt z nas nie miał też zapasowych kluczy, a żeby rozwalić masywne drzwi, trzeba by rozwalić całą ścianę. Zadzwoiłem do Janusza. Na szczęście był w domu. - Janusz, nie masz wyjścia, musisz wziąć liny i z dachu, mieszkaliśmy na 11 piętrze, zjechać na balkon i otworzyć drzwi. Przyjechał, weszliśmy na dach, pozaczeplił liny za kominy, wszystko pozabezpieczał i zjechał z dachu na nasz balkon. Jego umiejętności alpinistyczne okazały się szalenie przydatne.

Z Joasią zaś załatwialiśmy sprawy wdów po tragicznie zmarłych na służbie pilotach<sup>201</sup>. Okazało się, że ona jest niesłychanie skuteczna, najlepiej rozumie co to znaczy zostać z dwojgiem, trojgiem dzieci bez ojca. Jest w stanie przebić się przez wszystkie bariery biurokratyczne i wymiernie pomóc.

A ponadto podawałam do chrztu ich córkę Dusię, więc jestem, można powiedzieć, w rodzinie.

Chris Niedenthal w Polsce założył rodzinę, miał własne studio fotografii reklamowej, swoje zdjęcia publikuje w czasopiśmie, zawsze zaprasza Onyszkiewiczów na swoje wystawy fotograficzne: - Cała rodzina Joanny była i jest dla mnie bardzo realnym wyartykułowaniem nie tylko bodaj najbardziej patriotycznego hasła „Honor i Ojczyzna”, ale też łatwo dającego się ująć w słowach „Honor i Rodzina”.

\*

„Mawiano, że Polska stała jednostkami - pisze Władysław Łoziński. - Rzec by raczej można, że stała rodziną (...) Przeważna część tych obowiązków, które spełniać winny państwo, władze, ustawy, spadała na rodzinę. Najsurowszy nawet sędzia przyznać musi, że rodzina polska spełniała ten wielki obowiązek, że była najsilniejszym fundamentem obywatelskim i narodowym, i że w najgorszych nawet czasach być nim nie przestała. Kiedy wszystko poszło w gruzy, na niej budowało się nowe życie”<sup>202</sup>.

Staś: - Rodzina jest najważniejsza, a tak liczna rodzina jak nasza uczy życia w grupie. Trzeba pomagać sobie wzajemnie. Ważni są też przyjaciele. Miłość. Coś, co da satysfakcję, pomoże znaleźć sens w działaniu, da napęd do motoru życia. Wtedy będzie radość, inaczej będzie ciężko. W życiu powinien się liczyć honor, dotrzymywanie obietnicy, stałość, a nie „słomiany ogień”. Człowiek honoru to taki, który góruje się nad innymi moralnością i czuje się tym usatysfakcjonowany. Warto mieć takie uczucie, to jest wielka zaleta.

Andrzejek: - W życiu najważniejsze jest robić dobre uczynki.

Dusia: - Ludzie powinni mieć do siebie szacunek, dzielić się tym co mają.

Wisia: - W tak licznej rodzinie mamy większe poczucie przyjaźni, odpowiedzialności, samodzielnosci. To są ważne cechy. Nie jesteśmy pupilami rodziców. Jest nas piątka i rodzice muszą równo rozłożyć swoją uwagę. W domu najważniejsza jest solidarność. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Owszem, nie zawsze we wszystkim zgadzamy się, ale na ogół tylko w sprawach błahych.

Dusia: - Musimy mieć do siebie sporo cierpliwości. Trzeba się ciągle organizować.

Danusia: - Przede wszystkim jest dużo obowiązków, ale fajnie się żyje. Wszystko też dużo kosztuje.

Andrzejek: - Gdybym nie miał rodzeństwa, byłoby głupio. Nie miałbym do kogo się zwrócić.

Dusia: - W czwartej klasie nauczycielka mi poleciła: - Wanda, ponieważ Marszałek był twoim pradziadkiem, wykujesz się o Piłsudskim Nikt się tego nie uczył, tylko ja musiałam. Wiele już wiedziałam od mojej babci i mamy, cały życiorys pradziadka musiałam opowiedzieć na lekcji.

Wisia: - Nie miałam w szkole takich problemów jak Dusia. Nikt nie robił sprawy z tego, że mam matkę, wnuczkę Piłsudskiego, i ojca, znanego polityka. Czasem tylko jakiś dowcipniś wygłaszał głupie teksty pod moim adresem: - o, pani ministrowa, może podać herbatkę?

Przeczytałam książkę o życiu prywatnym Piłsudskiego. Bo to jest, kurcze, tak, że my znamy go od strony historycznej, a nie wiemy wiele o jego codziennym życiu. Często mało się mówi dzieciom o dziadkach, a co dopiero o pradziadkach. Jego życie prywatne było naprawdę dla nas obce. Większość wiemy tylko ze szkolnej wiedzy. Rodzice i babcia opowiadają anegdoty, ale to jest dość odległe pokolenie i wiele się o tym nie mówi, a od nas wymaga się, żebyśmy o tym dużo wiedzieli. Chciałam poznać jego życie prywatne nie tylko dlatego, że był moim pradziadkiem, ale wielkim człowiekiem. Mam okazję poznać przy tym historię ludzi, którzy dla wielu są tylko pomnikami, czy postaciami z kart książki, a dla mnie rodziną.

Jak mówi mama: znane, legendarne postacie połykają resztę rodziny. Na szczęście u nas jest to mało odczuwalne, choć w pewnej mierze ciąży na naszej rodzinie. Nasz dom jest dość spięty. Związane to jest głównie z taty pracą, która rodzi problemy dla wszystkich: dla mamy, bo ma na głowie cały dom, dla dzieci, bo chcielibyśmy zwyczajnie częściej побыć z tatą. Jesteśmy dumni z taty. Nie znam się kompletnie na polityce, ale znam swojego tatę jako człowieka i wiem, że to, co robi, jest dobre. Wspieramy tatę swoją obecnością na różnych uroczystościach i imprezach, to jest ważne zadanie. Czasami jest nawet dla nas męczące, mało ciekawe, ale czego się nie robi dla taty. Nie widzimy go jako polityka, lecz jako ojca.

Tata ma wiele cech do naśladowania, na przykład spokój, odwaga. W ogóle tata jest dla mnie ideałem. Jednak w taty spokoju denerwuje mnie jedno: nie potrafi się bronić. Macha ręką i czeka, aż się wszystko uspokoi. Nie mogę tego znieść, mam po mamie, że muszę dzia-

łać. Muszę odpowiedzieć, nie mogę zostawić tego za sobą. Mama jest bardziej wybuchowa. Trzyma wszystko w swoim ręku, czasem w napięciu i dopiero tata łągodzi.

Staś: - Staram się dyskutować z tatą, ale tata ma tak mało czasu. Zdarza mi się chodzić po domu i wołać: poszukuję taty mojego! Ale jak już jest, to jakiegokolwiek byśmy nie poruszyli tematu, tata zawsze ma do opowiedzenia ciekawą historię. Nawet jak powiemy głupią rzecz, on znajdzie ze swoich doświadczeń jakąś pouczającą opowiastkę.

Dusia: - Chciałabym, żeby tata tak dużo nie pracował, żeby pojeździł ze mną na rowerze, grał w koszykówkę, żeby ze mną był.

Wisia: - Kiedy moje koleżanki przyszły kiedyś do mnie na całą noc, stwierdziły od razu: Wiśka, ty masz taką super rodzinę. Musisz być strasznie szczęśliwa. Wtedy doszłam do wniosku, że rzeczywiście jest mi czego zazdrościć.

„Rodzina naprawdę powstaje wtedy, kiedy przestaje się liczyć Ja, przestajesz się liczyć Ty, przestają się liczyć nasze dzieci jako osobne jednostki. Zaczyna funkcjonować coś, co stworzyliśmy razem<sup>203</sup>. Rodzina to też najbardziej psychologicznie korzystny sposób poradzenia sobie z egzystencjalną, ostateczną samotnością w świecie. Socjolog zaś powie, że rodzina jest kościołem, który podtrzymuje społeczeństwo. Przygotowuje ludzi do ról społecznych i zawodowych. Dyscyplinuje ich, ucząc dostosowania się do obowiązujących norm”<sup>204</sup>.

Joanna: - Rodzina, solidarność, lojalność, tolerancja, pojmowanie polityki jako służby - taki system wartości jest naszym drogowskazem. Przestrzeganie tych wartości nie daje gwarancji, że nie popełniamy błędów, ale, jak mówi profesor Władysław Bartoszewski, z systemem wartości po prostu łatwiej mu żyć. Nam również, choć wymaga to nieustannej samokontroli, popatrzenia na siebie z dystansem, autokrytyki, nie ulegania różnym na pozór niewinnym pokusom, umiejętności przyznania się do błędu, pilnowania, by nie popaść w samozadowolenie, nie stać się hipokrytą. Nie znamy gotowego przepisu i nie mamy recepty, jak najlepiej postępować, bywamy często zagubieni, wciąż szukamy najwłaściwszych rozwiązań, które dla innych wcale nie muszą być dobre. Tak jak w każdym, w nas również tkwią słabość i zwątpienie, tylko dzięki odwoływaniu się do wartości możemy łatwiej zaliczyć się do tych mniej słabych. Dlatego tak bardzo politykowi potrzebne jest oparcie w rodzinie, która, jak mówi mój mąż: przytrzyma go za frak.

Janusz: - Każdy, kto nie zajmuje się jedynie wąską, bardzo wyspecjalizowaną dziedziną, nie jest w stanie się wgłębić w poszczególne sprawy. To nie tylko dotyczy polityków, ale też na przykład szefów wielkich korporacji. We wszelkich opracowaniach, najczęściej bardzo grubych tomach, jest na początku executive summary, czyli streszczenie adresowane właśnie do szefów, którzy nie mają czasu na czytanie całości. Bo każda z tych spraw to jedna z pięćdziesięciu, którymi akurat w tym momencie muszą się zająć. Siłą rzeczy więc na to co się dzieje, reaguje się trochę splotnym działaniem. To staje się nawykiem i ta tendencja do naskórkowości przenosi się na życie rodzinne i bardzo źle się na nim odbija.

Joanna: - Przez całe lata każdego wieczoru składałam mężowi szybkie, pięciominutowe sprawozdanie, co się dzieje w domu. Bo kiedy wracał o dziesiątej czy jedenastej, zwykle był tak zmęczony, że nie mogłam się podzielić bardziej szczegółowo domowymi sprawami. Czasem umyślnie pytałam o opinię, aby go wciągnąć w sprawy rodzinne, by się nie czuł na ubożu rodziny. Nie miałam prawa go obciążyć pytaniami, próbą jakby dzielenia się z nim problemami rodzinnymi. Naprawdę ja wszystkim się zajmowałam i o wszystkim decydowałam. A gdy zdarzał się dzień wolny, wtedy próbował się w tę rodzinę na gwałt wtopić: przedstawiał rzeczy, dziwił się, dlaczego to czy tamto akurat stoi właśnie w tym miejscu, dlaczego nie ma marynarki, którą powiesił w szafie dziesięć lat temu... To było bardzo peszące, choć rozumiałam jego zachowanie, ale burzył nim moją, tak przecież delikatnie zbudowaną strukturę, którą starałam się sama dźwigać.

W pewnym sensie żyliśmy z dnia na dzień, taką codziennością bez codzienności. Zawsze dyspozycyjni, podporządkowani planom męża, bo razem mogliśmy planować tylko wtedy, gdy on miał czas. W domu ja byłam przewodnikiem, tu mąż chętnie ze mną dzielił się władzą.

Janusz: - Dwanaście lat mojej pracy polityka to jednak były w życiu rodzinnym lata nienormalne...

Już dość wcześnie przed wyborami do Sejmu we wrześniu 2001 roku, były wyraźne sygnały, że Unia Wolności, do której wstąpił w 1996 roku i z jej ramienia sprawował mandat poselski pozostanie poza sejmem. Joannę ogarnął niepokój o rodzinę. –To była czysto praktyczna troska. Co dalej? Jak myślisz nas utrzymać, mamy przecież pięcioro dzieci? - zapytałam. - Musimy zacisnąć pasa – odpowiedział - to nie jest moment na opuszczenie okrętu i choć w wyborach do Senatu miałbym znacznie większe szanse, będę startował do Sejmu, bo muszę zdobywać głosy dla Unii... Nie pisałam ani słówkiem, tak zdecydował i tak się stało...

Janusz: - W czasie wyborów mieliśmy z kolegami nadzieję, że uda się doprowadzić do takiej sytuacji, w której SLD nie zdobędzie tak wielkiej przewagi, i opozycja, w której spodziewaliśmy się mieć udział, będzie mogła wpływać na politykę rządu. Bo przecież opozycja może odgrywać znaczącą rolę nie tylko swoją liczebną obecnością w sejmie, ale także przez to co mówi, zwracając się z trybuny sejmowej nie tylko do posłów, ale przede wszystkim do opinii publicznej. Trzeba ją mobilizować do wywierania nacisku na rządzących, by zmienili zdanie i godzili się na rozsądne rozwiązania kompromisowe. Złożyłem wyborcom ofertę, że mogę zajmować się sprawami publicznymi i ponosić współodpowiedzialność za to, co będzie się działo w sejmie, ale wyborcy z mojej oferty nie skorzystali. W pewnym sensie więc zdjęto ze mnie odpowiedzialność i teraz mam spokojniejsze sumienie, nie muszę się natychmiast ustosunkowywać na przykład do często bardzo kontrowersyjnych wydarzeń w Sejmie.

Od tej chwili wracamy w rodzinie do normalności. Podobnie jak w kraju: kiedyś ogólna sytuacja była nienormalna, był inny system, teraz przez normalność rozumiemy życie w demokratycznym państwie<sup>205</sup>.

Joanna: - Przez te dwanaście lat wszyscy w rodzinie byliśmy zmęczeni. Ja miałam dość ciągłych dylematów moralno-politycznych, zastanawiania się, czy dany kompromis nie jest aby za daleko posunięty, dość czytania o sobie w pismach i gazetach, dość matkowania i tatkowania dzieciom, bycia jednocześnie w ciągłej dyspozycyjności do nagłych wyjazdów czy wyjść dyplomatycznych. Ja do męża, a dzieci do ojca nie mieliśmy żadnych praw. Oczywiście, były też znaczące satysfakcje, ale już nie chciałabym tego czasu powtórzyć. Spadło wielkie poczucie odpowiedzialności, jakie ciążyło dwanaście lat i odbijało się przecież na nas wszystkich. Teraz jesteśmy ze sobą znacznie bliżej niż przedtem, poczuliśmy się odblokowani. Nareszcie oboje mamy czas na dzieci, my, a nie tylko ja. Jakby poznajemy się na nowo, otwieramy na siebie.

Janusz: - W życiu osobistym to wspomniały czas...

Joanna: - Całkowicie zmieniło to nasze życie. Po raz pierwszy pojechaliśmy do naszych Lipianek sami, tylko we dwoje, bez dzieci,. Po powrocie Janusz zaraz poprosił, by w kalendarzu zapisać następny taki nasz weekend.

Janusz: - I Staś mnie już nie poszukuje, z Dusią mam czas pojeździć rowerem, z Andrzejkiem odrobić lekcje...

Mąż i tata Onyszkiewicz w oparciu o rachunek z dziedziny matematycznej zwanej kombinatoryką obliczył, że o ile w rodzinie trzyosobowej dla porozumienia się musi zaistnieć osiem układów między osobami, co wynika z prostego działania: dwa do potęgi trzeciej, to w tej rodzinie musi funkcjonować aż sto dwadzieścia osiem relacji, bo przecież: dwa trzeba podnieść do potęgi siódmej! Dlatego w tak licznej rodzinie ogromnie się trzeba skoncentrować, by wszystkie układy się zazębiały i zgodnie prowadziły do celu. Jednym z ważniejszych do tego narzędzi jest specjalny zeszyt. Domownicy, poza tatą, wpisują każde swoje wyjście,

choć, jak to w życiu bywa, czasem ktoś o tym obowiązku najzwyczajniej zapomina, podobno najczęściej zdarza się to mamie:

Idę na festiwal nauki. Chemia kwantowa. Będę ok. 21-tej. Staś.

Jestem u Lingwista, będę ok. 18,30 - Wisia

Jestem na tańcach. Będę ok. 21-ej - Wisia.

Dusia wyszła do papiernika<sup>206</sup>

Danusia na roweże z Pawłem O.

Dobrą formą wzajemnego informowania się są też kartki utykane w szczelinach oddzielających kwadraty lusterek zabezpieczających ścianę na wprost drzwi wyjściowych:

Dana! Wyczyść Ziutkowi terrarium!!!<sup>207</sup>

Filmy i video dla starszych dzieci. Wyłącznie po 22,00 za zgodą rodziców i o ile nie ma niczego do nagrania. W zupełnie wyjątkowych sytuacjach można obejrzeć coś w ciągu dnia też za zgodą rodziców. Mama

Dziś na obiad makaron i jajka, i sprzątnięcie! Sorry - Mama (aha! I zupa do wykończenia)

Dana! Sprzątasz całą sobotę! Yow! Zatkano? A może za mało? Bu!

Wisia! Sprzątasz w sobotę! Za mało? To w niedzielę i poniedziałek również! Be!!!

Dziś każda dziewczyna płaci po 1 zł za zostawione światło na górze - Mama

Dusia! Miałaś dać dokumenty komuś. Dokumenty te są z zebrania. Oddzwoń do niego (to był chłopak, może Zyziek)

Dzieci! 1. Dziś sprzątnięcie; 2. Przygotować porządne ubrania na jutro; 3. przygotować rzeczy na basen; 4. Dana odrabia trochę lekcji przed basenem; 5. Poniedziałek. Ortodonta, Wisia i Dusia do teatru; Andrzejek: robi drobne rzeczy, pomaga wszystkim.

Regulamin oglądania TV i Video w tym tygodniu: od 18,30-19,30. Wyłącznie za okazaniem programu filmu, który będzie uzgodniony ze wszystkimi dziećmi i ustalony na drodze konsensusu w piątek i sobotę do południa na cały następny tydzień.

W piątek i sobotę: od 18,30-19,30; od 20,00-22,00 ustalony film, wszyscy się muszą zgodzić do południa.

Staś kupił tusz do komputera. Podłącz go, bo ja nie wiem... Zgłoś się do Wisi w tej sprawie.

Mamo! Do Sulejówka zabierz taborety po dziadku i czajnik. (14 listop. Wtorek)

Lepiej zjeść i zachorować niż by miało się zmarnować?! - Wisia

Najlepszy czas na wspólne gadanie w domu to zwykle pora obiadu, gdy prawie wszyscy siadają w kuchni przy masywnym, prostokątnym stole z surowego drewna, wykonanym umyślnie według projektu Joanny Onyszkiewicz. - W naszym małżeństwie nie mamy czegoś takiego co nazywa się „rozmową dusz”. Nie grzebiemy sobie w sercach, po prostu całkowicie się akceptujemy. Przy tym kompletnie się nie rozumiemy i dlatego ten związek jest dla mnie tak fascynujący. Jest takie porzekadło angielskie „what makes you tick”<sup>208</sup>, ja nie bardzo wiem, co powoduje, że Janusz „tyka”, a on nie wie dlaczego ja „chodzę”. Nie grzebię w jego wnętrzu, nie zadreczam pytaniami: a dlaczego tak myślisz?, a dlaczego tak zrobiłeś?... Szanuję też jego wspomnienia.

Janusz: - Nie zajmuję się sobą. Uzewnętrznianie emocji czasami wiąże się z przerzucaniem problemów na innych, a tego nie robię i nie chcę czynić. Jest coś we mnie z życia dającego się określić maksymą „tu i teraz”. Nie mam ze sobą problemów. I chyba innym też jest ze mną dość wygodnie.

Joanna: - Patrzymy na siebie z pewnym dystansem. Jestem bardziej krytyczna, pasjonują mnie ludzie, ale ich za bardzo nie kocham, a Janusz ogromnie lubi ludzi, ale nimi się nie pasjonuje. Przestrzega swojego kodeksu honorowego - nie dać poznać po sobie, że coś zabolowało, jeśli idzie o innych zachować dyskrecję i absolutne milczenie. Ja raczej nie zaprzyjaźnię się tak od serca, zawsze bywam troszkę podejrzliwa, bo tak naprawdę zaufać mogą tylko rodzinie. Janusz jest bardziej hermetyczny, za to potrafi się głęboko przyjaźnić. W tak podstawowych sprawach jak nasze podejście do rodziny, do kraju, czy spraw społecznych i oczywiście,

do dzieci zgadzamy się właściwie bez reszty. Nie ma żadnych konfliktów w podziale ról w domu, w wychowaniu dzieci, tu wszystko kieruje się jakby instynktownie, mamy te sprawy głęboko w sobie zakodowane. Janusz nie traci energii na nerwy, dlatego tak dużo może zrobić. Jemu łatwiej jest rozwiązać problem niż z nim walczyć. A ja przeciwnie, walczę, czasem krzyczę na dzieci: odejdźcie ode mnie, nie przeszkadzajcie!

Janusz: - Jedną z naszych wspólnych zasad jest, że dzieci są dziećmi, a nie naszymi kolegami czy koleżankami. Tradycyjne wychowanie oznacza u nas wspólnotę przy świątecznym stole, poszanowanie praw innych domowników, obowiązkowe informowanie rodziców o wizytach u koleżanek, uprzejmość wobec innych, pukanie do drzwi, gdy rodzice przyjmują gości, wrażliwość na potrzeby innych, słowem poczucie, że „nie jest się przed wszystkimi, ale wśród wszystkich”. Nie mamy wygórowanych ambicji, aby nasze dzieci zrobiły w życiu jakąś konkretną karierę. Najbardziej nam zależy na najzwyczajniejszym wychowaniu na ludzi, których powszechnie określa się jako porządnych i przyzwoitych.

Joanna: - Staramy się, aby wiedziały i czuły, co naprawdę znaczą takie określenia jak odpowiedzialność i miłość, by pokończyły studia i zdawały sobie sprawę, że własna praca i wiedza to bardzo ważny wkład w życie społeczne kraju, że tych wartości nie zdobywa się tego tylko na własny użytek.

W wychowaniu dzieci pomaga mi moja wiedza architekta. Podobnie jak w architekturze niezbędne jest tu pewne psychologiczne podejście do projektu, kompromis między własnym gustem a oczekiwaniami oraz możliwościami budżetowymi klienta. Potrzebna jest też systematyczność i dyscyplina, bo nie można sobie pozwolić, aby wyobraźnia poszybowała w obłoki, trzeba ją ciągle trzymać w ryzach, a jednocześnie stale z niej korzystać. Architekt potrzebuje urzeczywistnienia swego projektu, jeśli go nie zrealizuje, nie zaistnieje jego dzieło architektoniczne. Te powiedziałabym bardzo przyziemne uwarunkowania w twórczej pracy architekta przenoszą się siłą rzeczy na życie osobiste, praktyczne. Myślę, że ze studiowania architektury więcej skorzystałam, jeśli idzie o życie codzienne niż wykonywanie zawodu, który stał się wspaniałym dodatkiem do mego życia. Architektura jest rodzinną pasją, jednym z najczęstszych tematów rozmów z mamą, konsultuję z nią moje pomysły, radzę się jej. Mama to moja bratnia dusza, refleksyjna, o dużych zdolnościach analitycznych. Zawsze dostępna dla wszystkich w rodzinie. Zwraca mi uwagę: to oświetlenie nad kuchennym stołem jest złe, wyostrza rysy, nieprzyjemnie jest patrzeć w takim świetle na drugiego człowieka. A przecież w domu powinno się wyglądać sympatycznie dla reszty mieszkańców. Ważne też, na jakim fotelu się siedzi i na co się patrzy. Jeśli usiądziesz na wygodnym fotelu - radzi mama - odprężasz się, a twój wygląd wpłynie korzystnie na tego, kto siedzi obok, bo i on się odpręży. Fotel powinien być taki, byś wyglądała w nim zrelaksowana, w kolorze na tyle neutralnym, by harmonizowały się różne barwy ubrań. Jeśli na przykład będzie w kolorze bladuróżowym i usiądę w nim ubrana w ostro czerwoną sukienkę, to rany boskie, będę wyglądać koszmarnie! W mieszkaniu trzeba zwracać uwagę na kolory: mogą cię dekoncentrować, odwracać uwagę od pracy. Jakże ważna jest kanapa! Moja jest wymarzona, na dwie osoby. Wcześniej mieliśmy fotele, bardzo wygodne, ale my lubimy z mężem oglądać telewizję razem. Ja mam potrzebę dotykania go, przytulenia. Nie musimy wiele rozmawiać, ale musimy się czuć. Albo - co począć z rodzinnymi zdjęciami? Warto stworzyć „ścianę rodzinną”, tak ustawić, by każdy mógł je wziąć do ręki, przypatrzeć się, pobyc z tymi postaciami. A co zrobić z upominkami, które dzieci przynoszą nam z przedszkola czy ze szkoły? Nie można ich przecież wyrzucić, więc wymyśliłam parawan, na którym przyczepiamy te różne laurki, serduszka na Dzień Matki, obrazki, rysunki. Z tych przeróżnych cudeniek mamy stałą wystawę. Dzieci to kochają. Nie wszystko musi być stylistycznie piękne, wyczelowane, bo w pomysłach domowych rozwiązań kompromis jest cnotą.

Nasze mieszkanie tak zaprojektowałam, aby pokoje i ich umeblowanie, nawet w części gościnnej, były gotowe na nieustanny ruch, bieganie dzieci z miejsca na miejsce, ich naturalną

żywiolową reakcję. Sztywne, konwencjonalne wnętrza, nie przyjmujące żadnych zakłóceń, pozbawiają ciepła i swobody, a my lubimy być w naszym gnieździe wolni, ale i razem. Jednak nawet najmłodszy członek rodziny powinien mieć, o ile to możliwe, też przestrzeń własną, zagwarantowaną wyłącznie dla siebie, gdzie może posiedzieć sam i odpocząć. Każdy z naszej rodzinnej siódemki ma własny pokój i jest tam miejsce wyłącznie dla niego, gdy nie chce żadnego towarzystwa.

Częścią mojej kultury codziennej jest estetyka która, niestety, w Polsce zanikła. A tak przecież ważna jest kultura mieszkania. W Anglii trwa tradycja urządzania domu przekazywana przez pokolenia. W Polsce została przerwana. PRL nauczył estetycznej bylejakości, aż fizycznie bolały widoki przygnębiającej szarzyzny i monotonii, nabierało się poczucia etycznego obrzydzenia. To nawet przeszło na pokolenie moich dzieci, są na estetykę mało wrażliwe.

Jaraczewscy i Onyszkiewiczowie lubią gniazda rodzinne. Ich wspólną cechą jest silnie się trzymająca i wspierająca rodzina. Mają na siebie duży wpływ. Może dlatego czuwał nad nimi dobry duch i tak szczęśliwie kierował losem, że cała najbliższa rodzina Joanny: mama z ciotką Wandą, które po śmierci Andrzeja Jaraczewskiego opuściły Wilanów<sup>209</sup> oraz brat Krzysztof z żoną i dwójką synów, Dominikiem i Jerzykiem, właśnie dzięki Joasi, co wszyscy z uznaniem podkreślają, jej zmysłowi organizacyjnemu i zapobiegliwości, mieszkają w jednej, wyjątkowo przyjaznej lokatorom, przedwojennej kamienicy przy ulicy Narbutta, na starym Mokotowie, dzielnicy lat młodości Janusza i jego siostry Anny.

Krzysztof Jaraczewski: - Nasz stosunek do siebie nie jest taki, że musimy się na co dzień widzieć. To tak jak z Polską: nie muszę słuchać pieśni patriotycznych, czytać narodowej literatury, żeby być Polakiem.

Anna Bogobowicz: - Wiąż między rodzinami jest ponadczasowa.

Jadwiga Jaraczewska: - Rodzinie trzeba dawać - to jest moja dewiza, której staram się być zawsze wierna.

Według Marii Kuncewiczowej życie rodzinne bez domu, który ma szanse przetrwania jednego pokolenia lub dwóch, staje się namiotem. Bardzo polski dom Onyszkiewiczów będzie trwał. Stoi za nim atmosfera domów poprzednich pokoleń, nastrój bliskiej rodziny, właściwa hierarchia wartości, nieegoistyczne potrzeby i oczekiwania, nawyki społecznego zaangażowania.

Jadwiga Jaraczewska: - Cała nasza przeszłość istnieje w naszych dzieciach, nie trzeba specjalnie o niej mówić, wspominać...

Krzysztof Jaraczewski: - Wieszaki pamięci... Na czym tu zawiesić wspomnienia? Brak mi konkretów, wszystko było zwyczajne, może właśnie dlatego tak ważne?...

Janusz Onyszkiewicz: - Powiem za Kołakowskim: „Gdybym nawet wiecznie żył i wszystko pamiętał, nie mógłbym nigdy przywrócić realności temu, co było”.

Joanna Onyszkiewicz: - „Pożyczamy” swoje życie, aby na jego przykładzie pokazać, co tyśiące anonimowych i nie anonimowych ludzi przeżyło razem z nami...

Koniec

- <sup>1</sup> Leszek Kołakowski „O przeszłości i o przyszłości”, „Gazeta Wyborcza” 29/30 lipca 2000
- <sup>2</sup> Ryszard Kapuściński „Lapidarium IV”, „Czytelnik”
- <sup>3</sup> Wypowiedzi dzieci zanotowane wiosną 2001 roku
- <sup>4</sup> Hymn do Bałtyku /”Wolności słońce pieśni lazur”/, słowa Stanisław Rybka, muzyka Feliks Nowowiejski
- <sup>5</sup> Za czasów Kazimierza Wielkiego, w 1360 r., kiedy król wznosił tu warowny zamek, Lubaczów stał się ważną przygraniczną twierdzą ziemi bełskiej, otrzymując w 1377 r. prawa miejskie. Miasto w 1462 r. przeszło na własność królewską, stając się jednocześnie stolicą powiatu. Dzięki licznym przywilejom królewskim miasto i starostwo lubaczowskie rozwijało się, jego mieszkańcy trudnili się uprawą roli, handlem i rzemiosłem
- <sup>6</sup> „Tyle szczęścia dla szewców”, „Czytelnik” 1977
- <sup>7</sup> obecnie ul. Sienkiewicza
- <sup>8</sup> obecnie Liceum Ekologiczne
- <sup>9</sup> Józef Frankiewicz „Zbigniew Brzeziński i jego związki z Przemysłem”, Przemysł 1999
- <sup>10</sup> „Tyle szczęścia dla szewców”, „Czytelnik” 1977
- <sup>11</sup> Bank Emisyjny w Polsce - Emissionbank in Polen, bank centralny GG, utworzony w 1939 r. w Krakowie przez niemieckie władze okupacyjne; emitował tzw. złote krakowskie - "młynarki"
- <sup>12</sup> Do dziś pasek wisi w łazience domu Onyszkiewiczów, ale jedynie jako symbol władzy ojcowskiej. Przekazany zostanie najstarszemu synowi – Stasiowi, kolejnemu rodowemu „paskodzierzcy”.
- <sup>13</sup> na Zjeździe Literatów i Dziennikarzy Polskich we Lwowie, 1894 r
- <sup>14</sup> później Kolejarski Klub Sportowy
- <sup>15</sup> Simon Singh „Tajemnica Fermata”, „Prószyński i s-ka”, Warszawa 1999
- <sup>16</sup> UNRRA - United Nations Relief and Rehabilitation Administration, Organizacja Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy utworzona 9 listopada 1943 w Waszyngtonie z inicjatywy USA, Wielkiej Brytanii, ZSRR i Chin, mająca na celu udzielenie natychmiastowej pomocy krajom alianckim najbardziej dotkniętym wojną. Wartość udzielonej pomocy wynosiła 1,7 mld dolarów, w tym dla Polski - 453 tys.
- <sup>17</sup> „Zagrozenie” Wojciech Adamiecki. Iskry 1980 r.
- <sup>18</sup> „Tyle szczęścia dla szewców”, Czytelnik 1977
- <sup>19</sup> cytaty z: „Szpetni czterdziestoletni” i ”Rozmowy w tańcu” Agnieszki Osieckiej
- <sup>20</sup> „Trybuna Ludu”, 21 października 1956 r
- <sup>21</sup> „Wiercica” , Biuletyn Informacyjny Speleoklubu Warszawskiego nr 78, Warszawa, luty 2000. „Wiercica” ukazuje się nieprzerwanie od 1955 roku
- <sup>22</sup> Jerzy Grodzicki „Tata”, „Wiercica” nr 76, Warszawa, styczeń 1998
- <sup>23</sup> Jerzy Grodzicki j.w.
- <sup>24</sup> za Polskim Słownikiem Biograficznym
- <sup>25</sup> w oparciu o „Kłósy” nr 1060, 1885 r i nr 1162, 1887 r., oraz Stanisław Łoza „Architekci i budowniczowie w Polsce”, 1954 r., Warszawa BA
- <sup>26</sup> Józef Boretti, jego syn Feliks i córka Katarzyna Maringe są pochowani w grobowcu Maringe’ów w Alei Katakumbowej na Powązkach
- <sup>27</sup> Bernard Uchmański zginął w roku? / lata dziewięćdziesiąte/ w Andach. Tekst pochodzi z „Wiercicy”, nr ?
- <sup>28</sup> Simon Singh „Tajemnica Fermata”, „Prószyński i s-ka”, Warszawa 1999
- <sup>29</sup> j.w.
- <sup>30</sup> zielone wtrącenie w bazalcie
- <sup>31</sup> Piotr Wojciechowski „Rower Pancerny”, maszynopis
- <sup>32</sup> „Wiercica” nr 5, 1963 r.
- <sup>33</sup> Marian Schmidt „Niecodzienne rozmowy z księdzem Twardowskim”, Prószyński i s-ka, Warszawa 2000
- <sup>34</sup> Bronisław Geremek „Po co nam uniwersytet”, „Gazeta Wyborcza” 7-8 października 2000
- <sup>35</sup> Jacek Kuroń „Polityka i odpowiedzialność”, „Aneks” Londyn 1984
- <sup>36</sup> Zbigniew Herbert „Przesłanie Pana Cogito” 1974 r.
- <sup>37</sup> 21 października 1966 r.
- <sup>38</sup> Jacek Kuroń „Polityka i odpowiedzialność”, „Aneks” Londyn 1984
- <sup>39</sup> zespół orzekał w składzie: Roman Nowak, Marian Naszkowski, Jerzy Sztachelski i M. Pohorille
- <sup>40</sup> za: Anna Siwek „Uniwersytet Warszawski w marcu ‘68”, Wydawnictwo Grup Oporu „Solidarni”, Warszawa 1989
- <sup>41</sup> za Anna Siwek „Uniwersytet Warszawski w marcu ‘68”, Wydawnictwo Grup Oporu „Solidarni”, Warszawa 1989
- <sup>42</sup> podtytuł pracy „Marzec ’68, wstęp, wybór i opracowanie Grzegorz Sołtysiak i Józef Stępień, Profi 1998
- <sup>43</sup> „Dzieci z naszej ulicy. Antropologia kultury młodzieżowej”, Barbara Fatyga , W-wa 99, Ośrodek Badań Młodzieży Instytutu Stosowanych Nauk Społecznych UW
- <sup>44</sup> Jacek Kuroń „Polityka i odpowiedzialność”, „Aneks” Londyn 1984

- <sup>45</sup> za: Anna Siwek „Uniwersytet Warszawski w marcu '68”, Wydawnictwo Grup Oporu „Solidarni”, Warszawa 1989; Anna Bikont, Joanna Szczęsna „Literaci, do pióra”, „Gazeta Wyborcza” 22/24 kwietnia 2000
- <sup>46</sup> „Marzec '68, wstęp, wybór i opracowanie Grzegorz Sołtysiak i Józef Stępień, „Profi” 1998
- <sup>47</sup> za: Anna Siwek „Uniwersytet Warszawski w marcu '68”, Wydawnictwo Grup Oporu „Solidarni”, Warszawa 1989.
- <sup>48</sup> Anna Siwek j.w.
- <sup>49</sup> Jakub Karpiński, Maciej Kozłowski, Małgorzata Szpakowska, Krzysztof Szymborski, Maria Tworowska
- <sup>50</sup> od 22 do 25 stycznia
- <sup>51</sup> Wiesław Władysław „Przeszłość zaklęta...”, „Polityka” nr 47 1999 r.
- <sup>52</sup> „Wiercica” nr 36, 1979 r.
- <sup>53</sup> Leszek Kołakowski – Lektury Studenckie, Społeczny Komitet Nauki 1986, przedruk z: „Aneks” Londyn 1982 r.
- <sup>54</sup> „Miłość i inne rozkosze” Michał Cichy rozmawia z Janem Kottem, „Wysokie obcasy” 20 maja 2000
- <sup>55</sup> wysadzenie w powietrze auli WSP w Opolu, w przeddzień wielkiej fety, jaka miała się tam odbyć w Dniu Milicjanta, było jednym z najbardziej spektakularnych protestów w dziejach PRL, protestem przeciwko PRL-owskiej władzy w dziesięć miesięcy po masakrze robotników Wybrzeża. Bracia Kowalczykowie pracowali w opolskiej WSP: Ryszard z tytułem doktora wykładał na tej uczelni fizykę, Jerzy był pracownikiem uczelnianych warsztatów
- <sup>56</sup> Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie rozpoczęła się w 1973 roku, a podpisanie Aktu Końcowego nastąpiło w 1975 r. III koszyk gwarantował m.in. swobodę podróży, łączenie rodzin, prawo do rozposzczelniania i dostępu do informacji
- <sup>57</sup> seraki: wielkie bryły lodu powstające wskutek łamania się lodowca na stromym progu skalnym
- <sup>58</sup> „Zdobycie Gasherbrumów” pod redakcją Wandy Rutkiewicz, „Sport i Turystyka” ,W-wa 1979
- <sup>59</sup> najwyższymi szczytami są: K2 (8611 metrów), Gasherbrum I (Hidden Peak, 8068 metrów), Falchan Kangri (Broad Peak, 8047 metrów) i Gasherbrum II (8035 metrów
- <sup>60</sup> na podstawie: „Zdobycie Gasherbrumów” pod redakcją Wandy Rutkiewicz, „Sport i Turystyka” ,W-wa 1979 i relacji Andrzeja Zajączkowskiego
- <sup>61</sup> Autorami scenariusza są: Jacek Petrycki, Bernard Uchmański i Andrzej Zajączkowski
- <sup>62</sup> uczestnicy wyprawy: Ewa Abgarowicz, Alicja Bednarz, Alison Chadwick-Onyszkiewicz, Anna Czerwińska, Halina Kruger-Syrokomska, Sylva Kysylkowa z Czechosłowacji, Maria Mitkiewicz, Anna Okopińska, Krystyna Palmowska, Wanda Rutkiewicz, Leszek Cichy, Marek Janas, Andrzej Łapiński, Janusz Onyszkiewicz, Władysław Leszek Woźniak, Marcin Zachariasiewicz, Krzysztof Zdzitowiecki. Ekipa filmowa: Zbigniew Pierzkiewicz, Andrzej Zajączkowski; oficer łącznikowy: kapitan Saeed Ahmed Malik
- <sup>63</sup> za: „Zdobycie Gasherbrumów” pod redakcją Wandy Rutkiewicz, „Sport i Turystyka” ,W-wa 1979, z rozdziału „Powstawanie wyprawy” Wandy Rutkiewicz.
- <sup>64</sup> Haliny Kruger-Syrokomskiej i Andrzeja Łapińskiego
- <sup>65</sup> Leszek Cichy
- <sup>66</sup> za: „Zdobycie Gasherbrumów” pod redakcją Wandy Rutkiewicz, „Sport i Turystyka” ,W-wa 1979, z rozdziału „Akcja trwa” Janusza Onyszkiewicza
- <sup>67</sup> „Miłość i inne rozkosze” Michał Cichy rozmawia z Janem Kottem, „Wysokie obcasy” 20 maja 2000
- <sup>68</sup> 8035 m.
- <sup>69</sup> pierwsi na szczycie stanęli Austriacy w 1956 roku
- <sup>70</sup> szczyt zdobyto 11 sierpnia. Relacja z książki „Zdobycie Gasherbrumów” pod redakcją Wandy Rutkiewicz, „Sport i Turystyka” ,W-wa 1979, z rozdziału „Pierwszy sukces” Krzysztofa Zdzitowieckiego
- <sup>71</sup> relacja z książki „Zdobycie Gasherbrumów” pod redakcją Wandy Rutkiewicz, „Sport i Turystyka” ,W-wa 1979, z rozdziału „Gasherbrum III zdobyty”. Wandy Rutkiewicz
- <sup>72</sup> film otrzymał III nagrodę – Brązowego Lajkonika na Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie w 1976 roku
- <sup>73</sup> za: „Ostatnia Bariera” Janusz Kurczab, Wydawnictwo „Sport i Turystyka” Warszawa 1980.
- <sup>74</sup> „Taternik” 1936 r. zesz. 4
- <sup>75</sup> Jan Kazimierz Dorawski „Człowiek zdobywa Himalaje”, Kraków „Wydawnictwo Literackie”, 1957 r.
- <sup>76</sup> Janusz Kurczab „Ostatnia Bariera”, Wydawnictwo „Sport i Turystyka” Warszawa 1980
- <sup>77</sup> Zbigniew Kowalewski, Janusz Kurczab „Na szczytach Himalajów”, Wydawnictwo „Sport i Turystyka” W-wa 1983 r.
- <sup>78</sup> Kaczmarek i Gintrowski tak jak Onyszkiewicz są absolwentami „Reytana”
- <sup>79</sup> werset z piosenki Tomka Lipińskiego z grupy Tilt
- <sup>80</sup> „Kto tu wpuścił dziennikarzy”, Pracownia reportażu, NOWA
- <sup>81</sup> Teresa Bogucka „Był strach”, „Gazeta Wyborcza” 2/3 września 2000

- <sup>82</sup> M. Czyż „Garnitur spod igły”
- <sup>83</sup> Norman Davies (brytyjski historyk i dziennikarz, autor m.in. „Europa. Rozprawa historyka z historią”. oraz książek o historii Polski: „Boże igrzyska”, „Orzeł biały, gwiazda czerwona”), „Gazeta Wyborcza” 22 sierpnia 2000
- <sup>84</sup> za artykułem Anny Ratigowskiej „Paragraf 282, czyli życie codzienne w sierpniu 1980 roku”, „Życie” 26/27 sierpnia 2000
- <sup>85</sup> taką wizję rzeczywistości przedstawił zespół Kult w piosence „Polska”
- <sup>86</sup> Wojciech Adamiecki „Tygodnik „Solidarność” nr 1 1981 r.
- <sup>87</sup> relacja Wojciecha Adamieckiego w „Kto tu wpuścił dziennikarzy”, Pracownia reportażu, NOWA
- <sup>88</sup> część wypowiedzi w oparciu o relację w „Kto tu wpuścił dziennikarzy”, Pracownia reportażu, NOWA
- <sup>89</sup> Wybór i tłumaczenie Maria Kruczkowska, Anna Rubinowicz „Nadzieja w cieniu czołgów – co o strajkach sierpniowych 1980 r. Pisała ówczesna prasa europejska?”, „Gazeta Wyborcza” 22 sierpnia 2000
- <sup>90</sup> Aleksandra Piłsudska urodziła się w 1882 roku
- <sup>91</sup> Aleksandra Piłsudska „Wspomnienia”, Instytut Prasy i Wydawnictw „Novum”, Warszawa 1989
- <sup>92</sup> według: „Józef Piłsudski 1867-1935”, „Spółka Wydawnicza Kurjer S.A. Kraków” 1935 oraz Andrzej Romanowski „Dano mi nazwisko Naczelnika”, „Gazeta Wyborcza” 13/14 maja 2000
- <sup>93</sup> „Józef Piłsudski 1867-1935”, Wydawnictwo i Nakład: „Spółka Wydawnicza Kurjer S.A.” Kraków 1935; Dwór w 1874 roku strawił pożar, a w 1882 majątek przeszedł na licytacji w ręce księcia Michała Ogińskiego, od którego kupił go kupiec z Rygi Klimow, ostatnim właścicielem był rosyjski generał Kursonow. W Polsce niepodległej Żułów obrócono na poligon. W 1934 roku zakupił go Związek Rezerwistów, aby dwór odbudować
- <sup>94</sup> „Józef Piłsudski 1867-1935”, Wydawnictwo i Nakład: „Spółka Wydawnicza Kurjer S.A.” Kraków 1935
- <sup>95</sup> wstąpiła w 1904 roku
- <sup>96</sup> Aleksandra Piłsudska „Wspomnienia”, Instytut Prasy i Wydawnictw „Novum”, Warszawa 1989
- <sup>97</sup> 25 października, o czwartej po południu. Ślubu udzielał ksiądz prałat Marian Tokarzewski, kapelan Naczelnika Państwa, a świadkami byli: płk dr Eugeniusz Piestrzyński i ppłk dr Bolesław Wieniawa-Długoszowski
- <sup>98</sup> po śmierci Józefa Piłsudskiego w pałacu utworzono muzeum jego imienia
- <sup>99</sup> pseudonim Józefa Piłsudskiego w okresie działalności w Związku Strzeleckim
- <sup>100</sup> pierwsza żona Marszałka była matką Wandy Juszkiewiczówny, córki z pierwszego małżeństwa
- <sup>101</sup> Leon Wasilewski „Józef Piłsudski jakim Go znałem”, „Rój”, W-wa 1935. Autor był ojcem Wandy Wasilewskiej
- <sup>102</sup> „Józef Piłsudski 1867-1935”, Wydawnictwo i Nakład: „Spółka Wydawnicza Kurjer S.A.” Kraków 1935
- <sup>103</sup> Aleksandra Piłsudska „Wspomnienia”, Instytut Prasy i Wydawnictw „Novum”, Warszawa 1989
- <sup>104</sup> Aleksandra Piłsudska „Wspomnienia”, Instytut Prasy i Wydawnictw „Novum”, Warszawa 1989
- <sup>105</sup> matką chrześną trzeciego statku została córeczka ówczesnego Min. Przem. i Handlu inż. E. Kwiatkowskiego - Hanka. Uroczystość miała miejsce w lipcu 1928 r.
- <sup>106</sup> Syn chorążego Walentego Wójcika, pełniącego różne funkcje przy Marszałku, w tym związane z jego ochroną. Zginął w Londynie od bomby niemieckiej. Wypowiedź z radiowej audycji Barbary Grembeckiej z 3 lutego 2001 r. „W cieniu legendy Piłsudskiego. Pamięci córki Wandy”
- <sup>107</sup> wypowiedź w części oparta na: „Piękne wczoraj” – z Jadwigą Jaraczewską – „Jagódką”, córką Józefa Piłsudskiego rozmawia Andrzej Romanowski, „Tygodnik Powszechny” – „apokryf”, nr 13 1998 r.
- <sup>108</sup> Maria Jehanne Wielopolska „Józef Piłsudski w życiu codziennym”, Główna Księgarnia Wojskowa, W-wa 1937 r.
- <sup>109</sup> j.w.
- <sup>110</sup> Aleksandra Piłsudska „Wspomnienia” Instytut Prasy i Wydawnictw „Novum”, Warszawa 1989
- <sup>111</sup> j.w.
- <sup>112</sup> Rafał Habielski „Polski Londyn”, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2000
- <sup>113</sup> Jadwiga Karbowska „Z Mackiewiczem na ty”, Instytut Wydawniczy „PAX”, Warszawa 1994
- <sup>114</sup> Jadwiga Karbowska „Z Mackiewiczem na ty”, Instytut Wydawniczy „PAX”, Warszawa 1994
- <sup>115</sup> Maciej Zakrocki „Rachunek za obiad”, „Polityka” nr 40, 30 września 2000
- <sup>116</sup> Rafał Habielski „Polski Londyn”, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2000
- <sup>117</sup> szkoła przyjmowała na kurs trzyletni absolwentów szkół średnich z maturą oraz na kurs półtoraroczny absolwentów wyższych szkół technicznych i szkoły morskiej handlowej
- <sup>118</sup> do Instytutu Polskiego, który wraz z Muzeum im. Sikorskiego w Londynie poszukuje polskich pamiątek z okresu wojny, zgłosił się latem 1999 roku pewien Anglik, właściciel stoczni i przystani jachtowej, który wskazał miejsce zacumowania polskiego ścigacza S-3. Obecnie jest wystawiony na sprzedaż, luksusowo wyposażony stateczek nazwany "Freelancer"
- <sup>119</sup> Andrzej Jaraczewski zmarł 18 października 1992 roku, wypowiedzi pochodzą z nagrań zachowanych w rodzinnym archiwum

- <sup>120</sup> Kasper Niesiecki, „Herbarz X”, 80-81
- <sup>121</sup> „Przeszło ze Zwierzynca”
- <sup>122</sup> Kasper Niesiecki, „Herbarz X”, 80-81
- <sup>123</sup> Adam Michnik „Niezlomny z Londynu”
- <sup>124</sup> z odezwy do narodu wydanej przez rząd Arciszewskiego
- <sup>125</sup> Adam Michnik „Niezlomny z Londynu”
- <sup>126</sup> „Bilans emigracji w Anglii, „Kultura” 1949, nr 4-5 (21-22)
- <sup>127</sup> Magazyn „Wyborczej” nr 37, 1998 r.
- <sup>128</sup> za: Rafał Habielski „Polski Londyn”, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2000
- <sup>129</sup> po wojnie obaj wrócili do Polski
- <sup>130</sup> po zakończeniu wojny na terenie Wielkiej Brytanii istniało kilka instytucji z uprawnieniami szkół wyższych. Poza Polskim Wydziałem Lekarskim w Edynburgu i Polską Szkołą Architektury w Liverpoolu były to: Polski Wydział Prawa w Oksfordzie, Studia Techniczne Rady Akademickich Szkół Technicznych (RAST) w Londynie i Studium Weterynarii w Edynburgu. Za: Waclaw A. Zbyszewski „Bilans emigracji w Anglii, „Kultura” 1949 (?), nr 4-5 (21-22)
- <sup>131</sup> pseudonim „Grzegorz”
- <sup>132</sup> za: Rafał Habielski „Polski Londyn”, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2000
- <sup>133</sup> Jadwiga Karbowska „Z Mackiewiczem na ty”, Instytut Wydawniczy „PAX”, Warszawa 1994
- <sup>134</sup> Aleksandra Piłsudska zmarła w 1963 roku, w 1998 r sprowadzono prochy do kraju i pochowano na Powązkach
- <sup>135</sup> Jan Niedenthal pracował po wojnie w Ministry of Education / ministerstwo oświaty/ w dziale utworzonym dla młodych emigrantów polskich. Pomagał im zdobywać stypendia, kierował na studia. w 1960 roku za działalność na rzecz Polaków otrzymał od królowej Elżbiety II order MBE / Member of the Order of the British Empire/
- <sup>136</sup> Roman Szymański za walkę w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku został odznaczony Orderem Virtuti Militari V klasy i dwukrotnie Krzyżem Walecznych. W 1939 roku w stopniu podpułkownika był dowódcą 39 Pułku Piechoty w Jarosławiu. W czasie wojny walczył pod Monte Casino, dowodził II Brygadą w III Dywizji Strzelców Karpackich i kierował ostatnim natarciem na klasztor, za co został odznaczony Orderem Virtuti Militari IV klasy. We wrześniu 1944 roku został dowódcą Wyższej Szkoły Wojennej w Szkocji
- <sup>137</sup> Amnestia dla Polaków wywiezionych do Związku Sowieckiego nastąpiła po zaatakowaniu przez Niemców Rosji sowieckiej w czerwcu 1941r. Zwalniano wtedy niektórych Polaków, by mogli iść walczyć przeciw Niemcom. Poprzednio, zgodnie z paktem Ribbentrop - Mołotow, Niemcy hitlerowskie były aliantami Sowietów.
- <sup>138</sup> Dzięki staraniom ks. dr. Józefa Guli (Chrystusowca ) w 1974 roku został kupiony od Anglików kościół św. Jana Ewangelisty oraz dom parafialny na Putney. Od tego czasu mówi się o polskiej parafii Wimbledon – Putney.
- <sup>139</sup> na terenie Wielkiej Brytanii sieć szkół sobotnich, zwanych oficjalnie Szkołami Nauczania Przedmiotów Ojczystych, powstała dzięki rodzicom dzieci, którzy zawiązywali komitety rodzicielskie. Szkoły korzystają z opieki Polskiej Macierzy Szkolnej, często Stowarzyszenia Polskich Kombatantów oraz polskich parafii popartych przez PBF (Polish Benevolent Fund).
- <sup>140</sup> „Polacy w Wielkiej Brytanii” Paryż 1961, Londyn 1964 r.
- <sup>141</sup> Adam Ciołkosz „Walka o prawdę – wybór artykułów 1940-1978”, „Polonia”, pierwsze wydanie polskie sierpień 1983
- <sup>142</sup> Jerzy Giedroyć „Autobiografia na cztery ręce”, „Czytelnik” 1994 r
- <sup>143</sup> Antoni Słonimski „Alfabet wspomnień”, „PIW” 1975 r.
- <sup>144</sup> Adam Michnik „Listy z Białoleki”, NOW „Start”
- <sup>145</sup> „Polska wykluczona”
- <sup>146</sup> Stanisław Pawłowicz (brat Heleny Zarembiny) ekonomista i prawnik był projektodawcą reformy walutowej, przeprowadzonej przez rząd min. Grabskiego w odrodzonej Polsce. Później był dyrektorem Banku B.G.K., a przed wojną dyrektorem polsko –brytyjskiego Banku Handlowego (The Polish-British Trade Bank ) z siedzibą w Gdańsku.
- <sup>147</sup> wuj byłego ministra Obrony (imię? czy Włodzimierz, a tamten ma na imię inaczej?) Okońskiego
- <sup>148</sup> Inicjatorem kursów dla młodzieży emigracyjnej, zwanych kursami „Loreto”, był ksiądz (później biskup) Szczepan Wesoly, który je organizował przy współpracy księży i świeckich, skupionych wokół Polskiej Misji Katolickich w poszczególnych krajach Anglii, Walii, Szkocji, Francji, Belgii, Niemiec.
- <sup>149</sup> w stanie wojennym wyjechali z Polski i osiedli na stałe w Anglii
- <sup>150</sup> „Autobiografii na cztery ręce” Jerzy Giedroyć, „Czytelnik” 1994 r.
- <sup>151</sup> Jerzy Giedroyć „Wciąż żyjemy pod tym namiotem” - rozmawia Barbara Toruńczyk, „Gazeta Wyborcza” 21 września 2000

- 
- <sup>152</sup> „Nikt się tego nie spodziewał”, „Gazeta Wyborcza” 8 sierpnia 2000
- <sup>153</sup> Tadeusz Mazowiecki, *Solidarność*, nr 1 1981 r.
- <sup>154</sup> z przemówienia ks. Prymasa Stefana Wyszyńskiego do przedstawicieli NSZZ ‘Solidarność’ 10.11.1980
- <sup>155</sup> „Trybuna Ludu” 9 grudnia 19980 r.
- <sup>156</sup> mowa o napięciu sprowokowanym „kryzysem bydgoskim”
- <sup>157</sup> Anna Walentynowicz
- <sup>158</sup> Adam Michnik „Listy z Białoleki”, NOW „Start”
- <sup>159</sup> „Tygodnik Solidarność”, nr 37 1991 r.
- <sup>160</sup> „Konspira. Rzecz o podziemnej Solidarności”, M. Łopieński, M. Moskit, M. Wilk, „Editions Spotkania”, 1984 r.
- <sup>161</sup> kwestie Zbigniewa Bujaka za „Konspirą”
- <sup>162</sup> Tadeusz Mazowiecki, „Internowanie”- Wydawnictwo „Krağ”, W-wa 1982. Tadeusza Mazowieckiego przewieziono do ośrodka internowania w Jaworzu
- <sup>163</sup> obecnie ul. Wołowska
- <sup>164</sup> Biuletyn Specjalny wydawała Polska Agencja Prasowa, dostęp do BS był imiennie reglamentowany
- <sup>165</sup> Adam Michnik „Listy z Białoleki”, NOW „Start”
- <sup>166</sup> Jacek Kuroń w wywiadzie dla „Playboya”, /brak danych/
- <sup>167</sup> Tadeusz Mazowiecki, „Internowanie”- Wydawnictwo „Krağ”, W-wa 1982
- <sup>168</sup> Adam Michnik „Listy z Białoleki”, NOW „Start”
- <sup>169</sup> wypowiedź z artykułu „Spokój gór”, Małgorzata Subotić, „Rzeczpospolita” nr 62, 1995
- <sup>170</sup> „Żołnierz Wolności”, nr 6 1982 r.
- <sup>171</sup> obecnie ul. Twarda
- <sup>172</sup> tekst wyróżniony kursywą wykreśliła cenzura więzienna
- <sup>173</sup> tekst wyróżniony kursywą wykreśliła cenzura więzienna
- <sup>174</sup> tekst wyróżniony kursywą wykreśliła cenzura więzienna
- <sup>175</sup> TBB – „zaszyfrowane” słowa: Twój bardzo bardzo
- <sup>176</sup> tekst wykreślony przez cenzora
- <sup>177</sup> Teresa Bogucka „Był strach”, „Gazeta Wyborcza” 2/3 września 2000
- <sup>178</sup> Paweł Mikłasz współpracował wcześniej w wydawnictwie im. Konstytucji 3 Maja
- <sup>179</sup> „Poglądy” pismo społeczno-polityczne wydawnictwa „Myśl” 1’84
- <sup>180</sup> późniejszy sędzia Trybunału Konstytucyjnego
- <sup>181</sup> Rozstrzygnięcie tej sprawy miało miejsce dopiero po „Okrągłym Stole”
- <sup>182</sup> za Piotrem Wojciechowskim z tekstu „Do tańca, do różańca, do gór wysokich”, wspomnienie o Bernardzie Uchmańskim
- <sup>183</sup> siedziba Kongresu Stanów Zjednoczonych w Waszyngtonie
- <sup>184</sup> późniejszy wiceminister edukacji
- <sup>185</sup> wypowiedź z programu telewizyjnego „Godzina szczerości”
- <sup>186</sup> Czesław Miłosz „Traktat moralny”
- <sup>187</sup> Stanisław Onyszkiewicz zmarł w marcu 1989 roku
- <sup>188</sup> za: Jadwiga Karbowska „Z Mackiewiczem na ty”, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1994
- <sup>189</sup> wypowiedź dla programu telewizyjnego – „Godzina szczerości”
- <sup>190</sup> wypowiedź dla programu telewizyjnego – „Godzina szczerości”
- <sup>191</sup> Joseph Conrad „Jądro ciemności”
- <sup>192</sup> Andrzej Jaraczewski tym jachtem przyplął do Polski latem 1991 roku
- <sup>193</sup> wówczas szefa niezależnego wydawnictwa „CDN”
- <sup>194</sup> Wojciech Karpiński „Cień Metternicha – szkice”, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1982
- <sup>195</sup> Aleksandra Piłsudska „Wspomnienia”, Instytut Prasy i Wydawnictw „Novum”, Warszawa 1989
- <sup>196</sup> W 1918 roku monarchiści wysunęli pomysł, żeby Piłsudski został królem.
- <sup>197</sup> po sformowaniu rządu przez Jana Olszewskiego, tekę ministra obrony narodowej otrzymał Jan Parys. Janusz Onyszkiewicz złożył wówczas dymisję ze stanowiska wiceministra. Po upadku rządu Olszewskiego, Jan Parys zostaje urlopowany, a następnie składa dymisję.
- <sup>198</sup> Wilhelm Ockham, średniowieczny filozof
- <sup>199</sup> Był ministrem do wyborów parlamentarnych w ’93, w których wygrał SLD. Ponownie został ministrem MON w ’97 roku, w rządzie Jerzego Buzka. Po wyjściu Unii z rządu, w czerwcu 2000 roku razem z wszystkimi ministrami Unii Wolności podał się do dymisji.
- <sup>200</sup> Edward Ochab w latach 50-tych i 60-tych sekretarz KC PZPR, od 1964 do 1968 – przewodniczący Rady Państwa PRL.
- <sup>201</sup> Katastrofa wydarzyła się podczas obchodów Święta Niepodległości 11 listopada 1998 roku.

---

<sup>202</sup> Władysław Łoziński „Życie Polskie w dawnych wiekach”, H. Altberg Lwów 1921r.

<sup>203</sup> Dr Beata Janke „A potem żyli długo i szczęśliwie”, „Rzeczpospolita - Magazyn” nr 13, 1993r.

<sup>204</sup> „Wielopokoleniowa czy nuklearna? – Czy polska rodzina rzeczywiście przeżywa kryzys? – dyskutują Zofia Milska-Wrzosińska, psycholog, prof. Henryk Domański, socjolog i Piotr Strzałkowski, ojciec czworga dzieci. Debatę prowadzi Jan Wróbel”, „Życie” 24/25 czerwca 2000

<sup>205</sup> Janusz Onyszkiewicz pracuje w Centrum Stosunków Międzynarodowych. W listopadzie 2001 r. wybrany został prezesem Polskiego Związku Alpinizmu.

<sup>206</sup> sklep z przyborami biurowymi i zabawkami

<sup>207</sup> Ziutek - żółw

<sup>208</sup> w wolnym tłumaczeniu: „co sprawia, że zegarek tyka”

<sup>209</sup> Wanda Piłsudska zmarła 15 stycznia 2001 roku